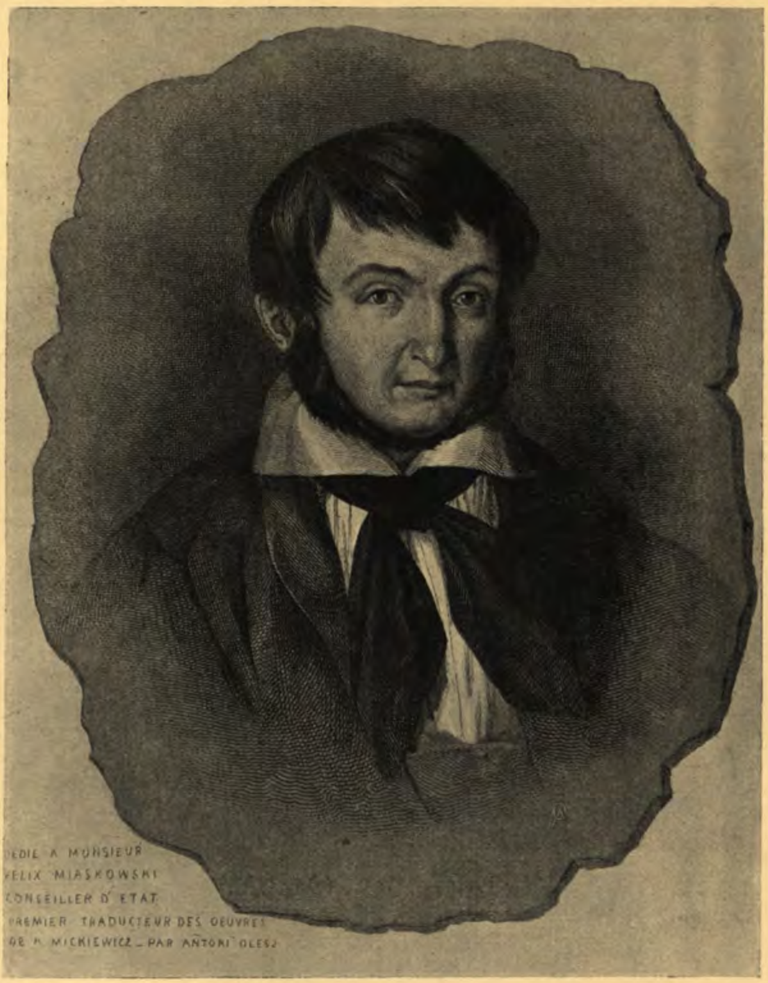
JAN KUCHARZEWSKI

MAURYCY MOCHNACKI

1910
KRAKÓW, G. GEBETHNER I SPÓŁKA
WARSZAWA, GEBETHNER I WOLFF

MAURYCY MOCHNACKI



MAURYCY MOCHNACKI

Tom 2

JAN KUCHARZEWSKI

MAURYCY MOCHNACKI

1910
KRAKÓW, G. GEBETHNER I SPÓŁKA
WARSZAWA, GEBETHNER I WOLFF

DRUKARNIA UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO W KRAKOWIE
pod zarządem Józefa Filipowskiego.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

W KRAJU.

ROZDZIAŁ I.

Dzieciństwo Maurycego Mochnackiego. — Rodzina najbliższa. — Lata szkolne i uniwersyteckie. — Ówczesny stan polityczny Kongresówki. — Spiski. — Uwięzienie Maurycego, jego zeznania i późniejsze stosunki z biurem cenzury. — Pierwsze próby pisarskie. — Spisek podchorążych. — Książka o literaturze polskiej. — Odbicie dążności politycznych Mochnackiego w tej książce.

Wiadomości nasze o latach dziecięcych Maurycego Mochnackiego są nader skąpe. We wspomnieniach osób współczesnych, w opowieściach towarzyszów młodości, w zeznaniach, składanych przed władzami przez wspólników spisków młodocianych, występuje Maurycy już jako młodzieniec kilkunastoletni, nad wiek swój umysłem wybujały. Wizerunek dziecka, młodzieniaszka, zatarł się bezpowrotnie dla potomnych. Obraz jego dzieciństwa, kreślony na podstawie materyałów znanych, wypadłby niezmiernie blado; może z czasem wykrycie jakiego pamiętnika rzuci więcej światła na pierwszą młodość Mochnackiego, nadzieja to atoli słaba.

Sam zaś Maurycy żył tak krótko, a tak gorączkowo, umarł tak niespodzianie, iż nie zdążył nakreślić własnych wspomnień o latach wczesnej młodości. Marzył ku schyłkowi życia o doczekaniu tych lat, kiedy przejdą burzliwe walki męskiego życia i gdy człowiek ogarnia spokojnie myślą przeżyte wypadki. »Nie mogę obiecywać zimnej, wytrawionej dykcyi, właściwej powadze historyka, mającego przed sobą czasy dalekie«, pisał dwudziestodzie-

1*

więcioletni autor na wstępie do dziejów powstania. »Żałuję, że nie zestarzałem się jeszcze z całem pokoleniem aktorów tej sceny. Co ludzie mówią na końcu swego życia, to zazwyczaj bywa ciche i powabne jak natura w wypogodzonym schyłku dnia, którego ranek był mglisty, a południe groźne dokoła burze zasępiły«. Rok już tylko wówczas dzielił go od śmierci i nic już nam nie zdążył opowiedzieć o mglistym ranku swego krótkiego życia.

Mamy wprawdzie o latach dziecinnych i młodocianych Maurycego nieco wspomnień, skreślonych ręką jego matki. Lecz materyał to dla historyka niewdzięczny. Nie dlatego nawet, by pani Maryi Mochnackiej brakowało inteligencyi do nakreślenia wizerunku syna, lecz raczej dlatego, że od zbolałej, dotkniętej ciężkiemi ciosami losu staruszki, opłakującej zgasłych przedwcześnie ukochanych synów, nie sposób oczekiwać bezstronnego, wiernego obrazu. Maurycy wyemigrował, nie pożegnawszy się z matką; nie sądzili oboje, aby rozstanie się ich było już ostatnie. Otrzymywała później od niego listy z obczyzny, pełne smutku, tęsknoty, żalu do rodaków, którzy ścigali go i we Francyi swą niechęcią, zawiścią i obmową; widziała go tam gdzieś w obcym kraju, wiecznie zapracowanego, dumającego nad strasznemi wypadkami, które minęły, biednego, nieraz głodnego; wkrótce przychodzić zaczęły od niego bolesne, rozdzierające listy o chorobie nieuleczalnej, wreszcie o śmierci brata Kamila; potem rosła coraz bardziej, pomimo niesłychanej niechęci, jaką większość rodaków go obdarzała, Maurycego sława literacka; matka widziała, jak na skrzydłach talentu wznosił się coraz wyżej syn jej ukochany, jak dążył niczem niewstrzymanym lotem na tę wyżynę, na której zatrute strzały jużby go nawet dosięgnąć nie śmiały, jak nie sięgały stóp wielkiego Adama; gdy wtem — Maurycy — nadzieja, chluba i ukochanie matki umiera. Odtąd nieszczęśliwa żyła wspomnieniami, rozmyślając w swem osieroceniu aż do grobu nad życiem swych synów, idealizując każdy

szczegół, każdą drobnostkę zapamiętaną, jako relikwię. Czyż można dziwić się stojącej nad grobem matce, że kreślony przez nią wizerunek syna, zamglony jej łzami, nie wypada wiernie? A może i wyrzut spóźniony targał duszę biednej kobiety, że nie była bez winy w niedoli swego dziecka, że w smutnych chwilach, gdy hart moralny Maurycego złamał się, nie wsparła męstwa synowskiego jak matka-spartanka, lecz raczej je nadwątliła. To też szanując ten ból i tę uświęconą cierpieniem stronność pani Maryi Mochnackiej, należy jednak krytycznie przeglądać stare kartki jej wspomnień. Gdy myśli jej płynęły ku jednej mogile dalekiej nad morzem Śródziemnem w Hyères, gdzie pochowany Kamil, i ku drugiej w Auxerres w Burgundyi, gdzie złożono zwłoki Maurycego, nie była zdolna ze spokojem psychologa roztrząsać ich minione życie. Niejeden za to szczegół charakterystyczny, wbrew woli matki, odsłania się, gdy przez szczerość mimowolną, przez naiwną opowieść uchyla nieostrożnie rąbek zasłony, którą pragnęło jej serce pokryć wszelkie skazy na pamięci synów.

Urodził się Maurycy w Bojańcu, w Galicyi Wschodniej, obwodzie Żółkiewskim, w majątku rodziców 13 września 1804 roku[1]. Spędził tu pierwsze lat życia jedenaście.

---

[1] Rodzina Mochnackich prawdopodobnie jest pochodzenia ruskiego. W Herbarzach Paprockiego, Niesieckiego, w wydaniu »Poczet szlachty galicyjskiej i bukowińskiej, Lwów 1857 r.« niema o niej wzmianki. W »Spisie nazwisk szlachty polskiej« Jerzego Sewera hr. Dunin Borkowskiego, Lwów 1887, figuruje: Mochnacki w Czerskiej 1564 (L. T. C. XIV), czyli powołuje się na Księgę Ziemi Czerskiej (Liber Terrae Cernensis). Rodzina atoli Mochnackich rozsiadła głównie w Galicyi Wschodniej. Estreicher wylicza kilku Mochnackich, którzy mieszkali i wydawali prace przeważnie we Lwowie. W Bibliotece Ossolińskich jest pamiętnik Klemensa Mochnackiego, ucznia Uniwersytetu lwowskiego w latach 1829—1830 (N. 3542). Jak widać z katalogu Uniwersytetu lwowskiego z r. 1830, ów Klemens Mochnacki, który mając lat 18, poszedł do powstania, pochodził z Ostrawicy, w powiecie sanockim, był synem proboszcza grecko-katolic-

W r. 1815 państwo Mochnaccy przenoszą się do Lwowa, w cztery lata potem emigrują do Królestwa, osiadają na gospodarstwie w Czersku pod Warszawą, rychło jednak porzucają rolę i zamieszkują na stałe w Warszawie. Tu Maurycy, już jako piętnastoletni młodzieniec, zapisany został do szóstej klasy liceum. Gdy więc do szesnastego roku życia wychowywał się wyłącznie w domu, wpływ otoczenia domowego musiał być znaczny. Ojciec, pan Bazyli, był to — według świadectw współczesnych — biegły i szanowany prawnik, któremu w czasie pobytu w Galicyi możne domy powierzały prowadzenie interesów; w Warszawie urzędował z początku w Prokuratoryi skarbu, ostatecznie jako radca Prokuratoryi, później zaś był radcą w Komisyi oświecenia. Palestrant z fachu, miał pan Bazyli żyłkę do polityki i do pióra, chętnie i umiejętnie zabierał głos w sprawach publicznych, jak w słynnej później sprawie szpiega Birnbauma, której przebieg drukiem skreślił; jeszcze w Galicyi wysuwał się na czoło w sprawach obywatelskich, gdy chodziło o biegłość wymowy i otarcie polityczne; w r. 1809 brał udział w deputacyi, wyprawionej do Wiednia do cesarza Napoleona[1]. Te upodobania

---

kiego. W ogólności jest w Matrykule Uniwersytetu lwowskiego od 1784 do 1809 r. wielu Mochnackich (1791 — Aleksy, 1792 — Dymitr Jan, Eliasz, 1794 — Onufry, Chryzostom, 1795 — Basilius, Jan, 1801 — Eliasz, 1805/6 — Benedykt...), — przeważnie ritus graeci, alumni Seminaryum lwowskiego. Jan Chryzostom Mochnacki był profesorem w Instytucie ruskim przy Uniwersytecie lwowskim w latach 1800—1812; o nim prof. L. Finkel w »Historyi Uniwersytetu lwowskiego«, dra Ludw. Finkla i St. Starzyńskiego, str. 94, 167—168 (Lwów 1894). (Dane, dotyczące Uniwersytetu lwowskiego, zawdzięczam łaskawej uprzejmości profesora Ludwika Finkla).

[1] J. U. Niemcewicz opowiada w swych pamiętnikach z 1830—1831 roku, że Bazyli Mochnacki domagał się w czasie powstania, aby go wysłano w misyi dyplomatycznej za granicę. Relacya ta atoli, tembardziej zaś uwagi złośliwe, jakie do niej Niemcewicz dołącza, wobec żywej jego do Mochnackich niechęci, i wobec częstego przeplatania wiarygodnych opowieści anegdotami, wymaga-

i talenty ojca odrodzą się spotęgowane w młodocianym jeszcze synu starszym. I on praktycznie kieruje się na adwokata, po ukończeniu liceum wchodzi na fakultet prawny, lecz marzy o zawodzie dyplomaty. Nie były pewnie te aspiracye syna w rozdźwięku z ambicyami ojcowskiemi pana Bazylego, syn i i ojciec rozumieli się duchem od lat wczesnych; zaraz po wybuchu rewolucyi spotykamy ich obydwóch ramię przy ramieniu — niemłodego już, lecz z rozbudzonym nagle przez wielkie wypadki zapałem ojca i wysuwającego się odrazu na przedni plan swą dziwną przenikliwością i bystrością polityczną syna — są razem i w redakcyach pism radykalnych, i w klubie patryotycznym, uczestniczą obydwa w słynnej deputacyi klubu do Rady Administracyjnej w dniu 2 grudnia. Głos syna atoli brzmi już wówczas daleko śmielej, donośniej, niż głos ojca; wytrawność, doświadczenie sędziwe zbladły przy młodym talencie; nie ojciec prowadzi tu za sobą syna, lecz raczej rozpłomieniony wybuchem rewolucyi młodzieniec porywa za sobą w jej wir młodego duchem, pomimo pięćdziesiątki z okładem, ojca; 26-letni Maurycy przyćmiewa zupełnie już wówczas pana Bazy-

łyby poważniejszego potwierdzenia. (J. U. Niemcewicz: Pamiętniki z roku 1830—1831. Kraków, 1909, str. 82).

Podczas rewolucyi występował Bazyli Mochnacki z samodzielnemi wnioskami w Towarzystwie Patryotycznem. 23 stycznia 1831 wniósł, by Towarzystwo starało się o zaprowadzenie sądu przysięgłych, 24 zaś odczytał projekt petycyi w tej sprawie do Sejmu, który jednomyślnie przyjęto. Popierał 23 stycznia wniosek Leszczyńskiego o potrzebie reprezentacyi włościan (Nowa Polska N. 21 z 25 stycznia i N. 23 z 27 stycznia 1831 r.).

Estreicher, oprócz »Sprawy Birnbauma«, umieszcza pod nazwiskiem Bazylego Mochnackiego jeszcze: »Tractatus de legibus romanis in Polonia«. Finkel (Bibliografia Historyi polskiej) pod traktatem tym notuje (N. 16116): »zdaje się Mochnackiego Bazylego«. Egzemplarz tej broszurki, pod całkowitym tytułem: »Tractatus de legibus romanis in Polonia et ordine successionis ab intestato«, o 46 stronach małego formatu, znajduje się w Bibliotece Czartoryskich w Krakowie.

lego swym zapałem, wymową, talentem, zasłania go i zsuwa w cień swą jarzącą postacią.

Matka, pani Marya z Pągowskich, przemawia do nas przez te uwagi i dopiski, jakie poczyniła w wydaniu listów syna. Dopełniają jej rysopisu duchowego uwagi przelotne osób, rodzinie bliskich, jak Michał Podczaszyński. Materyał to do odtworzenia jej postaci niewystarczający, to też sylwetka pani Maryi występuje dziś na podstawie tych źródeł — jako blady cień osoby, o wypukłość, o plastyczność wizerunku kusić się trudno, puszczenie wodzy intuicyi mogłoby odwieść zbyt daleko od wierności prawdzie. Notaty jej piśmienne, ze stanowiska literackiego, po za gładkim stylem, wzorowanym, pewnie bezwiednie, na barwniejszym i bogatszym języku syna, nic zresztą wybitnego nie zawierają. Wygląda z po za nich wizerunek niewiasty polskiej, z przeciętną obywatelską edukacyą, na podłożu francuszczyzny, kobiety, mocno przywiązanej do swych koneksyj i koligacyj rodzinnych, dbałej troskliwie o stosunki towarzyskie z dobremi domami, wychowanej w tradycyach opierania się ubogiej szlachty o protekcyę możnych; stąd też instynktowym zmysłem szlachcianki rzuconej po stracie majątku na bruk miejski, stara się oprzeć los męża i dzieci na protekcyi i opiece osób możnych; gdy zaś w kongresówce los karyery urzędowej, jak o tem Mochnaccy rychło przekonali się aż nadto dotkliwie, zawisł był wówczas wiecej od łaski obcych, niż własnych bogów i półbogów, nie wahała się pani Marya kłaniać się i obcym, nieraz bardzo zakazanym, progom — dla dobra rodziny. W sprawach rodziny zabiegliwa i radna, zmuszona była równoważyć niepraktyczność swego wymownego i rozczytanego małżonka, który bujał chętnie po obłokach literatury i polityki. To też w chwilach zmartwień, nieszczęść, jak uwięzienie Maurycego, gdy trzeba było doraźnie radzić i działać, na pierwszy plan wysuwa się nie mąż, lecz ona; gdy zaś przychodzi do działania politycznego, gdy chodzi o pomoc w pracy

literackiej, wtedy do ojca syn się zwraca, nie do matki. Gdy zaś upodobania Maurycego wypadły raczej po mieczu, niż po kądzieli, więc przy wielkiem przywiązaniu, jakie do końca życia miał dla obojga rodziców, tkliwość dla ojca zdaje się jednak w nim przeważać nad serdecznością dla matki.

Starania matki, aby nakłonić zatopionego w książkach i dysputach Maurycego do drogi praktycznej i do sukcesów towarzyskich, nie udawały się. Jak we Lwowie niezgrabny, uciekający do książek chłopak nie mógł nabyć sprawności w tańcu, pomimo starań matki i kosztów na metra, tak i w Warszawie trwożliwy i ponury w salonie student nie chciał ocenić korzyści, jakie miały dlań płynąć z bywania na salonach starościny W., i nie dał się wyrobić na światowca.

Później, po burzach powstania, w listach z wygnania, obok niezaprzeczonej serdeczności dla matki, jednak szczególnie tkliwe, wzruszające karty poświęca Maurycy ukochanemu »papie«, którego tak gorąco pragnął sprowadzić do Francyi, mieć obok siebie i utrzymywać go ze swych prac literackich i muzyki. Uderza w tych listach to powinowactwo myśli ojca i syna, ten stosunek przyjacielski, koleżeński; otoczony i znękany nienawiścią i zawiścią, z tęsknotą myśli o dobrym ojcu, który od dzieciństwa we wszystkich aspiracyach idealnych był dlań z początku mentorem serdecznym, później powiernikiem, a wreszcie gorącym wielbicielem.

Początkowe kształcenie Maurycego odbywało się pod kierunkiem ojca i guwernerów, chciwy atoli wiedzy umysł chłopca niecierpliwie wyglądał po za ramki programu szkoły domowej i chłonął wiedzę z książek we wszelkich kierunkach. Umysł, nietylko lotny lecz i krytyczny, z tej mozaiki szarpanych wiadomości układał samorzutnie pewien systemat; punktem, do którego zdążały młodociane dociekania, była literatura piękna współczesna; podłożem, na którem rosły poglądy, była ówczesna ogarniająca despoty-

cznie młode zdolne głowy filozofia idealistyczna niemiecka; z tych studyów, ku którym parły go przemożne popędy umysłowe, urabiały się powoli opinie krytyka literatury; w tym bowiem kształcie objawiła się głównie pisarska jego działalność w pierwszym okresie, przedrewolucyjnym.

Przy egzaminie do szóstej klasy liceum warszawskiego rektor Linde uderzony był przez niezwykle rozległe oczytanie chłopca, szczególniej z dziedziny autorów klasycznych. Nauki licealne nie pochłaniały go, ulubionej lekturze oddawał się z wciąż rosnącem zamiłowaniem. Po paru miesiącach liceum i po zdaniu matury, zapisał się za wolą rodziców na wydział prawny; na prelekcye uczęszczał niedbale, dzięki zdolnościom składa pomyślnie egzamin po roku, posiłkując się skryptami. Lektura za to idzie pomyślnie; ze wszystkich umiejętności najmocniej przykuwać go zaczyna teorya piękna; studyuje kanony i wzory odradzającej się wówczas z całą mocą na Zachodzie literatury i poezyi; zagląda do Lessinga i Herdera, do braci Szlegel, szczególnie — Augusta Wilhelma, do Schellinga, do pani de Staël i Chateaubrianda; czy wszystkich tych autorów znał istotnie z pierwszej ręki, dziś dociec niepodobna; bądźcobądź, poglądy ich przejął i stosuje w swych szkicach krytycznych umiejętnie. Swe studya estetyczno-filozoficzne przerwał w wieku młodym, oczywiście, oryginalnej teoryi wytworzyć nie zdołał, w *Literaturze polskiej* obok oryginalnych poglądów na utwory rodzinne spotkamy w ogólnych rozważaniach z estetyki wiele naśladownictwa, często surowego, szczególniej z Schellinga, nie jest jednak bynajmniej prawdą, jakoby przedwczesne studya miały wytworzyć w młodej jego głowie chaos[1].

---

[1] Rozżalony nań za niedyskretne zeznania kolega ze związku Wolnych Polaków Ludwik Piątkiewicz na śledztwie mówił, iż Maurycy, naczytawszy się Kanta w liceum »rozum postradał«; tak, może wypadło powiedzieć na śledztwie, aby osłabić zeznania Mau-

Dość obojętny na wymowę pandektów, wchodzi Maurycy krok za krokiem coraz głębiej w czarowny świat odrodzonej już wtedy na Zachodzie i odradzającej się u nas literatury romantycznej; zagląda i do dawnych złotego wieku pisarzy — zwłaszcza do Skargi i Wujka, lubuje się w ich polszczyźnie i przejmuje ducha ich niezrównanej staropolskiej prozy; tak stopniowo gromadzi wzory i wchłania pierwiastki, z jakich powstał w przyszłości styl jego niedościgły, w którym jędrność polszczyzny złotego wieku tak świetnie zespala się z wdziękiem i polotem języka romantycznego.

Nie samemi atoli literackiemi zajęciami i wrażeniami żyje Maurycy w tej epoce. Owe lata liceum i Almae matris przypadają właśnie w okresie pierwszych drgnień przedrewolucyjnych w Królestwie. Miodowe miesiące Kongresówki z wskrzesicielem minęły szybko. Burza listopadowa została wywołana i przyspieszona przez złośliwe i złowrogie podmuchy, idące z Belwederu i drące niemiłosiernie pacyfikacyjną pajęczynę, którą silono się zasnuć jątrzącą ranę waśni polsko-rosyjskiej w pierwszych latach wiary w Aleksandra; poczęła się ta burza i zrodziła z tych niczem niewstrzymanych wichrów, jakie dęły z tajnych głębin życia narodu. Żywo drgało w duszach Polaków wspomnienie niepodległej Rzeczypospolitej, żyli jeszcze jej pogrobowce i widomi przedstawiciele w sędziwych weteranach Sejmu Czteroletniego, towarzyszach Kościuszki; świeże były wspomnienia chwały wojennej, odrodzonej w Legionach i na sławnych polach bitew napoleońskich na całej przestrzeni Europy od Saragossy do Moskwy. Na Księstwo Warszawskie patrzało

---

rycego; jeśli jednak Piątkiewicz istotnie był tego zdania, policzyć to należy na karb tego horror philosophiae, z jakim Piątkiewicz i podobni mu przywykli do łatwiejszych zatrudnień młodzieńcy mogli patrzeć na niestrawny tom Kanta w ręku bezwąsego kolegi. (O zeznaniu Piątkiewicza patrz: S. Askenazy, Łukasiński, Tom I).

pokolenie oczyma Kołłątaja, jako na zawiązek ojczyzny zmartwychwstającej; nie mógł tych nadziei rozbudzonych zaspokoić chromy twór matactw wiedeńskich, to dawne Księstwo jeszcze bardziej okaleczone, zamknięte pomiędzy Bugiem a Prosną. Pragnienia myślącej i czującej części narodu, po rozbiorach chwilowo przygniecione, wdławione przez cios nagły w głąb duszy narodu, potem w okresie bojów tytanicznych przygłuszone szczękiem oręża, w którym brzmiała dla Polaków nuta nadziei, przysłonione kurzawą nieustannych bitew, teraz, gdy nastały lata ciszy, odetchnienia od walk i klęsk i lada jakiej swobody, wypływały na wierzch, parte mocą niewstrzymaną, nie tylko nie obumarłe, lecz ożywione, rozdrgane, domagające się zaspokojenia. Imponująca siła wojskowa, na którą z dumą spoglądało pokolenie Kongresówki, stanowiła dającą do myślenia sprzeczność ze sztuczną szczupłością granic, była jeśli nie tłómaczona wyraźnie, to instynktownie odczuwana, jako znak widomy lepszej przyszłości. Duch polityczny narodu, uwięziony na ciasnym szmacie ziemi nadwiślańskiej, żywiołowo rozpierał swą wschodnią granicę, dążył do rozpostarcia się na te ziemie, gdzie brzmiała mowa polska i unosiły się w powietrzu tradycye Rzeczypospolitej.

Wydawać się mogło z początku, że aspiracye Polaków do połączenia z braćmi z za Buga dadzą się osiągnąć bez walki — dzięki wspaniałomyślności Aleksandra. Osoba łaskawego monarchy zasłaniała czas jakiś przed olśnionemi oczyma Polaków widmo ducha zaborczego, chciwego zagłady, który groził od wschodu, zatrzymany przez chwilę na kapryśne skinienie władcy potężnego, lecz nie wszechwładnego, jak się wkrótce okazało, w wytykaniu drogi wyższym przeznaczeniom swego państwa.

Obietnice rozszerzenia Konstytucyi na ziemie zabrane i włożenia na swoje i swych następców skronie korony połączonych krajów Rzeczypospolitej, związanych jako równorzędna połowa unią z Cesarstwem, ponawiane przez

wskrzesiciela Królestwa wyraźnie lub domyślnie w chwilach uroczystych, przy otwieraniu i zamykaniu Sejmów, a także w rozmowach poufnych, tak dobitnie wypomniane później w historycznem sprawozdaniu Sądu Sejmowego, podniecały nadzieje nawet tych, którzy własnej mocy narodu nie zbyt ufali.

Ale wkrótce złudzenia rozwiewać się zaczęły. Myśl, że cierpliwość i ufność są drogą do ziszczenia pragnień Polaków, zacznie stopniowo ustępować miejsca ciężkiej świadomości, że prędzej czy później wybrać wypadnie — zgodę z losem lub walkę. Mrok, jaki rozsnuwa się nieznacznie w duszy Aleksandra w pierwszych już latach Kongresówki i zatapia powoli w mgle reakcyi mistycznej dawne jego jaśniejsze zamierzenia i plany, nigdy zresztą i dawniej nie zdolne skrystalizować się w tej dziwnej, chwiejnej, rozdwojonej duszy jako stałe męskie decyzye, rzuca cień niepewności i na wątłe losy wskrzeszonego Królestwa. Jakiś powiew nienawiści i nieufności do Polaków z żywiołową mocą przenika od Wschodu, tchną nim coraz wyraźniej wszelkie akty względem Polski, zdaje się tonąć w nim i efemeryczna łaskawość monarchy; groza zmian nieokreślonych a fatalnych zawisa nad krajem, żarzy ona oczywiście tem mocniej tlejący ogień, stawia coraz wyraźniej przed zatrwożonem i zawiedzionem społeczeństwem groźne pytanie: być czy nie być. Praktyki barbarzyńskie, przez Belweder dokonywane lub uświęcane, deptanie swobód obywatelskich i wszelkich zaręczeń, w Konstytucyi zawarowanych, dmą wciąż rosnącym wichrem na te iskry, z których zapłonie pożar 29 listopada.

Tak powoli dojrzewa ten dramat, który wkrótce Maurycy miał przeżyć i opisać, pozostawiając potomności w swem dziele obraz najżywszy i najświetniejszy z tych, jakie kiedykolwiek nakreślił Polak o wypadkach swego narodu. Jednocześnie zaś przygotowywa się inny dramat, bardziej od tego skomplikowany, a który splótł się organicznie z owym dramatem walki dwóch narodów, stwa-

rzając swem skojarzeniem ponury obraz nieszczęścia narodowego. Był to męczący wewnętrzny dramat duszy narodu, stojącej wobec wielkiego czynu w rozdarciu, w rozterce, lęku, niepewności, chwiejności; dramat narodu, który nie wie, czy ma ziszczenia nadziei oczekiwać od cierpliwego wytrwania i zgody polubownej, czy też od walki nieubłaganej, a nawet wtedy, gdy walkę już rozpoczął, gdy los już rzucony, nie widzący jasno w osobie swych ludzi, na świeczniku sprawy postawionych, czy to ma być demonstracya zbrojna, na upamiętanie przeciwnika obliczona, czy też bój na śmierć i życie; gdy nawet i to pytanie już rozstrzygnął sobie na sesyi sejmowej 25 stycznia, jeszcze i wtedy przywódcy wahają się, ociągają, brną naprzód z ponurą rezygnacyą, nie mają wprawdzie ani razu odwagi cofnąć się, lecz nie mają tego zapału, tej wiary, która daje zwycięstwo, i tej świadomości, iż jedynie dobrą obrali drogę, bez czego niema rozpaczliwej zaciętości, która może zastąpić niższość siły. Stąd też powstanie pozbawione świadomego kierunku, celowa czynność ciągle wyprzedzana przez bieg wypadków, kalkulacya zastąpiona fatalistycznem zdaniem się na grę losu i nieprzewidzianych wydarzeń.

Ten dramat niemocy, wahań, złudzeń, który tak krwawo przebolał i tak mistrzowsko później odtworzył Mochnacki, ma obok licznych i głębokich przyczyn, tkwiących w dziejach i duszy narodu, i bliższe powody historyczne, zależne od warunków bytu porozbiorowego, a szczególnie bytu Kongresówki i jej stosunku do potężnego twórcy, opiekuna i ciemiężcy w jednej osobie. Z tych szczególnych przyczyn, które wpłynęły na późniejsze rozchwianie energii i zaćmienie jasnego sądu o położeniu u wielu członków walczącego o byt narodu, ludzi o niezaprzeczonym patryotyzmie i znacznym rozumie politycznym, najważniejszą było samo powstanie Królestwa Kongresowego, przypisywane szczególnej życzliwości dla Polaków Aleksandra, która rzekomo miała zwalczyć mniej

przychylne usposobienie areopagu wiedeńskiego, — owo skojarzenie w jednej osobie podwójnej cechy — zdobywcy i wskrzesiciela, głowy państwa zaborczego i mniemanego dobroczyńcy; to też gdy upadła już wiara w życzliwość agentów rządu dla narodu i Konstytucyi, gdy nawet już zajrzano w oczy walce z państwem, jeszcze cieszono się myślą apelacyi, w tym już rozognionym sporze z państwem rosyjskiem, do tronu, jako do sprawiedliwego i bezstronnego w swej podwójnej cesarsko-królewskiej roli sędziego. Był potężny w społeczeństwie, wśród wyższych warstw niemal powszechny ten wytworzony pod wpływem lepszych dni aleksandrowskich sentyment, który wytyka Mochnacki Czartoryskiemu Adamowi na ostatnich kartach drugiego tomu *Powstania*, gdzie mówi, iż wyznawanemi przez ks. Adama »ideami związku, pobratymstwa wstrząśniona została na chwilę stara maksyma narodowa, zachwiane ze strony polskiej delenda Carthago, ruszony z miejsca poświęcony wiekami kamień mądrości politycznej«.

Do zamącenia i niepewności pojęć przyczyniała się w niemałej mierze cała polityka Aleksandra, falująca, zygzagowata, to dająca wyraz daleko idącym planom restytucyjnym względem Polski, to znów cofająca swe zamierzenia w imię rozmaitych pobudek; grało tu rolę i wewnętrzne organiczne jakby rozdwojenie własnej duszy i nacisk sfer rosyjskich zachowawczo-nacyonalistycznych, względem Polski nieprzejednanych, a które, jak Karamzin, wskrzeszenie Królestwa w granicach dawnej Rzeczypospolitej za zgubę dla Rosyi, za czyn, władzę i prawo cara przekraczający uważały; dalej, wchodził w grę i wpływ reakcyi ogólno-europejskiej i jej arcykapłana kanclerza austryackiego, od którego otrzymywano natchnienia na kongresach. Oprócz zaś przyczyn natury ogólnej, polityki rosyjskiej i polityki Przymierza Świętego, los Polaków podległy był wpływowi względów ubocznych przygodnych, jak naprzykład kombinacyj dynastyczno-sukcesyjnych, dzięki którym Kongresówka, a pod względem

wojskowym z czasem i gubernie litewskie, stawały się fantem, za którego cenę usuwano niepożądanego do tronu pretendenta, sadowiąc go nad Wisłą i oddając kraj na »gotowy plac parad« dla pół-dzikiego fanatyka »szagistyki«. Postępowanie zaś tego ostatniego mogło wyprowadzić z równowagi najcierpliwszy naród, a z drugiej strony w pewnych razach mogło działać z podobnym co obietnice Aleksandra skutkiem. Będąc w Królestwie faktycznym wielkorządcą, dawał upust niesłychanym wybrykom swej nieokrzesanej natury, gdy zaś znajdował się w Rosyi, wynosił Polskę i Polaków i ostentacyjnie ich wyróżniał, by upokorzyć Rosyan. Działał tak przez swój dziki upór i ducha sprzeczności, a także może pod wpływem gniewu niewygasłego i nawet wzgardy do rodaków z racyi pewnego fatalnego wspomnienia, które w duszy syna zatrzeć się nigdy nie mogło. Z biegiem czasu dołączały się i inne powody; po roku 1825 — obrażona duma starszego wiekiem, a stanowiskiem poddanego, brata i pewne wbrew przekornej rogatej naturze zrastanie się duchowe z ciemiężonym przezeń cierpliwym narodem, do którego należała wierna w powodzeniu i niepowodzeniu towarzyszka życia, wierne, jak sądził, i niewolniczo wymusztrowane wojsko i po za którego granicami nie było dlań innego zaszczytnego i, jak nawet mniemał, bezpiecznego miejsca w państwie. Tak więc i Aleksander i Konstanty, każdy na swój sposób, to obrażając uczucia i godność Polaków, to schlebiając ich dumie, to podniecając świadomie lub mimowolnie tajone nadzieje, to grożąc odebraniem posiadanych praw i swobód, pracowali gorliwie i na wybuch 29 listopada i na wywołanie tego nastroju fatalnego, dwoistego, wśród którego wielu Polaków zaskoczyły wypadki. Nie były to zresztą jedyne, nawet może nie główne czynniki owego nastroju. Rzut oka na dwa inne zabory, gdzie stan sprawy narodowej był wówczas jeszcze smutniejszy, pamięć niedoli narodowej po rozbiorach, wobec której prawa, krajowi w r. 1815 nadane i formalnie z wy-

jątkiem paru wciąż trwające, wcale jeszcze pokaźnie się przedstawiały, wreszcie lęk klęski dość powszechnie spodziewanej — wszystko to zmuszało do zastanowienia, a po wybuchu — do sceptycyzmu. Ciemięstwo, jakkolwiek dotkliwe, nie było jednak tak ciężkie, aby jasno przed oczyma wszystkich stanęło widmo zagłady, pytanie: być albo nie być. Oprócz tego, upadek Polski zastał część tylko narodu odrodzoną, rozbudzoną i w całej pełni z ogromu klęski sprawę sobie jasno zdającą, resztę zaś oszołomił tylko cios morderczy i nie prędko ocknęła się z omdlenia; potem, duch narodowy, wyrywający się z niewoli, lecz nie oparty o trwałą podstawę uświadomionych, oświeconych i patryotycznych mas, szukał oparcia na zewnątrz, uchwycił się z początku potężnego ramienia Napoleona, potem zwrócił swe nadzieje do Aleksandra; poczucie dumy, samoistności narodowej, wytwarzało się nanowo powoli, ogarnęło szersze masy wówczas dopiero, gdy już siły materyalnej, wojskowej, do walki nie było. Te przyczyny tłómaczą nam głębiej tę chwiejność, słabość, jaką pomimo czynów bohaterstwa wojennego objawił naród w czekającej go wkrótce walce o byt.

Wszyscy zresztą odczuwają ciężar ucisku konstantynowskiego, z wyjątkiem tych naogół nielicznych ludzi, którzy się duchem lub interesami z systemem zespolili, a więc takich osób, które uśpiły w sobie aspiracye narodowe bądź korzyścią osobistą, znikczemnieniem własnem, jak Rożniecki, bądź doktryną obłędną, zaprzańczą, jak Szaniawski. Wszyscy naogół odczuwają potrzebę ukrócenia nadużyć, szukania drogi poprawy losu, zaręczenia swobód, lecz w zalecaniu i wyborze środków, a nawet i celu znaczne panują różnice. Jedni szukają li tylko prawnej podstawy do walki, chcą upominać się legalnie o poszanowanie praw i swobód konstytucyjnych w Królestwie, inni marzą o rozszerzeniu karty konstytucyjnej na Polskę zaniemeńską, zabużańską i naddnieprową — w drodze ziszczenia stypulacyj monarszych, jeszcze śmielsi, jeszcze

gorętsi roją o szerszej restytucyi, mijają niecierpliwą myślą rok 1815, opierają się duchem o rok 1772; gdy wybuchnie walka, huragan jej rychło zatrze te różnice i odcienie, bieg wypadków wysunie na czoło żądania najszersze. Teraz zaś, w ciągu dziesięciolecia przedrewolucyjnego nuta protestu brzmi stale, lecz całą gamą tonów; rozpoczyna się od milczącego, biernego, pełnego poprawności zewnętrznej i niemej wymowy protestu generałów, porzucających służbę, jak Chłopicki, dygnitarzy, od spraw stanu odsuwających się, jak Czartoryski; przechodzi w ton śmielszy, gorętszy, lecz wciąż jeszcze legalny, w opozycyi sejmowej takich Niemojewskich, w artykułach pism, jak *Orzeł Biały*, *Dekada Polska*, których żywot krótki; aż wreszcie w gorętszych piersiach przybiera ton tak gwałtowny, że musi się ukrywać w podziemiach spisków.

Pomimo wszelakich różnic i odcieni, w epoce, gdy Maurycy stawia pierwsze kroki w Warszawie, jako młodzieniec, uczuciem powszechnem, unoszącem się w atmosferze kraju, jest zaniepokojenie i rozdrażnienie, obawa o te nawet prawa, których jeszcze nie tknięto, a od takiego ogólnego zatrwożenia i niezadowolenia, przy znacznem poczuciu siły materyalnej orężnej, już nie tak daleko do otwartej walki — o wszystko. »Drożdże pozostałe na dnie dziejów świetnej Polski, chwast kolący krzywd i upokorzeń późniejszych i błyski rzucone geniuszem nowych wieszczów, szczególniej z nad Niemna i Dniepru, rozczyniały robotę... która wciąż rosła« — mówi o tych czasach późniejszy belwederczyk i wygnaniec[1]. Trzeba było tylko ludzi, którzyby tę robotę potrafili uchwycić i ująć — i sygnału.

Elektryczność nadciągającej burzy najsilniej naturalnie nasycała atmosferę wśród młodzieży; to też wśród tej wcześnie dostrzegamy zwiastuńcze obłoki — spiski. Wra-

[1] Ludwik Orpiszewski: »Kilka wspomnień«, Rocznik Towarzystwa histor.-literackiego za rok 1867.

żliwy, ciekawy, wydatny umysłem Maurycy nie mógł zostać pominięty przez kolegów, którzy werbowali adeptów, zagarnięto go niebawem. Już w liceum przyjęty zostaje do tajnego kółka i uczęszcza na tajemnicze obrzędy i narady na wzgórzach dynasowskich. Było to jedno z kółek, wzorowanych na związkach węglarskich Włoch i Francyi, a których idea i forma przedostawały się do Kongresówki tego rodzaju ścieżkami ukrytemi, na które najczujniejsza kwarantanna polityczna nie znalazła dotychczas skutecznej tamy. Tajemnicza i wyszukana, pełna grozy obmyślonej obrzędowość tych schadzek niby-karbonarskich pociągała silnie wrażliwe młode umysły. Egzaltowany młodzieniec musiał znaleść urok w tych »eleuzyjskich misteryach patryotyzmu«, jak je później nieco patetycznie na emigracyi nazywał. Samo przyjęcie do związku miało oddziaływać na wyobraźnię osoby inicyowanej. Maurycy, zgodnie z własną relacyą, ślubował na znak męki Zbawiciela, wyrytej na szabli, w pokoju, osłonionym kirem, przy lampie, której drżące światełko migotało z trupiej czaszki. Zapewne, że w późniejszej opowieści Maurycego, w liście do Hubego z dnia 18 sierpnia 1832 roku, gdzie tym związkom młodzieńczym zdaje się przypisywać jakąś głębszą rolę, tkwi sporo przesady, świadomej lub mimowolnej; dobitnych, określonych celów politycznych mieć one nie mogły, zewnętrznie rzecz sprowadzała się do schadzek, mów i obrzędów; lecz i to pewna, że dusze chłopięce czuły, co miało ukrywać się poza temi dekoracyami melodramatycznemi, przeniesionemi na polską ziemię w dobie obcych rządów, i gdy składali przysięgi stereotypowe przeciwko tyranom, wiedzieli, co to w Kongresówce oznaczać mogło.

W roku 1820 Maurycy wprowadzony został, już jako akademik, przez Ludwika Piątkiewicza do Związku Wolnych Polaków, gdzie panowały formy obrzędowe, zapożyczone z wolnomularstwa i bardzo przezroczyście przystosowane do istotnych intencyj; przy powitaniu dwóch związkowych jedna strona, rozkładając i skupiając trzy

palce na wyobrażenie połączonej Polski wymawiała słowa »wszystko i nic«, na co druga strona odpowiadała: »ojczyzna i śmierć«[1]. Członkowie tych związków przyjmowani byli z warunkiem zachowania ścisłej tajemnicy; na tem tle dyskrecyi obowiązkowej wynikła kolizya Maurycego ze związkowymi. Wkrótce po aresztowaniu na rozkaz W. Księcia założycieli związku, Wiktora Heltmana i Ludwika Piątkiewicza za to, że 3 maja 1821 roku puścili w obieg tanią edycyę Konstytucyi 3 Maja, na sesyi Wolnych Polaków wniesione zostało oskarżenie przeciwko członkom Związku, Maurycemu Mochnackiemu i... Aleksandrowi Wielopolskiemu o zdradzenie tajemnicy związku przed krewnymi. Spiskowcy postanowili ukarać Maurycego śmiercią i do owego to wypadku ściąga się opowieść matki Maurycego o owym koledze, który raz przyszedł do niego, aby go wyprowadzić na Bielany i strącić ze stromej góry do Wisły[2]; gdy jednak go nie zastał, związkowi wkrótce ochłonęli z pierwszego uniesienia, zmiękli w swej srogości i ograniczyli się do udzielenia mu »surowej reprymandy«.

Niebawem wypadło Maurycemu doświadczyć na własnej skórze brutalności belwederskiego wielkorządcy i jego siepaczy. Komisarz policyi (Sikorski) wyrwał mu, jako stu-

---

[1] Wiadomości o tych związkach z wielkiem bogactwem szczegółów, czerpanych z najlepszych źródeł, umieszcza prof. Askenazy w dziele »Łukasiński«. Maurycy wspomina o swem należeniu do »gminy akademickiej Towarzystwa Patryotycznego« (Tom I, Powstanie, wyd. 1863 r., str. 232), wersyę tę powtarza Podczaszyński, a za nim dwaj najnowsi biografowie Mochnackiego; wszyscy trzej wzmiankują, jakoby właśnie za należenie do owej gminy Maurycy był wydany i więziony. Z ustalonych niezbicie przez prof. Askenazego dat i faktów wynika, że jest to nieporozumienie. Towarzystwo Patryotyczne zostało założone w maju 1821 roku, Wiktor Heltman został aresztowany zaraz po 3 maja tegoż roku, o Towarzystwie Patryotycznem nic jeszcze wiedzieć nie mógł, ponieważ zaś on wydał Maurycego, nie o Towarzystwo Patryotyczne zatem chodziło.

[2] Był to Dydak (Askenazy, »Łukasiński«).

dentowi, palącemu na ulicy, z ust fajkę, Maurycy uderzył go w twarz; aresztowany za to, stawiony przed oblicze W. Księcia, wytrzymać musiał zwykły atak furyi Konstantego, który, według słów matki Maurycego, porwał chłopca za piersi, trząsł nim, jak młodem drzewkiem, wreszcie oberwał mu guziki, podarł na pasy mundurek i skazał go na pracę w taczkach z aresztantami w ogrodzie belwederskim. Tu spędził Maurycy dni czterdzieści. Tocząc tu przez dnie całe taczkę, pod świeżem wrażeniem doznanej zniewagi i krzywdy, snuł pewnie tajnie w duszy gorzkie myśli o smutnem szyderstwie bytu konstytucyjnego tej małej krainy, przyczepionej do potężnego absolutnego mocarstwa. Całe to zajście nieszczęśliwe spotkało Maurycego, jak twierdzi Podczaszyński, na dni kilkanaście przed egzaminem magistra. Był to okres wzmożenia czujności i srogości władz policyjnych w Królestwie, czasy śledztwa nad Łukasińskim, Cichowskim, Dobrzyckim, Dobrogojskim, uwięzionymi w maju 1822 roku. Maurycy za owo błahe zajście poza odcierpianą wstrętną karą został jeszcze wykreślony z liczby studentów. Był więc praktycznie wykolejony; studyując prawo, myślał o drodze dyplomatycznej, lub skromniej — o adwokaturze, od obydwóch był teraz odcięty. Na manowce życia wykolejonego nie pozwoli mu jednak zejść gorące umiłowanie pracy umysłowej i budzące się upodobanie pisarskie. Umieszcza pierwszy artykuł w *Astrei*. Z zamiłowaniem uprawia grę na fortepianie, a talent do muzyki miał niepośledni, wybitny. W tym czasie zbliża się do Michała Podczaszyńskiego, starszego odeń o lat parę, syna profesora Uniwersytetu wileńskiego. Mieszkali Mochnaccy podówczas w domu Paulinów, przy zbiegu ulic Długiej i Freta; zaprzyjaźniwszy się serdecznie z Michałem, a widząc, że około ubogiego kolegi krucho, nakłonił go Maurycy za zgodą swych rodziców do wprowadzenia się do nich na mieszkanie; odtąd w stancyjce, zamieszkanej przez dwóch przyjaciół, całemi nieraz godzinami rozbrzmiewały dysputy literackie,

naukowe, polityczne; czasami zacietrzewieni biegli na drugą stronę ulicy do pana Joachima Lelewela i przedkładali swój spór do rozstrzygnienia tej nieomylnej wyroczni młodzieży.

Byłby teraz niezawodnie Maurycy wszedł powoli na drogę literacką, gdyby nie nowa katastrofa. Wiktor Heltman, aresztowany powtórnie na Litwie, wydał swych dawnych spółzwiązkowych, w ich liczbie Maurycego; aresztowany w listopadzie 1823 roku, osadzony został Mochnacki w więzieniu u Karmelitów na Lesznie i tu trzymany przez 11 miesięcy. Do więzienia karmelickiego przywiązane są najmroczniejsze wspomnienia życia Mochnackiego. Natura nerwowa, egzaltowana, przydławiona więzieniem, odurzona, przerażona obrazem tych scen ohydnych, które dziać się miały w tych »prigioni« warszawskich, a o których nasłuchał się tyle jeszcze przed więzieniem, złamała się, uległa. Wytrawny oprawca młodzieży, Hankiewicz, grał, jak szatan na wszystkich strunach duszy zachwianego chłopca. W grę puszczono wprawną ręką i wpływ wylęknionej o syna i umyślnie straszonej rodziny, aby tylko osiągnąć w oczach wielkorządcy tryumf z pozornego przynajmniej nawrócenia młodej i to nielada jakiej duszy. Zbolała matka obijała progi d o b r e g o generała Kołzakowa i wysłuchiwała z całą ufnością jego fatalnych zapewnień, że syn zadziwia komisyę śledczą i robi honor rodzicom. Skarżyła się usidlona matka poufnie dobremu generałowi, że cesarzewicz pozbawia syna dostępu do »urzędów i wszelkiego dystyngowania się«, na co w odpowiedzi litościwy generał uspokajał ją, że syn napewno sam siebie wydobędzie.

Maurycy życiem swem dalszem dowiódł, że umiał dla sprawy umiłowanej poświęcić siły, życie oddać: czy wtedy, gdy dnia 3 grudnia 1830 r. rzucał w twarz uzbrojonemu tłumowi bezmyślnych wielbicieli Chłopickiego zuchwałe słowa: »Chłopicki zdradza«, czy gdy nazajutrz prowadził, nie bacząc na niebezpieczeństwo, szkołę pod-

chorążych na gmach posiedzeń rządu, czy wtedy, gdy nie wahał się rzucać śmiałe i gorzkie zarzuty następnym z kolei ulubieńcom opinii — mężom sejmowym; przedewszystkiem zaś wówczas, gdy szedł w ogień pod Okuniewem, Długosiodłem, Ostrołęką i krwią własną zdobywał złoty krzyż *virtuti militari*, gdy wreszcie później mimo ran niezagojonych wciąż walczył z oporem ciemnej większości w imię swych potężnych pomysłów ocalenia sprawy, już nad przepaścią stojącej. Posiadał w wysokim stopniu i odwagę cywilną i odwagę wojskową i wytrwałość niezmożoną. Wówczas jednak u Karmelitów zabrakło dziewiętnastoletniemu Mochnackiemu tego hartu spiżowego, który każe człowiekowi cierpieć, zginąć nawet w imię czystości idei cicho, bez rozgłosu, bodaj w lochu; tej cnoty stoickiej, albo chrześcijańskiej Krzyżanowskiego, Zawiszy nie starczyło mu; przed obawą długiego cierpienia, a może i śmierci — w kwiecie młodości, bez sławy, w ciemnym lochu, cofnął się i ugiął. Może już wówczas potrafiłby spojrzeć w oczy i nienawiści publicznej i wrogowi obcemu, iść w bój otwarty, jak to czynił później, zginąć nawet jak bohater; męczennikiem być jeszcze nie umiał. Męczennikiem — mówimy; bo chociaż dziś mamy dane do przypuszczenia, że ciężka kara go nie czekała, to jednak, sądząc go, myślmy o tem, czego mógł się obawiać, czem mu podstępnie grożono; a obawiał się losu takiego Zyca i wielu innych ofiar inkwizycyi konstantynowskiej, losu tych, którzy raz uwięzieni, wcale już później świata nie oglądali lub wychodzili chorzy, złamani na ciele, znękani na duchu.

Nic groźniejszego, jak złamanie moralne takich natur, jak młody Mochnacki; umysł niespokojny, nie mogący spocząć ani na chwilę, a przytem niedoświadczony, pełen wiary w siebie, szukający w samym sobie wyjścia z trudnego położenia, gdy utracił podstawę moralną, niby pociąg wykolejony a rozpędzony, steru pozbawiony, całą siłą pary pędził w kierunku fałszywym, zgubnym. Taki

Jabłonowski Antoni z Towarzystwa Patryotycznego, lub Heltman Wiktor, natury prostsze, chłodniejsze, gdy upadną na duchu, poprostu śpiewają o tem, co wiedzą o sprawie, zdradzają osoby, fakta. Maurycy, złamany na duchu, zamknie oczy i zstąpi na samo dno otchłani, wejdzie jak aktor w rolę zaprzańca i obskuranta i nietylko poczyni szkodliwe zeznania, lecz jeszcze wydobędzie ze zgorączkowanego mózgu jakiś potworny elaborat, jak gdyby utkany z cząstek ducha Nowosilcowa, Szaniawskiego i Metternicha, ów swój osławiony projekt wychowania publicznego w Polsce, o którym chyba sam Nowosilcow mógłby powtórzyć to, co miał podobno rzec o projekcie szkół litewskich Szaniawskiego: iż gdyby go w życie wprowadzono, za ciemno byłoby w kraju.

W swej historyi powstania czyni Mochnacki w jednem miejscu uwagę, iż w systemie Konstantego było coś przypominającego baśń gminną o złym duchu, który ma upodobanie w sprowadzaniu ludzi uczciwych na fałszywą drogę i z uśmiechem patrzy na ich ruinę moralną; tak samo i cesarzewicza dowcip polegał na tem, że pragnął wszystkich poczciwych Polaków zamienić na łotrów. Może pisząc te słowa, miał na myśli Mochnacki i swoją przeszłość; to pewna, że duch jego wpadł w sidła zastawione i to nie na krótko. Po wypuszczeniu z więzienia, nie pozwolono mu zdawać egzaminu na magistra praw, miał drogę do wszelkich urzędów zamkniętą. Stroskana matka ubolewa, że kształcenie synów pochłonęło całe niewielkie mienie, a tu skutek studyów opłakany, i znów idzie na radę do dobrego człowieka i przyjaciela domu, Kalasantego Szaniawskiego. Ten fanatyk zaprzaństwa i obskurantyzmu, złej sprawy sługa tem niebezpieczniejszy, że bezinteresowny, a przeto w pozory prawości zbrojny, nietylko usidlił sumienie i umysł biednej pani Mochnackiej, lecz otumanił do pewnego stopnia i zbłąkaną głowę Maurycego. Bądźcobądź ten nie znalazł w sobie dość mocy, aby odrazu i stanowczo oprzeć się wszelkim podszeptom

Szaniawskiego i tych, którzy jedną czynili z nim sprawę. Przekłada tedy Kant polski strapionym Mochnackim, że W. Książę może zdjąć z Maurycego interdykt wówczas tylko, gdy ten pracować będzie u Nowosilcowa lub w biurze cenzury. I Maurycy wchodzi do biura cenzury pod naciskiem nieopatrznej rodziny i fatalnych jej przyjaciół, jak twierdził zresztą później, z odrazą i zamiarem nic nierobienia, czego jakoby święcie miał się trzymać, aby po paru miesiącach dostać upragnioną formalną dymisyę. Niestety, zbyt trudne to było zadanie — pozostać westalką w biurze cenzury; to mocno dwuznaczne stanowisko musiało skłonić Maurycego przynajmniej zewnętrznie do wystąpień, które chyba tylko ciężki niesmak w pamięci jego własnej zostawić musiały. Z listu jego do Kalasantego Szaniawskiego z dnia 2 lipca 1827 r. widać, że Maurycy, prosząc o dymisyę, symuluje znów jakieś usposobienie człowieka, który wprawdzie uznaje całą korzyść cenzury w Królestwie, lecz którego od biura odstręcza mała inteligencya cenzorów, ich system niemądry, na drobiazgowej szykanie oparty, a stąd nie prowadzący do celu, szkodliwy [1]. Znajdziemy w tym przykrym dokumencie zapewnienie autora, że »niedorzeczny liberalizm nie zawrócił mu głowy«, wzmiankę o »zastarzałych w ślepocie swojej uczniach Diderot'a i D'Alembert'a«, a także o tem, że »duch korporacyjny wszędzie i zawsze jest szkodliwy«, naganę dla »zastarzałej nienawiści naszych zapaleńców do pobratymczego narodu«, a nareszcie — jakieś napomknienia niepochlebne o zdolnościach i konduicie urzędników cenzury, z nazwiska wymienionych. Oprócz tego mamy własną ręką Mochnackiego skreślony rapport z dnia 20 kwietnia 1827 r., stanowiący dowód niezatarty, że obowiązki cenzora bądźcobądź pełnił [2]. W dociekanie celów,

[1] Rękopis listu w Rapperswylu.

[2] Rapport ten, przechowywany, jako autograf Mochnackiego, w Bibliotece Jagiellońskiej, przytaczamy, jako dodatek, na końcu pracy. (Biblioteka Jagiellońska, Rękopis Nr. 1013).

pobudek tych kroków, w poszukiwania okoliczności łagodzących — wchodzić nie będziemy, próba apologii byłaby zbyt niewdzięczna i ubliżałaby pamięci Mochnackiego.

Obłędne te kroki młodości mściły się na Maurycym w ciągu całego życia; targały one i szarpały jego duszę palącemi kleszczami wyrzutów i wstydu, a zarazem stanowiły niewyczerpane, niezaschłe nigdy źródło zarzutów i kalumnii, jakie mu ciskano w twarz za życia i jakiemi obarczano jeszcze po śmierci jego pamięć. Męka moralna duszy, która przyszłem swem życiem dowiodła, że grunt jej był szlachetny, a aspiracye wielkie, nurtowała z pewnością jeszcze więźnia karmelickich murów i objawiła się wnet po ich opuszczeniu. Matka była najbliższym świadkiem, z naiwną a niedomyślną wiernością odtwarzającym tę jego wewnętrzną katuszę. Wzrok Maurycego stał się ponury — tak to opisuje — był jakiś bojaźliwy, chytry, niedowierzający. Gdy w prostocie ducha powtarzała pochwały Grabowskiego i Szaniawskiego o nim, wyrwało mu się wyznanie: »te pisma — to hańba moja«.

Do tego bólu piekącego dołączyło się w przyszłości uczucie goryczy i krzywdy człowieka, który tyle uczynił dla zmazania swej winy, poświęcił siły, zdrowie, świetny talent, duszę całą na usługi ojczyzny, i pomimo tego do końca życia był jątrzony i zniesławiany. Wśród prześladowców nieubłaganych byli nieraz ludzie nieskończenie niższej od niego wartości i gorszej przeszłości, poniewierający go przez złość i zawiść, ludzie, o których niezadługo przed śmiercią pisał, że gdyby generacyą całą błotem zbryzgać było potrzeba, oni mogliby się podjąć tego zarobku. Gdyby ludzie nie jątrzyli i nie drażnili nieustannie jego rany, gdyby okazano względem niego więcej wspaniałomyślności, a nawet tylko sprawiedliwości, sam może zdobyłby się łatwiej na wyznanie otwarte własnych błędów, już okupionych i zmazanych; tak zaś nie oparł się słabości bronienia swych dawnych błędów do samego końca życia, na surowy sąd o własnej winie w o b e c l u d z i

nie zdobył się nigdy; wprawdzie i śmierć zaskoczyła go wcześnie i niespodzianie. W liście do Hubego z dnia 18 sierpnia 1832 r. przedstawia Maurycy swoje nieszczęsne zeznania karmelickie, niby jakiś pomysł walenrodyczny, niby jakiś pocałunek almanzorowy, który miał rzekomo wszczepić w rząd rosyjski jad upadku i rozstroju, podaje nawet niższą od istotnej cyfrę wieku, w którym składał zeznania; jeśli atoli i za tę słabość jeszcze dodatkowo sądzić go mamy, uprzytomnijmy sobie raczej, ile cierpienia ukrywają i zdradzają zarazem te sofizmaty dziecinne, których prawdę wmawiał pewnie sam w siebie oddawna gorączkowo, aby zagłuszyć i odpędzić dręczące go wyrzuty, i którymi rozpaczliwie zasłaniał się od niecnych napaści.

Dziś, gdy trzy ćwierci wieku mija od chwili, gdy wycieńczone ranami, wysiłkiem pracy i nędzą strawione ciało Mochnackiego spoczęło na cmentarzu w Auxerres, czas wynagrodzić pamięci jego tę niesprawiedliwość, jaką mu wyrządziło pokolenie współczesnych. Rozważmy życie jego późniejsze, którem zmył podziesięćkroć swoje winy; ile to myśli genialnych, a zawsze ku ocaleniu ojczyzny wytężonych, przeszło oczyszczającym wichrem przez tę głowę, ile uczuć płomiennych, to radosnych, to bolesnych, a zawsze z losami Polski związanych, zatargało tym duchem, strząsając zeń ten osad upadku, który go kaził; ile razy dla sprawy zajrzał w oczy śmierci, jak sterał, stargał w burzy listopadowej i w niedoli tułaczej i swoje zdrowie młode i swój umysł świetny. Przed ludźmi, którymi gardził, nie miał siły przyznać się do swej winy, sam w milczeniu porachował się ze swą winą przed własnem sumieniem i przed majestatem ojczyzny, którą znieważył, i odtąd przed nią, nie przed ludźmi, przez całą resztę życia czynił nieustanną ofiarę odkupiającą. Przebiegamy myślą całe dalsze jego życie, przeglądamy dokumenty, czytamy listy, wspomnienia o nim przyjaciół i mamy wrażenie, że przez całe życie pałał żądzą pokuty;

życie to tak idealnie oczyszczone od tych małostek, błahostek, miłostek, któremi tak ubarwiony żywot niejednego z ludzi, drogich naszej pamięci; ani śladu intrygi osobistej, ani jednego erotyku; na obczyźnie ani wrażenia obcych krajów, ani sprawy polityczne, ani towarzyskie — nic nie zdoła oderwać go ani na chwilę od myśli o Polsce; w każdym poufnym nawet liście do rodziny tkwi ślad tego nieustannego pasowania się wielkiego umysłu z niedolą narodu. Rzecby można, że to bolesne wspomnienie chwilowego upadku było dlań wieczną pobudką do pokuty i bodźcem do ofiary, wspomnienie palące napełniało go jakby prozelityzmem patryotycznym, podtrzymywało wciąż tę gorliwość fanatyczną zeloty, który wciąż zmywa ze swej duszy piętno — już dawno oczyszczone. To wzniosłe opętanie wielkiego umysłu przez jedną ideę, którą oddychał w każdym momencie życia aż do skonu, stanowi najlepszą apologię Mochnackiego.

Historya sprawiedliwa zważyła już dawno na szali przewinienia i zasługi Mochnackiego, przekazała zapomnieniu imiona tylko małych ludzi, którzy przywłaszczali sobie prawo odsądzania go od czci za życia, i imię jego wpisała między imiona najlepszych i największych synów narodu.

Gdyby dziś kto z Polaków jeszcze próbował stawiać pod pręgierz pamięć Mochnackiego, postąpiłby nietylko niesprawiedliwie, lecz i nieopatrznie, bo duch Mochnackiego, broniąc się, mógłby wskazać na drogie dla nas, czcią narodu otoczone pomniki znakomitych pisarzy pokolenia listopadowego i zapytać: gdzie byli oni w dniu 19 lutego i w dniu 26 maja, gdy on przelewał krew na śniegiem pokrytych polach Wawra i na błoniach Ostrołęki?!

Bo jakkolwiek imiona naszych trzech wieszczów otacza zasłużona cześć potomności, nie godzi się zapomnieć, że Mochnacki jedyny z naszych wielkich pisarzów (Goszczyńskiego, Zaleskiego trudno do nich zaliczyć), nad-

stawił piersi pod kule i bagnety w r. 1831. Z życiorysu naszych wielkich pisarzów wiemy, że w czasie krwawych zapasów narodowych trzymały ich zdala od kraju powody ważne, choć nie zawsze wyjaśnione; ufamy ich duchom czystym, ofiarnym, wielbimy ich zasługi i gorącą miłość kraju i nie powtarzamy już tych oskarżeń, jakie miotali na nich współcześni. Nie było wielkiego Adama wśród walczących; poeta-ułan Maurycy Gosławski słał w ślad za nim, dnia 13 czerwca 1831 r., a więc wtedy, gdy Mochnacki leczył się od ran ostrołęckich, gorzkie słowa:

Zbudzony tej wieści echem,
Śpiesz — dalekie rzucaj Rzymy,
Śpiesz — bo jeśli zwyciężymy,
Wstyd będzie bez zasługi polskim tchnąć oddechem.
Jeśli padniem pod gruzami,
Wieszczu! wtedy w dniach boleści
Nie wart grobu dzielić z nami,
Kto nie dzielił krwie i cześci.

W lat kilkanaście potem dowiódł Mickiewicz czynem, że nie tylko geniusz swój, ale i życie gotów nieść w ofierze ojczyźnie. Nie stawił się i Zygmunt, aby zmyć plamę swego ojca w szeregach bratnich i zamknąć krzyżem *virtuti militari* usta tym, którzy go znieważyli dnia 13 marca 1829 r. Juliusz dnia 8 marca, niebawem po batalii grochowskiej, napisawszy parę ognistych utworów, wyjeżdża za formalnym paszportem za granicę, »dopełniając woli Kochanej Mamy, która aż nazbyt z moją chęcią zgadzała się«, jak wkrótce pisze. »Wyjechałem w podróż 8-go tego miesiąca... smutno mi było, zdawało mi się, że uciekam, i teraz jeszcze często kłócę się z mojem sumieniem« — pisze melancholijnie z obcej ziemi. »Rozmnożyciel i patron rewolucyjnych przekonań«, Lelewel, zasiadał wprawdzie w rządzie i w sejmie, lecz i on w boju nie zetknął się z wrogiem. Któż śmiałby dziś podawać na tej podstawie w wątpliwość gorącą miłość ojczyzny tych wielkich pisarzów? Gdy jednak ośmielano się za

życia Mochnackiego podawać w wątpliwość uczucia jego narodowe, zamykano oczy na to, że chociaż wszystko w powstaniu poszło nie po jego myśli, chociaż osobiste ambicye jego zawiedzione zostały, zaznał samych tylko upokorzeń i o włos nie zginął z ręki rodaków, chociaż bez trudności, a nawet pewnie chętnie udzielonoby jakiej misyi za granicę natrętnemu i zuchwałemu krytykowi rządu i sejmu, jak już raz w grudniu udzielono mu ekspedycyi na Wołyń, jednak poszedł on do szeregów, jako prosty żołnierz, a porzucił je dopiero ranami okryty.

Przejdźmy do dalszych kolei Mochnackiego. Po uwolnieniu z więzienia, poza owemi niepotrzebnemi stosunkami z biurem Szaniawskiego, był Maurycy przez lat cztery (1826—1830) współpracownikiem *Izydy Polskiej*, pisma, poświęconego rolnictwu i przemysłowi; oprócz tego pracował, jako adjunkt bez etatu, w Komisyi spraw wewnętrznych. To była czarna na chleb praca. Jednocześnie coraz gorliwiej bierze się do dziennikarstwa i publicystyki. W roku 1825 przez pół roku redaguje wespół z M. Podczaszyńskim *Dziennik Warszawski*, w ciągu lat 1827 do 1829 umieszcza artykuły w *Gazecie Polskiej* Ksawerego Bronikowskiego, od dnia 1 grudnia 1829 r. głównie w *Kuryerze Polskim*. Pisuje krytyki i drobne rozprawy literackie, recenzye teatralne, sprawozdania muzyczne z oper i koncertów, zresztą artykuły okolicznościowe *de omnibus rebus*[1]. Jako krytyk literacki wcześnie zyskuje imię zwłaszcza wśród młodych: »Młodzież czytała z upodobaniem wszystko, co wyszło z pod jego pióra«, stwierdza w swych wspomnieniach K. Wł. Wójcicki[2]. J. B. Zaleski w liście do Edwarda Odyńca z Rawy dn. 22 lutego 1827 r. (umieszczonym w wydaniu *Listów* Zaleskiego),

[1] W »Pamiętniku Literackim« lwowskim, zeszycie III, r. 1904, umieszczony: »Spis literackich artykułów i rozpraw Mochnackiego w czasopismach warszawskich (1825—1830)« St. Dobrzyckiego.

[2] K. Wł. Wójcicki: »Kasa Literacka w Warszawie (1829—1830)«, Warszawa 1873.

pisząc o *Sonetach Krymskich*, mówi: »Ciekawy jestem, z jakiego stanowiska Mochnacki je osądzi. Na nic tu estetyka, to świat wcale nowy. Przyszlij mi to, co o nim napisze Mochnacki«. W listach Podczaszyńskiego do Leonarda Chodźki, bawiącego w Paryżu, z owego okresu znaleść można sporo szczegółów, dotyczących ówczesnego życia i działalności literackiej Maurycego. W liście z dnia 9 lipca 1828 roku czytamy: »Kochany mój Hozjuszu!... Mochnacki niespracowany, to gra na fortepianie, to pisze nudną *Izydę*, dziennik gospodarski, to artykuł po artykule wali do *Gazety Polskiej* w różnych materyach, a nawet w medycznych... Filut Osiński, nie w ciemię go bito, jak postrzegł, że Maurycy jeździ a jeździ klassyków, zaprzyjaźnił się z nim serdecznie, daje mu bilety na teatr — zaprasza na swoje lekcye, a mój Maurycy wierzy, że to bezinteresowna przyjaźń...« W tym samym liście mówi o kompozycyach muzycznych Sowińskiego: »przywiozłem dla Maurycego. Bardzo ładne, pełne gustu, z wielką znajomością teoryi napisane — to jest zdanie Maurycego, który może kiedyś będzie współzawodnikiem jego«...[1]

Do Towarzystwa Patryotycznego, organizacyi spiskowej o zakroju poważnym i zakresie obszernym, Maurycy wciągnięty nie został; widocznie nie zwracano się nawet do niego. Tymczasem losy Kongresówki szybko dążą ku katastrofie. Nadchodzi słynny Sąd Sejmowy, a wraz z nim nastrój powszechny burzliwy, podniecony. Maurycy, ogarnięty prądem, występuje po raz pierwszy, jako wyraziciel uczuć gorętszej części ogółu, kreśląc w r. 1828 bezimiennie a już w stylu swych późniejszych pism patetycznych mistrzowskiem, choć jeszcze nieco młodzieńczo-politycznem piórem odezwę: »Głos obywatela poznańskiego do Senatu Królestwa Polskiego«; tajemnicę osoby autora wśród człon-

[1] Rękopis tego listu, jak również innych listów Podczaszyńskiego do Chodźki w Rapperswylu.

ków sądu posiadał jeden biskup Woronicz i ten błogosławił młodego pisarza.

Po upadku Towarzystwa Patryotycznego zniknęła niezastąpiona organizacya insurekcyjna, ziemie polskie ogarniająca; brak organizacyi takiej dotkliwie zaciążył na losach powstania listopadowego. Za to nastrój opozycyjny ogółu w tym okresie krytycznym podnosi się znacznie; odegrała tu rolę propaganda dość rozgałęzionego Towarzystwa Patryotycznego, wrażenie moralne Sądu Sejmowego, fermentacya umysłów z powodu wybuchu wojny tureckiej, wreszcie dawne wciąż trwające przyczyny, wydrążające stopniowo, jak kropla miarowo spadająca, kamień cierpliwości narodowej. Wśród takiego stanu umysłów powstaje spisek podchorążych. Spisek ten nie miał bynajmniej ani tak rozległej organizacyi, ani tak daleko idącej ambicyi osobistej przywodców, jak Towarzystwo Patryotyczne, nie miał on żadnego wyraźnie opracowanego programu. Był to poprostu spisek młodych wojskowych, którzy postanowili przyłożyć lont do prochu; kierunek walki przyszłej z góry pozostawiając zasłużeńszym, doświadczeńszym, popularniejszym osobom. Założyciele spisku żywo wyczuwali nastrój powszechnego niezadowolenia; mierząc nadto gotowość ogółu do zrzucenia jarzma — swą własną temperaturą, łudzili się niemało i co do napięcia i co do powszechności nastroju powstańczego, sobie zaś nie przypisywali ani zdolności, ani mocy, potrzebnej do zogniskowania i do wcielenia w czyn zapału narodowego. Zawiązek spisku, według relacyi wtajemniczonych, powstał 15 grudnia 1828 r.; w mieszkaniu podporucznika grenadyerów gwardyi, Piotra Wysockiego, wykładającego taktykę w szkole podchorążych, zeszli się w dniu tym podchorążowie Paszkiewicz, Dobrowolski, Karśnicki, Łaski i Gurowski Józef; na drugi dzień wezwani zostali do związku Kamil Mochnacki, Poniński i Seweryn Cichowski. Niebawem postanowiono wciągnąć do spisku cywilnych; Cichowski, Gurowski i Mochnacki wprowadzili

swych braci, Maurycy wprowadzony został w styczniu 1829 r. Odtąd wznawia się dla niego przerwany okres spiskowania. Gorętsze głowy w sprzysiężeniu zaczęły się wkrótce rwać do czynu, który miał jednym zamachem przeciąć wszelką możliwość paktów pomiędzy Rosyą a Polską. Rozpoczęły się gorączkowe narady, a treścią ich był plan zamachu, który dał Słowackiemu wątek do *Kordyana*. Mochnacki, jak sam twierdzi, był powiadomiony o tych przygotowaniach, które spełzły na niczem [1]. Wkrótce atoli

[1] Szczegóły o tym planie zamieszczone w relacyi Adama Gurowskiego: Pamiętnik Emigracyi, Część III, broszura z 5 czerwca 1833 r.: »Aleksander Jagiellończyk«, artykuł: »O spisku koronacyjnym«. Barzykowski przedstawia całą tę relacyę i cały spisek wogóle, jako późniejszy niegodny wymysł A. Gurowskiego; opiera się Barzykowski na świadectwie ludzi, którzy według podania Gurowskiego do spisku należeli, głównie — Gustawa Małachowskiego; ten ostatni całą opowieść o tym spisku miał nazwać kłamstwem. — Gustaw Małachowski, minister spraw zagranicznych w powstaniu, na emigracyi stronnik obozu dyplomatycznego i zachowawczego, miał aż nadto wiele powodów, moralnych i politycznych, do wypierania się wszelkiego udziału w tym szalonym planie. Że atoli spisek taki istniał, o tem prócz relacyi Gurowskiego, który istotnie, jako przyszły infamis i zaprzaniec, nie może uchodzić za źródło wiarogodne, mamy inne niepodejrzanej prawdziwości relacye, jako to opowieść belwederczyka Aleksandra Łaskiego, oficera grenadyerów, jednego z założycieli spisku podchorążych, który w dniu koronacyjnym dowodził podchorążymi na Placu Saskim (Pamiętnik Emigracyi, Część I, broszura »Bolesław Wstydliwy«, artykuł A. Łaskiego, pisany z Baden 15 lipca 1832 r. p. t.: »Uwagi nad początkiem rewolucyi polskiej«); mamy również świadectwo belwederczyka Ludwika Orpiszewskiego w artykule »Kilka wspomnień«. Rocznik Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu z r. 1867, str. 290. — Wzmiankę o istnieniu spisku znajdujemy i w »Nocy Belwederskiej« Goszczyńskiego.

Że Maurycy o tym spisku w swoim czasie posiadał wiadomość, świadczy o tem chociażby ta okoliczność, że sam on z okazyi otwarcia Sejmu 1830 r. ponawiał plan, w r. 1829 nieuskuteczniony, i na poparcie jego przytaczał te argumenty, któremi operował Gurowski w r. 1829. O tem mamy nietylko własne świadectwo Mochnackiego, lecz i świadectwo J. B. Ostrowskiego, w tym razie wyjątkowo

rozstał się Maurycy z podchorążymi. W myśl rzuconego przez Wysockiego hasła trzymali się sprzysiężeni wiernie tej zasady, iż do nich należy jedynie danie sygnału, poczem powinni usunąć się ze sceny, by nie ściągnąć na siebie nawet pozoru, iż dla względów ambicyi, nie zaś dla czystej miłości ojczyzny oręż podnieśli; w oczach Maurycego zasada taka tchnęła bynajmniej nie szlachetnością chwalebną, a raczej słabością szkodliwą. W spisku, w rewolucyi — powtarzał — ambicya inicyatorów nie jest wadą, lecz cnotą; lepiej nie zaczynać, niż rzeczy rozpoczętej nie módz lub nie umieć nadać zamierzonego kierunku.

Wprawdzie i Wysocki i Goszczyński, oprócz pobudek wzniosłej abnegacyi, przytaczali i względy polityczne na obronę swej taktyki. Przywódcy spisku okazali tylko wielką znajomość narodu, jego usposobienia i samych siebie — mówił w lat wiele po rewolucyi Seweryn Goszczyński. Wierzyli, że naród cały poprze ich dzieło i postawi na czele ludzi, których sam uzna za zdolnych do tego. »Zresztą dzielili z narodem — mówi Goszczyński — cześć dla pewnych władz, dla pewnych osób, korzyli się przed ich zasługami przeszłemi, ufali im jak naród im ufał«. W pierwszej chwili poddawali się pod komendę Stasia Potockiego, nawet Trębickiego, cóż dziwnego, że potem ślepo zaufali takiemu mężowi, jak Chłopicki[1].

Jakże charakterystyczne są te wyznania Goszczyńskiego! Że siebie samych znali przywódcy spisku, że własnych swych sił i zdolności nie przeceniali, to widać ze wszystkiego; inna rzecz, czy zupełnie dobrze znali społeczeństwo. Mochnacki zdawał sobie zapewne sprawę

wiarogodne, gdyż chce on poruszeniem faktu tego z przeszłości napiętnować »hyenizm« Mochnackiego. (W »Nowej Polsce« emigracyjnej, półarkusz ósmy). O spisku koronacyjnym, porównaj: Sz. Askenazy: Na marginesie »Kordyana«, Kwartalnik Historyczny 1902 r.; Al. Kraushar, Przegląd Polski 1909 r., styczeń, luty.

[1] Noc Belwederska. Część II, str. 53. — Biblioteka ludowa Polska.

z trudności, jakie napotkałaby na drodze uzurpacya spiskowych. Któż silniej od niego napiętnował wkrótce »terroryzm nazwiska, terroryzm łatwowierności, terroryzm zaufania nieodpowiadającego zasłudze«, który »mistrzował w Polsce po wszystkie czasy, panował, broił«? Na argumenta, jednak, skromności sprzysiężonych odpowiadał, że spiskowi powinni wykonać odrazu wielkie czyny, uwięzić W. Księcia, rozbroić wojska rosyjskie, rzucić się na Litwę, zająć Wilno, a czyny te odrazu uczynią ich głośnymi i wielkimi w narodzie. Był również za niezwłocznem ustanowieniem rządu rewolucyjnego. Zapewne jednak, i tak wielkich czynów, jakie Mochnacki planował, nie potrzebaby na to, aby kraj oddał się pod władzę sprężystej, potężnej organizacyi, która wykonawszy pomyślnie zamach 29 listopada, uchwyciłaby żelazną dłonią ster sprawy; terroryzm nazwisk musiałby pewnie przed nią ustąpić. Czyż mieli prawo spiskowi, którzy żadnej próby ustanowienia rządu rewolucyjnego w chwili, gdy oczy wszystkich na nich spoczywały, nie uczynili, lecz w cień się schowali, mówić później, iż było to niepodobieństwem? Wszak ten sam ogół, przy zmniejszonym wprawdzie nieco, lecz bynajmniej nie znacznie, terroryzmie nazwisk, poddał się ślepo władzy Komitetu Centralnego z r. 1862 i Rządu Narodowego z r. 1863, tym razem ku własnej, pewnej niemal klęsce, a przecież te ciała bezimienne nie miały za sobą żadnej zasługi, żadnego czynu, podczas gdy sprzysiężeni w r. 1830 mieli za sobą noc 29 listopada. Na to jednak trzeba było żelaznej energii, podczas gdy związek podchorążych jest niejako obrazem w miniaturze późniejszej organizacyi i kierunku powstania listopadowego od początku i końca, przepowiednią jego siły i słabości, przepowiednią złowrogą. Występują w nim ludzie wielkiej odwagi, bohaterowie na polu bitwy, niema ludzi wielkiej wiary w naród i w siebie. Wysocki i towarzysze gotowi byli umrzeć dla sprawy, potrafili nawet obudzić naród do życia, poprowadzić go do zwycięstwa nie umieli. Liczyli

naiwnie na Potockiego, Trębickiego, na ludzi, którzy odtrącili ze wzgardą i gniewem buławę im podaną, ubóstwiali Chłopickiego, który przyjął dowództwo, lecz tylko dla ukrócenia anarchii i dla paktowania, bo w siły narodu nie wierzył. Mochnacki, powstając namiętnie przeciwko tej taktyce, składał pierwszy dowód swej przenikliwości; żądając przedewszystkiem ustanowienia rządu rewolucyjnego, wykazał wielki zmysł polityczny. Pozostał samotny; zła to wróżba dla insurrekcyi; tak samo odosobniony pozostanie on w dalszym jej ciągu, jako prorok przyszłości, uznany zapóźno.

Maurycy cenił wysoko odwagę i patryotyzm podchorążych. Była to — pisał później — burza zamknięta w kilkunastu głowach; ile razy zdarzyło mu się być w szkole podchorążych, tyle razy doznawał wrażenia, że to już ostatni dzień ówczesnego stanu rzeczy w Polsce. Lecz w tem niewątpliwie patryotycznem gronie raził go jeden objaw: bezwzględny czciciel zasady »salus populi suprema lex esto«, nazwany przez Mierosławskiego »cynikiem zbawienia«, dostrzegł bystrem okiem, że w duszach podchorążych idea ojczyzny nie króluje niepodzielnie tak, jak w jego własnej duszy, lecz dzieli berło z inną potęgą — z honorem wojskowym; w tem militarnie wychowanem gronie objawiło się więc to samo przyćmienie majestatu ojczyzny, jakie dotknęło dusze naszych wojowników napoleońskiej doby, Poniatowskiego, Chłopickiego, dla których gwiazdą przewodnią w chwilach krytycznych była nie racya stanu narodowa, lecz honor wojskowy, »honor Polaków«, wiodący chwilami do ślepej wierności obcej potędze. I teraz wśród podchorążych wystąpiła kolizya ideałów, zjawiły się wątpliwości; Wysocki wzdragał się przed powierzeniem ataku belwederskiego podchorążym, chciał, aby go wykonali cywilni, nie skrępowani względami »honoru« wojskowego. Mochnacki ubolewał nad tem rządzeniem się w wielkiej sprawie względami ubocznemi, konwencyonalnemi, uważał to za słabość. Jeśli

w Wysockim cenił przynajmniej prawość, geniusz serca, to Józef Zaliwski, który rychło zaczął się wysuwać na czoło spisku, budził w nim odrazę, jako »człowiek ordynaryjny, tępego pojęcia, pokątny intrygant«, który zazdrościł Wysockiemu i rzecz paraliżował. W osobie Zaliwskiego, który wkrótce stanie się zaciętym jego wrogiem, spotkał się po raz pierwszy może z tą wadą rodaków, jaka niebawem da się we znaki i sprawie narodowej i jemu samemu, z owem »komerażnictwem«, o którem w przyszłości korespondował z Lelewelem na emigracyi.

Gdy na początku października 1830 r. Wysocki zaszedł do Mochnackiego i zagadnął go, co myśli o rozpoczęciu rewolucyi, nadmieniajac, że wszystko gotowe, Mochnacki odrzekł: nie rozpoczynać, bo rządu nie mamy. Wysocki odszedł rozgniewany, bez pożegnania. W przyszłości J. B. Ostrowski, jeden z »gapiów spisku«, osławiony »Ibuś« emigracyjny, usiłował rzucić cień na stosunek Mochnackiego do podchorążych[1]. Opowiada na swój plotkarski sposób, jakoby Mochnacki mówił, że rozpoczęcie rewolucyi to szaleństwo, że przysługę zrobiłby Polsce ten, kto wydałby związek, że lepiej poświęcić kilkunastu zapaleńców, niż kraj narazić, że gdy spiskowców wieszać będą, on, Mochnacki, będzie palić fajkę i pić zimną wodę; przytoczywszy zaś te anegdoty, daje dwuznacznie do zrozumienia, że spiskowcy podejrzewali Mochnackiego o zamiar wydania ich. Czy Mochnacki w gorących dysputach, w rozdrażnieniu, rzucał podobne słowa, czy nie, to dla historyi, która nie jest kroniką plotek, obojętne. Co zaś do posądzeń Mochnackiego o możliwość zdrady, to kłam im zadają chociażby wspomnienia człowieka tej miary, co Goszczyński. Ze wspomnień jego wiemy, że gdy już Mochnacki zerwał z podchorążymi, Goszczyński jednak pozostawał z nim wciąż w ścisłych stosunkach;

---

[1] W »Nowej Polsce« emigracyjnej, w przytoczonym wyżej artykule.

przed samym wybuchem »wziął na siebie« zawiadomienie Maurycego (a więc pewnie miał do tego upoważnienie lub polecenie sprzysiężonych). 29 listopada pospieszył do Maurycego. Zastał go nad pracą, w tej chwili pisał rozdział o muzyce polskiej, który miał zamknąć jego książkę *O Literaturze Polskiej*. Gdy mu Goszczyński oświadczył: »dziś w wieczór zaczynamy nieodmiennie«, przyjął wieść z oznaką radości, przekreślił wielkiemi pociągami pióra kilka stronic już zapisanych: »zostawmy to na później« zawołał; »a teraz natychmiast biegnę do szaserów«. Wieczorem, jak wiadomo, był już na Starem Mieście i nawoływał wraz z towarzyszami lud do powstania.

Nie wierząc w powodzenie wybuchu, Mochnacki kończył pospiesznie swe dziełko o literaturze polskiej. Przywiązywał do tej pracy swojej wagę niemałą. Pani Mochnacka w prostocie ducha pisze, że odwlekał wybuch rewolucyi, aby dokończyć swej pracy; to pewna, że pisał ją pospiesznie, gorączkowo. Miał do tego powody. Nurtowała bezwątpienia jego duszę potrzeba wewnętrzna ujęcia w jedną całość, w jeden systemat drobnych prac, artykułów, rozpraw, rozrzuconych od lat kilku po gazetach, trawiła go zrozumiała tęsknota przykutego do dziennikarstwa, czującego w sobie talent potężny pisarza, za syntezą swych własnych myśli, rozrzuconych po dziennikach, rozproszonych, poćwiertowanych. Przedewszystkiem zaś pragnął po owych smutnych epizodach młodości rehabilitować się uroczyście wydaniem książki, której myślą głęboką i serdeczną było pogłębienie samowiedzy narodowej, owo »uznanie siebie w swem jestestwie«, które literaturze jako cel najwyższy stawiał. Niecierpliwie pewnie czekał tej chwili, kiedy wreszcie będzie mógł otworzyć przed oczyma rodaków pracownię swojego ducha, okazać wszystkim, że duch ten po samą jego głębię wypełniony jest miłością narodu, i zasłonić, zażegnać tym obrazem mściwe widma przeszłości. Cóż bowiem miały zna

czyć te wyrazy gorączkowe, które według świadectwa matki powtarzał, iż »zginie, jeśli tej pracy nie wyda«?

Że wydanie książki, o literaturze polskiej traktującej, uważał Mochnacki za czyn narodowej wagi i politycznej doniosłości, że zdania tego byli i przyjaciele, którym myśli swoje powierzał, wynikało to z warunków doby ówczesnej. Literatura, którą zapoczątkowało młode pokolenie romantyków-poetów, publicystów, krytyków, w trzeciem dziesięcioleciu XIX wieku w Polsce, była równie żywym i wiernym, a bardziej głębokim objawem uczuć gorętszego odłamu narodu, a zarazem źródłem i ogniskiem zapału patryotycznego, ogarniającego masy, jak owe spiski i sprzysiężenia, samorzutnie z łona narodu powstające. Literatura wówczas konspirować zaczęła — jak mówił Mochnacki; konspirowała, oczywiście, i politykowała dyskretnie, alegorycznie, sub rosa, bo zbyt szczere i śmiałe słowa albo nie mogły przejść przez ucho igielne cenzury, albo mogły doprowadzić nierozważnych autorów do samotnych rozmyślań w celi Karmelitów przy Lesznie lub Marcinkanek przy ulicy Piwnej. I *Literatura Polska* Mochnackiego jest przepojona tym pierwiastkiem polityczno-narodowym, który nie da się wprawdzie schwytać na słowie, przenika atoli wszystkie jej karty, nasyca swym aromatem i barwą wszelkie najniewinniejsze napozór ustępy.

Ruch pisarski w dziesięcioleciu przedlistopadowem był z literackiego swego charakteru odbiciem prądów Zachodu, miejscowe atoli warunki polityczne odcisnęły na tej literaturze piętno rodzime, kazały jej wibrować w takt drgań przedpowstaniowych. Literatura ówczesna Zachodu stanowiła reakcyę wszechstronną przeciwko tym doktrynom i prądom, które panowały nad umysłami w wieku XVIII. Nowy prąd płynął szlakiem szerokim, ogarniając dziedzinę filozofii, religii, poezyi, nauk społecznych. Sensualizm i materyalizm ustępują miejsca idealizmowi filozoficznemu; Holbach, Condillac idą w zapomnienie; myśl filozoficzna zatapia się w zagadnieniach niedościgłych,

nie zważa na uśmiech wolterowski starych sceptyków, na skrzydłach natchnienia szybuje uroczyście tam, gdzie »mędrca szkiełko i oko« podążyć za nią nie może, dosięga tych wyżyn, gdzie wiedza styka się z poezyą i mistyką, ściga marę »ducha absolutnego« i »rzeczy samych w sobie«, tracąc wreszcie zupełnie z oczu grunt materyalny; po Kancie, Fichtem przychodzi Hegel, Schelling, Schleiermacher.

Literatura piękna odrzuca stare wzory i koturny, retorykę napuszystą i uciążliwe formuły, w jakich doktryna pseudoklasyczna więziła przez dwa wieki natchnienie twórców, i zwraca się do żywych źródeł poezyi, do baśni gminnej, podań przeszłości narodowej, drgających prawdą i mocą uczucia. W naukach społecznych także stopniowo dokonywa się zwrot od wiedzy XVIII wieku, która oderwała człowieka od czasu i miejsca, od kraju i epoki i obracała oderwanemi pojęciami społeczeństwa, ludu, człowieka i obywatela; zaczęto pojmować potrzebę głębokiego przenikania w przeszłość narodu, w dziejowe jego koleje, w których objawia się duch narodu, zamiast »perpetualizmu« społecznego zastosowano metodę historyczną, na miejsce kosmopolityzmu wprowadzono pierwiastek i zasadę narodowości. We wszystkich dziedzinach twórczości umysłowej odbywa się przełom, pewien duch wspólny owiewa zarówno dzieła Herdera, Chateaubrianda, pani de Staël, braci Schlegel, jak Fichtego i Schellinga, Puchty i Savigny'ego.

Atmosfera literacka Zachodu przenika łatwo do Polski i żłobi sobie łożysko przedewszystkiem w dziedzinie najbardziej wrażliwej — w literaturze pięknej. Tym razem atoli nie wywołał kierunek nowy biernego li tylko i bladego naśladownictwa, jak ongi pseudoklasycyzm; duch narodu był obecnie dziwnie płodny i czujny, zapanował on niebawem nad prądem nowym, przeniknął go do głębi, przerobił, przetrawił na modłę własnego jestestwa. Uczucie narodowe, wezbrane, zmęczone długotrwałym zale-

wem obczyzny, zdobyło się na wytworzenie literatury samoistnej, świetnej; wzory, formy, pomysły do niej czerpane przeważnie, szczególnie z początku, z Zachodu, lecz geniusz i serce dała jej Polska. Gdy więc położenie polityczne Królestwa było zgoła inne, niż tych krajów, z których płynęły fale romantyzmu, stąd i ton literatury odnowionej u nas odmienny. Brzmi w niej nietylko bohaterstwo, prometeuszowska nuta Byrona, nietylko ton liberalizmu, dźwięczący u Victora Hugo w ostatnich latach przed wybuchem lipcowym lub na szpaltach liberalno-romantycznego pisma *Le Globe;* lutnia romantyków polskich drga przedewszystkiem bólem narodu ujarzmionego, który wyrywa się do niepodległości.

Mochnacki zanurzył się wcześnie w tej literaturze odnowionej, była ona dla niego szkołą ducha, w której nauczył się odczuwać wielkość ojczyzny, i napewno powiedzieć można, że udział w sprzysiężeniach nie wywarł tak głębokiego wpływu na jego uczucia narodowe, jak literatura. Miarą wpływu tego jest to, iż z literata stawszy się politykiem, a potem historykiem narodu, do wielkiej potęgi podnosił w swej historyi wpływ piśmiennictwa na wypadki 1830 i 31 roku. Pierwszy turniej prądu nowego z dawnym przenosi słusznie do ośrodka ówczesnego ruchu umysłowego w zaborze rosyjskim — do wszechnicy wileńskiej. Jan Śniadecki był tu przedstawicielem nauki francuskiej, dawał przewagę »materyi nad duchem, matematyce i fizyce nad moralnością i filozofią oderwaną«. Ta dążność teoretyczna — snuje dalej swe wnioski Mochnacki — posiadała swe moralne i polityczne skutki. Przestawanie bowiem z naturą widomą w nauce prowadzi do satyry w życiu. Śniadecki dowcipnemi i złośliwemi sarkazmami zniechęcał młodzież do filozofii i poezyi. Pod jego auspicyami powstało towarzystwo Szubrawców, którego istotę stanowiła satyra, krytycyzm francuskiego wzoru, wyśmiewanie wad administracyi rosyjskiej, a również smaganie bezlitosne własnego społeczeństwa, wytykanie

wad narodowych — pieniactwa, pijaństwa, szulerstwa, tytułomanii, ciemiężenia chłopów. Było to towarzystwo bardziej kosmopolityczne, niż patryotyczne, bardziej krytyczne, niż organiczne — tak je określa Mochnacki, używając języka Saint-Simona.

Lecz oto rozpoczyna się zwrot, zjawiają się propagatorowie wzniosłych pojęć, wielcy idealiści, jak Tomasz Zan, w latach 1819—1820 powstają Promieniści. Zjawia się Lelewel, budzi entuzyazm do dziejów ojczystych, do ideałów wolności i gminowładztwa; Józef Gołuchowski zaszczepia filozofię idealistyczną niemiecką, którą wyklinał i wydrwiwał Śniadecki, serca młodzieży lgną ku nowym mistrzom, wydział moralny bierze przewagę nad matematycznym, Szubrawcy ustępują placu Promienistym. W chwili gdy zwrot ten odbywa się w Wilnie, w Warszawie powstają pierwsze związki patryotyczne. Wkrótce zjawiają się *Dziady*, *Wallenrod*, *Grażyna*, utwory będące wyrazem poetyckim dążności spiskowych. Ta jednoczesność tych różnych, a jedną myślą przenikniętych zjawisk, maluje dobrze naturę pogrobowego jestestwa Polski.

Mochnacki przedstawia barwnie, świetnie, jak jeden duch, jedno pragnienie przenikać zaczynają stopniowo wszystkie dziedziny życia w zaborze rosyjskim. Zatrzymujemy się dłużej nad tym jego obrazem, nietylko dlatego, że wiąże się on ściśle z treścią obecnego rozdziału, lecz i dlatego, aby uchwycić na przykładzie właściwości talentu Mochnackiego.

Mochnacki jest nieporównanym postrzegaczem w dziedzinie psychologii czy to osób czy też tłumu, partyi lub narodu, kreśli swe obrazy ze znakomitą plastyką, cieniuje subtelnie, oddaje zwięźle. Charakterystyki osób i obozów, wyszłe z pod jego pióra, ryją się w pamięci, stają przed oczyma jak żywe. Skreślone przezeń postacie Chłopickiego, Lelewela, Wincentego Niemojowskiego, W. Księcia Konstantego, Krukowieckiego, a także obrazy spisku podchorążych, Klubu patryotycznego, partyi Kaliskiej, sejmu re-

wolucyjnego, rządu rosyjskiego — przeszły żywcem do literatury historycznej i publicystycznej, narzucały się późniejszym pisarzom całą mocą swej prawdy i nieporównanej plastyki, były świadomie lub bezwiednie powielekroć powtarzane, uzupełniane i rozwijane, zawsze atoli z zachowaniem rzuconych genialną ręką linij i rysów głównych. Aby ocenić olbrzymi talent Mochnackiego, dość zobaczyć, jak jego lapidarne określenia, zwięzłe opowieści rozczynia i rozwadnia na dziesiątkach stron taki Stanisław Barzykowski i jak pod tą masą słów obraz blednie, szarzeje, zaciera się raczej, niż uwypukla; otrzymujemy nieco więcej szczegółów, moc rozwlekłych uwag, musimy zaś za to sami z trudem wyłuskiwać ziarno — ideę zjawiska, faktu, która u Mochnackiego występuje z wypukłością rzeźby. Lub gdy Mierosławski, wziąwszy najczęściej, jako jądro, sąd krytyczny Mochnackiego, omota go siecią swej rozwichrzonej frazeologii i napiętrzy na nim cały stos jaskrawych paradoksów, wtedy jego olbrzymie filippiki wyglądają tak obok krótkich i mocnych, jak piorun, ciosów Mochnackiego, jak przeładowany farbami obraz miernego pędzla obok szkiców rysunkowych Michała Anioła, Leonarda da Vinci lub Matejki.

Lecz gdy porwani plastyką obrazów podążamy za myślą Mochnackiego, gdy odkłada on pędzel na stronę i zaczyna rozumować, filozofować, wtedy genialny malarz osób i obozów nie jest równie głębokim filozofem społeczeństwa; myśli jego historyozoficznej i socyologicznej nie ufajmy w tej mierze, co intuicyi artystycznej; gdy obraz osób żywych ginie z przed jego oczu i zaczyna on snuć wnioski natury ogólnej, wtedy widzimy, że to nie Monteskiusz lub Tocqueville, który wykryje przenikliwie w życiu Francuzów, Anglików lub Amerykanów linie wytyczne rozwoju narodów. Nie zapominajmy za to, że Monteskiusz swą wielką pracę pisał lat 20 i zaczął ją w wieku, w którym Mochnacki już kończył życie; że Tocqueville w niejeden z rozdziałów *Ancien régime'u* włożył, jak

sam przyznaje, pracę całego roku, Mochnacki zaś pisał swe prace z niesłychaną szybkością, pierwszy tom historyi — w ciągu trzech miesięcy, zszedł ze świata zaledwie na progu wieku dojrzałego, jako artysta — już skończony, jako myśliciel — jeszcze młodzieniec. Brak mu jeszcze nieraz skali porównawczej w sądach o kolejach narodów, fenomen często bierze za typ, cechę indywidualną za prawo powszechne, kolejność lub współistnienie zjawisk za związek przyczyn i skutków.

Wyjaśni to przykład. Na barki kierunku przyrodniczo-doświadczalnego, którego pionierem był Śniadecki, wkłada Maurycy zbyt wielką odpowiedzialność polityczną. Mniema, że działalność Szubrawców zrodziła takie objawy, jak wystąpienie wśród Polaków, w Petersburgu bawiących, duchów mocnych polskich, wśród których największym krzykaczem był Szubrawiec-oryentalista Sękowski; zasadzali zaś ci ludzi rozum swój na wyśmiewaniu polszczyzny, »dla Polaków stali się Moskalami, a od Moskali sprawiedliwie wzgardzeni, byli na kształt mułów w stadzie, dobrych do pociągu, do dźwigania ciężarów, lecz zbękarciałych i nie reprezentujących żadnej rasy«. Śniadeckiemu zarzuca, iż obserwował planety, a nie chciał wiedzieć, co się wkoło niego działo na ziemi, w epoce, gdy Aleksander zaczął zrzucać maskę. Umiejętność bez ducha, system bez imaginacyi, rachunek, cyrkiel, linia prowadzą czasem do epikureizmu — rozumuje Mochnacki. Matematyka i fizyka nie kształcą jeszcze obywateli-patryotów. Podnosi dalej wysoko doniosłość narodową filozofii niemieckiej Gołuchowskiego: naród, mający powstać, powinien politykować i filozofować; każdy spisek ma w sobie coś nieokreślonego, losowego, a zatem potrzebuje entuzyazmu i poezyi. W Polsce wszystko, co przemawiało do imaginacyi, co było poetyckie, było zarazem patryotyczne.

To wszystko pisze Mochnacki w pierwszym tomie *Powstania*, a więc w r. 1832. Paradoksalność wniosków uderza. W istocie sprawa się przedstawiała raczej tak

Polskę w owej epoce dla powodów dziejowych, aż nadto zrozumiałych, przenikał duch oporu przeciwko ciemiężcom, pokolenie młode wyrastało z buntem w duszy, narodowość była świątynią, w której biły zgodnie młode serca. Duchem tym przepojona została młoda poezya, historya, filozofia. Mochnacki znakomicie odtworzył to powinowactwo patryotyzmu z literaturą, uniesiony atoli pociągającym obrazem tego związku, zdaje się mniemać, że bez poezyi romantycznej, filozofii idealistycznej, rozwoju nauk moralnych i politycznych nie byłoby doszło do insurrekcyi. Tam, gdzie było tylko współistnienie i wzajemne oddziaływanie zjawisk, chciał widzieć przyczynę i skutek. Prawdą zaś pozostaje jedynie to, że z jednej strony duch narodowy przeniknął literaturę, z drugiej zaś strony prąd umysłowy i literacki, który do Polski wówczas wtargnął, zabarwił na swą modłę patryotyzm Polski doby przedlistopadowej, rewolucyjnej i emigracyjnej, zespolił go z idealizmem czystej wody, opromienił blaskiem poezyi romantycznej, dał mu tę mowę szczególną czarującą, to melancholijne wejrzenie, ten polot fantazyi, ten dar jasnowidzenia narodowego, tę nieziemską nieledwie aureolę, która zawsze chyba przykuwać będzie do tej epoki oczarowaną myśl Polaka. Czy jednak na karb tego nastroju nie należy złożyć jednocześnie pewnych wad i słabości, które sam Mochnacki tak znakomicie pochwycił i wytknął mężom powstania, owej miękkości, czułostkowości, która tak dziwnie odbijała od charakteru nieprzyjaciela, owej kurtoazyi rycerskiej, szczególniej w początkach powstania, owych form Bayardowskich, które wyglądały aż tragikomicznie, gdy ścierały się ze strony przeciwnej z taktyką Attyli czy Dżingis-chana tak, jak gdyby chodziło nie o walkę na śmierć i życie, lecz o turniej rycerski? Gdyby atmosfera umysłowa przed rewolucyą listopadową składała się z wiedzy przyrodniczej, filozofii krytycznej lub sceptycznej, racyonalistycznej czy sensualistycznej, poezyi i literatury

klasycznej, prąd insurrekcyjny z pewnością nie zostałby zatamowany, zyskałby jedynie inne zabarwienie; nie byłoby ono zapewne tak poetyczne, lecz za to może bardziej trzeźwe, praktyczne, zbliżone do tego, jakie widzimy u wielkich mężów Sejmu czteroletniego, a więc łacniej wiodące do przeniknięcia natury srogiego nieprzyjaciela i do trzeźwej oceny mirażu pomocy europejskiej, której próżno wyglądając, kunktatorowano i powoli grób dla ojczyzny kopano. Nie usłyszanoby może, bez szkody dla narodu, — mów tak romantycznych, jak naprzykład wygłoszona przez zastępcę ministra spraw zagranicznych Gustawa Małachowskiego na sesyi sejmowej 12 lutego 1831 r., a więc w chwili, gdy nieprzyjaciel już wkroczył i bój decydujący gotował się lada dzień; po żałosnych utyskiwaniach na obojętność Europy i po stwierdzeniu, że walczymy dla Francuzów bez Francuzów, wyraża mowca pociechę, że »w tej tak suchej epoce historyi, gdzie tak wiele faktów, a tak mało czystych poświęceń spostrzegać się daje, myślą zaspakajającą dla honoru polskiego, że niema piękniejszego, śmielszego, bezinteresowniejszego czynu, jak nasze powstanie... Bo zaiste, czemże było to wypuszczenie z pomiędzy siebie wojska rosyjskiego, to ułatwienie onemu przejścia?... czemże to odesłanie na koszt Polski Rosyan, nawet w walce wziętych? Powtarzam, że wśród pustyni dzisiejszej polityki wypadki naszego powstania są jak owa piękna malowna oasis, na której źródła świeże i w kwiaty strojne znachodzi spragniony wędrownik. Kończmy, jakeśmy zaczęli... a jeśli polegniem... ostatni odgłos Polski dzisiejszej będzie ozdobnym, jak śpiew umierającego wieszcza«. Mowa ta, wygłoszona na dwa tygodnie przed morderczym Grochowem, kiedy zbliżał się już nieprzyjaciel, prowadząc do walki z Polakami w swych szeregach i tych Rosyan, których miano nierozum z kraju wraz z rynsztunkiem wojennym wypuścić, osiągnęła wielki sukces; mądrość stanu

szlachecka po skończonej smutnie rewolucyi jeszcze przez usta Stanisława Barzykowskiego nazywa ją »jedną z najpiękniejszych mów, jakie w tem gronie słyszane były«.

Zastanowienie się nad Wielką Rewolucyą francuską lub nad odrodzeniem Polski w końcu XVIII wieku przekonałoby Mochnackiego, w jaką wpadł przesadę. Wówczas w wieku XVIII filozofia krytyczna, badania przyrodnicze, idea przetworzenia ustroju społecznego i politycznego zgodnie z prawami natury doskonale pogodziły się z ruchem rewolucyjnym, literatura zaś klasyczna dostarczała wzorów cnoty antycznej, w stylu Tacyta i Plutarcha, męstwa, swobody obywatelskiej. Staszyc nie był mniej gorącym patryotą przez to, że był geologiem, nie poezyi romantycznej ani filozofii idealistycznej zawdzięczał Kołłątaj swój ogień obywatelski, a pieśń legionów i ich zapał powstały bez pomocy Schlegla i Schellinga.

Obróciwszy wzrok ku temu krajowi, z którego płynęły do Polski owe ożywcze fale myśli i natchnienia, znów znalazłby Mochnacki żywy dowód przeciwko swej tezie; bo przecież rozkwit romantyzmu i idealizmu filozoficznego w Niemczech w epoce Mochnackiego kojarzył się z omdleniem politycznem narodu. Odczuli gorąco to skostnienie życia niemieckiego nasi znakomici pisarze doby emigracyjnej, płomienny duch Mickiewicza oskarżał nawet filozofię niemiecką o zasuszenie myśli i o zwarzenie energii narodu, pomimo całej niechęci do filozofii materyalistycznej francuskiej przenosił ją nad tak zwany idealizm niemiecki. »Filozofia niemiecka chciałaby zatrzymać wszelki ruch ducha ludzkiego koło jego słońca i wbić go całkiem w ziemię, zatrzymała nawet postęp nauk ścisłych w Niemczech. Możnaby powiedzieć, że sama myśl u nich zapomniała już drogi, kędy niegdyś puszczała się ku ciałom niebieskim. Materyalizm uczonych francuskich daleko w tej mierze jest odważniejszy, więcej dociekający, niż filozofia niemiecka. We Francyi robią przynajmniej do-

mysły, co może być na księżycu, na planetach... w Niemczech cała rzecz kończy się na definicyach próżnych«...[1]

Żadne jednak wątpliwości nie nasuwają się podówczas Mochnackiemu; czytając owe wywody jego paradoksalne, znając bystrość jego umysłu, doznaje się wrażenia, jak gdyby umysł jego samorzutnie odsuwał wszelkie refleksye, w których cieniu zbladłby jego barwny obraz. Przyjdą mu za to one do głowy w innem miejscu, o innym czasie i wówczas uniesiony z kolei przez nie, nakreśli obraz o wręcz przeciwnej treści i tendencyi, a równie barwny, równie jaskrawy; bo oto zajrzyjmy do jednego z najświetniejszych jego artykułów: »O Rewolucyi w Niemczech« (z czerwca 1833 r.) i streśćmy myśli autora, trzymając się niemal wiernie własnych słów jego.

Jest lud, co przespał nowsze czasy i więcej ksiąg w tym śnie napisał, niżeli na jawie wszystkie razem ludy w starych wiekach. Zdumiewa i przeraża to, że owo poniżenie, ów brak ducha, które naród niemiecki w swem rozdrobnieniu, w zależności od obcych mocarstw objawia, przypada właśnie na moment jego najwyższej intelektualnej dzielności. Uznanie samego siebie w swem jestestwie położyli Niemcy za zasadę swej filozofii, a uznać się w swem jestestwie narodowem nie śmieli. Niemcy zdobyły się jedynie na natchnienie czczości. Systematy filozoficzne przesuwały się nad krajem niemieckim, nad jego malarskiemi dolinami od lat czterdziestu, jak karawany wędrownych ptaków, nie zostawiając śladu po sobie w żadnej sprawie ludzkiej. Filozofia ta nietylko Niemcom na nic się nie przyda, lecz jest poniekąd nawet antyrewolucyjna, antysocyalna. Ta zmiana systematów filozoficznych, które jedne po drugich zjawiają się i jak gwiazdy błędne nikną w czczości, jest to jakby turniej bezpłodny atletów rozumu, którzy jeden po drugim stają w szran-

[1] »Wykłady o literaturze słowiańskiej«. Wykład 6 czerwca 1843 r. Wydanie 1900 r., Lwów, Tom VI.

kach. Absolutum sforsowało ducha niemieckiego. Źrenica Niemca nawspak się obróciła i oko patrzy wewnątrz.

Po takiej filippice przeciwko filozofii niemieckiej Mochnacki rzuca jeszcze wiekszy paradoks: »Rewolucya i literatura są to rzeczy we wszystkiem sobie przeciwne. Literatura enerwuje, zabija czas. Lecz wyraźnie powiadam, że to tylko ściągam do literatury filozoficzno-poetyckiej. Bez wiadomości matematycznych, statystycznych, historycznych, wojskowych, bez wszystkiego co Francuzi zowią les sciences positives, rewolucya obejść się nie może. Wiek XVIII we Francyi nie miał takich transcendentalistów i takich poetów serca jak Niemcy; lecz rewolucya francuska miała wielkich ludzi. Wolter i Rousseau byli to prawdziwi rewolucyoniści. Niemcy przeciwnie mają wielkich filozofów i poetów, a na małe tylko ementy mogą się zdobyć«.

Gdy zestawimy te słowa z uwagami Mochnackiego o Janie Śniadeckim i o zbawiennym wpływie idealizmu i poezyi na insurrekcyę, rzuca się w oczy sprzeczność. W istocie, sprzeczności głębszej w obydwóch obrazach niema. I tu i tam uderzył Mochnacki na doktrynerstwo naukowe i na zamiłowanie do roztrząsań od życia rzeczywistego oderwanych, skoro zamiłowanie owo przekroczy ciasne mury laboratoryów, pracowni, bibliotek i ogarnie szerokie warstwy wykształconego ogółu; taki egzotyzm myśli, taką manią umysłową uważał on za szkodliwą szczególnie w epokach przełomowych, krytycznych życiu narodu, gdy umysły ogółu zwracać należy ku palącym pytaniom życia, nie zaś od nich odwracać i odciągać. Nie zdążył jednak, wyciągnąć tego wniosku słusznego, że nie o pewien szczególny kierunek badań czy piśmiennictwa tu chodzi; żaden kierunek, czy to materyalizm, czy to idealizm, czy to klasycyzm, czy romantyzm, nie posiadał żadnej szczególnej fatalnej własności ogłuszania ludzi na losy i niedolę swego narodu; dopiero fanatyczne zasklepienie się w egzotyzmie umysłowym sta-

nowi plagę, lecz wtedy mniejsza o to, czy to będzie fanatyzm idealistyczny, materyalistyczny lub inny; nie należy więc z zabobonną zawziętością rzucać anatemy na dany kierunek naukowy czy literacki, którego godzina przypadła na okres anemii ducha publicznego wśród narodu, bo własnemi siłami żaden kierunek umysłowy okresu takiego wywołać nie jest w stanie; na to składają się całe szeregi faktów i okoliczności, wieki i pokolenia. Oczywiście, te usterki logiczne, ta paradoksalność wykładu nie stanowią bynajmniej świadectwa przeciwko wielkości pisarskiej Mochnackiego, podobnie jak paradoksy Russa, Carlyle'a, Schoppenhauera nie są w stanie zachwiać ich pisarskiej chwały.

Tak więc przed wybuchem listopadowym duch młodego pokolenia, niecierpliwie rwącego się do niepodległości i pragnącego porwać za sobą naród, przebija się na zewnątrz w literaturze i w spisku. Przedstawiciele literatury konspirującej i spisku insurrekcyjnego, ci, którzy pragnienia narodu ubierali w przejrzystą szatę literacką, i ci, którzy postanowili bardziej prostą drogą z bronią w ręku utorować narodowi drogę do lepszej przyszłości, zbyt blisko siebie stali duchem, sercem, zapałem, aby się mogli nie zetknąć przy wspólnej robocie. Istotnie, spotkanie nastąpiło; skrajne skrzydło literatury i spisek podchorążych wyczuły się instynktowo, porozumiały i jedno utworzyły grono. Odtąd w spisku istniały dwa o g n i s k a: wojskowe i cywilne. Do cywilnego należeli młodzi literaci, współpracownicy pism: Dziennika Powszechnego, redagowanego przez referendarza Adama Chłędowskiego i Kurjera Polskiego, którego właścicielem był Adolf Cichowski. W pierwszym pracowali: Jędrzej Moraczewski, Ludwik Nabielak, w drugim — Maurycy Mochnacki, Ludwik Żukowski, Ksawery Bronikowski, w obydwóch Józefat Bolesław Ostrowski. W blizkim kontakcie z tem gronem młodych publicystów stał Lelewel, zbliżony był do nich i J. B. Zaleski. Poetę ukraińskiego pociągały rozprawy młodych

entuzyastów. W jednym z listów z owej epoki do Stefana Witwickiego pisze: »Wczoraj do godziny ósmej, a raczej do dziewiątej byłem u Maurycego (Mochnackiego) z Lutrem i Żukowskim. Najświetniejszej słuchałem dysputy, prawdziwie boskiej improwizacyi o najwznioślejszych przedmiotach. Z płaczem musiałem ich pożegnać i całą noc marzyłem o Bogu, duszy, przeznaczeniu ludzkości... Och, co to za ludzie...«[1].

W środku 1830 r. przybył do Warszawy Seweryn Goszczyński, przylgnął do tego grona młodych, »poczuł się w niem w swoim żywiole« i opisał je w swej »Nocy Belwederskiej«. W owym czasie powstała w tem kole myśl założenia własnego pisma, inicyatorem jej był przybyły wraz z Goszczyńskim do Warszawy Michał Grabowski[2]. Obydwaj zamieszkali w domu Sakramentek przy

[1] J. B. Zaleski, mimo późniejszego uprzedzenia osobistego, zawsze wysoko cenił talent Mochnackiego. W liście do L. Nabielaka z 4 grudnia 1832 r. pisze o gazecie Podczaszyńskiego »Pamiętnik Emigracyi«: »... Między głupiemi artykułami wydawcy są i Maurycego, przedziwnie pisane«. W innym liście, do Bogdana Jańskiego, pisze: »O artykule Mochnackiego mógłbym tu pisać bez końca«. W liście zaś do Nabielaka z 27 lutego 1834 r.: »Kiedyś ci napiszę obszernie o pisarzach naszych politycznych, a mianowicie o Mochnackim. Wiesz, że w nim odróżniam zawsze człowieka a pisarza, ale skreślę ci analizę jego umysłu i moralności«. Szkoda, że nie spełnił Zaleski tej obietnicy. (Listy, wymienione wyżej, znajdują się w drukowanych »Listach J. B. Zaleskiego«).

[2] W Bibliotece Akademii Umiejętności w Krakowie znajduje się manuskrypt, zawierający, według wszelkiej pewności, prospekt właśnie owego zamierzonego pisma (Rękopis N. 164). Prospekt ten skreślony i podpisany przez J. L. Żukowskiego z datą 10 listopada 1830 r. Na czele jego czytamy: »Od 1 stycznia 1831 r. wychodzić będzie co tydzień arkuszowe pismo peryodyczne pod tytułem: Tygodnik Literatury i Krytyki«. »Zaradzić tym dwom głównym potrzebom, to jest: wprowadzić do literatury naszej, ile możności, zasady zdrowej krytyki i uwiadamiać o postępach nauk za granicą będzie głównym przedmiotem starań redakcyi Tygodnika Literatury i Krytyki.,. Redakcya, chcąc równie pod względem przyjętych zasad, jak treści i wypracowania artykułów, mających składać Ty-

Nowem Mieście i tu w dwóch pokoikach odbywały się gwarne narady młodych nad utworzeniem owego pisma. Naturalnie, od programu pisma rozprawy przechodziły na szersze pole, wywiązywały się dysputy burzliwe, gwar młodych głosów huczał w dwóch skromnych pokoikach do późnej nocy. Rozprawy toczyły się bez planu, bez określonego programu, a za to z wielkim zapałem. »Zawsze było to życie« wspomina te chwile Goszczyński po latach 40 — »i piękne życie, które wybuchało w ten sposób, zanim natrafiło na właściwy«. Był to jakby rodzaj klubu; prócz Maurycego i J. B. Ostrowskiego nikt tutaj z początku o spisku podchorążych nie wiedział; inni wtajemniczeni zostali później.

Utajony ferment polityczny wydobywał się chwilami na wierzch, na wzór ówczesnej Francyi, podczas uroczystości, bankietów zbiorowych, również atoli przysłoniony dyskretną szatą słów dobranych przed okiem czujnej policyi. Jedną z takich uroczystości była uczta, wydana w sierpniu, a więc już po wybuchu paryskim, za Pragą w tak zwanej kolonii Winena na cześć J. N. Kamińskiego, znanego autora i dyrektora teatru lwowskiego. Uczta ta, wydana na cześć gościa z innego zaboru, na której zgromadzili się Polacy niemal ze wszystkich ziem Rzeczypospolitej, stanowiła wyraz widomy łączności rodaków, wyciągających do siebie bratnie dłonie przez granice rozbiorowe. Byli tam przedstawiciele literatury i polityki, posłowie, jak Trzciński, Lelewel, Kantorbery Tymowski, referendarz stanu Chłędowski, Ludwik Dmuszewski — od teatru warszawskiego, z poetów J. B. Zaleski, Witwicki, Goszczyński, z grona młodych literatów — M. Grabowski, M. Mochnacki, L. Nabielak, J. B. Ostrowski, J. L. Żukowski

godnik Literatury i Krytyki, godnie odpowiedzieć zamierzonemu celowi, uprosiła o udział w tem piśmie osoby, znane z talentów i gorliwości o literaturę narodową. PP. J. Lelewel, M. Mochnacki, Sew. Goszczyński, J. B. Ostrowski, M. Grabowski, L. Nabielak, K. W. Wójcicki przyrzekli jej czynną pomoc«.

i inni. Wygłaszano mowy, toasty na cześć literatury polskiej i pojedyńczych osób, o przejrzystej tendencyi. Raport policyi o tej uczcie znaleziono później między papierami w tajnem archiwum W. Księcia w Belwederze.

Tymczasem nastąpił wybuch lipcowy paryski i wywarł głębokie wrażenie na ogóle polskim, w tem zaś i tak już naelektryzowanem mocno gronie młodych podniósł temperaturę jeszcze wyżej. »Rozprawy w kółku zaczęły wyraźniej przybierać charakter czynu. Doktrynowanie spadało coraz niżej ku zeru« — mówi Goszczyński. Łatwo się domyśleć, jaki temat roztrząsany był teraz na tych poufnych schadzkach. Goszczyńskiemu utkwiło w pamięci jedno z takich zebrań w mieszkaniu Maurycego Mochnackiego; był na niem obecny i młody Aleksander Wielopolski, zachowywał jednak dyplomatyczne milczenie.

W naradach, które bezpośrednio wyprzedziły 29 Listopada, Maurycy udziału nie brał, odsunął się od podchorążych. Z Goszczyńskim jednak pozostał do końca w stosunkach dawnych. Tłómaczył Goszczyński wówczas romans Walter-Skotta z niemieckiego, zachodził często do Maurycego i ten pomagał mu poprawiać tłómaczenie według oryginału angielskiego. O tych wspólnych posiedzeniach w mieszkaniu Maurycego przy ulicy Długiej zachował Goszczyński miłe wspomnienie do końca życia. »Spędziliśmy nieraz spólnych kilka godzin, do pierwszej, do drugiej po północy, zawieszając czasem pracę dla wysłuchania jakiejś dumki, którą nam przesyłała z ulicy późna katarynka, poczem następował zazwyczaj serdeczny, a często wzniosły wylew jego (Maurycego), o który było mu tak łatwo w przedmiocie muzyki, poezyi« [1].

Tak samo głębokie i serdeczne wrażenie, jak na Goszczyńskiego, wywierał Mochnacki przez całe życie na tych nielicznych ludzi, którzy ściślej, bliżej z nimi żyli. W stosunkach domowych, poufnych, rodzinnych, przyjacielskich

[1] »Noc Belwederska«, Cz. I, str. 36.

serdeczny, wylany, tkliwy — takim go malują wspomnienia osób z rodziny, Michała Podczaszyńskiego, Antoniego Walewskiego. Daru zaś jednania sobie przyjaciół wśród osób dalszych nie miał w ciągu całego życia, nie posiadał miękkości w obejściu, ani powierzchowności ujmującej; twarz jego surowa i zacięta, jak widać na doskonałem popiersiu dłuta Oleszczyńskiego i na pozostałym wizerunku z lat młodocianych, sądy o ludziach ostre, bezwzględne, wysokie o swym rozumie mniemanie — wszystko to raczej odstręczało od niego wrażliwe nerwy i drażliwe ambicye młodych kolegów po piórze. Zwolenników talentu miał wielu, niewielu życzliwych, budził respekt, sympatyi w gronie kolegów nie posiadał. Na tę młódź pisarską z pokolenia romantyków, pełną zachwytu dla tkliwych, natchnionych wieszczów, działał mrożąco krytyk przenikliwy, nieubłagany, ostry, który nie poprzestawał na rąbaniu klasyków, lecz ważył się wytykać plamy i na słońcu poezyi romantycznej — na utworach Mickiewicza. Pewną miarę wrażenia, jakie wywierał na młode pokolenie pisarzy Mochnacki, dają nam wspomnienia K. Wł. Wójcickiego o latach 1829—1830, wspomnienia bardzo wprawdzie nieścisłe co do faktów, lecz chyba wiernie oddające wrażenia osobiste młodości, które się nie zacierają z wiekiem.

Mochnackiego spotykał Wójcicki w kawiarni Brzezińskiej, obok poczty (ul. Kozia, nr. 1), gdzie schodzili się młodzi literaci. »Maurycy Mochnacki, nizkiego wzrostu, głowy większej, niż wzrost wymagał, rysów twarzy pociągłych i nosa orlego, nie wzbudzał w mniej go znających sympatyi. Oblicze całe przez brodę zadartą i nos spuszczony przypominało postać Judasza, jaką widzimy w słynnym obrazie Leonardo da Vinci: Wieczerzy Pańskiej...[1]. Jeżeli młodzież dzieliła jego zdanie i przyklaski-

[1] »Mochnacki, chudy, blady, srodze ospowaty, z białemi (?) biegającemi oczkami« — takie wrażenie pozostawił Maurycy w pa-

wała mu za te prace, nacechowane śmiałością i wyższym poglądem, jeżeli miała wdzięczność za wydobycie z cienia zapomnienia *Maryi* Antoniego Malczewskiego i postawienie jej na należnem stanowisku..., ogromnie się nań oburzała za zuchwałą krytykę *Wallenroda* Mickiewicza, w której wykazywał niestosowność całego romansu między Konradem i Aldoną. Pamiętam dobrze, jak zwolennicy Mickiewicza z gniewem i uniesieniem sarkali na krytyka za to na kawie u Brzezińskiej i długo uspokoić się jeszcze nie mogli, bo autor *Dziadów* powinien być nietykalny ostrzem pióra recenzenta... Poważniejsi przecież, chociaż gorący wielbiciele wielkiego poety, zgadzali się pocichu z Mochnackim, ale głośno tego wypowiadać nie śmieli... Młodzież, lubo czytała z upodobaniem wszystko, co wyszło z pod jego pióra, nie sympatyzowała z nim jednakże«[1]. Prawdopodobnie działała tu i suggestya wersyi i plotek o dawnych stosunkach z biurem cenzury i z J. Kalasantym Szaniawskim.

W drugiej połowie 1830 roku, gdy wybuchu w Królestwie spodziewać się można było lada dzień, gdy płomień dął z Zachodu, a materyału palnego w kraju nagromadziło się poddostatkiem, Maurycy pisał gorączkowo swą pracę o literaturze polskiej. Wcielił on do niej sporo swych dawnych artykułów, usystematyzował, uzupełnił, pogłębił swe dawne myśli. Występuje, jako rzecznik literatury odnowionej, romantycznej, kreśli ocenę utworów Brodzińskiego, Mickiewicza, Malczewskiego, Goszczyńskiego, Zaleskiego. W rozbiór tej oceny wchodzić nie będziemy, pragniemy bowiem poprzestać na wizerunku Mochnackiego, jako działacza i pisarza politycznego. Zwrócimy więc uwagę jedy-

---

męci serdecznie go nienawidzącego J. U. Niemcewicza po słynnej scenie najścia Rady Administracyjnej przez delegatów Klubu Patryotycznego w dniu 2 grudnia 1830 roku. (Pamiętniki J. U. Niemcewicza z 1830—1831 roku, str. 52).

[1] »Kawa Literacka w Warszawie (r. 1829—1830)«. Warszawa 1873 r., str. 17, 18.

nie na te cechy i szczegóły dzieła o literaturze, które dopełniają fizyognomię polityczną pisarza i człowieka[1].

Samo oświadczenie się autora za kierunkiem romantycznym nie daje jeszcze wyobrażenia o dążnościach i sympatyach jego politycznych, czy społecznych, romantyzm bowiem obwijał się jak bluszcz dokoła różnych, nieraz wrogich sobie, prądów i potęg, opromieniał blaskiem swej poezyi rozmaite bożyszcza i rozmaite ołtarze. Jedni czuli i wielbili w nim dreszcze przyszłości, inni — wspomnienie zamierzchłej przeszłości, jedni słyszeli w nim hymn wolności, pieśń nową, inni — baśń o dawnych wiekach, pociągał zarówno temperamenty bojowe, rewolucyjne, jak natury marzycielskie, zakochane w wiekach kawalerskich, w atmosferze zamków gotyckich, rycerskich turniejów, legend fantastycznych; jednych, jak Byrona, porywał na bój tytaniczny z demonem ciemnoty, przesądu i niewoli, innych, jak Chateaubrianda, kierował do kruchty kościelnej i tam otwierał przed nim źródło poezyi — w tajemniczym szepcie rozmodlonych mnichów, w mistycznej atmosferze tumu średniowiecznego. Dla naszego celu potrzebne jest przeto bliższe i głębsze rozważenie, co mianowicie w prądzie romantycznym uderzyło, olśniło i pociągnęło Mochnackiego.

Z lekkiej ręki Stanisława Barzykowskiego przedostało się do literatury mylne o Maurycym Mochnackim pojęcie, powtarzane przez wielu autorów: był to jakoby człowiek ambitny i zdolny, lecz pozbawiony jasnego ideału, ani zmysłu, ani taktu politycznego nie posiadający, nie umiejący uznać i uszanować ani zasług prawdziwych, ani żadnej zgoła powagi, wichrzyciel namiętny, umysł lotny, lecz jałowy. Poseł ostrołęcki, wyniesiony ponad swe skromne zdolności na jedno z kierowniczych w rewolucyi

[1] Rękopis dzieła »O Literaturze Polskiej XIX wieku« znajduje się w Bibliotece Akademii Umiejętności w Krakowie. (Rękopis Nr. 727).

stanowisk, wzorem wszelkiej miernoty, na świeczniku postawionej, napełnił się uroczystą powagą dygnitarza, którą uniósł ze sobą z krzesła pałacu namiestnikowskiego na wygnanie, uwierzył prostodusznie w rozum stanu osób, które wchodziły w skład ówczesnego rządu, włączając oczywiście samego siebie, wyłączając zaś jedynie Lelewela, i z niezmiernej wyżyny spoglądał na młodych dyletantów w rodzaju Mochnackiego, co to nie wtajemniczeni w arkana stanu ośmielali się krytykować rząd, sejm, ministrów. Wprawdzie wykład zdarzeń rewolucyi przez samego Barzykowskiego często nieubłaganie zbija i przekreśla jego wyniosły i lekceważący sąd o Mochnackim, gdy naprzykład przyznaje, że w styczniu 1831 r. nieudolność dyktatorska Chłopickiego stała się widoczna i rażąca, z czego zdawałoby się niezbicie wypływa, że ostrzeżenia Mochnackiego w początku grudnia były słuszne i przenikliwe, nie chce jednak, czy nie potrafi Barzykowski wyciągnąć stąd słusznego wniosku i z całym uporem odsądza Mochnackiego od wszelkiej zasługi.

Rewolucya listopadowa, jak wszelkie rewolucye, wyrzuciła na powierzchnię zastęp ludzi o temperamencie wichrzycieiskim, a nałogach herostratowych, ludzi buńczucznych, głośnych a próżnych, goniących za rozgłosem, ganiących i lżących wszystko i wszystkich, a do żadnej roboty niezdolnych. Ludzie tacy, obok prawych i światłych obywateli, znaleźli przytułek i trybunę z początku w klubie patryotycznym, później w towarzystwie patryotycznem, głównie atoli w słynnych kawiarniach, Honoratce i Dziurce Marysi przy ulicy Miodowej, potem zaś na emigracyi odżyli w »Taranie« i »Wobanie« paryskim i w różnych Zakładach, Ogółach i Gminach. Paru z nich spotykamy już w ognisku cywilnem spisku podchorążych, a nawet i w ognisku wojskowem, są to tacy ludzie, jak Józef Zaliwski, J. B. Ostrowski, Adam Gurowski; po wybuchu rewolucyi poczet ich zwiększa się znakomicie. Mochnacki zetknął się chwilowo z tymi ludźmi, rychło jednak się

rozstali, wewnętrznego zaś zbliżenia pomiędzy nim a nimi nigdy chyba nie było, wyjąwszy może jednego Gurowskiego, na którego lichocie Maurycy długi czas się nie poznał, utożsamianie Maurycego z tem »bractwem zgiełkliwem« jest naiwne lub stronne. Ci, którzy podobnie, jak Barzykowski, powierzchownie lub nienawistnie sądzili Mochnackiego, gdy ujrzeli, że już w czasie rewolucyi ustał związek pomiędzy nim a figurami Honoratki, ogłosili, że odstąpił od swych przekonań i swego obozu. Jest to znów nieporozumienie i aby je rozwiać, należy troskliwie wejrzeć w te cechy charakterystyczne, jakie wychodzą na jaw w opiniach Mochnackiego już we wczesnej dobie i które zachowuje do schyłku życia.

Późniejsi energumeni klubu patryotycznego, Nowej Polski, Rzeczypospolitej Tarańskiej, już wtedy, gdy stawiają swe pierwsze kroki na polu krytyki literackiej, zanim jeszcze wir powstania wtrącił ich na scenę polityczną, ujawniają właściwe im cechy i tendencye; wystąpienia ich napuszyste i zgiełkliwe, myśli jasnej, trzeźwej brak zupełny, prawią o obaleniu form życia dawnego, co zaś natomiast postawić, dobrze nie wiedzą. Niemniej charakterystycznie, a jakże odmiennie, występują rysy Mochnackiego z poza jego *Literatury*. Po tym wichrzycielu, krytyku dla krytyki, za jakiego pragnęli go przedstawić przeciwnicy w rewolucyi, możnaby oczekiwać namiętnych filippik, zjadliwych wycieczek przeciwko klasykom, natomiast uderzy nas objektywność sądu i ton umiarkowany; prawda, że wówczas w r. 1830 klasycyzm był już zwyciężony na całej linii, w dawniejszych artykułach, polemikach ton Mochnackiego był daleko ostrzejszy, jaskrawszy. To jednak właśnie wówczas i później stanowi znamienną cechę Mochnackiego, zaletę promienną takich, jak on, umysłów, którym jasno przyświeca ideał, cel walki, że w cel ten wpatrzeni uderzają śmiało, namiętnie na tych, co stoją tamą na ich drodze, lecz tylko dopóty, dopóki ci im bruździą i szkodzą, dopóki są mocni. Tak czynił Moch-

nacki w grudniu 1830 roku względem Chłopickiego, w styczniu 1831 r. względem sejmu, w lecie 1831 roku i w pierwszych chwilach emigracyi względem Niemojowskiego i partyi kaliskiej. Za to, jako prawdziwy człowiek czynu i twórczej myśli, nie zaś fanatyk porachunków z przeszłością, nie zniżał się nigdy do deptania i znieważania oddawna powalonych wrogów, jak to uprawiała Honoratka przez całe niemal powstanie przeciwko dawno obalonemu Chłopickiemu, a potem Taran paryski, Zakłady i Sekcye emigracyjne — przeciwko Czartoryskiemu na wygnaniu. Szukając więc nowych dróg do wielkiego celu, gdy dawne zawiodły, sprzymierzał się nieraz z wczorajszymi przeciwnikami i to często ci, którzy go nie pojmowali, brali za zmianę przekonań.

Rozbrat przyszły pomiędzy Mochnackim a filarami *Nowej Polski* przewidzieć nie trudno, gdy zestawić to, co o walce kierunków literackich przed rewolucyą i o jej stosunku do rewolucyi pisali taki J. B. Ostrowski a Maurycy Mochnacki. W pierwszych tygodniach rewolucyi pisze J. B. Ostrowski w *Kuryerze Polskim* w Nrze z dnia 28 grudnia 1830 roku: »Sporami o romantyczność i klasyczność zaślepialiśmy oczy naszym cenzorom, naszym ciemięzcom, przekonani, że jeśli potrafimy wywrócić naukowe prawidła, jeśli zdołamy umysł Polaków przyzwyczaić do swobodnego widzenia wszystkich rzeczy, łatwo tem samem damy im poznać naszą polityczną nicość, podeptanie naszych swobód... Szkoła romantyczna była szkołą politycznej rewolucyi... Wprzód należało pomyśleć o potrzaskaniu kajdan, tamujących wolny polot myśli, narodowych wyobrażeń i usposobień. Dla tej przyczyny pisarze szkoły romantycznej byli zawsze krytyczni, pragnący wszystko burzyć i wywracać, dlatego pisma ich ożywiały zapał, uniesienie, a czasem nienawiść...«

W numerze wstępnym *Nowej Polski*, pisma, założonego w styczniu 1831 r. przez młode grono, które niebawem utworzyło Towarzystwo Patryotyczne, czytamy taką

apoteozę trzech młodych krytyków, Mochnackiego, J. L. Żukowskiego i J. B. Ostrowskiego, skreśloną piórem samego Ostrowskiego: »Ci trzej młodzieńcy, nie znający nawet siebie, za dawnego rządu ogłaszani szaleńcami, wznowicielami, burzycielami, chętnie i najgłębiej przekonani, przyjęli wielkie imię wznowicieli, burzycieli. Przeświadczeni o już rozwinionej wewnątrz narodu rewolucyi, przeświadczeni o historycznej konieczności odrodzenia Polski, że tak powiem, olbrzymim uniesieni szałem, zaczęli podkopywać, najsilniejszem rozumowaniem wywracać wszystkie na oko niewzruszone podstawy naszej naukowej budowy...«

Dalej mówi, iż rewolucya 29 Listopada »była tylko objawieniem się, uzmysłowieniem zupełnej, już skończonej, moralnej, naukowej, religijnej i politycznej rewolucyi narodu. Nie jest ona skończeniem, ale początkiem, pierwszą sceną zdumiewającej dramy, odrodzenia naszej Ojczyzny«.

»Organem tej politycznej i naukowej rewolucyi, organem mniemań, wzywających do śmiałego działania i zupełnego przeistoczenia naszej ojczyzny, ma być dziennik *Nowa Polska*. Tak, chcemy zupełnie odrodzonej, zupełnie nowej, politycznej i naukowej Polski...«

Uderza tu zabawna afektacya miernego dziennikarza, który był nietylko w rewolucyi politycznej, lecz i w przełomie literackim skromnym pionkiem, efemerydą, a który przypisuje sobie jakąś rolę demoniczną. Przedstawienie krytyki literackiej młodych, jako celowej propadentyki powstania, grzeszy przesadą, jest to w najlepszym razie złudzenie retrospekcyjne młodego dziennikarza, który po 29 Listopada nagle uczuł się powołanym do polityki i pragnie przekonać siebie i innych, że oddawna już pracował na te wielkie wypadki. Widzieliśmy, że i Maurycy, który wkrótce okazał się istotnie urodzonym politykiem, nieco innego kalibru, niż Ostrowski, nie oddychał bynajmniej samą polityką przed powstaniem, w owych »wylewach« przed Goszczyńskim mówił o poezyi i muzyce,

w owej »boskiej improwizacyi« przy J. B. Zaleskim — o Bogu, duszy, przeznaczeniu ludzkości. Dopiero po wybuchu rewolucyi sprawa narodowa pochłonęła jego duszę; w krótkiej przedmowie do swej *Literatury*, skreślonej dnia 14 grudnia 1830 roku, Mochnacki »wszystkie egzemplarze swego pisma na to skazuje, żeby butwiały w księgarniach, póki nie odzyskamy bytu politycznego«; przed 29 Listopada był i on połową duszy estetą, literatem. Zbyt wielką rolę pozatem w przygotowaniu rewolucyi przypisuje Ostrowski młodej trójcy krytyków, wśród której on był jeszcze wielkością najdrobniejszą, mniejszą nietylko od Mochnackiego, lecz i od zdolnego autora pracy *O pańszczyźnie* Żukowskiego. A i samą rewolucyę listopadową pojmuje, jako jakiś przewrót kulturalny, umysłowy, moralny, wiele i groźnie mówi o burzeniu form dawnych, gdy zaś przechodzi do owych spodziewanych form nowych, stać go tylko na tak mętne wyjaśnienie, iż rzeczy zmierzają do »jeszcze przez nas samych niepojmowanej i jasno nie widzianej przyszłości«. W styczniu czas już było, aby patryota i radykalista bliżej wyjaśnił sobie cele rewolucyi listopadowej, jeśli tylko umysł jego, nie zamglony fikcyami, pojmował znaczenie wypadków. Gdy przeto w dalszym ciągu owego programowego artykułu mówi Ostrowski, iż pismo jego chce »naukowej rewolucyi, umysłowej kreacyi«, przechodząc zaś do polityki, woła, że »naszym władcą będzie król obywatel, naczelnik i pełnomocnik władzy narodu«, wtedy pojmujemy wreszcie jasno, że mamy do czynienia z przeszczepioną na nasz grunt bez zastanowienia parafrazą artykułów z ówczesnych francuskich dzienników radykalnych, które stanowiły stałe źródło natchnienia J. B. Ostrowskiego, T. Krępowieckiego, A. Gurowskiego i im podobnych rezonerów naszej rewolucyi i emigracyi.

W pracy swej o Literaturze polskiej uzasadnia Mochnacki ideę, że w piśmiennictwie swem naród polski powinien dojść do samowiedzy — do uznania siebie w swem

jestestwie. Rozpoczyna od roztrząsań filozoficznych, przechodzi do zasad ogólnych estetyki, potem zaś dopiero przystępuje do uwag nad literaturą polską, rozwija zaś je na tle ogólnych rozważań nad istotą ducha narodowego i nad zagadnieniami, wiążącemi się ze sprawą życia narodowego. Praca o literaturze, będąca zebraniem w całość i uzupełnieniem artykułów dawniejszych, nie dorównywa pod względem jędrności, przejrzystości i świetności stylu późniejszym pismom Mochnackiego; dopiero płomień rewolucyi listopadowej przejął żarem mózg Mochnackiego i dał mu ten styl ognisty, którym wypalił na wieczne czasy na kartach naszej literatury niezrównane obrazy ludzi, obozów, wypadków. W *Literaturze Polskiej* myśl Mochnackiego, jakby zasnuta lekką mgłą metafizyki niemieckiej, to znów, gdy o narodowości mówi, umyślnie może spętana, przysłoniona alegoryami. Ale współcześni mu czytelnicy, a przedewszystkiem młodzi, byli biegli w rozwiązywaniu tych zadań algebraicznych. »Wszystkie on zaprawdę wołania i zaklęcia swoje odnosił i stosował do literatury... Ale polska młodzież odgadywała tak łatwo estetykę krytyka, jak dobrze rozumiała romantyczność poetów swoich« — mówi jeden z ówczesnych ludzi o artykułach Mochnackiego, z których powstała jego książka o *Literaturze*[1]. »Rozumiano — mówi dalej ów autor — co rozumiał Mochnacki, gdy pisał o potrzebie dla narodu, uznania samego siebie w swem jestestwie«. »Był to język bez wątpienia mistyczny, ale mistycznym także był psalm Akademików: *Dies irae* na Pradze i mistycznemi były kartki po rogach ulic Warszawy z napisem: »Belweder do najęcia!« A jednak byli tacy, którzy ten mistycyzm zrozumieli tak jasno, że za sprawą ich błysnął na całą Polskę światlejszą od wszystkich dziennych jasnością nocy 29 Listopada«. Raczej za wiele, niż za mało

[1] Leon Zienkowicz. »Przegląd polityczny pisarstwa emigracyi polskiej«. Paryż 1848, str. 50 i nast.

myśli ukrytych czytała młodzież pomiędzy wyrazami tchnących miłością narodu kart Mochnackiego.

Jako prawy uczeń Schellinga, utyskuje Mochnacki na bezduszny utylitaryzm, jaki się rozplenia wśród nowoczesnej kultury mieszczańskiej, na banalność, oschłość życia współczesnego, które oderwało człowieka od natury i uczyniło zeń maszynę, wytwarzającą myśli, uczucia i czyny błahe, zdawkowe, jak towar fabryczny. Idealizuje epokę dawną, gdy »duch ludzki zawodził na głębią«, gdy umysł szybował wyżej i sięgał głębiej, podczas kiedy moc pojęć u ludzi nowoczesnych wszerz się jedynie roznosi, a instynkt, ze wszystkiemi jego cudownemi przymiotami przenikania, przeczuwania natury, w ich duszy zanika. Spirytualizm Mochnackiego, jak u Schellinga, przechodzi nieraz w mistycyzm; oznajmia w jednem miejscu *Literatury*, że wierzył zawsze i wierzy w astrologię podziemną, w związki czarnoksięskie, moralne i chemiczne, w powinowactwo natury anorganicznej z organiczną, w związki metalów, kamieni z istotami rozmyślającemi, zaczyna jednem słowem zdradzać skłonność do wiary w okkultyzm. Ten nastrój, któremu przelotnie składa daninę w młodości, nie wraca w późniejszych pismach, wyparły go wrażenia życia rzeczywistego; wypadki kolosalne, które go porwały, nie dały mu czasu na wybieganie myślą poza granice świata realnego i życia doczesnego. Pod koniec życia dopiero, jak stwierdza świadek ostatnich chwil jego, Antoni Walewski, wpadał Maurycy w jakieś uniesienie mistyczne, twierdził, że słyszy mowę duchów, prawił o związku duchowym i porozumieniu zmarłych z żywymi; czy to były halucynacye mózgu, już będącego w gorączce, czy też pierwsze oznaki zwrotu do mistycyzmu, do którego z takim fatalizmem ciążyło tyle duchów wybranych wśród polskich tułaczów, to orzec dziś niepodobna; nie można więc wiedzieć, czy te młodociane napomknienia mistyczne stanowiły odgłos głębiej tkwiącego w duszy usposobienia, które później rozwinąć się miało, czy też jedynie osad

przelotny czytanych książek, rychło i łatwo zwiany przez myśli trzeźwiejsze. Bądźcobądź, w późniejszej dobie czynu i twórczości nigdy nie opuszczał Maurycego głęboki spirytualizm, który tak odpowiadał orlemu polotowi jego ducha; zachował wstręt do pełzania leniwego i lękliwego myśli i czynu, wiarę w natchnienie, którem się rządził sam, proroczo odgadując przyszłość, a którego odmawiał Chłopickiemu, mężom sejmowym i tym wszystkim, co nie byli zdolni wyczuć i objąć duchem całego ogromu, całej potęgi i poezyi sprawy narodowej [1].

Od rozważań ogólnych przechodzi do literatury polskiej. Literatury stanisławowskiej nie stawia wysoko; wyrosła pod wpływem owoczesnej filozofii — oschłego racyonalizmu lub empiryzmu poziomego, stąd jej wady — brak żywego natchnienia i piętna rodzimego. Z obcemi wyobrażeniami — mówi — wcisnęły się do nas obce uczucia, zwyczaje. »Wzmogliśmy się cudzą iścizną. Wszystko było postronne: postawa, kształt, ułożenie«. Za główną więc wadę tej literatury poczytuje, że nie przeorała głęboko gruntu rodzinnego, że przez wiatr obcy była do nas przywiana.

W cywilizacyi nowoczesnej postrzega groźbę dla od-

---

[1] Tę poezyę, tę moc natchnienia wyczuł Mochnacki znakomicie w generale Prądzyńskim. Patrz w tomie II-gim »Powstania« (wydania 1863 roku): charakterystyka porównawcza generałów Prądzyńskiego i Chrzanowskiego; znajduje pomiędzy nimi tę różnicę, jaka zachodzi pomiędzy »poetą a praktykiem, między porywem z natchnienia a rachunkiem« (strona 217).

Pod pewnym może wpływem tego ustępu Mochnackiego napisana jest porównawcza charakterystyka dwóch tych wodzów we własnych Prądzyńskiego pamiętnikach (Tom I). »Prądzyńskiego umysł był zawsze skłonny do egzaltacyi, a ojczyzna była bóstwem całego jego życia« (strona 531 I-go tomu »Pamiętników«). »Ale wojna ma także swoją poezyę, jest to owa część sztuki, która (jak Napoleon napisał) ani w książkach, ani w szkole wyuczyć się nie da. Dla tej wyższej części sztuki wojennej był zupełnie nieprzystępny umysł Chrzanowskiego«. (»Pamiętniki«, I, strona 528).

rębności narodu. Wszyscy teraz w Europie — mówi — jednako myślą, czują, piszą, jest to skutek »powszechnego mechanizmu pojęć, mechanizmu myślenia«. W tej jednostajnej cywilizacyi, zacierającej właściwość indywidualną i wszystkie pierwotne cechy, jakże trudno odkryć i wyłączyć istotę naszego narodu w rodzinnej jego osiadłości«. »Rodzicielstwa znamię«, niegdyś tak wydatne, dziś się ściera.

Oto jest punkt środkowy, w którym zbiegają się wszystkie promienie myśli Mochnackiego o literaturze. Protest przeciwko oschłej mechaniczności myślenia kojarzy z obroną entuzyastyczną narodowości. Patryotyzm — to dla Mochnackiego, rzec można, nietylko potrzeba serca, lecz i nakaz kategoryczny jego intelektu, synteza jego filozoficznego i artystycznego stanowiska względem literatury. Kosmopolityzm w jego oczach to doktryna sucha, szara, blada, ścierająca piętno malarskie z człowieka i społeczeństwa, to płytkość myśli, to głuchota i ślepota na to, co w życiu ludów jest barwne, głębokie, serdeczne, krwią tętniące; naturę jego artystyczną pociąga barwa, znamię, koloryt, charakter szczególny, indywidualny, czy to w człowieku, czy w narodzie.

Snując swe myśli dalej, przechodzi do ciekawych, głęboko odczutych roztrząsań o istocie narodu, wyprzedzając o pół roku *Mowę o narodowości Polaków* Brodzińskiego. Narodowość pojmuje w znaczeniu duchowem, idealistycznem, nie tak jednak mistycznem, jak później Brodziński, Mickiewicz, Cieszkowski; istotę narodu widzi w pojęciach, uczuciach, odpowiadających instytucyom politycznym, prawodawstwu, a nawet będących w związku z położeniem geograficznem, klimatem; w tych ostatnich punktach znać ślad wpływu Monteskiusza. W literaturze zachodniej rozważania Mochnackiego o narodowości są już poprzedzone chociażby przez prace Herdera, mowy Fichtego, książkę pani de Staël, w literaturze naszej poprzedniej nie brak zapewne złotych myśli o istocie na-

rodu, chociażby dawniej u Skargi, później u Staszyca i Kołłątaja, tak barwnych atoli, odczutych, świetnych kart, myślom o duchu narodu poświęconych, przed Mochnackim nie było; ani Staszyc bowiem nie rozwijał bliżej i głębiej swej myśli, że »społeczność jest to moralna istność«, ani Kołłątaj — swego wezwania do społeczeństwa, aby »ośmieliło się być narodem«.

Narodowość winna gruntować się na przeszłości dziejowej; poetycznym językiem biblijnym uzasadnia Mochnacki tę prawdę. »Cóż stąd, że żyjemy z dnia na dzień, jak żebracy, tułacze, jałmużną się utrzymujący, którzy nie mają gdzie głowy skłonić ku wieczorowi!« — woła. — »Wszelki lud rodowity, w historyę świata zachodzący, jest jak roślina w patryarchalnej osiadłości — korzeniem jej przeszłość historyczna«. Pojmowanie samego siebie w swem jestestwie, niezbędne dla narodu, polega na tem, aby »za każdem uderzeniem pulsu i w każdem nieledwie tchnieniu naszego życia wywijało się z zapadłej niepamięci zatracone narodu jestestwo«. »Gałązka, odcięta od szczepu, którą wiatr daleko unosi na pustynię, gdzie uschnąć musi... to naród, dawnych czasów w swej nie mający pamięci«. Jak człowiek może stracić pamięć, dostać obłąkania, tak bywa i z narodem. »W umyśle jego jest także pamięć, którą stracić może... W umyśle narodu może także ściemnieć i zgasnąć wewnętrzny świecznik«. Cóż się wówczas dzieje? — pyta Mochnacki i daje surową odpowiedź: »Oto cienie przeszłości tułają się bez czci i pożałowania. Nikt nawet nie wie, gdzie są groby wielkich ludzi, a wiara, cnota i nadzieja odlatują w inne czasy [1]... Literatura stroi się kradzionemi wdziękami i cu-

[1] W rękopisie dzieła Mochnackiego, znajdującym się w bibliotece Akademii Umiejętności, redakcya tego ustępu nieco odmienna od tekstu pracy drukowanej. Czytamy tam mianowicie: »W tym umyśle może także ściemnieć i zgasnąć wewnętrzny świecznik. Cóżby się wówczas stało? Oto cienie przeszłości tułałyby się bez czci i pożałowania. Niktby nawet nie wiedział, gdzie są groby wielkich ludzi; wiara, cnota i nadzieja odleciałyby w inne czasy«.

dzą wzbogaca, a raczej ubożeje iścizną«. Biada takim ludom. »Samych siebie nie znają; są tylko przedmiotem rozumienia i znawstwa dla drugich.«.

Ustępy te rzucają sporo światła na późniejszą działalność polityczną i pisarską Mochnackiego. Już w lecie 1831 roku pomawiali go mężowie Honoratki o zdradę własnych przekonań; na emigracyi, gdy rozszedł się z demokratami i liberalistami, zarzucano mu — w stylu insynuacyi emigracyjnych — zaprzedanie się arystokracyi. Gdy atoli bierzemy do ręki artykuły, pisane w epoce owego mniemanego odstępstwa, uderza nas zupełne powinowactwo myśli z opiniami przedrewolucyjnemi Maurycego. Wystarczy przejrzeć dwa artykuły, pisane w pierwszych dniach rządów Krukowieckiego w *Dzienniku Krajowym:* »Restauracya Polski« i »Restauracya i rewolucya«. Pierwszy z nich powitany został, jako zwrot Mochnackiego ku opiniom utemperowanym. Uzasadnia w obydwóch artykułach myśl: rewolucya jest środkiem, a restauracya celem naszego powstania. Rewolucya był to »akt narodowej pamięci, ocuconej w nocy 29 Listopada z długiego letargu«. Jeśli powstaniemy, to jako stara, potężna Polska, nie zaś ta, »której widzenie autorowie dziwolągów politycznych w swoich snach miewają«, a która jest »utopią mędrkujących teoretyków«. »Polska sprawa nie jest genetycznym pierwiastkowych społeczeństw procesem..., ale raczej jest to dzieło odzyskania, restauracya«. Nie należy obecnie, mniema, spierać się o formę rządów lub o stronnictwa, »bo to tylko po restauracyi, po wyjarzmieniu się być może«, nie trzeba »chcieć być narodem przed odzyskaniem bytu narodowego«, odzyskanie to winno również »socyalną poprzedzić naprawę«. Gani tych, którzy »wszystko zasadzają na tem, co jest teraz, a co przeminęło, na złe wykładając, albo jawnie sromocą, albo w opaczne przywodzą mniemania«. Wszystko to brzmi, jak przełożone na język polityki te myśli, które rok przedtem nasuwały mu się, gdy rozmyślał o za-

gadnieniach ducha narodowego; i tu i tam wydobywają się na jaw głęboko tkwiące w Mochnackiego duszy wierzenia. Zacietrzewieni zelanci fakcyi, trzymający się swych formuł z ciasnym uporem, widzieli jakiś zwrot niespodziany wtedy, gdy myśl Mochnackiego po krótkiem oszołomieniu wirem wypadków wracała na własny tor. A na emigracyi on, który ze zgrozą mówił o obłąkaniu pamięci narodowej, o tem, jak cienie przeszłości tułają się bez czci i pożałowania, czyż mógł iść z tymi, którzy oklaskiwali mowę Krępowieckiego na obchodzie 29 Listopada 1832 roku, gdy lżył przeszłość narodu i »związanej od Moskali Polsce dał policzek?«

Poza tym pierwiastkiem narodowym, świadomym, samowiednym, moc żywiołu rodzimego objawia się jeszcze silniej, drogą nieświadomą, mimowiedną, w potężnym i świetnym języku, który posiada dar przenikania do najskrytszych tajników duszy narodowej i wydobywania na jaśnię najbardziej ciemnych jej zagadnień; nieliczni z pisarzów naszych posiedli ten klucz tajemny do skarbnicy ducha narodu. Cała nawet obfita naleciałość postronna cudzoziemska w tej pracy młodzieńczej przyćmiona barwnem bogactwem cudownej mowy, tonie w fali żywiołu rodzimego. I wówczas nawet, gdy czerpie Mochnacki ze źródeł obcych, z teoryi niemieckich, dusza jego zasnuwa tę obcą kanwę złotemi nićmi uczuć polskich i rodzimego natchnienia.

ROZDZIAŁ II.

Wybuch 29 Listopada. — Pierwszy tydzień Rewolucyi. — Klub patryotyczny. — Działania Mochnackiego przeciwko Radzie Administracyjnej. — Upadek jego planów. — Dyktatura Chłopickiego, jako objaw znamienny psychologii Polski porozbiorowej. — Szujskiego Józefa opinia o Polsce porozbiorowej, w zestawieniu z poglądami Mochnackiego.

Pierwszy tydzień Rewolucyi, zakończony obwołaniem dyktatury Chłopickiego w dniu 5 grudnia, stanowi okres niezmiernie ważny i charakterystyczny; przenikliwy wzrok Mochnackiego dostrzegł w wypadkach tych dni kilku oznaki złowrogie, które osłabiły insurekcyą w samym jej zawiązku i które miały skrzywić i spaczyć ruch, zanim został on stłumiony przez oręż nieprzyjaciela. Przestrogę swą wykrzyknął głośno, rzucił ją śmiało i groźnie, w chwili powszechnego uniesienia i radości i o mało życiem nie przypłacił swej przenikliwości i odwagi. Od nocy 29 listopada do 5 grudnia przeżył Mochnacki całą epokę, poszybował w górę, wzniósł się do chwilowego znaczenia i wpływu i z zawrotną szybkością spadł na dół, wydrwiony, wyklęty, śmiercią z ręki rodaków zagrożony. Bez bliższego wniknięcia w wypadki tych dni nie sposób pojąć ani dalszych losów, ani dalszej działalności Mochnackiego.

Bohaterski atak podchorążych i belwederczyków stanowił piorunujący apel bojowy, echo tego hasła atoli było tak niespodzianie słabe, powodzenie pierwszych działań

tak wątpliwe, że w nocy z 29 na 30 listopada losy rewolucyi były mocno zagrożone. Jak zwykle w takich nagłych, z błyskawiczną szybkością wzniecanych ruchach, oprócz przyczyn głębokiej powszechnej natury, wielki wpływ na powodzenie działań wywiera traf, wypadek. Tak było i wieczorem 29 listopada. Sygnał chwycenia za broń — pożar na Solcu — zawiódł; stary, zbutwiały browar, zapalony o godzinie $5^1/_2$, szybko został ugaszony i od godziny 6 wtajemniczeni w spisek wojskowi i cywilni napróżno wytężali wzrok w stronę Solca, wyglądając łuny; to odrazu pomieszało szyki spiskowym. Podobne do tego trafy niepomyślne w wybuchach dobrze przygotowanych i napotykających gorące i jednomyślne przyjęcie ze strony ogółu, mogą być rychło zagładzone i naprawione przez szybkie i zgodne działanie przywódców i entuzyazm ludu. Lecz tu właśnie na jaw wyszły głębokie braki powstania. Ludność stolicy w ogromnej większości nietylko nie była w spisek wtajemniczona, bo to zresztą nie byłoby pewnie zbyt bezpieczne i wskazane, lecz poprostu nie była na ten wybuch dość moralnie przygotowana, brakło jej na razie i rozumienia tego, co się dzieje, a nawet z początku i odwagi do walki. Ten brak atoli niespodzianie dzięki bezczynności nieprzyjaciela wyrównał się wkrótce i naprawił samym pędem wypadków, naturalnem wezbraniem powszechnego zapału. Groźniejsze było to, iż cała niemal starszyzna wojskowa okazała się albo wręcz wybuchowi niechętna, albo w najlepszym razie, wahająca się, niezdecydowana, oczekująca na rezultat ruchu, poza nią wszczętego i jej obcego. Nie dość na tem, stało się to, co się zapewne nie przyśniło największym pessymistom spisku; oto powstanie odrazu wieczorem ujrzało obrócony przeciwko sobie oręż bratni. Pułk konny strzelców gwardyi usłuchał wezwań do wierności godnych dowódców swoich: Krasińskiego Wincentego i Kurnatowskiego, podążył cwałem w Aleje do boku wodza naczelnego i w pierwszych dniach powstania rozwinął bezprzykładną,

odbijającą od bierności pułków rosyjskich gorliwość w tłumieniu buntu. Dzięki zabiegom, a nawet podstępowi szaserów, działa bombardyerów, na które insurgenci bardzo rachowali, i sześć kompanii piechoty polskiej znalazły się w obozie cesarzewicza. Nie udało się nadto ani rozbrojenie trzech pułków jazdy rosyjskiej, konsystujących w koszarach południowej części miasta, ani dwóch pułków piechoty rosyjskiej, wołyńskiego i litewskiego, umieszczonych jeden w powązkowskiej, drugi w marymonckiej dzielnicy[1]. To też około godziny 9 wieczorem, gdy spiskowcy czynili wszelkie, przez pewien czas bezowocne wysiłki, aby skłonić dowódców oddziałów polskich prośbą, zaklęciami, pogróżkami, czasem nawet siłą, do połączenia się z insurrekcyą, W. Książę, ochłonąwszy nieco z przerażenia, stał już w Alejach Ujazdowskich, gotowy, jak się mogło wydawać, do walki, mając przy sobie, oprócz wymienionych oddziałów polskich, trzy pułki jazdy rosyjskiej; dwa zaś pułki piechoty groziły powstańcom od północy.

Tymczasem ludność miasta, nieprzygotowana, oszołomiona w pierwszej chwili, nie wiedząca dobrze, czy to nie rozruch jakiś zuchwały a błahy, który niebawem będzie stłumiony, okazywała lęk, niedowierzanie; sklepy, bramy, drzwi, okiennice pospiesznie zamykano, mieszczanin pierwszym odruchem samozachowawczym krył się w głębi swego mieszkania. Najprędzej drgnął na apel powstańczy żołnierz-szeregowiec, tu wśród szarej wiary lęku nie było, była w pierwszej chwili chwiejność, zrozumiała wobec postawy dowódców; naogół jednak nawoływania spiskowych przyjmowali żołnierze z wciąż rosnącym zapałem; pod jego naciskiem dowódcy powoli muszą ustępować, jedni już nawet sami porwani ruchem, inni ulegając przed groźbą sądu doraźnego. Jeśli wśród ludności

[1] Wyczerpujący rozbiór błędów, popełnionych przez autorów powstania, zawarty w tomie I »Pamiętników« Prądzyńskiego.

cywilnej gotowość do boju, zanim ogarnęła masy, musiała wprzód zwyciężyć instynkt samozachowawczy, który przysłonił w pierwszej chwili popęd powstańczy, to charakter oporu wojskowych przeciwko ruchowi był zgoła inny. O brak odwagi, choćby chwilowy, trudno posądzić takiego Stanisława Potockiego lub Trębickiego, ludzi znanych z męstwa, a zresztą zdecydowanych przecież przypłacić życiem swój upór; nie podobna posądzać o tchórzliwość i tych oficerów, którzy później, przystąpiwszy do sprawy, zasłynęli męstwem, jak Żymirski, Skrzynecki, Sowiński, a którzy teraz okazywali usposobienie względem wybuchu wyraźnie niechętne. »Powiedz pan W. Księciu, że jestem z nim duszą i ciałem«, miał rzec do generała Siemiątkowskiego przyszły wódz powstania, pułkownik Skrzynecki i namówił go, by udał się do boku Cesarzewicza. Nadzieja zaś i chwała rewolucyi, generał Chłopicki, który wiedział dobrze, co się święci, gdyż spiskowcy porozumiewali się z nim wcześniej, bezskutecznie zresztą, — na wieść o wybuchu ukrył się w pałacu prymasowskim i pokazał się dopiero 30 listopada wieczorem. W tem zachowaniu dygnitarzy wojskowych odbiło się ogólne usposobienie, jakie ogarnęło w większym lub mniejszym stopniu całą niemal generacyę starszą w okresie Królestwa Kongresowego. Składała się na owo usposobienie i puścizna po dobie upadku Rzplitej, ciężkie dziedzictwo wad, które występowały wciąż z całą mocą atawizmu politycznego, choć zwykle zamaskowane, zakapturzone, a także przywary nowe, świeżej daty, które zdołały przylgnąć do duszy narodu w ciągu dziesiątków lat upokorzenia i ucisku, smutne stygmaty niewoli i rozdarcia narodu. Jedne i drugie pokrywały duszę zbiorową tem grubszą warstwą, im wyżej w hierarchii społecznej Kongresówki się posuwamy, bynajmniej nie dzięki jakiejś obojętności narodowej warstw wyższych, zaś płomienności patryotycznej warstw niższych; tego bowiem, że sprawa narodowo-polityczna wśród warstwy wyższej Królestwa wówczas miała żywych i czyn-

nych rzeczników, nikt zaprzeczać nie może; przyczyna raczej polegała na tem, że ta warstwa, która z racyi swego niższego w społeczeństwie stanowiska, bardziej była odsunięta od czynnego udziału w życiu politycznem Kongresówki, mniej żyła teoryami i doktrynami politycznemi, które opierały daleko idące nadzieje na sile obcej i obcej życzliwości, więcej zaś rządziła się instynktem ocalenia, zmysłem ratunku od wroga o własnej mocy, tym, jednem słowem, przyrodzonym rozsądkiem, który występuje w chwilach groźnych wśród mas, o ile nie jest spaczony przez sztuczną kalkulacyę, przez propagandę bierności. Stąd też ogół ten żywiej, prościej i radośniej odczuł wybuch żywiołowy 29 Listopada, choć nie bez chwili wahania. Te więc wątpliwości i obawy, jakie zrodził ten wybuch w duszach polskich, głęboko tkwiły wśród wyższej hierarchii wojskowej i cywilnej, wśród generalicyi i Rady Administracyjnej; lekką zaś tylko przelotną chmurą przeszły nad średnią i drobną szlachtą i mieszczaństwem, gdzie pleśń doktryny politycznej spoczęła zaledwie cienką warstwą. O ludzie wiejskim, rolnym, jako o samowiednym czynniku narodowym i politycznym, w okresie Kongresówki nie można mówić, a i w czasie rewolucyi przebudzenie jego nie nastąpiło.

Otóż w tych olbrzymich szczerbach, jakie na harcie i rozumie narodowym poczyniły naprzód długie lata rozkładu i upadku Rzplitej, a których nietylko nie wyrównał, lecz prędzej pogłębił, okres niewoli i zawisłości politycznej, gnieździły się zawiązki tych obaw, zwątpień i chwiejności, a nawet jad jakiejś obłąkanej nienawiści, z jaką część społeczeństwa przyjęła dzwon na trwogę, który miał wybić godzinę wskrzeszenia narodu. W latach upadku i niedoli osłabła wiara w siły narodu i w wielkość sprawy narodowej, zatracona została myśl roli dziejowej Polski, zaniknął zmysł polityczny, rozplenił się gnuśny sofizmat, że naród o własnych siłach powstać nie może, a zwłaszcza rzecz jeszcze groźniejsza, bo czyniąca z nas narzędzie

ślepe w ręku obcych potęg, rozkrzewiać się poczęła opinia, że działania dobroczynne obcych potęg, że względy postronne międzynarodowe lub interesy polityczne obcych państw i dynastyi zdolne są przywrócić całość i niepodległość narodu. Pod tym względem rozbiory Polski bynajmniej nie sprowadziły zmiany na lepsze. Zanik zmysłu politycznego i godności narodowej wśród olbrzymiej warstwy szlachty polskiej w wieku XVIII przypadał na dobę powszechnego upadku, rozstroju, ogłupienia, lepsza atoli odradzająca się część narodu w drugiej połowie stulecia trafnie i dobrze pojmowała i gorąco odczuwała i interes narodowy i ideę polską. Teraz zaś po wielkiej klęsce drugiego i trzeciego rozbioru zarysowało się zachwianie idei polskiej w najtęższych głowach i najlepszych sercach. Naprzód tedy związano wiernie sprawę polską z gwiazdą Napoleona i, pomimo oczywistych i zresztą zrozumiałych oznak używania przezeń Polski do własnych celów, przytroczyli szczerzy patryoci sprawę polską do napoleńskiego strzemienia, wlekli ją po wszystkich bojowiskach europejskich, aż wreszcie utonęły te nadzieje wraz z Poniatowskim w Elsterze; nadzieje utonęły, ocalony został jedynie honor Polaków, i oto sztuczne to kryteryum honoru Polaków zdaje się brać górę ponad jedynie prawą i uprawnioną zasadą — dobra narodu, samoistności narodowej, do której droga prowadzi tylko przez łączne wysiłki narodowe, własną sprawę za cel i miarę czynów mające. Gdy ta gwiazda przewodnia, oświecająca drogi narodowe, chwilowo zagaśnie, wtedy ludy dają się uwodzić błędnym ogniom i jednym z nich stało się owo widmo honoru. Już w epoce Napoleońskiej zwodniczy ten ognik zawiódł Polaków na rozstajne drogi: gdy jedni, jak książę Józef, dążyli aż do grobu za Napoleonem, inni mniemali, że niepięknie opuszczać Aleksandra w nieszczęściu. Wkrótce gwiazda Aleksandra olśniła z kolei swym blaskiem zbłąkane upadkiem wiary we własną moc umysły Polaków i znów zapanowała wiara

we wspaniałomyślnego wskrzesiciela; kategoryczny nakaz wdzięczności i wierności zawładnął sumieniami, nowa mara honoru wystraszyła z Kongresówki jasną świadomość nieubłaganej tragedyi narodu. Ugruntowało się obłędne mniemanie o podobieństwie wskrzeszenia Polski przez cesarza rosyjskiego, w chwilowej fantasmagoryi Aleksandra chcieli widzieć Polacy interes dynastyi rosyjskiej, zaś interes dynastyi rosyjskiej, w przypuszczeniu nawet, że zgadzał się on choć przez chwilę z odbudowaniem Polski, zasłonił przed ich wzrokiem donioślejszą sprawę — interes państwowy Rosyi, którego wyobraziciele — sfery dygnitarskie, wojskowe, reprezentujące patryotyzm rządowy i tradycye stanu, połączenie ziem zabranych z Królestwem pod berłem konstytucyjnem króla polskiego uważałyby za obłęd lub zbrodnię. Gdy rozważamy dziś tę kolosalną utopię polityków polskich, nie liczących się z odwieczną naturą walki dwóch narodów, z twardymi rysami nieubłaganego dramatu dziejowego, który nagle zamarzyli przerobić na idyllę, gdy widzimy to zarozumiałe traktowanie, jako nieprzyjaciół niemal sprawy narodowej, tych, którzy nicość iluzyi przejrzeli, gdy zastanowimy się nad tem zboczeniem zmysłu politycznego, zastąpionego przez jakiś niewieści instynkt powoju, obwijającego się dokoła obcego berła, czujemy, że duszę narodu owiewa zatrute tchnienie z rozwartego grobu Rzplitej, że to wciąż pokutuje za dawne grzechy doktrynerski duch szlachty polskiej, która przez całe trzy wieki zamykała oczy na najistotniejsze i najwidoczniejsze prawdy bytu narodowego. Czyż nie tchnie atawizmem zastarzałej ciemnoty obraz takiego dyktatora Chłopickiego, który już po wyraźnem rzuceniu rękawicy dumnemu Mikołajowi wciąż mniema, że bez walki uzyskamy zaspokojenie obszernych żądań, lub Czartoryski, wymawiający przy podpisaniu aktu detronizacyi wyrazy »zgubiliście Polskę«, jakgdyby po nocy 29 Listopada, po manifeście sejmowym możliwe było jeszcze jakieś wymarzone ojcowskie pogodzenie się »króla z naro-

dem«, albo tenże Czartoryski, gdy na sesyi dnia 30 stycznia, już jako prezes Rządu Narodowego oznajmia, że za cel i zasadę postępowania swego przyjął był skojarzenie sławy szlachetnego Aleksandra z uszczęśliwieniem i wskrzeszeniem opuszczonej Polski.

Za czasów Jana Kazimierza, w dobie srogich, bezprzykładnych klęsk, Andrzej Maksymilian Fredro pouczał, że Polska póty istnieć będzie, póki nie będzie miała fortec, dopóki pospolite ruszenie będzie główną jej siłą. Na Sejmie 1766 roku M. Wielhorski dowodzi, że Polska nie zginie, dopóki będzie słaba, bo mocna zagroziłaby *aequilibrium* europejskiemu. Hetman Seweryn Rzewuski w swej pracy, w r. 1790 wydanej, wyłuszcza z powagą, że główną groźbę dla Rzplitej stanowi władza despotyczna króla, »bo dodawać władzy tronowi, jestto słabić Rzplitą, a ktoby więcej władzy królom dać chciał, wtedy *hostis patriae sit*«. Zaś dyktator Chłopicki, postawiony na czele wojska, wierzy w to, że zbrojenie ludności tylko szkodzi sprawie narodu, bo obraża króla, że on wyjedna poszanowanie konstytucyi za pomocą układów, w razie zas trudności skorzysta z życzliwej medyacyi króla pruskiego, za pośrednika zaś ku temu użyje, z całem przekonaniem o swym rozumie politycznym, arcy-łotra, szpiega i oszusta, konsula pruskiego w Warszawie, Schmidta. Mochnacki zaś za to, że zawczasu odgadł i przewidział tę alchemię polityczną Chłopickiego, okrzyknięty jako *hostis patriae*.

Tak więc aleksandrowska utopia restytucyi ziem polskich, uważana przez Rosyan karamzynowskiego patryotyzmu za ciężki błąd stanu, przyniosła pewną szczególną korzyść Rosyi, bo zamąciła umysły wielu Polaków, przyćmiła wśród nich jasną i prostą myśl walki, nadwątliła energię powstania; najchytrzejszy z Greków z za grobu jeszcze świadczył przysługę swemu państwu, siejąc zamęt i rozterkę w obozie insurrekcyi, mamił z mogiły nieopatrznych Polaków swym zagadkowym, czarującym uśmiechem. Jeśli na lep utopii restytucyjnej poszli ludzie nie-

zaprzeczonego przywiązania do kraju i doszli tą drogą bezwiednie do pewnego dwu-patryotyzmu, a więc i — półpatryotyzmu, to poza tem wśród wielu osób, szczególnie wyższej magistratury, niechęć do powstania wywołana była przez pobudki mniej doniosłe i czyste; zaczynali oni zżywać się z nowemi rządami, które wprawdzie pozbawiały Polaków istotnej niezależności, pozostawiały ich atoli na wyższych stanowiskach; wielu z nich natchnęło się czczym duchem dygnitarstwa i pewnym wyniosłym poglądem na uniesienia i zapędy narodu.

Gdy takie prądy nurtowały wśród sfer wyższych, pytanie, jaki oddźwięk wywołał wybuch wśród warstwy niższej. Drobni rzemieślnicy, wyrobnicy, czeladnicy i terminatorzy, pracownicy handlów, służba prywatna, rybacy Powiśla, cała wreszcie uboga ludność staromiejska, mężczyźni, kobiety i wyrostki — jednem słowem, lud warszawski powoli zaczął wylegać owego wieczoru 29 listopada i zapełniać ulice i place. Był to tłum, z natury swojej wszędzie i zawsze jednakowej, z położenia społecznego i towarzyskiego bardziej skłonny do wszelkiej emeuty od warstw, które więcej mają do stracenia; zresztą wśród tego ludu starej Warszawy żyły jeszcze wspomnienia zapału, jaki ogarniał Warszawę parę razy w dobie wielkich wojen, a nawet kołatały jeszcze tradycye 1794 roku, tradycye Kilińskiego i Kapostasa. Ta ludność biedna, materyalnie i towarzysko upośledzona, a do tego policyjnie teroryzowana, wśród szarej monotonii swego nędznego, pognębionego życia witała naprzód z ciekawością, wkrótce z coraz rosnącem ożywieniem, już niemal z zapałem ten wybuch uliczny, który odwoływał się do niej, jako do braci, do obywateli i wciągał ją w wir sprawy powszechnej; ten tłum poddawał się szybko urokowi chwili, chwytał w lot uczuciem zbiorowem jej doniosłość, stopniowo z widza stawał się aktorem, zaczynał się czuć cząstką powstającego narodu. Ludność w sprawy polityczne mało wtajemniczona, nienawidziła po swojemu i bru-

talnej policyi i węszących wszędzie w każdym szynku staromiejskim szpiegów i natrętnego fiskalizmu, całego tego wreszcie terroru, jaki siał wśród miasta Konstanty ze swym sztabem.

O godzinie 7 podążyli na Stare Miasto, według ułożonego planu, cywilni spiskowi: Maurycy Mochnacki, Ksawery Bronikowski, adwokat Józef Kozłowski, Ludwik Żukowski i inni i zachętą, przemową budzili ludność do ruchu; powoli gromadzić się zaczęły tłumy, dzielnica staromiejska napełniała się gwarem i okrzykami. Spiskowi poprowadzili ten tłum przez ulicę Długą ku arsenałowi; tam właśnie uszykowane już przed arsenałem oddziały powstańcze gotowały się do odparcia ataku wołyńskiego pułku piechoty rosyjskiej; na odgłos pierwszej salwy tłum zaczął gwałtownie ustępować w głąb ulicy Długiej, siejąc zamęt i panikę; dopiero gdy wołyńcy pierzchnęli, tłum, zagrzewany przez odważniejszych, znów ruszył naprzód, szybko zdobył przy pomocy wojska arsenał i rozebrał broń pomiędzy siebie. Teraz już ludność uzbrojona, znacznie podniesiona na duchu, rozgrzana, wydając głośne okrzyki, strzelając w górę na wiwat, rzuca się w dwie strony: na Leszno do więzienia Karmelitów i na Piwną ku więzieniu Marcinkanek, bierze łatwo szturmem obydwa i wypuszcza na wolność więźniów politycznych. Coraz większe tłumy przyłączają się do powstańców, ruch rośnie, jak lawina, po łatwych zwycięstwach wewnątrz miasta, zdawało się, nadeszła chwila walnej rozprawy z nieprzyjacielem.

Do walki decydującej nie doszło atoli ani owej nocy, ani później. Konstanty stał w Alejach i głuchy na wszelkie zachęty Gerstenzweiga i innych generałów rosyjskich, a także wiernych mu Polaków, Krasińskiego i Kurnatowskiego, spoglądających marsowym, rozdrażnionym wzrokiem na szerzący się bunt, powtarzał: »*pas un coup de fusil*« i zabraniał ataku. W duszy jego odbywała się złożona gra uczuć i wrażeń; był wciąż pod wpływem prze-

rażenia, blady, pomieszany; czyny jego w dalszej kampanii okazały, że duch Marsa nawiedzał go tylko na placu musztry, wśród grozy boju rzeczywistego opuszczał go beznadziejnie; poza tem, skoro zdołał zebrać pierwsze myśli, duszę jego osiąść musiały liczne niepokoje i wątpliwości. Królestwo Polskie, oddane mu na »gotowy plac ćwiczeń wojskowych« w zamian za odsadzenie od tronu, stanowiące jedyny dlań w Rosyi teren władzy, a może i egzystencyi, usuwało się nagle z pod drżących nóg carewicza. Różne myśli, różne plany, skłębione, chaotyczne, przebiegały przez tę głowę barbarzyńską, do myśli nie przywykłą, bezradną wobec wszelkich zagadnień, które wykraczały za obręb musztry, szpiegostwa, policyi, plotek i intryg. Wśród tych odruchów myślowych były takie, z których zwierzał się niebawem pocichu w chacie w Wierzbnie jednej tylko pani Żanecie, były może i takie, których i wyrzec nie śmiał, bojąc się echa własnych słów... To pewna, że ta potworna w tej chwili karykatura księcia Hamleta nie była ani wówczas, ani później, wyrazem planów i uczuć rządu rosyjskiego względem powstania. Wahanie jego i pojednawczość oddały ostatecznie przysługę rządowi rosyjskiemu, bo ułatwiły wycofanie wojsk rosyjskich z kraju i jeszcze mocniej zamgliły czadem układów umysły przywódców powstania. Ta jednak przysługa może dotyczyć tylko późniejszych chwil, gdy insurrekcya już wzmogła się na siłach i stała się groźna dla pułków rosyjskich. Że jednak w pierwszej chwili w poniedziałek dnia 29-go o godzinie 9 wieczorem nie skorzystał Konstanty z zamieszania wśród insurgentów, nie uderzył na nich i nie zgniótł ruchu w zarodku, to mogło być mu poczytywane w Petersburgu tylko za karygodną małoduszność. Przypuszczenia niektórych pisarzów, że było tu pewne wyrafinowane wyrachowanie, by dać się rozwinąć umyślnie powstaniu w ruch narodowy, a potem ruch ten zgnieść wraz z całą odrębnością Królestwa, nie wytrzymują krytyki, gdyż los konstytucyi,

a przedewszystkiem wojska polskiego był z pewnością rozstrzygnięty na szalach jowiszowych w Petersburgu już po pierwszym wybuchu; rząd Mikołaja, aby targnąć się na tę nienawistną odrębność, miał już wtedy pretekst dostateczny, nie potrzebował rzucać się w wir bardzo niepewnej wojny, iść do podarcia karty z 1815 r. przez krwawe i ciężkie próby Grochowa, Igani, Ostrołęki; czyż mógł wreszcie przewidzieć szczęśliwe dlań fatum, które dało powstaniu Chłopickiego, Radziwiłła, Skrzyneckiego!

Mochnacki już w owych chwilach krytycznych przenikliwie odczuł tę rolę Konstantego, zawieszonego jakby pomiędzy Polską a Rosyą przez wybuch listopadowy, rozumiał, że cesarzewicz, jako przedstawiciel potęgi i woli rządu rosyjskiego, jest teraz zerem, że układać się trzeba »nie z Konstantym w Warszawie, lecz z Petersburgiem w Wilnie«. W głowie jego zaświtał śmiały plan zużytkowania Konstantego, tego prawego dziedzica tronu, już nawet obwołanego carem po śmierci Aleksandra, w sposób, wznawiający tradycye Dymitra; rzecz oczywista, że myśl zyskania dla tak zuchwałego planu ks. Adama, Lubeckiego lub Chłopickiego, była chimerą, ironią [1].

Gdy więc bierność nieruchoma trwała po stronie wojsk rosyjskich, ogień insurrekcyi buchał tymczasem to w tej, to w owej części miasta i wprawdzie coraz szersze zataczał kręgi, coraz groźniej się szerzył, brakło jednak siły, którąby te ruchy samorzutne i rozdrobnione zespoliła i pęd zgodny im nadała; insurrekcyi brakło głowy; ręce i ramiona powstania, z początku bardzo słabe, niebawem tężeją, mężnieją, ludu i wojska przybywa, ducha kierowniczego wciąż niema.

Mochnackiego zdaniem, powinien był Wysocki po swym zwycięskim pochodzie z Łazienek przez Aleje udać

---

[1] Prądzyński, rozważając w swych Pamiętnikach pytanie, jak należało zużytkować osobę W. Księcia, rozumuje wogóle w myśl wskazań Mochnackiego. (Pamiętniki, Tom I, strona 211, 212).

się na ratusz, ogłosić rząd rewolucyjny i wziąć w swoje ręce komendę nad wojskiem. Nie tai Mochnacki, że zadanie to było trudne, zwłaszcza przy zawistnej intrydze Zaliwskiego, którýby pewnie paraliżował współzawodnika. Jeśli jednak Wysocki nie śmiał sam ze skromnym hufcem podchorążych sięgnąć po władzę, jeśli pozostawiał ciężar i zaszczyt przodownictwa ludziom zasług i imion historycznych, to czy pomyślano zawczasu o utworzeniu rządu z grona zasłużonych już a rewolucyjnie usposobionych patryotów? Na to pytanie Mochnacki odpowiada w swej Historyi przecząco, drugi atoli spiskowiec, Ksawery Bronikowski, który stał bliżej steru spisku, w replice, wymierzonej przeciwko relacyi Mochnackiego, szkoda tylko, że wydrukowanej już po tegoż śmierci, stara się usprawiedliwić spiskowych. Wysockiego, według relacyi Bronikowskiego, zajmowała myśl o rządzie wojskowym i cywilnym i w tej materyi zwracał się do Lelewela. Lelewel, zagadnięty przez spiskowych, po dwuwykładnej, jak zwykle, odpowiedzi co do samej myśli powstania, przyrzekł zająć się utworzeniem rządu cywilnego, porozumiewał się co do tego z Pacem, Władysławem Ostrowskim, Niemojowskimi Wincentym i Bonawenturą, lecz działał powoli, opieszale. Tymczasem, wyżsi wojskowi, jak Stanisław Potocki i Chłopicki, nagabywani o przyjęcie dowództwa, bynajmniej nie obiecywali swej zgody. Zwrócono się tedy do Machnickiego, znanego ze swego nieugiętego charakteru towarzysza Łukasińskiego i ten miał przyrzec czasowe przyjęcie komendy w razie wybuchu powstania, lecz pod warunkiem, że przed jego mieszkaniem stawi się oddział jazdy. Widocznie Machnicki patrzył bardzo sceptycznie na przygotowania spiskowe i obawiał się, że wyniknie z nich fiasco. Działo się to na dni kilka przed wybuchem. Wtem 28 listopada otrzymuje Bronikowski od osoby zaufanej wiadomość, że do Belwederu przedostały się informacye o spisku, że Konstanty posłał o tem raport do Petersburga i że stamtąd nadeszły najszersze pełno-

mocnictwa dla cesarzewicza wraz z przynagleniem do surowych represyi. Tegoż dnia Bronikowski zgromadził u siebie przywódców i wybuch uchwalono na dzień następny[1]. Jednym z argumentów, jakimi Bronikowski na owem zebraniu niedzielnem uzasadniał potrzebę wybuchu, był wzgląd na to, że w Anglii upadło ministeryum Wellingtona i ster objął Grey, przyjaciel Kościuszki: charakterystyczny to prognostyk tych nadziei, z jakiemi powstańcy zwracać się będą do końca ku Zachodowi. Gdy powstanie rozpoczęto, Lelewel siedział przy umierającym ojcu, Machnicki zaś, gdy warunek jego nie został spełniony, wyjść z domu nie chciał. Około północy z 29 na 30 listopada Bronikowski pobiegł do Lelewela, oderwał go od chorego ojca i nalegał, aby wreszcie pomyślał o utworzeniu rządu rewolucyjnego. Poszli zatem do Paca, lecz go nie zastali, pewnie już znajdował się na posiedzeniu Rady Administracyjnej u Sobolewskiego, chcieli tedy skłonić zamieszkałego w domu Paca Aleksandra Wielopolskiego, by szedł z nimi do Czartoryskiego, Chłopickiego, Niemcewicza, lecz Wielopolski odmówił, poszli więc z Adamem Gurowskim i Ponińskim, po drodze atoli poseł Olrych Szaniecki, napotkawszy ich, odwiódł Lelewela do Zamku, gdzie mieli zgromadzić się bawiący w stolicy posłowie, aby ustanowić rząd rewolucyjny. Na tem spełzły zabiegi spiskowych. Tyle Bronikowski[2]. Czytając jego opowieść, pojmujemy, iż miał powód nieogłaszania jej za życia Mochnackiego, mógł bowiem oczekiwać ze strony tegoż druzgocącej odpowiedzi; istotnie, jeśli spiskowcy taki rząd rewolucyjny utworzyć zamierzali, to zabiegi ich były zgoła zbyteczne, gdyż do tych samych osób zwrócić się zamierzyli tego samego wieczora 29 listopada Władysław

---

[1] Wobec tego upada chyba opowieść Mochnackiego o owym balu sobotnim 27 listopada, na którym mieli tańczyć podchorążowie, już zdecydowani na wybuch poniedziałkowy. Według Bronikowskiego bowiem, decyzya zapadła dopiero w niedzielę.

[2] »Kronika Emigracyi Polskiej«. Tom III. Paryż 1835. Str. 307.

Zamoyski, Gustaw Małachowski i książę Lubecki i grono, złożone z owych osób, upatrzonych przez spiskowców do wcielenia w czyn myśli 29 Listopada, za parę godzin wyda manifest, a w nim powstanie nazwie smutnem wydarzeniem i wezwie Polaków, aby wrócili do spokoju. »Terroryzm imion historycznych« zawisł całą swą mocą nad sprawcami powstania, czyż można się dziwić, że podlegały mu bierne masy!

Linia powstania, w pierwszym jego akcie — ataku podchorążych — prosta i jasna, załamie się niebawem tego samego wieczoru i odtąd pójdzie już stale dziwnym zygzakiem, łamiąc się i krzywiąc coraz mocniej, i już nie wyprostuje się w rewolucyi, odnajdzie dopiero i pozna swój bezpowrotnie stracony kierunek na emigracyi — w niewczesnej refleksyi proroków przeszłości, tem zacieklejszych, że spóźnionych. Już w wieczornych godzinach tego poniedziałku 29 listopada prąd powstania rozprysnął się, utonął w zgorączkowanych szeregach wojska i tłumach ludu, zgubił się w nich, steru pozbawiony. Krótką chwilę trwało zupełne bezwładztwo. Wówczas w próżnię, której zapełnić nie chcieli, czy nie umieli rewolucyoniści, musiała wtłoczy ćsię jakaś władza; gdy nie zjawiła się świeża, nowa, rewolucyjna władza, wtedy wyszła z ukrycia ośmielona tą skromnością bohaterów dawna przedrewolucyjna instytucya, działająca w imieniu jego cesarskiej mości i podparta kredytem osób popularnych, wysunęła się na czoło. Zjawisko to dziwne, a tak dla całego ducha i dalszego biegu powstania znamienne. Było ono tak wobec abstynencyi twórców powstania naturalne, że widzimy, jak samorzutnie niejako, jednocześnie, a niezależnie od siebie, padają te same słowa z ust Władysława Zamoyskiego w apartamentach wuja jego, księcia Adama, z ust zaś Gustawa Małachowskiego w banku do księcia Lubeckiego: »należy zwołać Radę Administracyjną«. Słowa te, przyjęte tu i tam chętnie, odpowiadały widać myślom dwóch najwydatniejszych ludzi z tego grona, na którego

barki spada, jak lawina, nieoczekiwany ciężar rewolucyi. I oto o północy u Prezesa Rady, Sobolewskiego Walentego, obradują już członkowie Rady, dobrawszy sobie, w tej chwili gorącej, gdy miasto wre, kipi, trzęsie się od okrzyków i strzałów, czujnym instynktem wiedzeni, ludzi o dobrem, popularnem wśród Polaków brzmieniu nazwisk — Paca Ludwika, Radziwiłła Michała, Kochanowskiego kasztelana, J. U. Niemcewicza i Chłopickiego; ten ostatni wpadł wprawdzie, jak kamień w wodę, imię jego jednak żyje w myślach wszystkich przytomnych i drga na ustach wszystkich, jako imię wodza, przez Opatrzność wskazanego na okiełznanie przedewszystkiem tego rozruchu szalejącego, który należy wziąć w kluby. Że grono to nie reprezentowało wówczas myśli powstańczej, o tem długo rozwodzić się zbyteczne. Władysław Zamoyski rozpoczął swą misyę od przekładania cesarzewiczowi, że siły jego wojskowe wystarczą do stłumienia buntu i dopiero po kategorycznej odmowie Konstantego udał się do księcia Adama. Pierwszym czynem zebranej Rady było wysłanie dwóch delegatów, ks. Adama i Lubeckiego, do cesarzewicza, ku wybadaniu go i otrzymaniu odeń wskazówek, i pierwszą rzeczą, o której mu mówią, jest znów — ukrócenie rozruchu siłą. Gdy ich spotyka kategoryczne oświadczenie Konstantego, że do niczego mieszać się nie chce, wówczas grono radne pomiędzy godz. 2 a 3 w nocy układa dwie odezwy do ludności, imieniem najjaśniejszego cesarza Mikołaja; w jednej — powiadamiają ogół o swym nowym składzie, w drugiej zaś mówią o »równie smutnych, jak nieprzewidzianych wypadkach wczorajszego wieczora i nocy« i zwracają się do obywateli z takiem wezwaniem: »Własnem umiarkowaniem jedynie ocalić się możecie od pogrążenia się w przepaści, nad którą stoicie! Wróćcie zatem do porządku i spokojności, a wszelkie uniesienia niech przeminą z nocą, która je pokrywała«.

Barzykowski, podejmując niewdzięczne zadanie dowodzenia, że działania Rady Administracyjnej nie miały

na celu kontrarewolucyi, przytacza jako argument to, iż ludność nie zwracała uwagi na treść odezwy, lecz czytając pod nią podpisy osób popularnych, wierzyła, iż przystąpiły one do powstania, i tem umacniała się w wytrwaniu i wierze w powagę sprawy rewolucyjnej. Oczywiście jednak odezwy Rady Administracyjnej oceniać można jedynie ze stanowiska ich treści i celu, zamierzonego przez autorów, bynajmniej zaś nie z punktu widzenia tych skutków, jakie mimowolnie zdziałać mogły. Jeśli jednak argument Barzykowskiego bynajmniej nie wpływa na charakterystykę Rady Administracyjnej, to stanowi on znamienną ilustracyę do początków rewolucyi. Ludność rzeczywiście nie przenikała istotnego usposobienia Rady; gdy nazajutrz dnia 30 listopada Rada uroczyście kroczyła przez miasto z pałacu Branickich na Nowym Świecie do Banku, gdzie odtąd swe posiedzenia odbywać miała, ludność witała pochód z zapałem; entuzyazm budził strój narodowy Paca, który, jako zastępca wodza naczelnego, towarzyszył orszakowi rządowemu, wznoszono okrzyki patryotyczne na widok siwego weterana sprawy narodowej, Niemcewicza.

W tych manifestacyach radosnych na cześć Rady wzrok krytyczny musi się dopatrzeć pierwszych objawów tego nieporozumienia zgubnego, jakie zadzierzgnęło się na samym wstępie powstania. Twórcy rewolucyi rzucili na szalę walki losy narodu, a nie umieli, czy nie chcieli sami przodować ruchowi; niebawem zaciągnęli się do szeregów powstańczych lub też zasiedli w Honoratce i tu utworzyli »zgromadzenie inwalidów, którzy sądzili, że stękaniem i jeremiadami Polskę z toni wydźwigną«. Na czoło insurrekcyi wysunęli się ci, dla których była ona »smutnym i nieprzewidzianym wypadkiem« i ci, chwiejni, niezdecydowani, chcą ratować sytuacyę drogą pośrednictwa, układów. Lecz lud nie słucha ich nawoływań do spokoju, wierzy w to ślepo, prostodusznie, że oni są głową tego ruchu, którego lud jest ramieniem, że w tych imionach historycznych spoczywa arka przymierza sławnej

przeszłości z upragnioną przyszłością. Ci zaś, na których spoczęły teraz nadzieje ogółu, sami przyczyniają się do niejasności położenia; powstanie za nieszczęście uważając, nie znajdują w sobie dość mocy i odwagi, aby mu się przeciwstawić, nie usuwają się nawet na bok, przeciwnie przyjmują przodownictwo, wyciągają nawet po nie rękę; w tej samej chwili czują się porwani przez huragan i postawieni na jego czele, idą naprzód bez wiary, bez zapału, bez nadziei zwycięstwa. To jest figura naszego powstania listopadowego. Chłopicki w dniu 3 grudnia porwany przez falę ludu, który idzie odbić żołnierzy polskich od Konstantego, blady wprawdzie i trzęsący się z gniewu, jedzie jednak na czele i nawet wyznacza cesarzewiczowi ultimatum przez Zamoyskiego, z oburzeniem i odrazą w duszy. Za dni zaś parę sięgnie po najwyższą władzę i uczyni to, iż dokoła jego imienia skupią się wszystkie nadzieje rewolucyi, że stanie się bożyszczem powstającego narodu, on, w duszy zdecydowany unikać walki, prowadzić układy, przeświadczony o niechybnej porażce. Książę Czartoryski uważa, że akt detronizacyi gubi Polskę, jednak podpis swój kładzie na czele; w parę dni potem, ten sam człowiek, opierający wszystkie nadzieje na medyacyi dworów zagranicznych, przyjmie urząd prezesa rządu rewolucyjnego w chwili, gdy duszą, życiem sprawy stawała się już tylko nieubłagana walka. Ten to półśrodek stanie się odtąd przekleństwem naszej rewolucyi; znajdzie on wyraz dobitny w dyktaturze Chłopickiego, który jedną ręką trzymał buławę, drugą — powstrzymywał uzbrojenie narodu, jedną dzierżył ster powstania, drugą — »przykładał lód do bijącego gwałtownie serca Polski«. To też wiarą tych przywódców powstania będzie nie energia żelazna, którą daje nadzieja, lecz rezygnacya ponura ludzi, którzy z zaciętemi ustami, a bez ognia w oku idą na fatalne spotkanie, a przed własnem sumieniem i przed narodem zasłaniają się swą odwagą śmierci walecznej, nie pomni na to, że na wodzów narodu to za mało; naród

żądał od nich swego wskrzeszenia, a nie ich śmierci. Ten nastrój rezygnacyi patryotycznej owiewał wierzchołki naszego powstania stale, panował w naszej głównej kwaterze bez przerwy. Chłopicki broni się wszelkiemi sposobami przeciwko wojnie i wreszcie zniewolony obiecuje »wykropić się porządnie« pod Warszawą, nie skończyć »po neapolitańsku«, uratować honor wojska i generała napoleońskiego — nic więcej. Skrzynecki, wznosząc oczy ku niebu, przyrzeka »wykopać grób« wielki, zaszczytny dla armii polskiej i obiecuje żołnierzom »wieńce w męczeńskim zawodzie«. Krukowiecki, uchwyciwszy władzę, głosuje za walną bitwą, jako za »najszlachetniejszem skonaniem naszej sprawy«. Tak przemawiają nie *resurrecturi*, lecz *morituri*; a przecie — i Chłopicki sam pochwycił dyktaturę, i Skrzynecki z szalonym uporem trzymał się dowództwa, i Krukowiecki poruszał niebo i ziemię, aby stanąć u steru władzy. Ci zaś, którzy powstanie wywołali, którzy wierzyli tylko w oręż, a układów nie rozumieli, znów zasłaniają swą słabość przed własnem sumieniem bezwiedną dyalektyką ludzi prawych i walecznych, a którym brak ducha: oni nie chcą wysuwać się naprzód, chcą dać wzór bezinteresowności, chcą zmieszać się z szarym tłumem żołnierzy, gotowi bez rozgłosu oddać życie za ojczyznę — niepomni na to, że to także za mało na ludzi, którzy powołali naród na bój śmiertelny.

Ta połowiczność, półśrodkowość, podgryzała, toczyła, jak robak, drzewo naszego powstania, które pod tem śmiertelnem działaniem uschnęło, zwiędło pierwej, nim ściął je miecz wroga. Mochnacki z wielkiem mistrzowstwem odtworzył obraz tej wewnętrznej tragedyi narodu. »Nie nie mogliśmy, ale nie umieliśmy« pisze na czele historyi powstania. »W Rewolucyi polskiej żadna teorya, żadna wiara polityczna nie chciała uważać swego credo za kopalnią, którą do gruntu wyczerpać potrzeba. Nikt z nas tego, co dla kraju za zbawienne poczytywał, nie śmiał pomknąć do ostatniego kresu« pisał na emigracyi.

Rada Administracyjna, postawiona w dwuznacznem położeniu instytucyi, działającej w imieniu monarchy, a ku której jednocześnie zwracają się oczy insurrekcyi, miała lawirować między Scyllą i Charybdą. Dla dostojników, przywykłych do urzędowania w spokojnych warunkach, było to zadanie nad siły. Jedynym człowiekiem, który w tych niezwykłych okolicznościach nie stracił przytomności umysłu, który szybko znalazł formułę, określającą położenie kraju i rolę Rady, był, naturalnie, nie oszołomiony prezes Rady Sobolewski, ani nawet nie książę Adam, jak zwykle ostrożny, wyczekujący, dyplomatyczny, lecz minister Lubecki. Dość przejrzeć protokoły Rady z owych dni, aby się przekonać, że ku niemu zwracały się oczy zgromadzenia[1]. On stworzył teoryę polityczną dla tych, którzy liczyli nie na walkę, lecz na dobrą wolę Petersburga, i nietylko natchnął nią swych wielbicieli i współministrów, lecz był ojcem duchowym późniejszego systemu dyktatora, a nawet wywarł wpływ trwały na mętną w sprawach polityki bieżącej myśl Lelewela. Lubecki szeroko i wymownie roztaczał przed licznymi słuchaczami w salach bankowych swe poglądy na położenie. Rewolucya wypadła wbrew jego myśli i planom, lecz, jako człowiek czynu, uznał odrazu fakt dokonany i postanowił oprzeć na nim dalszą akcyę. Mniemał, że uda się wytłómaczyć cesarzowi w Petersburgu, iż insurrekcya nie jest wymierzona przeciwko jego osobie i potędze. Zachowanie konstytucyi Królestwu, rozszerzenie jej na prowincye zabrane, połączenie wszystkich dawnych ziem Rzeczypospolitej pod jednym zarządem wszak nie uszczupli, nie osłabi władzy cesarza i króla. Aleksander I marzył o tem, by zlać wszystkie ziemie polskie w jedną całość i połączyć pod jednem berłem z Rosyą, a wtedy połączone narody będą dyktowały prawa Europie, cesarz Mikołaj nie może pozostać

---

[1] Protokoły ogłoszone w »Roczniku Towarzystwa Historyczno-Literackiego« z r. 1870 - 1872, według notat Aleksandra Krysińskiego.

głuchy na tę myśl. Nie może on pragnąć wojny z Polakami, to rzecz pewna; a rękojmią tej pewności — własna jego korzyść, wszak nie zechce puszczać sobie krew z obydwóch rąk. On, Lubecki, pojedzie do Petersburga i wytłómaczy to cesarzowi. Do tych marzeń atoli dołączał Lubecki jedną radę, która odrazu maluje jego praktyczny, przy całej owej chimerze, zmysł polityczny i wielką wyższość pod tym względem nad prostodusznym i nieudolnym jego naśladowcą Chłopickim: należy zbroić się, siła Polaków bowiem będzie bardzo ważkim argumentem na poparcie ich życzeń, należy nawet udawać, jakoby Polacy mieli zamiar wkroczyć na Litwę. Dziwowidzów i chwalców ministra zupełnie podbiła prostota i logika jego dowodzeń. Dalszy bieg rzeczy wykazał, jak ciężko się mylił. Sądził Lubecki, że tą dyalektyką, jaką imponował naiwnym słuchaczom w salach bankowych, zdoła przekonać Mikołaja i partyę patryotyczną rosyjską, Karamzynowskiego typu, gimnastyką umysłu chciał odwrócić bieg historyi. Z drugiej strony mniemał, że można nadać rozmach, rozpęd rewolucyi i nagle potem zatrzymać ją w tem miejscu, jakie będzie odpowiadało manewrom medyacyjnym, roił sobie, że wzburzonym, rozognionym żywiołem narodowym można tak kierować, jak oddziałem wymusztrowanej kawaleryi, która na komendę rusza cwałem ze zwieszonemi lancami przed siebie i na komendę staje, jak wryta. Nie pojął znaczenia nocy 29 Listopada, nie dostrzegł, że to dobiegła kresu przerwa i rozpoczął się akt nowy w tragedyi dwóch walczących narodów. W Polsce, mniemał, iż wciąż ma przed sobą ludność bierną, milczącą, uległą dla rządu; w Rosyi zaś — po pierwsze, nie znał duszy Mikołaja, obrażonego w swej dumie szalonej, pragnącego zemsty i kary na buntowników, po drugie, widział jakąś nieistniejącą marę monarchy, wznoszącego się na skrzydłach swej władzy dobroczynnej ponad dwoma narodami, zarówno mu rzekomo drogiemi, monarchę, reprezentującego potęgę i dobro dwóch narodów, i ta jakaś

wizya centaura polsko- rosyjskiego, majacząca może niegdyś w mglistych marzeniach Aleksandra, lecz obecnie wstrętna i samowładcy i partyi dworskiej, odpędzana tam, niby widmo złowrogie, istniejąca jedynie w nieuleczonych halucynacyach Polaków, zasłoniła przed ministrem skarbu surową rzeczywistość.

Kto chce sprawdzić, jak głęboko zapadła ta fikcya w mózgi nawet tych Polaków, którzy uchodzili za czerwonych aktorów powstania, niech odczyta mowę Lelewela, na sesyi detronizacyjnej Sejmu d. 25 stycznia 1831 r. wygłoszoną. Wyraża tam Lelewel uznanie dla kroków Lubeckiego w pierwszych dniach powstania; mówiąc o zamiarze jego traktowania z obcemi mocarstwami, sądzi, że »to bynajmniej nie zrywa stosunków z Mikołajem; że naród wtedy, gdy sam przez się działać poczyna, spieszy z powagą swą objawić postronnym państwom swoją rewolucyę i dowodzi godność bytu swego, co o w s z e m k r ó l o w i m i ł o b y ć m u s i«. Dalej mniema, że i żądanie wcielenia prowincyi do Królestwa nie oznaczało zerwania z Mikołajem: »Cesarz Mikołaj ma pod swojem berłem dużo ludów, lecz dwa tylko narody: rosyjski i polski; powinien być równie ojcem obydwóch... W pierwszych chwilach rewolucyi wojna nie zdawała się zrywać z Mikołajem; myśl była taka: niech król polski wojuje z cesarzem rosyjskim, a sprawa się rozwinie. Dziś, p r z e z n i e z g r a b n e p r o w a d z e n i e r z e c z y, położenie się zmieniło; trzeba będzie wyrzec, jakie są stosunki między narodem i królem«.

Tak więc oderwany niesłusznie od wertowania rękopisów i monet poseł żelechowski jeszcze na sesyi detronizacyjnej roił sobie, że nawet wojna Polaków z Rosyą nie prowadziła do zerwania z Mikołajem, byle tylko nadana jej była transcendentalna forma walki Mikołaja z samym sobą i byleby ta abrakadabra »zgrabnie« była prowadzona. Nie darmo przyrównał Mochnacki Lelewela do sowy, która widziała jasno, gdy zagłębiała się w ciemnię

dziejów, traciła zaś wzrok, patrząc na jaśnię dni współczesnych.

Gdy u nas łamano sobie głowę nad wynalezieniem »wyrazu, godzącego uległość dla cesarza Wszech Rosyi z pożytkiem narodu polskiego«, w Petersburgu tymczasem zawiła sprawa stosunku »narodu i króla« została łatwiej rozstrzygnięta. Po otrzymaniu wiadomości, że Konstanty z pułkami rosyjskiemi został wolno wypuszczony z Królestwa, zwołał Mikołaj oficerów gwardyi do ujeżdżalni zimowej i tu wobec nich ślubował nie złożyć oręża, dopóki zuchwali buntownicy przykładnie ukarani nie będą. W odpowiedzi na mowę carską zabrzmiało »hurra!« zgromadzonych; to było pierwsze gromkie echo wyższych sfer rosyjskich na hasło powstańców »za naszą i waszą wolność!« Car nie zniżał się do roztrząsania żądań »swego narodu«, nie trudził się nad »odgadywaniem powstania«, co stanowiło troskę naszych polityków; wszelka dyalektyka naszych legalistów konstytucyjnych, wszelkie zastrzeżenia, że Polacy stoją wiernie przy królu, a występują jedynie przeciwko agentom rządu rosyjskiego, nieprawnie mieszającym się do spraw Królestwa, tyle mogły wskórać przeciwko gniewowi carskiemu, ile niedawno przedtem zdziałały wysiłki dyalektyczne uwięzionych dekabrystów, gdy go przekonywali o swych uczuciach monarchicznych, swem umiarkowaniu i swej skrusze. Dnia 13 grudnia Dybicz Zabałkański otrzymał naczelne dowództwo; do narodu rosyjskiego wydany został manifest z zapewnieniem, że »warunki, jakie ośmielą się stawiać buntownicy, z gniewem odrzucone zostaną«, 17 grudnia wydana została odezwa do Polaków. Pomimo aż nadto zrozumiałej chęci Mikołaja, aby powstanie zatrzymać w stanie stagnacyi aż do ukończenia przygotowań bojowych, w odezwie tej wyraźnie brzmiało żądanie zdania się na łaskę, bez jakichkolwiek stypulacyi konstytucyjnych.

Lubeckiego mądrość polityczna po nocy 29 listopada była już anachronizmem; każdy czwartak, który niósł swą

politykę na ostrzu bagneta, lepiej pojmował rewolucyę od niego. Marzył jeszcze coś o szczęściu dwóch narodów połączonych, gdy w Petersburgu myślano o tem, jak wytępić bezrozumną narodowość polską na wielkich obszarach zachodnich państwa; poza marą ułudną »cesarza i króla« nie dostrzegał Rosyi, zaborczej, nieubłaganej. Należał Lubecki do tych mężów stanu, którzy są w swoim żywiole w czasie pokoju, gdy sprawy polityczne rozstrzygane są, przynajmniej pozornie, na naradach dostojników, w gabinetach ministrów, gdy żelazny system państwowy trzyma w klubach utajone żywioły, nurtujące pod widzialną dla tych mężów stanu, a nieprzezroczystą dla ich oka powierzchnią życia. Gdy zaś świat wychodzi z formy, gdy potęgi ukryte wydobywają się nagle na wierzch i tworzą nowy okres dziejów, rwąc na strzępy wielce kunsztowną tkaninę dyplomatów, wtedy mądrość polityków z za zielonego stołu schodzi nieraz do rozmiarów pigmejskich. Znakomity minister skarbu, niezrównany dyalektyk, pożyteczny dla kraju, a jednocześnie posiadający zaufanie Mikołaja, wychodził Lubecki zwycięsko z najdrażliwszych spraw, jak sąd sejmowy, z najtrudniejszych zatargów z cesarzewiczem i Nowosilcowem; mniemał, że i teraz udobrucha cesarza i »prowincye na Nowy Rok przywiezie w podarunku«. Chciał wyprowadzić w pole historyę. Gdy widzimy, jak w blasku pożaru listopadowego maleje postać tego niepospolitego człowieka, przychodzi na myśl inny kraj, inna epoka i inny dramat; w pamięci staje ten obraz krótkowidztwa, jakie zdradzili ministrowie i politycy Francyi w przededniu Wielkiej Rewolucyi. »Wielu z nich byli to ludzie bardzo uzdolnieni w swej specyalności, oznajmieni gruntownie z wszelkiemi subtelnościami praktyki administracyjnej« mówi Tocqueville: »lecz w tej wielkiej umiejętności, która uczy pojmować ruch społeczeństwa w jego całokształcie, uczy sądzić o tem, co odbywa się w umysłach mas, i przewidywać rezultaty tego procesu, — w tej umiejętności byli oni ta-

kimi samymi profanami, jak prosty lud«[1]. I wówczas żył znakomity minister finansów i administrator, który w podanym królowi w r. 1775 memoryale radził zwoływać co rok na 6 tygodni zgromadzenie, wybierane przez cały naród, które nie posiadając żadnej istotnej władzy, zajmowałoby się sprawami, nie politycznemi, lecz administracyjnemi; miałoby ono rolę doradczą, nie prawodawczą, wyobrażałoby nie wolę, lecz tylko opinie ogółu. Wówczas i król byłby oświecony radą poddanych i opinia publiczna byłaby zaspokojona. Gdyby zaś zgromadzenie to nie odpowiedziało swemu powołaniu, wtedy jego królewska mość mógłby je poprostu rozwiązać. Takie idylle na wulkanach snuli czasami wielcy ministrowie skarbu, Turgotowie i Lubeccy. Staje w myśli i późniejszy przykład naszego znakomitego administratora, niefortunnego margrabiego, który w gorącej epoce »leczył naród na administracyę, gdy ten chorował na politykę«.

Chłopicki, którego Rada Administracyjna mianowała dowódcą wojsk, zdecydował się wreszcie dnia 30 listopada na opuszczenie swego ukrycia. Odtąd na arenie rewolucyi zjawia się ta nieszczęsna postać i tkwi na pierwszym planie przez 6 tygodni, druzgocąc swem niesłychanem postępowaniem całą dzielność powstania. Dyktatura Chłopickiego stanowi wielce ciekawe zjawisko, na którego przykładzie rozjaśnia się niejedna zagadka naszego bytu porozbiorowego. Żołnierz od pierwszej młodości, uczestnik wielkich wojen napoleońskich, w obozie, w armii zostawił najlepsze wspomnienia swego życia; tam owiał go duch bohaterski, który upajał wojowników wielkiej armii, tam zarazem przeniknął go nawskróś duch żelaznej dyscypliny wojskowej.

Idealnie marsowa postawa Chłopickiego, doskonały, skończony żołnierski typ i ton w całem życiu były w oczach społeczeństwa, dla którego chwała napoleońska

---

[1] Ancien Régime, Księga III, rozdział I.

stanowiła religię całego pokolenia, żywem uosobieniem minionej epoki bohaterskiej, ubóstwianej we wspomnieniach, w marzeniach wśród ponurej bezradosnej rzeczywistości. Starzy spoglądali na tego zachmurzonego atletycznej postawy generała napoleońskiego, gdy majestatycznie przechadzał się po ulicach Warszawy, jak na relikwię najdroższej przeszłości, młodzi — oprócz tego, jako na spiżową podstawę swych śmiałych, zawrotnych nadziei. Patrzyli nań przez pryzmat swej adoracyi, głusi i ślepi na jego istotną naturę, niepoprawni, uparcie ufni pomimo oznak najwidoczniejszych, że Chłopicki stanowi wcielone przeciwieństwo wodza powstania. Zacięty uczestnik i bohater sławnej wyprawy napoleońskiej na Hiszpanię, wielokrotny pogromca band powstańczych hiszpańskich i włoskich, nabrał Chłopicki lekceważenia, a nawet pogardy w słowach dla wszelkiego ruchu ludowego, dla gerylasówki, dla niewyćwiczonych, zdolnych równie do szalonego męstwa, jak i do panicznej, sromotnej ucieczki oddziałów powstańczych. W jego sceptycznych, a nawet cynicznych odezwaniach o powstaniu było zapewne sporo pozy marsowej, afektacyi militarnej, wszelka atoli emeuta ludu, połączona z rozluźnieniem dyscypliny, z upadkiem powagi władz, napełniała go odrazą, czuł na jej widok chęć niepohamowaną — dosiąść konia, skinąć na milczące szeregi regularnego żołnierza i zaprowadzić ład wojskowy, napoleoński. Widok tumultu, zgiełku ulicznego skłonił go do opuszczenia ukrycia i objęcia dowództwa, widok dalszy słabości i rozprzężenia władz popchnie go za dni parę do objęcia dyktatury. Objął dowództwo — dla przywrócenia porządku, »dla ujęcia w ryzę rozpasanego żołnierstwa«.

Mniemana żelazna wola Chłopickiego była tylko zespoleniem ducha dyscypliny żołnierskiej i hartu wojownika, który zajrzał nieraz w oczy śmierci i gotów stanąć z nią oko w oko w każdej chwili, z butą i uporem pokutującej pod płaszczem generalskim duszy drobnego szlachcica

wołyńskiego. Uparty do absurdu, wrażliwy na lada uchybienie, gdy czuł się urażony w swej miłości własnej, zacinał się na amen i żadne zaklęcia wzruszyć go nie były w stanie. Ci, którzy podziwiali jego zaciętą, wyniosłą obrazę na Wielkiego Księcia i widzieli w tem znamię nieugiętego męża i patryoty, poznali później w powstaniu odwrotną stronę i zarazem istotną naturę owej niezłomności. Obrażony na sejm w grudniu, odwraca się odrazu plecami do całej sprawy narodowej i widząc, że naród ze drżeniem oczekuje na kres jego gniewu, zaledwie daje się przebłagać. Po gorących słowach Ledóchowskiego w styczniu znowu obraża się śmiertelnie i zaledwie dopiero trąbka bojowa i świst kul rosyjskich na Grochowskiem polu zdołały nieco rozgrzać i zmiękczyć serce opatrznościowego męża, rozgniewanego na zabój na Polskę za osobistą zniewagę; a nawet jeszcze w chwili bitwy, gdy los narodu zawisł od jego skinień, zachowuje się jak rozdąsany gwałtownik, który lada chwila może obrazić się za czyje nieopatrzne słowo i jak rozgniewany Achilles zamknąć się w swoim namiocie. W tem bezprzykładnem zachowaniu Chłopickiego drga i przekleństwo zastarzałych wad narodowych i echo poniżenia idei narodowej, która się była jeszcze nie podniosła z upadku, jest w niem i atawizm duszy rogatej, rankoru i prywaty szlacheckiej w sprawach pospolitych i jad lekceważenia narodu przez owych niewolników kosmopolitycznego honoru wojskowego; »małe Królestwo« nie jest potęgą, ani majestatem dla Chłopickiego, zdolnego ugiąć się przed Napoleonem lub przed c e s a r z e m i k r ó l e m.

Cały kłam bezprzykładnego oczarowania narodu przez osobę Chłopickiego, wszystkie słabości i śmieszności tego dyktatora słomianego o szalonym uporze dawnego szlachcica na zagrodzie, wystąpią na jaw w całej pełni po objęciu przezeń władzy. Jak ognia obawia się wszelkiej przewagi i ma już z góry gotowe uprzedzenie przeciwko ludziom wysokiego stanowiska i rodu, jak książę

Czartoryski lub Lubecki, nie dopuszcza ich wobec siebie do głosu, Czartoryskiego traktuje czasami przez »waszmość«; ale nie przemawia tu przez niego istotny demokratyzm lub zdrowa nieufność do mądrości dyplomatów w sprawie, która tylko mieczem ma być rozstrzygnięta. Zdrowy, jasny rozum stanu Mochnackiego, rycerskie, proste myśli podchorążych, ludzi bez imienia i bez stanowiska, nie dotrą nawet do progu gabinetu dyktatorskiego. W głębi duszy szlachcicowi wołyńskiemu imponuje dyplomacya książąt, którzy obcowali z monarchami i poznali sztukę stanu; dlatego właśnie przywołuje na swą twarz chłodny wyraz sztucznej wyniosłości i dumy, by nie dostrzegli w jego wzroku ciekawego zapatrzenia w arkana mądrości ministeryalnej, by się nie zdradzić ze swem nieudolnem dyplomatycznem terminatorstwem wobec mistrzów; oczywiście jednak, widma myśli Czartoryskiego i Lubeckiego napełnią całkowicie gabinet i głowę dyktatora, cała rzecz jedynie, iż wejdą tam nie wprost przez mentorskie usta książąt-dostojników, lecz ubocznie, ukradkiem, pośrednio, przez uniżoną mowę faktorów Lubeckiego, Łubieńskich, przez zgiętego pokornie, zręcznego, nieodłącznego przy prostodusznym szlachcicu totumfackiego Aleksandra Krysińskiego, któremu zresztą brutalnie każe milczeć, gdy ten zechce zabrać głos wobec osób trzecich. Stwierdzając doskonale na swej osobie parodoksalną formułę Mierosławskiego, iż »każdy szlachcic porozbiorowy musi umrzeć na solitera, którego niewyrwalnym korzonkiem jest dyplomacya«, wpada Chłopicki własnowolnie w potrzask układów, znakomicie potrzebnych do czasu jeszcze wówczas nie gotowej do boju Rosyi, z ukrytem upodobaniem, niby później Wielopolski, traktuje z samym imperatorem, na tych zawrotnych wyżynach polityki traci zupełnie głowę, daje się omotać haniebnie intrygantowi i szalbierzowi, konsulowi pruskiemu, Schmidtowi; z całą wyniosłością, ale już i z hamowaną furyą, zdradzającą wewnętrzną konfuzyę, zamajaczy przed zdumioną Radą

Narodową, bądźcobądź nie tak bezbrzeżnie naiwną, jak dyktator, o jakiejś przyjaznej interwencyi dworu pruskiego i o rewolucyi, która ma wybuchnąć w Rosyi i ułatwić całą naszą akcyę; wreszcie, zabrnie do słupów Herkulesa swej naiwnej dyplomacyi i zaplącze się tak widocznie w tych tak obcych jego naturze i przerastających jego mierną głowę kombinacyach politycznych, że po otrzymaniu zupełnie jasnych i oczywiście zupełnie beznadziejnych wieści z Petersburga, już tylko krzykiem, tupaniem nóg, biciem pięścią w stół i drzwi, całym dziecięcym aparatem złości, źle maskującym bezradność, stara się zagłuszyć głos własnej w gruncie prawej duszy prostaka-żołnierza, przywykłego uderzać na komendę wyższą wprost piersią na wroga, a tu zaplątanego bez wyjścia w matactwach dyplomatycznych.

Taki człowiek, objąwszy władzę, marnotrawił haniebnie czas i siły powstania; wciąż uważał się za związanego przysięgą na rzecz tego, przeciwko którego armii przyjął bądźcobądź dowództwo. To janusowe, półśrodkowe stanowisko nadawało jego krokom cechę połowiczną, chwilami tragikomiczną. Podpisuje wprawdzie odezwę do wojska, lecz nie jako wódz naczelny, gdyż to jest prerogatywa Wielkiego Księcia, lecz tylko jako generał. Gdy wypadki naglą, sprawa pali się i na nim spoczywa wzrok wszystkich, wtedy najpilniejszą troską jego jest osobiste odprowadzanie jeńców rosyjskich z odwachu pod arsenałem do zamku, jak gdyby tego nie mógł dokonać inny oficer. Na sesyi sejmowej dnia 20 grudnia w najuroczystszej chwili przyjęcia od sejmu dyktatury zjawia się Chłopicki — z orderami rosyjskiemi na piersi.

W największą pasyę i niepokój wprawiała go propozycya wojskowych, aby skorzystać z obfitego sprzętu wojennego, jaki pozostał po cesarzewiczu i wojsku rosyjskiem, monitował ich za tę myśl groźnie, mówiąc, iż jest to własność najjaśniejszego pana. Organizując wojsko niesłychanie wadliwie i opieszale, starał się zachować wszelkie

pozory, że wszystko pozostaje według dawnego systemu, bo twierdził, że tym sposobem utwierdzi cesarza w opinii, iż ten odzyska swe małe królestwo. Nie rozumiał nieszczęsny człowiek, że przyjmując dowództwo nad wojskiem i zwiększając bądźcobądź na razie powagę sprawy swem popularnem imieniem, już wszedł na tę drogę, z której niema zejścia, że wszelkie wahania, półśrodki, pozory łamały tylko energię rewolucyi, lecz bynajmniej nie ratowały jej w oczach Mikołaja, który wyrzekł swe niecofnięte *delenda Carthago* i nie raczył zważać na te subtelności. Dla wiernego przysiędze Chłopickiego była tylko jedna droga — stawić się u boku carewicza, jak Kurnatowski i Krasiński Wincenty, i nawet po udzielonem przez Konstantego pozwoleniu na połączenie się ze swoimi, podać się tak, jak owi dwaj, do dymisyi, a jeśli już zupełnie miał być gorliwy, to jeszcze pomknąć potem do Petersburga do boku cesarza, jak to uczynił Wincenty Krasiński. Jeśli zaś chciał zostać wiernym narodowi, świętym jego obowiązkiem było rzetelnie organizować wojnę. Tak zaś i Krasiński i Kurnatowski i Rożniecki i wszyscy inni odstępcy razem wzięci nie przynieśli rewolucyi ani cząstki tej szkody, jaką jej wyrządził ubóstwiany, zawieszony, jak Twardowski, pomiędzy powstaniem a Petersburgiem, Chłopicki. Dla Rosyi zaś Chłopicki, przyjmujący dowództwo, pomimo wszelkich jego naiwnych zastrzeżeń, mógł być tylko tem, czem był niegdyś wierny Filipowi II Hiszpańskiemu Egmont niderlandzki dla księcia Alby, to jest, mimo wszystkiego, przestępcą stanu, i te słowa, które książę Oranii miał wyrzec do Egmonta, iż będzie on mostem, po którym nieprzyjaciele wejdą do kraju, a przeszedłszy, zerwą go za sobą, sprawdziły się w pierwszej połowie przepowiedni na Chłopickim, jeśli zaś go ominęła druga, to pewnie tylko dzięki temu, że Egmont polski w porę uszedł za granicę.

Mochnacki dojrzał odrazu, że rewolucya, ledwie poczęta, już zbacza z prostej drogi, że wtedy gdy ocalenie

wymaga szybkiego, błyskawicznego działania, politycy nasi chwieją się, kalkulują, medytują. Przed wybuchem powstania był mu przeciwny, dobrego skutku nie przewidując, teraz, gdy los już rzucony, widział przed narodem jedną tylko drogę — walkę. Zapał pierwszych dni porwał i jego, lecz myśl jego działała jasno i trzeźwo, odczuwał przedewszystkiem brak rządu rewolucyjnego, brak kierowniczej dłoni. Rewolucya oznaczała rozbrat z dotychczasowym rządem i systemem, konstytucya, będąca umową panującego z narodem, *de facto* już istnieć przestała, należało wyłonić rząd nowy, odpowiadający nowemu stanowi rzeczy. Przedewszystkiem zaś należało poruszyć, wydobyć na powierzchnię te żywioły, którym obca była utopia układów i zabójcza taktyka wahania. Tymczasem na czoło znów wysunął się rząd dawny, który narzuca swą wolę insurrekcyi nie mocą prawa, które mu przysługuje, bo to prawo już rozwiało się od wystrzałów powstańczych w nocy 29 listopada wraz z władzą Wielkiego Księcia, lecz przez uzurpacyę niejako, dzięki bezczynności i bierności rewolucyonistów; rząd ten, który się sam ukonstytuował i sam nadał sobie prawo rozkazywania powstającemu narodowi, stawia już nawet pierwsze kroki, wydaje zarządzenia, lecz nie ku walce, nie ku atakowi lub obronie zmierzające, lecz mające na celu zachowanie ładu i porządku, bezpieczeństwo osób i mienia. Wyraźnie więc patrzy na wybuch, jako na rozruch niesfornej ludności, zagrażający spokojnym mieszkańcom; środki te niepotrzebnie ubliżały powstaniu, gdyż w tych dniach gorączki ludność Warszawy okazała bezprzykładne chyba w ruchach rewolucyjnych poszanowanie osób i mienia obywateli i poza rozbiciem szynków i rozgrabieniem jednej kasy rządowej, co w oczach ludności było naturalnym objawem insurrekcyi, żadnych zgoła gwałtów i rabunków nie popełniono. Tymczasem, wówczas gdy rząd niedomyślny »odgaduje« jeszcze myśl powstania, gdy żadnych zarządzeń wojskowych nie przedsięwzięto, już gwardya

narodowa nazwana jest strażą bezpieczeństwa, a dowódca jej, Piotr Łubieński, w odezwie, jako powód utworzenia straży, wymienia bezpieczeństwo własności prywatnej; prezydent Węgrzecki w odezwie do obywateli daje wyraz tej samej trosce, zwracając się do »possessyonatów, naczelników handlów, rzemiosł, fabryk«.

Wśród takiego obrotu sprawy, cywilni spiskowi, ci, którzy wieczorem 29 listopada udali się na Stare Miasto, zwrócili swój wzrok na tę ludność Warszawy, która napełniła ulice i place, wznosiła okrzyki, strzelała na wiwat z broni, zabranej z arsenału, tu i tam staczała drobne utarczki z szaserami i z Rosyanami, i postanowili szukać w tym ludzie oparcia do energicznych, rewolucyjnych działań. Powstała myśl założenia Klubu Patryotycznego, któryby rozwinął gorącą agitacyę wśród ludności, nadał rewolucyi piętno bezwzględnej walki z Rosyą i jeśli się uda, wyłonił z siebie rząd powstańczy. Zadanie to było niełatwe i, jak się wkrótce okaże, przekraczało ono siły i spiskowców i owego ludu. Okoliczności nie sprzyjały tej myśli. Lud Warszawy nietylko w początkach, lecz i później w czasie rewolucyi nie wydał ze swego grona ani jednego człowieka, któryby choć trochę przypominał Kilińskiego. Różne figury mieszczan, które później radykalna szlachta wprowadzała na trybunę sali Redutowej, jak obywatel Gołek, krawiec Morawski i inni, byli to ludzie bardzo małej miary.

Cywilni zaś spiskowi byli to literaci, którzy z ludem zetknęli się po raz pierwszy, brakło im talentu trybunów, nie mieli tej umiejętności przemawiania do mas i porywania ich, która bywa udziałem ludzi, przez te masy wydanych lub przynajmniej duszą, umysłem, czuciem agitatora ludowego z niemi zrosłych. Jeden tylko Józef Kozłowski, adwokat, z pozoru jowialny, grający błazna, w istocie przenikliwy znawca ludzi i zdolny mówca ludowy, umiał jako tako do ludności przemawiać; później dopiero wysunęli się inni trybuni Towarzystwa Patryoty-

cznego, a wśród nich najwydatniejszy ks. Aleksander Puławski. Wiadomo zresztą, że tam gdzie masy ludowe dorosły już swym rozwojem, swem uświadomieniem, poczuciem solidarności, ambicyą, żądzą działania do tego, by odegrać czynną rolę w wypadkach dziejowych, znajdą one zawsze ludzi, których postawią na swem czele; — zadanie tych ludzi wtedy nie tak trudne. Rola tych, którzy chcieli wprawić w ruch masy warszawskie w r. 1830, była niezmiernie trudna. Przed sobą mieli tłum różnolity, którego nie sprzęgały żadne trwalsze ogniwa, który ulegał przemożnym wrażeniom chwili i poddawał się naiwnie urokowi osób popularnych, rozgłośnych, który posiadał żywe uczucia narodowe, lecz nie posiadał tyle świadomości politycznej i umysłu krytycznego, by zoryentować się szybko co do drogi, na jaką wchodzi sprawa powstania. Tłum ten w pierwszych dniach rewolucyi żył wrażeniami chwili, wrzały w nim: podniecenie, zapał, oczekiwanie walki decydującej, niepokój wśród niepewnej i niewyjaśnionej sytuacyi, a także zgroza i oburzenie na tych rodaków, którzy stanęli po stronie wroga przeciwko swoim. Wszystko to tworzyło atmosferę, która czyniła z owej ludności materyał podatny do agitacyi radykalistów powstania, materyał ten atoli był niezmiernie lotny, niespójny i nietrwały; cała ta masa, zgorączkowana, niespokojna, mogła łatwo pod wpływem agitacyi przybrać postawę wyzywającą, groźną dla Rady Administracyjnej i dla jej taktyki medyacyjnej, gdyby Rada dłużej obstawała przy swej tajemniczej, zamkniętej w salach bankowych, niezrozumiałej dla ludu polityce, i gdyby miastu nadal wciąż groziło uderzenie cesarzewicza, wspartego wiernemi pułkami polskiemi. Że ten nastrój podniecony, skory do działań gwałtownych, był zupełnie chwilowy, że za lada zmianą okoliczności zmieni się i usposobienie ludności, tego towarzysze Mochnackiego, nie wyłączając jego samego, wówczas należycie nie pojmowali. Inaczej może obróciłaby się sprawa, gdyby dawniej już systematycznie prowadzona była propaganda

wśród ludności, wszczepiająca przynajmniej w wybitniejsze jednostki pewne niezbite prawdy o stosunku Królestwa do Rosyi, lub gdyby przynajmniej sami spiskowi stanowili liczniejszą, a przedewszystkiem bardziej zwartą, energiczną, wytrwałą grupę ludzi; tymczasem, nawet to drobne grono nie wykazało należytej sprężystości ani odwagi cywilnej i, po pierwszem niepowodzeniu, Mochnacki, głowa całego planu, pozostał sam jeden.

1 Grudnia w sali Ratuszowej odbyło się pierwsze zebranie inauguracyjne, na które zgromadził się tłum ludzi; na wniosek kierowników zebrania ustanowiono Klub Patryotyczny. Prezesem został Lelewel, wiceprezesem Ksawery Bronikowski, zastępcą jego Maurycy Mochnacki. Lelewel tego samego dnia wraz z Władysławem Ostrowskim, Gustawem Małachowskim i Leonem Dembowskim wezwany został do zasiadania w Radzie Administracyjnej, po usunięciu z niej zbyt niepopularnych członków; to przybieranie już po raz drugi osób popularnych do składu Rady stanowiło obliczony krok Lubeckiego, którego myślą było — stworzyć pozór, że żywioły rewolucyi coraz bardziej nasycają Radę, w istocie zaś wtrącić owych przybyszów popularnych w orbitę polityki ministra skarbu i mieć z nich tarczę przed parciem żywiołów skrajnych. Co do Lelewela manewr ten udał się w pewnej mierze; tego samego dnia zasiadł on i w rządzie i w klubie, obróconym przeciwko rządowi; odtąd rozpocznie się owa podwójna mistyfikacya lelewelowska i trwać będzie do 15 Sierpnia, jako jedna z typowych ilustracyi »niedoczynu« rewolucyi listopadowej, używając wyrazu Mierosławskiego.

Z jednej strony, udziałem swoim łamał stale Lelewel i tę odrobinę energii i jednolitości, jaką mógł mieć rząd rewolucyjny, składający się stale prawie z żywiołów zachowawczych i środkowych, z drugiej strony, tumanił głowy radykalistom, którzy mniemali, iż mają w jego osobie stały organ w rządzie, a mieli tylko zamyślonego, chwiejnego, znużonego sprawami rządu historyka, geografa

i numizmatyka. Brakło Lelewelowi woli, jasnego sądu o sprawach bieżących i odwagi cywilnej do obstawania przy swem zdaniu, miał zaś nieposkromioną żądzę popularności wśród młodzieży i klubistów, a zarazem chęć zasiadania w gronie rządzącem. W późniejszym rządzie Pięciu wzniecał niedowierzanie i niechęć swem zagadkowem, milczącem zachowaniem, odezwaniami zwykle dwuwykładnemi, stosunkami z klubem patryotycznym; gdy atoli w tem gronie rychło poznano się na politycznej jego nicości i uczuciem, jakie wśród czterech pentarchów budził, stało się raczej zniecierpliwienie i zdenerwowanie, nie zaś obawa połączona z respektem, to w szerszych kołach, gdzie go jeszcze bliżej nie poznano, szczególnie za granicą, dokąd dochodziły niewyraźne i często tendencyjne wieści, rozsiewane przez wieszających się przy naszych dyplomatycznych agencyach plotkarzy, o rzekomych jakobińskich maksymach i tajemnych jakichś planach wywrotowych Lelewela, długo uchodził on za Robespierre'a czy Marata rewolucyi listopadowej. Wśród radykalistów naszych urok polityczny Lelewela prysnął dopiero na emigracyi.

Zebranie klubu, wyznaczone na dzień następny 2 Grudnia, odbyło się w sali Redutowej przy placu Krasińskich. Przez noc i ranek organizatorowie rozwinęli agitacyę, dogodnym ku niej motywem było wyprawienie przez Radę delegacyi z Czartoryskiego, Lubeckiego, Ostrowskiego i Lelewela do Wierzbna dla pertraktacyi z Wielkim Księciem. Gdy zebranie zagajono, Mochnacki zabrał głos pierwszy, krytykował ostro władze, wystawiał niebezpieczeństwo, płynące z obecności carewicza obok stolicy, przekładał, że oddalenie się jego swobodne z Polski przyniesie wielką szkodę powstaniu; rzucił myśl, aby zgromadzenie uznało się za nieustającą reprezentacyę ludu warszawskiego, wnet atoli spostrzegł, że to zgromadzenie, słuchające słów jego z wielką uwagą, bynajmniej jednak nie mające tak wysokich ambicyi, nie przyklasnęło tej jego

myśli, może nawet nie pojęło jej należycie, począł więc natychmiast rozwijać drugą alternatywę: aby zgromadzenie wysłało deputacyę do Rady Administracyjnej, z żądaniem jej rozwiązania, utworzenia rządu tymczasowego i wydania rozkazu generałowi Chłopickiemu, aby natychmiast uderzył na cesarzewicza, wziął go w niewolę i oddał w zakład ludowi polskiemu. Po nim przemawiali Józef Kozłowski, Ludwik Nabielak, Ksawery Bronikowski, Ludwik Żukowski, zalecając różne środki radykalne ku pomknięciu naprzód sprawy rewolucyjnej; poczem udała się deputacya z osób 12, w ich liczbie Maurycy i jego ojciec, do Banku i tu nastąpiła scena, którą Barzykowski patetycznie przedstawił, jako pierwsze fatalne wstrząśnienie powagi rządu w powstaniu i zły omen na przyszłość; niestety, rządy rewolucyi listopadowej od początku do końca same stale podkopywały swemi czynami, a raczej swą nieczynnością, to zaufanie, jakiego im naród bynajmniej nie skąpił. Zamach Mochnackiego i towarzyszy na Radę Administracyjną, a nazajutrz na Rząd Tymczasowy, okazał się krokiem chybionym — nie ze względu na wartość zaatakowanego rządu, lecz z powodu niemocy postawienia na jego miejsce innego rządu, i z tego też stanowiska krytykował Mochnacki swą próbę w przyszłości. W odpowiedzi na przedstawione punkty, Rada przez usta ks. Czartoryskiego odrzekła, że żądania klubu sprzeciwiają się paktom, tylko co ułożonym z cesarzewiczem, który przyrzekł w s z y s t k o p u ś c i ć w n i e p a m i ę ć. Na to zdumiewające oświadczenie replikował gwałtownie i namiętnie Mochnacki, potępiał niedorzeczną i szkodliwą myśl wypuszczenia z kraju cesarzewicza z wojskiem rosyjskiem, wówczas gdy znajduje się on faktycznie w mocy powstania i gdy dobro rewolucyi wymaga gwałtownie jego zatrzymania, rozbrojenia i wzięcia do niewoli, wyszydzał śmieszne i małoduszne przyjmowanie od Konstantego jakichś obietnic łaskawych, których spełnienie zresztą nie leży nawet w jego mocy. Członkowie Rady manifestowali

swe oburzenie na takie zuchwalstwo, po przykrej scenie delegacya odeszła [1]. Lelewel podczas całej tej sceny znalazł się w równie dwuznacznem położeniu, jak później w sierpniu przy najściu rządu przez klubistów; jak wówczas 15 sierpnia schował się za historyczną firankę w pałacu Namiestnikowskim, tak teraz — milczał uparcie.

Na Radę Administracyjną wrażenie wywarło nie tyle wtargnięcie na salę kilkunastu ludzi, ile widok tłumu, który pociągnął za deputacyą, zaległ plac Bankowy i zachowywał się burzliwie. Mochnacki nie zaniedbał zagrożenia Radzie g n i e w e m tego l u d u, zagroził zresztą zupełnie n a k r e d y t, lecz zrobiło to znaczne wrażenie, bo nicość tej wielkości niewiadomej, jaką był w dniu 2 Grudnia gniew owego l u d u, jeszcze się była wówczas nie odsłoniła.

Rada Administracyjna za radą Lubeckiego postanowiła powołać do swego grona czterech klubistów, M. Mochnackiego, Bronikowskiego, Machnickiego i Plichtę i z propozycyą tą poszedł 3 Grudnia rano Władysław Ostrowski na posiedzenie klubu, które dla wielkiego natłoku odbywało się pod gołem niebem na placu Krasińskich. Lubecki mniemał, że nowi członkowie rządu z okien pałacu rządowego innem okiem patrzeć będą na rzeczy, niż z trybuny sali Redutowej, ale tym razem Mefistofeles rewolucyi, który chciał uśpić Mochnackiego na fotelu rządowym, zawiódł się. Mochnacki oświadczył, że nie będzie zasiadać w rządzie wespół z ministrem skarbu, że Rada

---

[1] J. U. Niemcewicz, którego w ciągu rewolucyi niepomiernie trapiły »zgryzoty od zagorzałych klubów Jakobinów«, był okropnie przestraszony tą sceną 2 Grudnia i już do końca życia nie mógł się przekonać do jej głównego aktora Maurycego. »O Boże! Ci tylko, co widzieli Robespierra, Dantona, Marata, St. Justa, nie byliby przerażonymi tak wściekłemi postaciami, jakie mieli ci zuchwalcy. Mochnacki, chudy, blady, srodze ospowaty, z białemi (?) biegającemi oczkami, zaczął perorę«. Tak pisze w swych pamiętnikach z 1830—1831 roku, (strona 52).

musi się rozwiązać, bo rewolucya potrzebuje własnego rządu. Lubecki i Mostowski podali się do dymisyi; pod parciem energicznem Mochnackiego rada de facto rozwiązała się; liczył on na Ostrowskiego Władysława, więcej zaś jeszcze na Lelewela, iż teraz będą jego sprzymierzeńcami.

Teraz nastąpiła krótka chwila bezwładztwa; wydawało się, iż klub zwycięża. Plac Bankowy zaległa gwarna ciżba ludu, do banku nawet wciskają się osoby obce, snują się po salach, prowadzą głośne rozmowy. Wśród takiego obrotu Lubecki z Czartoryskim biorą na stronę Władysława Zamoyskiego i wyprawiają go do Wielkiego Księcia z wiadomością, że Rada utraciła wszelki wpływ, a insurrekcya bierze górę. Jest to ranek 3 Grudnia, za godzin zaś kilka Mochnacki zaledwie z życiem ujdzie z własnego klubu, gdy waży się rzucić pod adresem Rządu i Chłopickiego ostre wyrazy. Skąd ta nagła zmiana? Barzykowski tłomaczy to opamiętaniem się ludności, dzięki przebraniu miary zuchwalstwa przez Mochnackiego, tryumfem rozwagi i rozsądku; Mochnacki sam zdaje się główną rolę w tem wszystkiem przypisywać agitacyi, rozwiniętej gorliwie przez zwolenników Lubeckiego i Chłopickiego, wpływowi sztabowców wojskowych, przenikniętych wstrętem do anarchii ulicznej i agitacyi klubowej. Przyczyny były z pewnością głębsze, tkwiły one w usposobieniu istotnem Warszawy, zmienionem chwilowo pod wpływem niezwykłych wydarzeń; dnia 3 Grudnia zaszły pewne fakta, które zmieniły napowrót usposobienie Warszawy, a raczej usunęły chwilowe podniecenie czujności i przywróciły równowagę bierności i naiwnej ufności w pomyślny obrót sprawy. Fakta same, a najważniejszym z nich był powrót wojsk polskich z obozu carewicza do stolicy i tryumfalny ich pochód po Warszawie, były tej natury, że gdyby nastrój ludności, przeciwny wszelkim układom, był trwały i stanowczy i gdyby powszechne i niezłomne było wśród tej ludności potępienie osób, reprezentujących

myśl układów, umiarkowania i owej zdumiewającej arcyrycerskiej pochopności do puszczenia wolno, ku oczywistej krzywdzie powstania, cesarzewicza wraz z wojskiem, całym rynsztunkiem i — Łukasińskim w kajdanach, to ów powrót wojska polskiego mógł był natchnąć ludność tem bardziej nieprzepartą chęcią uderzenia na cesarzewicza, zabrania go do niewoli i odsunięcia od władzy osób, zbawiennemu temu krokowi przeciwnych. Lecz usposobienie stolicy było inne.

W przyszłości na emigracyi rozmyślał Mochnacki nad wypadkami owych dni grudniowych i starał się przeniknąć ducha tego ludu Warszawy, który zgotował mu taki zawód niespodziany. Lud warszawski poważa tylko dwie osoby: wojownika albo kogoś, kto z ludu pochodząc, z tłumem przestając, wzniósł się nadeń nieograniczonem równych sobie zaufaniem; kolega Waszyngtona i szewc były jego ulubieńcami w 1794 roku. Ponieważ w r. 1830 nie było Kilińskiego, ulubieńcem ludu mógł być tylko Chłopicki. Do takich wniosków dochodził zasobny w doświadczenie całej rewolucyi Mochnacki. Snując dalej swe rozważania, postrzegał, że lud ten w istocie obojętny był względem partyi, kłócących się pomiędzy sobą w rewolucyi, zdawał się mówić do nich: »kłóćcie się między sobą, niechaj rządzi, kto chce, byle kraj ocalał«. Póki Polska zostaje pod jarzmem, — rozumuje Mochnacki — agenci obcej władzy, donosiciele mogą być pewni srogiej i gwałtownej zemsty w każdem wstrząśnieniu; ale nigdy to nie spotka ludzi, których polityczne wyobrażenia więcej szkodzą Polsce, jak tamtych przedajność. »Lud polski karze zdradę, nie teoryą, od zdrady częstokroć niebezpieczniejszą... Dużo wody wiślanej popłynie do Baltyku, nim to miasto nauczy się pryncypia skazywać na rusztowanie«.

Mochnacki, zgodnie z naturą swego talentu, uchwycił tu wielką intuicyą znamię chwili historycznej i ze zwykłą precyzyą i mistrzowstwem to wyłożył, lecz wniosek jego, rozciągający tę właściwość ludu polskiego na

całe trwanie obcego panowania, zbyt szeroki; obraz owej postawy obojętnej ludu miejskiego względem teoryi politycznych i społecznych byłby anachronizmem nietylko obecnie w wieku XX, lecz już w r. 1863, a nawet w roku 1846, co zaś ważniejsza to to, że nie maluje on nawet wiernie nastroju ludności Warszawy z r. 1794. Gdy Mochnacki w owych dniach grudniowych spodziewał się, że uda mu się wykrzesać władzę z bruku warszawskiego, tchnąć nieufność do ludzi, zasiadających pod firmą dawnego rządu w pałacu bankowym, stworzyć rodzaj komuny miejskiej, któraby pędziła jak wielki zbiornik pary koła rewolucyi, to myślą sięgał nietylko do kart historyi Francyi, lecz i do naszych wypadków 1794 roku. Mniemał, że to, co się nie udało naszym naśladowcom jakobinów z r. 1794, może się udać doświadczeńszym i zręczniejszym rewolucyonistom w r. 1830. Był w błędzie i to nie dlatego nawet, ściśle mówiąc, że ludność wyraźnie odróżniała fałszywą teoryę od przedajności, zdrady. W opinii ludu bowiem można było i fałszywe teorye polityczne podciągnąć pod anatemę zdrady i skierować jego oburzenie przeciwko szkodliwym, acz dobrej wiary osobom, na to jednak potrzeba było pewnych warunków; albo wymagało to tej trzeźwości i przenikliwości politycznej, szeroko rozkrzewionej, która oceniając mężów stanu kieruje się nie względami na szacowność ich pobudek, prawość charakteru prywatnego, sławę imienia nieskazitelną, lecz jedynie miarą użyteczności ich czynów; tak wysoki atoli poziom rozwoju politycznego, który wymaga zupełnie jasnego zdawania sobie sprawy z celu dążeń narodowych i dróg, do niego prowadzących, i całkowitego wyzwolenia od fetyszyzmu osób popularnych i uwielbianych, dotychczas wśród mas chyba nigdy i nigdzie nie został osiągnięty, nie było go oczywiście u nas ani w r. 1794 ani w r. 1830. Lecz tę przenikliwość i dojrzałość mogła zastąpić skutecznie inna właściwość, mniej szacowna i cenna, lecz dająca wielką broń do ręki patryotom, opierającym się na ma-

sach ludowych w chwilach, o przyszłości narodu rozstrzygających, przy opieszałości i uśpieniu warstwy wyższej, a mianowicie — nieufność i podejrzliwość ludu względem warstw rządzących lub wyższych, wynikająca z historyi narodu i występująca zwykle podczas wielkich wstrząśnień w podwójnej postaci, socyalnej i patryotycznej; tak w czasie Wielkiej Rewolucyi Francuskiej lud podejrzewał dwór i dwa wyższe stany o chęć przywrócenia przywilejów i niewoli i o zdradę ojczyzny. Ten to grunt podejrzliwości, nieufności, rozdrażnienia ludu przeciwko warstwie rządzącej, grunt grząski wprawdzie i zdradny, lecz przy zaniku zdrowego instynktu politycznego i zmysłu ocalenia sprawy wśród warstwy rządzącej, dający ostatnią rozpaczną szansę ludziom o wielkiem sercu i genialnej głowie postawienia na kartę wszystkiego, nawet wojny domowej, dla ocalenia ojczyzny, grunt ten był daleko bardziej podatny w Polsce w r. 1794, niż w r. 1830.

W ostatnich latach Rzplitej walka narodowa miała zarazem charakter walki wewnętrznej przeciwko możnym panom, sprzysiężonym z wrogiem przeciwko odrodzeniu i ocaleniu kraju; zacięty opór przeciwko reformie demokratycznej i reformie rządu skojarzył się z zatratą godności narodowej i sumienia narodowego, zaślepienie i zdrada zatoczyły olbrzymie koło śród wyższej warstwy społecznej. To też atmosfera narodowa po katastrofie drugiego rozbioru, wśród rozpaczliwej walki o ocalenie ginącej ojczyzny, była mocno nasycona pierwiastkiem wrogim dla owych panów przemożnych, którzy tak haniebnie zaprzepaścili sprawę narodu. W tym kierunku dął również potężny wicher z Zachodu. Agitacya ukryta Kołłątaja i jawna ks. Mejera, Konopki, Dembowskiego i innych natrafiała na grunt podatny w atmosferze, przesyconej oburzeniem na niesłychaną zbrodnię magnatów, wstrząsanej przez huragan Wielkiej Rewolucyi. Lecz i wtedy zdecydowana postawa Kościuszki, planom Hugonistów wroga, konieczność wytężenia wszystkich sił prze-

ciwko naciskającym wrogom, wreszcie niedojrzałość całego tego niby jakobińskiego prądu, nie posiadającego ani cząstki tej mocnej podstawy klasowej, co pierwowzór francuski, sprawiły, że strawił się on jedynie w jałowych zaburzeniach 8, 9 Maja, 28 Czerwca 1794 roku. Obecnie zaś w r. 1830 stosunek warstw niższych w Warszawie a i w całym kraju do osób, uprzywilejowanych przez stanowisko polityczne, towarzyskie czy majątkowe, był znacznie mniej dramatyczny, niż w r. 1794. Pamięć o Targowicy zblakła, ucisk polityczny dotknął wszystkie klasy społeczeństwa i wszystkie w pewnym stopniu zbratał we wspólnem upośledzeniu, chłop był ciemny, przybity i bierny, o ruchu zaś socyalnym miejskim przy ówczesnym stanie industryalnym Królestwa nie mogło być poważnej mowy; skrajny demokratyzm polityczny i społeczny na tle zasady »wszystko dla ludu przez lud« i na tle gniewu przeciwko »panom, magnatom za naszą niewolę, kajdany« rozwinął się dopiero później na emigracyi. Poza tem, zamiast wichru Wielkiej Rewolucyi wiał obecnie z Zachodu łagodny stosunkowo zefir Rewolucyi lipcowej, właściwie w chwili wybuchu listopadowego już mocno przesiąkły pierwiastkami monarchii mieszczańskiej i odbywającego się na dobre, obok sporadycznych wybuchów, powrotu do porządku *(retour à l'ordre)* w Paryżu i w całej Francyi. Naszym Dantonom i S. Just'om, mocno zresztą niedorosłym do pierwowzorów, pozostała jedynie wolność mów ognistych z trybuny sali Redutowej i poklask kawiarnianej półinteligencyi i ciżby miejskiej; pod koniec rewolucyi nawet, gdy niesłychane błędy naszej głównej kwatery i niedołęstwo rządu oburzały już najspokojniejszych obywateli, agitacya demagogiczna zdołała wywołać jedynie jałowy rozruch uliczny 15 Sierpnia — parodyę dni Wrześniowych paryskich 1792 roku, i spełzła na udekorowaniu kilka latarni w trupy dawnych szpiegów i domniemanych zdrajców i na wystraszeniu z Warszawy prezesa rządu, ks. Adama.

Ludność Warszawy, przystąpiwszy do powstania, jedynego wroga widziała w najeźdzcach, pałała chęcią wypędzania ich z kraju i czuła potrzebę obrony od ich zemsty i powrotu; zapałem, który lud ten ogarnął, tradycyą, która utajona nagle odżyła, rwał się on do walki, wzrokiem zaś szukał wodza. Wódz, spadkobierca Kościuszki, był mężem przyszłości tej rewolucyi od chwili jej wybuchu; gdy tylko się zjawił, popularność jego musiała przygnieść i zaćmić wszelkich trybunów, chociażby przez ich usta przemawiała prawda i jasnowidzenie; wodza upragnionego, ubóstwianego, jako ideał, już niemal wtedy, gdy jeszcze nie raczył przyjąć dowództwa, Warszawa sądzić, krytykować na chłodno w Grudniu nie była w stanie. Tu tkwiła tajemnica olbrzymiej roli tego pierwszego wodza i strasznej jego dziejowej odpowiedzialności; z tego oczarowania narodowego wyniknąć mogło zbawienie lub klęska, to też zdawałoby się, cały swój rozum, całą rozwagę, całą przenikliwość i całą odwagę powinni byli wytężyć ci, którzy za naród w tych dniach myśleli, aby wyboru fałszywego nie uczynić; nie miał prawa milczeć ten, kto zły wybór przeczuwał, kto widział całą kruchość męża, w którego ręce naród losy swoje składał; lecz odtwarzając sobie dziś nastrój ludności w owych dniach, przywodząc na pamięć tę taktykę strusią, fatalistyczną osób, które jedynie mogły mieć wpływ na opinię powszechną, z boleścią widzimy, że niesława i pogarda spotkać musiała Kasandrę, która chciała otworzyć oczy narodu na tę prawdę nieubarwioną, jaką swym wzrokiem proroczym dojrzała.

Od czasów legionów, oczy narodu zwracały się na wojsko narodowe; Dąbrowski, Kniaziewicz, Poniatowski byli czczeni, jako wcielona nadzieja odbudowania Polski, około ich imion tworzyła się legenda, ogół widział przyszłość Polski pod mundurem ułana. Trzeba było tylko, aby w tych pierwszych chwilach rewolucyi listopadowej na rozdrganych duszach warszawian zagrała melodya le-

gionów, a wszelkie uczucia błyskawicznie stopiły się w jedno — zapał dla wojska; stąd płynęło entuzyastyczne, ślepe uwielbienie dla wodza tego wojska, którego, zdało się, historya sama wskazywała, gdy Kniaziewicz był po za krajem, w generale Chłopickim. To właśnie nastąpiło — i tego na razie nie dostrzegł Mochnacki.

W nocy z 2 na 3 Grudnia przybył do Warszawy z Sochaczewa Szembek ze swym pułkiem pierwszym strzelców pieszych; siły insurrekcyi wzmogły się. 3 Grudnia Szembek zjawił się w klubie patryotycznym, witany entuzyastycznie; zapał miasta wzrastał. Gdy Zamoyski dążył około 10 rano do Carewicza z owym wręczonym mu przez Lubeckiego listem, zawiadamiającym o bezsilności Rady Administracyjnej, natrafił na następujące widowisko: kilkanaście tysięcy ludu wraz z wojskiem ciągnęły z okrzykami w Aleje, aby odbić braci. czyli wojska polskie, zatrzymywane, jak wołano, przez carewicza. Szembek i Chłopicki na czele pułku, niesieni przez falę, spotykają Zamoyskiego, i Chłopicki blady z gniewu na tę ciżbę niepowstrzymaną, niesforną, co go przemocą przed sobą parła, oświadcza Zamoyskiemu, że krótką już tylko chwilę będzie w stanie powstrzymać żywiołowy pęd fali i że jeśli do godziny 12 w południe cesarzewicz wojsk polskich nie uwolni, on Chłopicki zmuszony będzie rad nie rad uderzyć na obóz Wielkiego Księcia. Konstanty, przekonany przez Zamoyskiego o grozie sytuacyi, po pewnem wahaniu wydał owo pozwolenie; tymczasem atoli wojska polskie, nie czekając na to, wyruszyły do miasta i połączyły się z rodakami w Alejach Ujazdowskich. Powitanie było serdeczne, rozrzewniające, poczem cała masa ludzi pociągnęła przez Nowy Świat, Krakowskie Przedmieście do środka miasta. Warszawa trzęsła się od okrzyków na cześć wojska polskiego; z balkonów, z okien, dywanami wysłanych, kobiety powiewały chustkami; muzyka wojskowa, pieśni narodowe brzmiały po całem mieście.

Mochnacki wśród tego szału radości widział rzeczy

jasno i trzeźwo; rozumiał, że chwila jest nie tryumfalna, lecz groźna i smutna. Ow wódz opatrznościowy, na którego cześć wznoszono wiwaty, jechał blady, trzęsąc się z gniewu na tę rozszalałą chałastrę, myśl uderzenia na Konstantego odpychał, jako nieszczęście, jako zuchwałe targnięcie się na wodza naczelnego i brata mocarza, którego łaska może jedynie dać krajowi to, czego nie wywalczą stałe siły. Troska Chłopickiego obracała się teraz głównie dokoła myśli, aby cesarzewicz ze swem wojskiem spokojnie uszedł z kraju, niezaczepiony przez niesforną i lekkomyślną ludność polską. I rzeczywiście, zapewniono W. Księciu uroczyście wyjście z kraju, wydano jeńców rosyjskich, wzamian za co Konstanty, przyrzekłszy święcie wydanie jeńców polskich, pocichu uprowadził Łukasińskiego. A więc w chwili, gdy insurekcya była już o tyle silna, że mogła otoczyć i zgnieść lub wziąć do niewoli siły rosyjskie, nieprzyjaciel uchodził z kraju, opieką i błogosławieństwem starszyzny opatrzony, wiodąc ze sobą gwardyę, 40 dział, dwa pułki piechoty, trzy pułki wybornej jazdy, bogaty sprzęt wojenny. Zatrzymanie carewicza zapewniało insurrekcyi olbrzymie korzyści na Litwie, w krajach zabranych, wywierało wielki wpływ na bardzo chwiejnie usposobiony korpus litewski, dawało możność rozniecenia ognia odrazu po wszystkich przestrzeniach dawnej Rzplitej; wkroczenie na Litwę Konstantego, który po przekroczeniu granicy odrazu odzyskał animusz i zaczął grozić straszną zemstą buntownikom, którym się tak łatwo wywinął, oddawało cały kraj zabrany w moc wojska rosyjskiego, odcinało te ziemie i korpus litewski od kongresówki, łamało tam odrazu wpływ powstania. Mochnacki uważał tę śmieszną rycerskość czy małudoszność polaków za czyn samobójczy, tem bardziej nieuzasadniony, że uwolnienie wojsk polskich nie było wcale aktem dobrej woli carewicza, lecz jedynie aktem obudzonego wreszcie sumienia i rozwagi w piersiach żołnierzy polskich,

co targnęli się na sprawę rodaków w pierwszych chwilach powstania.

Warszawie, jednak, myśli te były w owej chwili obce. Dzieci marnotrawne wracały, więc uradowana matka-ojczyzna darowała im odrazu ich winy i pogrążyła się w nastroju świątecznym. Jeśli wśród ludności błąkała się jakaś myśl niespokojna o tym nieprzyjacielu, który tymczasem chyłkiem uchodził ku granicy, aby wrócić niebawem z mieczem zemsty, to myśl ta czujna została przygłuszona cudownym dźwiękiem muzyki narodowej, przytłumiona echem wiwatów, zalana doszczętnie przez wezbrane uczucie wesela. Lud Warszawy przed godziną jeszcze ponury, osowiały, groźny, oczekujący lada chwila boju z przemożnym nieprzyjacielem, któremu sekundowały polskie pułki, niedowierzający tej starszyznie, co knuła jakieś konszachty niejasne z Konstantym, niespokojny a więc dający łatwo popchnąć siebie do czynów gwałtownych, teraz nagle zmienił nastrój; niebezpieczeństwo minęło, Warszawa odetchnęła głęboko, dyszała ulgą, odpędziła troskę. Wraz z odsuwaniem się wroga od stolicy, wracał jak gdyby do wyzwolonej Warszawy duch dawnej Rzplitej, duch zaufanej w sobie beztroski, zatykającej uszy na wołania alarmistów, otrząsającej się ze wstrętem na głosy puszczyków, zatruwających nastrój godowy.

Mochnacki tej powracającej fali nie dostrzegł. Widząc zapał patryotyczny w ludności i w wojsku, podniesiony do najwyższego stopnia, mniemał, że teraz łatwo zdoła podsunąć ogółowi swoje śmiałe plany, spieszył kuć żelazo, dopóki gorące. Nie znał Warszawy, nie znał jeszcze dobrze własnego narodu. Nadzieje na Ostrowskiego Władysława i na Lelewela zawiodły Mochnackiego, Rada Administracyjna rozwiązała się wprawdzie, lecz jednocześnie obwieszczono utworzenie Rządu Tymczasowego, do którego weszli: Czartoryski, Pac, Dembowski, Niemcewicz, Kochanowski, Ostrowski, Lelewel. Utworzono więc rząd nowy, lecz ludzi, reprezentujących myśl bezwzględnej

i natychmiastowej walki z nieprzyjacielem, do niego nie dopuszczono; pozwolono jedynie na obecność dwóch klubistów przy obradach rządu z głosem doradczym; to brzmiało szyderstwem. Pod świeżem wrażeniem obalenia Rady Administracyjnej za pomocą klubu, postanawia Maurycy zwalczać zmartwychwstałą Radę pod nazwą Rządu Tymczasowego tym samym orężem. Udaje się niezwłocznie tegoż dnia 3 Grudnia na posiedzenie klubu i zabiera głos. »Mija czas kosztowny« mówi: »Carewicz uchodzi do ziem zabranych. Ludzie z imionami historycznemi, których mieliśmy za patryotów, nie pozwalają utrudzać jego marszu. Nie ufajmy imionom historycznym. Generał Chłopicki zdradza rewolucyę — idźmy wszyscy razem z bronią w ręku i postanówmy rząd rewolucyjny«. Tu powstały okrzyki: precz, precz! Zwolennicy Mochnackiego próbowali ujmować się za nim, głosy oburzenia jednak przeważały. Referendarz Albert Grzymała zabrał głos; głos ten wart przytoczenia: tłomaczył Grzymała, że ustąpienie Wielkiego Księcia z wojskiem przyniesie narodowi polskiemu wielkie korzyści, zliberalizuje bowiem kraje moskiewskie i zjedna nam wśród nich stronników. Potem zabrał głos adwokat Wojciech Wołowski, który nawoływał do jedności i zgody i naganiał zuchwalstwo młodego, nieznanego człowieka, który ośmiela się zasiewać nieufność do najlepszych mężów narodu. Zresztą, żadnego argumentu na korzyść polityki tych mężów nie przytoczył. Ale zgromadzenie wyraźnie było za »zgodą i ufnością« i obdarzyło mówcę rzęsistym oklaskiem. Gdy jeszcze do tego Ksawery Bronikowski, przez Wołowskiego wezwany zaświadczył, że »rząd działa rewolucyjnie«, gdy więc sam wice-prezes klubu i współdelegat klubowy do Rządu opuszczał Mochnackiego i kłam mu zadawał, wówczas sprawa jego w klubie była ostatecznie przegrana; powstały przeciwko niemu groźne okrzyki, gesta. Wskoczył na stół, chcąc odpowiedzieć, porwano go ze stołu, wyciągnęły się już w jego stronę pistolety. Życzliwi mu obecni otoczyli

go kołem i zaledwie zdołał cało wysunąć się z sali. »Oszczerca, terrorysta, Robespierre polski!« ścigały go głosy jeszcze na ulicy. W sali zaś akademicy w tej chwili zaczęli gasić świece, adjutanci dobyli szabel, zaczęto wołać: »niech żyje Książę Adam i Chłopicki, niech przepadną zapaleńcy«! Zgromadzenie zostało rozpędzone.

Maurycy jeszcze nie dał za wygraną. Na drugi dzień przebiegał konno ulice miasta i przekładał oficerom i żołnierzom, że rzeczy źle stoją, carewicz uchodzi, należy go dopędzić, wziąć do niewoli, usunąć zaś tych ludzi od steru, którzy go wolno puścili. Wojskowi słuchali, tu i ówdzie potakiwano, ruchu jednak wywołać nie zdołał. Wtedy postanowił jeszcze sięgnąć do pra-źródła rewolucyi, dopadł do szkoły podchorążych, która stała na ulicy Orlej; już udało mu się porwać ich zapałem i argumentami patryotycznemi i prowadził ich do banku — miejsca posiedzeń rządu, gdy w tem po drodze spotkali Piotra Wysockiego. Maurycego myślą było iść przedewszystkiem na bank i tam zacząć od tego, aby »pewien mózg finansowy prysnął pod sklepienia gmachu bankowego«, czyli zacząć od usunięcia Lubeckiego, gdy szepnął jednak o swym zamiarze Wysockiemu, ten uklęknął na drodze i swoim rejtanowskim oporem zawrócił podchorążych z powrotem. Ostatnia więc nadzieja Mochnackiego zawiodła, opuścili go nawet rewolucyoniści — Lelewel, Bronikowski, Wysocki. Trzeba jeszcze trafu, że owego dnia, 4 Grudnia, Chłopicki, na skutek sceny gwałtownej z Krukowieckim, dostał ataku jakby apoplektycznego. Wieść o jego chorobie rozeszła się po mieście, a wraz z nią pogłoska, że to zuchwałe Mochnackiego słowa w klubie przyprawiły o słabość ubóstwianego wodza. Teraz życie Maurycego było w poważnem niebezpieczeństwie, nazwisko jego powtarzano ze zgrozą i nienawiścią, pospólstwo już wznosiło dla niego szubienice, Lach Szyrma, dowódca akademików, kazał otoczyć dom Mochnackiego, szukano Maurycego, chciano go uśmiercić. Nie miał gdzie się ukryć w Warsza-

wie; poszukiwany wszędzie, został nagle otoczony przed bankiem przez tłum, który go poznał; zaledwie zdołał Maurycy wpaść do banku i tu przyjął schronienie — w mieszkaniu Lubeckiego.

Tak więc Mochnacki ukrywał się teraz, jako *hostis patriae*, w pałacu bankowym. W przeddzień jeszcze marzył o tem, że w tym gmachu po obaleniu lękliwego, chwiejnego rządu, po usunięciu głównej jego sprężyny nienawistnego Lubeckiego, zasiądzie rząd, wniesiony na barkach tryumfującego ludu, że rząd ten nowy, nie tracąc ani chwili, zapali pochodnię wojny, i roznieci straszny pożar na wielkich obszarach, dokąd sięga polska mowa; nazajutrz, w murach owego rządu, w mieszkaniu Lubeckiego szuka ratunku przed zemstą ludu; w pokoju, danym mu na schronienie, darzył go łaskawą rozmową Książę Lubecki i z uśmiechem pouczał: »nie dobrze jest tak wysoko latać, panie Mochnacki!«; za ścianą obradował spokojnie Rząd Tymczasowy; cesarzewicz uchodził ku granicy, w domu zaś Wolfa przy Krakowskiem Przedmieściu »wielki pacyent rewolucyi« Chłopicki na łożu słabości, pomyślnie mijącej, omawiał poufnie z Niemcewiczem sprawę swej dyktatury. 5 Grudnia została ogłoszona i przyjęta z niesłychanym entuzyazmem dyktatura Chłopickiego.

Dyktatura budziła z początku zapał nieopisany, wiara w Chłopickiego była wielka, przeciwnicy jego ukryci nie śmieli podnosić głosu. Powoli dopiero ogół zaczął przezierać. Dyktator nie taił, co prawda, od początku przed osobami, z któremi się porozumiewał, że myślą jego jest zześrodkowanie władzy we własnem ręku w celu układania się z Rosyą o zachowanie konstytucyi dla Królestwa; credo swoje wyjawił jeszcze przed sesyą grudniową sejmu wobec delegacyi sejmowej; delegacya atoli, w której skład wchodzili pomiędzy innymi ludzie zaufania rewolucyi — Lelewel i Walenty Zwierkowski, zataiła wyznanie dyktatora przed szerszym ogółem, aby nie podkopać zaufania

do jego osoby! Dzięki tej mistyfikacyi, dyktatura znów, przy powszechnym poklasku, została przez Sejm zatwierdzona. Stopniowo, jednak, nieczynność Chłopickiego zaczęła budzić ogólne zdumienie; jęły powstawać wątpliwości, powoli wzmagało się niezadowolenie; wreszcie, około połowy Stycznia szeroko już rozlega się głos, za jaki Mochnacki ledwie życiem nie zapłacił na początku Grudnia: Chłopicki zdradza rewolucyę. Gdyby Mochnacki chciał szukać tryumfu ze ziszczenia swej przepowiedni, miał go w zupełności, zbyt bolesny jednak był to tryumf dla patryoty.

Jeśli chcemy zmierzyć temperaturę zapału dla dyktatury w Grudniu, weźmy odezwę młodzieży akademickiej z pierwszych dni grudnia, piętnującą zarazem zuchwałe słowa Mochnackiego, w klubie w dniu 3 Grudnia wyrzeczone: »Akademia nie jest w stanie wyrazić swego przerażenia i boleści z okropnej wiadomości, że zagorzali fakcyoniści ośmielili się obrazić ukochanego męża, jedyną naszego ocalenia nadzieję. Akademia utopi oręż w piersiach każdego zuchwalca, który się poważy ubliżyć najwaleczniejszemu z walecznych. Generale! Przebacz błędy kilku szaleńców. Nie opuścisz ojczyzny nad przepaścią. Koniec Twojego wielkiego życia połączy się z wielkiemi przeznaczeniami narodu... Potwory terroryzmu, wznosząc głowę zuchwałą, padną pod naszym orężem. Generale! Ocal ojczyznę! Obyśmy miłością naszą wyrównywali cnotom i poświęceniu twojemu«.

Warto przejrzeć także protokóły Izby Poselskiej z 18 i 20 Grudnia 1830 roku, aby wyczuć, iż postać Chłopickiego przygniata niejako sobą nawet najwyższą reprezentacyę narodu. Weźmy tylko tę chwilę, gdy delegacya Izby udaje się ze drżeniem niepokoju do Chłopickiego, by go wybadać, czy przyjmie dyktaturę, nad którą czuwałaby deputacya sejmowa. Po skończonej a pomyślnej audyencyi, znany z buty i zuchwalstwa, późniejszy pogromca styczniowy Chłopickiego Jan Ledochowski zawia-

damia Izbę o przyjęciu warunków przez dyktatora rzewnemi i radosnemi słowy: »muszę oświadczyć, iż rysy twarzy Dyktatora (bo go tak już nazwać mogę) okazywały największe poświęcenie; łzy widziałem w jego oczach. Wnoszę, aby nie wstawać, lecz jednomyślnie wykrzyknąć Dyktatorem Jenerała Chłopickiego«. Tu — notuje protokół — dały się słyszeć jednozgodne okrzyki tak Izby jak i galeryi: »Niech żyje Dyktator!« [1] Dodać należy, że dyktator już wcześniej złożył przed delegacyą, w której znajdował się i marszałek sejmu grudniowego. Władysław Ostrowski, oświadczenie polityczne, które nie zostawiało wątpliwości, że nadzieja jego polega nie na orężu, lecz na układach i że w połączenie gubernii zabranych z Królestwem nie wierzy.

A teraz przysłuchajmy się styczniowym głosom. Dyktatura upadła 18 stycznia. Już w numerze »Nowej Polski« z 19 Stycznia bezimienny autor rozwodzi się bez obsłonek o kontrrewolucyi Lubeckiego i Chłopickiego. W numerze z 20 Stycznia znajdujemy tryumfującą notatkę: »Wczoraj po wysłuchaniu w Izbie senatorskiej zdania sprawy deputacyi sejmowej o szkaradnych zamiarach ex dyktatora, lud wyrywał z za szkieł we wszystkich sklepach rycin portrety tego przeniewiercy. W swojem oburzeniu i żalu deptał rysy niedawno sobie tak drogie i podawał przekleństwu imię ubóstwiane przed chwilą. Ależ bo nikt jeszcze na świecie tak gorzko i tak bezbożnie nie uśmiechnął ze świętej wiary ludzi w uczciwość i cnotę«.

To pisze organ klubistów, za dyktatury prześladowanych, a więc może pismo stronne, lecz sięgnijmy do obrad sejmowych. 20 Stycznia na sesyi sejmu poseł Konecki Roman Sołtyk mówi: »rozdarliśmy zasłonę, która

[1] Przemówienia sejmowe cytuję w tej pracy według Dyaryusza Sejmu, wydanego przez M. Roztworowskiego, Kraków. — Tom I, 1907 r., Tom II, 1908 r., Tom III, 1909 r.

ukrywała dotąd kontrrewolucyę, zaszczepioną przez Lubeckiego, a wiernie wykonywaną przez Dyktatora«. Nikt nie oponuje, zaś Gliszczyński ma jedynie do zarzucenia przeciwko słowom Sołtyka to, iż »pan Chłopicki w trzy dni po złożeniu dyktatury jeszcze dyktatorem jest nazwany; rzeba go raczej nazwać ex-dyktatorem, nie polakiem«.

Na sesyi 22 Stycznia poseł Trzciński stwierdza, iż »Chłopicki dążył jedynie do uśpienia narodu i do zdradzieckiego ostudzenia jego energii«. Marszałek Ostrowski czyta odezwę sejmu do wojska, a w niej bardzo wyraźną naganę dla ex-dyktatora, Ledochowski Jan potępia Chłopickiego; a nie są to już nawet namiętne filippiki, a raczej spokojne, powszechnie akceptowane głosy, stwierdzające dobitnie oburzenie i pogardę.

Na sesyi z 24 Stycznia Gustaw Małachowski, mówiąc o korespondencyi dyktatora z wielkim księciem, decyduje się powiedzieć o liście dyktatora słowo obrony, lecz jakże skromne: »duch listu nie jest tak występny, jak wielu mniemało«. List ów, odczytany wobec Izby, znów wywołuje surowe sądy (mowa Starzeńskiego). Po odczytaniu zaś listu Chłopickiego do cesarza Roman Sołtyk oświadcza, że list ten wzbudził w nim największą pogardę dla Chłopickiego, i domaga się szybkiego nań wymiaru sprawiedliwości.

Na te wszystkie głosy potępienia, z których przytoczyłem tylko przykłady, nie podniósł się ani jeden głos obrony w sejmie; odbiera się wrażenie, że gdyby ktoś wziął teraz w obronę Chłopickiego, ściągnąłby na siebie taką samą burzę, jaką w Grudniu sprowadził na swą głowę Mochnacki, gdy ważył się wyrzec to, co obecnie stanowiło już powszechne credo. I wówczas i teraz uderza terroryzm opinii i brak odwagi cywilnej; trudno przypuścić, aby teraz nie znalazł się człowiek, któryby miał dla Chłopickiego słowo usprawiedliwienia; wszak dla wielu postępowanie jego nie było niespodzianką, powinni byli czuć się moralnie spółwinni tacy ludzie, jak Czartoryski, Ostrowski,

Lelewel, Zwierkowski, przed którymi dyktator oddawna wyspowiadał się ze swej wiary politycznej, a jednak teraz, gdy Chłopickiego czyniono jedynym kozłem ofiarnym, albo milczeli potakująco, albo nawet, jak Ostrowski, uroczyście zaznaczali swą jednomyślność z głosami potępienia, chociaż w duszy z pewnością uważali głosy te za zbyt surowe; przecież bowiem wkrótce tego samego Chłopickiego znów gorąco proszono, aby raczył objąć choćby nieurządowe, faktyczne tylko dowództwo nad wojskiem.

Bądź co bądź, potępienie Chłopickiego w Styczniu zdumiewa nie tyle, ile ta cześć bałwochwalcza w Grudniu, pomimo zupełnie wyraźnych niepokojących oznak jego usposobienia politycznego, które w samem zaraniu powstania uchwycił Mochnacki. Sześciotygodniowy okres dyktatury dał wyniki opłakane, był to jeden poprostu krzyczący błąd, jedno omamienie; trudno nawet krytykować poszczególne czyny Chłopickiego, gdyż wszystkie były natchnione niepojętym, a z uwagi na stanowisko głowy powstania, zbrodniczym obłędem. Konstantego z wojskiem wypuścił na wzmocnienie armii nieprzyjacielskiej. Gdy z pułków Konstantego 1200 żołnierzy, Litwinów i Rusinów, ukryło się w Warszawie, nie chcąc pójść z wielkim księciem, Chłopicki wytłomaczył im, że muszą wracać do domu, bo wojny nie będzie, i kazał wszystkich pod strażą odprowadzić do granicy. Akademicy krakowscy, udający się do Warszawy, musieli się przemykać ukradkiem, bo dyktator kazał sztafetą zwrócić ich z drogi. Oficerów i żołnierzy ze służby pruskiej, gdy przybyli, jako ochotnicy, również źle przyjął, pierwszych zburczał, drugich chciał aresztować [1]. Wołynianom, Podolanom, gdy

[1] Przytoczone, według pamiętników Chłopickiego, Dembińskiego, Kołaczkowskiego, w Augusta Sokołowskiego »Dziejach powstania listopadowego«. Patrz, także Pamiętniki Prądzyńskiego, Tom I, strona 242 i następne.

przedstawiali mu potrzebę poruszenia tych ziem, odpowiadał: »ani jednej skałki nie mam dla was«.

Nie tylko otrzeźwieni po niewczasie Polacy, lecz i sami Rosyanie należycie ocenili utopię Chłopickiego. Znany partyzant i pisarz generał Dawydow, uczestnik wojny 1831 roku, we wspomnieniach swoich, cytowanych w znanem dziele generała Puzyrewskiego mówi: »Stawia się pytanie, czy mógł Chłopicki liczyć na powodzenie rokowań z rządem rosyjskim i poprzestawać dla tego na obronnem stanowisku? Propozycye, przywiezione przez Lubeckiego i Jezierskiego, były tego rodzaju, że monarcha rosyjski przyjąć ich nie mógł. Pięcioletnie panowanie Mikołaja I, nacechowane wybitnym hartem i nieugiętością, powinno było otworzyć oczy Chłopickiemu... Wobec tego działalność Chłopickiego, zaniedbującego szybkiego rozwoju wszelkich środków walki, ze stanowiska wojennego zasługuje na stanowczą naganę. Obowiązkiem jego było albo nie przyjmować godności dyktatora, albo przyjąć ją ze stanowczym zamiarem prowadzenia walki na życie i śmierć«. Cytując te słowa, Puzyrewski, pomimo widocznej rezerwy, zrozumiałej w książce generała rosyjskiego, zajmującego stanowisko w Królestwie Polskiem, taką wydaje ocenę Chłopickiemu: »Nie tykając kwestyj politycznych, nie podobna nie zwrócić uwagi, że z punktu wojennego postępowanie Chłopickiego było błędne... Chłapowski twierdzi, że Chłopicki w rozmowie nieraz mu powtarzał: »Bić się z Moskwą nie możemy, nie damy rady. Cesarz jest w takiem położeniu, że będzie musiał się zgodzić na moje propozycye (z któremi pojechali do Petersburga ks. Lubecki i Jezierski)«. Oświadczył przytem, że domaga się gwarancyi dotrzymania konstytucyi nietylko przysięgą, ale pozwoleniem sformowania rezerwy na kształt pruskiej, która umożliwi uzbrojenie 100.000 żołnierzy oraz posiadanie w arsenale 500.000 karabinów i 500 dział, — a wtedy, jeśli dojrzeje rewolucya, można będzie dokonać tego, co jest w obecnej chwili powstania niemożliwe. Na-

der naiwnym trzeba było być politykiem, ażeby przypuszczać, że cesarz rosyjski zgodzi się na coś podobnego«. Taką ocenę naszego dyktatora, który chciał jednocześnie »umieć być wiernym« i sprawować dyktaturę powstania, daje generał rosyjski.

Jeżeli jednak Chłopicki z taką jaskrawą bezmyślnością przygotował do połowy zgubę powstania, drugą połowę pozostawiając dla Skrzyneckiego, to wyrasta jak sfinks przed nami pytanie dręczące, jak mógł ten naród, wzdychający do niepodległości, gotowy do wszelkich poświęceń, wpaść dobrowolnie w taką matnię; jak mogło się to stać, że, mówiąc słowami Mochnackiego, »za wspólną wszystkich zgodą wśród rzęsistych oklasków i gęstych pochwalnych adressów popęd dwudziestego dziewiątego zbity został ze swojego toru«, jakiem niepojętem omamieniem wytłomaczyć, »że alleluja całej opinii jednym wtórzyło chórem Lubeckiemu, gdy pieśń swoją *de profundis* zaintonował rewolucyi naszej«.

Jest coś przejmującego dreszczem Polaka w całem zjawisku dyktatury Chłopickiego. Naród, który przez parę wieków sławny był z zazdrosnej troski obywateli o swą wolność, który jeden z pośród wielkich narodów Europy nie przeszedł w nowych czasach okresu absolutyzmu, który z obłędnym lękiem drżał przed absolutum dominium własnego króla wtedy, gdy już mu niechybnie groziło jarzmo trzech despotycznych rządów, teraz ocknąwszy się jakoby z upadku, składa na ołtarzu ojczyzny ofiarę ze swobód konstytucyjnych, oddaje się dobrowolnie, z zapałem we władzę jednego człowieka, ufa, że tą ofiarą zmaże plamę bezrządu z imienia polskiego; jednym wielkim aktem stwierdza niby rozbrat z winą ojców i swą nieskończoną ofiarność dla ojczyzny. Ale zły duch dziejów jakgdyby zadrwił sobie z tej ofiary polaków; ołtarz, na którym złożyli w ofierze swoje swobody, staje się stołem, na którym klecone są bezmyślne noty quasi-dyplomatyczne, odezwy i rozkazy, pętające popęd narodu do walki

o wolność, mrożące zapał i wiarę w siły narodu. Ten zawód gorzki nie może być liczony na karb zdradzieckiego oszukania narodu przez jednego człowieka. Wglądając w okoliczności dyktatury, widzimy tam winę zbiorową; Chłopicki nie robił tajemnicy ze swego usposobienia, wszak o niem wiedzieli conajmniej od połowy Grudnia Czartoryski, Ostrowski, Lelewel, wiedziały i inne osoby z sejmu, magistratury, wojska. A więc jest w tem coś głębszego, coś bardziej powszechnego, niż traf nieszczęśliwy. Jest jakaś słabość, jakaś niemoc, duszę tego społeczeństwa trawiąca, która sprawia, że żelazna instytucya dyktatury wyradza się na tym gruncie jałowym w parodyę swej nazwy, w politykę utopii i półśrodków, w niedołęstwo.

Ta niemoc czynu występuje tem jaskrawiej, że ludzie, którzy stali na czele rewolucyi i stopniowo pogrążali ją w otchłani upadku, nie byli to zdrajcy, ani egoiści, nie byli to ludzie przedajni ani tchórze. Nie był przecież zdrajcą lub tchórzem — ani Chłopicki ani nawet Skrzynecki, obydwaj byli w nierównym wprawdzie stopniu ludźmi męstwa, patryotyzmu i uczciwości osobistej; trudno odmówić prawości i patryotyzmu i owej pentarchii, która przez pół roku sprawowała cywilne rządy rewolucyi, sprawowała je zaś słabo, chwiejnie, szkodliwie. Z dobrych patryotów składał się również sejm. I owi prawi ludzie, cnotliwi polacy, jak ich co krok nazywa Stanisław Barzykowski, sam krew z krwi i kość z kości tego pokolenia, z całą swą prawością, cnotą, patryotyzmem uroczyście, z czystem sumieniem ułożyli ojczyznę po raz wtóry do grobu, nie wyczerpawszy ani cząstki tej energii i tych środków, z jakiemi sprawy bronić należało. Przy upadku Rzplitej, w końcu wieku XVIII widzimy straszną korupcyę, widzimy Ponińskich, Młodziejowskich, Potockich, Rzewuskich, Branickich, Kossakowskich, Massalskich, widzimy łotrów i zdrajców, ludzi chciwych, przedajnych, bez czci i wiary, bez sumienia, a obok nich uderzające wzory rozumu politycznego, dziel-

ności i cnoty. Widzimy, jak potężny, przegniły odłam społeczeństwa sprzymierza się z przemożnym wrogiem i niweczy usiłowania zdrowej części narodu. Widok ten — dla dumy naszej narodowej bolesny; rzucamy przekleństwo i pogardę niecnym jurgieltnikom i targowiczanom, a za to zwracamy się ze czcią, otuchą i miłością ku tej garści rozumnych patryotów, którzy nie mogąc ocalić Rzeczypospolitej, zostawili przynajmniej mądrością natchniony testament dla nieszczęśliwych synów i przekazali w nim ziarna życia i odrodzenia. W r. 1831 widok nie tak haniebny, lecz bardziej jeszcze przygnębiający. Potomstwo duchowe Targowicy nieliczne, zdrajców liczba szczupła. Rożniecki, Krasiński, Kurnatowski, generałowie, polegli 29 Listopada, wszyscy wreszcie inni nieprzyciele powstania — wszak to garść tylko, a i to, z wyjątkiem Rożnieckiego, Hurtiga i szpiegów, na których przyszła kolej 15 Sierpnia, ludzie, raczej obłędnej doktryny i małego ducha, niż przedajni i podli. Wpływ ich na losy powstania — żaden. Ignorancyą również i stronniczością tchnąłby pogląd, iż to czerwoni malkontenci naszego powstania, z pod znaku Sali Redutowej, Honoratki i Dziurki Marysi, strzałami zatrutemi razili i chwiali energię rewolucyi; nawet bowiem tak fanatyczny wróg tego obozu, jak Barzykowski, wyznać musi, że nie mógł odłam ten szkodzić wiele powstaniu chociażby dlatego, że wpływ jego był niezmiernie mały My zaś wiemy, że i tę odrobinę wpływu, jaką posiadał, zawdzięczał jedynie rażącym błędom, chronicznemu niedołęstwu tych, którzy stali na czele. Wina spoczywa na całym ogóle i w pierwszej linii na tych, którym naród z wielką ufnością powierzał swe losy; jeśli zaś co tych ludzi w oczach potomności usprawiedliwiać może, to chyba to, że nieśli na barkach wraz z całem pokoleniem nieszczęsną puściznę ci dziedzice duchowi umyślnych i mimowolnych grabarzy Rzeczypospolitej, że atmosfera win, wad, błędów spowijała ich dusze jakby mgłą grubą, w której wzrok ich tonął, nie mogąc dojrzeć gwiazdy ocalenia,

i tak błądziły w mroku i niemocy te raczej nieszczęsne ofiary kalectwa narodowego, niż jego sprawcy.

To, że główne wady narodowe dawnej Rzeczypospolitej nie mogły zginąć odrazu po rozbiorach, że przeżyły one polityczne rozdarcie narodu i broiły i broją w dalszym ciągu, nie wymaga długiego dowodzenia, jako prawda zbyt jasna. Dyagnoza, jednak, wad porozbiorowych narodu nastręcza mnóstwo wątpliwości, zdania historyków i publicystów w tej materyi są aż nadto często skrępowane względami polityki i pedagogii stronniczej. Rozpowszechnione jest mniemanie, że indywidualizm wybujały i nieposzanowanie zasady rządu stanowiły kardynalne braki narodowe, które przetrwały po rozbiorach. Jeśli tę tezę zapragniemy sprawdzić na przykładzie rewolucyi listopadowej, uderza nas sprzeczność jej z całym niemal przebiegiem powstania. W Rewolucyi Listopadowej poszanowanie dla władzy, w początkach dyktatorskiej było niezmierne; posłuszeństwo ślepe, cześć religijna, nadzieja i miłość otaczały tę władzę.

Mówiąc o Królestwie Kongresowem, odróżnia Józef Szujski generacyę starszą, przyjaciół Aleksandra, klasyków w literaturze, i generacyę młodszą, konspiratorów w polityce, romantyków w literaturze. Obie strony miały swe racye — mówi —, prawda była po środku. »Po jednej stronie było święte pojęcie rządu, po drugiej święte pojęcie społecznej reformy« [1]. Antyteza ta słuszna jest tylko o tyle, iż generacya starsza istotnie nie miała świętego pojęcia społecznego reformy, lecz nie jest prawdą, jakoby wśród generacyi młodszej nie było odczucia potrzeby rządu. Sam Szujski zresztą dalej przyznaje, że »konspiracyjny żywioł miał najwięcej młodości i warunków życia, najwięcej politycznych racyj, miał w świecie ducha geniusze Mochnackiego i Mickiewicza, miał głowy pojmujące doskonale potrzebę rządu«, a więc osła-

[1] »Kilka prawd z dziejów naszych«. Dzieła, Serya III, Tom I Kraków 1885.

bia sam swą tezę, wzorem jednak wszystkich pisarzów, łączących bystrość poglądu z doktrynerstwem, puszcza zupełnie luzem swe trafne zastrzeżenia, sam zaś idzie dalej torem swych ulubionych myśli. Wiadomo dobrze, że Mochnacki przez cały ciąg powstania był stale zwolennikiem silnego rządu, a nawet despotycznego jedynowładztwa. Że zaś ogół po upadku dyktatury stracił zaufanie do jedynowładztwa, było to wynikiem zawodu, doznanego na Chłopickim, w dalszym atoli ciągu naród kornie poddawał się rozkazom sejmu, rządu, naczelnego wodza. W młodych konspiratorach, którzy rewolucyę 29-ego Listopada do życia powołali, w Wysockim i podchorążych, było nietylko wyrobione przekonanie o potrzebie silnego rządu, lecz także do ostatnich granic posunięte przeświadczenie o konieczności poddania się władzy starszych wiekiem. doświadczeniem i stanowiskiem ludzi, przeświadczenie, stanowiące przeciwieństwo tej »anarchiczności«, będącej »recydywą w dawne złe Rzeczypospolitej«, tak naganianej u Polaków przez Szujskiego. (»O Fałszywej Historyi«).

Autorowie z pokolenia listopadowców wielokrotnie stwierdzają, że głoszone i wpojone przez pisarzy i statystów odradzającej się w XVIII wieku Polski zdanie, iż naród ginie wskutek braku rządu, głęboko wszczepione zostało, szczególnie po rozbiorach, w umysły polaków. Dyktatura nie była improwizowana — mówi Barzykowski (Tom I, str. 404). Upadliśmy nierządem, anarchią i ta prawda dla wszystkich po rozbiorze staje się jawną. Druga prawda — że jeżeli Polska powstanie, powinna mieć rząd silny i sprężysty. Te dwie prawdy, jako dwa dogmaty wiary politycznej, przekazywane były przez ojców i matki synom, przez nauczycieli uczniom. »We wszystkich tajnych spiskach i związkach jeden naczelnik najwyższy był podawany i przyjmowany. Takim był Stanisław Małachowski, Kościuszko, Dąbrowski, Kniaziewicz. Ta poprawa narodu żywo nawet dała się uczuć za Księstwa Warszaw-

skiego. Nigdzie i nigdy większa uległość dla rządu okazywaną być nie mogła. Nawet za Królestwa Kongresowego, acz stan polityczny nie był przyjmowany za narodowy i opozycya, jako też tajne związki miały miejsce, jednak myśl rządowa, poczucie porządku i poszanowania prawa wielki postęp uczyniły«.

»W tem nastąpiło powstanie listopadowe« ciągnie dalej Barzykowski: »aliści w parę dni anarchia występuje w całej sile i mocy... Naród zląkł się tego zjawiska... Bronikowski ma słuszność, gdy mówi, że propozycye Mochnackiego wywołały dyktaturę«.

Inny świadek epoki stwierdza to samo zjawisko, tylko bardziej krytycznie je oświetla. »Zdanie, że Polska niezgodą zginęła, brzmiało złowrogo wszystkim w uszach« mówi Alfred Młocki:[1] »i dlatego wszyscy lękali się jak dżumy wszelkiego rozdwojenia i wogóle z obawy tej niezgody wpadli w drugą ostateczność ślepej wiary i bezwzględnego zaufania w patryotyzm i mądrość nieomylną pewnych osób, które, słusznie czy nie słusznie, miały utrwaloną powagę w opinii publicznej. Ta dążność do zgody, nader chwalebna w pewnych granicach, jak każdy, choćby najlepszy przymiot, posunięty do przesady, stawała się szkodliwą, bo wykluczała wszelką krytykę rządu i wpływ publiczny na zmianę ich postępowania, uważanego za nieomylne. Nastręczała przytem ludziom złej woli pod hasłem zgody i jedności łatwą sposobność — zohydzenia i zniweczenia najzbawienniejszych dla sprawy narodowej pomysłów i czynności«. To też, mówi Młocki: »Mochnacki, który powstał przeciw niedołężnemu postępowaniu owych bożyszczów narodu... o włos życiem nie przypłacił tej zbrodni, że jaśniej widział rzeczy, jak drudzy«.

Podobne świadectwo daje Ludwik Orpiszewski:[2]

---

[1] W Zbiorze Pamiętników do Historyi Powstania 1830—1831, Lwów, 1882, str. 276, 286.

[2] Rocznik Towarzystwa Historyczno-Literackiego. za rok 1867. Paryż, str. 296.

»Młodzież wojskowa, studencka, ex-studencka, rozsiana po biurach lub gospodarująca po wsiach wpierała się do posłuszeństwa. Instynkt obudzony był przez ciągłe anatema rzucane w szkołach i w uniwersytecie na anarchię, która kraj w cudzoziemską niewolę poddała«.

»W ostatnich czasach Polacy uczuli również potrzebę ześrodkowania wszystkich sił w jednym człowieku« mówił Adam Mickiewicz w swoich wykładach: »Nie mamy człowieka! wołano powszechnie od Kościuszki do Chłopickiego« [1]. U mesyanistów potrzeba ta wystąpiła w kształcie pożądania męża, ten zaś, gdy wreszcie został znaleziony, okazał się równie zawodnym sternikiem dusz, jak dyktator sternikiem powstania.

Rozważając usposobienie ogółu, towarzyszące dyktaturze, trudno zgodzić się z Barzykowskim, iż było ono objawem poprawy narodu. Społeczeństwo z jakimś chorobliwym nastrojem rezygnacyi, zamknąwszy oczy, rzuca się w objęcia dyktatury; z fanatycznym uporem, odtrąca wszelki zdrowy sąd, zatyka usta rozwadze, nie pozwala ani jednem słowem krytyki drasnąć osoby lub polityki dyktatora i brnie za nim ze ślepą otuchą, z buńczuczną nieopatrznością; aż wreszcie gdy sam dyktator uznał fiasco swego systemu i złożył swą godność, wtedy ogół ten, zdumiony, zawiedziony, rozdrażniony, ten ogół, który nie pozwalał nałożyć na Chłopickiego wędzidła krytyki, nagle gotów nałożyć nań — niemal kaftan bezpieczeństwa; istotnie, w połowie Stycznia rozchodzi się i znajduje wiarę pogłoska, że Chłopicki zmysły postradał.

Cały ten szał uwielbienia, całe to *tabu* fanatyczne, bałwochwalcze, jakiem otoczono Chłopickiego, adoracya ślepa, histeryczna — nie stanowią objawu zdrowego; myśl jednowładztwa, dzielną, zbawienną wypaczono, sparodyowano, skompromitowano. Mochnacki czuł to od początku, lecz usta miał zamknięte, wrażenia swoje i wnioski wy-

[1] Wykłady o literaturze słowiańskiej. Lwów 1900 Tom V str. 15.

łuszczył dopiero pod koniec Stycznia. Wówczas z pod pióra jego wyszedł jeden z najświetniejszych fragmentów, jakie napisał; było to już w drugim okresie powstania, gdy po upadku dyktatury sejm wysuwa się na czoło rewolucyi, jako świątynia wszechwładztwa narodowego. Mochnacki głębiej na rzeczy patrzący, niż płytcy statyści rewolucyi, dostrzega w sejmie to samo znamię niemocy, to samo panowanie niedołęstwa, co i w dyktaturze.

Sięga więc do źródła złego, do zakażenia duszy narodu: »Polska nie zginie brakiem obywatelstwa i cnoty, nie zginie brakiem męstwa i środków materyalnych, ale zginie terroryzmem nierozumu«.

Terroryzm ten powtórnie dawał mu się we znaki. Wtedy gdy inni bawili się łatwem już teraz zadaniem nicowania ex-dyktatora, Mochnacki wytężał wzrok w tę przyszłość, jaką obecnie gotował rewolucyi sejm i widział ją znów posępną; umieścił tedy ostry artykuł przeciwko Sejmowi w »Nowej Polsce«. Bezimiennego tym razem autora znów zawzięcie kamienowano, poseł Ledochowski krzyknął w sejmie, że autor pisze za talary pruskie lub ruble moskiewskie. To powtórne już doświadczenie naprowadziło Mochnackiego na poszukiwanie pewnej wspólnej przyczyny, głęboko utajonej choroby, która występowała i w dobie dyktatury i obecnie w okresie sejmowym pod odmiennym powierzchownym kształtem, lecz ciągle jednaka, co więcej w chorobie tej dostrzegł recydywę zadawnionego cierpienia. Pobieżność artykułu dziennikarskiego, pisanego na prędce, nie pozwoliła na szersze rozwinięcie tematu.

»Najstraszniejszy, najokropniejszy jest terroryzm zawziętego w śmiesznem uprzedzeniu mniemania; terroryzm obskurantyzmu politycznego, terroryzm socyalnego nierozumu. Taki terroryzm mistrzuje w naszej rewolucyi, mimo obywatelstwo i polską cnotę wszystkiej niemal ludności! Niemasz żadnego na to złe lekarstwa. Do naszych mas żadne nie trafią rozumowania. Żadna myśl oryginalna

nie opanuje większości. W imię jedności i zgody tylko co nie zgubili Polski przyjaciele dyktatora. Wszelką przeciwko niemu opozycyę nazywano zdradą kraju. Wierzmy dyktatorowi, bo to wielki człowiek! słynie w Europie, on sam jeden zbawi Polskę. Rada najwyższa przypatrywała się codziennie sprawom jego. Wierzono radzie najwyższej. Ex-sekretarz dyktatora wiedział o wszystkiem, a nikomu nic nie powiedział. Wierzono ex-sekretarzowi ex-dyktatora. Co większa! Terroryzm politycznego obskurantyzmu doszedł do tego kresu, że ci nawet, którzy mieli ocenić postępowanie ex-dyktatora samym sobie wierzyć nie chcieli [1].

»Mistrzował w Polsce po wszystkie czasy, panował, broił ów terroryzm nazwiska, terroryzm łatwowierności, terroryzm zaufania nieodpowiadającego zasłudze. Byliśmy i jesteśmy dotąd dziwowidzami, chwalcami, panegirystami bądź mniemanego talentu, bądź urojonej jakiejś przewagi. Nic łatwiejszego jak zostać sławnym i popularnym w Polsce. Mamy wielkich literatów, którzy nigdy nic nie pisali, wielkich obywateli, którzy nigdy nic dobrego dla kraju nie zrobili, wielkich dyplomatyków, którzy ledwo czytać umieją. Sławy, reputacyi, popularności dostać u nas można, jak lichego na jarmarkach towaru«.

»Ta mniemana sława, ta czcza reputacya, ta urojona, wmówiona popularność szerzy się następnie, jak dźwięk hucznego dzwonu w powietrzokręgu, uzbraja się całą potęgą terroryzmu łatwowierności szczerej lub udanej, i ludziom myślącym nakazuje milczenie terroryzmem politycznego nierozumu. Biada temu u nas, kto myśli swoją

[1] W pamiętnikach Prądzyńskiego znajdziemy cenne w tej mierze wyznanie. Genialny Prądzyński nie mógł nie dostrzedz od samego początku fałszywych kroków dyktatora i on, atoli, próbował z początku uśpić swą czujność wmawianiem w siebie, iż pewnie na dnie dyktatorskich zarządzeń tkwi jakaś myśl głęboka: »Usiłowałem zaspokoić się tą myślą, że nie znając dokładnie stanu rzeczy ani tajemnych powodów, nie powinienem sądzić postanowień Dyktatora, i moja wiara w niego mało się zachwiała«. (Tom I, str. 262).

głową, i swojem rozumieniem rzeczy około siebie pojmuje! To wichrzyciel! To burzyciel!«...

»Ufność niechaj będzie nagrodą zasługi, ale nie zachętą do działania... Obskurantyzm polityczny nie toleruje u nas żadnej opozycyi«.

Te myśli Mochnackiego, tutaj zaledwie naszkicowane, nie zostały później rozwinięte ani przez niego, gdyż umarł zbyt wcześnie, ani przez późniejszych pisarzów. Publicyści emigracyjni nie umieli zdobyć się na wytrawny i głęboki sąd o własnem społeczeństwie, nicowali głównie jednostki, stronnictwa i obozy. Publicyści późniejszej doby zabarwiali swe sądy stronniczością, nie potrafili wznieść się na objektywne stanowisko Mochnackiego, który z równą przenikliwością wykrywał znamiona niemocy i rozkładu i w łonie rządu i sejmu i w szeregach opozycyi, zarówno w salach Banku, Zamku, Pałacu Namiestnikowskiego, jak i w Sali Redutowej lub u Honoratki; z równą nieugiętością piętnował wady i po prawicy i po lewicy. Pisarze jedni obracali się wciąż w ciasnem kole formułek Towarzystwa Demokratycznego; inni, przeciwnego kierunku, tropieniem nieubłaganem widma anarchii i liberi conspiro zagłuszali swą często znakomitą od przyrodzenia, jak u Szujskiego, czujność na drgania duszy narodowej. Gdy jednak przysłonimy na chwilę ostatnie wnioski w studyach Szujskiego, zawsze i zewsząd zdążające ku ulubionej jego tezie, a zwrócimy uwagę na te mistrzowskie karty, gdzie kreśli charakterystykę swego narodu, znajdziemy tam i niejedno potwierdzenie myśli Mochnackiego i niejedno mimowolne uzasadnienie wniosków, do których sam autor bynajmniej nie zmierzał.

Weźmy jedno ze studyów Szujskiego: »Dawna Rzeczpospolita a jej pogrobowce«. Autor dostrzega tajemnicze ogniwa pomiędzy dawną Rzplitą a Polską porozbiorową; we współczesnej atmosferze narodowej można »zarówno zaczerpnąć epidemicznego wyziewu złego, jak powietrza wiejącego od husarskich naszych chorągwi«. Gdy potęgę

złego stanowi »zdolność jego do maskarady«, gdy dawne złe tak łatwo wraca napowrót w nowej formie, należy przeto starać się, chcąc dawne wady wyplenić, o wyrobienie z siebie i w sobie nowej treści. Dla wyrobienia w sobie owej innej treści, dla uniknięcia recydyw,powinni Polacy starać się o ducha krytycznego. »Polacy, bowiem, jeden z najmłodszych narodów europejskich, ducha krytycznego nigdy nie mieli; wszystko było u nich doraźne, raptowne, namiętne«.

O ducha krytycznego wołają więc i dopominają się, jednakowo i Mochnacki i Szujski. Nie pójdziemy tu dalej za Szujskim, gdy te myśli swoje o potrzebie ducha krytycznego pocznie stosować do teraźniejszości, gdy będzie żądał, aby »cały zapał młody, cała miłość ojczyzny, po raz ostatni uniosła pokolenie nasze w sferę, która już nie potrzebuje zapału, bo ma męską dojrzałość, która zastępuje zapał zimną krwią«, bo tu rozpoczyna się doktryner, który marzy o rzeczy dziwnej i strasznej, o narodzie bez zapału, lecz idźmy wciąż z Szujskim — psychologiem i malarzem narodu.

Po za anarchią, bezrządem, widzi on w Rzplitej inne wady kardynalne. Wszystkie korzeniami swemi tkwią w szlachetczyznie — w wyłącznej roli jednego stanu. Stan ten »przez skostnienie i zamknięcie się w granicach własnych, przez podbicie kolejne wszystkich innych, jakoto króla, arystokracyi, duchowieństwa, przez wykluczenie i ekonomiczne zniszczenie chłopa i mieszczanina, przez schłopienie kozaka dojść musiał do tej hypertrofii, która sprowadza śmierć«. Gdy szlachta dosięgła zenitu swych praw, nastąpiła jej śmierć moralna, a niebawem i zagłada Rzeczypospolitej.

W ostatnich dwóch wiekach owa demokracya szlachecka ma wszystkie cechy zniewieściałości i ospałości, właściwe społecznościom upadającym. Nie znosi żadnej nad sobą wyższości, nietylko politycznej, lecz i umysłowej. »Niwelacya umysłowa jej hasłem, skutkiem — nędza w edu-

kacyi, w literaturze, w ludziach politycznych... Zdaje się, jakby szlachta, zdobywszy już wszystko, zapragnęła jeszcze jednego, bo pragnąć czegoś koniecznie i człowiek i społeczeństwo musi, zapragnęła zrównania umysłów do jednego strychulca. Skapryszona przesytem, dawała ona premium za głupotę, junactwo, burzliwość, nienawidziła i wytrącała rozumnych«.

Na gruncie tego upadku wyrósł inny chwast. »Gdzie życia brak, gdzie brak prawdziwego ruchu, gdzie brak ducha reformy, gdzie brak postępu — tam się zaczyna zasklepienie w teoryi, budowanie karcianych domków systematów, przestrzeganie, aby teorya i systemat w niczem naruszony nie został. *Noli me tangere*, mówi takie społeczeństwo, jak ów waryat o szklanym żołądku. Są świętości których ruszyć nie wolno, są rzeczy, nad któremi dyskusyi niema. Nasi przodkowie, postacie poważne, a większą częścią rumiane i okrągłe, zdają się na pierwszy rzut oka nie podlegać temu zamiłowaniu teoryi... Przodkowie nasi budowali swój system wolności, swoją teoryę polityczną i społeczną z pokojem, z jakim niemiecki filozof budował systemy filozoficzne, albo Archimedes dowodził swego twierdzenia«... Wolną elekcyę, liberum veto uważano za dogmata narodowe, formę Rzeczypospolitej miano za absolutną doskonałość. »Nasi przodkowie byli największymi teoretykami świata, bo dostając codziennie cięgi za teoryę, nie chcieli jej w niczem uszczuplić lub zmodyfikować«.

W związku wewnętrznym z temi wszystkiemi przywarami był upadek odwagi cywilnej, tej najpierwszej z cnót, któremi stoją republiki. Przez dwa wieki zaledwie kilka nieśmiałych głosów odezwało się przeciwko liberum veto. A nie było to skutkiem nieświadomości, że liberum veto jest zgubne. O Sicińskim chodzą wieści, że go ziemia wyrzuca, Kochowski prorokuje: »Tem słowem: Nie pozwalam, Polskę obalimy«. A jednak — »utrzymuje się ta potwora, znajduje chwalców, mistyków politycznych, którzy ją wynoszą, a nie znajduje ludzi, coby przeciw

niej w imię dobra publicznego powstali... Gdzie zaś niema odwagi cywilnej, tam zaczyna w społeczeństwie panować fałsz urzędowy, fałsz kłamiący rzeczywistemu położeniu, fałsz, którego pomnikiem są owe szumne mowy posłów, wynoszących pod niebiosa stan Rzplitej, gdy była już zajezdną karczmą wojsk Fryderyka i Rosyi, fałsz, któremu świadczą drukowane panegiryki, sfałszowana historya, fałsz, który doprowadza nad kraniec przepaści i wpycha w nią, bo ją zasypuje różami«.

Czyż nie jaskrawy obraz »terroryzmu nierozumu i obskurantyzmu politycznego« w ostatnich dwóch wiekach Rzplitej kreśli Szujski? Jad, przez dwa wieki w duszę narodu sączony, nie mógł ustąpić nawet po tak radykalnem wytrzeźwieniu, jakie powinno było nastąpić po rozbiorach kraju. Potrzeba rządu została istotnie uznana, gdy jednak ustanowiono formę rządu absolutną, nawet dyktatorską, rychło się przekonano, że to nie jest panaceum na choroby narodu. I ten, kogo na świeczniku postawiono, i ci, którzy za święty obowiązek uważali wysławianie tej władzy, dotknięci byli przez starą niemoc do której dołączyły się jeszcze — przywary niewoli. Szujski słusznie wykazywał działanie atawizmu politycznego w Polsce porozbiorowej, objawy jednak tego atawizmu notował stronnie. Wskrzeszoną wadę braku odwagi cywilnej widział w żądzy popularności, w małodusznem schlebianiu tłumom, objaw niwelacyi *quasi*-demokratycznej w nieuznawaniu powagi r z ą d u m o r a l n e g o, w zazdrosnem lekceważeniu arystokracyi rodu i arystokracyi ducha, oznaki zaś nieuleczalnego doktrynerstwa w bezkrytycznem hołdowaniu teoryom liberalnym Zachodu, w *liberum conspiro*. Wystąpienie dobitne tych wad datuje Szujski od naszych nieszczęsnych waśni emigracyjnych po rewolucyi listopadowej. Podobna dyagnoza grzeszy wyraźnie daltonizmem, nie liczy się ona przedewszystkiem z tym faktem, że objawy chorobliwe życia emigracyi, oderwanej od kraju, owa hyperkrytyka osób, które odsądzano od czci

i wiary, lżenie instytucyi narodowych i przeszłości narodowej wszystko to stanowiło jednak tylko reakcyę, o cechach wprawdzie patologicznych, histerycznych, lecz niemniej psychologicznie zrozumiałą, na smutne i haniebne fakta rewolucyi listopadowej. Wszak przez 9 miesięcy istniał rząd narodowy, o zmieniających się formach, stale jednak otaczany czcią i posłuchem; dopiero, niesłychana nicość i ułomność tych rządów, dopiero bezprzykładne błędy i niedołęstwo tych, którym ślepo ufano, straszne rozczarowanie do tego rządu moralnego, wytworzyły rozjątrzenie tych umysłów, które na emigracyi, targane boleścią, żalem i gniewem, traciły zdrowy sąd o rzeczach i ludziach. Należało zatem dyagnozę rozpocząć conajmniej od dyktatury Chłopickiego.

Czyż rozważając zjawisko dyktatury Chłopickiego nie dostrzegamy, że stanęła ona, niby cieplarnia, w której rozwijają się i puszą wspaniale zastarzałe wady, zmrożone, zdawało się, już i zwarzone tchnieniem polarnem! Ustanowieniu dyktatury towarzyszył potężny, popularny, zbiorowy, bezimienny apel, z łona społeczeństwa wychodzący, niby *vox populi*, poklaskiem ogólnym przyjęty, a który domagał się zawieszenia wszelkiej krytyki, stłumienia wszelkiego ruchu umysłów i wymiany sądów, usunięcia wszystkiego, co mogłoby zawczasu oświecić naród co do wyboru kierowników powstania. Dyktatura jest powszechnie, za milczącą ugodą, pojęta, jako abdykacya ogółu z własnego sądu o losach wielkiej sprawy narodowej. Zastój, martwota, letarg, jaki przez 6 tygodni panuje w sprawie rewolucyi, pod berłem dyktatury, jest fatalnie trafną ilustracyą owej maskarady starych wad, jaka groziła Polsce porozbiorowej. Jak dawniej usypiano się zasadą, iż Polska nierządem stoi, tak teraz uspokajano się maksymą, że Polska stanie dyktaturą, uspokajano się wbrew rażącej oczy rzeczywistości, wbrew wszelkim sumiennym zastrzeżeniom, jakie co do swej polityki czynił z góry sam dyktator. Odżyły liczne, złożone już rzekomo

do grobu, grzechy przeszłości, zmartwychwstał ów fanatyzm niwelacyi umysłowej i upadek odwagi cywilnej i panowanie doktryn niedorzecznych. Krótkie posiedzenie klubu Patryotycznego w dniu 3 Grudnia, po powrocie wojsk polskich z obozu Konstantego, stanowi scenę, niezmiernie znamienną. Mochnacki wykazywał całą niedorzeczność wypuszczania carewicza z wojskiem i amunicyą i uderzał na chwiejność i słabość osób, stojących u steru rewolucyi. Słowa jego spotkały się z oburzeniem, uznanie natomiast zdobyły mowy jego oponentów. Jakiemiż to argumentami trafili do rozumu zgromadzenia? Naprzód, Albert Grzymała wygłasza zdanie, iż ustąpienie Wielkiego Księcia zliberalizuje kraje moskiewskie i zjedna nam w nich stronników. Czyż ten bezmyślny argument nie przypomina owych. z całą powagą wygłaszanych i z całą wiarą przyjmowanych nonsensów politycznych, jakiemi Fredrowie, Wielhorscy, Rzewuscy, Suchorzewscy odurzali umysły szlacheckie! czyż nie stoją w pamięci te sofizmata potworne, które jak plenny chwast tłumiły posiew daremny Modrzewskich, Leszczyńskich, Konarskich, owe fałsze wyszukane, które obłąkanej masie wydawały się głosem rozumu politycznego, tembardziej w jej oczach nietykalne i głębokie, im więcej niepojęte i niedorzeczne!

Po Grzymale Wołowski Wojciech rozpoczyna swą oracyę tem hasłem, którem przed dwa wieki usypiano wszelką myśl krytyczną: »Jedność, zgoda i ufność, Mości Panowie! Niezgodą, nieufnością upadniemy!« Niestety, srodze zawiodła i zbłądziła ta ufność. Poczem, ten główny pogromca Mochnackiego nie przytacza ani jednego argumentu, na usprawiedliwienie polityki Rady Administracyjnej, wytrawny mowca zna dobrze ten tłum i jego duszę i licząc na pewny sukces woła: »I jacyż to mężowie stanęli na czele? Oto książę Czartoryski, Polak cnotliwy, oto Niemcewicz, którego sędziwa starość nie podpada zarzutowi, oto Chłopicki, ten wielki żołnierz Napoleona! I któż to tu poważa się ich oskarżać? Oto człowiek nie-

znany. młody, namiętny i ambitny, który tylko siebie samego wynieść pragnie«. Nie chybił Wołowski, trafił celnie do umysłów tego zgromadzenia, Mochnackiego już nawet słuchać nie będą.

W swem słynnem studyum »O fałszywej historyi jako mistrzyni fałszywej polityki« wystąpił Szujski przeciwko tej metodzie polemiki politycznej, która mówi: nie ty, zamiast mówić: nie tak; w myśl jednak swej doktryny, ma tu na względzie Szujski jedynie opozycyę polityczną, tych, co atakują sterników ojczystej nawy. Czyż jednak owo przemówienie Wojciecha Wołowskiego, będące zresztą tylko jednym z licznych przykładów podobnego usposobienia w Rewolucyi Listopadowej, nie jest jaskrawym przykładem argumentu: nie ty, wymierzanego z powodzeniem przeciwko godziwej krytyce władz? Nie to, co mówi Mochnacki, i co mówią i czynią mężowie z Rady, decyduje o zaufaniu i sądzie zgromadzenia, lecz to, kto mówi; zaleca się ogółowi w imię patryotyzmu, w imię ufności i zgody, by nie wchodził w istotę rzeczy, lecz polegał na powadze imion. Zmartwychwstaje więc ta żyłka niwelacyi, którą uchwycił przelotnie poeta w wierszu:

»Kto chce doznać jak nasze
Wyostrzone pałasze,
Niech łeb wzniesie nad braci«.

Niwelacya ta zespala się z owym terroryzmem nazwisk, który grasował w Rzplitej w dobie upadku, gdy krajem trzęsły przemożne familie i ich fakcye. By zyskać zaufanie u rodaków, nie nosząc głośnego nazwiska rodowego, trzeba było legitymować się chwałą zagraniczną, blaskiem, jaki padał na Kościuszkę od Waszyngtona, na Chłopickiego — od Napoleona. »Gwiazda nieszczęśliwa dla Polski nie dozwoliła, aby jakaś znakomitość, mająca ustaloną w kraju opinię, przyswoiła sobie zdrowy pogląd Mochnackiego na sprawę Polski. Ci właśnie, którzy go mogli w czyn zamienić, opanowani byli obłędem, pochodzącym

z przecenienia sił moskiewskich, a z zupełnego zapoznania sił własnego narodu« mówi dobry znawca swych rodaków Alfred Młocki.

Na dopełnienie obrazu owego posiedzenia z 3 Grudnia, współzałożyciel klubu Ksawery Bronikowski, który wraz z Mochnackim uczestniczył z łona klubu w posiedzeniu Rady Administracyjnej, który wraz z nim poniósł do tej Rady żądanie zaatakowania carewicza, przerwania układów i rozpoczęcia natychmiastowego kroków wojennych, który miał, zdaje się, doskonałą sposobność stwierdzenia, że ta radykalna taktyka obca jest usposobieniu rządu, teraz, gdy zarzuty Mochnackiego zostały nieprzychylnie przyjęte, nagabnięty przez Wołowskiego, nie śmie tych zarzutów potwierdzić i oświadcza, że rząd działa rewolucyjnie. Ten brak odwagi cywilnej, to przemilczanie prawdy, osłanianie swej małoduszności hasłem ufności i zgody, towarzyszy całemu okresowi dyktatury, począwszy od owej deputacyi, przed którą Chłopicki wyspowiadał się ze swych zamiarów, a która dla dobra narodu zataiła to wyznanie na sesyi sejmowej 18 i 20 Grudnia, a kończąc na posiedzeniu Izby Sejmowej 19 Stycznia 1831 r., które marszałek Władysław Ostrowski zagaja optymistycznem, świadomie nieprawdziwem sprawozdaniem z minionego okresu dyktatury, wmawiając w słuchaczów, że ten »czas przerwy nie był stracony«.

Objawy, towarzyszące dyktaturze Chłopickiego, nie oznaczały zatem bynajmniej odrodzenia społeczeństwa. Instynkt jedynowładztwa był trafny, lecz zdrowe ziarno jego utonęło w powodzi wad, które się nad niem spiętrzyły i doszczętnie je zalały. Jedynowładztwo mogło być zbawienne, gdyby obok niego istniał zmysł polityczny, zdrowy i czujny instynkt ocalenia narodu i wyrobienie obywatelskie ogółu; w tym razie powierzono by władzę nieograniczoną człowiekowi, któryby reprezentował myśl narodu i wolę narodu w najwyższym stopniu; gdyby nawet zabrakło człowieka wielkiego talentu, człowiek zdol-

ności średnich, byle z mózgiem niezamąconym iluzyą układów, które nic dobrego dać nie mogły, wsparty przez zapał narodowy, ruszyłby odrazu z miejsca wielką sprawę, która tak haniebnie utkwiła w martwym punkcie, z chwilą obwołania dyktatury Chłopickiego. Dyktatura taka, jaka stanęła, pod swą powierzchownie wspaniałą formą, pod groźnie brzmiącą nazwą ukrywała starą zbutwiałą treść. Wszak i dawna Rzplita przez dwa ostatnie wieki miała *sui generis* dyktaturę, dyktaturę obłędnych doktryn, przed któremi korzyła czoła mieniąca się wolną szlachta polska. »Przez dwa wieki zaledwie kilka nieśmiałych głosów przeciwko liberum veto, zaledwie jeden szlachcic, miecznik Jabłonowski, który wystąpiwszy przeciw niemu, śmiercią z aprehenzyi przypłacił, tak szarpanym był i prześladowanym« mówi Szujski. Już Stanisław Konarski wykazywał, że liberum veto było despotyzmem dla narodu. Monteskiusz w VIII księdze swego »ducha praw« wyłożył na wzorze republik greckich, że wypaczenie zasady demokratycznej wywołuje tę samą niemoc i niewolę lepszych jednostek, co i korupcya zasady monarchicznej; rozdział III tej księgi, traktujący »o duchu skrajnej równości« stanowi żywy komentarz do wad naszej Rzplitej. Gdzie się rozwinęła, rozpleniła tyrania ciemnoty, gdzie jaśniej widzące jednostki są kamienowane, tam mechanizm polityczny nie poradzi: »Zamazała w Polsce robotę rozumu nie zdrada, bo zdrada nie znajdzie wspólników w mądrem społeczeństwie, ale głupota bez granic, która oddawała się nadziei, że wolną rzeczpospolitą oszczędzać będą ci, co dotąd szanowali ją jako dojrzewającą do zguby« mówi tenże Szujski.

Nie trzeba się łudzić, jakoby głosy, które zakrzyczały Mochnackiego 3 Grudnia, które nawoływały do ślepej ufności, były to głosy upamiętania i poprawy narodu. To raczej echo epoki XVIII wieku, epoki upadku, gdy ciemna szlachta dawała się wodzić na pasku magnatom i z całą ufnością dawała się wciągnąć w matnię błędu

i przesądu, a nawet i zdrady. Ci, którzy piętnowali wówczas tę ślepą ufność, uległość, zatratę własnego sądu i własnej godności u ogółu szlacheckiego, to poprzednicy duchowi autora rzeczy »O terroryzmie nierozumu«, — poprzednicy Mochnackiego. Surowo sądził ten upadek rozumu pospolitego Kołłątaj. »Panowie wiedzą co czynią, trzeba im ufać« — z sarkazmem przytacza on te popularne w ostatnich latach Rzplitej słowa [1]. Jaskrawy obraz tej dyktatury Panów kreśli Staszyc: »Uchowaj Boże, żeby się który szlachcic był odważył stanąć przy prawie, przy dobru powszechnym; owszem sprzeciwić się tylko swoim przeświadczeniem któremu z tych dumców: szczęśliwy jeżeliby na miejscu nie był rozsiekanym, zapewne odtąd ani w drodze, ani w domu życia bezpiecznego nie miał. Tak wszystko się przed górującą dumą płaszczyło. Kto chciał mieć spokojność, majątek i sprawiedliwość, zaciągał się pod przemoc. Rodzice już niewinne dzieci swoili z podłością; uczyli ich nikczemności; niszczyli w nich wolę i wyniosłość, tak wolnemu człowiekowi potrzebną«.

»Ale nad rozbiór kraju gorsze złe Panowie wyrządzili Polakom. Zatracili Narodowy charakter. Szlachcic z nieustraszonego stał się na wszystko lękliwym; z wyniosłego podłym; z urodzonego do wolności już dojrzałym do najcięższej niewoli: świadkiem tego zabory. Stracił to hasło, którego naruszenie we wszystkich jedno czucie budzić powinno. Bez wyobrażenia sprawiedliwości, największa nieprawość w nim krwi nie burzy. Czyli to gwałt prawa, czyli posłuszeństwo prawu równy w jego umyśle skutek sprawują. Nie ma stałości ducha. Na wszystko się zastrasza. Zatracili Panowie właściwy naszemu narodowi umysł« [2].

Rozważając te wszystkie rysy usposobienia narodowego, wypływające na powierzchnię już w pierwszych

---

[1] Uwagi nad Księstwem Warszawskiem. Lipsk 1808, str. 170.
[2] Przestrogi dla Polski. — Dnia 4 Stycznia 1790 r., str. 81, 86, 87.

dniach powstania, podziwiać trzeba krótkowzroczną stronność takiego Barzykowskiego, który jest pełen uznania dla tej młodzieży zbrojnej, co zakrzyczała Mochnackiego: »Był to dowód, że rozsądek publiczny nie zamarł, ale owszem po nad intrygi tryumf odniósł. Piękne zjawisko, ale czemuż równym taktem ciągle nie odznaczał się naród?« Niestety, owym taktem, a raczej zarozumiałą nieopatrznością, odznaczał się ogół niemal do końca rewolucyi. Wielka jest moc stronniczości politycznej: wszak Barzykowski całym dalszym wykładem faktów rad nie rad wykazuje, że Mochnacki miał słuszność, a jednak sprawiedliwości mu oddać nie potrafi.

Tak więc Mochnacki upadł. Gdy w nieśmiertelnej scenie u Homera biedny garbaty szeregowiec Tersites ośmiela się rzucić w twarz Agememnonowi, królowi królów, namiętne słowa słusznej nagany za trwonienie sił narodu w bezużytecznej, lekkomyślnej walce, wówczas w odpowiedzi na tę opozycyę śmiałka Odysseusz bije go laską i wyszydzony garbus kryje się w tłumie żołnierzy, ku wielkiej uciesze króla i bohaterów. Tak samo mały, śmieszny, wstrętny, jak Tersites w oczach Achejczyków i samego rapsoda Iliady, był »*cywilus*, *fałda*« Mochnacki w oczach krzykaczy z pod znaku pułkownika Lacha Szyrmy i całego tego odurzonego, omroczonego tłumu, zwłaszcza w porównaniu z wspaniałą, marsową, sławną, postacią Chłopickiego. Gdy przedstawimy sobie żywo tę scenę klubową, tę młodzież patryotyczną, zbrojną, zgorączkowaną, która krzykiem, groźbami, szczękiem szabel, wycelowanemi pistoletami wypędza Mochnackiego z sali i śle za nim w pogoń nienawistne okrzyki, zdaje się, że to zmartwychwstałe mary starych win i grzechów wypędzają geniusz powstania; w tych histerycznych wrzaskach przeciwko Mochnackiemu w 3 i 4 Grudnia, w olbrzymim, a tak kruchym, zwodniczym entuzyazmie dla dyktatury w dniu 5 Grudnia brzmi ponure przekleństwo historyi na naród niepoprawny, co grzeszył przez setki lat pustem,

zgiełkliwem, buńczucznem junactwem, a pogardzał swymi prorokami, co miał słabość nawet dla Augusta II, bo łamał podkowy, dla księcia Panie Kochanku, a z niechęcią i zarozumiałą wyniosłością słuchał Modrzewskich, Leszczyńskich, Jabłonowskich.

Zły duch historyi Polski pod znakami dyktatora wkraczał tryumfalnie na scenę powstania. »Dyktatura siliła się cucić z uśpienia wszystkie ułomności w charakterze naszym. Odgadywała po mistrzowsku co bądź jeszcze nie wygasło z starej przywary, która nas potylekroć zabijała; wydobywała z gruntu zabytki nieładu, skazane na zapomnienie, ocierała je z pleśni i przykładała do swego serca, właśnie jakby przyszłą zgubę kraju chciała swojem ożywić tchnieniem. I udało się to doskonale dyktatorowi!« pisze Mochnacki. Upadek zasady silnego rządu, która sama w sobie była dla powstania zbawienna, stanowił najgorszą klęskę wewnętrzną, jaką dyktatura sprowadziła, bezpowrotna zaś strata czasu — również jej dzieło, najgorszą klęskę wojenną. Późniejsze chromanie władzy w powstaniu było w znacznej mierze wynikiem bezpowrotnej kompromitacyi jedynowładztwa. Dalsze zaś, aż do końca trwające niedołęstwo władz cywilnych i wojskowych, przedewszystkiem zaś niedołęstwa tego szczyt i korona — półroczne dowództwo Skrzyneckiego — oto źródło nieszczęsne, z którego wypłyną obficie jad, żółć i męty i zaleją duszę tułactwa polskiego na obczyźnie. Musiał naród przejść pierwej przez zawód i krwawe urągowisko Chłopickiego, Skrzyneckiego, Krukowieckiego na to, aby mógł stanąć pośród polaków, obchodzących na obczyźnie rocznicę 29 Listopada, Krępowiecki, śmiał zelżyć przeszłość narodu i otrzymał za to poklask od grona obłąkanych nieszczęściem rozbitków powstania.

ROZDZIAŁ III.

Mochnackiego losy i usposobienie podczas dyktatury. Udział jego w redakcyi »Kuryera Polskiego«. Wincenty Niemojowski i jego obóz polityczny w Rewolucyi. Powstanie »Nowej Polski«. Upadek Dyktatury. Towarzystwo Patryotyczne. Próby polityczne Maurycego w Styczniu; działania przeciwko Sejmowi, nowe niepowodzenie. Działalność pisarska w Nowej Polsce. Wojna; Mochnacki przy armii. Kampania Skrzyneckiego. Działania Sejmu i Rządu; sprawa włościańska. Ostrołęka. Mochnacki ranny wraca do Warszawy. Sprawa reformy Rządu. Poszukiwanie »cnotliwego Kromwela«.

Okres od 4 grudnia do upadku dyktatury stanowi dla Mochnackiego okres największego przygnębienia, jakiego nie zaznał chyba jeszcze — od chwil karmelickiego swego sromu. Gdy czytamy to, co w tym okresie pisze, gdy widzimy, z jakimi ludźmi się wówczas sprzymierza, mamy wrażenie, że człowiek ten ugiął się, przynajmniej pozornie na czas jakiś, pod ciężarem powszechnej niechęci; wzgardzony od ogółu, znienawidzony jako *hostis patriae*, od nikogo nie poparty, zataił swe myśli ukryte; pisze ostrożnie, rozważnie, szuka oparcia i przytułku chwilowego wśród ludzi, obcych mu usposobieniem i temperamentem. Przystaje do grona, gdzie spotka część swych dawnych towarzyszów, ludzi 29 Listopada i rozbitków Klubu Patryotycznego; od tych ludzi oddziela go już obecnie, po srogiem doświadczeniu 3 grudnia, całe morze goryczy, są to jednak ludzie, którzy go przynajmniej tolerują, bo znają i cenią jego talent, a zresztą od wybuchu

rewolucyi nic mu do zarzucenia nie mają, oprócz zbytku odwagi cywilnej, której im samym zabrakło.

Po rozpędzeniu Klubu Patryotycznego w dniu 3 grudnia, założyciele jego postradali trybunę jawną, uroczystą, urzędową; przenieśli się obecnie na teren przygodny i mniej dostojny — do kawiaren przy ulicy Miodowej, do Honoratki i Dziurki Marysi; to tułanie się kilkotygodniowe ze swą polityką po austeryach obniżyło charakter, poziom i styl tego grona radykalistów, co wystąpi na jaw dobitnie po wznowieniu działalności klubu wraz z upadkiem dyktatury. Było atoli bardziej dystyngowane miejsce, gdzie zacietrzewieni gardłacze Honoratki spotykali się z poważnem i umiarkowanem gronem, złożonem z posłów, pozbawionych posiedzeń, a więc żądnych rozprawy politycznej, literatów, publicystów, poetów, i gdzie mówcy kawiaren, przybierając przyzwoite maniery, dostrajali się do poważnego i umiarkowanego tonu. Było to na wieczorach *Kurjera Polskiego* u pana Wincentego. Rozgłośni opozycyoniści Królestwa Kongresowego, Wincenty i Bonawentura Niemojowscy odsunięci byli od sejmu za sprawą W. X. Konstantego, jako zbyt gwałtowni i śmiali krytycy, przed sesyą 1825 roku, pierwszy został zawrócony od rogatek warszawskich i internowany w swym majątku, przeciwko drugiemu wytoczono śledztwo karne przy pośrednictwie podstawionego agenta; obaj bracia, szanowani odtąd i wielbieni w całej Polsce, jako ofiary brutalnego despotyzmu i mężowie nieugięci, zaraz po uprzątnieniu Moskwy, znaleźli się w Warszawie. Wincenty, z dwóch braci starszy, zdolniejszy, rozumniejszy, był gorącym zwolennikiem zasad konstytucyjno-liberalnych; szeroko oczytany, sypiący cytatami z klasyków i z ówczesnego »podręcznika wolności« — słynnej książki Benjamina Constansa (*Cours de politique constitutionelle*, 1816—1820), stąd Benjaministą zwany, mówca wytrawny, choć mocno retoryką akademicką trącący, był jakby stworzony na to, aby stać się bohaterem opozycyi liberalnej, legalnej za czasów

Konstantego. Patryota gorący, polityk mierny, nie stawiał jasno problematu 29 Listopada, dla niego był to jakgdyby tylko ciąg dalszy walki społeczeństwa z rządem o swobody konstytucyjne. Nikt może nie stał dalej od Mochnackiego, niż Wincenty Niemojowski z całą swą metodą, taktyką polityczną i temperamentem. Mochnacki, radykalista z instynktu i przekonań, mniemał, że wszelki środek jest dobry, byle prowadził do odzyskania Polski. To też podczas powstania przechodził od popierania dyktatury ludowej do monarchii konstytucyjnej, na krótko, i wreszcie, na stałe, do zalecania dyktatury wojskowej. *Meum est principium, nulla habere principia* — tak wyrażał swe *credo* rewolucyonisty. W pisanym pod koniec powstania artykule o obozie Niemojowskich zarzucał im, że mają jedno nieodmienne *principium* polityczne — monarchię konstytucyjną i raczej zginą, niż odeń odstąpią. Nie mając w zasadzie uprzedzenia do żadnej formy rządu, bardzo prędko doszedł Mochnacki do wniosku, że monarchia utemperowana dla okresu powstania, a do tego jeszcze przy walce z państwem despotycznem, jest rządem, najmniej właściwym; zaczął wyraźnie hołdować zasadzie absolutyzmu — dyktatury ludowej lub wojskowej. Stronnikiem wyraźnym rządów absolutnych w powstaniu stał się Mochnacki, wprawdzie, dopiero później, gdy okazała się bezsilność rządu konstytucyjnego w rewolucyi listopadowej; w grudniu nie był jeszcze przeciwnikiem konstytucyonalizmu w powstaniu; doktrynerskie jednak hołdowanie jednej formie rządu i taktyka umiarkowana Niemojowskiego i wówczas wyraźnie odbijały od już zarysowanego zupełnie odmiennego usposobienia politycznego i temperamentu Mochnackiego. W owych jednak ciężkich dlań dniach grudniowych do kółka Niemojowskich przystał dlatego, iż tam skoncentrowały się liberalne i radykalne żywioły, które znajdowały się w jawnej lub tajnej opozycyi przeciwko Chłopickiemu, z domieszką zresztą luzem chodzących literatów, z panem Wincentym zaprzy-

jaśnionych. Ściślejsze kółko z tego grona utworzyło komitet redakcyjny *Kurjera Polskiego.* W numerze z dnia 10 grudnia 1830 roku czytamy: »od dnia dzisiejszego do tego pisma, poświęconego dobru obecnej sprawy, należą osoby następujące«; dalej idzie szereg nazwisk, obok braci Niemojowskich jest Lelewel, jest zastęp ludzi 29 Listopada i klubistów, a więc: Piotr Wysocki, Ludwik Nabielak, Maurycy Mochnacki, A. K. Pułaski, J. B. Ostrowski, J. L. Żukowski, Artur Zawisza Czarny i inni, oprócz nich figuruje Kazimierz Brodziński i — Ludwik Osiński, jest i oponent Mochnackiego w klubie Albert Grzymała i poseł Zwierkowski Walenty, zastęp zgoła niejednolity. Po wyliczeniu członków redakcyi następuje wzmianka, iż redaktorami odpowiedzialnymi za regularne wychodzenie pisma są Maurycy Mochnacki i J. L. Żukowski.

W numerze z dnia 11 grudnia wyrażony program polityczny pisma: »Najpierwszym celem naszego dziennika będzie rozpowszechnienie i utwierdzenie wszelkich pryncypii towarzyskich, rozszerzenie pomysłów liberalnych i zaszczepienie cnót obywatelskich. Będziemy starali się wyłuszczyć zalety i korzyści monarchii konstytucyjnej, ściśle z systemem reprezentacyjnym połączonej, gdyż tę formę rządu mamy za najwłaściwszą dla kraju naszego... Będziemy wspierać rząd... W przypadkach, które nam się będą zdawać wątpliwe, użyjemy prawa cenzury czynów rządu... lecz użyjemy go skromnie i ostrożnie. Opozycya jest potrzebna. Co się opiera, to się wspiera...«

»Będziemy się w tej mierze trzymać tej mądrej fikcyi politycznej, przyjętej przez Anglików: że król nie może się mylić. Za królem polskim ta jeszcze potężnie przemawia okoliczność, że w pośród nas mieszkać nie mogąc, nie widział rzeczy jedno przez kłamliwe pryzma rapportów«.

Czytamy ten program, przerzucamy artykuły programowe w dalszych numerach, pisane najczęściej przez samego pana Wincentego, pod pseudonimem *Juvenis* albo

Veritas, i stoją nam w pamięci słowa naszego znakomitego dziejopisa: »Przodkowie nasi budowali swój system wolności, swoją teoryę polityczną i społeczną z spokojem, z jakim filozof niemiecki budował systemy filozoficzne, albo Archimedes dowodził swego twierdzenia«. Chwycona z obczyzny teorya uwięzła w głowie pana Wincentego i jego zwolenników z mocą nieprzepartą. W chwili groźnej, w chwili rewolucyi, szuka natchnienia w mądrych fikcyach politycznych Anglii, zapomina o tem, że w równie groźnych chwilach Anglicy nieco inne mądre fikcye stosowali, niż te, jakie w okresie pokoju snuł Walpole, Blackstone, lub Burke; ani intuicya, ani zmysł rzeczywistości nic mu nie podpowiada o obozach purytańskich, o okrągłych głowach, o rozpędzeniu parlamentu długiego, o lordzie-protektorze. Dla Niemojowskiego, jak gdyby nic tak znowu ważnego po 29 Listopada nie nastąpiło, wciąż widzi przed sobą rząd króla polskiego, niestety, zbyt daleko mieszkającego, i radby przeciwko rządowi temu prowadzić opozycyę umiarkowaną, legalną, opozycyę jego królewskiej mości. To doktrynerstwo Niemojowskiego, który zdawał się mniemać, iż pierwszym i najpilniejszym skutkiem rewolucyi powinno być wytworzenie w Kongresówce jakiegoś modelowego ustroju konstytucyjno-reprezentacyjnego, nie stanowiło objawu bynajmniej wyjątkowego. Gdy przeglądamy dyaryusze sejmowe z 1831 roku, zdumiewa nas, przeraża ten spokój uroczysty, ta baczność na formy legalne, ta rozwlekłość obrad, owe mowy, mowy o wszystkiem bez końca. Już na pierwszem posiedzeniu dnia 19 stycznia, gdy na porządku stoi paląca kwestya dalszego bytu powstania wobec dymisyi dyktatora, na samym wstępie sesyi zabiera głos jeden z posłów w sprawie nielegalnego rzekomo aresztowania deputowanego Lubowidzkiego, który ułatwił ucieczkę swemu bratu, byłemu wice-prezydentowi, jednej z najnędzniejszych kreatur Konstantego i tem go ocalił przed sprawiedliwością rodaków, i tu rozpoczyna się długa,

przewlekła i namiętna dyskusya z powodu obrazy konstytucyi, mianowicie pogwałcenia nietykalności reprezentanta. Ta sama niefrasobliwa wielomówność towarzyszy długim obradom nad formą rządu, nad sprawą włościańską, nad reformą rządu i tak dalej — aż do wzięcia Warszawy. Wówczas gdy potrzebny był rząd sprężysty i sprawny, załatwianie spraw dyskretne i szybkie, rewolucya urządza się, niby kraj bezpieczny, wolny, znajdujący się w okresie głębokiego pokoju, posłowie i deputowani dają folgę swej elokwencyi, zmartwychwstaje upodobanie Polaków do parlamentaryzmu, płyną mowy za mowami. Wysuwają się na czoło ludzie prawi, dobrych chęci, a krótkowidzący, rozwija się szacowne zamiłowanie piastowania urzędów z całą powagą, dostojeństwem, drobiazgowością; wypływają na powierzchnię liczne zalety, które zdobią ludzi publicznych w okresie pokoju, lecz które nie są w stanie ocalić kraju, stojącego na brzegu przepaści. Ta beztroska, powolność, ślamazarność nawet, nie licząca się z grozą położenia, łatwo i szybko zmienia się w popłoch, w panikę, gdy niebezpieczeństwo zajrzy prosto w oczy Warszawie, jak naprzykład po bitwie Grochowskiej, i wówczas nasze izby nie biorą bynajmniej wzoru z owych senatorów rzymskich, oczekujących śmierci na swych krzesłach kurulnych, a w których togę oczytani na Plutarchu posłowie, jak pan Wincenty, chętnie się drapowali.

Usposobienie owo, z kwietyzmem politycznym graniczące, kojarzyło się w powstaniu listopadowem z tem, co wytykał Mochnacki, jako brak skały tarpejskiej w Warszawie, to jest ze złowrogą wyrozumiałością na błędy wodzów i kierowników sprawy, na uchybienia ich przeciwko ojczyźnie. Bezkarność czynów szkodliwych — oto cecha rewolucyi; formy, legalność, poprawność — przestrzegane były święcie, ojczyzna zaś była zbyt pobłażliwa na błędy swych sług, stąd też słudzy owi stawali się sami sędziami swego postępowania; łagodność, tolerancya doszły do najdalszych granic. W takiej atmosferze wypływał

na wierzch uśpiony atawizm rogatej duszy i prywaty szlacheckiej, po wierzchołkach komendy wojskowej hulał bezkarnie duch Zebrzydowskiego i Zborowskiego. Generałowie Krukowiecki, a jeszcze bardziej Łubieński pod Grochowem dają przykład niesubordynacyi, zasługującej jeśli nie na sąd wojenny, to przynajmniej na pozbawienie dowództwa; lecz uchodzi im to bezkarnie, Krukowiecki wyrasta nawet na bohatera Białołęki, warcholi w dalszym ciągu i w końcu sięga po władzę. Skrzyneckiego nieudolność powszechnie już staje się wiadoma, a sejm i rząd lękają się pozbawić go dowództwa, czekają, aż sam je złoży, on zaś, jako dobry Polak i patryota, gotów jest złożyć dowództwo tylko w ręce godniejszego, a że takiego nie widzi, więc zostaje.

Ten pierwiastek moderantyzmu i kultu formy legalnej tkwił już w owem kółku grudniowem Niemojowskich, później zaś, rozczyniony, rozpłynął się w Sejmie, bo też przez cały niemal okres sesyi sejmowej 1831 r. Niemojowscy ze stronnikami swymi mieli w nim większość.

Łatwo zrozumieć, iż wielkie musiało być przygnębienie i osamotnienie Mochnackiego, jeśli do owego grona w grudniu przystał, a nawet przez pewien czas zdawał się przyjmować jego kanony; widział tu, bądźcobądź jednak, dźwignię, która mogła stopniowo, choć oględnie, podważać zgubną dyktaturę Chłopickiego; zresztą dążyli tu instynktownie pod skrzydła opozycyi legalnej umiarkowanej ludzie, którzy do czasu nie śmieli wystąpić ze swym radykalnym protestem. Na łamach *Kurjera Polskiego* zyskuje Mochnacki możność zwalczania kierowanych przeciw niemu napaści; w owym bowiem czasie wyciągnięto na jaw dawne jego grzechy, a *Polak Sumienny*, odbijany w drukarni bankowej pod auspicyami Lubeckiego, jął go zniesławiać, korzystając z papierów, odnalezionych w aktach Komisyi śledczej. Dnia 17 grudnia odpowiada Maurycy na zarzut *Polaka Sumiennego*, jakoby »pod Szaniawskim ćwiczył się w sztuce wycinania kartek

z dzieł mówiących o wolności«, przytacza na obronę swą list Szaniawskiego z dnia 7 września 1827 roku, gdzie ten wytyka Mochnackiemu zupełną nieczynność w cenzurze. W tym samym numerze umieszczony artykuł z podpisem M. M., a że inicyałów tych żaden inny pisarz *Kurjera Polskiego* nie używał, wyszedł on z pewnością z pod pióra Maurycego. Artykuł daje miarę ówczesnego usposobienia autora. Agitacya jego z dni 3 i 4 grudnia zakończyła się w sposób niespodziany; trybun, który chciał pchnąć masy na drogę rewolucyi nieubłaganej, musiał szukać schronienia przed gniewem ludu w pokojach ministra; z ust tego ministra usłyszał słowa o wiele rozumniejsze, niż niedorzeczne mowy klubowe. Lubecki pojmował wprawdzie sprawę polską jedynie w związku z Rosyą, przynajmniej atoli pojmował, że powstanie powinno zbroić się energicznie. W tych dniach szału i uwielbienia dla Chłopickiego, gdy zbawcza myśl polityczna zdawała się pogrążona i wyklęta, postać ministra skarbu rysowała się jeszcze wcale korzystnie w opinii Mochnackiego, to też nie szczędzi mu pochwał. Co jednak jeszcze znamienniejsze od owych pochwał, to zarzut, jaki mu czyni, iż »w tym nawet, czem istotnie dogadzał publicznemu pożytkowi, nie przestrzegał form konstytucyjnych«. »W rządzie konstytucyjnym« — poucza M. M. — »nic dobrego uczynić nie można bez konstytucyi, tak dalece, iż złe nawet wynikające z ustawy, zdaje się być lepszem od dobrego, lecz przeciwiającego się tej ustawie«. I to pisze późniejszy »cynik zbawienia«. Artykuł ten daje miarę wewnętrznej konfuzyi, zatracenia na chwilę swego ja politycznego, lub też mimowiednego przejęcia się czasowego ideami owego Niemojowskich koła. Miał to Maurycy do siebie stale, że gdy jego plan ocalenia sprawy doznawał niepowodzenia, nie opuszczał rąk — chwytał inną, bardziej popularną myśl, skoro świtał z niej choćby promień nadziei, starał się wyzyskać ją z kolei dla swej idei; w tym względzie przypominał Prądzyńskiego — strate-

gika, który w razie odrzucenia jednego jego planu, przedstawiał drugi, który miał więcej szans przyjęcia. Mamy inny jeszcze dowód, iż osamotniony w grudniu, Maurycy szukał zetknięcia z temi żywiołami, które w owym okresie zaćmienia rewolucyi reprezentowały jeszcze maximum zapału; napisał on krótką rzecz: »Jak rozumieć powstanie polskie?«, wydrukowaną w *Nowej Polsce* dopiero dnia 3 marca 1831 roku, z podpisem M. M. i datą 18 grudnia 1830 roku i z uwagą, iż nie mogła być wydrukowana za czasu »nieszczęśliwej dyktatury« dla wielu przeszkód. Mniema autor broszury, że Polacy muszą zwyciężyć, gdyż »niemasz żadnej na świecie władzy, którejby nie starł duch wolności, którejby moralna nie złamała siła, któraby się własną niemocą w nic nie rozwiała, skoro na sprawiedliwości i uczciwości nie jest ugruntowana«. Dalej wywodzi, że ani cnoty dynastyi, ani miłość poddanych nie mogą wbić w dumę cara. »Czyż nie obruszył przeciwko sobie uczciwej szlachty, uczciwych mieszczan, pracowitych rolników?... Ci wszyscy ludzie, ci uciśnieni Rossyanie, jednogniezdni bracia i plemiennicy nasi, to sprzymierzeńcy i spólnicy polskiej sprawy! Gwałciciela praw ludzkości, tyrana pokonamy oburzeniem i niechęcią wolnomyślnych Rossyan, jego poddanych... Bóg pomieszał myśli i rady tych władców, tak, że teraz postępują wbrew własnej korzyści. Oto kilkanaście dni temu (jak wieść niesie) lud, powstawszy w Petersburgu, powybijał okna w domach szpiegów i ciemiężycieli, posadzonych na wysokich urzędach, domagając się od cara litości i większej swobody... Rodacy! choć mniejsi w liczbie, wezwiemy w pomoc Rossyan braci naszych... Na czele szyków polskich staje wódz doświadczony i biegły w swej sztuce. Sejm i ten sławny w poprzek Europy uczeń Napoleona zrealizują wielką ideę naszej rewolucyi... Noc 29 Listopada zmieni i przekształci naturę stosunków politycznych na północy Europy. Tak rozumieć trzeba kolosalną myśl polskiego powstania, które silny powiew od zachodu roz-

wieje w pożar nigdy nieugaszony. W tem tylko rozumieniu pojmie i usankcyonuje Europa polską rewolucyę. Szczupłe były początki nasze, ale co się z tych zawiązków wywikła, to Polakom i Rossyanom nieśmiertelną zapewnia chwałę«.

Czytając tę rzecz, nie poznajemy Mochnackiego. Brzmi w niej silnie nuta owej utopii, jaka ożywiała młode grono literatów-radykalistów późniejszej *Nowej Polski*, którzy głosili, że rewolucya nasza jest tylko fragmentem walki, która się wkrótce rozpłomieni pomiędzy Wschodem a Zachodem, pomiędzy wolnością a reakcyą, walki, w której wszystkie »ludy« Zachodu czują się jakoby solidarne; w początkach rewolucyi listopadowej i pod niezatartem jeszcze wrażeniem decembrystów liczono i na »lud« rosyjski; to złudzenie ostatnie rozwiało się szybko, rachuba zaś na ludy Zachodu trwała długo, bardzo długo, przeżyła znacznie upadek rewolucyi listopadowej; Mochnacki szybciej od innych z niej się otrząsnął.

Czyż jednak mógł człowiek, który tak jasno patrzał na rzeczy jeszcze przed kilkunastu dniami, teraz wierzyć naiwnie w pomoc jednogniezdnych braci, w dzieło sławnego ucznia Napoleona, w mrzonki? Trudno przypuścić, aby Mochnacki w swem grudniowem oszołomieniu zatracił do tego stopnia swą myśl bystrą, jasną i zagubił ten miecz ognisty, którym rozcinał kwestyę na początku grudnia i który błyśnie w jego ręku wkrótce nanowo. Zaliczyć raczej trzeba ten szkic grudniowy o powstaniu polskiem do tych tendencyjnych artykułów Mochnackiego, jakie nieraz jeszcze z pod pióra jego w czasie rewolucyi wychodziły, a zawsze w podobnych okolicznościach; należy do nich artykuł na otwarcie Sejmu w styczniu, poniekąd artykuł z lutego o nowoobranym rządzie pięciu, artykuł sierpniowy przy objęciu rządów przez Krukowieckiego; wszystkie one pisane są przy wystąpieniu na scenę powstania nowej siły, do której Mochnacki, pomimo wewnętrznych zastrzeżeń, przywiązuje jednak zna-

czną za każdym razem nadzieję. Datę 18 grudnia nosi owa rzecz o powstaniu, która dla przeszkód od autora niezależnych nie mogła odrazu znaleść się w druku; jest to data otwarcia Sejmu Grudniowego. Wszystkie owe artykuły, do których kategoryi i ten z 18 grudnia zaliczyć należy, tchną otuchą i optymizmem, z któremi nie licuje wewnętrzny tajony, a jednak przez nas przeczuwany sceptycyzm autora; mają one na celu podniesienie powszechnego nastroju wobec przełomowej, za każdym razem, rozpoczynającej nowy okres chwili, a także zaświadczenie ze strony autora gotowości do skojarzenia swych sił i usług z występującą na scenę powstania nową siłą polityczną. Takie tłomaczenie tej rzeczy grudniowej o powstaniu najlepiej chyba licuje z naturą Mochnackiego, który w każde z kolei ciało polityczne, stojące na czele powstania, starał się tchnąć swój ogień, zapał i myśl swoją [1].

Grono klubistów, którzy do czasu skupili się w *Kurjerze Polskim*, lecz w zanadrzu wciąż nosili ideę własnego ogniska, im bardziej oderwane było od gruntu rzeczywistego życia, to jest nietylko odsunięte od rządu, lecz i od zetknięcia z miastem, z ludem, z salą redutową, tem bardziej poddawało się wpływom obcym, głównie przez pisma francuskie przenikającym. Pisma francuskie, głos Europy, przemówienia Izby Deputowanych w Paryżu, grały rolę ogromną w kształtowaniu poglądów tego grona na rewolucyę narodową. Lecz i tu wkrótce nastąpić musiał rozdźwięk pomiędzy benjaministą, który dawał ucho

---

[1] W przyszłości na emigracyi nieprzyjaciele Mochnackiego tłomaczyli sobie ten okres, jako pierwszy objaw chwiejności jego przekonań w rewolucyi i oczywiście, emigracyjnym nałogiem, pomawiali go o zaprzedanie się rządowi dyktatury. O niewyjaśnionej, naprzykład, należycie dotychczas podróży Maurycego w Lubelskie w grudniu mówi jedno z wydawnictw emigracyjnych w pośmiertnej o Maurycym notatce: »potem pogodził się z Chłopickim przez dźwięczny w Lubelskie wojaż«. (»Pospolite Ruszenie« Jana Kazimierza Ordyńca, Paryż 1835 roku).

głosom liberalnym umiarkowanym, a klubistami, którzy ulegali hasłom radykalnym i rewolucyjnym. Zresztą, nad nieruchomą, bezczynną dyktaturą zaczynają się wkrótce zbierać chmury, ludzie pytają coraz częściej, na co właściwie istnieje proklamowana z takim zapałem dyktatura, która powstania naprzód nie posunęła, a tropi wciąż jakiegoś wroga wewnętrznego, jakieś widmo anarchii. Na ten temat zdolny adwokat, mówca polityczny i publicysta Krysiński Dominik umieścił śmiały i zjadliwy artykuł w końcu grudnia. Tymczasem zaś pan Wincenty, jak za konstantynowskich czasów, wciąż walczył z marą samowoli administracyjnej, sądów wyjątkowych. Charakterystyczny jest artykuł jego pióra z 30 grudnia 1830 roku; przewidując rewizyę konstytucyi, wyraża pragnienie, aby zastrzeżono w niej osobnym artykułem, iż wszelkie mianowanie trybunałów nadzwyczajnych, komisyi sądowych i komitetów śledczych, wszelkie zawieszenie lub skrócenie form jest czynem niekonstytucyjnym i karygodnym. Dodaje, że rzecz tę wyświetlił dokładnie Benjamin Constans, którego skon opłakują właśnie wszyscy przyjaciele wolności. I dalej rozwodzi się szeroko nad tem, że formy są rękojmią swobód obywatelskich.

Z takim doktrynerem, o którym Maurycy napół z ironią później mówił, iż trudno orzec, co więcej Niemojowski kochał, ziemię polską, czy konstytucyę, nie mogli długo trzymać radykaliści. Jeszcze jednym powodem do zerwania był stosunek polityczny Niemojowskich do dyktatury. Zaraz po zatwierdzeniu dyktatury przez sejm Bonawentura Niemojowski został ministrem sprawiedliwości i oczywiście całą troskliwość poświęcił przestrzeganiu form legalnych. Dnia 6 stycznia, po dymisyi Tomasza Łubieńskiego, Wincenty Niemojowski został ministrem spraw wewnętrznych. Tu wyraźnie rozeszły się drogi Niemojowskich a opozycyi radykalnej przeciwko rządom dyktatury. Odtąd Niemojowscy w ciągu rewolucyi stale piastowali wysokie urzędy i wreszcie powstanie zeszło

do grobu z Bonawenturą Niemojowskim, jako ostatnim prezesem rządu. Mochnacki wyraził zdanie, że nawet wyobrażenia konstytucyjne i legalizm gotowi byli Niemojowscy w pewnych wypadkach poświęcić potrzebie i namiętności urzędowania. Istotnie nie oparli się przyjęciu tek pod rządem tego dyktatora, z którego systemem, działaniem, a nawet samym urzędem byli w rozterce.

Właśnie około owego czasu, gdy Wincenty Niemojowski wszedł do składu rządu, nastąpił rozłam i radykalizm uwił własne gniazdo. Dnia 5 stycznia 1831 roku została założona *Nowa Polska*. W numerze pierwszym ogłoszono skład grona redakcyjnego, wchodziły doń te same, mniej więcej osoby, co do *Kurjera Polskiego*, bez Niemojowskich, Osińskiego i Grzymały, a z dodatkiem Gurowskiego. W numerze drugim przybył J. N. Krzymuski, w ósmym — Józef Chrząszczewski, w jedenastym — M. Pomaski i Seweryn Goszczyński, w dwunastym — ksiądz J. Gacki. Umiarkowani natomiast, w miarę, jak pismo przybiera ton coraz gorętszy, odłączają się; od numeru dziesiątego — ubywa K. Brodziński, od jedenastego — Walenty Zwierkowski. Chociaż redaktorowie na wstępie ogłaszali, że niema między nimi żadnego towarzystwa, oczywiście jednak był to literacki surogat Klubu Patryotycznego, a zawiązek Towarzystwa Patryotycznego. W numerze z 9 stycznia znajdujemy oświadczenie, że gdy pomimo wezwania imiona niektórych wydawców *Nowej Polski* są wciąż w *Kurjerze Polskim* umieszczane, przeto uwiadamia się, że J. L. Żukowski od 28 grudnia, zaś Bazyli i Maurycy Mochnaccy, J. B. Zaleski i L. Nabielak od 5 stycznia nie należą do redakcyi *Kurjera Polskiego*[1].

[1] Z tego względu, a także z uwagi na cechy pióra, nie wydaje mi się dość uzasadnione mniemanie p. Stanisława Krzemińskiego, wyrażone w wielce cennej jego, choć krótkiej pracy o Mochnackim, iż artykuł „Rada dla reprezentacyi narodowej“ w „Kurjerze Polskim“ z 6 stycznia 1831 roku jest pióra M. Mochnackiego (Sto lat myśli polskiej, Tom IV, str. 122).

W numerze pierwszym *Nowej Polski* J. B. Ostrowski w obszernym artykule przedstawia rewolucyę listopadową jako »objawienie moralnej, naukowej, religijnej i politycznej rewolucyi narodu«. »Chcemy zupełnie nowej, politycznej i naukowej Polski« — woła. — »Nowa Polska, jako dziennik naukowy, chce zupełnie nowej literatury, rozwinienia, wydobycia z ducha i usposobień narodowych wyobrażeń o prawie, religii, filozofii, historyi, wymowie i poezyi, chce zupełnie naukowej rewolucyi, umysłowej kreacyi — jako dziennik polityczny, wzywa zmiany naszego konstytucyjnego porządku, liberalnego urządzenia towarzyskich stosunków i stanowczej przewagi, wpływu władzy ludu na instytucye państwa. Powtarzamy, obecna, rozpoczynająca się era jest erą nie królów, nie arystokracyi, nie teokracyi, ale ludów i wolności. Lecz węgielnym kamieniem tej rekonstrukcyi, odrodzenia Polski musi być zjednoczenie rozszarpanych części naszej ojczyzny — wprowadzenie na tron zupełnie nowej, żadnej do nas nie mającej praw dynastyi, nie mającej żadnych wspomnień, żadnej koroną uwieńczonej historyi...«

Jakież żywotne znaczenie mogły mieć te tyrady przeciwko legitymizmowi, absolutyzmowi, te żądania »króla-obywatela«, jakie w dalszym ciągu autor stawia, to proklamowanie przewrotu naukowego, literackiego w chwili, gdy naród miał wytężyć i skupić wszystkie siły, aby byt swój wywalczyć? Oczywiście, jest to deklamacya młodych ideologów-literatów, którzy chłonęli chciwie pisma francuskie i trawieni byli tęsknotą umysłową zaszczepienia w płonącej ojczyźnie wszelkich zdobyczy teoretycznych zachodniego radykalizmu. Zawczasu można było przewidzieć, że rola tych ideologów w powstaniu narodu będzie zgoła jałowa lub ujemna.

Na razie, aż do upadku dyktatury *Nowa Polska* różni się od *Kurjera Polskiego* głównie tylko gorętszym tonem, żywszym temperamentem, stosunek swój istotny do dyktatora tymczasem oględnie ukrywa. Rozwija zato

obszernie ideologię solidarności ludów, uronioną przez W. Rewolucyę Francuską, i na walkę z Rosyą patrzy wyłącznie, jako na walkę z rządem. Hasło »za naszą i waszą wolność« ożywiało zresztą wszystkie warstwy ogółu, wszystkie odłamy i organy opinii podczas insurrekcyi, rozbrzmiewało w dyskusyi politycznej, w sejmie, pismach wszelkich kierunków, znalazło wyraz uroczysty w Manifeście sejmowym, którego wydanie zostało uchwalone na sesyi 20 grudnia. »Nie powodowała nami żadna nienawiść narodowa przeciw Rosyanom, wielkiemu, jak my, szczepowi słowiańskiego rodu« — brzmią słowa manifestu. — »Słodziliśmy owszem pierwsze chwile wydartej nam na nowo niepodległości tą myślą, że połączenie pod jednem berłem, jakkolwiek dla nas szkodliwe, przyniesie czterdziesto-milionowemu ludowi uczestnictwo swobód konstytucyjnych«.

Kurjer Polski nie omija żadnej okazyi, by nie dać wyrazu tym samym uczuciom: »Nie powstali Polacy przeciw Rossyanom, lecz przeciwko władzy despotycznej« — pisze 3 stycznia. — »... Nie okazali Polacy żadnej niechęci do Rossyan, bo jej do narodu nie mieli. Owszem, Polacy pragną Rossyanom podać dłoń bratnią do zrzucenia jarzma niewoli, pod którem jęczą... Ocknijcie się ze snu, Rossyanie, czyliż nie macie już Pestlów, Bestużewów, Murawiewów?... Jeżelibyście jednak odważyć się mogli broń podnieść przeciwko Polakom, pomnijcie, że siła nasza jest wielka..., bo do niej należy siła wszystkich ludów, o wolność walczących«.

Siła nasza istotnie okazała się w powstaniu wielka, ponad oczekiwanie, byłaby wielekroć większa, gdyby umiano i chciano całą moc wydobyć z narodu i nie tumaniono go złudzeniami, do których w pierwszej linii należała owa mityczna pomoc ludów.

W *Nowej Polsce* ten głos szlachetny wołających na puszczy, któremu wtórował, jako echo z przeciwnej strony, okrzyk ślepej nienawiści, brzmiał z całą mocą nieuleczal-

nej dziedzicznej rycerskości, zespolonej z nowoczesną ideologią rewolucyjną braterstwa ludów. Już w numerze z 6 stycznia J. B. Ostrowski żąda wyraźnego oświadczenia wobec Europy, że kochamy lud Rosyi, tak, jak i my podeptany, tak, jak i my, pragnący wyjarzmienia. Dalej oświadcza, że Polska na zawsze oddali monarchiczne mniemania na wschodzie, wywróci samowładztwo rosyjskie i »ten nasz pobratymczy lud powoła do wolności«. Ci halucynanci solidarności ludów głoszą stale w ciągu powstania, że ludy Europy dlatego tylko nie idą ławą na pomoc Polakom, iż ci niedość wyraźnie wygłosili swe pryncypia demokratyczne i liberalne; naiwność ta rywalizowała z naiwnością naszych quasi-dyplomatów, którzy znów ręczyli, że powstanie swym jakobinizmem udaremniło pomoc rządów zachodnich. Najżarliwiej, najjaskrawiej roztaczał miraże przed czytelnikami *Nowej Polski* Adam Gurowski, teraz wrzący Achilles mitycznej falangi ludów, w przyszłości gorliwy herold misyi politycznej Rosyi. W numerze z 7 stycznia informuje Gurowski, że we Francyi i rząd i naród wiadomość o naszem powstaniu przyjął z równem prawie, jak u nas ten ostatni, zapałem. »Organy rządu oświadczyły w imieniu ministrów, że od momentu, jak powstanie nasze przybierze cechę narodową i piętno stałego i wielkiego dążenia, Francuzi całą siłą wesprą lud polski. Tak więc, by zasłużyć na pomoc Europy, wskazać powinniśmy Europie: że nie pół Polski i nie półśrodkami, układami i wahaniem odzyskać chcemy, lecz Polskę całą«... Dnia 9 stycznia J. B. Ostrowski wzywa, aby zanieść pochodnię rewolucyi »do Rosyi, nas wzywającej, błogosławiącej naszemu powstaniu«.

Przed wystąpieniem Mochnackiego artykuły *Nowej Polski* nie błyszczą talentem i oryginalnością, wszystkie pisane jednym stylem, retorycznym, napuszystym, uderza przytem naiwna megalomania. W polemice z J. U. Niemcewiczem pisze 10 stycznia J. B. Ostrowski: »Nie należę do żadnego stronnictwa, rzucono i na mnie potwarze,

odpowiadam na nie milczeniem i zasłużoną pogardą: nie jestem niczyjem narzędziem, wyjąwszy jednej tylko Opatrzności«. A dalej: »J. U. Niemcewiczu! dziś imieniem cywilizacyi, imieniem wolnych ludów Ameryki, Anglii i Francyi... wzywam Cię, daj świadectwo prawdzie. Moje wezwanie i twoja odpowiedź przejdą do historyi«. Szczególnie Gurowski pisze z nieznośnym patosem. Weźmy dla przykładu artykuł »Quousque tandem« z dnia 8 stycznia, oto jego zakończenie: »Niechaj nasze czyste i ogniste tchnienie, otaczając wzniesiony ołtarz naszych najświętszych chęci, na którym goreje płomień narodowego życia, osłania takowy jednością rewolucyjnego powiewu od zbocznego kierunku, od zgubnego wytlenia«. Lub weźmy jego dudniącą i pustą apoteozę rewolucyi w Nrze 8 *Nowej Polski*: »Rewolucye są pierwszym żywiołem ludzkości; dobroczynne, czyste, jak majowego słońca promienie ich rozlewają się na moralny stan ludzi. Tylko ogień rewolucyjny przeczyszcza i oddziela od różnorodnych i podlejszych części to szczere złoto towarzyskie, jakiem są ci ludzie, co bez obrażenia przebędą próbę ognistą w tym rozpalonym przestworze; i jak owe średnich wieków niewinności dowody wskażą przytomnym, że nie było w nich plamy, kiedy od żaru nie zostali uszkodzeni...« Bardzo szczególnie brzmią tyrady o »czystem i ognistem tchnieniu« i o tem »szczerem złocie towarzyskiem«, pod piórem człowieka, który wkrótce ratował się od żaru powstania i od próby ognistej wyjazdem za granicę, zaraz po bitwie Grochowskiej[1].

Trzeci z filarów *Nowej Polski*, Jan Ludwik Żukowski gra na tę samą nutę, co i dwaj poprzedni. W Nrze 7 oświadcza, że ludziom, którzy obecną sprawę narodu

[1] Krukowiecki, jako gubernator miasta, zamieścił w gazetach zjadliwe ogłoszenie o tym kroku »większą cechę przezorności jak patryotyzmu« noszącym, jaki uczynił »znany z gorliwości swojej w sprawie ojczyzny obywatel Gurowski, który ostatnią kroplę krwi chciał za nią wylać«.

uważają nie za rewolucyę, lecz tylko za powstanie, »brak logiki w głowie i prawdziwie polskich uczuć w sercu« i dalej poucza, że rewolucya jest »wywróceniem, zniszczeniem dawnych, a zaprowadzeniem nowych systematów politycznego lub towarzyskiego porządku«.

Chociaż J. L. Żukowski był autorem wydanej przed wybuchem rewolucyi broszury *O pańszczyźnie*, jednak jak on, tak i inni publicyści *Nowej Polski* długo nie wysuwali sprawy włościańskiej; uczynił to pierwszy poseł Jan Olrych Szaniecki, znany przeciwnik Wielopolskiego Aleksandra w jego słynnych procesach majątkowych; umieścił on w *Dzienniku Powszechnym Krajowym* rzecz *O celach i środkach rewolucyi*. W części pierwszej »Cele«, umieszczonej dnia 6 stycznia, rozwodzi się szeroko i banalnie o braterstwie ludów, bardziej ciekawa jest część druga »Środki«, umieszczona 8 stycznia. »Nie można już dziś wojować hasłem: za króla, za wiarę!« — mówi: — »Już i do ojczyzny potrzeba przyprawy. Potrzeba, aby ona przestała być macochą dla największej liczby swych dzieci«; po przydługich tyradach na rzecz równości obywatelskiej, w stylu Staszyca, przechodzi Szaniecki do wskazań praktycznych, nader zresztą umiarkowanych: »U nas potrzeba poświęcić dobra narodowe, ażeby z nich porobić osady wolne, przeznaczając na podział nawet i grunta folwarczne dla tych, którzy powracają po zwycięstwie, lub dla rodzin tych, którzy polegną. Resztę zostawić Sejmowi i patryotyzmowi obywatelskiemu, jakiego dali nam szlachetny przykład obywatele z województwa kaliskiego Morawski i Rembowski, nadając włościanom własność gruntową. Nim będzie Sejm zwołany, mógłby Dyktator tymczasem przynajmniej uczynić deklaracyę w tej mierze«. Przytacza wiadomość, że w Księstwie Poznańskiem włościanie ujęli pana i odstawili do landrata, z powodu, że ich skłaniał do powstania.

»Rząd tamtejszy przywiązał do siebie włościan przez nadanie im własności gruntowych, lubo zrobił to despo-

tycznie z pogwałceniem praw własności obywatelskiej. Łatwo więc teraz może mieć wysłańców swoich, którzy w nich wpoją, że skoro zwycięstwo odniosą Polacy, »wrócicie pod dawne jarzmo szlachty, którzy wam odbiorą własności i do pańszczyzny zmuszą«. Nadto mogą z nich mieć apostołów do włościan naszych«. Mówi dalej, iż wolność naszych włościan przenoszenia się z pod jednego pana pod drugiego, jest tylko igraszką z wolności osobistej, pańszczyzna jest niewolą osobistą; inwentarze gruntowe, obejmujące zarazem spis bydła i ludzi, oraz ich powinności, są »jakoby włościan konstytucyą, która prócz tego pod harapem ekonomów codziennie bywa gwałconą«. »Oprócz Manifestu Politycznego potrzebne są jeszcze: jedna proklamacya Dyktatora lub Rady Najwyższej »do włościan naszych«, a druga do wszystkich klas mieszkańców zabranych prowincyi, wstępując w ich granice. Potrzeba, ażeby każdy wiedział, o co się ma bić i czego się ma spodziewać«.

W tych złotych słowach Szanieckiego uderza jedynie ta miękkość, z jaką reformę włościańską przymusową nazywa despotyzmem, i ten idealizm optymistyczny, z jakim apeluje do sejmu szlacheckiego. Wielki czyn reformy włościańskiej, wobec którego malały inne sprawy, mógł być zdziałany jedynie w pierwszych chwilach zapału rewolucyjnego przez władzę mocną a popularną; nie Chłopickiego głowy i serca rzecz to była oczywiście; na to potrzeba było dyktatora-naczelnika, z sercem Kościuszki, z głową Kołłątaja lub Mochnackiego. Gdy w chwilach największego entuzyazmu dla sprawy narodowej i dla władzy dyktatorskiej na krok ten, trudny i groźny, lecz w którym jedynie możność zwycięstwa spoczywała, nie ważono się, cóż mogło wyniknąć więcej z oracyi sejmowych, jak tylko smutne obrady kwietniowe 1831 roku?

Artykuł Szanieckiego przedrukowały i inne pisma. Później już, 20 stycznia, spotykamy w *Nowej Polsce* artykuł Krępowieckiego, wzywający do polepszenia doli ludu,

trzymany atoli w ogólnikach, biorący za punkt wyjścia opinię dzienników francuskich o naszej rewolucyi. Na wniosek tegoż Krępowieckiego, Towarzystwo Patryotyczne wystosowało petycyę do Sejmu w sprawie uwłaszczenia włościan.

Dnia 18 stycznia upadła dyktatura. Powściągliwy dotąd temperament *Nowej Polski* wybucha z całą siłą gniewu i sarkazmu, na jaką tylko stać było pismo. 19 stycznia już czytamy obszerną rozprawę o kontrrewolucyi Chłopickiego i Lubeckiego. »Kącik satyryczny pisma«, »Dostrzegacz *Nowej Polski*«, napełnia się alegoryami politycznemi, kalamburami, o przejrzystej tendencyi, w rodzaju uwag, iż do dawnych urzędników zamiast obcego wyrazu kassować, wartoby zastosować swojski wyraz zawiesić, mamy więc już przedsmak 15-go sierpnia; 21 stycznia ukazuje się swawolne »Credo za Dyktatury«[1], czuć w *Nowej Polsce* woń Honoratki. Tak swawolą tymczasem *dii minores* klubu, lecz niebawem wystąpi na scenę i protagonista, dotychczas ukryty.

W dniu 19 stycznia po przerwie kilkotygodniowej Sala Redutowa znów się napełniła publicznością. Głos zabrał Maurycy Mochnacki, powitany oklaskami w tej samej sali, z której go przed sześciu tygodniami wypędzili wielbiciele Chłopickiego. Zawiadomił zgromadzonych o założeniu Towarzystwa Patryotycznego, uspokajał, że nie przy-

[1] »Wierzę w Lubeckiego, ministra królesko-skarbowego, stworzyciela deputacyi petersburskiej, i w Chłopickiego, syna jego jedynego, dyktatora nieograniczonego, który się począł z ducha moskiewskiego, narodził się z matki kabały, umęczon pod ciężarem zatrudnień, przy sejmie umarł i pogrzebion. Zstąpił do piekieł kamarylli, trzeciego dnia zmartwychwstał, wstąpił na niebo dyktatury, siedział na podnóżku stolca carskiego; stamtąd schodził i chciał sądzić patryotów i liberalistów. Wierzę w ducha pruskiego, świętą zdradę powszechną, zdrajców obcowanie, szpiegów wypuszczenie i niewolę wieczną. Amen«. Przedtem już porównywał Dostrzegacz Nowej Polski odjeżdżającego do Petersburga Lubeckiego do kruka z arki Noego, który już więcej nie wróci, i nie omylił się tym razem.

11*

bierze ono cechy klubów francuskich. Mówił, że rewolucya polska niema nic wspólnego z francuską, której celem była zmiana stosunków towarzyskich, gdy Polakom chodzi o odzyskanie niepodległości. W końcu mowy, oklaskami przerywanej, wezwał obecnych do zapisania się na członków towarzystwa, co natychmiast wiele osób uskuteczniło. Do komitetu organizacyjnego wybrani zostali: M. Mochnacki, A. Gurowski, J. L. Żukowski, T. Krępowiecki, A. K. Pułaski [1].

W duszy Mochnackiego znów budzi się nadzieja wytworzenia siły rewolucyjnej z sypkiej masy ludu warszawskiego. Zbrojny w doświadczenie grudniowe, podkreśla publicznie cechę wyłącznie narodową ruchu, odrzuca cele socyalne, odżegnywa widmo Rewolucyi francuskiej, mając w świeżej pamięci nienawistne okrzyki »terrorysta, Robespierre«, jakiemi go ścigano w grudniu, pomny może na znamienną nienawiść mistrza rewolucyi miejskiej w Warszawie Kilińskiego do duchów francuskich. Zważmy jednak, że ta enuncyacya, wyłącznie powstańcza, Mochnackiego, jest sprzeczna z hasłami *Nowej Polski*, która wołała o przeobrażenie towarzyskie narodu: wszak niedawno przedtem J. L. Żukowski pisał, że temu, kto w rewolucyi naszej widzi tylko powstanie, brak loiki w głowie i uczuć polskich w sercu.

Dnia 21 stycznia Towarzystwo, zebrane w sali posiedzeń akademickich, przyjęło odczytaną organizacyę, wybrało prezesem Lelewela, wice-prezesami zaś — posła Sołtyka Romana i Maurycego Mochnackiego jednogłośnie, Ksawerego zaś Bronikowskiego i księdza A. K. Pułaskiego — większością głosów. Przyjęto propozycyę, aby

---

[1] Z literatury najnowszej o Towarzystwie Patryotycznem z 1831 roku patrz: Władysława Smoleńskiego interesujący przyczynek w »Przeglądzie Historycznym« z 1909 roku, z dołączoną listą klubistów, sporządzoną na zlecenie Rady Administracyjnej po upadku Rewolucyi; również studyum Aleksandra Kraushara w »Przewodniku Naukowym i Literackim« z 1909 roku.

Towarzystwo wniosło do Izb akt zaskarżenia ex-dyktatora. Na posiedzeniu 22 stycznia, na wniosek Maurycego, uchwalono podanie adresu do Sejmu, z zawiadomieniem o zawiązaniu się i o zamiarze stowarzyszonych, — na propozycyę zaś Bronikowskiego — podanie do tegoż petycyi o ustanowienie trybunału dla sądzenia przestępstw, popełnionych przed rewolucyą, a także działań, przeciwnych celom powstania, spełnionych po wybuchu powstania [1]. Nadzieje klubistów sięgały wysoko. Dnia 20 stycznia J. N. Krzymuski pisał w *Nowej Polsce:* »Izba nie zabroni utworzenia towarzystwa patryotycznego, które będzie składał cały naród. Towarzystwo Patryotyczne w Warszawie utworzy towarzystwa filialne po wszystkich wojewódzkich miastach, te następnie po obwodowych; cały naród w jeden łańcuch się zwiąże i postawi obok groźnej siły karabinów niezwyciężoną dla despotów moralną siłę narodu«. 23 stycznia K. M., pewnie Kamil Mochnacki, pisze: »Rewolucya nie upadnie! podwójną umocowana gwarancyą, chyżym poskoczy biegiem... Jednym grzmiącym, jak echo piekieł odgłosem, wołają Polacy klubów, wołają trybunałów rewolucyjnych...« Czcze to były przechwałki. Ten klub patryotyczny, który zgiełkliwie i buńczucznie spowiadał się ze swych ambicyi i jednocześnie oczekiwał dopiero sankcyi i przyzwolenia sejmu, by rozwinąć się i rozgałęzić na kraj cały, — jakże mizerna to była kopia klubu jakobinów! Że klub, w razie powodzenia i rozszerzenia agitacyi na kraj, występował, jako współzawodnik Sejmu, to było jasne dla każdego polityka, z wyjątkiem zresztą Lelewela, który mniemał, że działanie klubu da się doskonale pogodzić z władzą i powagą Sejmu. Być tu i tam, w klubie i w sejmie, a później w rządzie, figurować

[1] Protokół posiedzenia T. P. z dnia 22 stycznia, zamieszczony w »Nowej Polsce« Nr. 19 z 23 stycznia 1831 roku. Adres od Towarzystwa Patryotycznego do nadzwyczajnego Sejmu narodu polskiego, zawiadamiający o zawiązaniu T. P., wydrukowany w »Nowej Polsce« Nr. 20 z 24 stycznia.

jednocześnie w dwóch paraliżujących się wzajemnie instytucyach, był to stały systemat Lelewela w ciągu rewolucyi, a raczej w tem wyrażał się zupełny brak systematu politycznego u znakomitego historyka. Dla tych, którzy bystrzej rzecz pojmowali, było oczywiste, że jeśli sejm swą samodzielność i pełnię władzy zachowa, klub, zamiast działania, skazany będzie na gadanie.

Mochnacki pragnął, aby Towarzystwo stało się jakby wielką machiną, któraby poruszała koła Sejmu, tak, jak niegdyś Komuna miejska podczas Wielkiej Rewolucyi poruszała koła konwencyi. Do tego atoli należało mieć siłę, a tej Towarzystwu brakło. Gurowski wprawdzie zdradzał dobre chęci »przysiodłania Sejmu«, lecz ten ambitny cynik-kosmopolita nie był bynajmniej figurą, któraby mogła pociągnąć za sobą ludność miejską. Ustanowiono wprawdzie komitet do zawiązywania stosunków z miastem, — odgrywali w nim główną rolę młody zapalony Artur Zawisza i adwokat Józef Kozłowski, który miał związki z cechami i umiał w sposób jowialny, niby błazeński, trafiać do umysłów staromiejskich. Liczono na Romana Sołtyka, Walentego Zwierkowskiego i Lelewela w sejmie. W samem atoli Towarzystwie nie było spójności, ładu, ani zrozumienia właściwego jego celu. »Najtrudniej było przekonać zgromadzenie, dla czego zgromadzone zostało« — mówi Mochnacki — »większa część mniemała, że dość jest gadać, aby swego dopiąć. Kilka tygodni, strawionych u Honoratki, sponiewierało partyę, ścieśniło rewolucyjne jej wyobrażenia, wszystko tchnęło karczmą, gawiedzią. W kilka dni można było już wiedzieć, że z Towarzystwa nic nie będzie«. Ubolewa Mochnacki nad tem, że brakło takich ludzi, jak Kiliński i Sierakowski w r. 1794, »brak prawdziwych dygnitarzy Warszawy, równie niegdyś żarliwych w sprawie niepodległości, jak nie cierpiących (podług wyrażenia Kilińskiego) francuskiego ducha, to jest wojny domowej i jakobinizmu, równie popularnych, jak bogobojnych, ludzi w owym starym wielkim stylu narodowym,

o których rzecby można, że ich kapoty albo ferezye świąteczne na wpół już pobutwiałe w trumnach, z cmentarzów na rynek wyniesione i pokazane ludowi warszawskiemu, miałyby w sobie więcej mocy, ducha, wpływu, niżeli owe późniejsze towarzystwo patryotyczne, złożone z ex-katolików, ex-księży, ex-bakałarzy, patronów i niedouczonych studentów«.

Istotnie, to zgromadzenie literatów-dyletantów, młodych doktrynerów, czerpiących swe natchnienie rewolucyjne z pism nadsekwańskich, nie pojmowało, iż ma przed sobą nie ognisty, śmiały, drwiący z dogmatów i powag, wyrosły na wspomnieniach tryumfów ludowych Wielkiej Rewolucyi lud paryski z pod znaków Godfryda Cavaignac'a, lecz bogobojną, patryotyczną, zachowawczą, lękliwą i potulną ludność warszawską, która mogła była względem własnego rządu posunąć się zaledwie do rozruchu ulicznego lub chwilowego zuchwalstwa, lecz która bynajmniej nie zdradzała ani aspiracyi do władzy, ani fermentu socyalnego. Dla ludności tej hasła rewolucyi międzynarodowej były zupełnie niepojęte, duch jej rozpłomieniał się na widok starych chorągwi cechowych lub sztandarów wojska narodowego, na dźwięk pieśni pobożnych, bijących potężnym chórem o sklepienia świątyń Warszawy, lub na odgłos muzyki narodowej. Gotowa była oczywiście ta ludność potakiwać oklaskiem i okrzykami klubistom, gdy ci prawili ogniście o braterstwie ludów, o zdradzie możnych, o śmierci despotom, lecz od ożywienia i podniecenia wiecowego do czynu zbiorowego droga była bardzo daleka. Nie należy atoli zbyt wiele składać na karb niedołęstwa członków klubu; Towarzystwo Patryotyczne, nawet gdyby było dzielniejsze, niewieleby pewnie wskórało. Już grudniowy eksperyment klubu dobitnie wykazał, czy można było liczyć na wykrzesanie władzy rewolucyjnej z ludu warszawskiego. Z chwilą, gdy zawiodła dyktatura, punkt ciążenia politycznego w tym kraju, gdzie lud spał jeszcze, przybity ciemnotą, apatyą,

uciskiem stuleci, spoczywał w sejmie, złożonym z przedstawicieli warstwy uprzywilejowanej i oświeconej, i myśl »przysiodłania« tego sejmu przez jakąś Komunę miejską warszawską była beznadziejna. Agitacya Towarzystwa mogłaby jeszcze liczyć na pewne powodzenie, gdyby Sejm poszedł w ślady polityki dyktatora, już powszechnie zdyskredytowanej, i ciągnął dalej układy; tymczasem Sejm 25 stycznia uchwalił detronizacyę i tem samem wytrącał broń z ręki klubistom. Czyn efektowny Sejmu wystarczał ludności, o »zdradzie« Sejmu niktby teraz nie ważył się zająknąć; o tem zaś, czy Sejm ma istotną i trwałą zdolność do przodowania rewolucyi, oczywiście, ludność Warszawy sądzić nie mogła, nie śmiała i nie chciała. Na Sejmie więc odtąd spoczywa głównie odpowiedzialność za dalsze czyny powstania.

Z łona Towarzystwa Patryotycznego wyszła myśl odprawienia dnia 25 stycznia nabożeństwa za decembrystów »męczenników wolności rosyjskiej«; zarządzono pochód uroczysty do kaplicy oryentalnej na Podwalu, przy niezmiernie licznym udziale ludu; wygłaszano mowy ogniste, witane z ogromnym entuzyazmem. Obchód ten miał być tylko hasłem do dalszych działań; liczono na to, że uda się knute w cichości śmiałe plany wcielić w czyn przy pomocy rozkołysanego obchodem tłumu; szczególnie rachował na to Gurowski. W całym atoli obchodzie nie znać śladów akcyi celowej, osiągnięto jedynie wzór tego, co było w stanie uczynić Towarzystwo Patryotyczne; stać je było i później najwyżej na wywołanie zbiegowiska, zaburzenia, wśród którego pospólstwo dawało się popchnąć, jak 15 sierpnia, do spełnienia sądu doraźnego na osobach nienawistnych, poczem lud znużony, wyczerpany i niczego więcej nie pragnący rozchodził się po domach. Na obchodzie 25 stycznia przemawiali liczni mówcy, ślady wrażenia tych mów znajdujemy w pismach ówczesnych. W *Gazecie Polskiej* z dnia 7 lutego podpisani inicyałami trzej autorowie artykułu proszą, aby mówcy na obchodzie

pogrzebowym, na cześć dekabrystów, szczególnie Franciszek Grzymała, ks. Pułaski, Dorożko, ogłosili swoje mowy [1]. Po mowie Franciszka Grzymały, na Placu Saskim — czytamy w tym artykule — słuchacze dobyli szabel i zawołali: »przysięgamy umrzeć w sprawie wolności naszej i wolności wszystkich słowian!« »Trzeba te mowy ogłosić« — piszą autorowie owi — »żeby Rosyanie wiedzieli, że Polacy, pałając słuszną niechęcią do despotycznego rządu rosyjskiego, w Rosyanach widzą tylko braci swoich i pragną ich uszczęśliwienia«. Do takich ikarowych lotów zaprawiali naród donkiszoci Towarzystwa Patryotycznego, majaczący, deklamujący i mający siebie w tragikomicznem złudzeniu za jakobinów, wówczas, gdy mściwe hufce owych braci tętniły już po ziemiach Rzeczypospolitej; wtedy, gdy ciągnęły przeciwko nam siły tak proste i straszne, jak posłuch ślepy, nienawiść i zemsta, — my wybieraliśmy się, jakby na turniej, według wszelkich zasad rycerskich, sławiąc i salutując przeciwnika, który patrzał tępym wzrokiem na niewczesnych Bayardów i owe formy kawalerskie i deklamacye mógł brać jedynie za objawy lęku, małoduszności lub podstępnej obłudy.

Bezsilność Towarzystwa ujawniła się niebawem. Stosownie do uchwały z 22 stycznia, podany został do Sejmu adres, w którym Towarzystwo zawiadamiało o swem założeniu. Do adresu dołączona została petycya, zgodnie z wnioskiem Maurycego Mochnackiego, zgłoszonym dnia 23 stycznia na posiedzeniu Towarzystwa Patryotycznego. Petycya żądała, aby Sejm zerwał wszelkie stosunki pomiędzy narodem polskim a rządem rosyjskim przez uznanie niepodległości narodu polskiego w granicach przed-

---

[1] »Gazeta Polska«, prowadzona przez Tomasza Gębkę, od kwietnia 1831 roku przez J. N. Janowskiego, rozpoczęła od godła »sine ira et studio«, potem przybrała godło: salus populi; od początku opozycyjna, stawała się coraz bardziej radykalna, przeszła niebawem w tym względzie »Nową Polskę« i stała się, zamiast tej ostatniej, oficyalnym organem Towarzystwa Patryotycznego.

rozbiorowych, przez uznanie tronu polskiego za wakujący, przez rozwiązanie przysięgi i przez wezwanie uroczystem powołaniem przedstawicieli prowincyi zabranych do reprezentacyi narodu polskiego. *(Nowa Polska*, Nr. 21 z 25 stycznia 1831 r.).

Izba na posiedzeniu 26 stycznia znaczną większością głosów adres ten, 25 stycznia przez Romana Sołtyka złożony, odrzuciła [1]. Mochnacki mniemał, że afront ten popchnie Towarzystwo do działań stanowczych. Omylił się; ani Lelewel, prezes Towarzystwa, ani Sołtyk, wice-prezes, nie odezwali się ani jednem słowem na Sejmie, Towarzystwo przyjęło fakt biernie. Prezes Towarzystwa, Lelewel, pierwszy skłaniał Towarzystwo do spokoju i rezygnacyi. Zagaił on posiedzenie Klubu 26 stycznia, nadmienił o zaszłem dnia tego odrzuceniu przez Sejm adresu Towarzystwa, sądził, że wypadałoby może przedłożyć sejmowi organizacyę Towarzystwa, wzywał do wytrwałości, do zajmowania się w dalszym ciągu dobrem ojczyzny; słowem, radził przyjąć biernie afront sejmu. Wówczas zabrał głos Maurycy. Wystawiał jako uwłaczającą godności Towarzystwa decyzyę Sejmu, który wierny regułom martwej już konstytucyi ani chce wiedzieć o żadnych zgromadzeniach, odrzuca akt ceremonialny Towarzystwa. »I czemże jest« mówił Maurycy: »ta tyle razy gwałcona konstytucya? Złamany kontrakt przez jedną stronę obowiązujeż drugą? Czyliż Mikołaj nie uwolnił nas od dochowywania przepisów tej zgody, którą pierwszy za nic poczytał? Czyliż my sami w dniu 29 listopada mieliśmy wzgląd jaki na ten poszarpany świstek wiedeński? Sejm jednak trzyma się niektórych artykułów tej konstytucyi, tak właśnie jak tonący chwyta się drobnych ułamków rozbitego swojego czółna; nie wysłuchuje naszych projektów, bo, podług tej drogiej konstytucyi, inicyatywa do

---

[1] Patrz »Dyaryusz Sejmu«, wydany przez M. Rostworowskiego. Tom I, str. 252.

króla należy, a w stanie dzisiejszym rzeczy, w braku innego spadkobiercy, on ją zagarnął«. Większość zgromadzenia atoli nie czuła się tak głęboko poruszona; oczywiste było, że przywódcy tego zgromadzenia to ludzie, gotowi popisywać się oracyami na trybunie, krytykować wszystko i wszystkich, lecz nie mający ambicyi czynu.

A więc następny mówca po Mochnackim obywatel Miklaszewski uważa odrzucenie adresu za skutek małego nieporozumienia, radzi usunąć zeń niektóre wyrazy i nanowo adres sejmowi przedstawić. Inni mówcy na swój sposób bagatelizowali doniosłość tej krytycznej dla klubu chwili. Obywatel Psarski dostrzegł, że Towarzystwo uważa się za obrażone, na co Maurycy żywo mu replikował, że niema tu mowy o żadnej osobistej obrazie, o obrazie miłości własnej wszystkich członków razem lub którego z osobna, bo Towarzystwo nie zna miłości własnej, zna tylko miłość wolności i niepodległości. Roman Sołtyk mówił z rezygnacyą o bolesnem uczuciu, jakiem go przejęła decyzya Izby. Maurycy Mochnacki wniósł, aby Towarzystwo zawiadomiło naród przez dzienniki o odrzuceniu adresu przez Sejm. Większość zgromadzenia podzieliła tę myśl, postanowiono atoli zasięgnąć w tej mierze zdania prezesa, czyli Lelewela, który był już zgromadzenie opuścił[1].

Już jednak na drugi dzień Towarzystwo najwidoczniej przeszło nad całą tą sprawą do porządku dziennego. Na posiedzeniu 27 stycznia toczy się spokojna dyskusya o rozmaitych przedmiotach; rozważany jest poważnie wniosek Grzymały Wojciecha — podania petycyi do Sejmu, iżby się ogłosił za nieustający.

Niebawem zaś mógł stwierdzić Maurycy, że w swych ostrych przeciwko Sejmowi wystąpieniach nawet na moralne poparcie Klubu liczyć nie może. Dnia 28 stycznia wice-prezes Towarzystwa, Roman Sołtyk, oświadczył, że

---

[1] Patrz »Nowa Polska« Nr. 32 z 5 lutego 1831 roku.

artykuł *Nowej Polski* pod tytułem »Nowa własność języka polskiego« przykre na Sejmie uczynił wrażenie, a lubo *Nowa Polska* jest urzędowym organem Towarzystwa, to jednak z artykułem tym nie ma ono nic wspólnego.

Artykuł ten, jak wiadomo, ostro Izbę krytykujący, wyszedł z pod pióra Maurycego.

Wywiązała się dyskusya. Jedni, jak obywatel Miklaszewski, byli za podaniem Sejmowi adresu usprawiedliwiającego. Inni, jak ks. Pułaski, uważali adres taki za zbyteczny, gdyż klub nic o artykule nie wiedział. Nikt jednak nie zdecydował się wystąpić z obroną artykułu. Wreszcie Roman Sołtyk oświadczył, że dosyć będzie ogłosić w imieniu Towarzystwa zdanie jego w tej mierze i uczucia, jakiemi Towarzystwo pała dla reprezentantów narodu. Na co zgodzili się obecni.

Po oddaleniu się Sołtyka, krzesło prezydyalne objął ksiądz Pułaski i odczytał listy Maurycego Mochnackiego i Adama Gurowskiego, proszące o wykreślenie ich z Towarzystwa, gdyż jako najczynniejsi spółpracownicy *Nowej Polski* nie chcą osobami swemi ściągać na Klub niechęci Sejmu. Dały się słyszeć oklaski, czem oburzony klubista Chrząszczewski rzekł: »Podzielając całem sercem zasady i wielbiąc niepodejrzane obywatelstwo wiceprezesa Mochnackiego i Gurowskiego, gdy słyszę teraz te oburzające mnie oznaki tryumfu z oddalenia się najgorliwszych spółpracowników naszych, — żegnam Towarzystwo«. Na to dały się słyszeć nowe oklaski zadowolenia. Wówczas ksiądz Pułaski zabrał głos i oświadczył, że słyszał tylko co miotane przeciwko niemu niezasłużone przekąsy, czuje się objęty niełaską kolegów dla Mochnackiego i Gurowskiego i również opuszcza Towarzystwo. To dopiero zmitygowało obecnych. Wojciech Grzymała wprawdzie i teraz zachęcał towarzystwo do niezajmowania się osobami i niezwracania uwagi na to, że się kilku członków wykreśla. Obywatel Dorożko popierał zdanie Grzymały. Większość jednak obecnych była za tem, aby nie przyj-

mować dymisyi wykreślających się członków i wezwać ich do pozostania w klubie. Zarządzono głosowanie i 46-ma głosami przeciwko 7-miu postanowiono nie wykreślać chcących się usunąć klubistów[1].

Przebieg posiedzenia dnia 28 stycznia ostatecznie mógł przekonać Mochnackiego, jak obce były Towarzystwu jego ambitne dążenia. Odtąd też w obradach Towarzystwa nie bierze niemal udziału. Spotykamy się z jego głosem na Klubie coś tylko dwa jeszcze razy. Na posiedzeniu 31 stycznia zabrał głos. Sprawozdanie notuje: »Ob. Mochnacki: Towarzystwa Patryotyczne w innych krajach używają pewnego godła dla oznaki właściwego charakteru swego, że zaś charakterem polskiego towarzystwa patryotycznego jest dążność do odzyskania granic wielkiego niegdyś państwa, przeto wnosi, aby Towarzystwo użyło godła z Szekspira: być albo nie być. — Wniosek ten przyjęto jednomyślnie«[2].

Wreszcie, na posiedzeniu dnia 4 lutego zabierał głos i wypowiadał się za jawnością działań rządu narodowego. Zabrał się natomiast czynniej do pióra, aby je po dniach kilkunastu zamienić na karabin.

Pierwszy artykuł umieścił 26 stycznia, wtenczas, gdy Towarzystwo podało adres do Sejmu, a zarazem nazajutrz po detronizacyi. Ton artykułu oględny, dyplomatyczny; znać, że Mochnacki, nie mając w duszy respektu dla zgromadzenia sejmowego, oszczędza je jednak w nadziei, że dostanie się ono pod dyrektywę klubu. Lecz Sejm adres Towarzystwa pogardliwie odrzucił. Mochnacki w *Historyi Powstania* utrzymuje, że przewidywał odpowiedź sejmu i nawet jej sobie życzył. Pozory jednak przemawiają przeciwko temu twierdzeniu; gdyby mu chodziło o odrzucenie adresu, nie prowadziłby chyba rzeczy tak oględnie, rozważnie, raczej skłaniałby Towarzystwo do wyniosłego,

[1] Patrz »Nowa Polska« Nr. 37 z 10 lutegb 1831 roku.

[2] »Nowa Polska« Nr. 50 z 23 lutego 1831 roku.

wyzywającego tonu. Wypada chyba przyjąć, że Mochnacki w przyszłości nietrafnie odtwarzał swe dawne ówczesne usposobienie. Dnia 27 stycznia, po odprawie ze strony Sejmu, zmienia Mochnacki nagle ton, gwałtownie atakuje dwuwykładną formę aktu detronizacyi i kończy wyzywającą apostrofą do Sejmu: »Złóżcie namiestniczą władzę, powróćcie do nicestwa, z którego was napróżno wyrwać chciała rewolucya!« Artykuł wywołał burzę w Sejmie, Ledochowski wołał, że natchnęły go talary pruskie i ruble moskiewskie, oddano sprawę artykułu pod sąd, który jednak nie znalazł w nim cechy przestępstwa. Te ataki pióra sam Mochnacki w przyszłości uważał za »ostatnie drgnienie partyi rewolucyjnej, której bezsilność i hajdamactwo były główną, chociaż nie jedyną, przywarą«. Następnego dnia znów atakuje Sejm, przewidując i przeczuwając w nim na przyszłość ten sam żółwi tryb postępowania, jaki odznaczał dyktaturę. Uważnie śledząc w dalszym ciągu bieg myśli Mochnackiego, dostrzedz można znamienne oznaki. »Postępujmy sobie jak Burboni« pisze 29 stycznia: »Królowie wierzą w zasadę prawości (légitimité), czemuż i my uwierzyć nie mamy w zasadę prawości bytu naszego. Niech hasłem naszem będzie: wszystko albo nic«. Słowa te zdradzają już przyszłego wyznawcę nagiej racyi stanu, który 4 września 1831 roku wyzna, iż »niemasz w niebie, na ziemi i pod ziemią żadnej mocy, żadnej dzielności, żadnego środka«, którego by się spróbować nie godziło, gdy chodzi o zwalczenie przeciwnika. Jest teraz gotów czerpać argumenty nietylko z arsenału rewolucyi, lecz i z arsenału legitymistów, półśrodka jednak i połowiczności nie zna: wszystko albo nic.

W owym czasie odbywa się w umyśle Mochnackiego, pod wpływem nowego doświadczenia, ciężka praca myśli; zestawia styczeń z grudniem, Sejm z Dyktaturą, dostrzega, iż niemoc, już zdało się skruszona, powstaje na nowo pod kształtem wielogłowym, jako hydra sejmowa, która pożre moc rewolucyi; wreszcie, jako owoc tych

myśli, kreśli 29 stycznia rzecz »O terroryzmie nierozumu i obskurantyzmu politycznego«. — »Gdy ex-dyktator zdradził, przestaliśmy wierzyć w dyktaturę... Sejm próżnuje! Będziemyż wierzyli Sejmowi! Nowy terroryzm zaufania!«

Mochnacki w artykule z 31 stycznia, a wraz z nim publicyści i mówcy Towarzystwa Patryotycznego obszernie dowodzili, że Sejm, wybrany za rządów policyi Konstantego, utracił swój mandat po 29 Listopada, gdyż cały system, którego on cząstkę stanowił, został obalony; nawet w Sejmie podobne głosy nieśmiało się podnosiły, zawsze zagłuszone powszechnem posłów oburzeniem. Oczywiście, ta interpretacya prawnego stanu rzeczy mogła mieć znaczenie jedynie akademickie, nie była ona mocna nakłonić posłów do abdykacyi z krzeseł Sali Zamkowej, decydował tu wyłącznie faktyczny stan rzeczy. Gdyby ruch potężny, popularny, wysunął na czoło insurrekcyi nowe ciało przedstawicielskie — Kongres narodowy, na wzór Belgii, i gdyby Sejm stary został w opinii narodu pokonany, wówczas dopiero owe argumenty przydałyby się, jako tytuł prawny dla władzy nowego zgromadzenia; gdy jednak naród milczeniem, a nawet oznakami uznania i szacunku akceptował Sejm dawny, wówczas uznanie to naprawiało zupełnie szwankujący Sejmu mandat i ten domyślny plebiscyt pozwalał mężom sejmowym spoglądać z góry na wszelkie szemrania adwokatów i dziennikarzy.

W dalszych artykułach gwałtowne ataki Mochnackiego na Sejm ustają; z naturą jego czynną, twórczą nie zgadzało się prowadzenie przez długi czas opozycyi biernej w tak groźnej i stanowczej dla narodu chwili. Odsunięty od wszelkiego wpływu na bieg sprawy powstańczej, zatapia się na pewien czas w sobie, schodzi na grunt rozważań teoretycznych, dnia 1 lutego drukuje obszerne roztrząsania »o naturze i skutkach opozycyi«. Śledząc dzień za dniem bieg jego myśli na szpaltach *Nowej Polski*, z ciekawością baczymy, w jakim kierunku podąży teraz

ten umysł twórczy, niespokojny, i oto 2 lutego mamy jeden z najbardziej płomiennych artykułów Maurycego — »Być albo nie być«. Myśli, w tym artykule zawarte, snadź od pewnego czasu nurtowały już umysł Mochnackiego, znajdujemy bowiem już w numerze z 31 stycznia artykuł »Myśl naszego powstania«, nie włączony do wydania dzieł Maurycego, niewątpliwie jednak jego pióra, a w którym już zawarte są myśli, rozwinięte następnie obszerniej w rzeczy »Być albo nie być«. »Nie masz środka między temi dwoma ostatecznościami« czytamy w *Myśli Polskiego Powstania*: »albo będziemy gubernią ogromnego carstwa rosyjskiego, albo to carstwo zamienimy na prowincyę azyatycką. Nie masz środka między bytem i zagładą. I owe szekspirowskie: być albo nie być, czytelnemi literami zapiszmy w sercach naszych«. Te same zdania, dosłownie niemal powtórzone i bliżej wyjaśnione, znajdziemy następnie w artykule: »Być albo nie być!« Druga myśl, której znów kontury tylko kreśli artykuł z dnia 31 stycznia, jest taka: »Ideą powstania polskiego nie jest wojsko regularne, ale pospolite ruszenie... Żołnierz regularny wtenczas dopiero z pożytkiem działa, kiedy go wspierają massy powstańców... Cóż z tego wypada, oto że massy poruszać trzeba! Żeby poruszyć massy, trzeba je wciągnąć do sprawy ogólnej zachęceniem, podnietą, koncessyami«. W artykule z dnia 2 lutego »Być albo nie być« Mochnacki bliżej rozwija te myśli: »Zginęliśmy dlatego, że nie większość, ale mniejszość po wszystkie czasy była u nas narodem. Zginęliśmy dlatego, że rewolucya socyalna nie zmieniła wzmiankowanego niestosunku. Kościuszko podniósł oręż w sprawie insurrekcyi, a powinien był walczyć w sprawie rewolucyi socyalnej, jak radził Kołłątaj«.

Oczywiście, rewolucyę socyalną pojmował Mochnacki nie w znaczeniu spisku równych Baboeufa lub w sensie późniejszych dążeń socyalistycznych; ma on na myśli zmiany, odpowiadające mniej więcej reformom konstytuanty

z Wielkiej Rewolucyi, czyli zniesienie stanów, zrównanie obywateli cywilne i polityczne, zniesienie feudalizmu, uwłaszczenie włościan. Myśl ta, atoli, nie przyobleka się u niego w kształty wyraźne programu, jak to widzimy u Szanieckiego; znać, że wyszła z pod jego pióra dorywczo i doraźnie, nie przetrawiona gruntownie. Wszak jeszcze 19 stycznia na otwarciu Towarzystwa Patryotycznego zapewniał, że powstanie nasze nie dąży do zmiany stosunków towarzyskich. Możnaby wprawdzie mniemać, że wówczas — 19 stycznia dyplomatyzował, nie wyjawiał swych myśli utajonych, lecz mamy przecie wyraźne dowody, że ta myśl skojarzenia insurrekcyi z przewrotem społecznym, nie długo gościła w głowie Mochnackiego, powtórzył ją tylko raz jeszcze — 14 lutego; natomiast już po wznowieniu działalności pisarskiej w jesieni 1831 roku zupełnie od myśli tej odstąpił i nadal w pismach emigracyjnych dobitnie występował przeciwko jednoczesnemu wysuwaniu idei insurrekcyjnej i idei reformy czy rewolucyi społecznej; mniemał, że przed odzyskaniem niepodległości o zmiany porządku towarzyskiego kusić się nie należy.

Zwrot Mochnackiego ku rewolucyi społecznej w artykułach z 2 i 14 lutego został mu podszepnięty przez względy polityki narodowej i był ściśle zespolony z ówczesnym momentem w rozwoju powstania; gdy ów moment minie, zniknie i ciążenie Mochnackiego ku rewolucyi społecznej. Punktem, do którego dążyły wszystkie myśli Mochnackiego, było zwyciężenie nieprzyjaciela wszelkiemi, jakie się nastręczają, środkami. Środki, na które liczył dotychczas, zawiodły: dyktatura skompromitowana, klub uczynił fiasco, na Sejm bynajmniej nie rachował, lud miejski poruszyć się nie dał. Duch Maurycego spocząć nie może, myśl jego odwraca się od tej Warszawy, gdzie ludność bierna i krótkowidząca, klub zgiełkliwy i niedołężny, sejm stanowy gadatliwy i ślamazarny w działaniu. Sejm ten nie wydobędzie mocy z narodu, będzie uświę-

cał jedynie fakta dokonane, będzie kładł na nich pieczęć narodową, stanie się »wielkim kanclerzem narodowego powstania«; rząd pięciogłowy, machina ciężka, tracąca lwią część energii na tarcia wewnętrzne, sprawy naprzód nie pomknie. Gdzież teraz mogły skierować się po rozczarowaniach warszawskich jego oczekiwania i nadzieje, jeśli nie ku obszarom rolnym, jak szeroka i długa polska ziemia, ku milionom ludu wiejskiego, ciemnego, biernego, uśpionego, a który należało czemś poruszyć! Doświadczenie dziejowe innych krajów, głosy prasy demokratycznej zagranicy, napomknienia tych nielicznych, ale przenikliwych publicystów-rodaków, którzy już wówczas na wielką reformę społeczną dzwonili, podpowiadały mu, Szanieckiego słowami, że dla ludu tego »i do Ojczyzny potrzeba przyprawy«. Patryota-Mochnacki wysunął tu więc demokratę-ludowca. Gdy jednak wkrótce stwierdzi Mochnacki, jak kolosalną siłę oporu miałaby do pokonania skromna nawet reforma włościańska, gdy przekona się, jak olbrzymią siłę potrafi rozwinąć ten kraj nawet przy potwornych wadach swego układu społecznego, byle miał choć nieco sprężysty rząd i komendę wojskową, wówczas, z kolei, patryotá przysłoni demokratę i będzie Mochnacki już tylko wołał o utworzenie dzielnego rządu, któryby potrafił skupić w jedno rozproszone cząstki mocy narodowej i ukuć z nich jeden potężny młot na wroga; myśl zaś przewrotu społecznego, którego skutek tembardziej wątpliwy, im dalej zabrnęły uchybienia powstania, odrzuci, odsunie do przyszłych czasów. Mochnacki tak całkowicie wpatrzony jest w jedną myśl — ocalenia ojczyzny, ta jedna sprawa tak doszczętnie pochłania cały zasób jego uczucia, tak wypełnia jego duszę, że nawet wówczas, gdy w artykułach lutowych występuje jako orędownik ludu, nie znajdziemy rzewnych kart, przesiąkniętych miłością ludu prostego, które spotkamy, naprzykład w »Przestrogach dla Polski« Staszyca. Woła Mochnacki z oburzeniem namiętnem pod adresem osób, stojących u steru władzy: »Ci,

co wierzą w dyplomatykę, żyją z dnia na dzień w nadziei, w oczekiwaniu. Nie wierzą w żadne społeczne wstrząśnienia. Przeraża ich gwar ludu, zatrważa mas powstanie. Obawiają się tego jak fali wzburzonego morza, jak morowego powietrza, jak wezbrania wód i ognia. A jeżeli nie będzie innego środka?« Czytając te słowa, czujemy, że nie ucisk ludu wytyka on w tej chwili, nie wyrzut nędzy mas ciska w oczy klasie uprzywilejowanej — na te porachunki domowe nie teraz pora; duszę jego jątrzy i boli małoduszność i ciasnota tych ludzi, co nie są gotowi, tak jak on, poruszyć i rozpętać wszystkie żywioły, przemawia w tym momencie nie ludowiec-demokrata, lecz patryota płomienny i radykalista polityczny, nie cofający się przed żadną ofiarą, przed żadnym skrupułem.

Jako rys do charakterystyki usposobienia Maurycego w owym czasie dorzucić należy i to, iż był to okres bliższego jego obcowania z Adamem Gurowskim; talentem literackim, skalą umysłu niezmiernie od Maurycego niższy, wywierał nań wpływ Gurowski obecnie i później na emigracyi, przez swój temperament namiętny i zapamiętałą bezwzględność. Całe okresy, na początku artykułu »Być albo nie być« zdradzają powinowactwo myśli z artykułem Gurowskiego »O Rewolucyi« z nru 8 *Nowej Polski* z 12 stycznia. Taki ustęp, jak: »rewolucye, nakształt burzy napowietrznej ku schyłkowi dnia parnego, przerzedzają zgęszczoną atmosferę ludów...«, łudząco przypomina Gurowskiego; wpływ ten — tem znamienniejszy, że zresztą artykuł Mochnackiego, jako całość, jest bez porównania świetniejszy od pustych, dudniących tyrad zapalczywego ambitnika. Artykuł zaś, dopełniający i rozwijający myśli Mochnackiego o poruszeniu mas ludowych, z nru 41 *Nowej Polski* dnia 14 lutego »Czemu masy nie powstają«, napisany już po wyruszeniu Maurycego i Gurowskiego do obozu, podpisany jest w *Nowej Polsce* inicyałami obydwóch: *A. G. — M. M. Pułtusk, 12 lutego 1831 roku;* został więc, zapewne, jeśli nie wspólnie napisany, bo nosi

zupełnie wyraźne piętno pióra Maurycego, to przynajmniej wspólnie omówiony i może ułożony.

Autor artykułu, pod świeżem wrażeniem wkroczenia nieprzyjaciela do kraju, daje wyraz smutnym przeczuciom, iż wojna ta nie będzie wojną całego narodu: »Gdzież jest zgiełk oręży, samym postrachem rażący wrogów tej ziemi? Gdzież gwar ludu, w poprzek całej Polski wołającego do broni!« Wzywa przedstawicieli narodu, aby jedną szlachetną uchwałą powołali ogromną większość ludu polskiego do praw człowieka, do praw obywatelskich. Lepiej »wszystkich włościan porównać z sobą (t. j. ze szlachtą) i w całym kraju rozprzestrzenić obywatelstwo, tak, żeby wszystko u nas spolszczało i zziemianiało«, niż doczekać się zagłady narodu. Wreszcie, płomiennemi słowy zaleca Mochnacki zaczepny, nie odporny plan kampanii, wzywa do wtargnięcia na Wołyń, Podole, Ukrainę [1].

---

[1] W wydaniu pism Mochnackiego pomiędzy datą 2 a 14 lutego zamieszczony tylko artykuł z 6 lutego »Nowy Rząd Narodowy«. Nie ulega kwestyi, że było ich więcej. W Nrze 30 z 3 lutego bezimienny artykuł »Nasze powstanie i dyplomatyka« zdradza pióro Mochnackiego. Jest w nim wprost powołanie się na dawniejszy jego artykuł: »Już dawniej objawiliśmy, jak pojmujemy myśl naszego powstania«. Styl, myśli i zwroty przypominają łudząco Mochnackiego .Nr 31 z 4 lutego, artykuł »Poselstwa« i artykuł o Hubem zdają się być jego pióra. W tym ostatnim znajdujemy zdanie: »Onegdaj wyłożyliśmy tę prawdę, że Kościuszko omylił się w zdaniu swojem, uważając rewolucyę za powstanie«, czyli wprost powołano się na artykuł: »Być albo nie być«. W Nrze 34 z 7 lutego pewnie pióra Maurycego jest artykuł, tryumfujący, iż sąd policyi poprawczej nie znalazł cechy przestępstwa w artykule »Nowa własność języka polskiego«, którego autorem był Mochnacki. Artykuł »Kokardy, Wężyk« w tym samym numerze, a także »Odpowiedź Kuryerowi Polskiemu«, zawierająca między innemi słowa: »Kuryer ma terroryzm nierozumu«, w Nrze zaś 40 artykuł »Literatura« przypominają bardzo Mochnackiego. — J. B. Ostrowski w »Nowej Polsce« emigracyjnej (półarkusz 58, str. 232) utrzymuje, iż M. Mochnacki umieścił w »Nowej Polsce« warszawskiej tylko 11 artykułów. W wydaniu pism Mochnackiego (Tom IV., Pisma Rozmaite) wydrukowano

Gdy wojna się rozpoczęłą, Maurycy zaciągnął się do szeregu, wolał służyć ojczyźnie w polu orężem, niż zasilać piórem jałową opozycyę. »Nie masz niewdzięczniejszego zatrudnienia na świecie, jak sarkać na błędy i zdrożności rządów z założonemi rękami! Oppozycya pokonana krzepi siły zemdlone milcząc« — taka była jego maksyma wówczas i w przyszłości. Gorące uczucie dla sprawy nie pozwalało mu siedzieć nieczynnie, gdy rozstrzygały się losy ojczyzny; wolał zginąć raczej od kuli, jako prosty szeregowiec, niż uczestniczyć w tej parodyi działania, na jaką skazane było obecnie Towarzystwo Patryotyczne, gdzie »kilkudziesięciu próżniaków codziennie rozprawiało z niesłychanem zgorszeniem Metternicha i Ancillona na przemiany albo o edukacyi dzieci i kobiet dla przyszłej rewolucyi, albo o potrzebie zamordowania ostatniego króla i ostatniego arystokraty szczęką ostatniego księdza«. W pierwszych dniach Rewolucyi wyobraźnia Mochnackiego widziała potężny urok w tym klubie, który miał w jego urojeniach urosnąć do znaczenia klubu Jakobinów, teraz, gdy ów klub, odrodzony w styczniu, zdrobniał, zszarzał, spłaszczył się, oczarowanie Maurycego pierzchnęło i odtąd dusza jego dążyła ku tym polom i błoniom, ku którym wyruszało teraz wojsko polskie.

Tymczasem, cała organizacya powstania zapowiadała nieuchronną klęskę; dziś gdy widzimy, z jaką karygodną opieszałością rozpoczynano powstanie, jak stracono niepo-

---

10 artykułów z »Nowej Polski«, według naszego obliczenia wypada 17. Wyrażając jedynie domniemanie co do autorstwa owych 7 artykułów, nie możemy, jednak, polegać bardzo i na świadectwie J. B. Ostrowskiego, któremu w owym wykazie chodziło o stwierdzenie jaknajmniejszej ilości artykułów Mochnackiego; wiadomo dobrze, że rzetelnością świadectw J. B. O. nie grzeszył, — wreszcie mogła mu w tym razie i pamięć nie dopisać na Emigracyi — po czterech prawie latach, nakoniec, drobnych rzeczy, a tych w liczbie owych 17 jest około 5, mógł J. B. O. nie uważać za artykuły, artykuł zaś »Czemu masy nie powstają« mógł przypisywać Gurowskiemu.

wetowane dwa miesiące czasu, dziwimy się nie niepowodzeniu powstania, a raczej temu, że nie zostało ono zdławione przez przeważające siły nieprzyjaciela zaraz po batalii grochowskiej, gdy wojsko było zdziesiątkowane, wódz naczelny stracił głowę, Chłopicki był ciężko ranny, sejm, najwyższa władza narodu, w panice, miasto — w popłochu, a nieprzyjaciel — pod murami miasta. Cała taktyka Chłopickiego jakgdyby zmierzała do tego, aby po jednej klęsce pod stolicą całe powstanie upadło; nie przedsięwzięto ze strony polskiej zawczasu kroków zaczepnych, nie starano się bynajmniej budzić zapału do wojny wśród ludności, wojna nie rozlała się po ogromnych przestrzeniach Rzeczypospolitej; armia, jakby zahypnotyzowana lękiem przestrzeni i ruchu, staje w miejscu, jak wryta i oczekuje nieprzyjaciela, aby się »wykropić« pod Warszawą, jakgdyby przekonana wraz ze swym wodzem faktycznym, że porwała się na przedsięwzięcie ponad jej siły i że jedynie honor nie pozwala jej się cofnąć. Ale los był dla Polaków łaskawy; siły przeciwnika okazały się przecenione, olbrzymia, groźna jego armia istniała na papierze, sławny jej wódz okazał się dość nieudolnym kunktatorem, powstanie tym razem było ocalone [1]. Na czele

---

[1] Prądzyński przyznaje w Pamiętnikach, iż przed wojną 1831 roku przeceniał znacznie siły rosyjskie, nie doceniał zaś mocy powstania. Patrz Tom I. Pamiętników, str. 258: »Prawda, że i moje wyobrażenia o siłach Rosyi, o naszej słabości były zrazu przesadzone, jak mnie wnet wypadki wojenne nauczyły«. Pomimo przewagi sił rosyjskich i pomimo źle obranej pory powstania, udziałem Polaków mogło być, zdaniem Prądzyńskiego, kompletne zwycięztwo, gdyby nie straszne błędy komendy. »Przekonany jestem że gdyby Kościuszko był naczelnikiem w 1830/1, Polska by żyła; toż samo, gdyby w r. 1794 był miał takie środki, jakie miało ostatnie powstanie«. (Tom I., str. 241).

»W jego (t. j. dyktatora) było mocy wzburzyć jednem słowem całą dawną Polskę, a natenczas pytam się, jakby się to był odbył marsz owych długich kolumn rosyjskich, czerniących się na tle śniegiem zbielonych krajów, od Kurlandyi do Wielkiego Nowo-

wojska staje Skrzynecki, trudno było o wybór nieszczęśliwszy, wódz traci czas bezczynnie, lecz za to prowadzi gorliwie układy, zakłada własną kancelaryę dyplomatyczną. W naszej głównej kwaterze, w ciągu powstania, panował jakiś wyniosły sceptycyzm, który miał stanowić kontrast z naiwną niby wiarą tłumu; należało jakby do dobrego tonu wyższych wojskowych, co widzieli napoleońskie armie i wojny, lekceważyć »małe królestwo« i jego drobne siły. Nieczynność przeciwnika dawała Skrzyneckiemu sposobność wznowienia kroków wojennych, nieszczęście jednak chciało, że nasi wodzowie i głowy rządu w Rewolucyi Listopadowej za największą utopię uważali to, co się, wbrew ich oczekiwaniom, okazało najbliższe podobieństwa, — mianowicie zwyciężenie wroga orężem w polu, za jedynie zaś godne mężów stanu, a nawet i strategów, uważali — układy, które miały nam jakoby zapewnić konstytucyę, i zabiegi dyplomatyczne, które miały niby sprowadzić pomoc doraźną, a przynajmniej przyjazną medyacyę zagranicy, i to właśnie, co im się wydawało tak trzeźwe, praktyczne i rozumne, okazało się najczystszą utopią. Najzapalczywszy klubista, który z mównicy Sali Redutowej perorował o zapędzeniu wroga przez naszych ułanów i czwartaków poza Dniepr i Dźwinę, był

grodu, od Kijowa do Bukaresztu. Gdyby gen. Chłopicki był zrozumiał powstanie, byłby w grudniu i styczniu cały kraj aż do Dźwiny i Dniepru wzburzył i na początku lutego mógł mieć przy pomocy poznańskich landwerów i korpusu Litewskiego pyszne stutysięczne wojsko, między Brześciem i Białymstokiem zebrane i zajmujące Pińsk... Wtenczas to Polska jedną kampanią odzyskiwała poważne stanowisko w rzędzie pierwszych mocarstw europejskich i klęski dwóch wieków zostały naprawione«.

»Taką to wspaniałą przyszłość odepchnął Chłopicki samochcący od swojej ojczyzny, zmarnowali ją spiskowi tem, że rządy powstania na los puścili. Rozmyślając nad tem wszystkiem, chce się zapłakać krwawemi łzami«. (Tom I. str. 244, 245, 246). — Wszystko to wszak są myśli Mochnackiego, fachowem rozumowaniem genialnego wodza poparte.

jeszcze trzeźwiejszym politykiem od dyplomaty — Skrzyneckiego; i na tę epidemię dyplomatyczną nie było lekarstwa, Chłopicki zostawił ją w spadku Skrzyneckiemu, Skrzynecki — Krukowieckiemu, przeżyła ona powstanie i podążyła z rozbitkami na emigracyę.

Zaledwie wybłagał Prądzyński u wodza naczelnego wycieczkę wojska z Warszawy w nocy z 30 na 31 marca, a w ciągu dni zaledwie kilku — do 10 kwietnia, w skutku śmiałych i szybkich działań, odniesiono trzy zwycięztwa: pod Wawrem, Wielkiem Dębem i Iganiami. Daje to tylko słabą miarę tego, co zyskać było można przy lepszej komendzie. Lecz i owe trzy zwycięztwa, które rzuciły popłoch na nieprzyjaciela, nie były wyzyskane, wkrótce nawet zostały zupełnie zmarnowane przez niesłychaną bezczynność Skrzyneckiego, Lekceważenie obowiązków, lenistwo, sybarytyzm naczelnego wodza naszego powstania — były wprost legendowe, według zgodnych świadectw wszystkich pamiętników z owej epoki. Ów słynny powrót wodza o pół mili w tył do Brzezin z pod Wielkiego Dębego, by zjeść świeży obiad, wówczas gdy należało wszelkiemi siłami ścigać rozbitego nieprzyjaciela; owo literalne zaspanie przezeń bitwy pod Iganiami, która skończyłaby się haniebną klęską dla Polaków, gdyby nie geniusz Prądzyńskiego; owe wielokrotne wystawanie kilkogodzinne generałów, adjutantów, gońców, w najkrytyczniejszych chwilach powstania, pod drzwiami naczelnego wodza, którego nie wolno było, broń Boże, obudzić; słynna scena w Troszynie 19 maja, gdy wódz naczelny, zamiast gwałtownie atakować gwardye, najspokojniej wertuje *Journal des Débats* i inne pisma francuskie, niecierpliwie odrzuca nalegania Prądzyńskiego i wydaje rozkaz ścigania gwardyi — na drugi dzień, gdy nieprzyjaciel już uszedł; owa drzemka wodza naczelnego w Krukach, gdy pod Ostrołęką już grzmiały armaty, a później to obłąkane, samobójcze, bezmyślne rzucanie na rzeź pułku po pułku przez oszalałego na widok strasznych skutków własnej winy

Skrzyneckiego, ta »krwawa burda«, jak nazwał bitwę ostrołęcką Prądzyński, cały Skrzyneckiego »menuet« wojenny, jak go z żółcią ochrzcił Lelewel: wszystko to rzuca straszne światło nietylko na nieszczęsnego wodza naczelnego, lecz i na Sejm i Rząd, które z taką niepojętą wyrozumiałością i występną cierpliwością utrzymywały go przez pół roku przy dowództwie.

Cóż wówczas czynił rząd powstania? Na czterech posiedzeniach Sejmu od 26 do 29 stycznia opracowano formę rządu dla rewolucyi, 30 stycznia obrano członków tego rządu. Ustrój owego rządu nie wytrzymywałby krytyki nawet wówczas, gdyby miał on działać w czasie pokoju, na okres zaś powstania — był on absurdem. Jako zasadę, przyjęto monarchię konstytucyjną, zamiast jednak jednej osoby monarchy, ustanowiono rząd narodowy z pięciu osób; rząd ten pięciogłowy, na podobieństwo monarchy konstytucyjnego, istniał obok ministrów odpowiedzialnych, którym powierzone były właściwe wydziały rządowe. Pentarchii owej, atoli, bynajmniej nie przysługiwały wszystkie atrybucye królewskie; przeciwnie, z ustawy wynikało, że w zasadzie majestat królewski spoczywa w Sejmie, do pentarchii zaś należą jedynie te atrybucye, które jej były wyraźnie przyznane [1]. Rząd jest przez Sejm mianowany może być przez Sejm cofnięty; Sejm również mianuje inaczelnego wodza, senatorów, biskupów.

Dobór osób do pentarchii mógł jedynie do reszty sparaliżować wszelką rządu tego dzielność; wybrano pięciu ludzi, którzy reprezentowali trzy odmienne obozy polityczne. Książę Adam ze swym »niżnikiem« Barzykowskim reprezentował zawsze jedno zdanie, Wincenty Niemojowski, głowa obozu Kaliskiego, wraz z Morawskim

[1] Artykuł 2 prawa, uchwalonego w sesyi sejmowej 8 lutego, opiewał: »Nim naród w sejmie obierze króla, wykonana będzie przysięga sejmowi, naród reprezentującemu, przy którym teraz prawa majestatu zostają«.

stanowili drugą całość, Lelewel wyobrażał obóz radykalny. Sejm kierował się tą myślą, aby wybitnych przedstawicieli głównych obozów połączyć w gronie rządowem i dzięki temu zapewnić rządowi powszechne zaufanie i popularność; skutek tej koncentracyi był wręcz odmienny; energia rządu zużywała się na wewnętrzne w jego łonie tarcia, wewnątrz samego grona rządzącego nie było jedności i wzajemnego zaufania. Szczególnie Lelewel, będący jednocześnie prezesem Towarzystwa Patryotycznego, budził nieufność wśród czterech zachowawczych pentarchów; Lelewela niesłusznie posądzano wciąż o jakieś jakobińskie plany, osobliwie przesądny, podejrzliwy i ciasny Barzykowski domyślał się najczarniejszych knowań ze strony Lelewela, gdy ten z bladą, zamyśloną twarzą milczał podczas dyskusyi, najpewniej pogrążony w swych dumaniach naukowych [1]. Wiadomo zresztą przecież, że Lelewel żadnych groźnych planów nie knuł, w ciągu całej swej podwójnej klubowo-rządowej kadencyi żadnego kroku stanowczego ani tu, ani tam nie postawił, zabobonna zaś trwoga Barzykowskiego była równie mało uzasadniona, jak zabobonna wiara w Lelewela klubistów.

Rząd oddawna odbierał niepokojące doniesienia o bezczynności i opieszałości Skrzyneckiego, miano nawet okazyę przekonania się osobistego o niedołęstwie wodza w najbardziej dlań haniebnych chwilach, Czartoryski bowiem, Barzykowski i Małachowski byli przy armii podczas bitwy igańskiej, prezes zaś rządu Czartoryski był i w Tykocinie po nieszczęsnej wyprawie na gwardye; nic jednak rząd nie uczynił, aby Izby co do szkodliwych skutków dowództwa Skrzyneckiego oświecić i sprawę jego dymisyi na ostrzu postawić [2]. Gdy wreszcie niezmordowany i genialny

---

[1] Mierosławski utrzymuje, iż Lelewel zabierał nawet na posiedzenia rządu swe skrypta i tam je nieraz wertował.

[2] Wobec uroczystych opowieści Stanisława Barzykowskiego o tem, jak to on nieraz dzielił trudy kampanii i jako zarządca cy-

twórca coraz to nowych planów wojennych, które wódz naczelny z uporem odrzucał, generał Prądzyński, wyczerpany wreszcie męką czyśćcową, jaką przeszedł, patrząc na nędzne marnowanie kampanii, zwrócił się do rządu z treściwem a niezbitem oskarżeniem Skrzyneckiego o zupełną niezdolność do piastowania buławy, książę Prezes rozpoczyna wówczas oględną korespondencyę ze Skrzyneckim, czyniąc mu delikatne uwagi, które wódz naczelny zbywa w dość szorstki i drwiący sposób.

Natomiast, prezes rządu rozwinął, przy pomocy swego ministeryum spraw zagranicznych i własnej kancelaryi dyplomatycznej, niezmordowaną akcyę korespondencyjną z zagranicznymi mężami stanu, a nawet i członkami rodzin panujących; pośredniczyły w tych czynnościach legacye polskie, wyprawione do wszystkich niemal krajów Europy, nie wyłączając Belgii, Szwecyi, Turcyi. Wódz naczelny nie dawał się ubiedz księciu Adamowi i na własną rękę, dobrawszy sobie do pomocy Andrzeja Horodyskiego, słał listy do arcyksięcia Karola, do Metternicha, do Grey'a i Palmerstona, do Turcyi. Działalność tę rozwinął głównie w końcu kwietnia i początku maja, właśnie wówczas, gdy po zwycięztwie igańskiem otwierała się możność powetowania dotychczasowych uchybień. W głównej kwaterze redagowano listy, pełne erudycyi, gładkiej formy literackiej i przekonywujących argumentów, i w te pociski papierowe Skrzynecki wierzył nieskończenie więcej, niż w męstwo i siły polskiego żołnierza. »Listy Twoje, Kochany Panie Jędrzeju, odebrałem«, pisał do Horodyskiego:

---

wilny wydziału spraw wojskowych odwiedzał obóz i bywał obecny przy bitwach, charakterystyczne, nie pozbawione nawet humorystycznego efektu jest niepodejrzane świadectwo życzliwego zresztą Barzykowskiemu Prądzyńskiego o zupełnym braku odwagi, jaki zdradzał Barzykowski, znalazłszy się niespodzianie pośród bitwy, w przeciwieństwie do męstwa i zimnej krwi, jakie zachowywał w takich chwilach ks. Adam Czartoryski. (Pamiętniki Prądzyńskiego, Tom I., strona 285).

»i ile się niecierpliwiłem z ich spóźnienia, tyle teraz cieszę się z redakcyi i winszuję ci talentu redakcyi. Odeszlij ich zaraz podług adresów, tylko na minutę nie opóźniaj rzeczy. Przyjdź do mnie kiedy na obiad na godzinę 1, ażebym Ci mógł za to podziękować, lecz wprzódy zredaguj mi inne listy do Lorda Grey lub Palmerstona, o czem poradź się z Wielopolskim, w tym samym interesie« [1].

Tymczasem zaś wysłańcy Rządu Narodowego z początku brali za dobrą monetę różne racye, jakiemi ministrowie zagraniczni czasami uważali za właściwe tłumaczyć swą nieubłaganą bierność w sprawie polskiej, i pisywali do kraju naiwne doniesienia o tem, iż główną przyczynę nieinterwencyi dworów zagranicznych stanowią nasi jakobini, którzy mają nawet swego przedstawiciela w rządzie narodowym, i to ma jakobyjedynie wstrzymywać pełne przychylności ku nam państwa Zachodu od czynnego poparcia sprawy polskiej; to znowu przekonani, że jedynie zaognienie sprawy belgijskiej przeszkadza mocarstwom zachodnim do wmieszania się w naszą sprawę, dali się użyć, jako narzędzie ku skłonieniu opornych Belgów do ustępstw względem konferencyi londyńskiej i oczywiście, wykonawszy swoje, zostali potraktowani, jako murzyn, który spełnił swą powinność; lecz wreszcie, po licznych rozczarowaniach, połknąwszy niejedno upokorzenie, przejrzeli nakoniec i poczęli, ku schyłkowi powstania, czynić coraz zgodniejsze i powszechniejsze doniesienia, iż — rządy oczekują zwycięztw polskich, a wtedy dopiero może będą z Polakami rozmawiały. Wówczas, jednak, sprawa była już zmarnowana.

Rząd pięciogłowy, działając chwiejnie, powolnie, tracił z oczu główny, jedyny swój cel — przygotowanie zwycięztwa; zajęty waśniami wewnętrznemi, sporami stronnictw, zdawał się chwilami upatrywać głównego przeci-

---

[1] List z 10 maja 1831 r. Biblioteka Akademii Umiejętności, Rękopis Nr. 164.

wnika nie w nieprzyjacielu, lecz w Towarzystwie Patryotycznem, zwalając na barki tego kozła ofiarnego odpowiedzialność, jaka na tem bezsilnem gronie ani w tysiącznej części, jak słusznie Mochnacki twierdzi, ciążyć nie mogła. Szlachta wołyńska nie powstała, mocarstwa nie chciały uznać Polski niepodległej, nie chciano dać pożyczki narodowi — wszystko to przypisywano postrachowi, jaki rzekomo siało owo »zgromadzenie inwalidów rewolucyi«. Ustanowienie i utrzymywanie podobnie niedołężnego rządu było ciężkim błędem Sejmu. »Od tego momentu« mówi Mochnacki o ustanowieniu pentarchii: »anioł stróż narodowego powstania wzleciał gdzieś wysoko ponad obłoki; zdawało mi się, że patron Polski zrazu rzewnie zapłakał, a potem parsknął od śmiechu«.

A Sejm? Czytając dziś te długie, nużące, rozwlekłe obrady sejmowe, odczytując drobiazgowe mowy, opracowane troskliwie według wszelkich zasad retoryki, owe rozprawy akademickie nad rzeczami nieraz bardzo błahemi w chwili, gdy ważyły się losy narodu, czujemy, iż te obrady bez końca zalewały powodzią słów jasną myśl powstania; ten potok wymowy, płynący z monotonnym szmerem, kołysał do snu głowy naszych statystów; rzekłbyś, iż mara Rzplitej szlacheckiej, spokojnie, niefrasobliwie, wśród uroczystej formalistyki wytaczającej swe sprawy bieżące pod światłe obrady panów braci, którzy popisują się krasomówstwem, biegłem znawstwem praw i modnych nauk Zachodu, zasiadła na dni dwieście w starych Salach Zamkowych. Gdy zaś Sejm jest najwyższem miejscem, ku któremu wytężają się oczy całego kraju, w którem władze cywilne, a i władze i opinie wojskowe szukają dla siebie oparcia, więc też przez owo tchnienie niewidzialne, jakie zawsze idzie od szczytów władzy, duch sejmowy roznosi się, rozpyla w powstaniu i niebawem nasyca sobą całą atmosferę aż do szeregów liniowych włącznie; w tych ostatnich, dzięki strasznej lekkomyślności Sejmu i rządu, które zamiast rozciąć swą władzą i powagą węzeł gor-

dyjski komendy wojskowej powierzają rozplątanie jego wojskowym i urządzają słynny sejmik bolimowski, zapanuje wreszcie na schyłku wojny nałóg wiecowania, rozpraw politycznych, krytyki dowódców, co oczywiście rozluźni dyscyplinę wojskową. Wreszcie, w powstaniu zapanuje jakby paraliż czynu. Rażące braki, wady przez wszystkich powszechnie są uznane, a jednak trwają; sejm i rząd nie powstrzymują krytyki publicznej, owszem, czynią wszystko dla jej podniecenia, lecz rozniecíwszy publiczne nieukontentowanie, nic nie czynią dla usunięcia jego przyczyn. Rząd pięciogłowy, w obradach czerwcowych sejmu skrytykowany, poniżony, wyszydzony — pozostaje nadal na swem miejscu. Wódz naczelny już w oczach ogółu zdyskredytowany, fachowe pismo Prądzyńskiego, wykazujące jego niedołęstwo, rozpowszechnione, komentowane przez oficerów i podoficerów, — a wódz naczelny przy komendzie pozostaje. Zaprawdę, wielka była moc patryotyzmu, ofiarności, posłuszeństwa, cierpliwości tego społeczeństwa, jeśli do ostatka opierała się działaniu tego rozkładu, jaki szedł z góry i aż do upadku Warszawy zachowała dzielność i męstwo.

Mochnacki znakomicie odczuwał ducha i niemoc sejmu. Oto jego wrażenia z grudniowej sesyi sejmu: »Sejm wszedł całym sobą w powstanie; napełnił je sobą i rozwikłał się w powstaniu, jako się rozwijają rośliny pod powierzchnią wody, której jeszcze żaden wietrzyk nie zmarszczył; nad którą burza z północy, niezadługo oberwać się mająca, żeglowała wysoko pod niebiosami, zwarta cała w drobnym jeszcze punkcie, potem w jasnym, lazurowym, cienkim, powietrznym obłoku, — dla doświadczonego sternika już strasznym, ale dla posłów sejmowych, senatorów, wojewodów, kasztelanów, ministrów, zastępców, podzastępców, reprezentantów wszelkiego gatunku niewidzialnym i dalekim«.

Rysując zaś doktrynerskie debaty styczniowe nad utworzeniem owego niefortunnego rządu, tak swe wraże-

nie maluje: »Jeśliby kto przed blizką burzą, zapowiadającą sinemi obłoki na powietrze świszczące trąby, które wszystko ze sobą unoszą, zwiastującą dalej ponurem wyciem i ryczeniem chmur gwałtowne orkany, które najstarsze, najgrubsze drzewa z korzeniami wyrywają, — jeśliby kto w tym stanie nieba i ziemi chciał naprzykład założyć ogródek na piasku dla zabawy swoich dzieci, albo domek z kart ku podobnemu celowi: jeszczeby to była łatwiejsza do przebaczenia rozrywka od tego projektu komisyi sejmowej, roztrząsanego w izbach naszych na dni kilka przed wtargnięciem Dybicza do Polski Kongressowej«.

Tak więc naród pasować się musiał nietylko z najeźdźcą, lecz i ze skarlałym duchem publicznym, który niósł podwójne brzemię wad — przeszłości i niewoli, ze swą własną niemocą wewnętrzną, niemocą woli zbiorowej; dzięki niej wielkie dzieło narodowe stawało się chwilami jakby krwawą farsą, tragikomedyą, gdzie tragiczną była groza położenia, nieszczęście, ofiary, zaś wrażenie komedyi okropnej czyniły te małe środki, małe troski, drobne waśnie małych ludzi, niedorosłych do olbrzymiego zadania. Ta bolesna strona powstania nie uszła uwagi ówczesnych myślących ludzi, o ile tylko nie zaślepiała ich ta uroczysta naiwność, właściwa Barzykowskiemu, który pisze panegiryk Sejmowi nawet wówczas, gdy mówi o sprawie włościańskiej, a również roztacza pochwały księciu Adamowi, kreśląc jednocześnie bezwiednie jaskrawy obraz całego bałamuctwa dyplomatycznego, szczodrze sypie komplimenta c n o t l i w y m m ę ż o m i d o b r y m P o l a k o m, do których zalicza, pomimo wszystkiego, i Chłopickiego i Skrzyneckiego, wyłączając stanowczo Mochnackiego. Gdy przebiegamy karty pamiętników z doby listopadowej, skreślonych przez ludzi o czulszych duszach i przenikliwszych umysłach, pamiętniki Młockiego, Bogdańskiego, Orpiszewskiego, nie mówiąc już o pamiętnikach Prądzyńskiego, czujemy w nich głęboki ton — ułudy rozwianej, gorzkiego rozczarowania, chwilami bolesnego sar-

kazmu; drga w nich jakgdyby wyrzut Mochnackiego: »nie niemogliśmy, lecz nie umieliśmy«.

»Gdyby we władzę zbiorową lub też jednego człowieka wcielona była myśl powstania, kierująca na prawdę, na seryo czynem!« takie westchnienie wyrywa się z piersi starego belwederczyka po długich latach rozmyślań: »Ale tej władzy nie było! i jakby w końcu nie szło o Polskę lub Sybir, srom niewoli lub cześć narodu, żartem, po cześnikowsku, jakby dla zabawy tylko uzbrajano się, musztrowano, radzono, rządzono! Bawiono się w zapał i patryotyzm, które, jakby zaklęte siły w poetycznem i uczuciowem kole, nie mogły przelać się w uorganizowane, ścisłe, dotykalne obowiązki, pod wpływem wcielonej, kierującej myśli«. I dalej rzuca pytanie: »jaka przyczyna tej niemocy, nietylko do osiągnienia celu, ale w pochodzie ku celowi; u narodu zdolnego tak wysoko podnieść ducha; tak umiejącego rzucać w ogień zdarzeń los swój i los całych pokoleń; tak ciskającego nawet często promieniami inteligencyi, które rozstrzelają się, wypadłszy raz z ogniska i w jakiejś jasnej mgle niewyraźnego światła mieszają się, bledną i marnieją w końcu« [1].

Z tem pytaniem, dręczącem a nierozstrzygniętem, schodziło do grobu myślące pokolenie 29 listopada; to samo pytanie z dalszem istnieniem narodu związane, nurtowało późniejszego poetę, który duchem przeżył dramat listopadowy, a w chwili goryczy skreślił ponure słowa:

»Orły, kosy, szable, godła,
Pany, chłopy, chłopy, pany,
Cały świat zaczarowany,
Wszystko była maska podła«.

Po załatwieniu organizacyi rządu, obrady sejmowe stają się na czas pewien bezbarwne i jałowe. Zdawało się, że teraz przed Sejmem powinna była stanąć jedna wielka sprawa, wszelkie inne przysłaniająca, — wielkie

[1] Kilka wspomnień — Ludwika Orpiszewskiego.

dzieło narodowe reformy społecznej, przez Sejm Czteroletni zapoczątkowane; to grono reprezentantów Polski, powołane po raz pierwszy od rozbiorów do wolnych obrad nad ocaleniem i odrodzeniem narodu, powinno było widzieć nieustannie przed sobą w tych starych salach zamkowych cienie wielkich mężów Sejmu Czteroletniego, groźnie dopominających się od synów o spełnienie świętego obowiązku, o wydanie wielkiej uchwały uwłaszczenia i obdarzenia pełnią praw obywatelskich włościan polskich, powołanych teraz do bratnich szeregów na obronę Ojczyzny. W dniu bitwy pod Wawrem, 19 lutego, Izby powzięły uchwałę o wyznaczeniu nagród dla podoficerów i żołnierzy, rannych na wojnie, i dla rodzin poległych — uchwała połowiczna, nie wystarczająca. Przyszła bitwa grochowska; popłoch, jaki zapanował w Warszawie po dniu 25 lutego, odbił się, niestety, niekorzystnie na Sejmie, dezercya z miasta reprezentantów była znaczna. Dnia 26 lutego zapadła uchwała o komplecie najmniejszym Sejmu, który ustanowiono na 33 członków, bądź z Senatu, bądź z Izby Poselskiej (artykuł 2-gi prawa). Przedmioty obrad Sejmu w następnych tygodniach są zgoła błahe. Dopiero 28 marca wniesiony został przez Komisyę sejmową pod obrady projekt o nadaniu własności włościanom w dobrach narodowych, złożony u laski marszałkowskiej przez Komisyę Rządową Skarbu dnia 3 marca i w ciągu tego czasu, od 3-go do 28-go marca opracowywany przez Komisyę. Przez dwa posiedzenia, 28 i 29 marca, trwała dyskusya ogólna nad projektem, potem zaś przez szereg posiedzeń do 14 kwietnia włącznie — dyskusya szczegółowa nad każdym artykułem oddzielnie. Granice projektu były szczupłe — chodziło tylko o dobra narodowe, opozycya atoli była bardzo mocna. Już na pierwszych posiedzeniach podniosły się przeciwko projektowi gorące głosy; twierdzono, że projekt ten, wobec wojny, nie jest na czasie, że wprzód należałoby chłopom dać oświatę, że projekt może źle wpłynąć

na udział szlachty litewskiej i ruskiej w rewolucyi, że wśród włościan powstanie niepokój, że zaczną oni uciekać z dóbr prywatnych, że zatem zawiera ów projekt cechę nieposzanowania własności prywatnej. »Nie czas dom meblować, gdy się pali« wołał Mazurkiewicz 28 marca: »walczmy dziś za święty byt narodu, a skoro go wywalczymy, myślmy o sposobach większego usposobienia i ukształcenia ludu wiejskiego, aby był w stanie przyswoić sobie owoce, jakie z nadania mu ziemskiej posady na własność wypłyną«. Dembowski wysuwał wzgląd formalny, iż sprawa tak doniosła nie może być rozstrzygana w tak małym komplecie. Słubicki uważał, że »lepiejby odłożyć ten projekt do czasów pomyślniejszych,... bo jakże możemy rozdarowywać grunta, kiedy jeszcze nie wiemy, czy ich będziemy właścicielami«. Jeszcze lepsza była dyalektyka tych, co brali w obronę — włościan, zagrożonych w swej wolności obywatelskiej przez projekt, który wprowadza przymusową regulacyę gruntów i przymusowe oczynszowanie. »Wprowadzenie wczorajsze przypłaciłem zdrowiem« mówił o regulacyi przymusowej poseł hrubieszowski Świrski 29 marca: »bo czuję, że reprezentanci takich dobrodziejstw udzielać nie powinni, jakieby despotyzm udzielił, chyba, że zapatrzywszy się na Rosyę, idziemy w ślady Wasyla Groźnego, który Nowogrodzanów i Pskowianów dla dobra powszechnego — bo mu się tak podobało — przeniósł w inne gubernie... Albo też chcemy naśladować staropolską gościnność, która i wtenczas z przymusem traktowała winem, kiedy go kto pić nie chciał«. Takich troskliwych obrońców wolności chłopa miał Sejm 1831 roku!

Olrych Szaniecki, niezmordowany obrońca włościan w tej debacie i wróg zdecydowany hańbiącej pańszczyzny, wnosił, aby włościanin, otrzymujący dział gruntu w dobrach narodowych, nie mógł spłacać szacunku robocizną, lecz jedynie czynszem (artykuł 3-ci projektu); gdy zaś nie został poparty, żądał przynajmniej na posiedzeniu, dnia

8 kwietnia, aby włościanin, zawierający układ pańszczyzny, w zamian za grunt w dobrach narodowych, był zawieszany w używaniu praw politycznych i obywatelskich, jako człowiek, który wolność swą zaprzedaje. Zakrzyknęła szlachta sejmowa na to, iż »robota żadna nie hańbi«, przeciwko wnioskowi Szanieckiego orzekł się nawet klubista Zwierkowski Walenty, mąż zaufania Towarzystwa Patryotycznego. I nie zgodzono się na owo potępienie zasady pańszczyzny.

Prawo o nadaniu własności włościanom w dobrach skarbowych zostało w Sejmie przedyskutowane i ze zmianami przyjęte. Lecz oto dnia 15 kwietnia upłynął termin, wyznaczony nieobecnym posłom i deputowanym na przybycie do Warszawy, i gdy dnia 18 kwietnia zebrał się pełny komplet Sejmu, wówczas nowo przybyli posłowie zażądali ponownego dyskutowania projektu w rozłączonych Izbach, na następnem zaś posiedzeniu — zepchnięto tę sprawę z kolei, stawiając na porządku dziennym, na wniosek Świdzińskiego, inne, rzekomo naglejsze sprawy. Sprawa włościańska więcej już pod obrady Sejmu nie przyszła.

Barzykowski, pełen wyrozumiałości, a często i uznania dla przeciwników prawa o włościanach, przyznaje wszakże, że owo proste złożenie całej sprawy *ad acta* był to »błąd i wielki błąd«; ostrzega wszakże, aby błędu tego »nie podnosić do wysokości«, gdyż włościanie walczyli w powstaniu bez wszelkich widoków dla siebie, wiedzeni wyłącznie uczuciem narodowem. Niewdzięczna to rzecz — próbować dowodzić, że uchwała uroczysta Sejmu lub proklamacya dyktatora, radykalnie poprawiająca dolę włościan, nie podniosłaby zapału wśród ludu. Niezależnie atoli nawet od wyników powstania, jak olbrzymią doniosłość moralną miałby ten krok dla przyszłości narodu! Uchwała taka wzmocniłaby niesłychanie urok rządu i żywiołu narodowego polskiego na wszystkich ziemiach Rzeczypospolitej, przyspieszyłaby o lat kilkadziesiąt

przebudzenie ludu polskiego; rozwój przekonań demokratycznych w narodzie polskim poszedłby zgoła innym torem, gdyby był wsparty na uchwałach Sejmu czy rządu polskiego, nie zaś na pismach i manifestach Towarzystwa Demokratycznego, które zasnuwały żółcią i goryczą przeszłość narodu przed oczyma młodych pokoleń; wreszcie — pytanie, czy możliwa byłaby wówczas krwawa rzeź galicyjska 1846 roku! »Uchwałą tą uświetnimy epokę odrodzenia się naszego« wołał Olrych Szaniecki w swej pamiętnej mowie 29 marca: »A jeżeli siła przemagająca, sprzysiężenie się na zagładę naszą rozbiorców naszej Ojczyzny zniweczy uchwały nasze, ogłaszające naszą niepodległość, nasze samowładztwo Narodu, naszą wolność wyboru króla, to przecież uchwały niniejszej nawet han tatarski dotknąćby nie śmiał. Zostanie ona pomnikiem wielkiego cywilizacyi postępu. Krok ten stanie się niecofnionym. Krok ten szanowanym będzie przez samą świętość swego przedmiotu. Konstytucya 3-go Maja nie przyszła do wykonania, lecz stała się wiecznym pomnikiem chwały narodowej, chwały Czteroletniego Sejmu. Uchwała nasza równie w wykonaniu może być przerwana, ale dzieje prawodawstwa naszego, dzieje Sejmu, majestat Narodu reprezentującego, śmiało przed potomnością odsłonią swą kartę«. A przecież ten najśmielszy wśród posłów reformator nie żądał wiele, nigdy nie dopuszczał myśli o przymusowem uwłaszczeniu włościan przez jakąkolwiek władzę, bez zgody szlachty; najdalej idący projekt, jaki złożył u laski marszałkowskiej dnia 7 kwietnia, żądał »ustalenia losu włościan w dobrach prywatnych bez naruszenia własności i narażenia na straty właścicieli dóbr«; odesłany do Komisyi, projekt ten pod obrady Sejmu nie przyszedł.

Gdy Sejm puszczał w odwłokę najżywotniejszą sprawę, przeciwnik poczynał sobie tymczasem bez ogródek i wahań. 3 kwietnia / 23 marca wyszedł do prowincyi litewsko-ruskich ukaz, który na wstępie oświadcza, iż

nadzieje na wierność szlachty tych krajów zawiodły, ukazały się bandy powstańców, wobec czego postanawia się: Szlachta, która weźmie udział w powstaniu, sądzona będzie przez sądy wojskowe podług praw wojskowych i kary natychmiast będą wykonywane. Majątki szlachty będą konfiskowane, a dzieci odsyłane do Petersburga do szkół lub do wojska. Ludzie niższego stanu, biorący udział w buncie, będą odesłani do sybirskich bataljonów.

To była odpowiedź na wypuszczenie Konstantego z gwardyami i na ludzkie obchodzenie się z jeńcami. Sprawy wojskowe powstania tymczasem szły jaknajgorzej. Nieudana wyprawa na gwardye, klęska Ostrołęcka powinny były otworzyć oczy ogółu na zgubę, ku jakiej nieodwołalnie pchał sprawę Skrzynecki. Tu atoli ujawniło się w całej pełni niedołęstwo Sejmu i Rządu. Skrzynecki w pierwszej chwili przygnębienia po bitwie ostrołęckiej przysłał do rządu rozpaczliwy raport, który miał zawierać słowa: »*nous avons livré la plus honteuse bataille — finis Poloniae*«. Wkrótce jednak, gdy Rosyanie wojsk naszych nie ścigali, wódz naczelny przybył na Pragę, założył tu główną kwaterę i zaczął przemawiać wcale innym tonem; przybyłym doń członkom rządu oświadczył, że w pierwszej chwili przesadził rozmiary klęski, że nie należy upadać na duchu; przywołał do siebie senatora Gliszczyńskiego i Antoniego Ostrowskiego, przedstawił im, że wojsko stoczyło bohaterską walkę, że sprawa bynajmniej nie jest przegrana, że wkrótce działać zacznie zaczepnie przeciwko nieprzyjacielowi i prosił, aby o tem zawiadomili Sejm i mieszkańców. Znany z próżności Antoni Ostrowski, niefortunny dowódca gwardyi narodowej, połechtany takiem zaufaniem naczelnego wodza i otrzymaną misyą, zaraz udał się na połączone Izby, zażądał głosu, przedstawił tam to, co słyszał, w najpochlebniejszych dla wodza wyrazach, i — Sejm wniósł za nim z zapałem okrzyk: »Niech żyje wódz!« Ośmielony tem, Skrzynecki wystosował do Rządu wyniosłe pismo, w którem składał nań wszelką odpowie-

działność za dotychczasowe niepowodzenia i odtąd zaczął na prawo i na lewo oskarżać rząd o wszystko złe, jakie się stało. Cóż zaś wobec tego czyni Rząd? Czy, mając głębokie przekonanie własne, a także świadectwo Prądzyńskiego, nie licząc nawet głosów Umińskiego i Krukowieckiego, o nieudolności naczelnego wodza, a widząc mistyfikacyę, jaką ten odgrywa, wystąpił energicznie z odsłonieniem całej prawdy? Dajmy najlepiej głos członkowi Rządu. Biadając nad przewrotnością Skrzyneckiego i nad niewdzięcznością, jaka od niego dotknęła rząd, tak nieskończenie dlań pobłażliwy, wylicza Barzykowski błędy i winy naczelnego wodza i mówi: »Wszystko to i wiele jeszcze innych rzeczy mógł Rząd z całą słusznością Skrzyneckiemu wyrzucić. Lecz... członkowie zrobili uwagę, że choć pismo wodza rzeczy w nieprawdziwem świetle przedstawia, jednak w obecnem krytycznem położeniu nie wolno jest Rządowi swaru i nieporozumienia powiększać, owszem jedności i harmonii szukać należy«. Więc Rząd poprzestał na napisaniu do Skrzyneckiego listu, który W. Niemojowski »z wielką godnością« wygotował. Barzykowski żywi całkowite uznanie dla tej oględności rządowej. »Rząd, nakazując milczeć swoim obrażonym osobistym uczuciom, zachowując tak wiele umiarkowania, złożył dowód wysokiej dojrzałości i cnót obywatelskich«.

Tak więc terroryzm nierozumu święcił tryumfy w dalszym ciągu. Milczeli mężowie sejmowi 20 grudnia, gdy Chłopicki wyspowiadał się przed nimi otwarcie ze swej niewiary w powstanie, ze swego zamiaru toczenia układów, i przeforsowali w Sejmie uchwałę o tej dyktaturze, którą w miesiąc potem obsypywali spóźnionemi skargami i złorzeczeniami. Milczeli teraz w imię jedności i harmonii pełni umiarkowania, dojrzałości i cnót obywatelskich pentarchowie i przyłożyli się do pozostawienia jeszcze na półtrzecia miesiąca buławy w ręku człowieka, o którego nieudolności wszyscy byli

przeświadczeni, aby później w sierpniu odbierać mu tę buławę wśród gorzkich spóźnionych wyrzutów wówczas, gdy sprawa stała już beznadziejnie. Jakież to wymowne świadectwo dla jakiegoś obłąkania woli czy umysłu u tych dobrych polaków, cnotliwych obywateli, którzy z pogodnem sumieniem spychali Polskę do grobu! Jak niesłychana moc tego obłędu politycznego, jeśli Barzykowski, w wiele lat po powstaniu, z czystem sercem przytacza te fakta i nie znajduje nic prócz słów uznania dla Rządu! Rząd rozumował — pisze Barzykowski — że domagać się w danej chwili złożenia wodza nie wypada. »Tem samem Rząd wnosi, aby odpowiedź była łagodna i umiarkowana«.

Brak odwagi cywilnej, mara zwodnicza »jedności, zgody i harmonii«, która nie pozwalała widzącym jasno ludziom wystąpić śmiało, otwarcie, złe i jego sprawców nazwać po imieniu, pod pręgierz postawić, ta dżuma polityczna Rzplitej wżarła się w mózgi jej pogrobowców i przykrywała sama siebie szczelnie i ozdobnie przed ostrzem ich własnej krytyki — pozorami rzekomej szlachetności, ofiary z prywaty na rzecz dobra publicznego. »Rząd nakazał milczeć swym uczuciom osobistym« — cóż to za pomieszanie pojęć! Jakgdyby chodziło tu o jakąś zniewagę osobistą, nie zaś o zgubę narodu! Przerażający jest ten widok ludzi, którzy z pieczęcią dobrowolną milczenia na ustach i z biernością fatalistów, w odrętwieniu i melancholii wydają naród na pastwę człowieka, będącego wcieleniem małoduszności i niemocy.

I ten grabarz powstania, o duszy dziwnej, pełnej sprzeczności, wpychał powoli Ojczyznę do grobu, wznosząc pobożnie oczy ku niebu i wzywając nadaremno przy każdej uroczystej okazyi, wśród narad wojennych, imienia Boskiego, ku tem skuteczniejszemu obezwładnieniu swych krytyków, a nawet ku oczarowaniu wielu poczciwych Polaków, których ujmował pozorami bogobojnej prawości i cnoty. Do tego zaś — zachowywał mężną postawę

w boju. Bo i to obróciło się wreszcie na naszą zgubę, iż ludzie, którzy stali się grabarzami naszej sprawy, zdobywali serca rodaków temi zaletami, które działały potężnie na uczucia i wyobraźnię dobrego, religijnego i rycerskiego narodu: Chłopicki — swą prostotą spartańską, prawością i męstwem, Skrzynecki — odważną postawą na polu bitwy i uderzającą bogobojnością [1].

Ośmielony Skrzynecki zamyśli teraz o obaleniu rządu pięciogłowego, zacznie niedwuznacznie dążyć do jedynowładztwa. Te dążenia jego zbiegały się co do zasady, lecz krzyżowały — co do osoby, z wcześniejszemi krokami ludzi, którzy, w uznaniu słabych stron pentarchii, nosili się z zamiarem nadania rządowi powstańczemu, nietylko *de jure*, lecz i *de facto* formy monarchicznej. Już przy końcu kwietnia członkowie Sejmu, zwani później reformistami, w pierwszej linii Świdziński i Gustaw Małachowski, powzięli myśl zastąpienia pentarchii przez jedną osobę głowy rządu, któraby, otoczona ministrami odpowiedzialnymi, pełniła funkcye króla konstytucyjnego. Na owo stanowisko naczelne upatrzony był ks. Adam Czartoryski; pewna ilość posłów i senatorów była w plan ten wtajemniczona, w rządzie sprzyjali mu ks. Adam i Barzykowski. Teraz więc myśl reformy rządu płynęła z dwóch źródeł, z obozu zwolenników ks. Adama i z głównej kwatery. Skrzynecki obrał sobie za narzędzie osławionego posła Ledochowskiego Jana, który się był już wsławił

[1] Prądzyński odwagi wojskowej Skrzyneckiego nie stawia wysoko. »Nawet męstwo jego, które tyle wychwalano, było o wiele niższe od owej wrodzonej waleczności, która w Chłopickim tak świetnie jaśniała. Całe męstwo Skrzyneckiego było kunsztowne. Być może, iż zasługa tem większa dla niego, że umiał swoją naturę przezwyciężyć; ale dla polskiej sprawy wyniknie stąd potężne nieszczęście, albowiem odraza wodza nietylko dc boju, ale zgoła do całego życia wojennego będzie go trzymała w oddaleniu od bojów, nawet od obozów". (Pamiętniki, Tom I, strona 524). Dla szeregowców atoli, dla armii wogóle tajniki psychologii Skrzyneckiego były niedostępne, widziano jego dzielną postawę bojową i ta imponowała.

zdobywaniem szturmem, przy pomocy swego głosu tubalnego, uchwał sejmowych w wypadkach ważnych a nagłych. Dnia 31 maja wniósł Ledochowski na Sejmie, ażeby naczelnemu wodzowi i walecznemu wojsku złożyć oświadczenie wdzięczności i zadowolenia za to, że się dobrze zasłużyli Ojczyźnie i że odpowiedzieli temu zaufaniu, jakie naród w nich położył. Sejm przychylił się do wniosku Ledochowskiego i wydelegował deputacyę do Skrzyneckiego. Biskup Dzięcielski przemówił w imieniu duchowieństwa. Wojewoda Wodziński wyraził uczucia, jakiemi Izby są przejęte dla wojska i wodza. Ledochowski roztaczał pochwały przed Skrzyneckim; mówił, że wódz naczelny przez zbyteczne narażenie życia często naród w obawę wprowadza; prosił, by wódz uważał swe życie za własność narodu i mniej się narażał na niebezpieczeństwo. Przemawiał więc wysłaniec Sejmu do Skrzyneckiego, który kunktatorstwem swem pogrążył był już niemal doszczętnie kampanię, niby do jakiegoś Karola XII! Deputacyi sejmowej Skrzynecki już niedwuznacznie mówił o potrzebie zmiany rządu. Izby wniosek zmiany rządu przekazały do Komisyi. Owacye dla wodza odbywały się w dalszym ciągu; Antoni Ostrowski, przemawiając doń w imieniu gwardyi obywatelskiej, zaczął: »Dostojny wodzu, dobrych Polaków nadziejo!« Komisya wniosek swój złożyła 9 czerwca, a w nim orzekła się większością głosów za zmianą rządu i za rządem jednoosobowym. Przez trzy dni trwała w Sejmie dyskusya w sprawie zmiany Rządu [1].

Idea reformy rządu, sama w sobie słuszna, znalazła teraz przeciwników nietylko w obozie konstytucyonalistów-doktrynerów, lecz również w tej fakcyi, która od samego utworzenia rządu pięciogłowego surowo, nawet zaciekle go potępiała: Towarzystwo Patryotyczne, ze swemi orga-

[1] Projekt Komisyi wydrukowała «Gazeta Warszawska« Nr. 152 z 9 czerwca 1831 r.

nami *Gazetą Polską* i *Nową Polską*, stanęło w jednym szeregu z *Kuryerem Polskim* i fakcyą »kaliską« Niemojowskich i wytrwale broniło rządu pięciu. Za wpływem poniekąd Towarzystwa, w części zaś za własnem idąc natchnieniem, i opinia ogółu, galerya sejmu, ulica, wszystko to zgoła, co nazywano ludem w rewolucyi, było reformie rządu wrogie, manifestowało swe uczucia na galeryi sejmowej, podczas przemówień anti-reformistów, oklaskami i owacyami. Reforma była naogół niepopularna, popierało ją grono posłów, senatorów, radców stanu, których zaczęto odtąd stale odróżniać, jako — reformistów, arystokratów, dyplomatów, członków »koteryi kanapowej«.

Tłomaczy się ów objaw tem, że myśl reformy, poza stroną rzeczową — naprawą machiny rządowej, miała i stronę partyjną polityczną. Zwolennikami jej okazali się ludzie, nietylko odczuwający potrzebę rządu sprężystego, lecz zarazem mniemający, że skład osób w obecnym rządzie źle wpływa na sprawę rewolucyi, szkodliwy mianowicie jest udział w rządzie Lelewela, znanego z przekonań skrajnych; rządowi takiemu, według mniemania reformistów, rządy Europy tembardziej nie ufają i nie chcą podać dłoni, rząd podobny nie może rozwinąć należytej energii w poskramianiu swawoli druku pism skrajnych, toleruje objawy demagogii, nie akcentuje wyraźnie barwy monarchicznej. Reformiści zatem, zamiast poprzestać na udowodnieniu słabości i niedołęstwa rządu pięciogłowego, wystąpili jeszcze ze stanowiskiem stronniczem i do tego mocno utopijnem, przypisując obojętność rządów Zachodu rzekomemu jakobinizmowi powstania i jego rządu.

Stanowisko to reformistów odrazu popchnęło Towarzystwo Patryotyczne na stronę przeciwników reformy. Wśród szerszego ogółu reformę bardziej jeszcze dyskredytowała osobistość ludzi, których wysuwano, jako kandydatów, na stanowisko głowy rządu. Skrzyneckiego nie bez racyi pomawiano o większą skłonność do układów, niż do wojny, Czartoryski również, dzięki swej przeszło-

ści, pierwszym krokom w rewolucyi, swej późniejszej miękkości wobec kunktatorstwa Skrzyneckiego, stałemu od objęcia rządów oddaniu się pertraktacyom dyplomatycznym, nastręczał przypuszczenie, iż objęcie rządów osobistych wyzyskałby głównie dla prowadzenia układów z nieprzyjacielem. Zwycięstwo reformistów rozumiano, jako niechybną represyę przeciwko Towarzystwu Patryotycznemu i wszystkim tym, którzy głosili potrzebę walki do upadłego i popierali radykalną reformę włościańską, czyli, jak mówiono, »rewolucyę socyalną«, po zwycięstwie tem oczekiwano — układów z Rosyą i kapitulacyi powstania. Jeśli zaś kto wątpił o tem, zamykano mu usta odstraszającem wspomnieniem jedynowładztwa Chłopickiego, które wszak polegało głównie na tłumieniu zapału i opozycyi, na bezczynności wojennej i korespondencyach z Petersburgiem. Reforma — oznaczała, w rozumieniu powszechnem, układy, zaś, jak stwierdza nawet reformista Barzykowski, »w czasie całego naszego powstania, przez nieodgadnięte jakieś pojęcie, czy instynktem, wyraz układy równał się wyrazowi zdrada«.

Podczas obrad nad zmianą rządu zwolennicy reformy, jak Ledochowski, Świdziński, Gustaw Małachowski, nietylko wykazywali niedołęstwo rządu pięciogłowego, lecz i wytaczali względy polityczne. Świdziński, naprzykład, kładł nacisk na to, iż wobec równoważących się dwóch stronnictw w rządzie: Czartoryski i Barzykowski contra Niemojowski i Morawski, — głos decydujący ma Lelewel, który wyznaje zasady republikańskie, przeciwne tym, na jakich rząd się opiera; wszyscy uderzali na tę nieufność i obawę, jaką taki rząd budzi zagranicą. Mowy anti-reformistów, jak świadczą spółczesne pisma i pamiętniki, przyjmowane były z zapałem, rozchodziły się głośnem i szerokiem echem po mieście. Przyznać atoli trzeba, że wówczas, gdy bronili rządu pięciogłowego, jako rządu rzekomo dobrego, argumenty ich były wątłe i jakby wymijające istotę rzeczy. Wojciech Wołowski, adwokat doświadczony,

w zręcznej mowie wysnuwał argumenty formalne jedynie, w rodzaju naprzykład tego, iż skoro wypada usunąć jednego z członków rządu (t. j. Lelewela), Izby Połączone władne są to uczynić, nie należy atoli ukuwać z powodu rzekomej szkodliwości jednego członka broni przeciwko samej formie rządu, która jest dobra, zresztą, cóż to za zarzut przeciwko komuś, iż jest członkiem Towarzystwa Patryotycznego, wszak Towarzystwo to nie jest prawem zakazane i t. p. Olrych Szaniecki w mowie, którą *Nowa Polska in extenso* 13 czerwca wydrukowała, operował nietyle przekonywającemi, ile popularnemi argumentami, wywołując, naprzykład, wielki a tani efekt na galeryi wyszydzaniem »sprężystych« rządów: »Nikt nie zaprzeczy, że był sprężystym ministrem książę Lubecki, a jeszcze sprężystszym samowładcą był W. Xiążę Konstanty. Cóż poszło za tem? oto natężone sprężyny pękły, a ludzie sprężyści stali się przedmiotem nienawiści i przyczyną zguby swego sprężystego rządu... Niech tylko jednowładny rządca zacznie być sprężystym, niechaj ograniczy wolność druku, niechaj zamyka towarzystwa jawne: a wkrótce będzie musiał zaprowadzić policyę tajną i napełniać więzienia jej ofiarami... Jeżeli mamy poddać się znowu jednemu, obierzmy lepiej od razu króla, lecz nie małpujmy króla«.

Posłowie, zbliżeni do obozu radykalnego, tembardziej zaś publicyści *Nowej Polski* i *Gazety Polskiej*, broniąc obecnego systemu rządów, opartego na Sejmie i Pentarchii, znajdowali się w rażącej sprzeczności z dawnemi wystąpieniami. Organ »koteryi kanapowej« *Polak Sumienny* wytykał im to w obszernym artykule: »Niebezpieczne stronnictwo« (Nra 165, 166, 167 z 1831 roku). »*Nowa Polska* okazała się organem stronnictwa tem niebezpieczniejszego, że działa nieszczerze, przewrotnie, po machiawelsku... Dawniej Sejm wydawał się jej leniwym i odrętwiałym, nie śmiejącym nawet wyraźnie wyrzec detronizacyi Mikołaja, Reprezentanci Narodu nie mieli, podług niej, ważnych

mandatów, Rząd wydawał się ślepym, kulawym, bezwładnym. Dziś... *Nowa Polska* uważa wszystko za najlepsze i w Sejmie i w Rządzie«. Istotnie, obawa tryumfu reformistów, wyraźnie wrogich Towarzystwu Patryotycznemu, dyktowała *Nowej Polsce* panegiryczny, niesmaczny, w zestawieniu z jej dawnem stanowiskiem i tak nie licujący z radykalnym programem pisma ton odezwań o sejmie i rządzie. Dnia 3 czerwca pisze: »Sejm nasz dał niezaprzeczone dowody przezorności, swego politycznego umiarkowania. Żadnej opinii nie dał wyłącznej przewagi. Drażliwość zdań łagodził i nieprzyjazne jednoczył zasady, w tem najroztropniejszy, że nie naruszając wolności zdań i opinii, przez obywatelstwo swoje nieskazitelne, nie dawszy władzy żadnemu stronnictwu, uprzedza, niszczy domowe nieporozumienia, utrzymuje jedność«. Podobna pochwała na szpaltach radykalnego organu wygląda bardzo szczególnie. Dnia 8 czerwca, w wigilią debaty sejmowej o reformie, *Nowa Polska* nazywa Sejm »aniołem opiekuńczym Polski«.

Zarzuty niekonsekwencyi spotkały i Szanieckiego, ten zaś po adwokacku, tłomaczył się tem, że »stałość charakteru okazuje się jedynie w dążeniu do dobrego: *ut sit bene patriae*«, a oprócz tego — »*sapientis est mutare consilium in melius*«. Na mocniejszym zato gruncie stał Szaniecki, gdy krytykował naiwną tezę reformistów o konieczności przystosowania naszego rządu do upodobań zachowawczych gabinetów zagranicznych: »Mamyż w nich pomoc? Cóż ich obchodzi krew nasza!« wołał: »Jeżeli posłuży szczęście naszemu orężowi, jeżeli panowanie cara upadkiem zagrożone ujrzą, wtenczas pospieszą one z interwencyą swoją, lecz nie dlatego, ażeby nas zbawić, ale ażeby jego ocalić«. Najtrafniej i najskuteczniej działali ci mówcy, którzy wprost przechodzili do kwestyi osób, ukrywającej się poza kwestyą reformy rządu. A więc Dominik Krysiński wyraźnie oświadczył, że gdy w naturalnym stanie rzeczy należy postępować od zasad do osób,

w danym przypadku, przeciwnie, iść należy od osób do zasad; że zaś nie widzi człowieka, któryby do najszlachetniejszych uczuć, do najpiękniejszego charakteru prawdziwego Polaka, do obszernych wiadomości i do wzniosłej pozycyi towarzyskiej łączył sprężystość, energię i gruntowną znajomość ludzi, przeto nie może oświadczyć się za zmianą rządu [1].

Niemojowski zaś Bonawentura wprost przywiódł na pamięć powody, jakie skłoniły dawniej generała Chłopickiego do objęcia dyktatury, a mianowicie, nieufność do rewolucyi i chęć zdradzenia sprawy narodu w zmowie z księciem Lubeckim, i twierdził, że i w obecnym przypadku podobne przyczyny mogą jedynie te same rodzić żądania. Te głosy trafiały w sedno sprawy i one pewnie głównie rozstrzygnęły o losach projektu; 11 czerwca Izba Poselska wniosek o potrzebie zmiany rządu odrzuciła większością 42 przeciwko 35 głosom. Większość sejmowa, a wraz z nią pisma: *Gazeta Polska*, *Nowa Polska*, *Kurjer Polski* tryumfowały. *Nowa Polska* zamieszcza 11 czerwca artykuł pod tytułem: »Projekt zmiany rządu jest dziełem Meternicha i Mikołaja«. Nie wesoły to jednak był tryumf. Przy dyskusyi obnażono wszelkie wady rządu pięciogłowego; głównym argumentem za jego utrzymaniem była nieufność do osób, które miały zająć miejsce głowy rządu. Niesłychanie smutny to moment, gdy żarliwi patryoci odrzucali jedynie zbawczą formę rządu powstańczego — jedynowładztwo, pod wpływem obawy, opartej, niestety, na doświadczeniu dyktatury i nasuwającej lęk, że głowa rządu użyje swej władzy na sparaliżowanie powstania. Pozostał więc rząd słaby, tembardziej obecnie wewnątrz osłabiony, że dwaj jego członkowie byli stronnikami reformy, czyli przeciwnikami ciała, w którem zasiadali, a nazewnątrz również zachwiany, gdyż obecnie wyszły już

[1] Wyliczając te zalety i braki, miał Krysiński na myśli przedewszystkiem, oczywiście, księcia Czartoryskiego.

bez obsłonek na jaw błędy i wady rządu i rozterka wśród własnych jego członków. To też w owej tak głęboko tragicznej dla narodu chwili, w dni kilkanaście po srogiej klęsce ostrołęckiej, optymizmem niewczesnym i dziwną lekkomyślnością wieje od tych głosów, tryumfujących z powodu upadku reformy, od pism ówczesnych, tchnących pustem, płonnem zadowoleniem ze zwycięstwa jednej fakcyi nad drugą, przepełnionych słowami uznania dla dzielnych naszych mówców sejmowych. W świetle dalszego niedołęstwa, klęsk następnych i rychłego upadku sprawy przykre, smutne wrażenie wywierają te tryumfy. »Publiczność uwiadomiona o skutku kreskowania« czytamy w *Nowej Polsce* 11 czerwca: »wśród najgłośniejszych oklasków wołała: niech żyje Sejm! Głosy pp. Świrskiego, Wołowskiego, Zwierkowskiego, Szanieckiego i Krysińskiego dowiodły, że Polska ma i mieć będzie swoich Foxów, Broughamów. Biada ktoby śmiał podkopywać wolę Sejmu!« Jak daleki był już wówczas duchem Mochnacki od tych krótkowzrocznych, papierowych radykałów! Nie o Foxach i Broughamach wówczas myślał on, lecz już tylko o »cnotliwym Kromwelu«, któryby ojczyznę żelazną wolą wydobył z toni.

Łatwo wyobrazić sobie, jaką dumą napełniły kunsztowne, potoczyste oracye sejmowe organ klasyków parlamentaryzmu, panów Wincentego i Bonawentury. Dnia 12 czerwca *Kurjer Polski* po radosnem stwierdzeniu zwycięstwa pisze: »Pod każdym względem wysoko postąpiliśmy w życiu publicznem. Z obojej strony objawiły się talenta i śmiało możemy powiedzieć, że trzy ostatnie sessye mogą iść w porównanie z najsławniejszemi posiedzeniami angielskich i francuskich parlamentów«.

Zapomnieli o grozie położenia ci dobroduszni Polacy, wsłuchani w mowy swych posłów. — »Wieszczyckiego wyrażenia: »Nie zmiana Rządu doprowadzi nas do świętego celu i wydźwignie z niedoli, ale ten Bóg, który cudownie kieruje każdym naszym krokiem, który nam dał

tyle zwycięstw, który i dziś opuszczone i zostawione sobie łany nasze nadzwyczajnym i niepamiętnym zaprawia urodzajem« mocno wzruszyły słuchaczów« — notuje tenże *Kurjer Polski*[1].

I jakże nie mieli zginąć w walce ze srogim przeciwnikiem ci dobroduszni, serdeczni Polacy, walczący za wolność swych wrogów i własną, na placu boju mężnie patrzący w oczy śmierci, lecz nie umiejący zakuć swego zapału w stal czynu zbiorowego, mający łzy wzruszenia w oczach przy lada słowie poczciwem, bogobojnem, a przecie tchnącem taką herezyą przeciwko Ojczyźnie, bo składającem na Opatrzność to, co powinni byli zdziałać ludzie. Tenże poseł Wieszczycki przy debacie włościańskiej oponował przeciwko wnioskowi Szanieckiego o zniesienie pańszczyzny; tak to w tych duszach szlacheckich poczciwość, bogobojność splatała się z nałogiem średniowiecznym, z patryarchalną zatwardziałością.

Maurycy od lutego był przy armii. Wstąpił, jako prosty szeregowiec, do pierwszego pułku strzelców pieszych; idąc do wojska, nie taił się z tem, że wojny nie lubi, »prochu nie cierpi«, szedł w imię surowego poczucia obowiązku, uchodząc z sejmikującej Warszawy. Pod Wawrem dnia 19 lutego odznaczył się męstwem, o czem doniosły gazety, otrzymał ranę w prawą nogę i kontuzyę w ramię. Kamil Mochnacki, wówczas porucznik w tym samym pułku, również raniony w rękę, odszukał rannego brata na polu bitwy i razem dostali się na Pragę. Po odbyciu lazaretu, Maurycy znów wraca do szeregu, już jako podporucznik, uczestniczy w wielu potyczkach, i wreszcie otrzymuje ciężkie rany pod Ostrołęką[2]. We-

[1] Literalne brzmienie mowy Wieszczyckiego było nieco odmienne, sens ustępu, atoli, w »Kurjerze Polskim« oddany wiernie.

[2] Jak sam później w liście do Komitetu Narodowego na emigracyi wymienia, bił się pod Liwem, Przetyczą, Długosiodłem, Nadbo-

dług informacyi, skreślonych podług świadectw lekarza, który doglądał Maurycego w chorobie, kula karabinowa uderzyła z boku z prawej strony w sam środek pleców, pod kość pacierzową, odskoczyła od kości, wpiła się z drugiej strony stosu pacierzowego, przeszła pod żebrami, wyleciała bokiem pod pachą i nakoniec przeszyła lewe ramię; ciężko ranny, przywieziony został do Warszawy i tu leczył się przez długi czas w lazarecie. Za męstwo otrzymał złoty krzyż *virtuti militari*.

Na parę tygodni obecnie choroba przykuła go do łóżka, organizm otrzymał cios, po którym już się nie poprawił, zdrowie było szarpnięte, życie skrócone. Po przyjściu do jakich takich sił znów zanurzył się w wirze wypadków. Dwie sprawy kapitalne zastał już rozstrzygnięte, sprawę włościańską i reformę rządu. Pierwsza została pogrzebana, Mochnacki już więcej w czasie powstania nie wracał do niej, czuł zbyt dobrze, że chwila była już zbyt groźna na wszczynanie tej ciężkiej sprawy. Sprawa zaś reformy rządu, rozstrzygnięta oficyalnie wówczas, gdy on znajdował się między życiem a śmiercią, owładnęła jego umysłem ze zwykłą temperamentowi jego gorączką, gdy tylko schorzałe po strasznych ranach ciało pozwoliło mu zebrać jako tako myśli.

Aby zrozumieć dalsze kroki, a nawet i pojąć przyszłe błędy Mochnackiego, nie trzeba spuszczać z uwagi, że w duszy jego pozostał teraz ślad trwały niezatartych wrażeń bojowych. Wrażliwą naturę jego owionął czar walki bohaterskiej; atmosfera trudów, niebezpieczeństw, bojów o wolność ojczyzny porwała go swym potężnym urokiem. Ślad tego »oczarowania sakramentem bojowym« pozostał w jego dziełach, rad przeciwstawia przy lada okazyi niedołęstwu naszych polityków dzielność polskiego żołnierza.

---

rami, Kościelcem, Ostrołęką (list ten zamieszczony będzie w całości niżej w rozdziale o emigracyi). Porównaj — relacya Podczaszyńskiego: Dzieła Mochnackiego. Listy, str. 297 (wydanie 1863 roku).

»Godni pożałowania statyści, jakże wielkimi byliśmy w bojach«. — »Nigdzie i nigdy w żadnem pamiętnem zdarzeniu tak krótkie chwile, jak u nas, nie przedzielały większego zawrotu głowy w polityce od większej chwały na placu bitew«.— »Lecz proch armatni ma w sobie jakąś moc uzdrawiającą i powiększającą. Te chyby, drobnostki, ułomności sejmowego ustawodawstwa piechota polska na chwilę sprostuje. Ta wyborna, z niczem niezrównana piechota nawet karłom powstania nada na chwilę proporcye kolosalne«. — Oto znamienne zdania, rozsiane po jego pismach.

Gdy znalazł się napowrót w Warszawie i po ciężkiej chorobie zaczął przychodzić do siebie, znalazł jeszcze większą odległość pomiędzy sobą a gronem klubistów, które był już od lutego opuścił. Do lekceważenia dla nicości politycznej Towarzystwa Patryotycznego, które »prawiło o plotkach, było śmieszne, nadęte, świegotliwe«, dołączyła się teraz odraza żołnierza-bohatera do ludzi, którzy woleli bezczynnie przegadać całą rewolucyę, niż iść do boju, którzy darzyli uznaniem, posłuchem figury, wyraźnie uchylające się od służby wojennej i przez władze wojskowe piętnowane, jak Krępowiecki. Od początku rewolucyi wyczuwał Mochnacki instynktem potrzebę sprężystej władzy, przypominającej Komitet Ocalenia z czasów Wielkiej Rewolucyi. Ten trafny instynkt, obecnie, po tylu doświadczeniach, po ujawnieniu smutnych skutków słabości władzy powstańczej, wystąpił u niego z tem większą mocą i jasnością; gwarne, kłótliwe koło poselskie, niedołężna wielogłowa monarchia — były w jego oczach parodyą dzielnego rządu rewolucyjnego; bohaterska jego natura, kochająca się w zjawiskach potężnych i w potędze władzy kierującej widząca jedyne ocalenie sprawy, mogła marzyć jedynie albo o rządzie jakobińskim — o dyktaturze ludowej, albo o władzy cezara — o dyktaturze wojskowej. Gdy zaś doświadczenie wykazało, że władza z ludu była w Warszawie niepodobieństwem, wszystkie myśli jego i pragnienia zaczęły przemawiać gwałtownie za dy-

ktaturą wodza. Z początku oczy jego zwróciły się na Skrzyneckiego, później na Krukowieckiego. Skrzyneckiego opinia militarna była wprawdzie mocno zachwiana wśród starszyzny wojskowej, a za sprawą głównie Prądzyńskiego zdanie o jego nieudolności rozpowszechniało się i wśród szerokich warstw ogółu. Mochnacki, atoli, jako żołnierz, potem zaś oficer podrzędny, nie mógł tak jasno oryentować się w działaniach wodza naczelnego; jakkolwiek, od wyprawy na gwardye, szczególnie wśród armii kiełkowało wyraźnie niezadowolenie z prowadzenia kampanii, jednakże w kwaterze głównej umiano spędzać winę i odwracać uwagę to na generałów podkomendnych, to na rząd warszawski, źle, jakoby zaopatrujący wojsko. Skrzynecki zaś na tych, którzy słabości jego nie przenikali, wywierał wrażenie korzystne, na podwładnych wojskowych — nawet czarujące swą piękną postawą wojskową i swem męstwem w boju. Tą swoją postawą marsową pod Grochowem podbił całkowicie, onego czasu, Barzykowskiego i wszystkich tych, którzy swe kreski wówczas za nim dali. Żołnierzom Ostrołęki w pamięci stała nie opłakana figura wodza, gnuśnego, bitwę zasypiającego, lub potem po klęsce bezradnego, upadłego na duchu, bo to oblicze wodza znane było tylko starszyźnie i najbliższemu otoczeniu; oni, prosta wiara, w pamięci mieli wspaniałą postać Skrzyneckiego, stojącego jak mur w strasznym ogniu, wśród gradu pocisków, wśród piekielnego huku dział; że w owej chwili dramatycznej wydawał najbezmyślniejsze rozkazy, o tem także albo nie wiedzieli, albo pamiętać nie chcieli oczarowani męstwem hetmana żołnierze. Czar ten, wiejący od hetmańskiej postaci, spłynął i na Maurycego i zaćmił jego przenikliwość; później, gdy po ostrołęckich ranach leżał ciężką złożony niemocą i marzył w gorączce o bitwach stoczonych, figura wodza naczelnego w tych snach żołnierza i drogich wspomnieniach zajmowała miejsce naczelne, środkowe i jasne. W tych chwilach moc rozumowania chłodnego w nim osłabła, z tem wię-

kszą zaś siłą działała imaginacya. Wszak jeszcze na emigracyi, gdy Mochnacki dawno już przejrzał nicość Skrzyneckiego, wyrywały mu się słowa, odbijające wspomnienie owego oczarowania żołnierskiego: »W wejrzeniu tego człowieka było coś, co mu jednało wiarę poczciwych ludzi. Tak zdawał się natchniony, kiedy prowadził bataliony nasze w morderczy ogień pod Ostrołęką! kiedy zdobywał olszynę pod Grochowem, kiedy swój rapport pisał z pod Dobrego. Osobiście był to żołnierz nieustraszony i pobożny«.

Mochnacki szybko odczuł tę dwoistość, połowiczność w działaniu władz i w całej atmosferze powstania, jaka zapanowała po upadku wniosku reformy rządu. Zwyciężyła większość sejmowa, z doktrynerami kaliskimi na czele, wsparta przez Towarzystwo Patryotyczne, zwycięzcy atoli odrazu zasnęli na wawrzynach, Skrzyneckiego nie usunęli, w rządzie pozostawili członków, zwolenników reformy, zatrzymali się na pół drogi i stanęli. To samo Skrzynecki; popierał on wyraźnie, nawet inspirował reformę, twierdził, że rząd dotychczasowy udaremnia wszelką jego akcyę, gdy więc reforma upadła, powinien był albo ustąpić, albo zdecydować się na zamach stanu, na 18 brumaire'a; Skrzynecki nie uczynił ani jednego, ani drugiego, wybrał również półśrodek, został poprostu przy dowództwie, obok niechętnego jemu i dla niego również niemiłego rządu. Takie połowiczne położenie dla radykalnego umysłu Maurycego przedstawiało się, jako złe największe. Nieufność i rozterka w łonie samego rządu, rozdwojenie w sejmie, rozdźwięk między władzą cywilną a wojskową: w tej dusznej atmosferze powstanie może jedynie wegetować, musi karleć, schnąć; więc myśl Mochnackiego szuka wyjścia i widzi je jedynie w zamachu stanu ze strony naczelnego wodza.

Tę myśl Skrzyneckiemu podsuwał; czynił to za pośrednictwem Jędrzeja Horodyskiego. Zetknięcie Mochnackiego z Horodyskim nastąpiło jeszcze w czerwcu; w roz-

mowach ich padły owe słowa o »cnotliwym Cromwell'u«, który powinienby rozpędzić nasz parlament długi. Przez brata Kamila i zażyłych z nim podchorążych zaczął prowadzić propagandę w wojsku na rzecz Skrzyneckiego. Mochnacki w pismach emigracyjnych potwierdza te swoje ówczesne zabiegi. Przyznaje, iż po bitwie ostrołęckiej w zapasach z energicznym absolutyzmem potrzeba było albo dyktatury z ludu, albo z wojska. Pierwsza była utopią w Warszawie, dyktatorem z wojska mógł być Skrzynecki. »Dość było dwóch batalionów piechoty do zawojowania w jednej godzinie całego nieładu naszego powstania, to jest Izby, gdzie od początku do końca strach nie małych rzeczy dokazywał, Towarzystwa Patryotycznego, gdzie nie było ani jednego Kilińskiego, ani jednego Kapostasa, i druku, który popełnił zbrodnię stanu, broniąc rządu najszkodliwszego, bo słabego i niezgodnego z samym sobą«. Mochnacki ma nawet tytuł, uzasadniający taką uzurpacyę: »Odsadzając od steru ciało prawodawcze, które rewolucyi nie zaczęło, oświadczając narodowi, że sejm czteroletni, którego działania zawieszone tylko zostały, znowu je rozpocznie po odzyskaniu niepodległości..., byłby tylko to uczynił w czerwcu albo w lipcu, czego Wysocki nie mógł uczynić 29 listopada«. »Prawdziwi przyjaciele naczelnego wodza, ci, co nie nadskakując Skrzyneckiemu, widzieli w nim człowieka potrzebnego ojczyźnie, nie zaniedbali nawet po bitwie ostrołęckiej żadnej sposobności, żeby go nakłonić do tego stanowczego kroku. Odwołuję się do pana Horodyskiego i niechaj powie, jakie usiłowania czyniono w tej mierze, jakie warunki podawano naczelnemu wodzowi«. A oto wspomnienie o oddziaływaniu na Skrzyneckiego za pośrednictwem bohaterów 29 listopada: »On, prawdziwy syn rewolucyi, wódz z pułkownika, on, który mógł tak łatwo zostać po Napoleonie największym człowiekiem w Europie, działając podług tej maksymy, że istotnie znakomitymi ludźmi naszego powstania byli podchorążowie Wysockiego, po-

rucznicy i żołnierze 18, 19 i 25 lutego, wolał chcieć być tylko wielkim panem! Gdy jeden z jego adjutantów Ludwik Nabielak wystawiał mu w tej porze potrzebę nagłego rozwinienia wszystkich rewolucyjnych elementów w narodzie i w wojsku, Skrzynecki rzekł po krótkiej chwili namysłu: nie! już jest zapóźno, obrałem inną drogę«.

Trzeba było całej prostoty duszy młodych bohaterów, aby namawiać Skrzyneckiego do oparcia się na szarej młodzi wojskowej. Dusza Skrzyneckiego przeżarta była rdzą parweniuszostwa politycznego i towarzyskiego; z pułkownika wódz naczelny, niecierpliwie rwał się do subtelnej gry olimpu politycznego, — redagując naiwne noty dyplomatyczne przy pomocy pana Jędrzeja; z prozelityzmem parweniusza przestrzegał komfortu wielkopańskiego w obozie; przesądy, śmiesznostki i próżność spętały tę słabą naturę [1]. W tych naturach polskich listopadowej doby spotykamy nieraz niepojętą na pozór rywalizacyę podniosłych cnót i przywar poziomych. Szlachta gotowa nieść swe życie, a niemniej i mienie osobiste w ofierze dla ojczyzny, a jednocześnie tak dziwnie skąpa i zazdrosna o tę cząstkę praw i korzyści, jakiej nie chciała ustąpić na Sejmie na rzecz chłopów. Chłopicki, uparcie chowający w duszy prywatę, pychę, obrazę — jeszcze nawet na placu boju, tak mały w tej swojej ślepej zawziętości i drażliwości na rzeczy błahe w chwilach wielkich, a jednocześnie tak potężny swą odwagą, zapałem, natchnieniem, pogardą śmierci — gdy jest na placu boju. Skrzynecki śmieszny wygodniś i sybaryta, naradzający się nad przyprawą obiadu lub wygodnie wysypiający się w krytycznych godzinach kampanii, za chwilę zbudzony hukiem dział stoi nieustraszony w największym ogniu. Młodzi bo-

[1] »Urodzony w Galicyi z rodziców ubogiej szlachty, chorował całe życie na pana. Jest to choroba, która narodowi polskiemu więcej złego zrobiła, niż zrobić może cholera« — mówi z powodu Skrzyneckiego Prądzyński (Pam. Tom I. strona 520).

haterowie, w których duszy gorzał ciągle czysty płomień, pojąć tego nie mogli, że w duszy tego walecznego wodza, który szedł na czele żołnierzy śród gradu kul zdobywać olszynę grochowską, z chwilą, gdy ustawał bój i jego gorączka, gasły święte ognie, przysypywał je nanowo szary popiół słabości, małych intryg, śmiesznych drobnostek.

Uległ więc Maurycy pomyłce. Zresztą, znając przenikliwość jego, która pomimo wszystkiego nie mogła zamilknąć i w owym czasie, napewno rzec można, że stykając się z Horodyskim, odczuł całą odległość, jaka dzieliła jego i cały świat jego pragnień, nadziei i poglądów od Skrzyneckiego i Horodyskiego. Po pierwsze, jednak, był to jeszcze wciąż ten sam Mochnacki, ufny w swą gwiazdę, ten sam entuzyasta, który próbował nawrócić na swą wiarę Lubeckiego, sądzący i teraz, że jego proste, jasne myśli zdejmą wreszcie bielmo z oczu chwiejnego wodza; oprócz tego, instynktem psychologa liczył na miłość własną Skrzyneckiego; po dokonanym zaś fakcie, mniemał, oprze się Skrzynecki na tych ludziach, którzy go do stanowczego kroku nakłonili, otoczy się ludźmi rewolucyjnymi, da ucho jego, Maurycego Mochnackiego, radom, chwyci rządy silną dłonią, w sprawach zaś wojskowych ulegnie radom genialnego strategika a dawnego spiskowca Prądzyńskiego. Nie ma potrzeby dowodzić, że gdyby nawet Maurycemu udało się namówić Skrzyneckiego do zamachu stanu i zamach ten udał się, kunktator-dyplomata użyłby swego jedynowładztwa na to, aby teraz już stanowczo zamknąć usta wszelkim natrętom, popychającym go do bitew, i rozwinąć pod baldachimem swej dyktatury w całej pełni system rokowań dyplomatycznych z Zachodem i układów z nieprzyjacielem. Opór Skrzyneckiego oszczędził Maurycemu tym razem tego przykrego doświadczenia, jakie miał jeszcze przebyć na osobie Krukowieckiego.

Tymczasem, powstanie chyliło się do upadku. Skrzy-

necki do 15 czerwca siedział bezczynnie w Warszawie, potem przedsięwzięto ową nieszczęśliwą wyprawę na Rüdigera, źle pokierowaną przez naczelnego wodza, źle wykonaną dzięki fałszywemu alarmowi Ambrożego Skarzyńskiego — i nieudolności generałów Jankowskiego i Bukowskiego. To niesłychane wypuszczenie korpusu rosyjskiego, który, będąc otoczony przez przeważające siły polskie, powinien był zostać zniesiony ze szczętem, tymczasem zaś, wymknął się, przyprawiając nawet o straty Polaków, dopełniło miary cierpliwości ogółu — lecz nie Sejmu i Rządu. Rozległ się szeroko okrzyk: zdrada! Skrzynecki dla odwrócenia od siebie oburzenia publicznego wyznaczył sąd na Jankowskiego i Bukowskiego, których aresztowano; zaczęły się rozchodzić pogłoski o spisku kontrarewolucyjnym, władze dolewały oliwy do ognia, zarządzając aresztowania, prowadząc aresztowanych w biały dzień 29 czerwca przez miasto, a w ich liczbie domniemanego członka spisku przeciwko powstaniu, znienawidzonego za czasów W. Księcia komendanta Zamościa generała Hurtiga z mieszkania przy ulicy S. Jerskiej do aresztu przy Zamku, co wywołało wielkie zbiegowisko na ulicach Warszawy i groźne wzburzenie tłumu; zaledwie udało się gwardyi narodowej ocalić Hurtiga przed wściekłością ludu. Ks. Adam musiał uspakajać wzburzone tłumy obietnicą ustanowienia sądu na winnych w przeciągu 24 godzin, zaburzenia ucichły, lecz znać było, iż kunktatorstwo, bezczynność potworna i dezorganizacya powstania, zbliżanie się wreszcie nieprzyjaciela do Warszawy — rodzą nastrój powszechnego niepokoju, rozstroju, rozpaczy. Dziwnie chwiejny, małoduszny Rząd nie poparł nawet większością głosów zdania W. Niemojowskiego, aby sprawę postępowania wodza naczelnego przenieść przed forum sejmu, poprzestał na napisaniu do Skrzyneckiego listu.

Tymczasem, miejsce zmarłego Dybicza zajął Paskiewicz, Rosyanie zaczęli gotować się do przeprawy przez Wisłę i oto Skrzynecki, niesłychanym chyba w dziejach

wojen sposobem, nie stawia żadnych przeszkód do przeprawy nieprzyjaciela przez rzekę Wisłę, tuż obok posiadanej przez Polaków twierdzy Modlin, nie atakuje przeciwnika przy tej niezmiernie dlań niebezpiecznej przeprawie, nie próbuje nawet burzyć mostów, wbrew oczekiwaniom i wielkim obawom Rosyan; czyni zaś to Skrzynecki rozmyślnie, dowodzi, że wyprawa ta będzie dla Rosyan krokiem bardzo hazardownym, powołuje się nawet na niestosujące się, oczywiście do danego wypadku, zdanie Napoleona... Rosyanie, korzystając z jawnej pomocy Prus, jaknajspokojniej odbyli tę ryzykowną przeprawę, stanowiącą krok przełomowy w losach powstania, i dopiero wówczas Skrzynecki, spostrzegłszy, jak i przy wyprawie na gwardye, że błąd ciężki popełnił, jął słać do króla pruskiego protesty o pogwałcenie neutralności, na które, oczywiście, monarcha pruski nie raczył nawet odpowiadać. A więc pan Andrzej Horodyski, spełniając polecenie wodza, słał w imieniu Rządu Narodowego memoryał do gabinetu berlińskiego. »Odzywamy się do rozsądku, do ustaw prawodawstwa narodów i do opinii najsłynniejszych publicystów, takich jak Hugo Grotius, Puffendorf, między dawniejszymi, a Mably, Schmaltz, Vatel, pomiędzy nowszymi«, pisano w tym pracowicie ułożonym elaboracie: »Nie potrzeba ich zapewne cytować wszystkich w wypadku, tak małe wątpliwości przedstawiającym, nie przytoczymy też nic więcej, niż to, co mówi Grotius w swoim: *De iure belli et pacis* w księdze III., rozdz. XVIII., art. 3, *de his, qui in bello medii sunt«*. Wódz powstania, przepuściwszy bez wystrzału nieprzyjaciela przez Wisłę, walczy teraz zabójczemi cytatami z Grotiusa! Próbowano zachęcić Skrzyneckiego do powetowania choć w części strasznego błędu przez atakowanie korpusów rosyjskich, które pozostały odosobnione we wschodniej części Królestwa, cóż jednak mogło wyniknąć pod tak niedołężnym wodzem, jak nie nowa konfuzya: wyprawa na Gołowina.

A cóż Rząd wobec tego wszystkiego? Posłuchajmy

głosu Barzykowskiego: »Aby rzeczy nie pogorszyć, wiele uchybień milczeniem pokrywać musiano, i teraz, lubo Rząd nie był zadowolony z oświadczeń wodza (tj. tłomaczeń z powodu przepuszczenia nieprzyjaciela przez Wisłę), jednakże do żadnych ostateczności przystąpić nie zamierzył. Owszem, ograniczył się tylko na wezwaniu, aby wódz wskazał wcześnie Rządowi środki, jakie do dalszych operacyi wojennych za potrzebne uzna, z dołączeniem ostrzeżenia, że dalsza jego nieczynność smutne skutki wywołać musi«. Rząd nie zamierzał przystąpić do żadnych ostateczności, rząd jeszcze traktuje ze Skrzyneckim o dalszych operacyach! Czy może poseł ostrolęcki na emigracyi po latach refleksyi znalazł przynajmniej słowo nagany dla Rządu, bynajmniej: »Postępowanie Rządu na pozór może być uważane za zanadto umiarkowane, za miękkie, słabością trącące: w istocie zaś było trafne i skutek to zatwierdzi«. Jakiż to skutek, czy bolimowski sejmik?

Teraz, jednak wreszcie nawet mężowie kaliscy w Sejmie okazali się nie tak niewyczerpanie cierpliwi, jak rząd. 23 lipca na wniosek B. Niemojowskiego ustanowiono komisyę do rozpoznania czynności wodza i na sesyi 27 lipca, z udziałem Skrzyneckiego, wypadła, wbrew wyraźnej jego opinii, uchwała, aby wódz naczelny Warszawę opuścił i stoczył bitwę z nieprzyjacielem. »Starano się wynegocyować u Skrzyneckiego lepszą przyszłość dla Polski«, mówi Mochnacki. Naradę tę zakończyła patetyczna mowa Skrzyneckiego, który oświadczył, iż poprowadzi wojsko do walki, posłuszny woli pełnomocników Sejmu, wyraźnie atoli zaznacza, że dzieje się to wbrew jego woli i że żadnej odpowiedzialności za skutki na siebie nie bierze. Czegoż można się było spodziewać po dalszych działaniach tego wodza po takiem oświadczeniu?

Jakoż, Skrzynecki na bitwę nie pociągnął; został, wbrew objawionej mu woli sejmu i wbrew własnemu uroczystemu przyrzeczeniu. Nadeszła właśnie od misyi

paryskiej depesza o widzeniu Kniaziewicza i Platera z Sebastianim, z wiadomością, że Sebastiani miał rzekomo czynić pewne nadzieje Polakom, jeśli zdołają się trzymać jeszcze przez dwa miesiące. Poza tem przyszedł do Skrzyneckiego list od ambasadora francuskiego w Wiedniu, w którym były słowa, iż on, marszałek Maison, osobiście interesuje się losem Polaków, przyczem wyraz osobiście *(personnellement)* był podkreślony [1]. Skrzynecki, obłąkany na punkcie mirażów interwencyi zagranicznej, zwołał do siebie naradę 31 lipca i oświadczył, że wobec tak doniosłych wiadomości, jak szczególnie pismo misyi paryskiej, należałoby uchwałę 27 lipca cofnąć. Gdy obecni z naciskiem oświadczyli, że do zmiany uchwały nie ma wódz prawa ani powodu, gdyż rząd Ludwika Filipa daleki jest od ujmowania się za nami, Skrzynecki pozornie ugiął się znowu przed wolą rady i zakończył, jak i 27 lipca, uroczystym frazesem, aby odprawiono modły w świątyniach pańskich za pomyślność walki. Pomimo tej powtórnej ostrogi, zdecydował się wódz na wyruszenie z Warszawy dopiero 2 sierpnia; Rosyanie zdążyli tymczasem, dzięki bezczynności Polaków, zająć Łowicz, niezmiernie ważny punkt strategiczny. Czy teraz przynajmniej Skrzynecki zdecydował się na coś stanowczego? Od 3—8 sierpnia codziennie odbywa narady wojenne, niby w celu zasięgnięcia zdania co do sposobu i miejsca zaatakowania nieprzyjaciela, istotnie zaś z zamiarem odroczenia bitwy do owej mitycznej interwencyi zagranicznej, czyli, innemi słowy, do nieskończoności. Dla dopełnienia charakterystyki Skrzyneckiego dodać należy, że pomimo zupełnego niemal pod koniec odosobnienia i niepopularności jego opinii, nietylko nie myślał o złożeniu buławy, lecz na naradzie 27 lipca wyraźnie oświadczył, że nie widzi wśród generałów nikogo, kto mógłby go zastąpić.

Nakoniec, najcierpliwsze chyba ciało reprezentacyjne

---

[1] A. Sokołowski, Dzieje powstania Listopadowego, str. 246.

ze wszystkich, które kiedykolwiek wśród rewolucyi patrzyły na zgubę narodu przez własnych rodaków, zdecydowało się na krok stanowczy. Lecz jaki! Uchwalono wysłać delegacyę do obozu w Bolimowie. Wódz, dowiedziawszy się o jej wysłaniu, 10 sierpnia rano nakazał przegląd wojsk, poczem stanął przed szeregami, zawezwał oficerów i prosił, aby mu czynili zarzuty, on zaś będzie im odpowiadał. Rozpoczął się przesławny sejmik bolimowski; po wzajemnych uwagach, wyjaśnieniach, wódz naczelny wygłosił ognistą mowę, otaczający zaś go wojskowi wykrzyknęli: niech żyje wódz! Wśród tego zjechała delegacya i zażądała wyjaśnień od Skrzyneckiego; gdy ten usprawiedliwiał się niejasno i zaczął mówić o jakimś planie wojennym, który ma, lecz którego nie może wyjawić, z czem zresztą odzywał się i na poprzednich sesyach, wówczas delegacya, widząc, że z nim do ładu nie dojdzie, nakoniec doszła do wniosku, że wypadnie wodza zmienić. Użyła jednak sposobu, chyba w dziejach powstań i wojen nowoczesnych bezprzykładnego. Oto powoływano wojskowych różnych stopni i pytano ich o zdanie: o dalszych krokach wojennych, o wodzu Skrzyneckim, o pożądanym tegoż następcy. Sejmik ów bolimowski ogarnął ciało oficerskie, przeniósł się do szeregów i te wciągnął w wir obrad nad kwestyą najwyższej komendy, tworzyły się koła, partye, debaty zaogniały się, wzmagał się gwar, niebawem w obozie huczało jak w ulu; zarządzony wśród oficerów plebiscyt wypadł dla Skrzyneckiego niepomyślnie, co do następcy jego głosy były rozstrzelone. Wówczas, delegacya własną władzą mianowała wodzem Henryka Dembińskiego.

Dotychczas rozprzężenie istniało w sejmie, w głównej kwaterze, we władzach, rdzeń powstania — wojsko było zdrowe, chociaż Skrzynecki robił wszystko, aby je zniechęcić i zdemoralizować; bolimowski skandal obozowy wywołany był jakby po to, aby zabić wszelką dyscyplinę, zmrozić zapał i złamać nadzieję zwycięstwa wśród tej

bezprzykładnie dzielnej wiary, zwycięsko opierającej się rozkładowi, jaki szedł z góry. Teraz, po tym haniebnym schyłku dowództwa Skrzyneckiego, przestajemy już niemal marzyć o sukcesie, drżymy już tylko z trwogi i niepokoju, aby pełne chwały i bohaterstwa dzieło powstania nie zakończyło się sromem, krwawą farsą. Po dniu bolimowskim przestaje już nawet oburzać nas ten nieszczęsny, pełen błędów i winy Skrzynecki, wydaje się on jakby fragmentem tylko, epizodem jeno wśród tego bezmiaru powszechnej niemocy i niedołęstwa, jaki zalewa powstanie wciąż wyżej i wyżej i niebawem już je zatopi i pochłonie; wszak bowiem nie mógł być przekleństwem i śmiertelnym ciosem dla sprawy jeden wódz niefortunny; w najtęższej sprawie zbiorowej wysunąć się może chwilowo na czoło jednostka, która ma idee niepojęte, fałszywe, upór, głupotę lub nawet złą wolę, fala jednak oburzenia i potępienia powszechnego zmiecie ją rychło z piedestału, na jaki się przez nieporozumienie wyniosła. Dopiero, jednak, obraz tej smutnej rzeszy kierowników powstania, którzy patrzą miesiącami całemi na obłęd wodza, jak fataliści na nieubłagany dopust losu, jest przerażający i odrażający; mieli przecież w swem ręku niezawodnie moc przecięcia złego w każdej chwili, bo Skrzynecki Cezarem ani Cromwellem nie był, potrafił frondować, stawiać bierny opór, lecz gdy stawał wobec Rubikonu, przejść go nigdy nie śmiał, kapitulował; to też ciężką niezawodnie jego winę przygniata, jednak, zaćmiewa ogrom winy mężów sejmowych, członków rządu, tych wszystkich, którzy widzieli i pojmowali, lecz nie śmieli, czy nie chcieli, którzy narzekali i umywali ręce, lecz patrzyli, znosili, czekali. I doczekali się.

Czem zaś istotnie trudnił się Sejm w onym czasie? Oto przykre, lecz nie przesadne słowa Mochnackiego, malujące prawodawstwo sejmowe w ostatnich dniach lipca, a w pierwszych sierpnia: »Sejm tymczasem zatrudniał się rzeczami istotnie ważnemi: kreował senatorów, wojewo-

dów, gwarantował oficerom w nagrodę ich poświęceń indemnizacyę koni i lederwerków, uwalniał z kozy wojskowych, których Skrzynecki za niesubordynacyę kazał aresztować, roztrząsał zasady, podług których woły mają być brane w rekwizycyę, rozsądzał processa dziennikarzy skrzywdzonych kijem. Protokół Izby w tej porze jest bardzo ciekawy! Zdrobniało powstanie. Powaga prezesa rządu niknęła. Wcale nie było rządu! Wojsko bez skutku trudzone marszami i kontramarszami przestało ufać wodzowi...«

Zbliżał się szybko ostatni akt dramatu.

ROZDZIAŁ IV.

Era Krukowieckiego. Klub Dziennika Powszechnego. Przygotowania do zamachu stanu. Noc 15 Sierpnia. Rządy Krukowieckiego. Generał Dembiński a Maurycy Mochnacki. Działalność pisarska Mochnackiego w Sierpniu 1831 roku. Upadek Warszawy. Mochnacki znów przy armii. Artykuły w Gazecie Narodowej Zakroczymskiej. Upadek powstania.

W początkach sierpnia powstanie wyraźnie chyliło się ku upadkowi. I to nietylko dlatego, że nieprzyjaciel, po szeregu ciężkich błędów ze strony naszej komendy, zbliżał się groźnie ku Warszawie, lecz bardziej jeszcze z uwagi na rozprzężenie wewnętrzne, na »gmatwaninę niczem nie rozplątanych wyobrażeń«, jaka wreszcie wynikła z tak fatalnego sprawy prowadzenia. Gdy nie było dłoni, któraby wszystkie siły, zapędy, zapały, kierowała ku jednemu celowi, gdy nie było mocy, któraby wzniosła się ponad fakcye, partye, gdy nie było wreszcie żadnego obozu, odłamu, któryby potrafił zawładnąć wyłącznie siłą publiczną, inne obozy zmusić do milczenia i spokoju, a przynajmniej do minimum sprowadzić ich waśń wewnętrzną, wówczas energia ludzi zużywała się na walkę stronnictw i osób, uwaga skupiała się nie na tym nieprzyjacielu, który się zbliżał od północnego wschodu, lecz na różnych urojonych wrogach wewnętrznych, na rodakach z pod innych sztandarów stronniczych.

Wśród takiego rozchwiania powszechnego maleją ludzie; nie jest to jeszcze owo zdrobnienie życia publi-

cznego do poswarów osobistych, jakie za miesięcy parę nastąpi na emigracyi, lecz już dojrzewa proces rozkładu sprawy, która poczęta z wielkim zapałem, z siłami, zdolnemi zapewnić zwycięstwo, strawiła się w swej własnej niemocy. Jeszcze nadają sprawie powstańczej wagę i grozę kilkadziesiąt tysięcy wojska, stojącego pod bronią, które pomimo ciężkich prób, na jakie ducha jego wodzowie narazili, potrzebowało tylko dowódcy dzielnego, aby znów objawić swe niezwalczone lwie męstwo; lecz władze cywilne i wojskowe nie są już zdolne owładnąć tą siłą; ma jeszcze powstanie swój oręż ostry i hartowny, choć nieco stępiony — swe wojsko, orężowi temu jednak brak rękojeści, niema nikogo, ktoby go ująć potrafił.

W takiej chwili Maurycy znowu szukał człowieka, wyznawał teraz już otwarcie i stanowczo opinię, że nie w gwarnem, wielomównem zgromadzeniu sejmowem, nie w klubie zgiełkliwym, lecz jedynie w jedynowładztwie spoczywa dźwignia rewolucyi. Człowieka owego szuka nie w mocno zmętniałych nurtach Towarzystwa Patryotycznego, lecz — wśród generałów wojska; o tem, aby mąż powstania mógł wyjść z szarego żołnierstwa, z gminu, z ludzi nieznanych, zwątpił już zupełnie. Stąd też daleki bardzo od tego, aby siebie samego miał na plan wysuwać, przemyśliwa nad tem, aby stać się doradcą człowieka, posiadającego imię rozgłośne, ambicyę zajęcia pierwszego stanowiska, a przytem instynkt mocnej władzy i wstręt do półśrodków. »Od początku rewolucyi bardziej lękano się jej autorów, jak zewnętrznego nieprzyjaciela. ... Talent się kształci i niejako do lotu wyrabia w akcyi, na scenie, nie za kulisami; trzeba go szukać, odgadywać, nie spotykać trafunkiem, tem bardziej zrażać... Gdzie potrzeba być albo jenerałem, albo posłem, albo przynajmniej hrabią, żeby bez związków prywatnych, upokarzającego poplecznictwa i wielkiego majątku rozpocząć zawód publiczny, tam ledwo nie to wszystko, coby sprawę kraju przywiedzioną do rozpaczy ratować, zbawić mogło nie-

zwykłemi środkami, musiało być z przyczyn naturalnych nieznane, wątłe, drobne«. Takiemi gorzkiemi uwagami, stwierdzającemi ów »terroryzm nazwisk« w rewolucyi listopadowej, usprawiedliwiał w przyszłości Mochnacki to, iż męża rewolucyi szukał pod szlifami generalskiemi; znalazł go w Krukowieckim. Na Krukowieckiego rachował mocno, zawiódł się srodze, to też rysy postaci jego kreślił w przyszłości z bólem i żółcią. »Do rzędu tych ludzi, którymi w każdym kraju obcy pan, narzucony despota łatwiej rządzić może, niżeli rodak z woli narodu, którzy w Polsce przed rewolucyą umieli ulegać carewiczowi, nie nadskakując mu, a po rewolucyi nikomu z równych sobie posłusznymi być nie chcieli, trzeba policzyć i Krukowieckiego. Pokazywał on, gdy dyktatura ustępowała z placu, wielką ochotę objęcia naczelnego dowództwa, bardziej dlatego, żeby między równemi sobie nie mieć nikogo nad sobą, niżeli z przekonania o własnej nad innymi wyższości co do sztuki wojennej. U niego patryotyzm był tylko ambicyą. Takie charaktery służą czasem gorliwie pospolitemu dobru nie z innej pobudki, tylko żeby się nikomu nie dać uprzedzić w tym zawodzie«. Zbyt jednak daleko w potępieniu Krukowieckiego uniosła Mochnackiego siła rozczarowania, jakiego na nim doświadczył. Stanął Krukowiecki u steru wówczas, gdy już sprawa była przez Skrzyneckiego i tych, co mu broić pozwolili, gruntownie zaprzepaszczona. Gubernatorstwo Warszawy, które od bitwy Grochowskiej do Ostrołęckiej Krukowiecki sprawował, wykazało w nim dzielnego, sprężystego człowieka. Jeśli nie mógł znieść sławy Skrzyneckiego, jeśli »przebodło to duszę namiętnego starca«, że z obowiązku gubernatora musiał być »mistrzem ceremonii« tryumfu Skrzyneckiego, musiał »oprowadzać po ulicach działa i sztandary, których nie zdobył«, jeśli wzdragał się przybyć Chłopickiemu na pomoc pod Grochów i pozostał pod Białołęką, wszystko to, oczywiście, świadczy o głęboko tkwiącej w duszy Krukowieckiego prywacie i zawiści; zape-

wne, żądza osobistego wyniesienia grała w nim wielką rolę, gdy sięgał po ster rządów. Ta jednak wygórowana, chorobliwa nawet ambicya osobista, stanowiąca zapewne olbrzymią wadę w oczach ludzi wielkiej skromności osobistej, zwolenników »chowania się w cień«, w rodzaju Nabielaka lub Piotra Wysockiego, nie powinna była stanowić znów tak wielkiej przywary w oczach Mochnackiego, który ambicyi osobistej w rewolucyi nie ganił, owszem, uważał, że »w rewolucyi trzeba robić karyerę«. To też darowałby pewnie Mochnacki Krukowieckiemu owe jego herostratesowe skłonności, gdyby był on istotnie ujawnił po objęciu rządów tą olbrzymią energię, jakiej się po nim Maurycy spodziewał. Słuszność wyznać każe, że zadanie Krukowieckiego było bardzo trudne, daleko trudniejsze, niż Chłopickiego i Skrzyneckiego. Próbowano później uczynić Krukowieckiego kozłem ofiarnym upadku powstania; Barzykowski upadek rewolucyi liczy od tej »nieszczęśliwej« daty, gdy rząd pięciu runął i ustąpił miejsca prezesowi rządu. Zbyt to, jednak, ze strony członka pentarchii nieskromne, a i nieprawdziwe mniemanie. Że Krukowiecki omylił nadzieje tych, co go za zbawcę ginącego powstania poczytywali, że był on zazdrosny, ambitny, intrygant — to prawda; przywary jego atoli były nie gorsze, lubo nieco odmienne od przywar Skrzyneckiego, energia zaś jego, sprawność w działaniu, sprężystość, znajomość ludzi — stanowczo wyższe, niż u kunktatora[1].

[1] Prądzyński, bynajmniej nie idealizujący Krukowieckiego, taką jednak wypowiada opinię: »Ja sam mam dotąd mocne przekonanie, że gdyby gen. Krukowiecki, jako najstarszy generał, był został zaraz po grochowskiej bitwie mianowany prezesem rządu (nie wodzem naczelnym) z atrybucyą mianowania, kontrolowania i odwoływania generałów dowodzących, sprawa nasza nie byłaby upadła, a przynajmniej nie byłaby w żadnym przypadku upadła tak prędko i tak sromotnie, jak się to stało... Ale wtedy, gdy Krukowiecki władzę objął, sytuacya była nad jego siły..., niesprawiedliwością byłoby oskarżać go, że sprawę polską zgubił. Uratować ją

Trudno także twierdzić, iż wśród wodzów powstania Krukowiecki wyjątkowo grzeszył prywatą i zawiścią; wszak znana jest zawziętość przeciwko niemu Skrzyneckiego, który nietylko pozbawił go gubernatorstwa, lecz domagał się, aby mu wzbroniono nosić mundur, co stanowiło już jedynie zemstę osobistą. Prawda, iż Krukowiecki już dnia 19 stycznia, po złożeniu dyktatury przez Chłopickiego zagadkowem swem zachowaniem wobec akademików, których zachęcał do obwołania wodzem jednego z generałów, wykazał, że myśl pronunciamento wojskowego na własną korzyść nie jest mu obca, lecz przecież i zachowanie Skrzyneckiego dnia 10 sierpnia w czasie przybycia delegacyi do Bolimowa zdradzało chęć oparcia się na wojsku, wbrew woli rządu i sejmu; brakowało do tego Skrzyneckiemu jedynie odwagi cywilnej, wszak zaś niebawem namawiał Dembińskiego do zamachu stanu.

Gdy mężowie Sejmu i Rządu, zdumieni i znękani kunktatorstwem Skrzyneckiego, wywierali nań bezskutecznie nacisk moralny, aby wystąpił wreszcie z inicyatywą wojenną, gdy Skrzynecki na wszelkie sposoby rzecz odwlekał, sternicy zaś narodu nie mogli zdobyć się na »ostateczność«, wówczas zawiązać się musiało, naturalną rzeczy koleją, ognisko niezadowolenia — z całego prowadzenia sprawy, poza obrębem ciał rządzących. Półśrodkowa taktyka, niedołężne działania Sejmu niecierpliwiły posłów gorętszego temperamentu; wytworzyło się grono niezadowolonych, jak Walenty Zwierkowski, Kantorbery Tymowski, Chełmicki, Szaniecki; byli to ludzie, którzy i dawniej zaglądali do Honoratki i Sali Redutowej i ciążyli ku radykalizmowi powstańczemu; duchem i temperamentem stykała się z tem gronem znaczna liczba posłów ziem zabranych, którzy zostali uroczyście przyjęci

---

wtedy nie było w jego mocy, a nawet, zdaje mi się, że ona już uratowaną być nie mogła«. (Pamiętniki, III, 341).

w skład Izby w końcu czerwca i początku lipca; z tych to luzem do czasu chodzących malkontentów utworzył się niebawem rodzaj klubu, pod sterem posła wołyńskiego Narcyza Olizara pozostającego i stąd zwanego pospolicie kołem Olizarowskiem. W ten sposób Izba Poselska lewem swem skrzydłem stykać się zaczęła z Towarzystwem Patryotycznem, na podobieństwo niejako tego, jak oddawna już Rząd przez osobę swego »jakobina« Lelewela stykał się z owem Towarzystwem.

To grono malkontentów sejmowych trudno, zresztą, określić, jako »lewicę«, brakło mu bowiem wewnętrznej spójni, wspólnego programu, czy to politycznego, czy społecznego; dość powiedzieć, że jeden z głównych grona tego przedstawicieli Walenty Zwierkowski nie zajął przychylnego stanowiska względem sprawy uwłaszczenia włościan, że w sprawie tak kardynalnej, jak Reforma Rządu, owi radykaliści nie zdobyli się na żaden własny program, lecz poprostu znaleźli się w ogonie centrum sejmowego, popierając utrzymanie pentarchii. Cechował to grono raczej głównie pewien radykalizm nastroju, który znajdował wyraz w instynktowem ciążeniu ku wierzchołkom Towarzystwa Patryotycznego, w ujemnem stanowisku nietylko względem Skrzyneckiego, lecz wogóle względem »r e f o r m i s t ó w, a r y s t o k r a t ó w, k o t e r y i k a n a p o w e j«, to jest względem nie spojonych również w jedną całość, w jedno rzetelne stronnictwo pierwiastków zachowawczych w Izbie. Odłam ten radykalistów sejmowych, nie mając żadnego wyraźnego programu, stanowił jedynie dość luźne gremium malkontentów, wśród których łatwo znajdowała posłuch i wzniecała gorące dyskusye, bynajmniej jednak nie wywołując czynu, wszelka myśl o nadaniu powstaniu bardziej zdecydowanej barwy, żywszego tempa; zresztą czyniono w kole olizarowskiem mniej więcej to samo, co i w sejmie, to jest gadano, tylko z większym temperamentem i z surowszą krytyką kunktatora, księcia Adama i innych ludzi »półśrodkowych«. Z owego

grona wysuwał się coraz wyraźniej odłam skrajniejszy, zbliżony bardziej do Towarzystwa Patryotycznego, a prowadzony przez Henryka Nakwaskiego, posła bracławskiego.

Grono to całe, nie mające pośród siebie ani jednego wybitnego człowieka, człowieka energii i czynu, na to, by zostać wciągnięte w wir akcyi, potrzebowało podniety i kierownictwa. Jedno i drugie przyjdzie niebawem ze strony dwóch ludzi, Mochnackiego i Krukowieckiego. Jakkolwiek działania tych ludzi obydwóch zbiegły się ze sobą w owym okresie, pobudki i myśl polityczna każdego z nich były zgoła odmienne. Krukowiecki, najstarszy z generałów w służbie, od lat 40 — wojskowy, od lat 20 zaś — generał, z niechęcią nietajoną, a przy temperamencie jego gwałtownym — z wściekłością znosił komendę młodszych generałów. Ostro krytykował błędy Skrzyneckiego, a gdy ten dopuścił do przeprawy Paskiewicza przez Wisłę, mówił publicznie, że »tego zdrajcę powiesić każe«. Już po bitwie Ostrołęckiej ostro starł się ze Skrzyneckim i na żądanie tegoż otrzymał dymisyę z gubernatorstwa. Odtąd całem zajęciem Krukowieckiego była nieustanna głośna krytyka Skrzyneckiego i zarazem wyraźne napomykanie, iż sprawa poszłaby całkiem innym torem, gdyby on sam stanął na czele.

Maurycy Mochnacki w owym czasie przeczuwał wiszącą nad powstaniem zgubę, ślamazarna taktyka rewolucyi wobec śmiertelnego niebezpieczeństwa napełniała go rozpaczą. Nieprzyjaciel podstępował już pod Warszawę, wkrótce miała być stoczona walka o stolicę. Maurycy z zapałem i namiętnością trzymał się tej myśli, że Warszawa powinna stać się grobem dla nieprzyjaciela, winna bronić się do upadłego, jak Sagunt starożytny lub Saragossa, gdy zaś wreszcie ma dostać ją wróg w swe ręce, niech zastanie w niej gruzy i zgliszcza, jak Napoleon w Moskwie; wojsko zaś po owej nawet kapitulacyi ma rozproszyć się po całej ziemi polskiej i toczyć z nieprzy-

jacielem wojnę partyzancką, narodową. Krukowiecki jeden wydawał mu się zdolny do tak bohaterskich rzeczy. »Z pomiędzy wszystkich hrabiów austryackich i pruskich, ze wszystkich pedantów strategii, ze wszystkich ideologów polityki, którzy sprawę polską przywiedli do tego stanu, jeden Krukowiecki taki, jakim był wówczas, albo przynajmniej, za jakiegośmy go poczytywali, zdawał się mimo podeszłych lat swoich zdolnym do tych szalonych, ale koniecznych i olbrzymich kroków! Był niewątpliwie w dotychczasowem postępowaniu swojem, w oświadczeniach, w obietnicach najwięcej rewolucyjny; jego popędliwość, jego sarkazmy, jego impozycya we wszystkiem, co czynił i mówił, rzeczywiście nie jedną miarą rymowały z dezorganizacyą, z pojęciami rozpaczy, z potrzebą ostatniego wysilenia«. Zbliżony do Krukowieckiego, jako współgalicyanina, znajomością rodzin, stosunkami familijnemi, nawiązał z nim Mochnacki rokowania. Krukowiecki, ze swej strony, ocenił rozum polityczny Mochnackiego, pociągał go ku sobie, w tej nadziei, że jego pióro i wymowa oddać mu mogą niejedną przysługę; poza tem uważał Maurycego za człowieka wpływowego wśród młodzieży wojskowej i klubistów. Gdy Mochnackiemu wydawało się, że uda mu się w przyszłości gwałtownego, popędliwego starca poddać pod dyrektywę swego rozumu i swych planów politycznych, lub że przynajmniej stanie się jego prawą ręką, Krukowiecki z całym rozmysłem szczwanego lisa grał na strunach patryotyzmu i ambicyi Maurycego, obiecując sobie użyć go jedynie za narzędzie swego dzieła.

Gdy Mochnacki nadzieje swe złożył całkowicie w Krukowieckim, ten ostatni nie poprzestał, oczywiście, na samym Mochnackim; wszedł więc w bezpośrednie, przedewszystkiem, stosunki z przywódcami Sali Redutowej: Krępowieckim, adwokatem Płużańskim, dziennikarzem Saniewskim. Z początku odbywało się wzajemne wyczuwanie, indagacya, wkrótce doszło do pewnych paktów.

Jednocześnie, nie zaniedbał poszukać sobie podpory wśród wyższych wojskowych i nadewszystko szukał zbliżenia z najmądrzejszym malkontentem wojskowym Prądzyńskim, który był dlań nieoceniony, gdyż z jednej strony, jako powaga wojskowa, mógł go wtajemniczyć w przyszłe możliwe plany kampanii, a z drugiej strony, sam, jak wiadomo, w owej porze nie okazywał bynajmniej chęci do brania steru powstania w swe ręce, a więc w żadnym razie nie mógł wystąpić, jako współzawodnik Krukowieckiego.

Rozmaite, a instynktownie ciążące ku sobie pierwiastki niezadowolenia z rządów cywilnych i wojskowych powstania znalazły ognisko i teren spotkania w mieszkaniu redaktora *Dziennika Powszechnego* — Chłędowskiego, gdzie wkrótce wytworzył się rodzaj klubu; schodzili się tu i posłowie skrajnego odłamu owej grupy malkontentów, prowadzeni przez Henryka Nakwaskiego, posła bracławskiego, i menerowie Towarzystwa Patryotycznego, i Mochnacki Maurycy, i różni niechętni kunktatorowi wojskowi, jak stary pułkownik Łagowski lub oficerowie z korpusu Dwernickiego, którzy przedostali się z Austryi do Kongresówki. Krukowiecki osobiście unikał tego zbyt głośnego klubu, lecz miał tu swych rzeczników w osobie Maurycego, a także paru klubistów, którym robił już to wyraźnie, już to domyślnie nadzieje nietylko politycznej, lecz i prywatnej natury, dając każdemu pojedyńczo do zrozumienia, iż może liczyć na jego wdzięczność i pamięć w przyszłości. Zgromadzenie to było pstre, różnobarwne; Mochnacki stał osobno, miał tylko gorącą wielbicielkę i orędowniczkę w energicznej pani Chłędowskiej, biorącej żywy udział w polityce i w zabiegach nowego klubu.

Zresztą, panowała tu wzajemna nieufność. Klubiści z Towarzystwa Patryotycznego, którzy weszli do tego grona z księdzem Pułaskim na czele, nie dowierzali zbytnio ani Mochnackiemu, ani Krukowieckiemu. Zbliżenie ich do Krukowieckiego polegało głównie na wspólnej nie-

nawiści do Skrzyneckiego i całej »koteryi dyplomatycznej«, a poza tem — na ich ambitnych widokach wyniesienia się w razie tryumfu Krukowieckiego. Nie mógł atoli wzbudzać w nich wielkiego zaufania stary hrabia austryacki, który na stanowisku gubernatora nie okazał bynajmniej przychylności dla ich burzliwych obrad i agitacyi. Sprężysty gubernator był w swoim czasie prawdziwym postrachem dla oficerów nadliczbowych, którzy stanowili ważny składnik Towarzystwa Patryotycznego, dłoń gubernatorska dała się we znaki klubom, pismom, zgromadzeniom. Świadectwa ówczesne, bynajmniej zresztą Krukowieckiemu nie przychylne, rysują jednakowo jego działalność gubernatorską: »W tak ważnej posadzie« mówi nieprzychylny mu Kołaczkowski: »przyznać trzeba, iż Krukowiecki rozwinął całą czynność i energię swego charakteru; zamiast anarchii, panującej w mieście, jakby czarodziejską rózgą nastąpił porządek wzorowy. Umilkł zgiełk na ulicach; Honoratka odroczyła swoje schadzki, dziennikarze zaczęli się w pismach swoich miarkować; kluby poprzestały swoich namiętnych odgróżek. Wkrótce zniknęła z bruku warszawskiego ta zgraja oficerów bez służby, gości kawiarni i miejsc publicznych; wypłoszył ich wszystkich do pułków«. A za to: »Skoro tylko Krukowiecki złożył nad miastem komendę, zamiast porządku, który silną ręką zaprowadził, podniosła głowę rewolucyjna anarchia. Honoratka w radości, kluby otwierają na nowo swoje posiedzenia, krytyki, narzekania i groźby przeciwko arystokracyi, otaczającej naczelnego wodza, dają się słyszeć«[1].

Nic więc dziwnego, iż bardziej przenikliwi klubiści, jak Pułaski, nie dowierzali Krukowieckiemu i w ostatniej chwili starali się sparaliżować jego osobiste zabiegi. Sojusz Krukowieckiego z klubistami nie wyglądał na powinowactwo sympatyi, czy celów politycznych; słusznie nasuwało się podejrzenie, że Towarzystwo Patryotyczne ma

---

[1] Wspomnienia generała K. Kołaczkowskiego, T. V, str. 56, 57.

być jedynie pomostem, po którym Krukowiecki pragnie przejść do władzy, poczem zapewne odwróci się plecami do swych sprzymierzeńców. Lecz i wśród samych koryfeuszów Towarzystwa Patryotycznego nie było ani jasności celu, ani zdecydowanych dążeń politycznych, strawili oni dziewięć miesięcy na dysputach kawiarnianych i bezowocnem sejmikowaniu; gdy najwybitniejszy, po usunięciu się Mochnackiego i Gurowskiego, członek Towarzystwa adwokat Kozłowski zmarł na cholerę, głównym luminarzem Sali Redutowej został ksiądz Aleksander Pułaski, były kapelan obozowy, zdolny mówca ludowy, człowiek w gruncie bystry i przenikliwy, lecz starty, zszargany w kilkomiesięcznem życiu brukowem, oddany przytem gorliwie Bakchusowi i Wenerze, rzadko kiedy trzeźwy, mało wzbudzający ufności nawet wśród inteligentniejszych i roztropniejszych żywiołów samego Towarzystwa. Do tego zaś ten polityk »w rewerendzie zbryzganej błotem, z nieogoloną brodą« w owym czasie miał już złamaną energię czynu, nietylko dzięki swym potężnym nałogom, lecz także dzięki doświadczeniu, do jakiego był doszedł wraz ze zmarłym przedwcześnie Kozłowskim, iż cała ta ludność, gorliwie ciągnąca na wiece i zbiegowiska i chciwie słuchająca mów ognistych, w istocie nie ma głębszej namiętności politycznej, nie ma żadnego celu zdecydowanego, ani szerszej ambicyi, że nie poprze ona nigdy stanowczo i odważnie żadnego ze swych ulubionych trybunów, gdyby ten chciał pokusić się o władzę, że rozpierzchnie się w jednej chwili na tętent odkomenderowanego na jej poskromienie oddziału wojska; że nie posiada ona wreszcie żadnego zmysłu krytycznego, i jak poszła w swoim czasie na lep dyktatury, tak pójść może i w przyszłości za hasłem zręcznego pretoryanina. Słowem, było to to samo doświadczenie, jakie Mochnackiego odstręczyło zupełnie od Towarzystwa Patryotycznego i kazało mu szukać oparcia gdzieindziej; Pułaskiego nawet owo smutne doświadczenie nie było zdolne odciągnąć

zupełnie od klubu, bo zmienił on już swą ambicyę na drobną monetę sukcesów wiecowych i zbyt trudno byłoby mu się rozstać z tem przyjmującem go zawsze owacyjnie i rozsłuchanem w jego jaskrawych mowach audytoryum, lecz bądźcobądź doświadczenie to pozbawiło go wiary w tę zgiełkliwą, a tak niepewną armię i w stanowczej chwili łamało zupełnie jego energię. Pułaski atoli, nie wierząc wprawdzie bardzo w to, aby na plecach wzburzonego ludu warszawskiego, chociażby sprzymierzonego nawet z częścią wojska, mógł zostać wyniesiony rząd »prawdziwych patryotów«, bez uciekania się pod skrzydła opiekuńcze jednego z głośnych generałów, nie mógł jednak ostatecznie zdecydować się na to, aby otwarcie pomódz Krukowieckiemu do uchwycenia władzy, lecz nosił się wciąż do końca z pozostawioną, jako spuścizna, po klubie grudniowym i zawsze skrycie żywioną przez koryfeuszów Towarzystwa ideą — ustanowienia rządu iście rewolucyjnego, rodzaju Komitetu Ocalenia, złożonego z najwybitniejszych klubistów.

Wśród koryfeuszów owych, atoli, nie było ani jedności, ani samoistności w działaniu; niektórzy, jak Krępowiecki, Saniewski, Płużański, gruntownie zwątpili o potędze klubu i l u d u i woleli związać swój los z gwiazdą Krukowieckiego; ambitny intrygant Zaliwski marzył o wyniesieniu się na własną rękę; jak ongi w spisku podchorążych podkopywał się pod Wysockiego, tak samo i teraz miał na myśli zaspokojenie swej zuchwałej ambicyi, której celem była — buława hetmańska. Nie mogło być, oczywiście, tembardziej zupełnego zaufania pomiędzy radykalistami sejmowymi a klubistami; mężowie sejmowi zniżyli się wprawdzie do spiskowania z figurami Sali Redutowej, mając nadzieję za ich pomocą obalić większość sejmową, dyplomatów Rządu i całą »koteryę kanapową«, w przyszłym atoli rządzie bynajmniej nie radzi byli ofiarowywać pierwsze miejsca przybłędom z Honoratki, gotowi wprawdzie zeskamotować ich myśl rządu wielogłowego, lecz

na własną korzyść, z pewną najwyżej domieszką żywiołów klubowych.

W tej warzelni krzyżujących się zabiegów i intryg Mochnacki znów zetknął się ze swymi dawnymi współtowarzyszami klubu. Pół roku rozłączenia wykopało pomiędzy nim a tymi ludźmi przedział głęboki. Istotnego uznania i śmiałego poparcia nigdy, coprawda, od nich nie doznał; nie poparli go ani w Grudniu w działaniach przeciwko Lubeckiemu i Chłopickiemu, ani w Styczniu w zatargu z Sejmem. Po tem ostatniem doświadczeniu, Maurycy lekceważył Towarzystwo Patryotyczne, oni zaś, naśladowcy nieudolni rewolucyonistów francuskich, z zawiścią i niechęcią patrzyli na człowieka, który ich zaćmiewał swym talentem i niesłychanym darem przenikania przyszłości. Pod wpływem tej zawiści szerzono chętnie plotki o Mochnackim, snute wciąż na tle nieszczęsnych zeznań karmelickich i aplikacyi w cenzurze. Oprócz tego, poszczególne wielkości miały swe osobiste porachunki z Mochnackim: Zaliwski nienawidził go za niepochlebne dlań w swoim czasie sprawozdanie o zamachu listopadowym, które przypisywano pióru Mochnackiego [1]. Krępowiecki, który niedwuznacznie uchylił się od wojska i na bruku warszawskim czelnie odgrywał rolę prawdziwego patryoty, niecierpiał teraz Mochnackiego, który wracał z wojny i kłół go w oczy swemi szacownemi bliznami i krzyżem *virtuti militari*. Sprawa reformy Rządu oddzieliła jeszcze bardziej Maurycego od Towarzystwa; klubiści wyraźnie orzekli się przeciwko Reformie Rządu, Maurycy po wyzdrowieniu z ran uważał za rzecz pierwszej wagi wyszukanie męża, któryby kres położył pięciogłowej niby-

[1] Było to ogłoszone 14 grudnia 1830 roku w dziennikach warszawskich opisanie spisku i wybuchu powstania z podpisem Wysockiego, pod tytułem: »Wiadomość o tajnem towarzystwie, zawiązanem w cela zniesienia rządu i ustalenia swobód konstytucyjnych w Królestwie Polskiem«. Patrz, ciekawe uwagi o tej publikacyi w Pamiętnikach Prądzyńskiego, Tom I, strona 201.

monarchii konstytucyjnej z jej całym tak niewczesnym w powstaniu parlamentaryzmem. Zwrot jego ku Skrzyneckiemu nie uszedł uwagi pilnie go strzegących ex-kamratów; odtąd Mochnacki był w ich poufnych rozmowach figurą niepewną, zdrajcą, który gotów był się zaprzedać arystokracyi. Teraz ów Mochnacki czynił zwrot nowy; klubiści tłomaczyli to w ten sposób, iż Mochnacki, odtrącony przez Skrzyneckiego, knuje znów ambitny plan, chce mieć w Krukowieckim swą kreaturę, zostać jego wszechwładnym zausznikiem, klubistów zaś zepchnąć, conajmniej, w cień. To też Pułaski kryje w sobie głęboką nieufność ku Mochnackiemu i, jak się niebawem okaże, w chwili stanowczej będzie starał się sprzątnąć go radykalnie.

Stanowi jednak z pozoru nie lada zagadkę, iż pomimo całej nieufności, niechęci, nienawiści nawet wzajemnej, jaka istniała wśród uczestników owego »klubu pani Chłędowskiej«, zdołali oni wytrwać razem, nie zdradziwszy się wzajemnie, aż do samej katastrofy 15 sierpnia, a nawet opracowali wspólne punkta działania. Wspólna chęć i wspólny interes obalenia Skrzyneckiego nie mogły stanowić spójni wystarczającej, stanowisko bowiem wodza naczelnego mocno już wówczas było i tak zachwiane, ilość przeciwników jego była niezmierna, dni władzy policzone, samo obalenie jego nastąpiło przecież przed wybuchem dnia 15 sierpnia i przypadło w udziale bynajmniej nie klubistom i nie Krukowieckiemu, a delegacyi sejmowej i wojskowym.

Natomiast, inna okoliczność wpłynęła potężnie na to, że klub *Dziennika Powszechnego* uznał potrzebę zgody i solidarności, przynajmniej na czas pewien. Okolicznością tą było pojawienie się na horyzoncie Warszawy nowej gwiazdy — generała Henryka Dembińskiego. Właśnie zaledwie udało się połączonemi usiłowaniami wszystkich niemal władz i czynników powstania zmusić niemal Skrzyneckiego, aby wreszcie w nocy z 2 na 3 sierpnia opuścił Warszawę i udał się na spotkanie nieprzyjaciela, gdy oto

następnego dnia znużona i znękana bezczynnością wodza Warszawa poruszona została niezwykłem widowiskiem. Wracał do Warszawy generał Henryk Dembiński po wyprawie na Litwę; ścigany przez przeważne siły nieprzyjacielskie, wykonał ze swym szczupłym, znękanym przez trudy i niebezpieczeństwa oddziałem sławny odwrót i zabrawszy nawet po drodze niewolnika, doszedł do Warszawy. Odwrót Dembińskiego stanowi jedną z najchlubniejszych kart w naszych dziejach wojennych; trudno dziś wspomnieć bez wzruszenia, jak wśród tej zarazy upadku ducha, jaka wiała od naszej głównej kwatery, gdy już i wybitniejsi nasi generałowie, jak Chrzanowski, godzili się z myślą ruiny powstania, gdy i genialny Prądzyński wątpi już o losie naszej sprawy, czyn Dembińskiego rozświetla, jak błyskawica, te ponure mroki i okazuje zachwyconym oczom Polaków, jak cudowne rzeczy zdziałać mogła garstka wiarusów, zagrzana przez nieustraszonego żelaznej energii wodza. Gdy zachwiani małodusznym przykładem Giełguda, Chłapowskiego, Rolanda wojskowi próbowali przekładać Dembińskiemu, iż pozostaje i im jedynie przejście granicy pruskiej, czyli ucieczka z powstania, Dembiński oświadczył, że nie wydaje im żadnych rozkazów, oświadcza jednak, że jeśli w całym korpusie znajdzie się choć kilku walecznych, gotowych los jego podzielić, on stanie na ich czele i poprowadzi ich do kraju, niezłomnego swego postanowienia, jednak, przedarcia się do powstania nie zmieni. »Widziałem wiele łez cichych, koło mnie płynących« opowiada o tem sam Dembiński: »milczenie nastąpiło, ani słowa słychać nie było, widzieć tylko się zdawało, że walka wewnętrzna się toczy między powinnością dla ojczyzny, a pewną śmiercią lub niewolą, którym nieochybnym naszym udziałem być się zdawała. Uczułem ściśnienie serca, trudne do opisania«. I poszli za swym wodzem. Czegoż nie mógł dokazać wódz bohaterski i dzielnej woli z tem niezrównanem wojskiem polskiem 1831 roku! Gdy śledzimy z zapartym oddechem te kse-

nofontowe perypetye oddziału, przebywającego olbrzymią przestrzeń, bez amunicyi, bez pieniędzy, w kraju, opanowanym przez armię nieprzyjacielską, która ściga wściekle tę garstkę, stara się przeciąć jej drogę na każdym niemal kroku, a ma po temu wszelkie środki, gdy patrzymy z zachwytem, jak swą energią żelazną i talentem zwalcza, wymija wódz niezliczone przeszkody, zasadzki, znosi ciężkie trudy i wysilenia, i wreszcie, jeszcze zwycięski w drobnych potyczkach, dociera do Warszawy, wówczas tem sroższa boleść ogarnia na myśl o potężnej kilkudziesięciotysięcznej armii, przykutej do miejsca, jakby wrytej w ziemię pod Warszawą, stojącej tam w ponurej apatyi, jakgdyby tkniętej katalepsyą — przez upór obłąkańczy jednego człowieka.

Wejście Dembińskiego wywołało nieopisany zapał. Dajmy głos wspomnieniom Barzykowskiego: »Osobliwszy widok to wojsko przedstawiało. Różne tam ubiory i stroje widać było. Mundur polski obok moskiewskiego, strój wojskowy przy cywilnym; siermięga obok sutej czamary, kurtka strzelecka obok kurtki ułańskiej. Również i w broni była różnica. Od karabina kalibrowego, cały szereg rynsztunku i uzbrojenia się znajdował: janczarki, sztućce, fuzye, pałasze, karabele, kindżały, puginały, wszystko; konie polskie, żmudzkie, ukraińskie, czerkieskie, bryczki, bryczeczki, wozy, wózki, powózki, kałamaszki; największa mieszanina, najosobliwsza rozmaitość, dziwny obraz, ale mający w sobie coś szczytnego, poetycznego. Obraz wielkich uczuć i poświęceń; żołnierz i naród połączony. Korpus pod Pragą obozem się rozłożył, a sam jenerał Dembiński ze sztabem do miasta się udał. Od Pragi do Warszawy wszystko ludem było zatkane. Cała Warszawa, bez różnicy wieku, płci, powołania, była na nogach, na ulicy i jeden głos wołał: »Niech żyje Dembiński, prawy syn ojczyzny, nasz bohater!« Lud na kolana padał, ręce do nieba z podziękowaniem wznosił, z radości płakał, witał

okrzyki wydawał, jenerała nogi, strzemiona, siodło i konia całował...«

Dwa takie dni, prawdziwie radosne, przeżyła Warszawa w powstaniu listopadowem: 3 grudnia 1830 roku, gdy wróciły wojska polskie z obozu Konstantego i dnia 3 sierpnia 1831 roku, gdy Dembiński wkraczał do Warszawy.

Zdawało się, iż Dembiński przybywa, jako opatrznościowy iście następca Skrzyneckiego; sam mówił, iż już na Pradze posłowie pytali go, czy będzie wodzem. Zwróciły się nań również oczy klubistów. W ciągu dni kilku, jednak, popularność Dembińskiego zniknie.

Na żądanie wodza naczelnego rząd mianował go gubernatorem stolicy. Że Dembiński ze swą naturą żołnierską, przywykłą potykać się z wrogiem w otwartem polu, ze swem militarnem zamiłowaniem karności, ładu, postanowił nie tolerować w mieście, już niemal oblężonem, zgromadzeń zgiełkliwych, klubów, spisków, to zrozumiałe. Dembińskiego atoli opanował poprostu szał nienawiści do Towarzystwa Patryotycznego, mania prześladowcza w stosunku do wielu osób, którym przypisywał jakieś groźne jakobińskie knowania, a które były często Bogu ducha winne, jak naprzykład Lelewel. Był tu Dembiński podniecony, podsycony przez grono ludzi, wśród których najwybitniejszy był siostrzeniec generała młody Aleksander Wielopolski, a którzy snuli z doktrynerstwem fanatyków konserwatyzmu, z zaciętem jakiemś maniactwem wciąż jedną myśl, iż powodem dotychczasowych klęsk powstania, jego słabości, obojętności Europy są — anarchia, demagogia, jakobinizm, zagnieżdżone w Warszawie i mające siedlisko w Towarzystwie Patryotycznem, a dalaj-lamę — w Lelewelu. Wyznawcy tych poglądów grzeszyli najwidoczniejszą przesadą, przeceniając siły, wpływy, działania owego niby groźnego Towarzystwa Patryotycznego, wpadali w śmieszność, wietrząc jakiegoś Robespierre'a, czy Marata — to w Lelewelu, to, naprzykład, w poczciwym

i nawet dość ślamazarnym, chorującym jedynie na popularność u ludu warszawskiego i klubistów deputowanym Walentym Zwierkowskim. Co gorsza zaś, obwołując głośno niebezpieczeństwo anarchii, demagogii, rewolucyi socyalnej, trąbiąc nadaremno na trwogę, paczyli, wykrzywiali ci doktrynerzy ładu działanie osób, znajdujących się pod ich wpływem, zamiast do wspólnej walki z wrogiem nawoływali do tłumienia jakiegoś buntu, do gaszenia jakiegoś pożaru socyalnego; z jednej strony, takich ludzi, jak Dembiński, jątrzyli postrachem jakiejś mitycznej rewolucyi socyalnej, nie chcąc pojąć, że do takiej rewolucyi wśród ówczesnej ludności nie było materyału, ani ducha; z drugiej strony, klubistów straszyli widmem dyktatury, która weźmie w żelazne kluby stowarzyszenia i druk, a nawet pewnie doraźnie rozprawi się z podżegaczami i wichrzycielami. W chwili, gdy wróg zagrażał miastu, ci alarmiści sztuczną swą agitacyą stawiali naprzeciwko siebie dwa wrogie rodaków obozy. Gdyby wreszcie uczyniono krok stanowczy i zdecydowano się na zamknięcie Towarzystwa Patryotycznego lub nawet przyaresztowanie jego przywódców, miałoby to tę dobrą stronę, iż ta mistyfikacya rewolucyi socyalnej razby się zakończyła i łatwoby się okazało, że alarmiści ścigali widmo własnej wyobraźni. Lecz było to cechą wszystkich fakcyi w ciągu rewolucyi listopadowej, iż żadna z nich nie śmiała wystąpić do otwartej walki o hegemonię i, poskromiwszy i stłumiwszy inne, posiąść władzę i skierować wszystkie siły narodu ku zwalczeniu najeźdźcy; każda z nich miała wstręt do »ostateczności«. Skutkiem tego był ciągły chroniczny nastrój wiszącej w powietrzu walki wewnętrznej, nastrój, niweczący wszelką moc działania.

Dembińskiego owiał natychmiast po powrocie z Litwy ów duch fakcyi alarmistów konserwatywnych. Natura zapalona, żołnierz, czujący jeszcze w piersiach powietrze obozu, przywykły do torowania sobie drogi szablą, a przytem patryota, szczery, gorący, nienawidzący namiętnie

wszystkiego, co stoi na przeszkodzie do ocalenia ojczyzny, bez pardonu, z miejsca wypowiedział walkę śmiertelną wszystkim klubistom, jakobinom, podżegaczom, wichrzycielom, jakich mu wskazywali palcem młodzi, przeważnie utytułowani, niewczesni gorliwcy białego terroru nad Wisłą.

Gdy Dembiński przybył do Warszawy, Towarzystwo Patryotyczne postanowiło go sobie skaptować. Urządzono uroczyste nabożeństwo u OO. Reformatów, zaproszono Dembińskiego i jego korpus, ks. Pułaski miał kazanie, na którem gromił Skrzyneckiego, a wynosił Dembińskiego. Nie podobało się to Dembińskiemu, gdy zaś ks. Pułaski przystąpił doń i oświadczył, że wybiera się z deputacyą, aby mu doręczyć adres Towarzystwa Patryotycznego, Dembiński odprawił go niegrzecznie. Wobec Zwierkowskiego, jednego z wice-prezesów Towarzystwa Patryotycznego, odgrażał się Dembiński, że je w pień wytnie, gdy tylko »ruszać się« zaczną. Pewnego wreszcie razu uniósł się w obecności samego Rządu i pod adresem nienawistnego mu Lelewela uczynił niedwuznaczną pogróżkę. Tem już obruszył na siebie nietylko Lelewela i klubistów, lecz i konstytucyonalistów kaliskich; Wincenty Niemojowski przezwał go napół żartem Herodem polskim. Wszystkie zaś uwagi swe i pogróżki zwykł był czynić Dembiński podniesionym głosem; postawa jego atletyczna, głos bohaterski, brzmiący jak komenda wojskowa, sława męża niezłomnego, jaką przywiózł z Litwy, wszystko to szerzyło o nim opinię, jako o przyszłym dyktatorze i pogromcy nieubłaganym wszelkiej opozycyi.

Tymczasem, Skrzyneckiego dowództwo dobiegło kresu, następcą jego, na wniosek ks. Czartoryskiego, mianowano Dembińskiego tymczasowo, aż do zebrania się Sejmu. Dembiński, który zjawił się nagle na widowni, nietylko jako następca Skrzyneckiego po buławie, lecz i jako domniemany współzawodnik Krukowieckiego — do jedynowładztwa, jak wszelki przeciwnik, zapalczywy a niezręczny, działał bezwiednie, a bardzo skutecznie na rzecz

Krukowieckiego. Żywioły, które chwiejnie i nie dość szczerze popierały Krukowieckiego, które gotowe były po zjawieniu się Dembińskiego odstąpić Krukowieckiego dla popularniejszego w wojsku i ludności Ksenofonta litewskiego, teraz, wystraszone odgróżkami Heroda polskiego, szczerze, otwarcie garnęły się do Krukowieckiego, jako do wybawcy przed zemstą wściekłego pogromcy Towarzystwa. Krukowiecki nie zaniedbywał wystawiać przez swych agentów całego niebezpieczeństwa, jakie wypłynęłoby dla ludzi rewolucyi z wyniesienia się tego oddanego partyi arystokratycznej, szalonego generała. Zaczęto mówić wyraźnie i pozytywnie o konieczności zamachu stanu na rzecz Krukowieckiego; zostały ustanowione warunki. Krukowiecki przyrzekał odsunąć od steru całą partyę Skrzyneckiego i Czartoryskiego, a także obóz Niemojowskich, główne funkcye rządowe poruczyć »ludziom młodym i rewolucyjnym, pełnym zasług i zdolności«; komendantem gwardyi narodowej miał zostać Walenty Zwierkowski, naczelnikiem straży bezpieczeństwa — Józef Zaliwski, wiceprezydentem miasta — Ksawery Bronikowski; Warszawa miała być przemieniona w ogromną warownię, miano wznieść barykady i podłożyć miny, aby po upadku szańców bronić miasta krok za krokiem, zaś części miasta, które trzeba będzie nieprzyjacielowi ustąpić, wysadzać w powietrze, tak iżby zdobywcy Warszawy zostali zagrzebani w murach miasta. Ten punkt o obronie Warszawy stanowił ulubioną i namiętnie bronioną myśl Maurycego Mochnackiego i pewnie za przemożnym jego głosem został wstawiony do paktów. Mochnacki sam, jak widzimy, nie warował dla siebie oficyalnie żadnego stanowiska; wierzył atoli, że jako główny niemal intelektualny sprawca spisku, nie będzie pominięty w razie sukcesu, że Krukowiecki nie będzie mógł nawet obejść się wówczas bez niego.

Tymczasem, Krukowiecki odrzucił ofiarowane mu przez Dembińskiego, jako wodza czasowego, gubernator-

stwo Warszawy. Dembiński udał się do obozu pod Bolimowem i w przemowie do wojska obiecał iść śladem swego poprzednika; Skrzynecki zaś, dając obiad pożegnalny dla delegacyi, która go z wodzostwa złożyła, rzekł, zwracając się do wojewody Antoniego Ostrowskiego, iż zna dobrze nowego wodza, wie, iż ten za nos prowadzić się nie da, prędzej zrobi 18 Brumaire'a. Chociaż złożony z naczelnej komendy, pozostał Skrzynecki przy armii, jako dowódca korpusu. Delegacya wróciła do Warszawy, aby zdać rapport Sejmowi ze swych czynności. Jakkolwiek zgodziła się ona na oddanie, zgodnie z wnioskiem ks. Adama, czasowego dowództwa Dembińskiemu, to jednak w jej własnem łonie większość była Dembińskiemu przeciwna. Kaliszanie, mający wyraźną większość stronników w Sejmie, od czasu upadku wniosku reformy rządu, już i tak mocno zrażeni do Dembińskiego, który po dyktatorsku sobie poczynał, teraz tembardziej, po zdradzeniu pretoryańskich skłonności przez Skrzyneckiego, który pozostał przy armii i miał oczywisty wpływ na Dembińskiego, postanowili nie dopuścić do utrzymania tego ostatniego przy buławie. W chwili wysoce groźnej dla powstania gotowała się namiętna walka partyi. Delegacya, oprócz sprawozdania ze swych czynności, postawiła na Sejmie wniosek 14 sierpnia, aby odtąd nie Sejm, lecz Rząd mianował wodza. Wniosek w zasadzie słuszny, decydowanie bowiem w sprawie komendy naczelnej w czasie wojny w chwili tak krytycznej przez wielogłowe, wielomówne, rozdarte obecnie przez waśń obozów ciało sejmowe było oczywistą anomalią. Lecz obecnie o powodzeniu tego wniosku decydowała nie rzecz, lecz kwestya stronnictw i osób. Chodziło o przeniesienie sprawy mianowania wodza do rządu pięciogłowego, gdzie zapewniona większość trzech głosów, Niemojowskiego, Morawskiego i Lelewela, udaremniała mianowanie na wodza kandydata partyi, zwanej arystokratyczną, a uchodzącej, jednocześnie, za partyę — pacyfikacyi, prowadzenia układów z nieprzyjacielem. Gdy

więc poseł Świdziński, poparty przez Aleksandra Wielopolskiego, wniósł na sesyi 14 sierpnia, aby przedewszystkiem zamianować wodza, wniosek zaś delegacyi o atrybucyach jego i trybie nominacyi rozpatrzeć dopiero po tem, wówczas lewica sejmowa, jak Nakwaski, Chełmicki i Kaliszanie, jak Biernacki, Niemojowski Bonawentura, Morawski, głosowali za uprzedniem przyjęciem wniosku delegacyi, kalkulowali bowiem, że większość sejmowa, lubo w zasadzie chodząca na kaliskim pasku, jednak w braku wybitnego kontra-kandydata, któryby w danej chwili równoważył sławę wojenną Dembińskiego, mogłaby, ufając jego imieniu wojskowemu, wypowiedzieć się za nim. Sprawa, przeniesiona do Rządu, dawała niechybnie wynik dla Dembińskiego niepomyślny; a znów wniosek nominacyi wodza przez Rząd był w Sejmie oddawna popularny i liczono, że głosować za nim będą ławą i niewtajemniczeni w arkana walki stronnictw posłowie, idąc jedynie za wartością rzeczową wniosku. Tak też się stało; większością 58 głosów przeciwko 28 przeszedł na sejmie wniosek o nominacyi wodza przez rząd, na rządzie zaś, jak z góry wiedziano, Czartoryski i Barzykowski orzekli się za Dembińskim, dwaj zaś Kaliszanie, a po pewnem wahaniu i Lelewel, za Prądzyńskim. Gdy atoli nad ranem 15 sierpnia delegowani zawiadomili Prądzyńskiego o nominacyi, ten przyjąć jej nie chciał, wrócili więc z niczem. Trzej, jednak, pentarchowie nie chcieli, nawet wobec tego, zgodzić się na Dembińskiego i 15 sierpnia rano Walenty Zwierkowski powiózł do obozu r o z k a z dla Prądzyńskiego, aby objął dowództwo, w razie zaś kategorycznej tegoż odmowy, ewentualnie wodzem miał być mianowany generał Kazimierz Małachowski.

Tak rzeczy stały w chwili wybuchu 15 sierpnia. Barzykowski stara się przedstawić ten wybuch, jako wynik sztucznej agitacyi Krukowieckiego i klubistów. Mochnacki daleko głębiej przenika przyczyny wypadków 15 sierpnia: »Jeżeli Krukowiecki intrygował dla zrządzenia nocy 15

sierpnia, to zadawał sobie niepotrzebną pracę; dojrzewała ona i bez jego starań; rosła za staraniem tych, którzy samochcąc i nie przewidując tego, stali się jej sprawcami«. Istotnie, klubiści, wsparci przez Krukowieckiego, przyłożyli lont do prochu, lecz proch podłożyli i broń nabili nieopatrznie sami przywódcy powstania.

Trudno również zgodzić się na ocenę samych wypadków 15 sierpnia przez Barzykowskiego. Rozruchy miejskie, jakie dnia tego zaszły, egzekucye tłumu nad uwięzionymi szpiegami i domniemanymi zdrajcami, najście Rządu przez delegatów Towarzystwa Patryotycznego, były to fakta, oczywiście, nienormalne, lecz patetyczna zgroza Barzykowskiego grzeszy ciężką przesadą. Krótkowzrocznemu członkowi rządu narodowego, pełnemu wysokiego przeświadczenia o roli, jaką odegrało w powstaniu to słabowite, bezwładne ciało rządowe, wydało się niesłychanym ciosem dla sprawy powstania najście rządu przez paru klubistów, i dzień upadku tego rządu — 17 sierpnia nazywa dniem »nieszczęśliwym, w którym nasz upadek postanowiony został«, nie chcąc pojąć tego, że powstanie zaczęło staczać się do upadku znacznie wcześniej i staczało się nieustannie przez cały czas urzędowania pentarchii.

Egzekucye, przez tłum wykonywane, czynią zawsze wrażenie ohydne, lecz nie należy zapominać o tem, że lud 15 sierpnia linczował osoby, które w jego oczach były winne zdrady i które, wobec zbliżania się nieprzyjaciela, uważał za wielce groźne dla stolicy. Uczynił to w sposób tłumowi właściwy, brutalny, srogi, przy rozpaleniu namiętności, przy wrzaskach pospólstwa, z całym aparatem okrucieństwa, właściwego rozszalałemu ludowi. W oczach atoli ówczesnego ludu czemże były te egzekucye paru zdrajców i szpiegów w porównaniu ze zbrodnią przywódców powstania, z których winy nadaremno lała się krew polska, krew najlepszych synów narodu już od pół roku, którzy zmarnotrawili wielki, święty, potężny zapał narodu i oto swem haniebnem niedołęstwem przypuścili nieprzy-

jaciela już pod same mury stolicy! Czemże było te kilkanaście ofiar w porównaniu z temi, które czekały niechybnie naród po upadku powstania! Sentymentalne rozdzieranie szat z powodu tych paru ofiar, przeważnie pochodzących z mętów społeczeństwa, stanowiło ironię wobec tego morza krwi, które zalewało wówczas Polskę i jeszcze obficiej zalać ją miało.

Dla porównania przypomnieć sobie warto chociażby Francyę, tę łatwość, z jaką powstawały pogłoski o zdradzie w czasie porażek z okresu Wielkiej Rewolucyi, gwałtowność rozruchów, jakie pociągały za sobą te pogłoski, siłę gniewu i zemsty ludu na istotnych i domniemanych sprawcach tych porażek, a wtedy postawa polskiej ludności wobec wodzów i rządców powstania nawet w owym momencie najwyższego napięcia, do jakiego w czasie rewolucyi doszło wzburzenie ludowe, wyda się jeszcze niezmiernie łagodna i umiarkowana [1].

Oprócz nieszczęśliwej kampanii były inne przyczyny wzburzenia ludowego. Od samego początku kampanii lekceważono naturalne uczucia mas, nie rozumiano, nie dostrzegano żywiołu ludowego. Jeśli ludność Warszawy gotowa była zapomnieć księciu Konstantemu jego ciemięstwo z chwilą, gdy nie był już dla niej groźny, jeśli nawet porwana przez swych mowców wznosiła szlachetne okrzyki na cześć wolności wszystkich słowian i wypierała się uroczyście nienawiści do narodu rosyjskiego, to jednak zu-

[1] Taką właśnie opinię o wypadkach 15 sierpnia wypowiada i generał Prądzyński. »Były to poprostu konwulsyjne podrygi dogorywającej sprawy« pisze i słusznie mówi, że niema zasady do porównywania nocy 15 sierpnia z rzeziami wrześniowemi we Francyi roku 1792. »Niechaj, kto chce, przejdzie dzieje całego świata, a nie znajdzie narodu, w którymby podobne położenie nie było wywołało stokrotnie krwawszych wypadków. Właśnie więc noc 15 sierpnia może posłużyć za dowód łagodności i dobroduszności polskiego charakteru, o czem jedynie sądzić można przez porównanie względne«. (Pamiętniki, Tom III, str. 311, 312).

pełnie zrozumiały i nieuchronny był gniew tej ludności przeciwko tym członkom własnego społeczeństwa, którzy przed 29 listopada dopuszczali się niezliczonych nadużyć i okrucieństw względem własnych rodaków, którzy niszczyli, łupili i teroryzowali ludność; nad tymi ludźmi należało niezwłocznie ustanowić sąd; oczywiście, nie powinno było chodzić tu o zemstę na nędznikach, lecz o gruntowne oczyszczenie Warszawy i kraju od tych pierwiastków, które sprzyjać powstaniu nie mogły, które musiały wyglądać niecierpliwie jego upadku; szybki sąd oddzieliłby wreszcie winnych od niewinnych, odwróciłby uwagę ludności od tych przepełnionych podejrzanemi figurami więzień śledczych w czasie powstania, położyłby raz koniec pogłoskom o przebywających w Warszawie bezkarnie zdrajcach, które szerzyły się pod koniec powstania, zatruwając spokój mieszkańców miasta.

Od początku powstania cały szereg faktów musiał wpłynąć na podniecenie podejrzeń, pogłosek, na wywołanie tego nastroju niepewności względem wielu osób, który tak łatwo rozwija się w rewolucyach, w czasie groźnej wojny. Papiery, pozostałe po W. Księciu, Rożnieckim i tajnej policyi, opieczętowane 3 grudnia, komitet, wydelegowany do ich przejrzenia, znalazł 5 grudnia w największym nieładzie, porozrzucane, poprute, porozdzierane; oczywiście, różnym osobom musiało zależeć na zatarciu śladów i to nie lada kalibru musiały być te figury, które potrafiły przedostać się do opieczętowanych apartamentów w komisyi Skarbu. Skandaliczna ucieczka Mateusza Lubowidzkiego, do której również dopomogły wysoko położone osoby, musiała dolać oliwy do ognia podejrzeń. Z mównicy Sali Redutowej, ze szpalt gazet, z łona mieszkańców domagano się wciąż sądu nad byłymi szpiegami, dręczycielami ludności, lecz władze powstania z sądem zwlekały, niewiadomo na co czekając. Nie decydowano się ani na uniewinnienie uwięzionych, ani na ich skazanie, trzymano ich w więzieniu; był to ten stan połowiczny, do którego,

po równi pochyłej półśrodków, z jakąś fatalnością spadały wszystkie sprawy rewolucyi listopadowej, stan tem bardziej groźny, iż jednocześnie w pismach wciąż ogłaszano wyciągi z akt policyi tajnej, odnalezionych przez komisyę rozpoznawczą, podając do wiadomości szerokiego ogółu niesłychane szczegóły samowoli i przewrotności agentów policyjnych, drażniąc ludność przypominaniem świeżych faktów, rzucając cień podejrzenia na różne osoby, chodzące wolną stopą po warszawskim bruku.

Oprócz tego, nie da się zaprzeczyć, iż wśród ludności Warszawy powstanie nie cieszyło się zupełnie powszechną sympatyą; większość ludności żydowskiej, część niemieckiej, a i polskiej, niechętnie spoglądała na te wielkie ofiary, jakiemi wielki cel okupować trzeba było, na ruinę interesów majątkowych, na spodziewany szturm miasta. Ludność patryotyczna instynktem czuła obecność w mieście tych obojętnych lub nawet wrogich żywiołów; z chwilą wkroczenia wojsk rosyjskich zdarzały się często wypadki szpiegowania na rzecz armii rosyjskiej, szczególniej ze strony żydów. Było więc wiele warunków ku temu, aby wyraz »zdrada«, raz rzucony, zaostrzył czujność i podejrzliwość ludności względem osób niepewnych. Rewolucye tak samo, jak rządy despotyczne, są podejrzliwe i popęd proskrypcyjny i inkwizycyjny bywa w okresach gorączki rewolucyjnej szczególnie mocno rozwinięty. Gdyby powstanie pomknęło odrazu raźnym krokiem naprzód, gdyby rząd z całą dzielnością i energią zorganizował powszechną narodową walkę, gdyby zapał, od góry idący, owiał wszystkie klasy ludności, a gorączka bojowa ogarnęła wszystkie sfery, pochłonęła i zmusiła do milczenia wszelkie partykularne interesy, wówczas ludność Warszawy wkrótce pewnie zapomniałaby o tych kilkudziesięciu nędznikach, kryjących się w więzieniach; w chwilach radosnych, w chwilach zapału ludność Warszawy stale ujawniała szlachetność, nie zawsze wprawdzie polityczną i przezorną, lecz stanowiącą widać potrzebę duchową tego

dobrodusznego ludu. Lecz kampania, prowadzona w ślimaczem, ślamazarnem tempie, nietylko nie odwracała ludności od tropienia wewnętrznego wroga, ale przeciwnie dawała tem większy materyał do jątrzenia jej czarnemi podejrzeniami. Niepowodzenie wojenne, pomimo bezprzykładnego męstwa polskiego żołnierza i pomimo nie tak znacznej przewagi liczebnej nieprzyjaciela, niebezpieczeństwo zagłady, zaglądające już w oczy i krajowi i Warszawie, nieciły wśród ludności nastrój trwożny, gniewny, mściwy. Ludzie słusznie rozumowali, że naród, powstający w obronie bytu, walczący z bohaterstwem i rozpaczą, może uledz tylko przed olbrzymią przewagą siły liczebnej i materyalnej, tymczasem, prawda wyznać każe, tej przewagi przygniatającej aż do ostatnich chwil powstania nie było, nie mówiąc o tem, że nieudolność wodzów nieprzyjacielskich równała się niemal nieudolności wodza naczelnego Polaków.

Po wyprawie na Rydygiera brzmi już w Warszawie i po kraju słowo »zdrada«. Wódz naczelny dolewa oliwy do ognia, aresztując Hurtiga, Sałackiego, wyznaczając sąd na Bukowskiego i Jankowskiego, dając jak gdyby umyślnie powód do rozpraw o zdradzie wśród polskich generałów. 29 czerwca wybucha już zaburzenie uliczne, książę Adam przyrzeka uroczyście wzburzonemu ludowi, że sąd wyda wyrok niebawem i winni będą ukarani i przyrzeczenia tego nie spełnia. Dalsze wypadki lipcowe i sierpniowe mogły tylko podnieść do najwyższego stopnia wzburzenie powszechne. W pierwszych dniach sierpnia już głośno się mówi o mającym nastąpić wybuchu. »Po wyprawie pod Łysobyki« mówi Mochnacki: »napisano było na ulicach, na bruku Warszawy, na czole gminu, że nastąpi, że musi nastąpić silne wstrząśnienie. Jak w giełdach europejskich gracze podciągają pod swą rachubę przyszłe wypadki, tak u nas to niechybne zamieszanie na parę tygodni przed 15 sierpnia było przedmiotem rozmaitych spekulacyi«.

Rola Towarzystwa Patryotycznego w tem wszystkiem była jedynie ta, iż swemi zebraniami, rozprawami, mowami, pismami jeszcze bardziej galwanizowało ogół, lecz, oczywiście, ludność Warszawy, niespokojna, wrząca, w miarę zbliżania się nieprzyjaciela wzburzona coraz mocniej z gniewu, trwogi i zawodu, musiała znaleźć sobie organy swego gniewu i bólu; gdyby nie miała ich w klubie, znalazłaby sobie i trybunę i mówców na pierwszym lepszym placu publicznym. Sale Redutowe były tylko kominem, przez który regularnie wydobywała się z głośnym przenikliwym świstem, nagromadzona w zbiorniku para; trzeba takiego krótkowidza, patrzącego z tępą wyniosłością z okien Namiestnikowskiego Pałacu na tłum profanów, nie pojmującego, co to jest żywioł ludowy w rewolucyi, jak Barzykowski, aby mniemać, że gdyby ów komin obalono, wówczas kocioł namiętności ludowych okazałby się wypełniony uznaniem i czcią dla tego bezwładnego rządu, który chyba dźwigał pewną odpowiedzialność za całe rozprzężenie rządowe, obozowe i wojenne.

Wypadki 15 sierpnia czynią wrażenie opłakane, bynajmniej nie dla tych względów, które tak wzburzyły Barzykowskiego. Wypadki owe uwidoczniły polityczną niemoc w owoczesnej Polsce tego, co na zgromadzeniach Towarzystwa Patryotycznego nazywano czasami pompatycznie ludem wszechwładnym. Ruch ten ludu miejskiego, wyczekiwany z niepokojem, niby trzęsienie ziemi, miał rozszaleć jak burza, obalić rządy cywilne i wojskowe, postawić na ich miejsce dzielne rządy ludowe ultra-rewolucyjne, a tymczasem skończył się na jałowych rozruchach ulicznych. *Le peuple souverain* w Warszawie okazał się tylko widmem wylękłej wyobraźni członków »koteryi kanapowej«, rodzajem stracha, sztucznie rozpiętego, ku obawie lękliwych, na wiecach Towarzystwa Patryotycznego. Po nocy 15 sierpnia o dalszych losach powstania stanowił bynajmniej nie ów lud, który się rozszedł do domów, lecz

po dawnemu Sejm, nie tknięty, do ostatka w obrębie stanowienia władz istotnie wszechwładny.

Ostatnie dni przed 15 sierpnia mogły tylko podniecić wzburzenie. Skrzynecki wprawdzie złożony, lecz Dembiński obiecał iść w jego ślady, przy armii są obydwa. Zaczynają powstawać pogłoski, że ów duumwirat hetmański postanowił nie przyjmować bitwy, zawrzeć pakt z wrogiem, wymówić sobie i swoim poplecznikom nietykalność, Warszawę oddać w moc nieprzyjaciela, prawdziwych patryotów wydać na kaźń niechybną. Inna zaś pogłoska, nie tak wprawdzie groźna dla narodu, ale równie alarmująca Towarzystwo Patryotyczne, opiewała, iż wodzowie postanowili wkroczyć do Warszawy, wykonać zamach stanu, uwięzić prawdziwych patryotów. Wypadki pozornie zdawały się potwierdzać te pogłoski. Dembiński, po przyjęciu dowództwa, wobec nacisku przednich straży nieprzyjacielskich na posterunki polskie pod Bolimowem, uznając pozycyę za niedogodną do przyjęcia bitwy, cofa się ku Warszawie — do Ołtarzewa.

Żywiołem czynnym w wypadkach 15 sierpnia była ciżba miejska, która w owej porze letniej wylegała z gwarem na ulice i place. Byli tam oficerowie bezsłużbowi, biuraliści, aplikanci i lud właściwy, to jest służba prywatna, lokaje, furmani, których ogromną ilość zwiozła ze sobą dawnym zwyczajem zgromadzona ze wszystkich ziem Rzplitej wówczas w Warszawie szlachta; dalej, subjekci handlowi, rzemieślnicy, wyrobnicy, cały ten tłum, wraz z kobietami, wyrostkami, pauprami, podchwytującemi i głośno wykrzykującemi wszelką wieść alarmującą, pod wieczór wylegał na miasto, z nałogowem już zamiłowaniem wysłuchiwał przemówień, napełniał liczne szynkownie, kawiarnie. tworzył wielkie, rozpełzłe po całej Warszawie, wstrząsane jednemi uczuciami, wrażeniami mrowie ludzkie, wśród którego wszelkie świeże pogłoski rozszerzały się z elektryczną szybkością. Tłum ten miał już swoich menerów, krzykaczy, swoich ludzi, poza gronem koryfeu-

szów Towarzystwa Patryotycznego; ci to ludzie, nie zaś klubiści, będą prowadzili ludność 15 sierpnia od więzienia do więzienia, od latarni do latarni.

Punktem, który przykuwał głównie uwagę tego mrowia ludzkiego, falującego na ulicach Warszawy, była główna kwatera, stąd oczekiwano groźnego ciosu dla rewolucyi. Drugim punktem, na który z logiką nieubłaganą padał wzrok podejrzliwej ludności, był wróg, wewnątrz miasta utajony, a więc więzienia, domy, gdzie ukryci byli przestępcy i zdrajcy. Dwa te punkty fatalne kojarzyły się organicznie w tej koncepcyi zdrady, która stanowiła fabułę krwawej nocy Wniebowzięcia Matki Boskiej. Mianowicie, pokoje Zamku, gdzie zamknięto podejrzanych o zdradę w wyprawie na Rydygiera, a także te domy, gdzie siedzieli dawni krzywdziciele narodu z konstantynowskiego okresu, miały być, według wersyi, wciąż rosnącej, wciąż ubarwianej nowemi szczegółami, w zmowie z główną kwaterą, a nawet prawdopodobnie, jak przebąkiwano już zresztą z mniejszą pewnością, z księciem Adamem i jego fakcyą. Gdy wodzowie wydadzą Warszawę w ręce nieprzyjaciela, wtedy te pochowane gady wypełzną z więzień, podniosą głowy i odpłacą się sowicie Warszawie za katusze swego więzienia i strachu śmiertelnego.

15 sierpnia nastąpił wybuch. Od rana agenci Towarzystwa Patryotycznego rozpuszczali pogłoski, że Skrzynecki i Dembiński, nie wydawszy bitwy, idą na Warszawę, aby wykonać owe złowrogie plany. A więc rzecz zbliżałała się do rozwiązania. Klubiści zwoływali lud na godzinę 5, po nieszporach w tym dniu świątecznym Matki Boskiej na posiedzenie Towarzystwa w Sali Redutowej. Już jednak między koryfeuszami spisku istniało rozdwojenie. Mochnacki, Płużański, Krępowiecki, Saniewski pozostali wierni Krukowieckiemu, Pułaski, Dmochowski Franciszek Salezy, Jan Czyński, Wojciech Kazimirski, Cyryl Grodecki postanowili działać w myśl dawnego ulubionego planu klubistów — zbiorowej dyktatury prawdziwych patryotów.

Stąd w działaniach tego i następnego dnia — w intrydze była jeszcze intryga, nie licząc drobnych osobistych intryg, które do reszty rozpylały energię spisku. Na posiedzeniu marszałkował Jan Czyński. Puławski, który pragnął nie zaburzeń, lecz realnego celu, widząc, iż ciżba jest niezmiernie rozochocona, przemawiał wcale umiarkowanie, radził odroczenie posiedzenia do dnia następnego; po gorętszych atoli przemówieniach Płużańskiego, Grodeckiego, Boskiego postanowiono natychmiast wysłać delegacyę do Rządu Narodowego, z żądaniem ukarania więźniów stanu, aresztowanych 29 czerwca, a także sprowadzenia do Warszawy zdrajcy Skrzyneckiego i oddania go pod sąd.

Jak widać, zebranie nie miało żadnego programu politycznego, ani zbyt wielkich aspiracyi, chodziło o sąd nad zdrajcami, o wymiar sprawiedliwości, żywioł ludowy burzył się, lecz nie wzbierał zbyt wysoko, oszczędzał Rząd pięciogłowy, nie tykał bynajmniej Sejmu. Delegacya z Pułaskiego, Płużańskiego, Czyńskiego, Boskiego udała się do Pałacu Namiestnikowskiego; tu zachowywała się wcale wstrzemięźliwie; gdyby nie niewczesne uniesienie Barzykowskiego i gwałtowna na nie odpowiedź Boskiego znalezienie tej delegacyi byłoby o wiele skromniejsze, niż owej 2 grudnia z Mochnackim na czele. Delegaci poza żądanie sądu na zdrajców, ze Skrzyneckim włącznie, nie wykraczali; gdy zaś otrzymali od Rządu odpowiedź uspakajającą i dość wymijającą, iż sąd nad przestępcami odbędzie się, iż Skrzynecki już nie jest wodzem, iż pogłoski o marszu wodzów na Warszawę nie mają podstawy, odeszli.

Lecz lud, rozkołysany tego dnia niepomiernie pod wieczór, znajdował się już bynajmniej nie pod wpływem jakichś celowo działających polityków czy trybunów, lecz wyłącznie pod komendą swoich przywódców ulicznych, jak nadliczbowi oficerowie, Matusiewicz i Korytko, krawiec Morawski, ksiądz Szynglarski, kilkunastoletni Czarnomski i inni; nastąpił szturm rozhukanego tłumu do wię-

zień zamkowych, zabito okrutnie i powieszono na latarniach nieszczęsnych generałów wyprawy łysobyckiej, Bukowskiego i Jankowskiego, a także i Sałackiego, Bętkowskiego, Fencza, panią Bażanow. Poczem tłum ruszył groźną ławą ze wściekłym krzykiem do innych więzień, do Prochowni i Franciszkanów, gdzie zamordowano, między innymi, słynnego z czasów Rożnieckiego żyda Birnbauma, pociągnął następnie za rogatki Wolskie, do domów Kary i poprawy, a także Przytułku i pracy i tu zabito znaczną ilość więzionych szpiegów, między innemi Szleja, Makrota, Szymanowskiego. Gubernator Węgierski wśród tych zaburzeń okazał zupełną niemal bierność.

Gdy dokonane już zostały pierwsze egzekucye, wówczas wyszedł ze swego mieszkania w pałacu saskim Krukowiecki, obejrzał plac wypadków około Zamku, udał się na Rząd, tam zastał tylko Niemojowskiego, który go namawiał do objęcia gubernatorstwa stolicy. Wówczas Krukowiecki wrócił do domu, ubrał się w swój mundur generalski, udał się do komisyi wojny i niebawem w otoczeniu wojska wraz z generałem Wojczyńskim i pułkownikiem Łagowskim wyjechał na miasto; o pierwszej zaś w nocy został przez Rząd, przy udziale trzech członków, większością dwóch głosów Niemojowskiego i Morawskiego przeciwko Barzykowskiemu, zatwierdzony oficyalnie na gubernatorstwie.

Krukowiecki odrazu zajął tę postawę, która mu za dwa dni przyniesie prezydenturę w rządzie. Z jednej strony, wypływał dzięki wypadkom, wymierzonym przeciwko dotychczasowemu systemowi i obecnym dowódcom wojska, wsparty na klubistach i spiskowcach, którzy w nim widzieli tarczę od spodziewanego zamachu ze strony Skrzyneckiego, Dembińskiego i partyi arystokratycznej. Z drugiej zaś strony, odrazu 15 sierpnia wystąpił, jako opatrznościowy pacyfikator, jako sprężysty gubernator, który nie pozwoli, aby rozruchy rozszerzyły się dalej, aby po egzekucyach szpiegów i zdrajców nastąpiły egzekucye arysto-

kratów, członków rządu, domniemanych spólników zdrady Skrzyneckiego. W tym celu Krukowiecki pokazywał nawet listę proskrypcyjną, którą mieli ułożyć spiskowcy, a na której figurowali oprócz Skrzyneckiego, ks. Adam, generał Chrzanowski, Andrzej Horodyski, Świdziński, Gustaw Małachowski, Dembowski, Wężyk i inni znani przedstawiciele obozu, zwanego arystokratycznym.

Że wśród skrajniejszych członków spisku — istniała myśl terroru politycznego na szerszą skalę, terroru, któryby utorował drogę rządom żywiołu radykalnie rewolucyjnego, chcącego prowadzić wojnę do upadłego z olbrzymim wysiłkiem i energią, to nie ulega kwestyi. Maurycy Mochnacki w liście do Matki z Metzu 14 stycznia 1832 roku, opisując noc 15 sierpnia, mówi: »Ale myśmy o innej rozmyślali nocy, o innym terroryzmie. Nie mogłem pojąć, na co się to przyda wieszać szpiegów nieboszczyka Konstantego, szpiegów bezbronnych i uwięzionych, których kat mógł za dekretem sądu powiesić. Nie mogłem pojąć, na co się to przyda wtenczas, kiedy tyle innych daleko szkodliwszych ludzi i niebezpieczniejszych wysokie sprawowało urzędy. Nie Makrot i Szlaja, ale naczelnicy władzy z generałami zdrajcami powinni byli pokutować na latarni za wszystko złe, jakie nabroili, po części z nierozumu, po części ze złej woli«. Na same egzekucye nocne w swych późniejszych rozważaniach o nocy 15 sierpnia patrzał, jako na rzecz zgoła bezcelową i zdrożną, której należało i można było uniknąć: »Na dwa, na trzy dni przed temi wypadkami egzekucya kilku winowajców była raczej środkiem stanu ze strony rządu, niżeli wymiarem sprawiedliwości. Trzeba to było uczynić za dekretem, co się bez dekretu koniecznie niezawodnie stać musiało«.

Że ludność miasta, rozszalałą wśród rozruchu nocnego, można było skierować na pałac jakiego arystokraty, zwłaszcza jeśli stał on u steru rządu, to także bardzo podobne do prawdy. To też Czartoryski, przewidując tę mo-

żliwość, umknął konno w przebraniu do obozu[1]. Lecz ludność, sama przez się, nie okazywała żadnej skłonności ani do terroru socyalnego, ani do terroru politycznego, gniew jej kierował się nie przeciwko arystokratom, nie przeciwko członkom rządu, jeno wyłącznie przeciwko szpiegom i zdrajcom, w jej mniemaniu zaprzedanym nieprzyjacielowi; to też ludność zawzinała się tej nocy na jednego tylko »arystokratę« Henryka Łubieńskiego, a to wyłącznie za pomoc, okazaną przezeń w ucieczce niecnego wice-prezydenta Warszawy z przed 29 Listopada, Mateusza Lubowidzkiego. Poza tem, ludność ta w rozruchach 15 i 16 sierpnia nie objawiła bynajmniej ani żadnych ambicyi i aspiracyi politycznych, ani żadnej myśli politycznej, ani wytrwałości i zaciętego gniewu na władze; po wyładowaniu oddawna tłumionych namiętności, rozsypała się po domach, fala opadła szybko, żywioł wrócił do dawnego łożyska. Jeżeli skrajniejsi członkowie klubu Chłędowskich układali istotnie listy proskrypcyjne, to dopomogły one jedynie Krukowieckiemu do odegrania roli wybawcy, który zapewnia bezpieczeństwo znienawidzonym przez klub i mogącym zginąć z rąk rozpasanego tłumu osobom.

Kierownicy rewolucyi 29 Listopada nie umieli, nie chcieli nawet organizować żywiołu ludowego do walki z nieprzyjacielem, nie potrafili nadać tej sile właściwego kierunku; to też uczucia gminu, zapomniane, odepchnięte, lekceważone, nurtowały, błąkały się bez wszelkiej celowej dyrektywy, chwilami wzbierały żywiołowo i wkrótce znów znużone opadały. Najwydatniejszym objawem tego

---

[1] Prądzyński, powołując się na Barzykowskiego, opowiada, że jeden z przywódców ludu w nocy 15 sierpnia lekarz Brawacki, pomimo gorących nawoływań, nie mógł znaleść ochotników do napaści na pałac Czartoryskiego (Tom III Pamiętników, strona 312). Sam Barzykowski opisuje, iż człowiekiem, który przed zamkiem napróżno wzywał lud do napaści na Czartoryskiego, był Korytko. (Historya powstania listopadowego, Tom V, strona 109).

zaniedbanego, wykolejonego, zmarnowanego, a jednak stanowiącego tak cenną siłę potencyonalną rewolucyi żywiołu była noc 15 sierpnia.

Podczas owych pamiętnych wypadków Maurycy Mochnacki nie tylko nie odgrywał żadnej czynnej roli, lecz zmuszony był ukrywać się; ksiądz Pułaski nasłał ludzi, którzy przeszukali mieszkanie Mochnackiego, w celu pojmania Maurycego i radykalnego uprzątnięcia go z widowni. Pułaski mniemał, że w urzeczywistnieniu jego planu politycznego, który krzyżował się z planem Krukowieckiego, Mochnacki, jako prawa ręka tegoż, może mu stać się zawadą, i postanowił pozbyć się go zawczasu; szczęściem dawny służący Mochnackiego Jędrzej, obecnie, widać, wtajemniczony w plany trybunów ludu, ostrzegł go i Maurycy ukrył się w porę przed niebezpieczeństwem.

Ranek 16 sierpnia zastał rzeczy w takim kształcie. Krukowiecki został gubernatorem i faktycznym władcą Warszawy, za sprawą zaburzeń wieczornych, a z ramienia Rządu. Klub dotychczas, poza ową deputacyą do rządu, nie zdziałał nic; Pułaski w wypadkach wieczornych nie brał udziału, usunął się wraz z innymi trybunami Towarzystwa w cień. Na drugi dzień rano zwołane zostało zebranie Towarzystwa Patryotycznego. Lud miejski dnia tego rankiem dokonał jeszcze paru dodatkowych egzekucyi na osobie słynnego Hankiewicza, niemca Kettlera, byłego inspektora szkół Kaweckiego; na zebraniu Towarzystwa stawiły się tłumy. Zjawił się i Maurycy Mochnacki w mundurze wojskowym, z eskortą oficerów liniowych, przybyły tu wyraźnie, by poprzeć plan ustanowienia jedynowładztwa. Po zagajeniu zebrania, przewodniczący Jan Czyński przedstawił zgromadzeniu do przyjęcia rezolucyę, powziętą, oczywiście, po porozumieniu koryfeuszów klubu z lewicą sejmową: Nakwaskim, Olizarem, Romanem Sołtykiem; projekt rezolucyi proponował podanie petycyi do Izb, aby się zalimitowały i na swe miejsce zamianowały Radę Najwyższą, złożoną z 9 osób. Było to,

oczywiście, otwarte zerwanie z Krukowieckim, a zarazem zupełna kapitulacya owego dawniejszego śmiałego planu utworzenia rządu rewolucyjnego przez zwycięski lud z łona jego naturalnych przywódców, za jakich się uważali koryfeusze Towarzystwa. Widać było, że klub odszczepiał się od Krukowieckiego, który wyraźnie zajął stanowisko względem burzycieli pacyfikatorskie, przypominające jego dawniejsze gubernatorskie rządy, zarazem zaś trybuni gruntownie pojęli, że na spienionych a płytkich nurtach fali ludowej nie wypłyną na wierzch, postanowili więc instynktownie szukać, jako ostatniej nadziei, oparcia w tej instancyi, do której w krytycznych chwilach rewolucyi od początku aż do końca, jakby niezłomnem prawem ciążenia, przechodziło istotne wszechwładztwo, mianowicie zamyślili paktować z Sejmem przez lewe jego skrzydło. Była to, co prawda, myśl naiwna, aby wobec bezsilności klubu, dobitnie ujawnionej, mężowie Sejmowi chcieli teraz dopuszczać ich do rządów; jakoż, rzeczywiście, następnego dnia Olizar złożył analogiczny projekt na Sejmie, lecz o klubistach nie było w nim mowy. Po wniesieniu projektu Czyńskiego na owem zebraniu 16 sierpnia zabrał głos Maurycy Mochnacki; próbował przedstawić zebraniu potrzebę jedynowładztwa, mając na myśli Krukowieckiego. Jego logiczna, spokojna mowa nie bardzo trafiała do gustu słuchaczów, przywykłych do rozkiełznanych, grzmotliwych przemówień swych trybunów; nie trudno było następnym mówcom, Dmochowskiemu i Pułaskiemu, otrzaskanym z tem bezmyślnem audytoryum, przelicytować i obalić argumenty Mochnackiego, wykazując całą szkodę jedynowładztwa na przykładzie Chłopickiego, Skrzyneckiego. Ludność okrzykami »precz z dyktaturą«, wtórowała mówcom, zresztą czyż mogła ta ludność na trzeźwo, a choćby z uwagą tylko słuchać jakichś przemówień, jeszcze drżąca od strasznych wrażeń nocnych, oczekująca sama z oszołomieniem i niepokojem, co z tego wszystkiego wyniknie! Mochnacki opuszczał zebranie, jak

ongi dnia 3 grudnia, ścigany niechętnymi okrzykami. Jak dziwnie, jednak, pomieszały się role. Wówczas złorzeczono mu za ostre słowa, jakie cisnął na człowieka, którego lud za parę dni witał jako dyktatora, teraz wyszydzono jego nawoływanie do jedynowładztwa. Tłum, z właściwą masom psychologią, zawiódłszy się na osobie pierwszego dyktatora, zniechęcił się bezpowrotnie do samej myśli dyktatury; Mochnacki, przenikliwiej rzeczy widzący, widział, że była to omyłka co do człowieka, popełniona wbrew wszelkiej oczywistości, myśl zaś samą jedynowładztwa, jako jedynie zbawiennego systemu, popierał do samego końca; czy, jednak, tym razem on znów nie zawiódł się co do człowieka, to rychła przyszłość miała okazać.

Gdy tak grzmiały mowy na zgromadzeniu, wtem rozeszła się wieść, że wojsko wchodzi do miasta, by zrobić porządek z burzycielami. Istotnie, był to generał Sznajde z brygadą, przysłany przez Dembińskiego z Ołtarzewskiego obozu. Na tę wieść i gmach Sal Redutowych i Plac Krasińskich w parę chwil opustoszały; lud ustąpił z placu bez żadnego oporu. »Po zrobionym porządku ze szpiegami i zdrajcami« tak nastrój ludności w dniu 16 sierpnia maluje Mierosławski: »lud Warszawy najmniejszej nie doznawał zgryzoty, tylko uważał swoją karyerę polityczną za emerytalnie skończoną. Jeżeli dziś jeszcze tłum dał się zwołać swoim trybunom na powtórną mistyfikacyę, to z tem wzajemnem zastrzeżeniem, że cobądź oni postanowią, równie grzmotliwemi będzie zatwierdzone oklaskami, byle to klaszczących zgoła do niczego nie obowiązywało«[1].

Teraz, po niespodzianie szybkiej likwidacyi całego zamachu 15 sierpnia na placu pozostał tylko Krukowiecki. Nie potrzebował obecnie obawiać się współzawodnictwa

[1] Powstanie Narodu Polskiego w roku 1830 i 1831. Tom V, Paryż 1868, str. 450.

żadnego Komitetu Ocalenia, który, jak się ujawniło, nad Wisłą w r. 1831 był jedynie czczym dźwiękiem bez echa u ludu. Jedynym przeciwnikiem Krukowieckiego mógł być teraz tylko Dembiński. Na szczęście dla Krukowieckiego sam Dembiński dopomógł mu skutecznie swą nieoględnością do tryumfu. Dnia 17 sierpnia cała starszyzna wojskowa z Dembińskim, Chrzanowskim, Prądzyńskim, a także z księciem Adamem przybyła do Warszawy. Rząd pięciu rozwiązał się, potwierdzając na dowództwie naczelnem Dembińskiego. Dembiński i Chrzanowski zabrali się z zajadłością do aresztowania sprawców 15 sierpnia, istotnych i domniemanych; Dembiński zamierzał nawet aresztować Lelewela, uważając go za głównego sprawcę rozruchów, lecz to mu wyperswadowano. Swym gwałtownym tonem, militarną impozycyą wobec posłów, swemi groźbami objęcia dyktatury zraził sobie konstytucyjną większość sejmową; ostatecznie zaś, zamiast zdecydować się na objęcie dyktatury, zamiast działać równie stanowczo, jak stanowcze były jego słowa i sądy, niepotrzebnie tylko zwierzał się na prawo i na lewo z zamiarem objęcia władzy, opowiadając o tem takim ludziom, naprzykład, jak Henryk Nakwaski, poseł bracławski, uczestnik klubu Chłędowskich. Gdy ani Dembiński, ani Krukowiecki nie sięgali własną ręką po władzę, gdy lud warszawski wraz z Towarzystwem Patryotycznem okazał się bezsilny i przywódcy Towarzystwa bez trudności i oporu pod straż byli oddani, gdy rząd pięciu się rozwiązał, jedynem siedliskiem władzy pozostawał ów nieśmiertelny w powstaniu Sejm. Sejm więc rozstrzygnął formę rządu, miał być nią nadal rząd prezesa rządu nieodpowiedzialnego z odpowiedzialnymi ministrami, kontrasygnującymi jego rozporządzenia. Kandydatura Dembińskiego na prezesa rządu upadła; konstytucyonaliści sejmowi chcieli wysunąć marszałka Władysława Ostrowskiego, lecz ten sam się gorąco wymawiał od trudnego zaszczytu. Na placu

pozostawał Krukowiecki i on też znaczną większością głosów wybrany został.

Krukowiecki mianowany został gubernatorem przez kaliszan, Niemojowskiego i Morawskiego, obecnie za przeważną sprawą kaliszan, posiadających większość w Sejmie, została ustanowiona nowa forma rządu i na jej czele postawiony Krukowiecki. To też, jako namiestnik króla konstytucyjnego, musiał się oprzeć na tej większości sejmowej; wice-prezesem Rządu został Bonawentura Niemojowski. Pakta, przedtem układane z klubem, nie krępowały obecnie Krukowieckiego, skoro część Towarzystwa Patryotycznego okazała się jemu przeciwna, zaś zwolennicy jego z Mochnackim na czele nic dlań zdziałać nie mogli i bynajmniej nie im, lecz większości sejmowej zawdzięczał swe rządy. To też ze wszystkich przyobiecanych nominacyi doszła do skutku jedynie nominacya Ksawerego Bronikowskiego na wice-prezydenta miasta, zresztą i ta nominacya została sowicie zrównoważona przez zamianowanie gubernatorem zaciętego prześladowcy klubów generała Chrzanowskiego, który też dnia 18 sierpnia zamknął Towarzystwo Patryotyczne, nie bez porozumienia z prezesem rządu. Z drugiej atoli strony, nie mógł zgodzić się Krukowiecki na sąd surowy nad koryfeuszami Towarzystwa; sąd taki mógł się dla niego samego okazać wielce niedogodny i niepożądany, a zresztą trybuni klubowi bezpośredniego udziału w zaburzeniach dnia 15 sierpnia nie brali. Naprzód, na żądanie Krukowieckiego wypuszczony został Zaliwski, uwięziony za niesubordynacyę, później zaś i członkowie Towarzystwa, aresztowani za 15 sierpnia. Skończyło się na rozstrzelaniu czterech podrzędnych uczestników rzezi, ludzi z gminu.

Mochnacki otrzymał wprawdzie przyrzeczenie nominacyi na referendarza przy Radzie Stanu, instytucya ta atoli żadnego znaczenia podczas rewolucyi nie miała i udział w niej, sam przez się, żadnego wpływu na rządy nie dawał. Zresztą, nawet i do tego grona wzdragali się

dopuścić ambitnego rewolucyonistę ostrożni członkowie Rady Stanu, opierając się formalnie na rewelacyach grudniowych komisyi Michała Hubego, która wykryła nieszczęsne zeznania karmelickie. Zresztą, nie mógł on długo łudzić się, by przy nowym Prezesie rządu, który go widocznie zupełnie nie potrzebował, miał zająć jakieś wpływowe stanowisko. Przystał więc jeszcze raz do ostatniej, lecz już bardzo kruchej, próby konspiracyi; klub u Chłędowskich odżył na krótko. Dawne jego pierwiastki, niezmiernie różnolite, zostały przedtem zbite w jedno jako tako solidarne grono jedynie pod wpływem strachu przed Dembińskim i Skrzyneczczyzną, potem zaś podczas wypadków 15 i 16 sierpnia chodziły luzem, działając bezładnie, niezgodnie, poniekąd nawet zwalczając się wzajemnie, teraz zaś znów zaczęły garnąć się do jakowegoś zjednoczenia sił; wyrosłe na nowo świeże a wspólne dla wszystkich niebezpieczeństwo, sojusz Krukowieckiego z wrogami Towarzystwa, przedewszystkiem z Chrzanowskim, a także ze środkiem sejmowym, upadek i Towarzystwa Patryotycznego i Mochnackiego i lewicy sejmowej, te katastrofy, które dotknęły pojedynczo każdy z pierwiastków dawnego klubu *Dziennika Powszechnego* znów połączyły rozbitków niefortunnego spisku w salonie państwa Chłędowskich. Znalazł się tu J. B. Ostrowski z *Nowej Polski*, Majewski z *Kurjera Polskiego*, Lelewel, teraz już wolny od pęt rządowych, posłowie: Zwierkowski, Trzciński, Szaniecki, Chełmicki; klubiści i młodzież 29 Listopada, a więc: Bronikowski, Zaliwski, Wysocki, Nabielak, Krępowiecki, Czyński — i Maurycy Mochnacki [1]. Krytykowano tu ostro działania rządu, mówiono o konieczności odwołania z powrotem, dla wzmocnienia obrony stolicy, wysłanego korpusu generała Ramorino; projektowano

[1] O tych zebraniach opowiada, według relacyi Walentego Zwierkowskiego, Leon Zienkowicz w »Przeglądzie Politycznym Pisarstwa Emigracyi Polskiej«, Paryż 1848, str. 77, 78.

ustanowienie tryumwiratu z Wysockim, Zwierkowskim i Zaliwskim, zaś Maurycym Mochnackim, jako sekretarzem, rozprawiano o rozwiązaniu Sejmu, o odsunięciu od Rządu arystokratów i półśrodkowców. Wątły i kruchy był to spisek, jeśli wogóle te rojenia spiskiem nazwać było można. Któż bo miał go w czyn wprowadzić? Czy ten lud Warszawy, lud 15 i 16 sierpnia, który z zupełną obojętnością patrzał na aresztowanie swych przywódców z poronionego zamachu stanu? Lecz i o tem czczem spiskowaniu dowiedział się Krukowiecki; Wysocki, Zaliwski, Nabielak zostali wysłani do armii, Bronikowski i Krępowiecki otrzymali nagany [1].

Te zabiegi wyrażały już tylko ostatnią beznadziejną próbę ze strony koncentracyi radykalistów pochwycenia steru dogorywającego powstania w swe ręce, w celu prowadzenia walki do upadłego. O dniach tych tak pisał później Maurycy w liście do Matki z dnia 14 stycznia 1832 roku: »Z głębokim żalem w sercu chodziłem i jeździłem po ulicach tej Warszawy, która wkrótce miała się dostać w moc nieprzyjaciela. Napróżno patryotów namawialiśmy, aby się porozumieli między sobą... Napróżno pod przewodnictwem Zwierkowskiego zawiązało się w domu pani Chłędowskiej towarzystwo tajne. Nic zguby naszej odwlec nie mogło. Napisałem wreszcie do Krukowieckiego list pełen wyrzutów«.

List ten, umieszczony w książce Forstera Karola o powstaniu, brzmi jak następuje:

»Warszawa d. 30 sierpnia 1831 roku.

JW. Prezesie Rządu Narodowego.

Ponieważ mimo dwukrotnego rozkazu, w mojej obecności wydanego przez JW. Generała, dotychczas nie otrzy-

---

[1] Wspomnienie o tych knowaniach niegroźnych w liście Krukowieckiego do żony, z 5 września, przed atakiem Warszawy: »Najgorsze przeciw mnie kluby są Czyńskiego i pani Chłędowskiej....« Patrz, Karol Forster: »Powstanie narodu polskiego«, Część II, str. IX.

małem nominacyi, a Sekretarz generalny oświadczył mi, że w tej mierze zachodzą trudności, widzę stąd, że nie wszystko w Rządzie dzieje się podług woli JW. Generała; czyli innemi wyrazami: że partya Kaliska, przeciwna opinii rewolucyjnej Narodu, wzięła przewagę, którą będzie chciała utrzymać chwilową wziętość, jaką ma w Izbie. Z tej okoliczności przewiduję nowe niesnaski między Rządem i opinią publiczną. Przez szacunek dla JW. Generała nie chcę należeć do opozycyi jako powstaniec przeciwko władzy, zostającej pod naczelnym Jego kierunkiem. System kaliski nietylko zdepopularyzuje JW. Generała, ale Jego zgubi i ojczyznę; o tem jak najmocniej jestem przekonany. Ludzie najbardziej skompromitowani, do których i ja należę, głową swoją będą musieli przypłacić za wszystek nierozum, jaki się w kaliskiej formułkowej doktryneryi i kaliskiej prowincyonalnej arystokracyi zawiera. Ponieważ tedy nie mogę być użyty w zawodzie cywilnym dla przyczyn powyższych, a w wojsku dla siedmiu ran, które odniosłem, zostawać nie jestem w stanie, przeto mam honor prosić JW. Generała o uwolnienie mnie od służby.

Mam honor zostawać z głębokiem poważaniem

Maurycy Mochnacki
podporucznik I pułku strzelców«.

Obecnie, gdy Warszawa była już niemal oblężona, potrzeba było silnej, dyktatorskiej władzy, aby uciszyć spierające się, walczące ze sobą o wpływy i udział w rządzie stronnictwa, obozy, aby wszystkim wskazać jeden cel, wszystkich zaprządz do jednego wielkiego dzieła — do obrony miasta i ocalenia powstania. Tymczasem, w Warszawie z największym spokojem urządzano państwo, według maksym politycznych braci Niemojowskich i ich adherentów, którzy nakoniec doprowadzili do utworzenia prawidłowej monarchii konstytucyjnej i korzystali z upodobaniem z prerogatyw większości sejmowej. Łudzono

się w najlepsze, że zdobycie Warszawy jest niepodobieństwem lub że w najgorszym razie zdobycie to okupione będzie tak ciężkiemi ofiarami, iż armia rosyjska, zdziesiątkowana i bezsilna, znajdzie się po owem pyrrusowem zwycięstwie w krytycznem położeniu. Tymczasem zaś nasi niewcześni whigowie z oblężonej Warszawy, ze złowrogim spokojem dawnych Wielhorskich, majaczących w przeddzień rozbioru kraju o niezniszczalności Rzplitej, niezbędnej jakoby dla równowagi politycznej Europy, urządzali się, jak w czasie głębokiego pokoju, obsadzano urzędy, obradowano, zwalczano opozycyę. »Wedle nowej konstytucyi« pisze tym razem trafnie Mierosławski (Tom V, str. 577): »bez ministrów Prezydent ruszać się nie mógł, a raczej prezydenta wcale nie było; ale z drugiej, praktycznej i parzącej strony owi ministrowie ze swoim Prezydentem nic już do czynienia nie mieli w Polsce zredukowanej do obozu pod Warszawą. Obecna realność wymagała właściwie Wodza-Gubernatora, bez haftów, frendzli ni kutasów żadnych, ale nie od dzisiaj powstanie zerwało z realnością, od realności odwykło i żyło w tym śnie państwowym, z którego przebudzić się nie miało aż na Sybirze lub emigracyi. I Krukowieckiemu tedy musiało się śnić, że ma być Prezydentem w radzie ministrów«.

Mochnacki widział obecnie, iż on to przykładał rękę do wyniesienia Krukowieckiego, które było chyba tylko po to potrzebne, aby dopomódz do udoskonalenia owej efemerycznej tekturowej budowy konstytucyjno-monarchicznej, którą wznoszono niemal już pod strzałami armat rosyjskich. »Jasnowidny Mochnacki doznawał teraz najokropniejszej męczarni« mówi Mierosławski (Tom VII, str. 405): »oto w całym narodzie on jeden do głębi patrzał w przepaść, do której niecofniętym obłędem leciało powstanie, a czuł się najnieużyteczniejszym z Polaków, by je choć na jedną dobę powstrzymać nad wieczystą tonią!«

Był jednak ktoś, oprócz Mochnackiego, w czyjej piersi wrzały te same płomienne uczucia, tkwiła wola, pragnienie prowadzenia walki do upadłego, wszelkiemi środkami, które dyktuje ostatnia potrzeba, rozpacz. Był to zwyciężony współzawodnik Krukowieckiego, generał Henryk Dembiński. Na radzie wojennej 19 sierpnia wystąpił Dembiński z planem, uznanym przez strategów powstania za szalony; radził opuścić z armią Warszawę, iść na Litwę, zająć tam tyły armii rosyjskiej, wzniecać wszędzie powstanie, prowadzić właśnie ową wojnę nomadyczną i podjazdową na wielkich przestrzeniach, o jakiej marzył jeszcze w lutym Mochnacki; w razie zaś niepowodzenia i tej walki, snuły się po głowie Dembińskiemu jeszcze zuchwalsze plany — wkroczenie do Galicyi, wzniecenie tam powstania, przeniesienie pożaru rewolucyi i wojny do Węgier... Już wówczas dziwnem jakby przeczuciem wybiegał myślą do tego kraju, również wówczas ciemiężonego, w którym miał walczyć z taką chwałą w lat 18 później. Te »szalone« pomysły Dembińskiego jakże bardzo przypominają to, co Maurycy pisał jeszcze 14 lutego: »My przyjęliśmy systema wojny odpornej, systema zgubne, niebezpieczne dla każdego narodu, tak szczupłe liczącego zastępy, tak szczupłe posiadającego zapasy... Sprobujmy ogarnąć myślą naszą kolosalny plan wojennej wyprawy! plan wyższy nad wszelkie przeciwieństwa losu! spróbujmy wtargnąć z tą siłą na Wołyń, Podole, Ukrainę. Tym sposobem ośmielimy Turków, Persów i Kaukaskie ludy, niesfornie znoszące rosyjską supremacyę. Tym sposobem w ośmiu guberniach rozszerzymy powstanie, staniemy się panami wszelkich dostatków i wszelkiego sprzętu wojennego... Powie kto: to szaleństwo i nierozum. Odpowiadamy: śród niebezpieczeństw szaleństwo i rozpacz są najwyższą mądrością, a roztropność nierozumem. Ta cała rewolucya od początku do końca jest i powinna być nieprzerwanym ciągiem działań natchnionych przez rozpacz i szaleństwo, bo tylko rozpacz i szał szczupłe pomnaża

siły. Na drodze zwyczajnej wszelkie kombinacye nasze głucha zatrze niepamięć«.

Gdy na radzie wojennej 19 sierpnia roztropni stratedzy, którzy sądzili, że Warszawa jest niezdobyta, wzruszali ramionami nad szaleństwem Dembińskiego, wówczas tego samego dnia 19 sierpnia w *Dzienniku Powszechnym* drukowano rzecz Mochnackiego »Konfederacya Barska«, tchnącą tym samym duchem wędrownej, partyzanckiej wojny, nie znającej kresu, jak te olbrzymie przestrzenie, po których według idei autora miała się wojna rozlać. Czy mógł plan Dembińskiego rokować zwycięztwo, któż to dziś może przesądzać! Wielkie, śmiałe, genialne przedsięwzięcia zawsze wydawały się szalone i beznadziejne — dopóki nie zostały spełnione. Czyż mogłyby roztropne rady wojenne nie uznać za szaleństwo takich przedsięwzięć, jak pochód Aleksandra Wielkiego przez Azyę, wyprawa Karola XII na Piotra pod Narwą i na Polskę z garścią żołnierzy, wyprawa Napoleona do Egiptu, gdyby nie wciągały do swej kalkulacyi jednego czynnika — iskry bożej, geniuszu wodza, który te szaleństwa zmieniał w tryumf? Czyż i w historyi wojen polskich rozważna strategia, na cyfrach oparta, mogła przewidzieć Kirchholm, Chocim, obronę Częstochowy, sukcesy Stefana Czarneckiego, Racławice, Iganie? Czyż mógł czuć się przekonany roztropną uchwałą strategów 19 sierpnia Dembiński, on, który został gruntownie przegłosowany, jako szaleniec, gdy chciał z garścią żołnierzy przedrzeć się z Litwy do kraju, i przez rozsądnych generałów Giełguda, Chłapowskiego, Rolanda, którzy roztropnie broń złożyli w Prusach, i przez oficerów własnego korpusu, a jednak myśl swą szaloną świetnie wykonał! Ten, który osiągnął tak znaczny sukces z tak nikłemi siłami, miał prawo spodziewać się, iż z sześćdziesięciotysięczną armią i stukilkudziesięciu armatami dokona wielkich rzeczy. W każdym razie dziś wiemy, że ta regularna, systematyczna, rozważna wojna, której myśl zaszczepił powstaniu Chłopicki, zamknięta w granicach kongresówki, tuląca się

trwożnie złudnym instynktem do owej niby niezdobytej Warszawy, która w ciągu dwóch dni została wzięta szturmem, że taka wojna doprowadziła do zupełnej klęski. Nic gorszego z najbardziej szalonych planów wyniknąć nie mogło i w każdym razie nie ci generałowie, którzy za 3 tygodnie poddadzą Warszawę i podążą już bez dalszego oporu do granicy pruskiej, mieli prawo drwiąco mówić wówczas, 19 sierpnia, o »lisowczykach«, na jakich Dembiński chce przerobić regularną armię polską.

Wydawałoby się, że nie na Krukowieckiego, lecz na Dembińskiego raczej powinny były zwrócić się oczy Mochnackiego. Od całej postaci Dembińskiego, przy wszystkich jej brakach, bije wielka poezya nietylko szczerego patryotyzmu, który u ludzi powstania listopadowego był pospolity, lecz i śmiałego, bohaterskiego czynu, który był żywiołem Mochnackiego, a który był tak rzadki w tem pokoleniu. W początkach już powstania, wówczas gdy dyktator obmyślał swój przemądry plan układów z Petersburgiem, Henryk Dembiński, wtedy dymisyonowany kapitan i ziemianin, redaguje adres w imieniu obywateli powiatu miechowskiego. Adres był jakgdyby poparciem tych myśli, jakie głosił od początku powstania Mochnacki. »Wiadome nam są od dnia 3-go wypadki warszawskie« opiewał ten adres, noszący datę 13 grudnia 1830 roku: »wiadome i poświęcenie wasze w chwili, gdy groźna burza czyniła trudniejszem kierowanie nawą, lecz nie wynurzyliśmy wam dotąd naszych uczuć, nie dlatego, abyśmy waszego poświęcenia nie umieli ocenić, lecz dlatego, że we wszystkich waszych czynnościach aż do dnia 3 grudnia nie widzieliśmy nic więcej, jak chęć przywrócenia porządku, wyjednania popraw i rękojmi wykonania nadal konstytucyi... Nie popraw konstytucyi, która dotąd nigdy wykonaną nie była, nie zmiany tego lub owego rozporządzenia żądamy, lecz chcemy, aby szlachetna nasza ojczyzna stanęła między narodami europejskimi w przynależnym jej rzędzie. Gdy działać będziecie w tym duchu,

Szanowni Mężowie, bądźcie przekonani, że wszelkich od nas ofiar żądać możecie, że im więcej zażądacie, tem wdzięczniejszymi wam będziemy«. Dalej przypomina słowa Ségura: »Polacy w czynach więcej obiecują, jak podobieństwo wykonać dozwala, w wykonaniu zaś samem więcej robią niżeli obiecują« i mówi: »Wydobyty został nakoniec miecz z niewolniczej pochwy, odrzućmy ją daleko od siebie. Przybiliśmy do brzegu, długo miotani falą nieszczęścia, spalmy okręt, niech słaby, jeżeliby który znalazł się, nie widzi nadziei odwrotu. Nie odrzucajmy cudzej pomocy, lecz nie spuszczajmy się bynajmniej na nią, ufajmy sobie, sobie jedynie i Bogu, a będziemy mocnymi«.

Pod piórem Dembińskiego słowa te nie były czczym frazesem, była to żywa wiara i natchnienie czynu. Dwa bohaterskie duchy powstania, Dembiński i Mochnacki, obdarzone czujnym instynktem ocalenia sprawy, ożywione od początku gorącem pragnieniem walki na śmierć i życie, nie spotkały się ze sobą w czasie rewolucyi i nie zjednoczyły swych wysileń dla ocalenia powstania [1]. Ze strony

[1] Nie ulega wątpliwości, iż nie mniej bohaterstwa i jasnego poglądu na konieczność nieubłaganej wojny, a daleko więcej talentu wojskowego i umiejętności posiadał od Dembińskiego Prądzyński, który do tego wolny był niemal zupełnie od przesądu i fanatyzmu polityczno-stronniczego. Lecz sam Prądzyński wyznaje, że »brakowało mu pierwszego i najważniejszego przymiotu naczelnego wodza, jakiemi są: znajomość ludzi, umiejętność rozkazywania ludziom i wzbudzania w nich bojaźni, co właśnie tak bardzo potrzebnem było... wśród wzburzenia rewolucyjnego« i uważa, iż »Prądzyńskiego właściwem miejscem było zawsze szefostwo sztabu, ale przy wodzu, któryby był prawdziwym żołnierzem, umiał rozkazywać ludziom i obdarzony był wrodzoną tęgością«. (Pamiętniki, Tom I, str. 532, 533). Charakterystyczne są wyznania Prądzynskiego, iż nawet, pisząc pamiętniki, nie umie odpowiedzieć na pytanie, czy dobrze zrobił, ulegając tak długo woli Skrzyneckiego, pomimo, iż widział od początku całą zgubność jego postępowania (Tom II, str. 574). — Nie trafne byłoby czynienie zarzutu Mochnackiemu lub ubolewanie nad tem, iż nie próbował zbliżyć się do Prądzyńskiego, bo ten genialny strategik »cnotliwym Cromwellem« zostać w żadnym razie nie był zdolny.

Mochnackiego zetknięcie się ich i współdziałanie nie napotkałoby z pewnością na żadną zaporę, przeszkody jedynie pochodzić mogły ze strony Dembińskiego. Dembiński, nieustraszony wobec wroga, słaby był wobec wpływu tej fakcyi, o której Mochnacki w lutym jeszcze pisał: »przeraża ich gwar ludu, zatrważa mas powstanie. Obawiają się tego, jak fali wzburzonego morza, jak morowego powietrza, jak wezbrania wód i ognia«. Stąd zabobonna jego trwoga przed klubem, przed mniemanymi jakobinami powstania, w rodzaju Lelewela; stąd mylne, fałszywe odwrócenie jego uwagi, dzięki nawoływaniom alarmistów, przeciwko rzekomej rewolucyi społecznej, która miała być kardynalną zaporą powodzenia sprawy polskiej.

Nie chciał pojąć Dembiński, że popularność, zresztą bardzo platoniczna, malkontentów i wichrzycieli w Warszawie była tylko refleksem niedołęstwa kampanii, że gdyby powstanie pomknęło szlakiem bohaterstwa i zapału, wówczas retorzy Honoratki albo musieliby zamilknąć, rażeni powszechnem oburzeniem, albo obracaliby się wyłącznie w szczupłem kółeczku organicznych nieuleczalnych malkontentów. Najlepszą walką z anarchią wewnętrzną było zerwanie z niedołęstwem kampanii wojennej, z kunktatorstwem, z fatalną tradycyą Skrzyneczczyzny; namiętne ściganie klubistów, wobec bezczynności bojowej, było tylko świadectwem smutnego zaślepienia, które źródła złego wykryć nie umiało czy nie chciało. W chwilach zapału powszechnego, tak nielicznych, niestety, dzięki tym przywódcom powstania, którzy gorliwie »przykładali lód do bijącego gwałtownie serca Polski«, milkły wszelkie kasandry klubowe, jak naprzykład w chwili powrotu Dembińskiego z Litwy, entuzyazm ludności dla bohaterów był tak wielki, że retor Sali Redutowej w takich chwilach nie znalazłby ani jednego słuchacza. To usposobienie ówczesne ludności powinno było stać się zbawienną wskazówką dla Dembińskiego, a jednak z nauki tej nie skorzystał, zapał powszechny zmarnował. I tak poszedł dalej fatalnym

śladem Skrzyneckiego i Chłopickiego, w których duszy wielki, samorzutny, żywiołowy ruch, zapał ludowy budził trwogę, niechęć i gniew; wychowani na doktrynach, wyrosłych na tle reakcyi po Wielkiej Rewolucyi Francuskiej, nienawidzili poruszenia ludu, siłę narodową widzieli tylko — w zorganizowanych tradycyjnych formach, a więc w sejmie, rządzie, wojsku regularnem. Wydawało im się, że z ruchu ludowego może wyniknąć tylko chaos, anarchia, zamęt, terror. Nie chcieli pojąć tego, że w tych żywiołowych poruszeniach mas objawia się nieoceniona siła, która marnuje się, wykoleja, dostaje pod komendę Brawackich, Korytków, Matuszewiczów, Szynglarskich, dla tego że popularni, władni mężowie nie chcieli tej siły ująć, uchwycić, opanować i nadać jej właściwego ruchu — odśrodkowego, wyzyskać ją do wielkiej walki narodowej. Wszystkich tych gapiów i dziwowidzów czczych zgromadzeń ulicznych, wszystkich tych opętanych przez szał i rozpacz, wzburzonych wieścią zdrady i niepojętem widowiskiem niedołęstwa wodzów, uczestników zaburzeń mógł był wódz popularny poprowadzić bodaj w piekło walki z istotnym nieprzyjacielem, — gdyby wodzowie rewolucyi listopadowej raczyli byli zstąpić do gminu, przyłożyć ucho do serca ludu.

Mochnacki ze swym uniwersalizmem rewolucyjnym, gotowy użyć wszelkich środków dla ocalenia sprawy, z pewnością nie wahałby się zbliżyć do Dembińskiego, nie odstraszyłaby go zabobonna nienawiść Dembińskiego do Towarzystwa Patryotycznego; wszak przemyśliwając nad dyktaturą Skrzyneckiego, miał Mochnacki na myśli zamknięcie Towarzystwa Patryotycznego, z którem wówczas już nic go nie łączyło, i oczekiwał jedynie dobrego skutku po zgaszeniu tego ogniska jałowych rozpraw. Lecz czyż Dembiński, otrzymujący informacye od Aleksandra Wielopolskiego i innych młodych halucynantów na temat rewolucyi socyalnej, zgodziłby się na zbliżenie do Mochnackiego, na którym tkwiło piętno czerwonego jakobina, pozostałość

klubu grudniowego? Z pewnością odtrąciłby go pogardliwie, jak odtrącił księdza Pułaskiego, uważając go za człowieka tej samej, co ksiądz Pułaski, kategoryi [1].

To też dopiero na schyłku życia Mochnackiego, Dembiński go ocenił — za późno. Pierwszy atoli na pokrewieństwo ich dążeń w powstaniu uwagę zwrócił Mochnacki. W swych pismach emigracyjnych o opinii Dembińskiego, 19 sierpnia na Radzie wojennej złożonej, pisał, iż czyniła zaszczyt autorowi i »najwięcej może przypadała do miary z charakterem prawdziwie narodowego powstania, z charakterem tej wojny scytyjskiej, której śmiałą ideę on niedawno tak wymownie rozwinął«. Uważa jednak, że »co do momentu egzekucyi i ze względu na obrót, jaki sprawa wzięła od początku, myśl ta zajmująca, powabna zbawićby nas wtenczas nie mogła«; wobec stanu, do jakiego już wówczas powstanie doprowadzono, projekt generała »był tylko świetną chimerą« [2].

[1] Dobrą miarę zaślepienia fakcyjnego generała Dembińskiego daje jego rzecz: »Rzut oka na ostatnie wypadki Rewolucyi Polskiej«, napisana w odpowiedzi na rozprawę K. A. Hofmana: »Cztery powstania«, drukowaną w piśmie »Kraj i Emigracya« z r. 1836. Zacięcie broni tu Dembiński głównych sprawców klęski, Chłopickiego i Skrzyneckiego. Źródło niepowodzenia powstania widzi w »poduszczeniach klubu, czyli tak zwanego Towarzystwa Patryotycznego«, samo zaś Towarzystwo piętnuje, jako »wielki warsztat, gdzie się organizowała początkowo potwarz, chytrze i starannie gotująca swe ofiary, a później morderstwo, mające je zgładzić«; przyznaje, iż od początku w tym »ohydnym zbiorze« widział ludzi, kopiących grób dla ojczyzny. Gorąco protestuje przeciwko domniemaniu, jakoby odezwa jego pióra, w imieniu obywateli obwodu miechowskiego 13 grudnia 1830 roku napisana, była wówczas wymierzona przeciwko działaniom rządu; usiłuje dowodzić, że działania rządu były z tą odezwą w zgodzie.

[2] Z pamiętników Prądzyńskiego wiemy, iż to on pierwszy gwałtownie rozwijał jeszcze w grudniu przed Chłopickim, a później w styczniu przed Radziwiłłem myśl prowadzenia małej wojny, tak drogą Mochnackiemu, a tak zaniedbaną w powstaniu listopadowem. Patrz Pamiętniki, Tom I, str. 266, 274; a także Tom IV, Dokumenty: Nr 4

Generał Dembiński dopiero w swej mowie na obchodzie pogrzebowym Mochnackiego wyznał, iż błędne miał niegdyś o Mochnackim mniemanie, i wyrażał żal, iż nie wypadło im wspólnie działać w rewolucyi [1]. »Byliśmy sobie przeciwni« mówi tu: »ledwie nie powiem, nieprzyjaciółmi, obwinialiśmy się we własnem przekonaniu wzajemnie przez lata długie; a jedna krótka chwila rozmowy, jedno wynurzenie wzajemne myśli, jakie dla ratunku Ojczyzny nas ożywiały i ożywiają, zrobiło nas łącznemi, i jedyne uczucie, jakie między nami zostało, był żal, żeśmy się nie poznali wcześniej i wtedy, kiedy ratunek Ojczyzny był łatwy, kiedy może połączone usiłowania nasze inny rzeczy całej mogły nadać obrót — poznaliśmy, acz późno, że na jednej wtedy byliśmy drodze, i Mochnacki ze szlachetnością, właściwą wyższym umysłom, niektóre swe błędy przyznając, przekonał mnie, że i ja w mylnem co do niego i Jego charakteru byłem mniemaniu«. Po tej sprawiedliwej i szlachetnej mowie oczekiwalibyśmy jedynie bardziej dobitnego uznania tej prawdy, że nie żadna zmiana przekonań i opinii ze strony Mochnackiego, lecz jedynie bliższe jego poznanie przez generała umożliwiło ich zbliżenie na wychodźtwie; Mochnacki bowiem od sierpnia 1831 r. aż do końca życia bynajmniej zasadniczo opinii swych nie zmieniał.

Sierpniowe wypadki włożyły Maurycemu pióro do ręki napowrót, po przerwie półrocznej. Nie w organach

---

na stronie 26, Nr 7 na stronie 32, gdzie podaje szczegółowy »podział kraju celem urządzenia małej wojny«. Mochnacki co do planów wojskowych Prądzyńskiego, zwłaszcza co do rzekomej jego teoryi trójkąta strategicznego: Modlin, Serock, Praga, był wprowadzony w błąd, zdaje się, przez Chrzanowskiego. (Patrz Prądzyński, Pam. Tom I, strona 263).

[1] »Mowa generała Henryka Dembińskiego, z okazyi odbytego w Paryżu obchodu żałobnego po ś. p. Maurycym Mochnackim napisana«. Obchód ten odbył się 12 stycznia 1835 r. w Paryżu. (Patrz Bibl. Akad. Umiej. w Krakowie. Teka Emigracyjna, Tom VII, 1835 r. str. 861).

Towarzystwa Patryotycznego *Nowej Polsce* lub *Gazecie Polskiej*, umieszcza teraz swoje artykuły, lecz w *Dzienniku Powszechnym* Chłędowskiego. Bierze za pióro w podobnych poniekąd okolicznościach, jak i w styczniu. Wziął wtedy za pióro 26 stycznia, wówczas gdy łudził się, że uda się Towarzystwu Patryotycznemu, w którem rej wodził, stanąć ponad Sejmem; 27 stycznia, po odrzuceniu adresu Towarzystwa przez Sejm, rozpoczął szereg artykułów, gromiących Izbę Poselską; poczem szał jego polemiczny niebawem ucicha, Maurycy opozycyi chronicznej w powstaniu czynić nie pragnął; od 1 lutego rozpoczynają się artykuły, wolne już i od ambicyi brania udziału w rządzie i od narzekań na Sejm i Rząd, Mochnacki ogarnia wzrokiem, przenika duchem cały ogrom sprawy narodowej, znikają z przed jego oczu ludzie, partye, zgromadzenia, wielkiemi liniami kreśli idealny obraz wojny narodowej, jaki powstaje w jego twórczej głowie, maluje go wspaniałemi, ognistemi barwami, jakich mu dostarcza jego wyobraźnia płomienna i jego serce gorejące, i wreszcie łamie pióro, chwyta karabin i idzie do powstania.

Ta sama niejako kolej panuje w jego artykułach sierpniowych. W artykule pierwszym z 17 sierpnia Mochnacki nie wie jeszcze, jaki będzie *novus rerum ordo*. Na 15 sierpnia patrzy, bez zgrozy, lecz i bez idealizacyi, okiem polityka-patryoty przedewszystkiem, jako na objawienie surowej groźnej siły rewolucyjnej w ludzie. Siłę tę należy zużytkować, lecz jak? Można ją umieścić w Rządzie Narodowym, przez kreacyę nowego rządu, złożonego z osób popularnych i żarliwych patryotów, lub też w Sejmie, przez dopuszczenie doń osób, reprezentujących opinię publiczną; w przeciwnym razie, siła ta ulokuje się sama w Towarzystwie Patryotycznem. Środek to najgorszy — lecz siłę tę gdzieś podziać trzeba. Artykuł ten pisany był bezwątpienia po niefortunnem wystąpieniu Mochnackiego na rzecz jedynowładztwa na zebraniu Towarzystwa Patryotycznego dnia 16 sierpnia. Myśl wskrzeszenia jedyno-

władztwa została na tem zebraniu przyjęta nienawistnymi okrzykami ludu, i oto Mochnacki, widząc, że jedynowładztwo jest zupełnie niepopularne już w Warszawie, szuka sposobu umieszczenia owej siły rewolucyjnej, jako motoru dalszej wojny narodowej. Łudził się jednak lub zdawał się łudzić Mochnacki co do potęgi owej siły rewolucyjnej, objawionej 15 sierpnia: »Oszukać jej niepodobna, bo jest wszystkowiedząca i przenikliwa. Zawojować jej nie wypada orężem, bo wewnętrzną domową wojną zginiemy«. Nazajutrz się okazało, że oszukiwać tej siły nawet nie potrzeba, że zwojować ją nader łatwo i że wojna domowa z tego powodu nie groziła. Znajdziemy w tym artykule charakterystyczne zastrzeżenia: »Nie jestem ani demagogiem, ani jakobinem, ani terorystą. Z pism, które przed rewolucyą ogłaszałem, przekonam wszystkich moich nieprzyjaciół, że zdaniem, ugruntowanem na zasadach prawdziwie chrześcijańskiej filozofii, przechylam się na stronę tych teoretyków politycznych, którzy nienawidzą społecznego zaburzenia«.

Artykuł następny z 18 sierpnia zaczyna od piętnowania »nieuków politycznych«, którzy twierdzą, jakoby »stronnictwo moskiewskie kabałami swemi zrządziło zaonegdajsze pospólstwa wzburzenie«. Mierzy tu Mochnacki w generała Dembińskiego, który w odezwie do wojska z 17 sierpnia wypadki 15 sierpnia tłomaczył działaniem »stronnictwa rosyjskiego« [1]. Mochnacki podkreśla tu i dodatnią stronę zaburzeń: »Są pośród nas zaczajeni stronnicy Moskwy, są obojętni wielbiciele fortuny, na czyjąkolwiek stronę się przechyli... Niechby w najgorszym razie kilka-

[1] Ten pogląd wypowiedział i ustępujący Rząd Narodowy w komunikacie z 20 sierpnia do mocarstw: »La Russie a su saisir le moment favorable pour souffler de la discorde et pour pousser le public à des actes illégaux«. Jeśli nawet istotnie 15 sierpnia działali agenci rosyjscy (Boski — według Dembińskiego), miało to znaczenie jedynie dodatkowe i nie zmienia zasadniczo charakteru wypadków.

naście granatów pękło w mieście, a wnet zbiegłszy się, wołaliby razem: poddajmy się!« Wobec wypadków 15 sierpnia ci wszyscy »we śnie nawet nie pomyślą o kapitulacyi«. Że Mochnacki nie walczył tu z widmami własnej wyobraźni, tego już dowiodły pierwsze chwile po bitwie grochowskiej. Wtedy już do Antoniego Ostrowskiego, dowódzcy gwardyi narodowej, przybyła deputacya, mieniąca się deputacyą gwardyi narodowej, i wyraziła życzenie, aby stolica została opuszczona przez wojska narodowe i pozostawiona własnym układom z nieprzyjacielem. Ostrowski miał słabość zaprowadzić tę deputacyę do Sejmu, Sejm odesłał ją do Rządu i wodza. Barzykowski przyznaje wprawdzie, że należałoby tę deputacyę, w której znajdowali się wojskowi, pod sąd oddać, lecz dodaje do tego uwagę: »Rząd atoli, terroryzm w zasadzie potępiając, nie chciał zbytnią surowością się posługiwać, w kroku deputacyi widział więcej lekkomyślności, niż złego zamiaru i postanowił być łagodnym«. Nikogo więc z uczestników deputacyi, nie wyłączając wojskowych, nie spotkała żadna nieprzyjemność. Czyż, wobec tak wypróbowanej wyrozumiałości rządu, nie musiała ludność uciekać się do własnych skutecznych środków przeciwko aspirantom do przedwczesnej kapitulacyi, wśród groźnego położenia miasta?

I znów w tym artykule znamienne zastrzeżenie: »Niechaj nikt zdań moich nie nakręca na fałszywą drogę wichrzącego społecznym porządkiem jakobinizmu. Co tu powiedziałem, wynika z natury rzeczy, z musu okoliczności naglących, a nie z teoryi politycznej, którą się brzydzę«.

Artykuł ten pisany widocznie 17 sierpnia wówczas, gdy losy nowej formy rządu jeszcze się ważyły. Nareszcie atoli rząd już wybrany. Mochnacki pisze artykuł, umieszczony 19 sierpnia. Wyraża swe zaufanie do nowego prezesa rządu, jednocześnie zaś go ostrzega: »System ten władzy powinien być rewolucyjny, gdyż z rewolucyjnego wyniknęły zaburzenia«, przestrzega przed powoływaniem

do rządu nowego osób, które figurowały w zniweczonym systemie. Dalej w słynnym ustępie: »Co powie Europa? Co rzekną sąsiedzi« ostro krytykuje dyplomacyę powstania, która liczyła na gabinety europejskie. Wypowiada wreszcie opinię, iż nie gabinety, ale ludy są naszymi sprzymierzeńcami; i to złudzenie Mochnackiego rozwiało się niebawem na wychodźctwie.

20 sierpnia umieszcza obszerny artykuł: »Restauracya Polski«, owoc, widocznie, długich rozmyślań i doświadczeń, w rewolucyi osiągnionych. Rzuca pytanie: »czemże powstajemy, czy tą Polską, której widzenie autorowie dziwolągów politycznych w swoich snach miewają, czy ową starą Polską, która niegdyś w rzędzie europejskich mocarstw niepoślednie miejsce zajmowała!« Rozstrzyga pytanie na korzyść zasady historycznej: »Polska sprawa... jest to dzieło odzyskania, jest restauracya i akt narodowej pamięci, z długiego przebudzonej letargu«. Widać w całym tym artykule formułowanie myśli, które oddawna już nurtowały autora, ton artykułu jest polemiczny, mówi o »mędrkujących teoretykach«, »autorach dziwolągów politycznych« i jakgdyby spór z nimi prowadzi. Jest to na sześciomiesięcznem doświadczeniu oparta odpowiedź na owe głosy doktrynerów literackich, które na szpaltach *Nowej Polski* w styczniu wołały: »chcemy zupełnie nowej Polski!«, które oświadczały, że dzieło 29 listopada nie jest to tylko powstanie, lecz — rewolucya moralna, naukowa, religijna, polityczna, społeczna. Jest to z pewnością obrachunek nietylko z dawnemi oświadczeniami J. B. Ostrowskiego, J. L. Żukowskiego, A. Gurowskiego, lecz i z własnemi Maurycego wątpliwościami, uniesieniami, którym podlegał na progu wielkich wypadków. Wówczas już, wprawdzie, nie solidaryzował się z głosami *Nowej Polski* i na zebraniu inauguracyjnem Towarzystwa Patryotycznego 19 stycznia już oświadczał, że rewolucya nasza nie ma nic wspólnego z francuską, której celem była zmiana stosunków towarzyskich. Teraz, jednak, wraca do grunto-

wniejszej rewizyi haseł, wygłaszanych ongi przez pisarzów *Nowej Polski*. Nie polemizuje tu z ową wyblakłą, spłowiałą *Nową Polską*, jaką spotykamy w czerwcu, lipcu, lecz z ową styczniową dawną, pełną nadziei, przemawiającą dumnym językiem; już bowiem podczas sprawy Reformy Rządu organy początkowo radykalne objawiły zupełny oportunizm zasad i, drżąc przed dyktaturą wojenną, z instynktu samozachowawczego partyjnego, przesadzały się w pochwałach dla Sejmu i Rządu; 5-go zaś lipca J. B. Ostrowski w artykule »Zdrowy rozsądek« w *Nowej Polsce* cynicznie, jak na protagonistę nowej Polski, wyznał: »Co nas obchodzi rzeczpospolita, co rojalizm... Naśladujem roztropność Roterdamczyka«.

W artykule »Restauracya Polski« Mochnacki wraca myślą i duchem do swych rozważań przedrewolucyjnych. Po krótkim okresie zamętu odnajduje samego siebie, skoro tylko zdobył nieco czasu i spokoju, aby się głębiej zamyślić nad położeniem narodu. Już 17 sierpnia pisze, iż z pism, które przed rewolucyą ogłaszał, przekona swoich nieprzyjaciół, że nienawidzi społecznego zaburzenia. Teraz nawiązuje nić z owemi dawniejszemi dumaniami; gdy pisze, że »polska sprawa jest to akt narodowej pamięci z długiego przebudzonej letargu« powtarza nieledwie dosłownie to, co kładł ongi jako zasadę owego poznania przez naród siebie w swem jestestwie: »aby za każdem uderzeniem pulsu i w każdem nieledwie tchnieniu naszego życia wywijało się z zapadłej niepamięci zatracone narodu jestestwo«, lub co pisał o zatracie pamięci przez naród: »W umyśle jego jest także pamięć, którą stracić może. W umyśle narodu może także ściemnieć i zgasnąć wewnętrzny świecznik«.

Była chwila w powstaniu, gdy Mochnacki napisał płomienne wezwanie do nadania naszej rewolucyi charakteru socyalnego, to jest do uwłaszczenia i istotnego równouprawnienia włościan, — w artykule »Być albo nie być« z 2 lutego. Od tego czasu, atoli, przekonał się, że

warstwa zwierzchnia okazała się niechętna reformie społecznej, lud zaś nie był zdolny do samoistnego ruchu, na próby zaś poruszenia mas, wobec groźnego niebezpieczeństwa najazdu, było już zapóźno. Ów przewrot towarzyski, o którym marzyli i rozprawiali z początku młodzi rewolucyoniści, nie zdolny stać się czynem, sprowadził się li tylko do czczej walki na słowa i pióra, która pochłaniała siły ludzi, a co gorsza, owe buńczuczne słowa, chełpliwe odgróżki, które się obijały o sklepienie Sali Redutowej, straszyły jedynie obóz zachowawczy widmem jakiejś rewolucyi socyalnej, wywoływały ciągłe pogotowie bojowe przeciwko rzekomym jakobinom, wtedy gdy nieprzyjaciel wkrótce miał zalać kraj i zapędzić w sybirskie śniegi obydwie kłócące się partye zacietrzewionych zaślepieńców.

Rozmyślając nad tem, przyrównywał Mochnacki na emigracyi rewolucyę naszą do »płodu zbyt skwapliwego, który się podrzuca w brzemieniu i targa na wszystkie strony«.

»Teraz tylko o to idzie, żeby być« pisze 20 sierpnia: »Lecz my tak działaliśmy od nocy 29 listopada. jakby Polska istniała w całej mocy swojej i rozległości. A zatem chcieliśmy być narodem przed narodzeniem się politycznem«.

»Przeminęła noc 29 listopada! Aliści natychmiast zjawili się między nami alarmiści, którzy strasząc samych siebie, publiczną także trwożyli opinię. Obawa ta wznieciła reakcyę«.

»Prześladowanie zrodziło opór... Jedni drugich przezywali wichrzycielami, Ateuszami, Robespierrami, Maratami. Ci, oddając wet za wet, nazywali tamtych arystokratami, absolutystami i ultra-rojalistami. Potworzyły się nazwiska bez rzeczy«.

»Stronnictwa różno-licowe w wielkim tylko i niepodległym narodzie być mogą. W powstającej zaś Polsce zjawiły się tylko fakcye, których istotą była i jest niedołężność«.

»Nie mając rzeczywiście przemożnych stronnictw w kraju, zyskaliśmy reprezentantów i wyobrazicieli tych stronnictw w gazetach. Niektórzy tak pisali, jakby na sprawdzenie i utwierdzenie swoich mniemań ogromne massy burzliwego pospólstwa, przy odgłosie bębnów i piszczałek wezwać mogli lub chcieli; drudzy zaś, jakby w samej rzeczy obawiać się należało ulicznego zgiełku i rusztowań dla teoretycznego nieporozumienia«.

Wzywa więc Mochnacki wszystkich Polaków, aby, uznawszy, że akt dźwignienia się z pod jarzma socyalną poprzedza naprawę, rozwinęli wszystkie siły, fizyczne i umysłowe, polskiego narodu do walki.

Mochnacki żywo i głęboko czuł konieczność opanowania waśni wewnętrznej wobec strasznego niebezpieczeństwa. Tymczasem, właśnie rozgoryczenie obozów przeciwko sobie wzrosło pod koniec powstania do tego stopnia, iż tryumf fakcyi wrogiej uważali niektórzy za groźbę nie mniejszą od upadku powstania. »Na cóż nam się zda Polska« pisze Krukowiecki w liście do żony z 5 września 1831 roku, już gruntownie pokłócony z dawnymi klubistami: »jeżeli ma egzystować pod wpływem takich ludzi, jak Pułaski, Szynglarski, Czyński etc.!« [1] Jakby w odpowiedzi na takie głosy zawołają niebawem na emigracyi Kręppowieccy, iż jeśli Polska ma być nadal w ręku szlachty, lepiej, aby jej wcale nie było. *Ambo meliores*.

Gdy owo wezwanie do restauracyi Polski mogło ściągnąć na autora zarzuty, iż chce wskrzesić instytucye, które już się przeżyły, wyjaśnia Mochnacki w artykule »Restauracya i rewolucya« z 22 sierpnia, iż myśl politycznej restauracyi »mieści się w umiejętnem zastosowaniu do tego dziedzictwa świetnych pamiątek dzisiejszej kultury, dzisiejszych potrzeb i wiadomości, w tem wynalezieniu i niejako odgadnieniu zatraconego jestestwa naszego z bacznym i rozumnym względem na liczne, któ-

[1] List, umieszczony w książce K. Forstera.

remi je czas przekształcił, zmiany i modyfikacye«. Wyznaje więc zasadę ewolucyi.

W tym jeszcze artykule rozważa Mochnacki, jaka powinna być rewolucya polska i konkluduje: »taką rewolucyę mamy dzisiaj w rządzie, w charakterze prezesa tego rządu«. To ostatni już jego akkord na cześć Krukowieckiego. Jak w lutym, niegdyś, rozczarowany do wszystkich żywiołów warszawskich, sejmu, rządu, klubu, odwracał wzrok z niechęcią od stolicy i zwracał go ku obszarom ziemi polskiej, podobnie i teraz, straciwszy ułudną wiarę w mniemaną dłoń żelazną Krukowieckiego, stwierdziwszy nicość niefortunnej rewolucyi miejskiej dnia 15 sierpnia, nie ma już na czem oprzeć wzroku i nadziei w Warszawie, wybiega więc myślą poza rogatki miejskie, na pola, błonia, lasy, moczary, do naturalnych warowni polskiej ziemi. Pisze artykuł »Konfederacya Barska«. Rzecz ciekawa; ton i styl tego artykułu zupełnie odmienne od rzeczy poprzednich. Dopóki uwaga Mochnackiego, uwięziona w murach miasta, bada sprawy warszawskie, przenika politykę sejmu, rządu, klubu, przegląda i nicuje plany ambitnych osób, wtedy i wzrok i język jego wyostrza się jak stal, styl cięty, błyskotliwy drga siłą nerwową, wibruje jak puls miejskiego życia; gdy zaś zwraca oczy na niezmierne obszary rodzimej ziemi, na drogie łany polskie, słowo jego jest serdeczne, głębokie, język piękny, miękki, czarowny, marzący. Lotny i czuły duch Maurycego chwyta w lot nerwowe, gorączkowe tętno życia miejskiego, a zarazem przedziwnie odczuwa i cudownie odtwarza rzewny, przeciągły, rozlewny, ton ziemi rolnej, wsi polskiej. Gdy myśl jego zwraca się do rycerzy barskich, wrażenie piękna wzniosłego, jakie bije od ich postaci, chwyta jego duszę z potężną mocą, zdaje się on zapominać na chwilę o groźnej godzinie, olśniony nagłem widzeniem przeszłości: »Posiłek ich skromny, ubiór dziwny, oręż niewyszukany, jaki kto miał lub mógł dostać, a sen krótki, jak ptaków spoczywających na gałęziach

drzew w wietrznej jesieni. Serca leśne, nawpół zdziczałe, ale otwarte, szczere, polskie... Wejrzenia marsowe, oblicza pogodne, głowy golone i strzyżone najczęściej przy świetle księżyca, gdyż rzadko kiedy wiedzieli, gdzie je ku schyłkowi dnia skłonić mają, pod jakim dachem i w jakim futorze. Postacie rześkie, żwawe, wspaniałe, zachwycające w malarskiej, poetyckiej dali!« Środki ich małe, lecz wiara wielka: »Gdy ich było sześćset lub ośmset, natenczas im się zdawało, że ocalą honor narodowy; a jeśli liczba wzrosła do trzech tysięcy, za niezwyciężonych się poczytywali i żadną niepohamowanych siłą. Dział trzy, cztery źle zaprzężonych z Nieświeża, z Częstochowy, lub z innego zamku, otóż cała artylerya konfederatów! A nadzieja w Bogu, w Turczynie i w tej Francyi, ktorą zawsze napróżno jak my w każdej wzywali potrzebie!«

Jakże słabe były siły konfederatów, w porównaniu z obecną armią polską. »Gdyby Sawa, gdyby Kazimierz Puławski, powstawszy z grobu cudem opatrzności, spojrzał teraz na nasze zastępy i gęste bitnego, regularnego wojska szeregi..., czyżby nie zawołał w uniesieniu: oh! szczęśliwi, stokroć od nas szczęśliwsi rodacy, że tak ogromne zebraliście siły...«

»Polska była wtenczas, jak się Rulhière wyraża, zaczarowanym olbrzymem, teraz ten olbrzym duchem i ciałem z własnej wydźwignął się niemocy; jest silny, straszny, choć go na chwilę zachwiały błędy i uprzedzenia. Teraz albo nigdy«.

Takiemi obrazami krzepi teraz Mochnacki serca rodaków. Nie widmami obcych narodowi postaci z rewolucyi francuskiej, jakie snuły się po głowach klubistów, nie urojonemi figurami, kreślonemi według szablonów doktrynerskich, lecz postaciami rycerzy Maryi, które przecież tak średniowiecznie, gotycko wyglądać musiały w oczach niewczesnych gorliwców »religijnej, moralnej, naukowej« rewolucyi narodu. Daleko odbiegł Mochnacki od styczniowego katechizmu klubowego.

Artykuły dwa poprzednie o »restauracyi« Polski stanowią jakby przedmowę rozumowaną do rzeczy o »Konfederacyi Barskiej«, tam Mochnacki dał teoryę, tu żywy obraz i wzór; tam odsłonił przed oczyma rodaków potężne zręby przeszłości narodowej, jako opokę budownictwa przyszłego, na której spocząć i wznieść się mają kształty upragnionej ojczyzny, tu — uderzył w te zręby laską czarodziejską i wyprowadził z nich czysty zdrój — poezyi bohaterstwa narodowego.

4 września umieszcza Mochnacki artykuł »O stronnictwie tak zwanem kaliskiem«. Piętnuje tu doktryneryzm konstytucyjny i zamiłowanie niepomierne piastowania urzędów, dwie główne cechy obozu, który posiadał i większość sejmową i główniejsze urzędy za Krukowieckiego, cechy, występujące, jako jaskrawy anachronizm, w wysoce krytycznej chwili powstania. Później w historyi powstania pisał o tym obozie, iż chciał z a u r z ę d o w a ć rewolucyę już za dyktatury. (Tom II, str. 184). Ten sen państwowy, to ubieganie się o urzędy i dostojeństwa w oblężonem już niemal mieście wydaje mu się takiem skrzywieniem zmysłu politycznego i instynktu ocalenia ojczyzny, iż wolałby, aby wreszcie niebezpieczeństwo zagłady stanęło przed Warszawą w całej swej grozie i oświeciło nareszcie i tych doktrynerów. A chwila ta krytyczna walki ostatniej już nadciągała, na stanowisko zaś najodpowiedzialniejsze wodza naczelnego nie można było znaleść kandydata po destytucyi Skrzyneckiego, wysłańcy rządu obnosili buławę parokroć po obozie i wszyscy wybitniejsi generałowie wymawiali się od tego ciernistego w obecnym stanie sprawy dostojeństwa, na posady ministrów natomiast i innych dygnitarzy cywilnych kandydatów było poddostatkiem.

»O 5-tej godzinie zrana już pełno u mnie ludzi różnych stronnictw« pisał Krukowiecki do żony 18 sierpnia 1831 roku: »a każde z nich chce wszystkie urzędy wyłącznie posiadać. Kaliszanie wszystko przez Bonawenturę

Niemojowskiego, a towarzystwo przez Lelewela chcą wyrobić« [1]. Wytykał Mochnacki później w swej historyi, jako rys znamienny powstania — niechęć do wzięcia na siebie jakiejkolwiek osobistej odpowiedzialności. (Tom II, str. 48); panowało wielkie zamiłowanie piastowania urzędów, tak atoli, aby zasłaniać się zwykle można było rozkazem wyższym; ponieważ zaś władza zwierzchnia spoczywała w Sejmie, odpowiedzialność spadała na ciało zbiorowe, rozpływała się, tonęła w zgromadzeniu wielogłowem, bezimiennem. Formalizm, legalizm, sumienne, godne piastowanie urzędów zastępowały energię czynu i zapał płomienny u tych ludzi prawych, lecz słabych i krótkowidzących, z jakich składała się stale większość sejmowa i rządowa, a których bracia Niemojowscy byli tylko jaskrawym, lecz bynajmniej nie wyjątkowym przykładem. »Z jakąż myślą weszli do rządu po 15 sierpnia ci członkowie Izby, którzy w niej po upadku reformistów największy wpływ mieli?« pytał Mochnacki 10 kwietnia 1833 roku w *Pamiętniku Emigracyi* i odpowiadał: »Przyszli do rządu bez żadnej myśli, dlatego tylko, żeby być ministrami. Wreszcie wzięli dymisyę, lecz w jakim momencie? Wtenczas, kiedy już żadnego nie było ratunku. Sądzili przeto, że Krukowiecki dopiero w czasie szturmu zawiódł ufność publiczną?... Mylili się. Od 15 sierpnia do 8 września dwadzieścia trzy dni upłynęło. Trzeba było wiedzieć ministrom o wszystkiem, co się działo w tej epoce. Powinni byli stolicę uwiadomić uroczystą deklaracyą, że Krukowiecki nie jest tym tęgim i śmiałym mężem, za jakiego powszechność go uważała, że obronę wewnętrzną całkiem zaniedbuje, że wojsku żadnych nie dał rozkazów na wypadek ataku i t. d.« Jak widać, rząd nowy odziedziczył po rządzie starym wstręt do »ostateczności«, który przecież rządowi pięciogłowemu dawny

[1] Karol Forster, Powstanie, Część II, str. VII.

jego członek Barzykowski w swej Historyi za zaletę obywatelską i cechę mądrości politycznej poczytywał.

Tymczasem, szturm Warszawy zbliżał się. Obrona miasta przygotowana była nieumiejętnie, zupełnie przerachowano się na sile obronnej miasta. Krukowiecki nie był zdolny do naprawienia błędów całej poprzedniej kampanii. »Popędliwy i ambitny starzec, dogodziwszy swej partykularnej niechęci przeciwko Skrzyneckiemu, potrzebował ekscytacyi, nie hamulca... Architekt barykad zawiódł pospólstwo«. Kilkunastotysięczny korpus generała Ramorino został wysłany z Warszawy i nie powrócił na odsiecz miasta. Na drugi dzień po historycznym zjeździe generałów, Prądzyńskiego i Dannenberga, umieszcza 5 września Maurycy artykuł: »Niepodobieństwo układów z Moskwą«, pisany wyraźnie dla podniesienia ducha obrony. Po układach niczego dobrego się nie spodziewał, pod tym względem do przeciwnika miał głęboką nieufność, zagrzewał więc do walki śmiertelnej. Gdyby nawet zawiodła nadzieja, iż »nieprzyjaciel zostanie na tej stronie Wisły na wieki«, że »kopce jego i mogiły okryje w wiosennej porze zielona murawa«, wówczas nawet »grób cichy, obszerny, roztworzysty« będzie »piękniejszym pomnikiem sławy narodowej od układów, które nigdy skutku żadnego nie wezmą«.

W wigilię szturmu, to jest 5 września, pojechał Mochnacki do Wysockiego, komendanta ważnego posterunku na Woli. Dnia 6 września od rana rozpoczęło się gwałtowne ostrzeliwanie Woli, po którem nastąpił szturm. »Trudno wypowiedzieć, co się ze mną działo w ostatnich chwilach ataku« pisał już z wychodźctwa Maurycy do matki 14 stycznia 1832 roku: »Była godzina czwarta z południa. Od huku dział domy się trzęsły. Już pierwsza linia szańców zdobyta została. Kamila z końmi, rzeczami, Wojciechem posłałem na Pragę, gdzie się wszyscy udawali«. Sam Maurycy poszedł do komisyi wojny »dla pilnego interesu«. Tu spotkał generała Chrzanowskiego,

miał tu z nim scenę burzliwą, która w tej gorącej chwili omal się nie skończyła rozstrzelaniem Mochnackiego; na razie uwięziono go w ratuszu, wśród powszechnego jednak zgiełku i popłochu w mieście uszedł ze swego więzienia. Widok Warszawy był straszny. »Dzieci, kobiety, starcy, lud w rozpaczy« tak opisywał te chwile Maurycy w owym liście do matki: »Żołnierze rozpierzchnieni bez ładu; artylerya, piechota, jazda, wszystko w największym nieporządku, a tu ciemno, jak w wilczej jaskini. Tylko łuna na niebie od pożarów, naokoło pustoszących Warszawę, ruinę naszą oświecała. Zapłakałem wśród tego zgiełku. Wszystko to zdawało mi się być strasznym snem, utworem gorączki, która mnie wtenczas trawiła płodem ognistej imaginacyi. Zbliżyłem się do mostu, osłabiony bólem nieznośnym w prawem ramieniu od blizny, która się rozjątrzyła upadający prawie na sile«. »Nazajutrz cała Polska na Pradze już się znajdowała. I wojsko i sejm i wszyscy uczciwi ludzie. Rozum dyktował połączyć się z Ramoriną bez żadnego namysłu, a potem rzucić się albo do opuszczonej Litwy, albo przejść Wisłę między Rachowem a Józefowem dla połączenia się z Różyckim. O tośmy wszyscy błagali generałów i ludzi, wpływ mających. Ja sam ze łzami zaklinałem marszałka sejmu, żeby tej ostatniej nadziei polskiego narodu upaść, ostatniej mocy rozchwiać się nie pozwolił... Ale nadaremnie, co się chwiać zacznie, tego żaden filar nie wesprze«.

Generałowie, jednak, inaczej uradzili, nastąpił marsz do Modlina, z Modlina do Płocka. Mochnacki wszędzie towarzyszy wojsku, dusza jego goreje rozpacznem pragnieniem ratowania sprawy, cóż jednak uczynić mógł on, człowiek bez wpływu, znaczenia, bez głosu w radzie, gdy już nie było dłoni władczej, któraby potrafiła zebrać w jedno i natchnąć duchem walki imponujące jeszcze siły polskie. Wszak siły te, z korpusem Ramoriny, wynosiły blisko 57.000 żołnierza, pozostawał w ręku polskiem obronny Modlin; siły rosyjskie wynosiły około 76.000 ludzi, dla uży-

cia w polu pozostawało Rosyanom, po obsadzeniu Warszawy, Zamościa i oddzieleniu sił przeciwko Różyckiemu, nie więcej nad 45.000, to też Paskiewicz powtarzał pruskiemu delegatowi wojskowemu: *Ils sont forts, leur position est très forte, il ne faut pas juger legèrement ces affaires*[1]. Materyalne siły powstańców były, zatem, pokaźne, nawet po poddaniu Warszawy, lecz nie było już ducha dobrego w wojsku, słaby wódz Małachowski złożył buławę, nowy dowódca Rybiński nie posiadał energii, ani talentu; rozprzężenie ogarniało obóz. Ramorino, zamiast połączyć się z główną armią, rozpoczął swój niepojęty, nieszczęsny marsz na południe, który go osamotniał i prowadził do niechybnej zagłady; wreszcie, uchodząc przed słabszym odeń Rozenem, zamiast nań uderzyć, składa 17 września broń w Austryi.

Nie przewidując tej ostatniej klęski, Mochnacki jeszcze teraz ima za pióro i umieszcza w *Gazecie Narodowej*, wydawanej w Zakroczymiu, 16, 17 i 18 września gorące artykuły, wzywające rodaków do wytrwania. Teraz już nawet cień podejrzenia o chęć osobistego wywyższenia nie może na Mochnackim spoczywać, przeminęły bowiem już czasy dostojeństw, urzędów i zaszczytów i nadeszły chwile ofiar, poświęceń i tułaczki. Stronnictwa ucichły, retorzy Honoratki zniżyli głos i pomykają ku pruskiej granicy, o żadnym z nich już nie słychać; Mochnacki pozostał, wolny od wszelkich związków partyjnego pobratymstwa, sam ze swą nieugaszoną miłością narodu, do końca wierny sprawie tem, na co go stać było, — swem słowem Tyrteuszowem. Znów próbuje krzepić ducha wspomnieniem rycerzy barskich: »Obróćmy wzrok nasz ku tym czasom, kiedy obca przemoc gnębiła mieszkańców Polski daleko liczniejszemi i boleśniejszemi, niż teraz, klęskami! Któż wtenczas ratował upadającą ojczyznę?.. Oto niewielka garstka, nieliczna, ruchoma, przenośna, orężna

[1] A. Sokołowski, Dzieje powstania listopadowego, str. 297.

rzeczpospolita wiernych, nieustraszonych, którzy własny pożytek, pokój i wygodę nigdy na równej szali nie kładli z czcią narodu i korzyścią ogółu. To bractwo wiernych ojczystej sprawie, ten wspaniały i wielki zakon rycerzy narodowej niepodległości miejmy teraz jak zawsze w żywej i tkliwej pamięci«. Opisuje z zapałem siedmioletnią walkę konfederatów barskich i ciągnie: »Cóż nam przeszkadza wznowić ten tak świetny przykład dziejów polskich i w dalsze jeszcze czasy, niżeli konfederaci Barscy, przedłużyć bój krwawy? Alboż to młódź nasza nie raźna i nie nauczona własnemi piersiami odpierać zgubę od kraju? Czyż nam zbywa na sprzęcie wojennym? Mamy burzące działa, któremiśmy potylekroć przerzedzali nieprzyjacielskie zastępy. Mamy gęste lasy i puszcze jeszcze nieprzetrzebione; a w tej Polsce rozległej, bujnej, niezmiernej, od wschodu do zachodu, od północy ku południowi, żadnego kroku uczynić nie zdołamy, żebyśmy nie spotkali to rodaków, to współziemian, pragnących dzielić nasze zamiary i niebezpieczeństwa«. Odtrąca z odrazą myśl złożenia oręża bez boju, nie odrzuca układów obecnie, nie dopuszcza atoli myśli zdania się na łaskę i niełaskę. »I dla nas miły pokój, ale uczciwy, nie uwłaczający honorowi narodu! Nie odrzucamy układów, ale godziwych; w przeciwnym razie wszerz i wzdłuż spustoszymy tę ziemię, żeby nieprzyjaciół nie karmiła«.

17 września kreśli rzecz o Sejmie. Z chwilą, gdy Sejm postanowił razem z wojskiem dzielić ciężkiekoleje tułaczki po kraju, otoczył się w oczach Mochnackiego urokiem męstwa i ofiary; nie wypomina mu już dawnego niedołęstwa. »Rada w obozie, a niedługo może śród szczęku oręża, jest wielka i wspaniała, daleko wspanialsza, niżeli w najozdobniejszych gmachach... Oto teraz, pod strzechą słomianą, w miasteczku ladajakiem, pod otwartem obradują niebem; chodzą między żołnierstwem, dzielą trudy i niewygody żołnierza, utrzymują go w wierze i nadziei,

a w razie potrzeby, w razie naglącym podzielą jego niebezpieczeństwa i jego sławę«.

18 września pisze rzecz o wojsku polskiem, chciałby podnieść jego ducha do wysokości wielkiego bohaterskiego zadania, jakie wobec niego stanęło, nie obce mu atoli, widocznie, rozprzężenie w armii: »Nigdyśmy w szeregach ojczystych większego nie potrzebowali porządku, nigdy sprawa narodu ściślej nie była połączona z duchem karności wojskowej, jak w tej oto chwili«...

Tak czuł, myślał, cierpiał, przemawiał w owych chwilach, które stanowiły ciężką, ogniową próbę uczuć i charakterów, ów wichrzyciel, burzyciel, systematycznie i troskliwie odsuwany od wszelkiego wpływu i znaczenia w powstaniu przez piastunów i grabarzy sprawy narodowej. Tymczasem zaś ci, którzy go szkodliwym anarchistą mienili, dostojni politycy, dyplomaci rewolucyi już zupełnie opuścili w owej porze ręce. Ks. Adam Czartoryski, Gustaw Małachowski dążyli na południe, z początku z korpusem Ramoriny, potem przy oddziale Różyckiego, w końcu zaś września byli już w Austryi. Pozostałe władze, z Bonawenturą Niemojowskim, prezesem rządu, i Władysławem Ostrowskim, niezmiennym marszałkiem sejmowym, zwątpiwszy o ocaleniu sprawy, myślały już tylko o ocaleniu honoru. W imię honoru, bez wiary i zapału, szedł do walki pierwszy dyktator powstania, myśl o ratowaniu owego honoru, a raczej jego czczych pozorów, troskała tych, którzy już się pogodzili z myślą złożenia sprawy do grobu[1]. Gdy Mochnacki snuł

[1] Jaki duch był w naczelnych dowódcach powstania listopadowego, o tem, wśród wielu innych, świadczyć może i ten szczegół, że bataliony polskie, z wielką szkodą dla ducha wojska, a nawet i dla operacyi bojowych, nie miały żadnych znaków, bo pierwsi dwaj wodzowie zaniedbali to uczynić, Skrzynecki zaś naleganie Prądzyńskiego, aby wojsku rozdać orły, odpierał argumentem, iż nie chce, aby nieprzyjaciel mógł się w przyszłości szczycić temi trofeami, na wojsku polskiem zdobytemi. „Po wielu upłynionych la-

jeszcze śmiałe plany prowadzenia walki narodowej, partyzanckiej, rozsypania się po kraju, gdy jeszcze dziesiątki tysięcy wojska polskiego stały pod bronią i nieprzyjaciel nie pewny bynajmniej tryumfu, poczynał sobie chytrze i ostrożnie, nasze władze cywilne pogodziły się już z myślą submisyi i myślały tylko o tem, aby nie położyć uroczystej pieczęci na nieszczęsnym akcie. W ciągu całego powstania, pomimo zmian rządów, stałą ich cechą była słabość, poprawność legalna zastępowała energię, troska o formę górowała nad zapałem; z tym stanem ducha na wyżynach rządowych rozpoczęto powstanie i w tym stanie kończono je, za główną rzecz poczytywano jakgdyby nie samą kapitulacyę powstania, lecz kwestyę ratyfikacyi jej przez władze narodowe.

Gdy dnia 7 września wieczorem generał Prądzyński przybył z generałem rosyjskim Bergiem na salę rządową, wtedy obecny na sali prezes rządu B. Niemojowski, wiceprezes Zieliński, minister Morawski i inni dygnitarze cywilni opuszczają salę, aby wszelka umowa kapitulacyjna, jaka może być zawarta przez władze wojskowe, zapadła bez udziału władz cywilnych. Poczem wojskowi, złamani na duchu, to łudzeni, to straszeni przez chytrego Berga, widząc, że władze cywilne umywają ręce, jak Piłat Poncki, przystali na najniekorzystniejszą umowę kapitulacyjną. Władze cywilne nie zapobiegły nawet tak gorszącemu faktowi, jak uczynione przez municypalność Warszawy z dostojnym klasykiem Ludwikiem Osińskim, nieubłaganym pogromcą romantycznych burzycieli, na czele, w obecności Berga przedstawienie do rządu i wodza polskiego, aby Warszawa dłużej na niebezpieczeństwa wystawiona nie była; taki akt ze strony ojców miasta w chwili układów rzucał cały ciężar municypalnej warszawskiej małoduszności i nieoględności na szalę przeciwnika, a w ka-

---

tach jeszcze się na samo wspomnienie krwawemi łzami zapłakać chce" mówi, przytaczając to, Prądzyński (Tom I, strona 337).

żdym razie smutne w obliczu tegoż ojcom Warszawy wystawiał świadectwo. Czyż nie sprawdziły się prorocze słowa Mochnackiego, pisane 18 sierpnia z powodu 15-go sierpnia o »obojętnych wielbicielach fortuny« w Warszawie, którzy gdy kilkanaście granatów pęknie w mieście, będą głośno wołali: poddajmy się!

Podobne, jak w ostatnich dniach Warszawy, usposobienie Rządu objawiło się i przy ostatecznym upadku powstania. Gdy wieść o złożeniu broni przez Ramorinę dostała się do armii Rybińskiego i gdy na owej smutnej radzie wojennej w Słupnie starszyzna wojskowa 34-ma głosami na 40 orzekła się za ukończeniem wojny i submisyą, gdy na skutek tej wieści Hiobowej zebrał się Sejm w Płocku 23 września na ostatnie posiedzenie, Prezes Rządu B. Niemojowski w piśmie do Sejmu oznajmia, iż gdy widzi wojsko »na nieochybną wystawione zgubę«, zatem »nie ma sposobu ratowania honoru wojska, jak przez złożenie urzędu..., uprasza przeto o uwolnienie od obowiązku Prezesa rządu narodowego«. Sejm na miejsce Rybińskiego mianuje wodzem Umińskiego, Bonawenturę zaś Niemojowskiego powołuje napowrót na prezesa rządu. Lecz w tej godzinie powszechnego rozprzężenia delegaci wojska oświadczają, że wojsko Umińskiego nie przyjmie na wodza, że jeśli przed frontem stanie, życiem to przypłaci. Wobec tego, prezes Rządu powierzył napowrót dowództwo naczelne Rybińskiemu. Teraz w tej najcięższej chwili, gdy już nietylko o zwycięstwie trudno było myśleć, lecz gdy już w armii upadła niemal zupełnie karność i subordynacya, przedstawiciele władzy cywilnej, B. Niemojowski i W. Ostrowski, postanawiają znów w dziwny sposób salwować honor; zamiast wytrwać na posterunku do końca i obecnością swą przy wojsku i resztkami powagi i wpływu ratować istotnie honor wojska i powstania, którego schyłek mógł zostać splamiony walką domową, bratobójczą w rozprzężonych szeregach, postanawiają niezwłocznie opuścić kraj i wojsko i udać się za

granicę. W liście do Rybińskiego z 23 września Bonawentura Niemojowski, opisując złe przyjęcie Umińskiego przez wojsko i składając napowrót dowództwo w ręce dawnego wodza, tak kończy: »Gdy jednak wśród tych okoliczności władza cywilna nie jest przy wojsku potrzebna, mam zamiar wraz z Sejmem oddalić się za granicę. Upraszam przeto J. W. Pana, abyś do granicy pruskiej raczył osobom, do składu Sejmu należącym, wspólnie z Sejmem, dodać straż dla ich bezpieczeństwa«.

Tymczasem, w Płocku alarmiści nasi wciąż jeszcze trapieni byli — widmem klubu, halucynacye ścigały ich i tutaj. »Była tu Honoratka w swoim komplecie« pisze Barzykowski (Tom V, str. 361): »i wiele innych osób, jedni w najlepszych zamiarach losy powstania dzielili, drudzy bez celu i zamiaru wlekli się, aby liczbę i nieporządek powiększać. Wszystko to po kawiarniach, ulicach, placach publicznych się zbierało, gromadziło i niby to o losach ojczyzny radziło. Wiadomość o radzie wojennej w Słupnie piorunem tu przyszła i wszystkie umysły, serca i uczucia żywo poruszone, zapalone zostały«.

Więc i tu jeszcze nieszczęsny ex-pentarcha wietrzy niebezpiecznych wichrzycieli w tych rozbitkach powstania, uderzonych tak niespodzianym pośpiechem starszyzny w likwidowaniu sprawy powstania, oszołomionych nagle przeczuwaną może, a jednak straszną, z chwilą gdy stała się faktem, wieścią! I tu poczytuje im za niewłaściwość, iż radzili sami o losach ojczyzny; skądżeż teraz mieli oczekiwać światła i ratunku, czy od rady wodzów w Słupnie, czy od Sejmu i Rządu, które się pospiesznie wybierały za granicę? Miało więc aż do grobu zejść to powstanie ze wszystkiemi swemi urojeniami, halunacyami, przesądami, które od początku do końca przysłaniały jasną myśl walki, uchodziło już z kraju, by złożyć oręż na obcej ziemi, a wciąż jeszcze z oczyma, wpatrzonemi lękliwie w widmo własnej wyobraźni, w marę jakiegoś buntu domowego. »Mówiono, że klub zaczyna się zgromadzać

i w Płocku noc 15 sierpnia powtórzyć zamierza« notuje z całą powagą Barzykowski: »To usposobienie umysłów spowodowało jenerała Rybińskiego, że dał rozkaz pułkownikowi Breańskiemu, aby ze swoim pułkiem udał się do Płocka dla utrzymania spokojności i był upoważniony do użycia wszelkich środków, jakie ku temu uzna za potrzebne«.

Wbrew tym alarmom, Rząd i Sejm doczekały się bezpiecznie i cało przybycia do Płocka pułku Krakusów, który miał je odprowadzić do granicy pruskiej. Dnia 25 września Rząd, marszałek i część posłów opuścili Płock, a dnia 26-go już na ziemi pruskiej się znajdowali. Przed wkroczeniem na obcą ziemię prezes Rządu wydał rodzaj manifestu, z wyłuszczeniem powodów, dla których opuszcza wojsko i szuka schronienia na obczyźnie, a także z takiem zastrzeżeniem: »Cokolwiek wódz naczelny, wyszedłszy z granic swojej władzy, przedsięweźmie, ani honoru, ani sprawy ojczystej dotyczeć nie może«.

Gdy oręż polski już nie był groźny dla wojsk rosyjskich, zaprzestał Berg pertraktowania, którem aż do końca Polaków zwodził, i zażądał poddania się na łaskę bez zastrzeżeń i złożenia przysięgi cesarzowi. Pierzchły nadzieje polityków powstania. 5 października weszła armia polska do Prus i złożyła broń w obozie pod Brodnicą.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

CZĘŚĆ DRUGA.

NA EMIGRACYI.

ROZDZIAŁ I.

Wyjście z kraju. Zetknięcie się emigrantów z Zachodem, wpływ nowych wrażeń na psychologię wychodźtwa. Mochnacki w Paryżu. Pierwsze działania; udział w obaleniu komitetu Niemojowskiego. Usunięcie się Mochnackiego od polityki emigracyjnej. Pobyt w Metz. Życie prywatne; kłopoty materyalne, zatargi z komitetami. Powrót do Paryża. Pamiętnik Emigracyi. Zmiany w organizacyi wychodźtwa w jesieni 1832 roku. Udział Maurycego w przygotowaniu tych zmian; powtórne usunięcie się jego od polityki emigracyjnej. Choroba i śmierć.

»Dzięki obywatelom, którzy mnie i Kamila manowcami i lasami do granicy doprowadzili« — temi krótkiemi słowy zbywa Maurycy Mochnacki opowieść o opuszczeniu kraju[1]. Kwarantannę przebyli bracia w Gołubiu wraz z armią, która przeszła granicę 5 października. Tu w starym zamku, gdzie nikt nie mieszkał od czasów ostatniego starosty Skarbka, w opustoszałych komnatach tłoczyli się rozbitkowie powstania, rozpoczynający żywot tułaczy. »Maurycy Mochnacki, otoczony młodzieżą, z podniesioną brwią do góry, blady, słabym głosem, wymawiając *r*, jak Francuzi w Paryżu, rozprawiał o tem, co już skończyło się przedwczoraj. Oficerowie o Umińskim, Dembińskim, Rybińskim, trafności zamiaru przejścia przez Wisłę pod Płockiem lub

[1] Henryk Lisicki opowiada, że granicę przejechał Maurycy na jednym wózku z Aleksandrem Wielopolskim. Jeśli jednak ten fakt ma być tak prawdziwy, jak uwaga tegoż autora, iż było to pierwsze spotkanie Mochnackiego z Wielopolskim, to trudno go uważać za wiarogodny. (A. Wielopolski, Tom I, str. 34).

pójścia na Litwę, co już minęło niepowrotnie. Zaród dyskussyi, które ciągnąć się miały nierozstrzygnięte przez kilka, kilkanaście, niestety, kilkadziesiąt lat!« Tak wspominał tę chwilę bolesną po latach wygnania Ludwik Orpiszewski, późniejszy redaktor pisma: »*Trzeci Maj*«. Stąd bracia Mochnaccy, zaopatrzeni w 80 dukatów, udali się krętą drogą przez Szczecin, Hallę, Hannower, Bruksellę, Valenciennes do Paryża. Przez drogę odmawiali przyjmowania zasiłków pieniężnych, jakie rozentuzyazmowani dla naszych bohaterów Niemcy w dłoń im wciskali; w Bruksselli wyczerpaną ich kasę poratował poseł Wołowski Franciszek pożyczką 150 franków. 2 Listopada stanęli w Paryżu. Zatrzymawszy się w hotelu, znów nie mieli grosza przy duszy, odszukali więc starego przyjaciela Michała Podczaszyńskiego, który tu schronił się przed prześladowaniem politycznem jeszcze przed rewolucyą, i ten wziął ich w opiekę. Gdy wyczerpały się i Michała fundusze, udał się Kamil do Bonawentury Niemojowskiego, ostatniego prezesa rządu narodowego, który ocalił resztki skarbu i ten wyliczył mu trzysta franków. Tak więc rozpoczęli żywot tułaczy. Zawisły nad wychodźcami, od chwili opuszczenia ziemi rodzinnej, dwie plagi: nędza i swary, które trapiły odtąd bez przerwy Maurycego wraz z całą emigracyą. Przybywszy do Paryża, tułacze zastali już tam rodaków; była tu i działała legacya polska dyplomatyczna, pozostająca w ścisłych stosunkach z Czartoryskim; bawił od wiosny Gurowski Adam, już zbliżony do redakcyi gazet radykalnych i klubów paryskich. Jako już bywalec Paryża, wtajemniczony w nowe stosunki, pozyskał Gurowski na czas pewien wpływ na Maurycego, »okulbaczył« go, według wyrażenia Podczaszyńskiego. Od 28 stycznia 1831 roku działał w Paryżu komitet Centralny francusko-polski, na którego czele stał stary Lafayette; komitet ten zawiązany został w celu popierania sprawy polskiej, teraz zaś, gdy powstanie upadło, przypadła mu w udziale skromniejsza rola — zaopatrywanie w środki wychodźców polskich.

W ciągu pierwszych miesięcy po upadku rewolucyi istopadowej ciągnęły tłumy i grupy powstańców na zachód — do drugiej ojczyzny, do Francyi. Szybko przebywali Niemcy, które przyjmowały naszych wychodźców z zapałem i serdecznością; nieliczni tylko osiadali tu na stalsze , reszta pędem niewstrzymanym dążyła do Francyi, jak ptaki burzy, *Sturmvögel*, jak później nazywali ich Niemcy. Braterstwo francusko-polskie, zawiązane na polach bitew napoleońskich, podniesione do rozmiarów, legendy wśród Polaków, wskazywało wychodźcom naszym, nieświadomym jeszcze wcale ducha Francyi rzeczywistej Francyi orleańskiej, jako drugą ojczyznę, kraj ten, który odrazu przyjął ich znacznie oziębłej, niż Niemcy.

Wychodźcy nieśli ze sobą nie tylko bolesne wspomnienia, daremne rany, któremi lepszej doli ojczyźnie nie wywalczyli, smutek przeżytej tragedyi, lecz także pragnienia i nadzieje, które niezmiernie szybko wyrosły w ich duszy — jak kwiat nieśmiertelny, wciąż nanowo z krwi bohaterów powstający. Przyjrzyjmy się narodzinom tego nowego, nieznanego wczoraj jeszcze żołnierzom powstania, ducha pielgrzymstwa polskiego.

Jeszcze na ziemi rodzinnej, w wigilią przekroczenia granicy pruskiej, generał Rybiński wydaje odezwę, wzywa do zachowaniu ładu i posłuszeństwa przy przejściu granicy: »panowie dowódcy wszelkiego dołożą starania, ażeby wszystko odpowiadało chwale imienia polskiego«, odwracając zaś jakby od smutnej, nieubłaganej rzeczywistości wzrok nieszczęsnych wiarusów, zmuszonych składać broń ukochaną, święte pamiątki w ręce prusaka, mówi: »Pomni, że świat ma na nas zwrócone oczy, że każdy nasz krok należy do historyi, winniśmy w tej stanowczej, w tej uroczystej chwili wznieść się nad losy i szlachetnem postępowaniem całą ich wyświecić niesprawiedliwość«. Wezwanie owo do »wzniesienia się nad losy« było jakgdyby przepowiednią i figurą wychodźtwa; w tem ciągłem wznoszeniu się nad rzeczywistość było i znamię mę-

czeństwa, bohaterstwa i zarazem żywioł wzniosłej fikcyi ułudy, omamienia.

Wczorajsi żołnierze powstania, mający jeszcze w duszy obraz pól bitewnych, jeszcze osmaleni prochem, jeszcze owiani powietrzem bojowem, po krótkim, bolesnym epizodzie składania broni i surowem traktowaniu przez władze pruskie, niebawem zanurzyli się w atmosferze hołdów, jakie im składano w czasie przejścia przez Niemcy. Na uroczystościach, obchodach, urządzanych na cześć naszych bohaterów, sławiono ich męstwo, wynoszono ich, jako bojowników wolności europejskiej. Powstańcy polscy nie byli zdolni, oczywiście, badać na chłodno tego niemieckiego zapału. Nie pojmowali, iż na dnie zapału tego spoczywa egoizm narodowy i że liberalne i humanitarne dekoracye, w jakie egoizm ten do czasu się przybierał, runą pod wichrem tej samej burzy, która Niemcom zjednoczenie przyniesie. Patryoci i liberałowie niemieccy 1831 roku składali w osobie polaków, hołd swym własnym nieziszczonym aspiracyom, witali w powstańcach polskich zaciętych wrogów tego systemu wschodnio-europejskiego, który ich samych gnębił, bohaterskich przeciwników tego mocarza, który był systemu tego opoką. Tych, którzy przelewali nad Wisłą krew w imię wolności ludów, witano owacyjnie w kraju, nad którego jednością i wolnością wrogo zaciężyła dłoń Świętego Przymierza, sankcyonującego w imię legitymizmu rozdrobnienie Niemiec, strzegącego praw różnych monarchów i książątek, rozrywających Vaterland na cząstki, balsamujących jakby na wieki przeżytki średniowiecza, despotyzmu i obskurantyzmu. Liberałowie i patryoci niemieccy witali z niekłamanym podziwem tych walecznych, którzy zdobyli się na to, na co liberalizm i patryotyzm niemiecki zdobyć się nie mógł, na przejście od rozpraw o wolności do walki o nią orężem.

Lecz od słów współczucia i okrzyków podziwu do czynu u Niemców 1831 roku droga była daleka, ze swym

liberalno-patryotycznem wrzeniem umysłów dotrwali oni dość spokojnie do roku 1848, a i zdarzenia tego roku »szalonego« były tylko mdłą marą owego »trzęsienia ludów«, na które przez 18 lat czekali Polacy, a do tego odsłoniły już spory rąbek tej zasłony z egoizmu narodowego, którą zdarły zupełnie późniejsze nastroje zjednoczonych Niemiec. Powstańcy polscy 1831 roku, przywykli do łączenia haseł wolności z hukiem armat i szczękiem pałaszy, słuchali z całą wiarą dusz żołnierskich deklamacyi Niemców, witających ich, jako straż przednią wolności europejskiej, i ściskali głownie swych szabli zardzewiałych, gdy grzmiały mowy o rychłem spotkaniu Niemców i Polaków na polu walki o wolność ludów Europy. »Wtenczas to po raz pierwszy uczuliśmy, czem jesteśmy« mówił później Wiktor Heltman: »Za jak wielką, powszechną, walczyliśmy sprawę; pocośmy w cudze poszli strony; dla czego do ujarzmionej ojczyzny wracać sumienie nam zakazywało. I rozumieliśmy, że misyą naszą jest: przewodniczyć ludom w ich walce przeciw ujarzmieniu. I byliśmy gotowi przelać krew naszą za każdą wolności sprawę. Powiedzieliśmy więc sobie: przez ludzkość dla Polski![1]. To też szli wychodźcy do Francyi jakby na czasowy postój, pokrzepienie sił i odczyszczenie broni, pilnie nasłuchując hasła, zwącego ich na bój o wolność ludów. W duszy chowali żywą pamięć i tradycyę emigracyi polskiej z epoki Kościuszki, która niebawem po dwóch zaledwie latach odpoczynku powołana została do legionów. W głowie ich, pełnej rycerskich wspomnień i pragnień, nie mieściła się myśl, aby mieli oni, na wzór jakichś kolonistów niemieckich, szukać na obcej ziemi stałego zatrudnienia, kawałka chleba, mieszczańskiego żywota i czekać tam spokojnie na śmierć lub na miłościwą amnestyę. Ślubowali wrócić

---

[1] Wiktor Heltman, Mowa na obchodzie listopadowym 1838 r. Demokracya polska na emigracyi. 1866, str. 56.

do Polski nie inaczej, jak z orężem w dłoni. Wyrazem ich ducha był wiersz:

»Bracia, czyż nam się namyślać przystało
Między hańbą powrotu a legionów chwałą!«

Kto pojmie tę duszę szczególną emigracyi polskiej, ten bez zdumienia już patrzeć będzie, jak na wieść o ruchu frankfurckim 1833 roku wychodźcy chwytają za broń i dążą o chłodzie i głodzie do Niemiec na ową wyśnioną walkę o wolność, ten dziwić się nie będzie, że nie mogli nigdy pogodzić się emigranci wewnętrznie ze swym szarym, smutnym losem, że nie cenili zbyt wysoko oziębłej dobroczynności Francuzów, którzy wyznaczyli im nawet pewną kwotę, chroniącą wychodźców od śmierci głodowej, i oddali ich zresztą, jako żywioł, mącący pokój monarchii mieszczańskiej, pod dozór i władzę dyskrecyonalną administracyi. Szli oni na Zachód, z duchem misyi, ze świętym ogniem krzyżowców wolności, i jak rycerzy krzyżowych trudno by mierzyć miarką rozsądku, opartego na praktyczności i ekonomii, tak trudno zwykłą miarą rozsądku mieszczańskiego mierzyć i to niezwykłe, jedyne w dziejach zjawisko emigracyi polskiej.

Skoro atoli tułacze znaleźli się na ziemi francuskiej i zaczęto myśleć o utworzeniu tymczasowej chociażby organizacyi dla tej wędrownej rzeczypospolitej powstańców, wówczas przytłumiona na czas krótki przez wrażenie tryumfalnego pochodu przez Niemcy gorycz klęski domowej wypływać na wierzch poczęła. Zmarnowana wielka sprawa, zaprzepaszczona rzecz narodowa — ta straszna świadomość zasnuwała kirem jaśniejsze obrazy, jakie im zabłysnęły na chwilę przy świetle efemerycznem niemiecko-polskiego braterstwa. Spostrzegli, że dusze ich zatrute nawskroś gniewem, rozpaczą, żalem. Te uczucia bolesne, raniące, nabierały wciąż ostrości wśród rosnącej nostalgii i bezczynności, w której upływało życie większości wygnańców. Ta boleść, boleść utraconej ojczyzny przebodła

duszę wygnańca i utworzyła straszną, nigdy niezagojoną ranę, która utrzymywała emigracyę w stanie zapalnym, w stanie gorączki. Gdy skojarzymy tę gorączkę, gorączkę boleści nad siły, z ciągłym snem gorączkowym o rewolucyi europejskiej, mającej wyzwolić Polskę wraz z innymi ujarzmionemi ludami, wówczas odsłoni się nam wiele zagadek z życia emigracyi.

Wrażenia przebytej kampanii zaczęły się niebawem łączyć, kojarzyć w myślach wychodźców z wrażeniami pochodu przez Niemcy i zetknięcia z Francyą. Wrażenia niemieckie podniosły dumę powstańców, napoiły ich przeświadczeniem o wielkiej wszechludzkiej roli rewolucyi listopadowej; przenikniona tą świadomością myśl wygnańców powracała do przeszłości, przebiegała dzieje powstania — i obecnie cała słabość, chwiejność działań rządu powstańczego, taktyka ułomna, która nie pozwoliła rozwinąć wszystkich sił do walki, owa niezaradność, paktomania nieszczęsna i politykomania, tak niewczesna w prostej i jasnej sprawie oręża i wojny, stawały przed ich oczyma w jeszcze jaskrawszem, niż dawniej, świetle.

Wrażenia francuskie, szczególnie paryskie, zetknięcie z klubami, redakcyami pism radykalnych, tem mocniej burzyły większość wygnańców przeciwko tym rodakom, którzy stali u steru sprawy, w rządzie, sejmie lub dowództwie, przeciwko — arystokratom, dyplomatom, kaliszanom. Ówczesny nastrój opozycyjny, a nawet rewolucyjny tych kół radykalnych francuskich, które były niezadowolone z rezultatów połowicznych rewolucyi lipcowej, udzielał się naszym wygnańcom i nasuwał ich rozdrażnionym umysłom paralelę pomiędzy rewolucyą lipcową a listopadową. Francuscy demokraci i republikanie, piastuni sławnych tradycyi jakobińskich 1793 roku, którzy szli głównie pod znakiem Godfryda Cavaignaca, a którzy do haseł montagnardów dodali silniej obecnie zaakcentowane stanowisko klasowe, ludowe, głośno narzekali na »zdradę« burżuazyi, która obdarzyła Francyę, po — pierwsze, niena-

wistną republikanom monarchią, po drugie, nieco wprawdzie rozszerzonem, lecz wciąż bardzo okrojonem, cenzusowem prawem wyborczem, która wreszcie troszczyła się widocznie o dobre stosunki z monarchiami despotycznemi, nic nie chciała słyszeć o propagandzie wolności w Europie, a i wewnątrz Francyi coraz wyraźniej proklamowała — zwrot do porządku, *retour à l'ordre*, to jest przytłumienie nietylko Karlistów, lecz i marzących o dalszej rewolucyi demokratów i republikanów. Filipiki przeciwko »zdradzie« bogatej burżuazyi, przeciwko rządom bankierów i episyerów, przeciwko polityce złotego środka *(juste milieu)*, przeciwko całemu »sklepikowi« Ludwika Filipa, obijające się o ściany sal klubowych, rozbrzmiewające na szpaltach pism radykalnych, czyniły wielkie wrażenie na naszych weteranach Honoratki i Dziurki Marysi i na tym szarym tłumie wychodźców, który w czasie powstania nie rządził i nie dowodził, lecz słuchał i ulegał, a teraz zaczął poddawać gwałtownej rewizyi rządy naszej rewolucyi. Jakże dobrze rymowały paryskie filipiki przeciwko polityce *»juste milieu«* z temi oskarżeniami o półśrodkowość, połowiczność, ślamazarność, kunktatorstwo, które rozlegały się niemal od początku powstania w mowach i pismach obozu radykalnego; oskarżenie o sojusz rządów lipcowych Francyi z despotami Europy tak łatwo dawało się dopasować do zarzutu o prowadzeniu przez naszych wodzów ciągłych układów z władcą Rosyi, o kołataniu do gabinetów berlińskiego i wiedeńskiego. Frazes o zdradzie ludu Francyi przez mieszczaństwo, sprzymierzone z Orleanami, przypominął owe ciągłe pogotowie wojenne rządów powstania polskiego przeciwko ludowi warszawskiemu i jego trybunom, zbiegał się wreszcie z tym wyrazem zdrada, jaki błąkał się wśród naszych powstańców od łysobyckiej wyprawy, a rozbrzmiewał już powszechnie po kapitulacyi Warszawy.

To też zarzut zdrady, pojmowanej szeroko, jako zmarnowanie sił powstania przez nieudolność, a nawet i poj-

mowanej zupełnie literalnie, zaczęto ciskać w twarz tym wszystkim osobom, które brały udział w cywilnych i wojskowych rządach powstania. Ludzie, którzy w rządzie udział brali lub byli zwolennikami Reformy Rządu, wyglądającej w świetle emigracyjnych oskarżeń, jako manewr zdrajców, jeśli chcieli obecnie zmazać swe plamy, musieli, jak Jan Ledochowski, całem gardłem piorunować na przeklęte »juste-milieu«, które zdradziło rewolucyę. Te zarzuty, te słowa żalu, gniewu, jakie ciskała teraz jedna część wychodźtwa przeciwko drugiej, czyniły tem smutniejsze wrażenie, że owi rozbitkowie rządu, sejmu, głównej kwatery, ludzie w ogromnej większości prawi i dobrzy patryoci, dźwigający, istotnie, ciężkie winy na swych barkach, znajdowali się obecnie nieraz w takim samym niedostatku i upośledzeniu, jak i szary tłum wychodźców. Jakkolwiek wielka była nienawiść wychodźtwa do Rosyi, rosnąca w miarę tego, jak przychodziły wieści o strasznych represyach na ziemiach polskich, o Sybirze, konfiskatach, porywaniu dzieci, o ściganiu przez zemstę rosyjską powstańców nawet na emigracyi, to jednak powiedzieć można, że główna fala gniewu i żalu skierowała się przeciwko rodakom, którzy zgubili, »zdradzili« powstanie.

W środowiskach emigracyi polistopadowej pierwiastki życia młodego mieszają się z pierwiastkami rozkładu, ziarno odrodzenia z jadem uczuć nizkich, zemsty, zawiści; tworzenie się obozów, wyłanianie się stronnictw płynie z przyczyn, w części normalnych, rzeczowych, w części sztucznych, osobistych. Kiełkują tam i myśli zdrowe i doświadczenie istotne, cenne dla przyszłości, a obok tego naleciałości, obce dla duszy polskiej — owoc oderwania emigracyi od kraju, umysłów — od rzeczywistości rodzimej. Oderwanie to musiało wydawać owoce chorowite. Wszak większość emigrantów — byli to wojskowi, i to nie tylko mundurem, lecz i duszą; żywiołem ich była wojna; teraz gnuśnieli, rozbici na zakłady (dé-

pôts), trawieni przez tęsknotę, wciąż nasłuchujący hasła rewolucyi europejskiej, galwanizowani przez lada pogłoskę; czyż mogły nie plenić się wśród nich »niewczesne żale, potępieńcze swary«. Reszta zaś, to działacze cywilni, trybuni, mówcy sejmowi, członkowie towarzystwa patryotycznego; ci — równie oderwani od działania, od życia rzeczywistego, narodowego, silnie wprawdzie połączeni z krajem przez żywe palące wspomnienie ubiegłej kampanii, a także przez swe gorące pragnienia i nadzieje na przyszłość, lecz właśnie przez owe wspomnienia, a w części i przez wizye przyszłości narodowej, zwaśnieni, skłóceni pomiędzy sobą. Szukano i piętnowano winowajców z żarliwością, na którą składały się i gorąca miłość ojczyzny i ludzkie, poziome uczucia — zemsty, gniewu przeciwko tym, którzy niedawno jeszcze rządzili, zamykali wyniośle usta opozycyi, a teraz byli bezsilni.

Z powodzi swarów, walk, niechęci wyłaniają się, jednak, powoli zręby idealnej budowy, duch narodu niepożyty przebija zwycięsko mgłę czczości, jaka otacza jałowe zabiegi tułackiego życia. Myśl reformy, poprawy społeczeństwa polskiego kiełkuje i rozwija się, głuszona i paczona, lecz nie przytłumiona przez waśnie i swary. Jedni rozwijają myśl podniesienia, oświecenia, uwłaszczenia mas ludowych w Polsce, inni myślą o wytworzeniu zasady silnego rządu w przyszłej Polsce; pierwszy obóz liczniejszy, płodniejszy w myśli, więcej twórczy; drugi, usiłujący nawiązać nić z odwiecznym programem naprawy rządu Rzeczypospolitej, rozwijający ideę wyłącznie polityczną, nie zaś społeczną, wobec braku państwa polskiego, zmuszony jest obracać się w zakresie czczych przewidywań, o ile chodzi o przyszłość — natomiast, daje szereg trafnych nauk, wskazań, uwag o przeszłości.

Zobaczmy teraz, jak upływa na emigracyi życie Maurycego. Przyniósł on na wygnanie nie tylko boleść z powodu upadku sprawy, lecz i gniew i gorycz przeciwko tym, kogo za głównych sprawców klęski poczytywał. Od

początku jasno zdający sobie sprawę z błędów powstania, śmiało te błędy wytykający, musiał ciągle ustępować pola zaufanym w sobie reprezentantom oficyalnej mądrości politycznej, która się okazała złudą, uważany za wichrzyciela, za ambitnego awanturnika, miał w powstaniu ręce związane, był niepopularny, bezsilny. Wezbrała w nim gorycz, szczególnie przeciwko partyi kaliskiej, która miała większość w sejmie, a pod koniec i w rządzie; w pierwszych tygodniach emigracyi snuje przeciwko niej swe oskarżenia, jakby dawnym, zaczerpniętym w kraju, a jeszcze nieskończonym tchem, i bierze udział w tej nibyakcyi politycznej, która wciąż jeszcze, siłą rozpędu, toczy się pomiędzy odłamkami niedawnych stronnictw na bruku paryskim.

Gdy pierwsza garść emigrantów znalazła się w Paryżu, Bonawentura Niemojowski, ostatni prezes Rządu Narodowego, po rozmówieniu się z Lafayette'm, postanowił utworzyć komitet »w celu służenia pomocą przybywającym rodakom... i wyjednania dla nich opieki rządu francuskiego«. 6 listopada 1831 roku wychodźcy w liczbie 26, a wśród nich i świeżo, 2 listopada, przybyli do Paryża bracia Mochnaccy, zebrali się w mieszkaniu Niemojowskiego i wybrali ów komitet. Weszli w jego skład czterej »kaliszanie« — B. Niemojowski, Teodor Morawski, Franciszek Wołowski, Kantorbery Tymowski, z niezbędnym dodatkiem — Joachima Lelewela. Niemojowski, największą ilością głosów wybrany, został komitetu tego prezesem. Opozycya na zebraniu próbowała dowodzić, że ilość rodaków zbyt jest jeszcze szczupła, aby mogła wybierać komitet, uległa atoli wobec przewagi głosów większości, która przyjęła jedynie zastrzeżenie, iż obecny komitet tymczasowy zastąpiony będzie przez stały, gdy tylko 100 rodaków do Paryża przybędzie.

W ciągu listopada napływali do Paryża wciąż nowi wychodźcy; przybysze wpadali teraz w gotowy już wir walki stronniczej, która tymczasem skupiała się dokoła

sprawy wyborów do komitetu stałego. Maurycy Mochnacki i Gurowski piórem poparli walkę z kaliszanami, wypuściwszy w świat bezimienne broszury. Broszura Maurycego, wydana 18 listopada 1831 roku, wykazuje, że kaliszanie pogrążyli sprawę powstania, a teraz chcą przewodzić emigracyi ze szkodą dla narodu. 8 grudnia zebrało się wreszcie w mieszkaniu Niemojowskiego zgromadzenie z 87 osób, dla wybrania komitetu stałego. Z początku starły się opinie co do tego, czy komitet ma mieć li tylko cechę gospodarczo-administracyjną, czy też i polityczną; pierwszą opinię popierali umiarkowani, jak Niemojowski, Morawski, Kunatt, Plichta, Wł. Plater, dawni zaś klubiści — Czyński, Krępowiecki, Lelewel, Maur. Mochnacki, Gurowski byli za charakterem komitetu politycznym. Ta druga opinia zwyciężyła i pod jej hasłem wybrany został komitet następnego dnia 9 grudnia, w szczuplejszem już gronie sześćdziesięciu paru osób. Do komitetu narodowego nowego, nazwanego stałym, weszli: Lelewel, jako przewodniczący, i jako członkowie, w liczbie 8-miu: W. Zwierkowski, L. Chodźko, R. Sołtyk, T. Krępowiecki, K. Kraitsir, A. Przeciszewski, A. Hłuśniewicz, A. Gurowski [1]. Nowo wybrany komitet, wraz z sekreta-

[1] L. Gadon w swej »Emigracyi Polskiej« mylnie podaje jako datę owego drugiego zebrania — dzień 15 grudnia. Protokół posiedzenia z 9 grudnia znajduje się w Rapperswylu, pisany ręką M. Mochnackiego, który sekretarzował na zebraniach 8 i 9 grudnia. Nieściśle podany u Gadona i wynik głosowania. Naprzód głosowano na prezesa: Lelewel otrzymał 55 głosów, M. Mochnacki — 2 głosy, B. Niemojowski — 1 głos. Potem głosowano na członków: Lelewel, L. Chodźko, W. Zwierkowski — po 55 głosów, R. Sołtyk — 52, Krępowiecki — 44, Przeciszewski — 34, Kraitsir — 30, Hłuśniewicz — 28, Gurowski — 26, Czyński — 22, Zambrzycki — 15, M. Mochnacki— 13. Protokół obydwóch zebrań, uważanych jako jedno podpisali: Zwierkowski, jako przewodniczący, Lelewel i Przeciszewski, jako asesorowie, M. Mochnacki jako sekretarz. 15 zaś grudnia odbyło się następne ogólne zgromadzenie, na którem marszałkował Zwierkowski, asesorami byli L. Zambrzycki i W. Kormański, sekretarzem — K. E. Wodziński.

rzem zebrania M. Mochnackim, 10 grudnia zawiadomił prezesa komitetu francusko-polskiego Lafayette'a o rezultacie wyborów.

Chociaż Kamil Mochnacki w liście do rodziców 14 stycznia 1832 roku pisze, że »na obiorze komitetu stałego nikt nie był tak upokorzonym, jak Niemojowski« to jednak rezultat wyborów był chyba i dla Maurycego przykrą niespodzianką. On agitował niemal głównie przeciwko kaliszanom i oto, jako sekretarzowi zebrania, wypadło mu notować własnoręcznie tak niesłychanie dlań niepomyślny wynik wyborów. Ludzie wówczas mało znani i nieznani, jak Przeciszewski, Kraitsir, Hłuśniewicz, Zambrzycki, otrzymali większą odeń liczbę głosów. Gorzkie refleksye musiało w nim obudzić to niepowodzenie. Rok właśnie upłynął od czasu, kiedy w swej akcyi przeciwko Rządowi Tymczasowemu i Chłopickiemu ujrzał się osamotniony, opuszczony od wszystkich. Rok ten ubiegły wykazał naocznie słuszność przewidywań Maurycego, dowiódł fenomenalnej jego przenikliwości, mocy niemal proroczej, obnażył błędy jego przeciwników, a jednak popularności jego nie zwiększył. Jak wówczas rok temu puszczono w obieg, za sprawą Lubeckiego, rewelacye o piśmie karmelickiem i cenzorskiej służbie Maurycego, tak i teraz, skoro poczuto rękę i pióro Maurycego w obaleniu kaliszanów, wprawiono w ruch dawny oręż. Źródłem obmów i plotek przeciwko niemu był tym razem Teodor Morawski, ostatni minister spraw zagranicznych, najczynniejszy z kaliszanów na emigracyi. »Rozsiewa plotki i intryguje« utyskuje na niego Kamil w liście z 20 stycznia 1832 roku: »Z tego źródła znów wyszła wzmianka o piśmie Maurycego u Karmelitów, jego pobyt w cenzurze i znajomość z Szaniawskim«.

Lecz intrygi kaliszan, którzy przecież 8 i 9 grudnia okazali się w znakomitej mniejszości, nie mogły stanowić o porażce Maurycego, rozstrzygnęła tu raczej utajona wówczas, a głęboka doń nieufność i niechęć tych, którzy 9 gru-

dnia tryumfowali, to jest, przedewszystkiem dawnych klubistów. Wiadomo, że już od Reformy Rządu w powstaniu Maurycy pokłócony był z klubistami; zresztą, nie umiał on nigdy przejąć się duchem kliki, sekty, nigdy nie potrafił dla kanonów politycznej fakcyi zapomnieć o szerszych wskazaniach, gotów był zawsze odstąpić bractwa politycznego, jeśli bystrem okiem dostrzegł, że drogi jego rozchodzą się z drogami narodu; ta też jego właściwość od początku w klubie jednała mu opinię człowieka »niepewnego«, a że do tego ogromnym swym talentem budził zawiść, przeto stale był niepopularny. Ponieważ miał pióro cięte, nigdy nie zawodzące, i odwagę cywilną nielada. używano go więc chętnie do obalenia przeciwników, wyzyskawszy zaś, odtrącano bez ceremonii. W upadku kandydatury Maurycego do komitetu znać obok innych wpływów i rękę Lelewela, który będzie go odtąd stale poniżał, podkopywał w emigracyi, nigdy jawnie przeciwko niemu nie występując. Stosunek Lelewela do Mochnackiego to jedna z plam w życiu tego dziwnego, pełnego sprzeczności człowieka, jedna z kart ciemnych wśród tylu kart czystych, jasnych jego pełnego pracy, poświęcenia, bezinteresowności, a jednocześnie przykrych, niepojętych, chorobliwych intryg żywota.

Maurycy i dwaj jego najbliżsi towarzysze, brat Kamil i Michał Podczaszyński, rychło spostrzegli usposobienie Lelewela niechętne, nieszczere, które przelewał i na obydwóch Maurycego powierników: »Sam bezsilny, nigdy stanowczego kroku nie zrobi«, pisze z goryczą Kamil o Lelewelu 20 stycznia: »słuchać innych nie chce, bo rozumie, że sam wszystkiemu podoła; a do ludzi, którym wyższości umysłowej zaprzeczyć nie można, wyraźną okazuje niechęć i szkolną prawie zazdrość, dał tego najlepsze dowody co do Maurycego. Już to od samego przyjazdu do Paryża wiedział bardzo dobrze, że jeśli go opuścimy, wtedy on będzie musiał ustąpić przed

niemi[1]. Chodził więc co dzień, szeptał do ucha, czynił maleńkie obserwacye, drwinkował, ale zawsze po cichu, zawsze w kąciku. Kiedy się pisały broszury, mające zadać cios kaliszanom, był w najwyższej radości, podskakiwał Himcio i krztusił się w naszym pokoju, w którym pełno było dymu od fajek. Sam nawet egzemplarze pieczętował i rozpisywał adresa. Ale jak tylko broszury uczyniły swój skutek i on zajął miejsce w komitecie..., począł utrzymywać, że broszury zanadto mocno persyflowały kaliszanów i że nie godziło się znowu tak źle o nich sądzić...« Znając zwykłą taktykę Lelewela i w rewolucyi i na emigracyi, mniemać można, że w tem przedstawieniu więcej prawdy niż przesady. Lelewel, nie lubiąc Niemojowskiego i całego jego obozu i nawzajem przezeń nie lubiany, przyjmuje, jednak, mandat do Komitetu Tymczasowego, zasiada w nim, lecz jednocześnie bierze udział w zabiegach około obalenia tego komitetu. Otwarcie przeciwko komitetowi Niemojowskiego nie występuje, wysuwa Mochnackiego i innych, gdy zaś Niemojowski już zgnębiony, poniżony, bierze go Lelewel w obronę, a wypiera się Mochnackiego, który upadł przy nowych wyborach. Jak tu łatwo poznać tego samego Lelewela, który w insurrekcyi wciąż lawirował pomiędzy Rządem i Sejmem, z jednej strony, a klubem, później towarzystwem patryotycznem, z drugiej, w chwilach zaś stanowczego konfliktu — milczał.

Jeśli ten nowy dowód nieprzedawnionej niechęci i nieufności rodaków przykry być musiał dla Maurycego, to skutki owego niepowodzenia jego komitetowego były dlań błogosławione. Gdyby był wybrany, ugrząłby pewnie na długo w komerażach emigracyjnych; tak zaś, odsunięty znów od tego, co wychodźcom sterem sprawy narodowej się wydawało, wziął się gorliwie do roboty

[1] To jest przed kaliszanami.

literackiej. Tak już niewiele życia mu zostało, i tę resztę miałbyż strawić na połajankach pielgrzymich!

Teraz atoli praca umysłowa Maurycego traci ten ścisły związek z bieżącem życiem politycznem, jaki trwał od wybuchu 29 listopada. Każdy wiersz, napisany przezeń w ciągu roku do grudnia 1831 roku albo odzwierciadlał politykę dnia bieżącego, albo wspierał plany patryotyczne Maurycego. Teraz pióro jego bierze rozbrat z chwilą bieżącą, duchem uchodzi on w przeszłość narodu, w wypadki ubiegłe, schodzi do »najprywatniejszego życia«, jak pisze o nim Kamil. Wziął wprawdzie jeszcze pewien udział w życiu korporacyjnem, lecz już od polityki oddalonem. W grudniu zawiązało się efemeryczne Towarzystwo Naukowe tułaczów polskich, które obrało Lelewela prezesem, Maurycego wice-prezesem. Nie należy, oczywiście, mieszać go z późniejszem Towarzystwem Literackiem, zawiązanem pod auspicjami Adama Czartoryskiego. Owe Towarzystwo Naukowe liczyło 36 członków czynnych z emigrantów polskich i 13 członków »przybranych« z cudzoziemców, głównie Francuzów[1]. Celem głównym Towarzystwa miało być, jak widać z prospektu, obznajmienie Europy Zachodniej z utworami naszej literatury i nauki, główną drogą ku temu miało być tłomaczenie celniejszych utworów na języki obce. Zaprojektowano wydanie zbioru o 50 tomach. Z protokółu posiedzenia z 31 grudnia 1831 roku, które było drugiem zebraniem Towarzystwa, widać, iż na wniosek prezesa podzielono się na wydziały; do wydziałów języka francuskiego, sztuk mownych, literatury i bibliografii zapisali się, między innymi, Maurycy Mochnacki i Juliusz Słowacki, Maurycy, oprócz tego, zapisał się do wydziałów: języka niemieckiego i dziejów ostatniej rewolucyi.

Już atoli i na gruncie tego towarzystwa zachodziły scysye między Lelewelem a Maurycym. Lelewel, oczywi-

[1] Dokumenta nieliczne, dotyczące tego Towarzystwa, znajdują się w Rapperswylu.

ście, wykształceniem głębokiem, encyklopedycznem górował nad resztą członków; nie znosił za to żadnej opozycyi, raz zerwał posiedzenie, gdy Maurycy i inni nie chcieli przyjąć jego projektu w materyi literackiej. Maurycego tymczasem pochaniała całkowicie historya powstania, do której się zabrał z zapałem. Niepodobna, jednak, było pisać ją w Paryżu, przeszkadzano mu ustawicznie, bezczynni rodacy wciąż nawiedzali jego izdebkę i czas zabierali. »Nic nie pomogła nawet praktyka z dawnego warszawskiego czasu z zamykaniem się na klucz« pisze Kamil w liście 14 stycznia: »Wybijano drzwi nielitościwie, zabierano czas, jeszcze nielitościwiej wypalano tytoń.... Często nawet zdarzało się, że gość pod pretekstem naradzania się o dobru ogólnem, wypijał moją bez miłosierdzia lub Maurycego porcyę kawy. To wszystko o mało nas do desperacyi nie przyprowadziło«. Postanowił przeto Maurycy Paryż opuścić. Michał Podczaszyński został delegowany do Metz od komitetu francusko-polskiego dla ułatwienia Polakom, przybywającym do Francyi, dostania się do Paryża. Korzystając z tego, Maurycy zabrał się z nim i schronił w Metz przed natręctwem próżniaków paryskich. Wiadomość o przybyciu Maurycego do Metz mamy w raporcie M. Podczaszyńskiego do Komitetu Narodowego z 12 stycznia 1832 roku, gdzie pisze o swem przybyciu do Metz dnia 11 stycznia, a dalej: »Mam zaszczyt donieść także Szanownemu Prezesowi, że obywatel M. Mochnacki przyjechał ze mną do Metz w zupełności zdrowia swego. Zobowiązał mnie on, abym zapewnił Szan. Prezesa, iż prospekt, który podjął się zredagować dla Towarzystwa Naukowego tułaczów polskich, za kilka dni zrobiony, poprawiony i przepisany na ręce Prezesa przesłany będzie«[1].

[1] Rękopisy raportów M. Podczaszyńskiego do Komitetu Narodowego i do Komitetu Francusko-Polskiego, zawierających częste wzmianki o Maurycym, znajdują się w Rapperswylu.

Pisanie owego prospektu, w którym Maurycy zobowiązał się dać rzut oka na ogół literatury polskiej, zarówno beletrystycznej, jak historycznej, szło mu ciężko. Umysł, pochłonięty pracą o rewolucyi, z trudnością naginał się do innej roboty, po za tem brakło mu wielu wiadomości faktycznych, szczególnie o historykach, a czasu na dopełnienia ich nie było. W dwa dni po owym raporcie Maurycy robi własnoręczny dopisek na liście Podczaszyńskiego do Leonarda Chódźki z 14 stycznia 1832 roku: »Kochany Leonardzie! Prospekt będzie niewątpliwie skończony za parę dni. Przyszlę go za pierwszą sposobnością na twoje ręce. Zaspokój w tej mierze Szanownego prezesa Tułaczów, któremu zasyłam moje ukłony. Pozdrów także ode mnie innych członków tego zacnego bractwa literackiego i oświadcz, że wyjechałem z Paryża dla tego tylko, żeby gorliwiej i bez przeszkody służyć potrzebie i widokom Towarzystwa Tułaczów. Dobrzebyś zrobił, Kochany Leonardzie, gdybyś przysłał do Metz broszurkę p. Lelewela o Nowosilcowie. Ściskam Cię serdecznie.

Maurycy Mochnacki«.

W tych wszystkich listach i raportach Maurycy i Michał Podcz. odzywają się z wszelkim, zewnętrznym przynajmniej, respektem o szanownym prezesie tułaczów, to jest o Lelewelu, w listach atoli styczniowych do rodziny nie ukrywają swego doń rozczarowania i stwierdzają jego wyraźną ku Maurycemu niechęć.

Tegoż dnia 14-go stycznia pisze Maurycy do matki o powodach swego do Metz wyjazdu i o swej pracy. Widać, iż gorąco pragnął napisać tę rzecz o rewolucyi; nietylko upodobanie pisarskie, lecz i głębsza potrzeba moralna zmuszała go do pospiechu. »Na wydaniu tego dzieła w Paryżu wszystko zależy. Tym tylko sposobem położyć zdołam kres plotkom, bajkom, obmowie«.... pisze w owym liście. Podobnie przemawiał w jesieni 1830 roku, gdy

kończył gorączkowo pracę o literaturze polskiej. To położenie kresu bajkom i obmowie miało oznaczać nie tylko wyświetlenie prawdy o powstaniu, lecz i obalenie, w szczególności, tych obmów i plotek, któremi nękano, poniżano bez ustanku samego Maurycego. Uchodził z zatrutej atmosfery zawiści i kalumnii, szukał moralnego schronienia, ratunku w pracy twórczej, to była jego broń przeciwko potwarzom. Czuł instynktem wzniosłej duszy, że człowiek jego miary w ten tylko sposób podejmuje rękawicę, rzuconą mu przez złość i zawiść: nie miotając się w syzyfowym wysiłku nieustannego prostowania fałszów, nie pasując się z brudną falą obmowy, usiłującą go zalać, lecz wznosząc się na tę wyżynę, na której ta fala, śmiertelna dla karłów, bezsilna na olbrzymów, już go nie dosięgnie. Zamykał się sam na sam z duszą narodu, zatapiał się w niej, przenikał ją, malował dzieje ojczyzny tragiczne, snuł natchnioną naukę dla przyszłości narodu, syk zaś obmowy pogardliwem zbywał milczeniem. W czasie powstania — odpowiedział na kalumnie — zaciągnięciem się do szeregów, ranami Ostrołęki, krzyżem *virtuti militari;* na emigracyi — odosobnieniem, cichem, głębokiem rozważaniem sprawy wielkiej i tworzeniem dzieła — ku olśnieniu, wstydowi i nauce kąsających go pigmejów.

W raporcie Podczaszyńskiego z 21 stycznia czytamy: »Jako Prezesowi Towarzystwa Naukowego, mam zaszczyt donieść Szanownemu Prezesowi Komitetu Narodowego, że obywatel Maurycy cieszy się zawsze zwykłą sobie czerstwością zdrowia, że ciągle pracuje i że prospekt niezawodnie za dni dwa przeszle zupełnie ukończony, w czem niżej podpisany miał sobie za powinność przynaglać tego obywatela«.

Niestety, obywatel Maurycy przekonał się, że prospektu wykonać nie może, pisze o tem 22 stycznia do Lelewela; dołącza do listu słaby szkic owego prospektu, przeprasza Prezesa i członków Towarzystwa za zawód,

wyznaje jednak, że wykonanie pracy było nad jego siły; prospekt ów »nie chce pomieścić się« w jego głowie, nie chce zaś »być kompilatorem i niedostateczną kompilacyą bałamucić cudzoziemców«. »Rys tak ogólny literatury byłby pożądany« pisze na końcu: »ale do tego trzeba wolnej myśli, której ja nie mam, bo ją zajmują i trapią przeszłe rewolucyjne nieszczęścia, jakich opisem obecnie się zajmuję«[1].

W liczbie dokumentów, pozostałych po Towarzystwie Naukowem tułaczów paryskich, zachowały się dwa egzemplarze owego prospektu, ręką M. Mochnackiego skreślone. Pierwszy, widocznie bruljon, z datą 1 stycznia 1832 r., a więc pisany nazajutrz po owem posiedzeniu Towarzystwa z 31 grudnia. Na protokóle posiedzenia 31 grudnia znajduje się notatka, iż dalszy ciąg jego wyznaczony na 2 stycznia godzinę 7 wieczorem; na to więc pewnie posiedzenie Maurycy szkic swój gotował. Prospekt rozpoczyna się wstępem, w którym mowa o tem, iż Francuzi, życzliwi Polsce, pobudzili Polaków do założenia Towarzystwa Naukowego; dalej mowa o upośledzeniu literatury polskiej, o potrzebie przekładu celniejszych utworów na języki niemiecki, francuski, angielski, wreszcie idzie wykaz wybitniejszych utworów poezyi i romansopisarstwa. Egzemplarz ten szkicowany bezładnie, pisany pobieżnie, oczywiście, bruljon. Drugi egzemplarz »Prospektu«, również ręką Mochnackiego pisany, z datą 10 stycznia 1832 roku, zawiera wstęp, mniej więcej skopiowany z poprzedniego szkicu, dalej — ustawę Towarzystwa, wreszcie, bardziej, niż w poprzednim, obszerny »Rzut oka na ogół piśmiennictwa polskiego«. To jest, widocznie, egzemplarz, o którym Maurycy mówi w liście z 22 stycznia; na egzemplarzu tym ręką Lelewela poczynione uwagi, poprawki,

[1] Rękopis listu w Rapperswylu. 2 egzemplarze prospektu, o których niżej, w rękopisach znajdują się w Rapperswylu.

dopiski. Prospekt ten, owoc roboty dorywczej, wartości nie posiada.

Tak więc Maurycy zerwał z życiem »Ogółu« paryskiego, który odbywał tymczasem swoje burzliwe posiedzenia w lokalu przy rue Taranne nr 12, zwanym pospolicie »Taranem«. Maurycy szybko pisał swą pracę, stosunki zaś jego z Paryżem dotyczą teraz głównie — pieniędzy. Dopóki był w Paryżu, otrzymywał zasiłek z Komitetu Centralnego, teraz jako nie mieszkającemu w stolicy, komitet przestaje udzielać wsparcia. Było wiadomo, że w kwestyach podziału funduszów pomiędzy emigrantów komitet francusko-polski kierował się opinią Komitetu Narodowego, w pierwszej zaś linii — opinią jego prezesa Lelewela. Tu otwiera się ciemna karta w stosunku rodaków do Mochnackiego. Mochnacki sam lub przez usta Podczaszyńskiego kołace do kalety komitetowej, zwracając się do Lelewela, lub do Leonarda Chodźki, który zasiadał w komitecie francusko-polskim. Lelewel w imieniu komitetu odpowiada zazwyczaj sucho, zasłania się — opinią, uchwałą gremium, zastawia się literą, formą — i Mochnackiego spotyka odmowa; bez tego nędznego kilkudziesięcio-frankowego zasiłku miesięcznego nie mógł żyć, pisał swą pracę o głodzie, cierpiał nędzę; o wszystkiem tem w Paryżu wiedzą, lecz są głusi, nieczuli. W tej ciężkiej opoce życia, umysł Maurycego pracował wytrwale nad tworzeniem dzieła, organizm wątły, schorzały po ranach, trawiony przez słabość wymagał wygód, pielęgnowania, tu zaś obywać się trzeba było bez obiadu, żyć o kawie i robić długi u obcych. Smutne, przygnębiające wrażenie sprawiają te listy wielkiego pisarza, pisane do Paryża, do rodaków, błagające o trochę pieniędzy — z kasy publicznej wychodźtwa — i natrafiające na cierpką odmowę. Opublikowana w wydaniu dzieł korespondencya Maurycego z rodzicami nie daje pełnego obrazu smutnych warunków, wśród jakich pracował; syn kochający nie chciał opisywać rodzicom całej swej nędzy, na którą oni,

wówczas także biedni, środków nie mieli. Prawda wyziera dopiero z tych rękopisów, w jakich przechowały się ślady stosunków Maurycego i Michała, podczas pobytu w Metz, z ich chlebodawcami — komitetami paryskimi.

Od końca stycznia rozpoczyna się ta przykra litania jałmużnicza Marycego. W raporcie Podczaszyśskiego z 23 stycznia czytamy już: »o przysłanie pieniędzy dla mnie i dla Mochnackiego upraszam Szanownego Chodźkę«.

Stosunek odydwóch wychodźców z Metzu do Lelewela był tymczasem zewnętrznie wcale jeszcze przyjazny i ujmujący; komunikują mu z całą ufnością wieści o zdrowiu Maurycego i o postępie jego pracy; właśnie atoli praca ta budzić mogła pewien niepokój w Lelewelu, zdającym sobie chyba sprawę ze słabych stron swej działalności w powstaniu, których nie mógł nie uchwycić tak bystry pisarz, jak Mochnacki. W liście prywatnym Podczaszyńskiego do Lelewela z 3 lutego 1832 roku znajdujemy *post-scriptum:* »Maurycy niesłychanie pracuje, nigdy prawie nie ubiera się, i idąc na obiad o 5-tej. Robota jego olbrzymio postępuje... Maurycy (zdrów jest!!!) ukłon najniższy zasyła Kochanemu Panu«.

W raporcie z 9 lutego opisuje Podczaszyński obszernie uroczystość, na której Maurycy grał wobec publiczności na fortepianie.

14-go lutego pisze jeszcze Maurycy list do Lelewela, gdzie z całem zaufaniem rozwodzi się o swojej pracy; (rękopis w Rapperswylu).

»Za łaskawą pamięć o mnie dziękuję Szanownemu Prezesowi. Niezmiernie się cieszę, że posiedzenia Tułaczów uczonych znowu rozpoczęły się. Nigdybym tego w Paryżu nie mógł napisać, com w Metz popisał o rewolucyi naszej, a przynajmniej potrzebowałbym w Paryżu dwa razy dłuższego czasu. W Metz, jak niegdyś u Paulinów w Warszawie zamknięty mam spokojną głowę, myśl nie zbałamuconą plotkami i intrygami paryskiemi. Manuskrypt

mój tak się powiększył, że obawiam się, żeby tom zbyt gruby nie był. Wszakże gdy rozdział po rozdziale przerabiać i redagować zacznę, spodziewam się nie mało odciąć z tego, co zbyt gadatliwe wyśpiewało pióro. Treściwie i krótko trudniej aniżeli rozwlekle pisać. Już o tem Cycero wiedział, kiedy się żali Attykowi, że krótko pisać nie ma czasu. Za ośm, a najdalej 12 dni skończę ogólny obraz narodowego powstania naszego, to jest rys z gruba jakby kredą nakreślony, konturowy, któremu cień i farby dać muszę, rzecz sposobiąc do druku. Ponieważ nigdy nie pisałem żadnej historyi i żadnych materyałów nie mam, częstokroć nie bez trudności idzie mi pisanie. Wolałem przeto nazwać to *considerations*, gdzie to com widział wiernie opowiadam, albo brakujących mi wiadomości dołączenie odkładam do przyjazdu do Paryża, gdzie główne momenta rewolucyi naszej szczegółowiej opiszę, niżeli historyą.

Często mi mówić przychodzi o Kochanym Prezesie. Wiem, że nie wszyscy będą kontenci z charakterystyki i osób i partyi. Poczciwy Michał mocnej mi dostarcza broni przeciwko arystokratycznym figurom. Arystokracya, rewolucyjna partya i kaliska wszystko srodze grzeszyło egoizmem, niedołężnością i nierozumem politycznym. Żeby dobrze pojąć sprawę naszą, stan rzeczy jak się w rewolucyi wykształcił, trzeba zasięgnąć 15 lat, które rewolucyą poprzedziły. Temu też rozdział cały poświęciłem, bo nasiona wilcze z owego czasu wybujały w rewolucyi. Najpiękniejszą rzeczą naszą jest kampania — czyli entuzyazm wojska i całego narodu, mocna wiara w sprawę narodową. Toż wszystkie ułomności polityczne w obliczu dziejów okupuje. Gdy dołączę rozdział o emigracyi polskiej i *pièces justificatives* będzie tom z 20 kilku arkuszy druku złożony. Niemcy nie piszą, ale bają; Spatzier wielki szarlatan, a może i organ naszych pseudo-artystokratów, którzy nabroiwszy wiele złego w rewolucyi szkodzić jej chcą

teraz historyczną nieprawdą. I w dziełku (?)[1] wiele niedorzeczności! Co znaczy ta Niemojowskiego odezwa do deputowanych, nie rozumiemy w Metz; musi to być jakiś nowy koncept Kaliszanów. Czy chcą koniecznie zostać męczennikami? Nie źleby było, gdyby ci oficerowie polscy, którym Paryż koniecznie potrzebny nie jest, pojechali tam gdzie są ich koledzy — mówią, że nasze *dèpôt* ma być ustanowione w Besançon. Emigranci w większej liczbie w Avinionie lub gdzieindziej będą lepiej uważani. Pozdrawiając Szanownego Prezesa, proszę żebyś raczył tułaczów względom swoim przypomnieć. Xawerka Bronikowskiego i Leonarda Chodżkę ściskam serdecznie. Brat mój nic dobrego, ani razu do mnie nie pisał.

Prawdziwy sługa
Maurycy Mochnacki«.

W liście, pisanym do Leonarda Chodźki, bez daty, pochodzącym niezawodnie z końca lutego 1832 roku, szerzej opisuje Maurycy swe opłakane położenie materyalne: »Kochany Leonardzie! Położenie moje jest tu bardzo szczególne. Co miałem zrobić w Metz, to już od kilku dni skończone. Przypomnij sobie, kochany Leonardzie, że gdym wyjechał z Paryża, przyrzekłeś mi słowem swojem, że to w Metz przez czas pobytu mego mieć będę, com miał w Paryżu. Na tym tylko fundamencie wyjechałem dla zyskania wolniejszego czasu do pracy tak ważnej i tak potrzebnej naszemu powszechnemu narodowemu interesowi. Na tym fundamencie expensowałem na miesiąc w stosunku 95 franków, to jest tyleż w hotelu, gdzie jestem, zrobiłem długu. Od komitetu w Metz nie mogę żądać żadnej pomocy, gdyżby to było nadaremno, gdyż komitet za namową Michała, a w części i moją, co tylko zebrał, to posłał albo wam do Paryża, albo posyła do Awinionu — dla rodaków naszych. Wystaw że sobie po-

[1] tu wyraz nieczytelny.

łożenie moje i Michała? Sam teraz nic sobie zarobić nie mogę, póki nie wydam mojego pisma. Potem dam sobie rady wszędzie. Ale dzisiaj, dzisiaj, jak wyjechać z Metz? Jak zapłacić com winien w hotelu? Wiem ja, że u was bieda — ale wiem to także, że jesteś dobry, kochany chłopiec, że wpływu swego, który zyskałeś w nagrodę najczystszego patryotyzmu i światła na to użyjesz w komitecie centralnym, żeby i mnie i Michała wybawić z kłopotu chwilowego, za co obadwa ci wdzięczni będziemy. Wiem, że jeżeli zechcesz, to zrobisz; a chciej, bo gdyby mi nie szło o wydrukowanie w Paryżu historyi rewolucyi polskiej, nie potrzebowałbym jechać do Paryża, myślałbym tylko o własnym interesie i miałbym aż nadto wiele czasu i zręczności dogodzenia mym małym potrzebom. Całuję Cię serdecznie, ale nie daj mi umrzeć z głodu — i pamiętaj o Michale. Listu tego nikomu, nawet Joachimowi nie pokazuj, pozdrów go tylko ode mnie.

Vale et me ama Maurycy Mochnacki. Książki polskie, o których piszesz, przywiozę Ci do Paryża«.

W aktach komitetu francusko-polskiego w bibliotece Rapperswylskiej znajduje się tekst odezwy komitetu do Maurycego Mochnackiego, z datą 28 lutego 1832 roku, pisanej po francusku, z zawiadomieniem, iż komitet nie jest w stanie przysłać mu pieniędzy, odsyła go zatem po zasiłek do Komitetu dla Polaków, w Metz istniejącego; zaznacza, iż czyni to, pomimo zabiegów Chodźki (*»malgrè l'intervention et la recommendation toute particulière avec laquelle Mr Chodźko parlait en votre faveur«).*

Odpowiedzi tej nie otrzymał jeszcze widocznie Maurycy, gdy kreślił następujący list do Lelewela pełen ciekawych uwag i myśli:

»Metz, dnia 29 lutego.

Place de Chambre, Hotel de Victoires.

Szanowny Panie Joachimie! List Twój ostatni, do Michała pisany, w którym na komerażnictwo sprawiedliwie

powstajesz, mocno mnie zastanowił. Te bezecne, przeklęte plotki każą, muszą kazić wszystkie emigracye, osobliwie też naszą; bo w charakterze polskim prócz wielu zalet mieści się także pewien niewieści element skłonności do komerażnictwa. Ossoliński umarłby raz drugi, ale z ukontentowania, gdyby cudem ocknąwszy się ze snu podziemnego, tak wyborną polszczyzną mógł ukuć wyraz dla odmalowania gustu w narodzie naszym do plotek, komerażów, bajek, małych intryg, małych rzeczy, małych ludzi, drobnych namiętnostek, które nietylko w rewolucyi polskiej bruździły, ale i w nieszczęściu czynią nas i śmiesznemi i godnemi pożałowania. Z początku trzeba było ściągać Polaków do Paryża; ale dlatego tylko, żeby większością wotów niemojowszczyznę, tę główną kwaterę komerażnictwa, wykomerażować z komitetu. Co skoro nastąpiło, taka liczba Polaków w Paryżu stała się nie tylko nie potrzebna, ale szkodliwa dobrze zrozumianemu interesowi narodu polskiego. Trudnoż było przewidzieć, że zabraknie funduszów dla 180-ciu. Między temi 180, pewnie jest 174, a przynajmniej 170 próżniaków, którzy chociażby nie chcieli, komerażnictwem trudnić się muszą, bo cóżby innego robili? Niewypowiedzianie cieszę się, że nakoniec wyjadą z Paryża. Tym kształtem zabraknie materyału do plotek, obmów; rzeczy lepiej pójdą, komitet bezpieczny raźniej pracować będzie; nie mógłby tego dokazać, gdyby było kim wichrzyć jego spokojność. Gdyby był jaki klajster do zlepienia w całość jednej partyi głów polskich, możebyśmy byli nie upadli. Ale niemasz takiego cementu. W Rewolucyi mieliśmy koterye, nie stronnictwa. Dla tego żeby Polskę wyjarzmić, trzeba żeby poczciwy człowiek, cnotliwy Kromwel, drugi Kościuszko z głową Kromwela polskie duchy tęgim kagańcem okiełznał — jeśli znowu kiedy powstaniemy. Piętnaście lat ucisku rozprzęgły tak dalece umysły nasze, że już potem żadną miarą połączyć je w jakąkolwiek całość nie było można. To najlepiej emigracya nasza pokazuje. Te smutne obser-

wacye uczyniły mnie stronnikiem absolutyzmu. Umknąłem z Paryża, żeby mi komerażnictwo nie wykrzywiło głowy, której potrzebuję do pisma o rewolucyi. Zmartwiłem się jednak, żeście mnie wyrzucili z listy osób, biorących gażę z komitetu. Gdyby mnie to pismo nie zajmowało, nie potrzebowałbym wsparcia od komitetu, — mógłbym sobie zarobić. Z komitetu w Metz nic wziąć nie mogę, bo niepowinienem; ja tu jestem gościem, zabawię może dni 10, gdybym żądał zasiłku z tutejszego komitetu, byłoby to nieprzyzwoicie, — wreszcie może daremnie, gdyż obadwa naglemy komitet tutejszy. żeby wszystkie pieniądze, jakie ma, posłał do Niemiec, o co Zwier... bardzo nalega, okazując tego nieodbitą potrzebę. Może to już nastąpiło w tej chwili. Wreszcie, co tylko wziąłem, obowiązuję się oddać komitetowi, jak tylko pierwszą sposobność mieć będę uiszczenia się z tego długu.

Małachowski Kaźm. bywszy (sic) wódz naczelny ogłosił z podpisem swoim broszurkę we francuskim i polskim języku, która mocno kompromituje reputacyę Generała Romariny (sic). Z tego wyniknie nie mała wrzawa; ale Romarino nigdy nie wyjdzie z zarzutu, że był instrumentem naszej arystokracyi, która mu połączyć się z głównym korpusem pod Modlinem nie pozwoliła. My tu z najwyższą ekonomią żyjemy — ale dalibóg, jeśli nie przyszlecie pieniędzy, będzie kuso, bo ani ja ani Michał od komitetu tego nic nie weźmiemy. Do Awinionu pojechać nie mogę, bo cóż będzie z pismem mojem, które koniecznie wydać muszę przed miesiącem czerwcem? I po polsku i po francusku? Wreszcie jeżeli komitet użytecznych tylko ludzi zostawia w Paryżu, dobrze czyni; ja sądzę, że jednym z tych użytecznych będę przez wydanie pisma o rewolucyi, którego w takim rozmiarze nikt wysmażyć dotąd nie zadał sobie pracy. Jeżeli nie zechcecie mnie mieć w Paryżu, to jest przynajmniej przez dwa miesiące ułatwić pobyt w tem mieście, nie potrafię tak prędko przerobić mojego rękopisu (który ledwo nie nad spodziewa-

nie moje rozszerzył się) i wytłomaczyć i wydać. Polecając się pamięci.

Maurycy Mochnacki.

Tibi soli. Gdzie pojechał mój brat Kamil? nie mam od niego żadnego listu!!«

W ciągu marca stosunki pomiędzy wygnańcami z Metz a komitetem paryskim psują się na dobre. Bieda daje się coraz mocniej we znaki Maurycemu i Michałowi. Raporty Podczaszyńskiego brzmią cierpko; ponieważ zaś Podczaszyński dostarczał komitetowi paryskiemu za pośrednictwem komitetu z Metz bardzo znacznych środków, gdyż akcya zbierania składek na emigrantów nigdzie nie szła tak, jak w Metz, pomyślnie, przeto i przemawia on do komitetu Paryskiego tonem górnym, raporty jego podobne raczej do nagan. Na całych stronach daje wyraz oburzeniu z powodu postępowania komitetu względem Maurycego; karty owe, naturalnie, uważać można za pisane raczej przez Maurycego piórem Michała, conajmniej za wyraz wspólnych poglądów i wspólnych rozmów. Raport 13-go marca stanowi cały akt oskarżenia komitetu, a w pierwszej linii Lelewela o nielitościwe, niesprawiedliwe względem Mochnackiego postępowanie. »Rada Szanownego Prezesa, aby Mochnacki Maurycy jeden, a ja delegowany drugi byliśmy utrzymywani przez komitet metzański, jako czyste szyderstwo przedstawia się memu umysłowi. Możnaż było chcieć tego, możnaż było podobną radę względem M-go błogosławionemu Komitetowi Centralnemu podawać, po przeczytaniu moich raportów?« Mówi o tem, iż komitet w Metz nie jest w stanie ich utrzymywać, że obecność Maurycego bardzo przyczynia się do jego, jako delegata, użytecznej działalności: »Kochają go tu i szanują wszyscy i w komitecie męskim i w komitecie dam, bo z mężczyznami więcej lubi gadać jak ja, a z kobietami, jako artysta, tem samem przewagę ma nade mną. Mógłżeby on tyle być użyteczny sprawie ogólnej

jak jest, gdy sam jeden albo razem ze mną, przyjechawszy jako gość, żądał pieniędzy od tych, którzy ich nikomu nie dają na utrzymanie w Metz?«

»Komitet narodowy wybiera, waży, taxuje osoby, które mogą zostać w Paryżu i przedstawia je Komitetowi Centralnemu. Na jakiejże szali ważył Mochnackiego, człowieka, o którym najwięksi jego nieprzyjaciele polityczni, arystokraci i kaliszanie powiadają, że jest największą głową w Polszcze, że jest mędrszy od Kołłątaja. Gdyby arystokraci lub kaliszanie wybierali, pewnieby go oddalili, bo się go boją, bo uznają swoją niższość; maż świat powiedzieć toż samo i teraz?« Dalej wyłuszcza, iż komitet powinienby na Maurycego, który umknął od zgiełku, by pisać swe dzieło, patrzeć, jako na siedzącego w jakiem odległem zacisznem quartier paryskiem; czyni przejrzystą aluzyę do Lelewela: »Nie jest że to prosta cenzura, w imieniu narodu, czyli w imieniu wygnańców, odejmować wolnemu obywatelowi możność drukowania dzieła podobnego, które czytając może niejeden z Polaków, zostawionych w Paryżu (nie przymierzając tego do nikogo w komitecie) upiecze raka i wargi przygryzie, pomimo tego iż będzie miał racyą powiedzieć, iż M-cki nie jest bynajmniej największą głową w Polszcze«. Pisze dalej o Maurycym, iż skończył już dawno swą pracę, został zaś jeszcze po to, by wziąć udział, jako fortepianista w koncercie dobroczynnym i wywdzięczyć się imieniem narodu Francuzom za ich składki. Wreszcie Podczaszyński uprzedza, iż poda do publicznej wiadomości te dane, świadczące o stosunku do nich Komitetu. Kości zostały zatem rzucone. Jak widać z akt Komitetu Narodowego, raport ów Podczaszyńskiego z 13 marca czytany był na posiedzeniu Komitetu 17 marca. Protokół posiedzenia, punkt czwarty, opiewa: »Czytano list Podczaszyńskiego z Metz, pełen niedorzecznych uwag... i pociesznych pochwał a dowodów na stronę Maurycego Mochnackiego,

któremu, jak utrzymuje, koniecznie winien Komitet Centralny wsparcie do Metz posyłać«[1].

W Raporcie 16 marca znów pisze Podczaszyński: »przypominam i proszę o pieniądze dla mnie i dla Mochnackiego, grosza nie mamy, to na kredyt, to z długów zaciąganych żyjemy«. W raporcie 21 marca znowu krótkie a wymowne: »oczekuję na pieniądze«.

Wreszcie, w raporcie z 27 marca: »Maurycy Mochnacki wyraźnie odmówił i nie przyjął wsparcia od Komitetu tutejszego, do którego bez potrzeby i bez proszenia pisał za nim Szanowny Prezes. Dziś albo jutro ustnie się dowie o tem Sz. Prezes od Mochnackiego, a za dwa dni najdalej«.

Listy Maurycego i Michała do państwa Mochnackich, rodziców, z owego czasu, ukrywają to ich ciężkie położenie. W końcu marca wybiera się wreszcie Maurycy do Paryża, by tu pomyśleć o środkach do życia i wydaniu pracy. 27 marca pisze Podczaszyński do pana Bazylego Mochnackiego: »Pobyt nasz w Metz był najprzyjemniejszym... Maurycy mniej jada, o jednej kawie czeka cierpliwie do piątej obiadu«. Nie wspomina tylko o tem, że przyczyną tej wstrzemięźliwości była nędza.

W Paryżu Maurycy trafem zjechał się z Kamilem, wydelegowanym przez Zakład wychodźców z Awinionu do Paryża. »Od pierwszego kwietnia tu siedzimy« pisze Maurycy do Matki 18 kwietnia: »z Kamilem razem zjechaliśmy się do Paryża, on z Avignon, ja z Metz, gdzie skończyłem rzecz o rewolucyi polskiej«. Tegoż dnia pisze do matki Kamil, pełen zadowolenia ze swej misyi delegata. Jaskrawo odbija to wiejące z jego listu usposobienie przeciętnego emigranta, płynącego z dumą na grzbiecie płytkiej fali »polityki« emigracyjnej, od obecnego stanu ducha Maurycego. »Podobało się ziomkom« pisze Kamil:

---

[1] Akta posiedzeń Komitetu Narodowego w bibliotece Rapperswylskiej.

»i towarzyszom broni zaszczycić mnie swojem zaufaniem i mianować Członkiem Rady Centralnej, której w Paryżu kierunek interesów polskich ma być powierzony... On (t. j. Maurycy) przeciwnie zeszedł do najprywatniejszego życia; nic go nie interesuje i oprócz książki, którą chce drukować, o niczem nie myśli i nie spekuluje, tylko o sposobach wydrukowania jej, lecz małej rzeczy mu braknie, bo tylko 3000 franków« — zaznacza ironicznie.

Podczaszyński został jeszcze czas jakiś w Metz, wciąż zbierając fundusze, polemizując z Lelewelem i wołając napróżno w post-scriptach o pieniądze (Raporty z 19 i 29 kwietnia). Maurycego zaś na bruku paryskim czekały dalsze trudności i kłopoty. W początkach kwietnia 1832 roku Komitet centralny francusko-polski, z powodu wyczerpania funduszów, orzekł, że od 20 kwietnia będzie udzielał wsparć jedynie posłom, członkom Rządu Narodowego w powstaniu i członkom Komitetu Narodowego na emigracyi. Gdy Maurycemu odmawiano wsparcia, na podstawie tej uchwały, uważał to znów za niesprawiedliwość. Ksawery bowiem Bronikowski, który ongi 3 grudnia 1830 roku został powołany z Klubu patryotycznego do Rady Administracyjnej, otrzymał obecnie zasiłek, jako członek rządu w powstaniu. Lecz wszakże Maurycy wówczas powołany został razem z Bronikowskim do owej Rady, dlaczegoż więc on jest obecnie od wsparcia wyłączony? Pisze więc Maurycy podanie do Komitetu Narodowego, otrzymane 23 maja 1832 roku.

»Mam zaszczyt uczynić następujące przełożenie Komitetowi narodowemu:

Przed 29 listopada czynnie należałem do związku rewolucyjnego.

W nocy 29 na Starem Mieście razem z przyjaciółmi należałem do najpierwszego początku insurrekcyi.

W Klubie broniłem tej insurrekcyi przeciwko Lubeckiemu z narażeniem się na niebezpieczeństwa niemało.

W Radzie administracyjnej z Klubu zasiadałem i do upadku tej Rady przyłożyłem się.

Przeciwko dyktatorskiej władzy Chłopickiego, która okiełznała rewolucyą, która jej w zarodzie zgotowała przyszły upadek, działałem jak mogłem nie bez wystawienia własnego życia na niebezpieczeństwo.

Jak skoro Moskale wtargnęli do Polski, walczyłem jako prosty żołnierz pod Okuniewem, pod Wawrem 18 i 19 lutego i do tej chwili (19 lutego 1831 r.) odbywałem kampanię.

Przy rozpoczęciu kampanii przez Skrzyneckiego na nowo wstąpiłem w szeregi i nie licząc pomniejszych utarczek, biłem się pod Liwem, pod Przetyczą, Długosiodłem, Nadborowem [1], Kościelcem, wreszcie Ostrołęką, skąd okryty ranami przywieziony zostałem do Warszawy, gdzie do upadku tej stolicy przebywałem, — w ostatnich dniach jako redaktor *Dziennika Powszechnego*.

Przybywszy do Paryża, otrzymałem wsparcie od Komitetu Centralnego; nie jestem w Depôt, ponieważ w Paryżu być muszę obecny drukowi pisma o rewolucyi, już rozpoczętemu, które interesuje całą sprawę, a które w języku francuskim we dwóch tomach wyjdzie. Ta jedynie okoliczność, ta niezbędna potrzeba przedłużenia mojego pobytu w tem mieście zniewala mnie prosić Komitet Narodowy, żeby raczył wyjednać dla mnie na dwa miesiące zasiłek z Komitetu Centralnego, to jest do czasu, póki przynajmniej połowa mojego pisma się nie wydrukuje. Z wdzięcznością wyznaję, że do 15 lutego r. b. winien jestem utrzymanie moje Komitetowi Centralnemu. Ale od tego czasu Komitet Centralny usunął od wielu tułaczów, a tem samem i odemnie dawaną pomoc. Ograniczył się liczbą pewną; w tych kategoryach, którym do czasu nie odmawia wsparcia, umieszczony W. Xawery Bronikowski i mnie stawia w możności otrzymania po-

[1] Pewnie — Nadborami.

mocy, ponieważ rzeczony X. Bronikowski razem ze mną do rządu w rewolucyi powołany, jako członek tegoż przez Komitet Centralny w wspomnianych kategoryach zajęty został. Idzie tu tylko o przedstawienie ze strony komitetu narodowego.

Że komitet narodowy nie będzie się ociągał z użyczeniem mi pomocy w celu publikacyi pisma mojego żądanej, tego nadzieję mam z pewnych nawet zasług, jakie koło utworzenia tego komitetu położyć starałem się za przybyciem do Paryża, mianowicie zaś 1-o przez starania w to położone, ażeby dawniejszy, pierwszy komitet, który przez 20 Polaków wybrany, wszystkich razem tułaczów chciał reprezentować, ustał; 2-o przez obwarowanie na ogólnych zgromadzeniach, osobliwie początkowych, tych artykułów ustawy komitetu, które jego przemienienia, odnawiania, burzenia, strzegły przeciwko kaprysowi albo złej woli.

A zatem tytuły, pod któremi komitet narodowy przedstawić mnie raczy Centralnemu są następujące:

1-o Jako członka rządu, tak jako p. Bronikowskiego.

2-o Jako wydawcę pisma o rewolucyi, które tak mnie zatrudnia, że ani udać się do zakładu, ani w Paryżu o sposobach zarobienia sobie myśleć nie mogę.

Wiem, że środki Centralnego Komitetu są ograniczone, ale też powody, które miałem honor przedłożyć komitetowi, są sprawiedliwe i poważne. Jako zadłużony w gospodzie, gdzie się stołuję i w domu, gdzie mieszkam, proszę Komitetu Narodowego, żeby jaknajspieszniej raczył interes mój przełożyć Centralnemu, gdzie przyjęty będzie wedle zapewnień, jakie otrzymałem.

Prócz 60 fr., które miesiąc temu P. Wodzyński kassyer komitetu wypłacić mnie raczył, nic od 15 lutego nie wziąłem; a zatem przy najwyższej oszczędności nie mogłem obejść się bez zaciągnienia długu na czas od 15 lutego do dnia dzisiejszego w stosunku 80 fr. na miesiąc. A zatem komitet narodowy, niechaj raczy przez wzgląd

na te słuszne i umiarkowane żądania wydać assygnacyą z obliczenia, jakie sam udeterminuje w tej mierze dla wywiedzenia mnie z kłopotu.

Zostaję z rzetelnym szacunkiem

Najniższy sługa

Maurycy Mochnacki«.

Prośba Maurycego spotkała się z odmową. W protokóle posiedzenia z 23 maja 1832 roku znajdujemy: »Odczytano list Mochnackiego Maurycego, doprasza się o udzielenie przedstawienia do dekad Komitetowi Centralnemu na zasadzie że był członkiem Rządu, komitet udzielił mu odpowiedź odmowną. (podpisy) Lelewel, Przeciszewski, Hube, Rykaczewski, Hłuśniewicz, Zaliwski. Sekretarz: Walerjan Pietkiewicz«. Tegoż dnia 23 maja komitet wystosował do obywatela M. Mochnackiego odezwę za Nr 294: »Komitet narodowy w odpowiedzi na pismo obywatela z żądaniem wyrobienia mu wsparcia oświadcza, że się nie wdaje w szafunek funduszów, udzielanych przez Komitet Centjalny i dla tego żadnej mu listy płacy nie przedstawiał. Sądzi przeto, że skuteczniej by było, aby obywatel udał się bezpośrednio do komitetu centralnego. (podp.) Lelewel«. Odpowiedź obłudna, formalnie komitet narodowy, jako komitet, nie wdawał się w szafunek funduszów, lecz wiadome było, że od jego przedstawienia wszystko zależy; któż mógł obecnie decydować o tem, czy petent należy do kategoryi osób, mających na podstawie swego w powstaniu stanowiska, prawo do zapomogi, jak nie komitet narodowy polski? Lecz ten zasłonił się formalistyką. Charakterystyczne jest, iż odpowiedź komitetu Mochnackiemu układana była troskliwie, z namysłem, jak o tem świadczą akta komitetu. Początkowo figurował w niej ustęp: »p. Mochnacki, którego nie możemy położyć ani na listę posłów, ani na listę członków rządu«. Ustęp ten usunięto, zapewne wobec faktu przyznania zapomogi Ksaweremu Bronikowskiemu, który dwa razy w ciągu powstania powoływany był do rządu, raz —

3 grudnia, powtórnie — za Krukowieckiego, a za każdym razem — łącznie z Maurycym; przezornie więc usunięto owe ślizkie motywy co do odmowy Maurycemu i zastawiono się wybiegiem biuralistycznym.

Nazajutrz więc, 24 maja pisze Maurycy podanie wprost do Komitetu Centralnego:

Au Comité Central Polonais à Paris:

— »Le Comité Central vu le manque de l'argent dans sa caisse a refusé les secours à tous les emigrés polonais en faisant cependant l'exception en faveur 1-o des membres de la chambre des nonces, 2-o des membres du gouvernement, 3-o des membres du comité national de Paris.

Le sous - signé en sa qualité du membre du Conseil suprême de l'administration du royaume (espèce du provisoir après la révolution du 29 novembre 1830) appartient à la seconde cathégorie.

Par conséquent il a l'honneur de priez le Comité Central de vouloir bien lui accorder la même allocation qu'il ne croyait juste lui même de refuser à Monsieur Bronikowski, qui était membre du gouvernement à la même époque que le sous - signé.

Occupé de la rédaction d'un ouvrage sur la révolution polonaise qui vient d'être mis sous presse, ne recevant depuis quatre mois aucune allocation ni du gouvernement ni d'aucun Comité en France, le sous signé prie le Comité Central de vouloir bien prendre en considération les motifs qui l'engagent à rester à Paris.

Il croit surtout que le Comité Central conformement à sa propre décision fera droit à la présente demande pour ne pas ôter au sous-signé le moyen de continuer la publication de son ouvrage.

J'ai l'honneur d'être le très humble et très obéissant serviteur.

Maurice Mochnacki.

Paris le 24 mai 1832 an — Rue d'Anjou Dauphiné Nr 5«.

Na podaniu znajdujemy rekomendacyę:

»Mr Mochnacki est un des hommes les plus remarquables parmi les Polonais qui sont à Paris. Patriote devoué, n'ayant jamais desespéré de la cause Polonaise, compris par les fonctions qu'il a exerçées dans la seconde étape de réfugiés, auxquel le Comité Central accorde les secours, il a droit par tous les titres à la bienveillance. La position le recommande d'ailleurs à l'humanité du Comité Central.

Paris le 29 Mai 1832. *Ad. Cremieux*».

Dowiedziawszy się, że sprawa ma być rozważana na posiedzeniu Komitetu Centralnego dnia 1 czerwca, pisze jeszcze list do Leonarda Chodźki:

»Kochany Leonardzie, byłem dzisiaj u Ciebie dla oddania Ci najprzód pożyczonych książek, a powtóre dla proszenia Cię, ażebyś, gdy jutro interes mój w Komitecie Centralnym rozstrzygany będzie, nie tylko się jemu nie sprzeciwiał, ale owszem poparł go po przyjacielsku. Nie możecie i nie powinniście dać umrzeć z głodu człowiekowi pracującemu nad historyą rewolucyi; nie oznaczałoby to obywatelskiej cnoty. Pisałem do Komitetu Narodowego. Słyszałem, żeście jednomyślnie zaprzeczyli mi tytułu, z którego Komitet Centralny może, jak oświadczył, udzielić mi pomocy. To niedobrze. Fakta się nie zaprzeczają. Wreszcie u Bronikowskiego jest wezwanie Czartoryskiego podpisem opatrzone. Ja tego tytułu nie wywlekam dla czczej chluby, ale dlatego, że to jest jedyny dla mnie sposób załatwienia naglącej potrzeby. Źle czynicie, jeśli rozumiecie jakobym ja był nieprzyjacielem Komitetu Narodowego. To bajka. Ja uważam ten Komitet jako kaganiec na okiełznanie rozmaitych arystokratycznych i doktrynerskich pretensyi; za rzecz bardzo potrzebną dla dobra emigracyi. A zatem nie powinniście, jak sądzę, ze mną jak z nieprzyjacielem postępować! Potrzeby moje są naglące; winien jestem za stół przeszło 70 i kilka franków; za stancyę także za miesiąc. Ty jesteś dobry chło-

piec; wiesz, że nie można o głodzie pisać; ergo wyrobisz mi zasiłek jutro.

d. 31 maja 1832 r. *M. Mochnacki*«.

Brak nam wiadomości o tem, jak wypadła uchwała Komitetu Centralnego z 1 czerwca co do Maurycego. Bądź co bądź, jakkolwiek wypadła, nie zmienia ona już w niczem stosunku komitetu Lelewelowskiego do Mochnackiego, który na tle tego chronicznego przykrego zatargu pieniężnego ułożył się jaknajgorzej. Przytoczone dane dają miarę tego, w jak opłakanych warunkach pisał Maurycy swą pracę w pierwszej połowie 1832 roku. Znalazłszy się znów w Paryżu, nie bierze udziału w burzliwych zgromadzeniach »tarańskich« Ogółu paryskiego; nie pociągało go to grono, które tworzyło, według wyrażenia jednego z generałów, »ślub Honoratki z Jakobinizmem«; nie miał również żadnych związków z utworzonem w marcu 1832 roku Towarzystwem Demokratycznem, w którem z początku rej wodzili dawni jego zacięci nieprzyjaciele z rewolucyi, Krępowiecki, ex-ksiądz Puławski i zwaśniony z Maurycym od czasu wyjazdu tegoż do Metz Adam Gurowski, którego poduszczeniom w pewnym stopniu przypisywał Kamil cofnięcie Maurycemu zapomogi przez komitet. Od chwili za to, gdy osłabły, a nawet zupełnie zerwały się związki Maurycego z Lelewelistami i demokratami, zaczął nań zwracać baczniejszy wzrok obóz zachowawczy, który pod koniec życia Maurycego, szczególniej zaś po jego śmierci, przyznawał się do wspólności zasad i dążeń z Mochnackim i gorliwie komentował jego pisma emigracyjne we własnym duchu. Zawiązek rozgałęzionego później obozu zachowawczego na Emigracyi stanowiła Legacya Paryska, która w czasie rewolucyi listopadowej działała z ramienia wydziału zagranicznego rządu rewolucyjnego, pozostającego pod sterem księcia Adama. Na czele legacyi stali generał Karol Kniaziewicz i Ludwik Plater, który po wyczerpaniu wszystkich środków zniewolenia rządu francuskiego do poparcia insurrekcyi pol-

skiej, przeświadczeni ostatecznie, iż bierności rządu francuskiego nie wzruszą, 3 września 1831 roku złożyli ministrowi spraw zagranicznych Sebastianiemu memoryał z gorzkiemi wyrzutami pod adresem rządu Francyi i uwiadomili o wygaśnięciu swej misyi. Pozostali atoli w Paryżu i w ciągu ostatnich chwil naszej rewolucyi wciąż komunikowali się bez skutku z księciem Orleańskim, z Kazimierzem Périer, prezesem gabinetu, marszałkiem Soultem, Bignonem, Lafayette'm, komitetem francusko-polskim i prasą paryską. Gdy powstanie upadło, członkowie legacyi paryskiej oczekiwali na wskazania swego szefa co do przyszłości; w czasie swej podróży, po rozbiciu rewolucyi, do Londynu, widział się książę Adam z Kniaziewiczem i Platerem i nastąpiło pomiędzy nimi porozumienie na tle zobopólnych niewygasłych chęci służenia sprawie narodowej, w nadziei otrzymania poparcia od rządów Anglii i Francyi. Książę Adam udał się do Londynu i tam rozwinął łącznie z Niemcewiczem działalność, której wynikiem były mocye Fergussona i Stuarta i parokrotne debaty nad sprawą polską w parlamencie; Kniaziewicz zaś i Plater powrócili do Paryża i odtąd pomiędzy księciem a legacyą paryską odbywała się stała wymiana korespondencyi[1]. Dokoła legacyi skupiło się niebawem grono wy-

---

[1] Przedmiotem tej korespondencyi był z początku między innemi, zamiar obalenia komitetu Lelewelowskiego, jako władzy emigracyjnej. Do listu ks. Adama Czartoryskiego do generała Kniaziewicza z 14 marca 1832 roku dołączony jest nawet projekt deklaracyi, której rezolucya brzmi: »Oświadczamy: że komitetu narodowego polskiego, dziś w Paryżu egzystującego, za polski narodowy nie uznajemy« (Biblioteka Czartoryskich w Krakowie, rękopis Nr. 5274). Jako motyw narodowo polityczny, projekt deklaracyi wymienia, iż: »wspomniany komitet składa się z osób, należących niegdyś do klubu, nazywającego się Towarzystwem Patryotycznem, którego mowy, pisma i działania zniszczyły w ostatniem powstaniu narodowem najsilniejszy urok potęgi naszej: jedność i zgodę...«

Tak to legenda o zgubieniu powstania przez klub Patryotyczny powędrowała na emigracyę!

chodźców, przez Ogół i Demokratów arystokratami, dyplomatami zwanych. Widomym organem tego obozu było Towarzystwo Literackie, założone 29 kwietnia. Duszą jego był Ludwik Plater, oprócz niego współzałożycielami: Teodor Morawski, generałowie Bem i Umiński, Albert Grzymała, Andrzej Plichta, Franciszek i Ludwik Wołowscy, Aleksander Walewski, Ludwik Jelski i inni. Pierwsze posiedzenie odbyło się 3 maja 1832 roku; na prezesa powołano ks. Adama Czartoryskiego, na wice-prezesa i głównego redaktora — Ludwika Platera; zaproszono do udziału i przebywającego w Londynie J. U. Niemcewicza.

Mochnacki nie przyłączał się do żadnego obozu, zajęty był wykończaniem swej pracy, kłopotami pieniężnemi, troską o wydanie historyi powstania. Podczaszyński zjechał tymczasem z Metz do Paryża z projektem wydawania nowego pisma, zabrał się do rzeczy energicznie i od 1 lipca 1832 roku zaczął wydawać »Pamiętnik Emigracyi«; główną siłę, przyciągającą czytelników, stanowiły artykuły Maurycego, rozpoczęte od pierwszego numeru. Pismo mogło liczyć na rozpowszechnienie jedynie wśród wychodźców, przy złym zaś stanie funduszów wśród wychodźców, przy szczupłem z konieczności kole abonentów, a do tego przy złych stosunkach wydawcy z komitetem lelewelowskim i z demokratami, warunki istnienia pisma były nad wyraz ciężkie. To też szukał on oparcia dla pisma w Towarzystwie Literackiem; porozumiewanie w tej materyi odbywało się pomiędzy Podczaszyńskim a Platerem, ślady jego znajdujemy w aktach legacyi polskiej w Paryżu, przechowywanych w Rapperswylu. Nie mamy żadnych dowodów tego, aby Pamiętnik Emigracyi korzystał wprost z pomocy pieniężnej Towarzystwa Literackiego, wiemy natomiast, iż Plater zobowiązał się dostarczać pismu artykułów i istotnie za jego pośrednictwem artykuły napływały. Porozumienie Podczaszyńskiego z Platerem wogóle trwało niedługo i niebawem zamieniło się w otwartą nieprzyjaźń, której ślady liczne przechowały

się w pismach emigracyjnych. Od początku obóz zachowawczy zachowywał względem Podczaszyńskiego i jego pism wielką ostrożność i nieufność; natomiast, od początku uderza uznanie, a nawet admiracya światlejszych zachowawców dla Mochnackiego, którego talent w artykułach emigracyjnych zabłysnął w całej pełni, uznanie, miarkowane atoli przez niedowierzanie względem dawnego klubisty. Niektóre momenty ze stosunków i korespondencyi pomiędzy Towarzystwem Literackiem a redakcyą Pamiętnika Emigracyi stanowią, bądź co bądź, przyczynek do zrozumienia stanowiska ówczesnych obozów emigracyjnych względem Maurycego i zasługują na przytoczenie[1].

13 lipca 1832 r. pisze Plater z Paryża do Londynu do ks. Adama: »Podczaszyński zerwał z komitetem narodowym, z Lelewelem, z Demokratami i życzył sobie pracować w duchu umiarkowanych. Sądziliśmy więc, że należało go przybrać — nie przeto (?) całkowicie jeszcze jemu ufamy. Są nawet powody zwiększające naszą ostrożność. Zdaje się, że jest dość ściśle z Mochnackim Maurycym. Ten Mochnacki także zerwał z Lelewelem i nie trzyma z demokratami. Chce wydawać Historyę Rewolucyi Polskiej. Obaczymy to dzieło. Gazetę zaprojektował Podczaszyński, Towarzystwo przeszkadzać temu przedsięwzięciu nie mogło — zostawiło je pracy i odpowiedzialności samego Redaktora. Mamy tylko podawać mu artykuły i zastrzegliśmy sobie otwarte zdanie względem rzeczy, w tym dzienniku zamieszczonych. Wyszły już dwa numera: Ziemowit i Leszek. W każdym są dobre i złe rzeczy. Mochnackiego artykuły są dobrze pisane ale exagierowane. W ogólności pismo to będzie zawsze więcej przemawiać do namiętności niż do rozsądku. Cóż robić? Będziemy się starali mitygować, ile to uczynić podołamy.«

---

[1] Wszystkie poniższe wyjątki z korespondencyi przytaczam według rękopisów, znajdujących się w Bibliotece Rapperswylskiej.

Mógł tu mówić Plater o artykułach Maurycego: »O charakterze emigracyi polskiej« i »O polityce wschodnio-południowej gabinetu petersburskiego«.

W liście z 6 sierpnia 1832 roku pisze Podczaszyński: »Proszę i błagam pana Hrabiego, racz mi udzielić sam lub skłonić kogo do udzielenia artykułów, inaczej bowiem nie zdołam rozwinąć zupełnie planu mego pisma«. Na list ten Plater odpowiada 8 sierpnia: »Z blizkim powrotem moim do Paryża wszystkich sił przyłożę, do uskutecznienia życzeń, tyczących się pisma naszego, które o tyle więcej wspierać i zasilać powinniśmy wspólną pracą, o ile mu szkodzić zamyślają«. W dalszym ciągu daje do zrozumienia, że radby zbliżyć się do Mochnackiego: »do dzielenia prac wspólnych tem będę skorszy, jeżeli mnie zbliżą do osób, których serce, cnoty i dowcip czczę i uwielbiam. Ciekawy jestem widzieć dzieło, zapowiedziane przez M. Mochnackiego. Lecz czy będzie miało cechy spokojnej i zupełnej bezstronności? radbym mieć o tem tak pewne przekonanie, jak przeświadczony jestem, że będzie dobrze napisane. Talent autora jest niezaprzeczony, znamienity«. Łatwo zrozumieć, kogo w owem pierwszem zdaniu miał na myśli Plater, do kogo radby się zbliżyć; Pamiętnik Emigracyi nie miał ani jednego pióra, które choćby w części mierzyć się mogło z piórem Mochnackiego. Jeśli jednak i pozostający pod urokiem talentu Mochnackiego Plater miał względem niego uprzedzenie, zdradzające nieufność konserwatysty i moderanta do pisarza radykalisty i byłego klubowca rewolucyjnego, inni członkowie obozu zachowawczego żywili dla Mochnackiego daleko głębsze uprzedzenie i niechęć, z dawnych lat pochodzącą. Julian Ursyn Niemcewicz w liście z Londynu do generała Kniaziewicza 18 lipca 1832 roku pisze: »Dzięki składam za umieszczenie mnie w Towarzystwie Paryskiem Literackiem, przyszlę akceptacyę i pieniądze, jak zobaczę rzecz ustaloną, dziś gdy widzę, że Podczaszyński i Mochnacki tam przyjęci, waham się ufać. Mochnacki był fa-

worytem Szaniawskiego i Nowosilcowa, podawał projekta ku powściągnieniu oświaty publicznej. Podczaszyński znany z jakobinizmu swego, może ich odrażać nie należy, może się poprawią, lecz trzeba tego dowodów«. Nie mógł darować sędziwy Ursyn Maurycemu zuchwałego ongi najścia Rady Administracyjnej w dniu 2 grudnia 1830 roku i nie wahał się puszczać w obieg o nim jeszcze teraz starych inwektyw [1].

Maurycy daleki był w owym czasie od robienia jakiejkolwiek polityki do spółki ze stronnictwem dyplomatycznem emigracyi; miał na myśli wyłącznie swą pracę i, jeśli zbliżał się do kogo, to przedewszystkiem z myślą otrzymania materjałów do dziejów rewolucyi lub zdobycia środków na wydanie dzieła. Wszelką atoli walkę z obozem zachowawczym zarzucił; pisał do matki z Paryża 12 lipca 1832 roku: »Pojednałem się ze wszystkimi moimi antagonistami rewolucyjnymi, prócz ze szczątkami towarzystwa patryotycznego, które mnie bardziej nienawidzi teraz jak kiedy, dla tego właśnie, że nic nie chcę mieć z nimi do czynienia«. Kamil w listach z owego czasu wciąż gorzko wyrzeka na Lelewela.

Wkrótce atoli Maurycy na czas krótki zgalwanizowany został nowym ruchem gorączkowym, jaki zapanował w rzeczypospolitej wygnańców. W owym czasie w lecie 1832 roku wysuwa się postać, dokoła której na czas pewien skupia się wychodźtwo; jest to generał Dwernicki,

---

[1] Jak mało ceremonii robi sobie J. U. Niemcewicz z niemiłemi mu osobami w swych opowieściach, o tem mogą świadczyć pamiętniki jego. Opisując upadek ducha, jaki panował w Warszawie po batalii grochowskiej, pisze: »...Autorowie jakobińskiej gazety »Nowa Polska«, Mochnaccy, ojciec i synowie, Ostrowski — wszystko to już zniknęło, pochowało się. Tak zawsze robią polityczni junacy«. (Pamiętniki 1830 — 1831, str. 80). Zapomniał tylko dodać, że Mochnaccy Maurycy i Kamil »zniknęli i pochowali się« w szeregach armii walczącej i że już wówczas zadokumentowali byli swe męstwo ranami, odniesionemi pod Wawrem.

bohater Stoczka. Pamiętnik Emigracyi bierze w opiekę generała, który zjawia się, jako współzawodnik Lelewela. Maurycy pisze do rodziców 7 sierpnia z Paryża: »Dwernicki nietylko jest wielkim wojownikiem Polski, ale najlepszym, najgodniejszym szacunku człowiekiem w prywatnych stosunkach. Niechaj to Mama rozpowie w Galicyi, że Emigracya w nim jednym tylko ma rzetelnego opiekuna... Dzisiaj w naszych Dépôts nic niema prócz samych plotek, pojedynków i niedostatku... Lelewel jest wszystkich plotek źródłem«. W dalszym ciągu przenosi nad Lelewela ks. Adama ze wszystkiemi jego brakami i przewiduje, że nie będzie miał bardziej nad Lelewela zawziętego wroga, jeśli Polska powstanie.

Tymczasem pod auspicyami generała Dwernickiego odbywała się agitacya, wymierzona przeciwko zwierzchnictwu komitetu lelewelowskiego. Komitet ten wybrany został przez kilkudziesięciu wychodźców, przemieszkujących w Paryżu; ilość ta wyborców stanowiła drobną zaledwie cząstkę wychodźtwa, którego liczba dochodziła do 5000 ludzi, rozproszonych po Zakładach (Dépôts) w różnych punktach Francyi. Każdy Zakład miał swą Radę; grono zaś emigrantów paryskich zorganizowane było w tak zwany »Ogół«; ów Ogół właśnie wybrał w swoim czasie Komitet narodowy, który odtąd stanowił władzę zwierzchnią dla całej emigracyi. Agitacya zmierzała do tego, aby postawić na czele emigracyi komitet, wybrany przez wszystkie Zakłady, mogący z większą słusznością uchodzić za reprezentacyę całego wychodźtwa, niż ciało, wybrane przez grupę, ustępującą znacznie co do liczebności pojedyńczym zakładom prowincyonalnym. To był motyw zasadniczy tworzenia nowego komitetu, oprócz tego zaś były pobudki osobiste. Lelewel okazał się zupełnie nieodpowiedni do kierowania emigracyą; będąc znakomitym uczonym, uroił sobie, że jest równie wybitnym politykiem i organizatorem; tymczasem do działalności politycznej, tembardziej do piastowania stanowiska kiero-

wniczego nie miał on danych, był tu nie na swojem polu; gdy zaś dzięki niewłaściwemu postępowaniu zraził i uzbroił przeciwko sobie większość emigracyi, zresztą ceniącej jego wartość i zasady polityczne, wtedy wrażenia własnego niepowodzenia i widok skierowanej przeciwko niemu agitacyi wytrąciły go z równowagi ducha, i postępowanie jego niebawem przestało stać na wysokości niepospolitych bądź co bądź zalet tego człowieka. Wady jego, jako polityka i kierownika ogółu, spotęgowały się jeszcze na emigracyi; podupadły na zdrowiu, zdenerwowany, zgorzkniały, stał uparcie przy sterze, z garścią swych zwolenników, irytujący się wszelką oznaką oporu, zniżający się do drobnych intryg, podejrzliwy, drobnostkowy. Nie potrafił uszanować i uznać słusznej zasady, jaką mieli po swojej stronie, niezależnie od względów osobistych, projektodawcy nowego komitetu, i traktował uparcie nowy projekt, jako owoc wyłącznie osobistej przeciwko niemu intrygi. Zakłady po długich naradach, pertraktacyach, sporach postanowiły wybrać nowy komitet za pomocą delegatów, którzy mieli się zjechać w Besançon 10 sierpnia 1832 roku; do końca sierpnia trwały narady nad tworzeniem komitetu, 24 sierpnia przystąpiono do dyskusyi, 28 sierpnia wygotowano listę, wybrano z niej 11 członków z generałem Dwernickim, jako przyszłym prezesem, na czele; 29 sierpnia przyjęli projekt zgromadzeni w Besançon delegowani Zakładów, 31-go ogólne zebranie besançońskich wychodźców. Rzecz była w zasadzie zdecydowana. Tymczasem część Ogółu paryskiego z Lelewelem postanowiła przeciwdziałać projektowi; wyłoniono 19 sierpnia komisyę, dla rozpatrzenia projektu Zakładów. Komisya na zebraniu Ogółu paryskiego 1 września złożyła raport, w którym odrzucała projekt zakładów na tej podstawie, iż nowy komitet, jeśli wogóle jest potrzebny, powinienby być wybrany nie przez delegatów, lecz przez wotowanie indywidualne i powszechne emigrantów. Mochnacki odpierał te argumenty, dowodząc, iż przez głoso-

wanie indywidualne niepodobna technicznie utworzyć komitetu, złożonego z kilkunastu osób, że wybory przez delegatów czynią zadość wszelkim skrupułom demokratycznym, jakimi się zasłaniają przeciwnicy projektu, gdyż wybór delegatów odbywa się wszakże za wolą i zgodą wszystkich zakładów. Na zakończenie postawił wniosek, aby Ogół paryski, wzorem rodaków z prowincyi, zawiązał się w Zakład i wybrał sobie Radę.

Większość zgromadzonych, obstająca przy stanowisku wyjątkowem i uprzywilejowanem Ogółu Paryskiego, nie podzieliła zdania mówcy, mniejszość atoli pokaźna, z czterdziestu kilku członków złożona, zebrała się dnia 5 września w mieszkaniu generała Umińskiego z zamiarem utworzenia w Paryżu Zakładu z Radą na czele. Wyznaczona została komisya dla spisania aktu założenia; weszli do niej: Maurycy Mochnacki, Plichta i Bohdan Jański. Zakład paryski odbył posiedzenie 10 września i wybrał Radę; weszli do niej: jako prezes — generał Umiński, zaś jako członkowie — generał Sierawski, podpułkownik Paprocki, Dunin, Plichta; jako zastępcy — Kunatt i Łaski.

Nowy Zakład począł odbywać posiedzenia w Hotelu Vauban. Obok »Taranu« zjawił się »Woban«. Nowo utworzony zakład wziął udział łącznie z Zakładami prowincyonalnemi w ostatecznem ustanowieniu Komitetu Narodowego emigracyi polskiej, które nastąpiło w końcu października. Komitet więc nowy, z Dwernickim na czele, stanął obok komitetu Lelewela, który zresztą istniał po tem zaledwie 2 miesiące i w końcu roku 1832-go rozwiązał się.

Tak więc znów jaskrawo uwydatniła się niepopularność Maurycego wśród emigracyi. Nietylko nie wszedł do Komitetu Narodowego, lecz nie obrano go nawet do Rady Zakładu paryskiego, a przecie brał żywy udział, wraz z Kamilem i Podczaszyńskim, w tworzeniu nowego Komitetu i zakładu paryskiego. Kamil Mochnacki, od chwili,

gdy w marcu 1832 roku został delegatem zakładu Avignon, był jednym z głównych agitatorów na rzecz nowego Komitetu. Pamiętnik Emigracyi również popierał gorliwie myśl nowego Komitetu; nawet Maurycy wyszedł ze swego odosobnienia literackiego i wziął udział w ustanowieniu Zakładu paryskiego; użyto chętnie jego wymowy, wybrano go do Komisyi, układającej ustawę, gdy jednak przyszło do wyborów, — pominięto go. Nie dość na tem, gdy w październiku ukonstytuował się nowy Komitet Narodowy, weszli w skład jego trzej członkowie Rady Zakładu Paryskiego: Umiński, Sierawski i Plichta. Na skutek tego zarządzono nowe wybory do Rady Zakładu Paryskiego, i Maurycy znów został pominięty!

Pod wrażeniem pewnie świeżem niepowodzenia pisze do ojca 18 września: »Nie chcę do żadnej koteryi należeć, więc wszystkie w całej emigracyi mam przeciwko sobie«. Błogosławiona była, jednak, ta niepopularność, bo zachowywała Maurycego wyłącznie dla literatury i dawała mu spokój ducha, niezbędny do dalszego pisania historyi. »Czyż bym mógł być bezstronnym w całem mojem dziele« pisze w tym samym liście: »gdybym nie stanął na punkcie, z którego wszystkie opinie widzieć można, nie dzieląc żadnej? Co innego działać, co innego pisać; w działaniu trzeba być koniecznie w jakiejś partyi, bo trzeba siły i wpływu, w opisywaniu trzeba być nad wszystkiemi partyami«.

W dalszych listach Maurycego aż do samej jego śmierci wszelkie wzmianki o emigracyi polskiej tchną goryczą i żalem; w życiu zbiorowem obozów emigracyjnych czynnego udziału już nie bierze; ojczyzna, dzieło o powstaniu i rodzina — oto przedmioty jego myśli, pism i listów. Albo powraca myślą do dziejów narodu, rozważa, zgłębia koleje ostatniej walki o niepodległość, lub też serdecznie, rzewnie, tkliwie rozpisuje się o Kamilu, o ojcu, o matce, o siostrach; tęskni coraz bardziej za rodzicami, radby przynajmniej ojca sprowadzić do Francyi. Owo

sprowadzenie ojca i wspólne z nim mieszkanie — to ulubiony temat marzeń Maurycego. Chory coraz bardziej, trawiony przez wciąż wzmagającą się chorobę organizmu, prawdopodobnie suchoty, targany przez nienawiść rodaków, przez nieubłagane, nieustanne napaści pism emigracyjnych, unika niemal wszystkich. Ludzie obozu konserwatywnego, spokojniejsi, mniej zapalczywi, sami targani na opinii przez demokratów, pozostawiają Mochnackiego w spokoju, nie ścigają go, przeciwnie, coraz większy hołd oddają jego pisarskiemu talentowi. To też i on o nich odzywa się z pewną przychylnością. 31 stycznia 1833 roku pisze do matki: »Dla dyktatora Chłopickiego posyłalibyśmy osobno jeden numer, gdyby sobie tego życzył. Niech mu Mama każe powiedzieć, że nigdy nie przestawałem widzieć w nim znakomitego żołnierza i dobrego, choć oszukanego Polaka przez tego niegodziwego Lubeckiego... Gurowski, o którego Mama pyta, jest waryat; nie żyję ja z nim dlatego, że oprócz Michała, Nastusia Dunina, Nabielaka i generała Dwernickiego, wszystkich Polaków unikam, choć ze wszystkimi, oprócz Lelewela, jego partyi i byłego Towarzystwa Patryotycznego, jestem bardzo grzecznie. Nieprzyjaciół mam tyle, ile ich miałem zawsze, z tą tylko różnicą, że ci, którzy dawniej najmocniej przeciwko mnie powstawali, zaczynają się przekonywać, że ja miałem racyę, a ci, co to niby moimi byli stronnikami, którzy w istocie byli tylko hipokrytami, dzisiaj, jak mogą, starają się mnie obmawiać«. Podczaszyński potwierdza to odosobnienie Maurycego wśród emigracyi. »Maurycego wszyscy wogóle się boją« pisze 2 lutego 1833 roku do pani Maryi Mochnackiej: »nawet milczenie jego i niekomunikowanie się z nikim mają za dowód jakiegoś zamysłu. Lelewel szczególnie Bóg wie co wygaduje. Największe głowy powiadają o nim, że człowiek zły i przewrotny«.

Maurycy zaś tymczasem był przybity złym stanem zdrowia Kamila, u którego z przerażającą szybkością roz-

wijały się suchoty, i czynił wszelkie wysiłki, by go uratować. Trzeba było pieniędzy na kuracyę, Kamila słabość wymagała troskliwego pielęgnowania, lekarze radzili wywieść go nad morze Śródziemne do Hyères, pieniędzy teraz na obydwóch potrzeba było dużo — do 400 franków miesięcznie. Na szczęście, *Pamiętnik Emigracyi* szedł nieźle i Michał Podczaszyński dzielił się całym dochodem z Mochnackimi; całą ich podporą w tych ciężkich chwilach choroby Kamila był ten wierny przyjaciel; ale też i Maurycy współpracownictwem swem głównie podnosił jego pismo; w liście do Pana Bazylego Mochnackiego 13 kwietnia 1833 roku przyznaje szczerze Podczaszyński: »gdyby nie Maurycy, mój pamiętnik byłby lichotą«.

Skołatany strapieniami, zmartwiony chorobą Kamila, nękany plotkami, obmowami, napaściami jadowitych pismaków emigracyjnych, w rodzaju J. B. Ostrowskiego, doszedł Maurycy do najwyższego stopnia rozżalenia; w liście z 5 kwietnia 1833 roku do ojca wywnętrza swój ból i rozdrażnienie z niebywałą goryczą: »Pod żadnym pretekstem, w żadnym zamiarze, nigdy my dwaj nie wrócimy do Polski, chybaby nagle nasz kraj cudem opatrzności z grobu powstał cały, wielki, i był rządzony, jak my myślimy! Jeżeli Papa nasz drogi przyjedziesz do nas za pomocą Bożą, wtedy prócz żalu za Kochaną Mamą, za familią, nie będzie żadnej nadziei, żadnej ponęty, którąby nas mogła zwabić na ojczystą ziemię, prochy i kości nasze nigdy tam spoczywać nie będą. Przysięgam to na wszystko, co mam świętego na ziemi i w niebie. Tak znam nasz naród, tak znam ludzi, którzy za niego działają i działać mogą. Tak jestem przekonany, że nigdy się w kraju naszym nie zmieni co do politycznego głupstwa, intryg nikczemnych panów i ich służalców. Tak wielką impresyę uczyniła na mnie ostatnia rewolucya, że postanowiłem być wygnańcem do śmierci, a sposób, jak się tam obchodzą z Papą, utwierdza mnie w tym zamiarze. Gdybym dzisiaj wrócił do którejkolwiek części Polski,

ręczę, żebym się stał za dziesięć dni celem ogólnej potwarzy i powszechnego prześladowania. Za granicą nikt mnie nie stara się szkodzić, prócz swoich. Cudzoziemcy są moimi braćmi, swoi katami«.

Oburzenie na rodaków, którzy mu bez litości zatruwali życie, smutne wspomnienia i doświadczenia z rewolucyi — mogły podyktować Mochnackiemu te gorzkie słowa, kreślone widocznie w chwili największego rozdrażnienia. Ani myśl jego, jednak, ani serce od Polski się nie odwróciły; zniechęcony do osób, pracował żarliwie duchem do ostatnich chwil dla narodu.

Wiosna i lato 1833 roku był to okres burzliwy i krytyczny w życiu naszej emigracyi, okres nieszczęśliwych prób obudzenia owej upragnionej, wyśnionej rewolucyi europejskiej, czasy smutnej wyprawy Zaliwskiego i mniej tragicznej wyprawy frankfurckiej, przedsiębranej przez wychodźców z Besançon. Maurycy stał od tych ruchów zdala, czas i życie wypełniała mu praca pisarska, a także troski o utrzymanie przy życiu Kamila, który wykaszliwał z siebie uchodzące szybko życie. Długo nie miał Maurycy odwagi pisać rodzicom prawdy o chorobie młodszego syna, wreszcie 18 maja 1833 roku decyduje się wyznać prawdę: »Kamil żyje jeszcze i podług opinii wszystkich lekarzy jeszcze kilka miesięcy żyć może, lecz w tym stanie słabości nadzieja wyzdrowienia jest iluzyą«. Trzy miesiące męczył się Kamil; straszne miesiące dla Maurycego, tem cięższe, iż pracą umysłową wycieńczony, z trudem środki do życia zdobywając, odmawiał sobie teraz wszystkiego, znosił wszelkie ofiary, niedostatek, by ukochanego, a teraz tem dlań droższego, umierającego zdala od swoich i od ojczyzny brata przy życiu jaknajdłużej utrzymać; wśród tych wysiłków i cierpień nad siły, sam ciężko zaniemógł i przez pięć tygodni łóżka nie opuszczał. Przyszła wreszcie śmierć Kamila — 17 sierpnia 1833 roku, Maurycy został ze swą żałobą po młodszym bracie, bardziej jeszcze osamotniony, listy jego odtąd jeszcze smu-

tniejsze. W korespondencyi jego z rodzicami zachodzi niebawem przerwa półroczna od listopada 1833 roku do lipca 1834 roku, spowodowana ciężkiemi przejściami rodzinnemi i majątkowemi, jakie w tym czasie dotknęły rodzinę Mochnackich w Galicyi, zmuszonych do tułania się przez czas pewien po domach krewnych, w braku środków do życia; po jakiem takiem dopiero urządzeniu się rodziców Maurycego wznowiono korespondencyę. Były to już ostatnie miesiące Maurycego, życie jego gasło powoli; gorycz waśni, swarów emigracyjnych zatruwała je aż do końca. »Emigracya cała jest zakłócona, zaszargana, rozerwana« pisze w liście do rodziców 2 września 1834 roku: »Nie masz 10 Polaków, którzy by byli zgodni ze sobą. Jest to wojna domowa najokropniejsza, o jakiej tylko pomyśleć można... Zawrót głowy opanował większość. Znak ogólnej dekompozycyi, która w biedzie okropnej, jeneralnej koniecznie nastąpić musi... Wszystko to wybiegło ze swego naturalnego kresu, jest do najwyższego stopnia zirytowane, podejrzliwe i zgłupiałe w nieszczęściu. Ja zupełnie żyję oddzielony od tego wszystkiego«. Dalej wspomina o nawiązaniu stosunków z ludźmi obozu tak zwanego arystokratycznego: »Pisząc *Historyę Powstania*, musiałem wejść w stosunki z ludźmi, którzy rewolucyą rządzili i zgubili, z dawnymi nieprzyjaciółmi mymi. Ci ludzie, licząc w to całą partyę, która się w Paryżu znajduje, zachowali dziś więcej zimnej krwi, taktu, zdrowego rozsądku i sumienia, jak rewolucyoniści. Oni jedni z całej emigracyi nie kłócą się z sobą i nie obmawiają nawzajem. Ja za to zostaję z nimi w dobrej harmonii, bo potrzebuję od nich materyałów; co jednak żadnego wpływu na dzieło moje nie ma, mieć nie będzie, ani może, bo ja piszę bezinteresownie«.

Te same skargi na wychodźtwo brzmią i w ostatnim jego liście do rodziców, pisanym z Auxerres 6 listopada 1834 roku: »W emigracyi wojna domowa trwa ciągle. Mnóstwo partyi, rozjątrzenie coraz większe... O co

idzie? Na to odpowiedzieć trudno i nigdy dostatecznie«. Po tym ostatnim liście w dni parę, Maurycy, chory już od kilku miesięcy, zaniemógł ciężko, utracił wkrótce przytomność, 20 zaś grudnia 1834 roku życie zakończył. Major Stefan Dębowski, z zakładu wychodźców polskich w Auxerres, i Antoni Walewski, nieodstępny w ostatnich tygodniach życia Maurycego towarzysz jego i wielbiciel, pozostawili dla pamięci potomnych szczegółowy i serdeczny opis przebiegu śmiertelnej słabości i ostatnich chwil Maurycego Mochnackiego.

12 stycznia 1835 roku odbyło się w Paryżu w kościele Saint-Germain de Près nabożeństwo żałobne za duszę Maurycego Mochnackiego, staraniem generała Henryka Dembińskiego.

Oto tekst zaproszenia, rozesłanego przez generała na obchód żałobny: »Smutna wiadomość, otrzymana z Auxerres, donosząca o zgonie ziomka naszego, Maurycego Mochnackiego, spowodowała mnie, dla uczczenia Jego pamięci, do zaproszenia Ziomków, będących w Paryżu, na żałobną mszę, odbyć się mającą w dniu 12 stycznia w kościele Saint-Germain de Près, o godzinie jedenastej z południa«.

»Jakiekolwiek uczucia każden z nas nieść mógł w sercu dla tego znakomitego, a nie dość znanego, w kwiecie młodości zgasłego człowieka, każden z nas dziś już przyznać musi, że strata ta jest stratą narodową. Z tej przyczyny nie zechcecie, zapewne, Ziomkowie, odmówić bytności waszej dla oddania ostatniej posługi Jego pamięci«.

Generał Henryk Dembiński.

Paryż dnia 25 grudnia 1834 roku«[1].

---

[1] Patrz Biblioteka Czartoryskich w Krakowie, Rękopis N. 5588: Generał Dembiński, Ecrits divers.

Z inicyatywy rodaków Zakładu Auxerres, a za głównem staraniem Aleksandra Jełowickiego, wzniesiono zmarłemu nagrobek na cmentarzu w Auxerres.

Polacy Zakładu Auxerres wydali 15 maja 1835 roku odezwę do Emigracyi Polskiej, z wezwaniem do postawienia grobowca Maurycemu Mochnackiemu; w odezwie tej, przytoczonej w N. 9 wydawanego w r. 1836 *Rocznika Emigracyi*, zbieranie składek i wystawienie grobowca powierzone było Aleksandrowi Jełowickiemu. W tymże numerze 9 wydawanego przez siebie *Rocznika Emigracyi* przytacza Jełowicki rezultat składek. Ogółem napłynęło 384 fr. 75 centimów. Większe ofiary złożyli: Czartoryski Adam — 20 franków, Dembiński Henryk — 10 franków, Jełowiccy Aleksander i Edward — 60 franków, Jundziłł 30 franków, Platerowie Władysław i Cezary — 10 franków, Potoccy Józef i Herman — 10 franków, Sobańscy Aleksander i Izydor — 20 franków, Towarzystwo Literackie Polskie w Paryżu — 50 franków, Wołodkowicz Aleksander — 10 franków, Woronicz — 10 franków, Zamojski Władysław — 20 franków. Koszta pomnika obliczali inicyatorowie na 1300 franków. Ponieważ składki zebrane nie wystarczały, przeto w N. 1 *Rocznika Emigracyi* zjawiło się następujące obwieszczenie: »Księgarnia polska, chcąc się przyczynić do wystawienia pomnika Mochnackiemu własną jego pracą, a razem oddać Literaturze i Historyi ojczystej niepospolitą przysługę, postanowiła wydać wszystkie pisma Mochnackiego, zacząwszy od dnia rewolucyi, a rozrzucone po rozmaitych dziennikach. Pisma te składać będą książkę, wynoszącą 20 do 25 arkuszy druku. Wydanie będzie staranne, piękne i ozdobione popiersiem Mochnackiego na stali, rytowanem przez Antoniego Oleszczyńskiego. Książka ta będzie mieć tytuł: *Pisma rozmaite Maurycego Mochnackiego. Oddział porewolucyjny.* — Druk tej książki będzie ukończonym na dzień 1 marca r. b.... Dochód z wyprzedaży tej szacownej

książki Księgarnia Polska ofiaruje na koszta pomnika Mochnackiego«[1].

Przy tej sposobności nie obyło się bez zatargu. Poseł Wincenty Chełmicki, wydawca *Historyi Powstania* Maurycego, a z którym ten ostatni miewał nieporozumienia, odbijające się echem na łamach pism emigracyjnych, wystąpił wobec obwieszczenia Księgarni Polskiej z reklamacyą, opatrzoną datą 1 lutego 1836 roku, umieszczoną w *Tygodniku Emigracyi Polskiej* 11 lutego 1836 roku i w niej, powołując się gołosłownie na kontrakt, z Mochnackim 18 listopada 1833 roku zawarty, twierdził, iż jest właścicielem artykułów M-go »O Rewolucyi Polskiej« i »O Rewolucyi w Niemczech« i pomawiał Jełowickiego o zamiar obrażenia jego praw, z własną korzyścią. Nadmieniał, iż »drogo zapłacił Mochnackiemu« za jego pisma. W odpowiedzi na to Księgarnia Jełowickiego wezwała Chełmickiego w 9-ym zeszycie *Rocznika Emigracyi*, aby opublikował ów kontrakt i z ironią traktowała jego żale o swej krzywdzie. Chełmicki odpowiedział na to całym specyalnym dodatkiem, dołączonym na jego koszt do *Tygodnika Emigracyi* — 8 marca 1836 roku. Narzekał tu nietylko na Jełowickiego za zamiar wydania artykułów Mochnackiego, lecz także i na Towarzystwo Literackie za to, że nie chce mu wydać papierów, po Mochnackim pozostałych, a do których on rzekomo ma prawo. Mianowicie, po śmierci Mochnackiego, Polacy Zakładu Auxerres zajęli się opieczętowaniem papierów pozostałych i złożyli je, jako depozyt, w Towarzystwie Literackiem. Na domaganie się Chełmickiego Towarzystwo Literackie listem z 1 lutego 1835 roku odpowiedziało, że ono, jako depozytaryusz, może oddać papiery temu tylko, kto je powierzył. Kontraktu jednak, z Mochnackim zawartego, opublikować Chełmicki jakoś nie chciał. Wreszcie,

[1] Była to Drukarnia i Księgarnia A. Jełowickiego i Spółki. — Rue des Marais, Saint-Germain N. 17.

Aleksander Jełowicki listem z 15 marca 1836 roku w *Roczniku Emigracyi* przeciął tę polemikę; wezwał Chełmickiego jeszcze raz do ogłoszenia kontraktu, stwierdził, iż sam on nie przyznaje sobie żadnych praw do pism Mochnackiego, że wydrukował je na cel postawienia pomnika, że do pism tych ma prawo jedynie familia Mochnackiego i że jej zwróci on wszelki dochód ze sprzedaży książki, po zaspokojeniu kosztów druku i pomnika.

W całej tej polemice interesuje nas, oczywiście, nie kwestya praw edytorskich Chełmickiego, lecz co innego: oto Chełmicki utrzymuje, że w papierach, po Mochnackim pozostałych, znajduje się zaczęty trzeci tom Powstania, którego Mochnacki nie zdążył dokończyć, zajęty w ostatnich tygodniach życia podróżą do Auxerres i wydawaniem tam pism politycznych. Czy istotnie tak było i co się stało z tym tomem trzecim, o którego przygotowywaniu do druku wzmiankuje i Maurycy w swych listach, o tem, niestety, wszelka wieść, o ile mi wiadomo, zaginęła.

ROZDZIAŁ II.

Sprawa rzekomego przełomu w przekonaniach politycznych Mochnackiego na emigracyi. Rozbiór opinii Mochnackiego o polityce narodowej i o polityce społecznej na podstawie jego pism przedrewolucyjnych, rewolucyjnych i emigracyjnych. Sprawa zbliżenia Mochnackiego do obozu Czartoryskiego. Mochnacki a Staszyc.

W publicystyce emigracyjnej okresu polistopadowego utrwaliła się opinia, jakoby Mochnacki na wychodźtwie zmienił swe przekonania polityczne z demokratycznych i rewolucyjnych na zachowawcze i arystokratyczne. Pisma obozu, zwanego arystokratycznym, podnosiły tę rzekomą odmianę, jako nawrócenie Mochnackiego, jako odwrócenie się jego od tych błędów i uniesień, jakim hołdował podczas rewolucyi, szczególniej w jej pierwszym okresie. Późniejsze stronnictwo »insurrekcyjno - monarchiczne Trzeciego Maja«, które głosiło zasadę jedności wszech stanów i warstw w Polsce, w celu łącznego przygotowania insurekcyi i osadzenia na tronie polskim dynastyi Czartoryskich, ogłosiło Maurycego Mochnackiego, wówczas już nieżyjącego, za swego patrona i założyciela, urokiem jego imienia i sławy pisarskiej popierało swe działania. Żywioły zaś demokratyczne różnych odcieni, a więc Towarzystwo Demokratyczne, zwolennicy Lelewela, z początku rej wodzący w komitecie narodowym »stałym«, a później w »Młodej Polsce«, a wreszcie luzem chodzący pisarze, uważający siebie za prawdziwych demokratów, jak naprzykład J. B. Ostrowski, — przedsta-

wiały znów Mochnackiego, jako odstępcę od zasad rewolucyjnych, demokratycznych; zgodnie zaś ze zwyczajami polemiki emigracyjnej zarazem z tej strony twierdzono, że zaprzedał się arystokracyi w znaczeniu literalnem.

Zarzut ten zmiany przekonań wymaga bliższego rozważenia. Po pierwsze, ta okoliczność, że Mochnacki nie przyłączył się do żadnego z obozów emigracyjnych, przypisujących sobie iście demokratyczne poglądy, nie dodaje nic do charakterystyki jego przekonań społecznych. Mochnacki stronił od wiru walk stronniczych, od waśni emigracyjnych, i uprzedzenie jego przeciwko obozom i fakcyom, uzurpującym dla siebie miano prawdziwych demokratów na emigracyi, tak samo nie stanowi żadnego argumentu przeciwko demokratyczności jego przekonań, jak nie stanowi ujemnego dowodu przeciwko zasadom demokratycznym Mickiewicza lub Słowackiego stronienie ich od oficyalnych ognisk demokracyi emigracyjnej. Zresztą, obozy owe i fakcye z góry były przeciwko Mochnackiemu uprzedzone i dawały mu liczne dowody, z początku nieufności, później coraz jaskrawszej nienawiści.

W pierwszych szczególnie latach wychodźtwa powstawanie stronnictw, różniczkowanie się obozów następowało pod tak przemożnym wpływem czynników osobistych, że bez znajomości strony zakulisowej, bez wiadomości o intrygach, współzawodnictwie, grze ambicyi, nie sposób dociec istotnych, rzeczowych powodów waśni i zarzutów, jakie spadały na osoby i całe obozy. Wszak, Towarzystwo Demokratyczne ze strony wielu wybitnych wychodźców, lewego nawet skrzydła, ściągało na siebie ciężkie zarzuty. Lelewel zarzucał stowarzyszonym demokratom — jezuityzm, obłudę, niedemokratyczne monopolizowanie dla swego wyłącznie grona miana prawdziwych demokratów; nazywał Towarzystwo »naszą republiką szlachecką en miniature intense« (List do W. Zwierkowskiego z 6 grudnia 1834 roku), twierdził, że »w tym fantastycznym tworze nie widzi zbawienia« (list do tegoż z 29

maja 1835 roku). Towarzystwo Demokratyczne, nawzajem, odsądzało od demokratyzmu Lelewela; a przecież trudno w naszej emigracyi o bardziej konsekwentnego, o bardziej stylowego demokratę, nietylko w zasadach, lecz we wszystkich nawet zwyczajach i szczegółach życia codziennego, od Lelewela. Towarzystwo Demokratyczne i Młoda Polska zarzucały sobie nawzajem nięszczerość i błędne stosowanie zasady demokratycznej.

Dopiero po jakich trzech, czterech latach pierwszej fermentacyi wśród wychodźtwa, a więc wówczas, gdy Mochnacki już nie żył, daje się dostrzedz pewne konsolidowanie obozów i próby gruntowania ich na nieco stalszych zasadach. Z początku, szczególnie, postacie wychodźców przesuwają się z obozu do obozu, jak w kalejdoskopie; kto chciałby szukać jakiejś ścisłej linii demarkacyjnej w programach politycznych i społecznych pomiędzy komitetem Lelewela a Dwernickiego, pomiędzy obydwoma komitetami a Towarzystwem Demokratycznem, miałby nielada zadanie przed sobą. Niektóre osoby wychodzą z Towarzystwa Demokratycznego, miotając na nie ciężkie zarzuty, po pewnym zaś czasie znów doń wstępują, jak, naprzykład, Stanisław Worcell. Założyciele Towarzystwa Demokratycznego po kolei je opuszczają, wśród obustronnych zarzutów: 13 listopada 1832 roku występuje Puławski, 16 stycznia 1833 roku wykreślony zostaje Krępowiecki, 18 marca 1834 roku opuszcza Towarzystwo Gurowski. Wszak i później w epoce rozkwitu Towarzystwa Demokratycznego w roku 1841 i 1842 wychodziły dwa pisma, każde pod nazwą »Demokrata Polski« i każde uważające siebie za prawdziwy organ demokratów, jedno w Poitiers, a drugie w Paryżu, zacięcie się wzajemnie zwalczające i zarzucające sobie nawzajem odstępstwo od zasad iście demokratycznych.

Spotykając więc na łamach pism emigracyjnych zarzuty przeciwko Mochnackiemu, liczyć się trzeba z ową szczególną naturą stosunków wśród emigracyi, które two-

rzyły grunt tak podatny do budowania oskarżeń. Następnie zaś, aby wyrokować o zmianie przez Maurycego przekonań politycznych, należy mieć przed oczyma dawniejsze jego pisma i zawarte w nich poglądy. Wreszcie, troskliwie odróżniać należy te programy i plany, które po śmierci Mochnackiego głoszono, jako rzekomy jego testament polityczny, od tego, co się istotnie w dziełach jego zawiera.

Poglądy swoje kardynalne na politykę narodową wyłożył Mochnacki na emigracyi w paru ustępach swej Historyi Powstania, w artykułach, z których najważniejszy »O Rewolucyi Społecznej w Polsce« z 23 stycznia 1833 roku, a także w dwóch odezwach, pod koniec życia w imieniu wychodźców zakładu w Auxerres pisanych i znanych w literaturze emigracyjnej pod nazwą pism auxerskich, lub okserskich. Sprowadzają się te zasady do dwóch myśli głównych: iż przed odzyskaniem bytu politycznego niepodległego nie należy głosić w Polsce haseł radykalnego przewrotu społecznego, i że Polacy tylko, poddając się silnej władzy, będą w stanie ziścić swoje pragnienia.

Myśli te przenikają historyę powstania, na emigracyi przez Maurycego pisaną. Już kreśląc rys dyktatury Chłopickiego, uważa, iż wprawdzie była ona »owocem koteryi, owocem płonnej bojaźni, powiększonej przez tę koteryę nagle, sztucznie, niezmiernie«, to jemu, jednak, nie chodzi o ocenę dyktatury tej, która, niestety, została ustanowiona w osobie Chłopickiego, lecz o »ocenienie myśli całego narodu względem dyktatury«. Naród, przyjmując dyktaturę z zapałem, składał świadectwo swego trafnego instynktu; trafny zmysł polityczny narodu również w tem się objawił, że w pierwszych chwilach powstania »nic nie było społecznego, nic nie mówiono o podziale własności, o wycięciu w pień tego lub owego stanu, o krwawej wewnętrznej reformie«. Nawet nieufność do klubu była oznaką przezorności, bo, jakkolwiek z początku klub składał się z ludzi nieskazitelnych, wkrótce mogli się znaleźć

naśladowcy mniej prawi, a nawet »mógł stanąć klub w Warszawie za ruble Mikołaja«.

»Polska była rozszarpana żelazem. Jej odrodzenie zależało na sklejeniu w jedno jej części oddzielonych. Te części dałyżby się spoić, jeśli je w porze mozolnej restauracyi ziemskiej rozrywały siły wewnętrzne, odpychające się nawzajem? Jeśliby bliznę rozbiorów, jeszcze nie zagojoną, zaostrzyły gwałtowne, wewnętrzne, społeczne namiętności, stronnictwa, fakcye, bunty?«

Kto zna działalność polityczną i pisarską Mochnackiego podczas rewolucyi, ten wie, że w tych oświadczeniach Mochnackiego niema nic nowego, żadnego nowego zwrotu. Myśl jedynowładztwa, dyktatury starał się nawet w czyn wprowadzić dwukrotnie, namawiając raz do ujęcia jej w swe ręce Skrzyneckiego, potem zaś Krukowieckiego; myśli zaś o stosunku reformy społecznej do insurrekcyi politycznej, naogół zgodne z temi, jakie wyłuszcza w pismach emigracyjnych, wyłożył w dwóch artykułach: »Restauracya Polski« z 20 sierpnia i »Restauracya i rewolucya« z 22 sierpnia 1831 roku.

Myśl uregulowania sprawy społecznej, czyli sprawy włościańskiej, w Polsce ujarzmionej na drodze walki warstw ludowych ze szlachtą o swe prawa wydawała się Mochnackiemu nietylko groźna z uwagi na położenie polityczne Polaków, lecz i niezgodna z tradycyą najwznioślejszej chwili dziejowej odradzającej się Polski — ustawy 3 maja 1791 roku. Rozwija tę myśl w artykule z 23 stycznia 1833 roku: »O Rewolucyi Społecznej w Polsce«. Na Sejmie Czteroletnim »Polska na kilka chwil przed zagładą polityczną zebrała w jedną treść całe swe jestestwo, oszacowała je i pomnożyła. Naród polski wzmógł się wtedy nakształt atlety, dobiegającego do kresu, — odmłodniał, tracąc byt udzielny i energiczniej wyraził swego ducha konając, niżeli inne narody w początkach swoich albo we wzroście«. Dziełem Sejmu Czteroletniego dotychczas żyje Polska, »jak niegdyś w patryarchalnych czasach

ludzie wiek swój rodzicielskiem przedłużali błogosławieństwem«. »Fizyognomia człowieka, umierającego gwałtowną śmiercią w sile wieku, nie zmienia się zaraz po śmierci, przez czas pewien zostają te same rysy, nawet te same gesta, osobliwie jeśli się bronił. Polska umierała na ręku Kościuszki z księgą swoich prawodawców. Jej ostatnie wejrzenie było prawdziwie ojcowskie, przypuszczała do reprezentacyi mieszkańców podupadłych miast, zwiastowała milionom ludu wiejskiego piękniejszą przyszłość. Jej ostatnim gestem było porwać się do broni przeciwko obcemu gwałtowi, który nienawidził ustawy Trzeciego Maja, bo się jej lękał, bo wiedział, że Polska Trzeciego Maja wkrótce stałaby się potężnem mocarstwem na Północy«.

Ideą sejmu czteroletniego było podniesienie stanów nieuprzywilejowanych do stanowiska i godności szlachty, stopniowe rozszerzenie przywileju szlacheckiego na cały naród. Zresztą, nawet w Polsce szlacheckiej przy 20 milionach ludności znacznie więcej było elektorów, niż we Francyi za Restauracyi, a nawet aniżeli za monarchii lipcowej. Starcie z powierzchni ziemi warstwy uprzywilejowanej, zatarcie jej istoty nie zgadza się ani z potrzebami Polski ani z jej ostatnią wolą, objawioną przed zgonem politycznym. Należy liczyć się z tem, — ostrzega Mochnacki, że »element szlachecki jest oddychalnem powietrzem naszego kraju«. Wreszcie, w Polsce niema takich ostrych przedziałów społecznych, jak w krajach Zachodu: »niema żadnej masy społecznej tak ostro, tak nagle odstrychnionej i w sobie zamkniętej, żeby się bez trudności, bez musu roztworzyć nie dała«. Fortuny magnackie drogą działów majątkowych przechodzą do szeregu majątków szlacheckich, całe miejscowości zaludnione są przez szlachtę drobną zagonową, która niczem niemal od chłopów się nie różni, pełno w Polsce szlachty w miastach, na najniższych stanowiskach. »Chłop polski *de facto* szlachcicem, panem, rewolucya uderzy go tylko mieczem po ra-

mieniu, mówiąc: Pasuję Cię na rycerza Polski za Racławice i Grochów«.

Już 20 sierpnia 1831 roku wypowiadał Mochnacki podobne myśli: »niemasz (w Polsce) żadnej wewnętrznej waśni tak daleko rozpostartej, ani tak wielkiego rozdziału, iżby się w nim wybijały charakter, właściwość i cecha radykalna, genetyczna tej lub owej części narodu, tej lub owej klasy z uszczerbkiem innej klasy«. Wówczas atoli do uwag tych dodawał: »bo to tylko po restauracyi, po wyjarzmieniu się z pod obcej przemocy być może«; teraz zaś, wydaje się Mochnacki iść dalej, a przynajmniej bardziej dokładnie wyjaśnia swój pogląd na sprawę społeczną w Polsce, przeprowadza wyraźną, stałą linię demarkacyjną pomiędzy Zachodem a Polską. Na Zachodzie masy zdobywały sobie prawo obywatelstwa, niwecząc stany uprzywilejowane. Ale nieprzyjacielem tych mas we Francyi była »arystokracya zepsuta, ciemna i nikczemna«; to nie nasi posłowie Sejmu Czteroletniego. Masą zaś, prawa zdobywającą, byli nie nasi rolnicy, lecz stan trzeci, odstrychniony wyraźnie od szlachty; ów stan trzeci ścina głowy szlachty, która mu stoi na zawadzie, wzywa do pomocy lud, obiecuje mu wszystko, zwyciężywszy zaś, »gnębi lud, nazywa go elementem anarchii i staje się dla niego drugą arystokracyą, równie godną poniżenia jak ta, którą wespół z ludem mordował«.

»Co innego w naszej Polsce patryarchalnej!« Ta nie ma ani »motłochu bez praw«, ani »jego szumowin, które się pieniąc w każdym warze rewolucyjnym, cząstkami wydzielają z gminu, a potem panują nad gminem pod nazwiskiem *du juste-milieu*«. We Francyi szlachta, potomkowie zdobywców germańskich, są nawet rasowo oddzieleni od reszty ludności. »Nasz cały ród plemienny, jednogniezdny«; »Polacy — to rodzima masa«.

I dalej ciągnąc paralelę pomiędzy Francyą a Polską, mówi: »Francya jest w giełdzie, w kramie, w warsztacie i na bruku, Polska tylko na wsi, za miastem«. Gdy Pol-

ska wyjarzmi się z pod obcej przemocy, przystąpi do wykonania testamentu Sejmu Czteroletniego, będzie »bez rozlewu krwi bratniej cała w poprzek i na podłuż wybrukowana herbami«. W tem zdaniu czuć znów reminiscencyę wezwania, rzuconego przez Mochnackiego podczas rewolucyi 14 lutego 1831 roku, pod adresem Sejmu o wydanie »jednej wielkiej szlachetnej uchwały« na rzecz mas ludowych, ażeby »wszystko u nas spolszczało i zziemianiało«.

Ta idealizacya sprawy społecznej w Polsce, te próby obrony szlachty polskiej byłyby pod piórem Mochnackiego niezrozumiałe, gdybyśmy zapomnieli o tem, wśród jakich okoliczności, pod wpływem jakich pobudek były one głoszone; w tych przepojonych namiętną miłością narodu, we wszystkich jego warstwach, i religijnem przywiązaniem do przeszłości polskiej, do ducha polskiego słowach drży głos bólu, trwogi, niepokoju z powodu tego kierunku, jaki wzięła w pierwszych latach emigracyi propaganda naszych demokratów.

Gdy rozważamy dziś przebieg powstania listopadowego, rażące błędy władz od początku do końca, opłakane koleje sprawy włościańskiej w Sejmie, wreszcie upadek powstania, gdy widzimy, jak rozbitki powstania chronią się do Francyi, tam zakładają obóz polityczny i nie mogąc nic doraźnego zdziałać dla Ojczyzny, roztrząsają, nicują, sądzą ubiegłe wypadki i ich aktorów, wówczas pojmujemy, iż nastrój gromady pielgrzymiej chorobliwie podrażniony, dochodzący w potępianiu przeszłości do niesprawiedliwości, w oskarżeniach osób do niepoczytalności, stanowił zjawisko smutne, lecz nieuniknione.

Towarzystwo Demokratyczne, które w lat parę po swem założeniu, stało się najbardziej liczną i wpływową wśród rodaków organizacyą wychodźctwa, obniżało niesłychanie swe hasła i swą działalność — szałem starć osobistych, zaciętem, nie cofającem się przed żadnym

środkiem walki, przed żadną kalumnią, prześladowaniem swych przeciwników politycznych, bezwzględnym sądem o przeszłości kraju, demagogizmem teoretycznym, bo do praktycznego nie miało pola. Lecz niepodobna podzielić zdania, iż Towarzystwo to stanowiło owoc sztucznej agitacyi, opartej na bezkrytycznem przejmowaniu francuskich teoryi i haseł, na niewolniczem kopiowaniu paryskich stowarzyszeń, agitacyi, szerzonej przez namiętnych, ciasnych, zawistnych fanatyków wśród obłąkanego niedolą i spóźnionemi żalami ogółu wychodźców. Braki i wady agitacyi demokratycznej na wychodźctwie są odbiciem nieszczęsnych kolei powstania listopadowego, Towarzystwo Demokratyczne jest typowem zjawiskiem tragedyi narodowej, zjawiskiem głębszego znaczenia. Przez złorzeczenia i przekleństwa, przez całą falę zarzutów i oskarżeń, przez swary i kalumnie demokratów przezierał ból serdeczny, dojmujący; duszę tych ludzi sfanatyzowanych wykrzywiła klęska narodu; resztkami sił, energii starali się wedrzeć na ten szczyt, z którego spodziewali się ujrzeć jaśniejszą drogę dla narodu.

Mochnackiego od demokratów na wychodźctwie dzieliła tu odległość, która podczas rewolucyi była pomiędzy nim a klubistami, po upadku dyktatury Chłopickiego; wówczas tłum trybunów Towarzystwa Patryotycznego wciąż marzył o odwecie na dyktatorze, o sądach na dawnych zdrajców, na upadłych obecnie, a dawniej szkodliwych krajowi urzędników, o rusztowaniach, szubienicach, — Mochnacki cały był pogrążony w planach, widzeniach przyszłości, odwet na winowajcach, kary, egzekucye szpiegów były dla niego rzeczą podrzędną, patrzył na nie, jako na środek zadośćuczynienia pragnieniom ludu, sam zaś myślał o usuwaniu obecnych i przyszłych przeciwników, nie zaś o karaniu dawnych. To samo stanowisko zajmował obecnie wobec winowajców klęski narodowej, czy miały być nimi jednostki, które władzę w po-

wstaniu dzierżyły, czy cały stan szlachecki, jak chcieli pisarze Towarzystwa Demokratycznego. Jako polityk, beznamiętnie szacował wszelkie żywioły narodowe, nie winowajców widział w szlachcie, i nie ofiary ucisku stuleci w ludzie, lecz w obydwóch stanach — siły, mające odbudować ojczyznę.

Lecz ogół wychodźctwa, który po paru latach powstawania i zamierania różnych efemerycznych organizacyi, wreszcie w największej masie zapełnił Towarzystwo Demokratyczne, myślał i czuł według innych praw, według innej logiki — zgodnej z psychologią zbiorową. Ogół ten szukał sprawców klęski, pałał żądzą kary, pragnieniem wymiaru sprawiedliwości, że zaś władzy politycznej nie miał, pozostała mu zaś jedynie broń moralna — ostracyzm opinii zbiorowej, więc też używał i nadużywał tego oręża. Ci, którzy w czasie powstania zasklepiali się w doktrynie, którzy grzeszyli nieczynnością, lękliwością, którzy nie mając w piersiach ani wiary, ani zapału, ani talentu, jednak dzierżyli władzę, bezkarni i nietykalni do końca, teraz musieli przyjąć na swe barki falę spóźnionych zarzutów i przekleństw. Był to jakgdyby zbiorowy wymiar sprawiedliwości, a raczej akt zemsty za oszukanie zaufania narodowego, który spadał, jak lawina, na głowy ludzi, w większości prawych, lecz słabych, niedorosłych dawniej do swej wielkiej roli; ludzie ci, jak przedtem nie odpowiedzieli swemu wielkiemu zadaniu, tak teraz nie pojmowali swej winy i mierząc swą zasługę miarą swych dobrych chęci, ze zgrozą i osłupieniem patrzyli na ten barbarzyński, w ich oczach, wylew nienawiści. Ta odpowiedzialność, która przedtem rozpływała się w sejmie wielogłowym i rządzie zbiorowym, teraz spadała na wszystkich razem i na każdego z osobna. Pojedyńczo brane, zarzuty te często były niesłuszne; gniew zbiorowy nie mierzył winy, zarzut niedołęstwa łatwo przechodził w oskarżenie o egoizm, zdradę, przedajność. Patologia

powstania listopadowego wywołała tę patologię emigracyi.

Rzecz inna, czy ten szał szlachtożerczy, wodzożerczy, magnatożerczy, jaki ogarnął demokracyę wychodźczą, rokował lepszą przyszłość dla narodu. Demokraci sądzili, że należy gwałtownie zburzyć przesądy Polski szlacheckiej, przygotować umysły do równości, głosić zasadę zdobycia wszystkiego dla ludu przez lud. Mochnacki stanął na innem stanowisku; myśl kary, odwetu, zemsty na »panach, magnatach za naszą niewolę, kajdany« odrzucał, myślał o tem, jaka droga obecnie prowadzi do odbudowania Polski. Uważał hasło: wszystko dla ludu przez lud za niewczesne. Potępianie w czambuł całej dotychczasowej historyi polskiej, zwracanie się do ludu, a przynajmniej chęć przedostania się do ludu z agitacyą przeciwszlachecką wydawały się Mochnackiemu dla dzieła wskrzeszenia Polski groźne. Podczas obchodu uroczystego drugiej rocznicy 29 Listopada w Paryżu, z udziałem cudzoziemców z Lafayette'm na czele, Krępowiecki publicznie, z namiętnością i brutalnością, potępił historyę Polski, rzucił oskarżenie na powstanie polskie, mówił, iż były kierowane przez szlachtę wyłącznie we własnym jej interesie; stwierdzając dalej, że los chłopa w Polsce był gorszy od losu bydlęcia, podnosił czyny »nowych Spartakusów« Pawluka i Nalewajki, a zwłaszcza mściciela ich losu Bohdana Chmielnickiego, który podniósł na nogi dwieście tysięcy chłopów i dreszczem napełnił »dumnych oligarchów Polski«. »Nie tak dawno lud Ukrainy zamanifestował w sposób krwawy pragnienie wolności. Imiona Gonty i Doroszenki są dziś jeszcze postrachem ciemięzców«. »Takie oto były pierwiastki rewolucyi polskiej« mówił Krępowiecki, na zakończenie przeglądu wojen i rzezi ukraińskich. Dalej przeszedł do rewolucyi listopadowej i przedstawiał szlachtę, jako przenoszącą swe majątki i przywileje nad ojczyznę, przeciwstawiał zaś jej dość naiwnie »jasnowidzących patryotów« klubu. Krępowiecki wygłosił

swą mowę po francusku, w podobnym zaś duchu mowy polskie wygłosili Zaliwski, Pułaski i Czyński[1].

Wcześniej jeszcze 12 września 1832 roku Towarzystwo Demokratyczne wydało odezwę do »Obywateli Żołnierzy«, w której jaskrawo wystawiało nędzę chłopa w Polsce, zdzierstwo dawnego rządu, obywatela i księdza, ciemięstwo i katowanie chłopa przez dziedzica i ekonoma, zdradę »panów« w ostatniej rewolucyi, którzy woleli Polskę zgubić, niż chłopa wyzwolić. Jakiż mógł być cel i skutek podobnej propagandy w chwili, gdy w kraju srożyła się straszna represya, wymierzona przez rząd głównie przeciwko szlachcie, i kiedy utrzymanie jedności narodowej stanowiło rękojmię przechowania przynajmniej ziarna przyszłego odbudowania ojczyzny! Późniejszy manifest Towarzystwa Demokratycznego z roku 1836 zebrał jedynie w całość te zdania, które w jaskrawszej jeszcze formie od początku powstania Towarzystwa głoszono. »Interes szlachty i interes ludu tak były sobie przeciwne, jak wolność i niewola, dostatek i nędza« czytamy w Manifeście. O Rewolucyi Listopadowej zaś mówił Manifest, iż panowie »chytrze ująwszy wodze rządu, woleli sprawę

---

[1] Patrz, broszura: »Discours de Thadée Krempowiecki prononcé à Paris le 29 Novembre 1832. — Paris, August Mie, Imprimeur, 1833«. (stron 14). — (Egzemplarz w Bibliotece Akad. Umiej. w Krakowie).

W Bibliotece Jagiellońskiej, w papierach po J. N. Janowskim znajdują się dwie ćwiartki papieru, na których pismem własnem T. Krępowieckiego nakreślony jest po polsku projekt mowy; na górze ołówkiem ręką J. N. Janowskiego napisano: »Jest to skrawek sławnej mowy Tad. Krępowieckiego na obchód 29 Listopada 1832 roku w Paryżu. Własnoręczne jego pismo«. (Rękopis N. 3684).

Niezawodnie jednak J. N. Janowski myli się. Autograf ten mowy Krępowieckiego rozpoczyna się od słów: »Obywatele! Rok upłynął, jak lud polski, targający swe pęta, zmierzył się na równinach Grochowa z tymi, co je wkładać przyszli". Oczywiście, mowa ta wygłoszona była na obchodzie 25 lutego 1832 roku, jest ona zresztą zupełnie odmienna brzmieniem, choć duchem zbliżona do mowy 29 Listopada 1832 roku.

ojczystą zabić, jak rozstać się z przywłaszczeniami swojemi«; »Polska raz jeszcze, zstępując do grobu, widziała we własnych synach i obrońców i katów swoich; raz jeszcze nie prostą przemocą hord najezdniczych, ale egoizmem uprzywilejowanych zamordowana została«. Jakież uczucia względem szlachty, a więc względem całej nieledwie klasy oświeconej własnego narodu, mogłyby obudzić w prostych umysłach, gdyby się do nich przedostały, te frazesy o morderstwie narodu przez szlachtę, o zaciętej nieczułości szlachty na nędzę ludu? Czyż nie byłyby dobrem przygotowaniem 1846 roku?

Myśli, w owym Manifeście z całym rozmysłem i precyzyą wyłożone, stanowiły frazes zdawkowy w odezwach, przemówieniach, pismach Towarzystwa od początku jego istnienia. Jakże miał odpowiedzieć na taką działalność Mochnacki? Jako polityk, jako patryota nietylko gorący, lecz i trzeźwy, liczył się z rzeczywistością. Ciemnota i bierność narodowa mas ludowych uderzyły go już podczas rewolucyi, to też od czasu dwóch artykułów z lutego 1831 roku nie mówił już o rewolucyi społecznej, lecz wzywał do wszystkich oświeconych, uświadomionych, patryotycznych żywiołów narodu, by zbiły się w jeden karny hufiec obrońców ojczyzny; wskutek przeszłości narodu, której pismami i mowami paryskiemi wymazać nie było podobna, siłę czynną narodu stanowiła warstwa oświecona, czyli, jak wówczas, w ogromnej większości, szlachta. Za podstawę więc polityki narodu polskiego brał ten fakt kardynalny — uśpienia ludu i niepodobieństwa podźwignięcia tego ludu polskiemi rękami z niemocy i uśpienia przed zdobyciem bytu politycznego; budzenie ludu obcemi rękami lub chociażby rękami rodaków, lecz w imię hasła nienawiści do szlachty, uważał słusznie za groźne, wobec opanowania ziemi polskiej przez nieprzyjaciela, który mógł obudzoną energię ludu do rozdmuchania walki bratobójczej wyzyskać. Te myśli wykłada Maurycy w swych przedśmiertnych dwóch pismach »okserskich«, tak potę-

pionych przez demokracyę emigracyjną, napiętnowanych w osobnej odezwie przez Ludwika Nabielaka, zwłaszcza w pierwszem z pism okserskich, w liście do generała Dwernickiego z 17 października 1834 roku, w imieniu oficerów i żołnierzy zakładu Auxerres wystosowanym.

Zarzuca Mochnacki Dwernickiemu, że działa łącznie z »sektą, która przybrała nazwisko Towarzystwa Demokratycznego«, w sekcie tej widzi ludzi, którzy »stanęli w jawnej sprzeczności z duchem i z pierwszemi interesami dwudziestu milionów Polaków«. »Polska, generale, jest to kraj, który, gdy odzyszcze swą niepodległość, niewątpliwie będzie potrzebował wielkiej reformy społecznej na korzyść i w interesie ogromnej większości narodu. Pod tym względem, w takim sensie my wszyscy jesteśmy demokratami, i biada temu, ktoby nim być nie chciał! lecz zarazem, jenerale, Polska jest to kraj, który i przed dokonaniem tej reformy, taki jak jest dzisiaj, koniecznie przez nas szanowany i kochany być winien. W tej Polsce jeden stan wyłącznie wszystko jeszcze może, bo w nim wyłącznie koncentruje się jeszcze własność i oświata, dwa główne elementa siły publicznej. Ten stan jest więc dotychczas potężny. Powstawał tyle razy, i wiele razy jeszcze zechce, cały lud za sobą do broni powoła. Takie jest rzeczywiste położenie naszego kraju. Jedna klasa ma tam najwięcej wpływu i najwięcej w różnych okolicach Polski charakteru narodowego. Tego stosunku my dziś przed odzyskaniem niepodległości odmienić nie potrafimy! To więc, jak jest, trzeba przyjąć i uważać, jako faktum egzystujące«. »...Ale idźmy dalej generale! W Polsce lud prosty czytać jeszcze nie umie; czyta prawie sama szlachta. Owe więc pogróżki tak zwanych demokratów nie trafiają do masy, bo ona jest umarła dla ich gazet, a zatem nie poruszą masy. Trafiają tylko do szlachty, którą to oburza, w części i zniechęca... Nie! ta polityka nie może być zbawienna, która obraża mogących i chcących powstać, a żadnego natomiast sposobu poruszenia mas krajowej ludno-

ści nie wynalazła. Zerwałaby ona tylko wszystkie związki emigracyi z narodem«.

»Polska jest to kraj, który i przed dokonaniem reformy koniecznie przez nas kochany i szanowany być winien« — były to słowa, w których brzmiał ból patryoty, widzącego jak właśni rodacy w zaślepieniu odsądzają od wszelkiej wartości przeszłość narodową i miotają zbyt ciężkie, zbyt surowe oskarżenia na tę warstwę społeczeństwa, której nie można było czynić odpowiedzialną za winy ojców i dziadów, która kochała kraj gorąco i zdolna była do wielkich ofiar, która zgrzeszyła wprawdzie w ostatniej walce narodowej, lecz zgrzeszyła raczej słabością, niż egoizmem klasowym, raczej niezaradnością, niż nieczułością na upośledzenie współbraci z ludu. W tych słowach bolesnych i serdecznych Mochnackiego brzmi jakby echo tego, co pisał przed rewolucyą w książce o literaturze polskiej. Sprawdziła się niejedna z tych obaw i przestróg, które wtedy rzucał. Ostrzegał naród przed utratą pamięci o swej przeszłości: »W umyśle narodu jest także pamięć, którą stracić może« pisał: »Może zgubić nić przypomnienia i przyjść ku obłąkaniu. W umyśle narodu może także ściemnieć i zgasnąć wewnętrzny świecznik. Cóż się wówczas dzieje? Oto cienie przeszłości tułają się bez czci i pożałowania. Nikt nawet nie wie, gdzie są groby wielkich ludzi«. »Jakże ci się mylą« pisał wówczas: »którzy wszystko zasadzają na tem, co jest teraz, a co przeminęło, na złe wykładając, albo jawnie sromocą, albo jeśli nie mogą, w opaczne przywodzą mniemanie!« — »Gałązka odcięta od szczepu« mówił jeszcze: »którą wiatr daleko unosi na pustynię, gdzie uschnąć musi, albo którą prędki strumień czasu pociągnie na głębią, w tem zatraceniu: to naród, dawnych czasów w swojej nie mający pamięci!... Biada ludowi, który choć na moment wyjdzie z tego rozumienia samego siebie!« Teraz ziściły się jakgdyby jego dawne młodzieńcze przedrewolucyjne widzenia; rodacy naokoło jawnie sromocili to, co przeszło; cienie przeszłości

tułały się bez czci i pożałowania, zgasł na obczyźnie wewnętrzny świecznik, nić związku z przeszłością zerwana. Jakże podobna była w jego oczach ta oderwana od ojczyzny emigracya, złorzecząca, w oszaleniu rozpaczy, przeszłości narodowej, do gałązki, od szczepu odciętej, którą wiatr daleko unosi na pustynię! Nie gałązkę, wichrami miotaną, chciałby widzieć w emigracyi polskiej Mochnacki, który w owem młodzieńczem dziele pisał: »Wszelki ród rodowity, historyczny, w historyę świata zachodzący jest jako roślina z patryarchalnej osiadłości; z nasion na ojczystym wyrasta gruncie, a potem za błogosławieństwem nieba w wysokie, cieniste drzewo wyrasta. Stoi mocno i bezpiecznie to drzewo, jeśli ssie pokarm z ziemi, jako z piersi macierzyńskich. Korzeniem jego jest przeszłość historyczna«. To też teraz, bezwiednie może nawiązując obraz emigracyi polskiej do owego obrazu narodu polskiego, temi słowy kreślił zadanie wychodźtwa polskiego, 1 lipca 1832 roku w *Pamiętniku Emigracyi:* »Emigracyę polską porównywać trzeba z wierzchołkiem drzewa. mającego korzenie swoje we wnętrznościach ojczystej ziemi. Każde zatrząśnienie tej nadpowietrznej korony, jakby elektryczną mocą odezwie się koło podnóża. Tym kształtem stosunki z ziemią rodzinną utrzymywać jej nie przestaną w ciągłem wzruszeniu, a żałoba nie weźmie końca«. Po tem gwałtownem, wściekłem kołysaniu, w jakie wprawiali ową napowietrzną koronę Krępowieccy, Gurowscy, Puławscy, obawiał się bolesnego obrażenia podnóża, lękał się schnięcia wyrywanych z ziemi, obnażonych korzeni.

W swych poglądach na politykę narodową, głoszonych na emigracyi, Mochnacki wyraźnie nawiązuje nić z myślą przewodnią swego przedrewolucyjnego dzieła i z temi ideami, jakie wypowiadał w sierpniu 1831 roku na szpaltach *Dziennika Powszechnego Narodowego*; natomiast istnieje pozorna sprzeczność pomiędzy opiniami Mochnackiego z czasów emigracyi, a myślami, głoszonemi w pierwszych tygodniach 1831 roku na szpaltach *Nowej*

Polski. Przyjrzyjmy się, atoli, bacznie tym artykułom Mochnackiego z owego okresu *Nowej Polski* i Towarzystwa Patryotycznego, w których najsilniej brzmi nuta radykalizmu społecznego, a dojrzymy znamienne objawy. Najgwałtowniejsze, najcelniejsze z owych artykułów są trzy: Nowa własność języka polskiego; Być albo nie być; Czemu masy nie powstają. Pierwszy artykuł zawierał ów słynny, uznany za niesłychanie zuchwały, atak na Sejm, który wywołał burzę w Izbie i spowodował słowa Ledóchowskiego, iż autor pisze zapewne za ruble moskiewskie i pruskie talary; otóż w artykule tym Mochnacki nie posądzał bynajmniej mężów sejmowych o samolubstwo klasowe, o podporządkowanie dobra ojczyzny własnemu interesowi, uznał posłów za dobrych patryotów, za ludzi prawych, lecz słabych: »Oświadczam wam«, mówi, »żeście się do tej roli, którą teraz sprawujecie, nie zrodzili. Dobrymi, poczciwymi ludźmi jesteście; jesteście nawet dobrymi Polakami: — lecz nie wiecie tego, co czynić potrzeba w obecnej chwili«. Zarzuca im — wahanie się i oscyllacyę, mędrkowanie nad przepaścią, ciasne pojęcia, trwożliwość ducha, nieroztropność.

W najgwałtowniejszym artykule »Być albo nie być« zarzuca Kościuszce, iż nie nadał powstaniu charakteru socyalno insurrekcyjnego i mówi: »Kościuszko był poczciwym Polakiem, był walecznym rycerzem, lecz źle rozumował; ilekroć Kościuszko wpadał na myśl rewolucyi społecznej, »zawsze obchodził go wokoło strach wielkooki na samo wspomnienie socyalnego wstrząśnienia«. Te samą lękliwość zarzuca ludziom, kierującym powstaniem listopadowem: »nie wierzą w żadne społeczne wstrząśnienia. Przeraża ich gwar ludu, zatrważa mas powstanie. Obawiają się tego, jak fali wzburzonego morza, jak morowego powietrza, jak wezbrania wód i ognia«.

Nakoniec, w trzecim artykule »Czemu masy nie powstają« radzi Mochnacki »w całym kraju rozprzestrzenić obywatelstwo, tak żeby wszystko u nas spolszczało i zzie-

mianiało«, czyli rozmyśla nie o rewolucyi, lecz o reformie społecznej, idącej nie z dołu, »przez lud«, jak chciało później Towarzystwo Demokratyczne, lecz z góry, w duchu konstytucyi 3 maja.

Rozważenie trzech owych artykułów rzuca światło na stosunek Mochnackiego do winowajców klęski narodowej, jeszcze w czasie powstania, i na ów rzekomy przełom w poglądach Mochnackiego na rolę ludzi kierujących i całej warstwy decydującej w powstaniu listopadowem. Ludzie ci już wówczas, w okresie jego najnamiętniejszego rozgoryczenia, występowali w jego pojęciu w tem samem świetle, w jakiem później widział i rysował ich na emigracyi, przeciwstawiając ich arystokracyi francuskiej XVIII wieku i mieszczaństwu monarchii lipcowej. Byli to, w oczach Mochnackiego, ludzie dobrzy, prawi, gotowi poświęcić nawet życie dla ojczyzny, lecz omotani przez przesądy, lękliwi, niezdolni do kroków stanowczych, wielkich; obawiali się oni jakichś strasznych skutków dla narodu z radykalnej reformy społecznej. W ciasnem, nieżyczliwem traktowaniu sprawy włościańskiej przez sejm szlachecki grało zapewne u wielu jednostek rolę i samolubstwo klasowe; rdzeń jednak złego tkwił nie w zaciętości klasowej, nie w nieczułości dla mas ludowych, nie w niezdolności poświęcenia korzyści materyalnych dla dobra narodu, lecz w słabości, braku energii, zapału i wiary. Czyż można przypuszczać, że naszą szlachtę 1831 roku nie stać było na tyle bezinteresowności, szlachetności, patryotyzmu, ile wykazała szlachta francuska w nocy z 4 na 5 sierpnia 1789 roku? Wszak większość tych posłów, którzy zajmowali stanowisko reakcyjne w sprawie włościańskiej, utraciła dobra przez konfiskatę i była na to przygotowana, gotowa była poświęcić dla ojczyzny nietylko majątek lecz i życie; nie byli to ludzie twardego serca, lecz małej wiary i ciasnej głowy. Ci ludzie potrzebowali woli potężnej i myśli politycznej jasnej, która by nad nimi i nad ich słabościami zapanowała. Gdyby był dyktator lub rząd re-

wolucyjny dzielny zadekretował w pierwszych tygodniach zapału rewolucyjnego gruntowną reformę włościańską, gdyby to uczynił rząd, któryby nie mroził, lecz rozniecał zapał narodowy, któryby dał sam z siebie wzór żelaznej energii i błysnął przed oczyma narodu chwałą świetnych czynów, zwycięstw, co nie były niepodobieństwem, czyż można wątpić, że reforma społeczno-rolna poszłaby innym torem? Wszak sprawa włościańska wytoczona została wówczas, gdy naród przeżył już straszne, niezatarte, zgubne rozczarowanie do dyktatury, gdy już od miesięcy paru władza powstania gorliwie »przykładała lód do bijącego gwałtownie serca Polski«, gdy na czele powstania stał wódz niedołężny, gdy od kilkunastu tygodni trwały debaty sejmowe, w których na pył, na proch czczych słów starto, zmielono ten śpiż woli, jakiego odtąd brakło omdlałemu powstaniu. To też nie w egoizmie stanowym, lecz w upadku mocy, dzielności, w braku tęgiego rządu widział Mochnacki źródło klęski. Mógł Mochnacki w zapale walki obozów, w gorączkowej chęci obalenia tych, którzy szkodzili sprawie, rzucać gorzkie, cierpkie słowa, mógł 3 grudnia zawołać nawet, że Chłopicki zdradza rewolucyę, gdy minęła atoli gorączka chwili, a przyszło głębsze zastanowienie, w pismach swoich zarzucał ludziom rewolucyi tylko słabość i nierozum. Ludzie ci tak samo niedołężnie walczyli ze złem wewnętrznem, jak nieudolnie kierowali walką z nieprzyjacielem. Jak nie mógł człowiek sprawiedliwy i rozważny dawać wiarę pogłoskom, iż Skrzynecki, Czartoryski, Rybiński wzięli od Rosyi pieniądze i umyślnie zdradzili powstanie, tak samo nie było by słuszne oskarżenie, że w sprawie włościańskiej sejm szlachecki był przekupiony przez własny interes stanowy i działał ze złą wolą i wiarą.

Myśl konieczności bratniego i zgodnego współdziałania szlachty i ludu w sprawie odzyskania ojczyzny i przeświadczenie o podobieństwie tego współdziałania umocniły się w Mochnackim na emigracyi, pod wpływem

bliższego poznania Francyi i porównania z nią ojczystych stosunków.

Z przeglądu chociażby artykułów Mochnackiego w *Nowej Polsce* widać, że nie był on podczas rewolucyi tak bezwzględnie zahypnotyzowany przez wypadki paryskie, nie wytężał z takim uporem i z taką nadzieją wciąż oczu ku Zachodowi, nie poddawał się tak niewolniczo wpływowi gazet i ech z Izby francuskiej i paryskich klubów, jak to czynił, naprzykład, Adam Gurowski. Wzrok jego był przykuty do wewnętrznych wydarzeń krajowych i w rozwinieniu wszystkich sił narodu widział dźwignię zwycięstwa. Lecz i Maurycy poddał się w znacznym stopniu powszechnemu w czasie rewolucyi listopadowej prądowi nadziei na pomoc ludów Europy; nadzieje te wypowiadał zwłaszcza wówczas, gdy zwalczał i wyszydzał liczenie naszych dyplomatów na gabinety zachodnie. »Nie gabinety, ale ludy są naszymi sprzymierzeńcami« pisał 19 sierpnia: »Nie konający porządek rzeczy w Europie, ale nowy, mamiący świetnością swoją, rewolucyjny i straszny, jak to wszystko, co jeszcze nie jest, a czego z niecierpliwością oczekują ludy, potęgą i mocą swoją daleko przechodzące królów i ministrów... Nas zapewne nie uratuje spróchniała i butwiejąca Europa, lecz ta Europa, której moc i dzielność coraz się zwiększa i pomnaża«. 22 sierpnia znów wraca do tego tematu: »Rozesławszy gońców po świecie, staraliśmy się przekonać gabinety, że nienawidzimy ducha czasu, którego narody są reprezentantami. Cóż dziwnego, że opinia tych narodów nie zniewoliła natarczywością swoją monarchów do uznania naszej niepodległości, za pomocą zbrojnej interwencyi? Udaliśmy się do nieprzyjaciół! Cóż dziwnego, że przyjaciele nas opuścili?« W ostatnim swym głosie podczas rewolucyi 18 września jeszcze mówi: »Czas i Europa są naszymi sprzymierzeńcami«.

Niebawem, po przybyciu do Francyi otworzyły się oczy trzeźwiejszych emigrantów. Według szablonu *Nowej*

Polski warszawskiej, ów lud Francyi wyobrażano sobie, jako dyszący pragnieniem obalenia despotów, zaprowadzenia demokracyi i republiki we Francyi, a potem ruszenia na pomoc innym ludom, dla wykonania podobnego dzieła. Podobna opinia o Francuzach powstała na tle egzaltowanych pojęć entuzyastów warszawskich o Francyi 1793 roku; o ile była wyrazem przesadnych wyobrażeń nawet o Francyi czasów Konwencyi, o tyle wprost już biegunowo odbiegała od rzeczywistej Francyi orleańskiej.

Liberalne mieszczaństwo przy pomocy garści demokratów-republikanów, nielicznych, lecz za to walecznych na barykadach Paryża, w ciągu trzech dni, 27, 28 i 29 lipca, obaliło rządy restauracyi, powołało na tron »króla obywatela«, rozszerzyło prawo wyborcze ze 100.000 do ćwierci miliona elektorów, przyjęło z uznaniem zepewnienie, że karta odtąd będzie prawdą. Po utrwaleniu atoli rządów orleańskich, nowa monarchia lipcowa miała wrogów, na prawo i na lewo. Z jednej strony, obóz zwyciężony, karlistów, ultramontanów, z drugiej zaś strony, swych sprzymierzeńców z krwawych dni lipcowych, republikanów-demokratów, którzy z połowicznych rezultatów rewolucyi lipcowej, w której walczyli własnemi piersiami, bynajmniej nie byli zadowoleni i wołali teraz o zdradzie burżuazyi. Ani nowy król, ani nowi ministrowie, ani nowi posłowie, wybrani przy obniżonym, lecz jednak wciąż bardzo wysokim cenzusie, nie chcieli słyszeć o tem, o czem roiło się radykalistom; ci żądali zwołania zgromadzenia narodowego, ustanowienia republiki, zniesienia cenzusu wyborczego, wywieszenia hasła propagandy wolności wśród ludów europejskich, właściwie zaś chcieli pod egidą tych haseł 1793 roku odnowić sławne dzieje Wielkiej Rewolucyi i odegrać rolę członków Konwencyi. Tymczasem, Francya rządząca, Francya orleańska, ministeryalna, poselska i mieszczańska, o ile obawiała się powrotu Burbonów z całą restauracyą *ancien régime'u*, o tyle nie mniej oba-

wiała się krwawego widma 1793 roku, powrotu terroru, anarchii, dyktatury klubów, powtórzenia wojen niszczących, po strasznym upływie krwi w wojnach Konwencyi, Dyrektoryatu i Bonapartego. Pod tym względem pomimo, pewnych odcieni, jakie różniły bardziej liberalne rządy Lafitte'a, przedstawiciela partyi »ruchu«, który stał u steru od jesieni 1830 r. do 13 marca 1831 roku, od bardziej zachowawczych rządów Kazimierza Périer, jego następcy, przedstawiciela partyi »oporu«, obydwa rządy, jak również i trzeci rząd marszałka Soulta, następcy Kazimierza Périer, — były ze sobą zgodne. Zwłaszcza, od czasu gdy u steru stanął Kazimierz Périer, zarysował się stanowczo zwrot do utrzymania bezwzględnego porządku i spokoju, wszelkie próby wznowienia rewolucyi były surowo tłumione; utrzymanie porządku i zatamowanie dalszego ruchu rewolucyjnego wewnątrz Francyi, pokój ze wszystkiemi państwami Europy, bez różnicy formy rządu, na zewnątrz, polityka nieinterwencyi — w stosunku do wzywających napróżno pomocy Francyi Polaków, stały się dewizą rządu. Jeśli patrzący na Francyę przez różowe szkło braterstwa ludów rewolucyoniści polscy łudzili się co do postawy rządu francuskiego względem Polski, to czynili to wbrew oczywistym a bardzo dobitnym oznakom. Kazimierz Périer już 18 marca 1831 roku wygłosił w Izbie słynną dewizę, iż »krew Francuzów należy do Francyi«, ku zupełnej aprobacie większości Izby; legacya polska, kołacąca w ministeryum francuskiem, otrzymywała naogół stałą odpowiedź, iż Francya trzyma się zasady nieinterwencyi; wyrazy sympatyi dla Polski ze strony osób wysoko położonych miały charakter prywatny i platoniczny. Gdy Polacy marzyli o braterstwie z Francyą orleańską, Ludwik Filip martwił się tymczasem, że pogromca Polski jego »króla barykad« nie chce nazywać »panem bratem«[1]; oczywi-

[1] Patrz, Louis-Blanc, Histoire de Dix Ans, Bruxelles, 1843. — Tom IV, str. 75 list Mikołaja I-go do Ludwika Filipa, w dodatku

ście, o przychylność cesarza Rosyi chodziło królowi-obywatelowi nieskończenie więcej, niż o całą Polskę.

Chłód, jakim monarchia episyerów przyjęła rozbitków powstania polskiego, dążących do drugiej ojczyzny, był dla nich bolesną niespodzianką. W Warszawie jeszcze za rządów konstantynowskich młodzież czytywała ukradkiem przemycane numery pisma *Le Globe* i bardziej jeszcze radykalnego *National'a* Armanda Carrèl'a, organów opozycyi liberalnej za Karola X, która bojowała frazesem rewolucyjnym i wyrażała na kredyt sympatyę uciśnionym ludom i pogardę despotyzmowi, zanim nie stanęła sama u steru rządów. Po wybuchu rewolucyi dochodziły do Warszawy echa z republikańsko-demokratycznych stowarzyszeń francuskich, jak stowarzyszenie »Przyjaciół Ludu«, lub później powstałe »Stowarzyszenie Praw Człowieka«, które ze swym programem i ze swym podziałem na sekcye stało się później wzorem dla Towarzystwa Demokratycznego polskiego. Te echa odosobnionych, nielicznych, frondujących za monarchii lipcowej głosów były przyjmowane przez entuzyastów powstania listopadowego, jako wyraz opinii i uczuć »ludu« Francyi. W istocie, ów »lud« mityczny, o którym grzmiało w mowach naszych patryotów, były to, z jednej strony, masy ludowe Francyi wiejskiej, które o Polakach mało co wiedziały, a które wogóle w sprawach politycznych ujawniały bierność i dawały się oddawna z uległością, której Wielka Rewolucya nie zmieniła, rządzić Paryżowi, i warstwa bardziej oświecona średnia, głównie drobnomieszczańska; ta zachowała z czasów Napoleona pewien sentyment dla Polaków, daleki zresztą od urojonej tylko przez Polaków, rzekomej goto-

---

zaś do Tomu IV — list Ludwika Filipa do Mikołaja z 19 sierpnia 1830 roku. O liście Mikołaja L. Blanc: „Le ton dédaigneux de cette lettre, ses réticences pleines de menaces, l'omission insultante de ces mots ***monsieur mon frère***, que L. Philippe avait eu grand soin d'employer, tout cela fut un coup de foudre pour le Palais Royal". (str. 76).

wości walczenią za sprawę polską. Warstwa zaś burżuazyi majętnej i oświeconej, z której niemal wyłącznie przy wysokim cenzusie składał się *pays légal*, świat finansowy, literącki, polityczny kierował się mieszczańsko-orleańską rącyą stanu, która znajdowała wyraz względem Polski w dewizie nieinterwencyi[1].

Spostrzegłszy szybko, jaki duch ożywia warstwę rządzącą Francyi, gorętsze głowy emigracyi polskiej niebawem przylgnęły do obozu demokratyczno-republikańskiej opozycyi i przy lada okazyi manifestowały swą ku niej sympatyę i nadzieje Polaków, z tryumfem spodziewanym tej awangardy przyszłej rewolucyi związane. Czynili to wychodźcy nasi tem gorliwiej, iż przyjmowali z wiarą chełpliwe odgróżki paryskich *ardents*, którzy zapewniali, że niebawem rozbiją cały ten sklepik Ludwika Filipa z jego episyerami i bankierami-ministrami. Powtóre zaś republikanie francuscy przy lada manifestacyi, wrogiej rządowi orleańskiemu, wysuwali sprawę Polaków, których bohaterska walka o wolność wzbudziła pewną sympatyę i popularność wśród rozkołysanej jeszcze świeżem wspomnieniem rewolucyi ludności paryskiej, i piorunowali na rząd, który zdradził, opuścił haniebnie tę biedną, bohaterską siostrzycę Francyi Polskę, wywołując tem pewne wrażenie wśród łatwo zapalającej się ludności. To też podczas zaburzeń, jakie wywoływali republikanie co pewien czas w pierwszych latach monarchii lipcowej, a do których przyłączali się również Karliści, rozbrzmiewały obok okrzyków na cześć rzeczypospolitej i na zgubę rządu orleańskiego, zarazem i wołania na cześć Polski. Wychodźcy nasi spotkali się z tem już w kilka miesięcy po przybyciu do Paryża, podczas zaburzeń wynikłych w czer-

---

[1] Prądzyński krótko i dobitnie mówi o złudzeniach polskich co do Francyi: »W Polsce tem się omylono, że deklaracye jednego stronnictwa liberalnego brano ciągle za głos całej Francyi, nie podzielonej stronnictwami, i jego urojenia za rzeczywistość«. (Pamiętniki, Tom I, strona 195).

wcu 1832 roku z powodu pogrzebu generała Lamarcka. Republikanie nie byli w stanie wprawdzie nic uczynić dla Polski, a zresztą rok 1848 wykazał dowodnie, ile mogła liczyć Polska na republikanów francuskich, z chwilą, gdy ci dochodzili do rządów; ten sojusz zato duchowy demokratycznej części emigracyi polskiej, a także emigrantów innych narodów z opozycyą francuską budził nieufność i niechęć do emigracyi w łonie Francyi rządzącej. Rządowi francuskiemu nie obca była szczera chęć pozbycia się niedogodnych i niespokojnych ptaków burzy; chciano emigrantów polskich wysłać do Algieru, powstawały i inne projekty wydalenia ich z Francyi, gdy jednak Polacy nie dali się nakłonić do dobrowolnego opuszczenia terytoryum Francyi, rząd do gwałtu względem nich nie posuwał się, wydalano jedynie w wyjątkowych wypadkach, jak naprzykład Lelewela i jego komitet w końcu 1832 roku, po wydaniu przez nich odezwy do Rosyan, Worcella Stanisława po pewnej mowie rewolucyjnej i innych. Rząd postępował przezornie, nie chciał czynić z wychodźców polskich męczenników, nie chciał prowokować opinii publicznej, która darzyła ich naogół sympatyą; dano więc im przytułek na ziemi francuskiej, wyznaczono nawet na mocy uchwały Izb znaczny fundusz na ich utrzymanie łącznie z innymi wychodźcami, poza tem rząd francuski był mocno zdecydowany nietylko nie okazywać Polakom poparcia w ich aspiracyach restytucyjnych, lecz nawet tłumić czynnie wszelkie ich po temu, zresztą, bezsilne próby. Sympatye ogółu francuskiego względem wychodźców polskich, zresztą, poza okazywaniem im w pierwszych latach dość hojnej pomocy materyalnej, platoniczne, sprawiały, iż rząd nie mógł, pomimo nalegań ambasadora rosyjskiego, zdecydować się na surowe represye względem emigracyi polskiej. Sympatye te objawiły się, naprzykład, w wybuchu powszechnego niemal oburzenia po słowach Sebastianiego, wyrzeczonych po zdobyciu Warszawy w Izbie deputowanych: »Porzą-

dek panuje w Warszawie«. Braterstwo oręża polskiego i francuskiego w wojnach napoleońskich, których pamięć jeszcze była świeża, bohaterska walka Polaków z przemocą w roku 1831-ym, wreszcie żywe jeszcze wspomnienie upokorzenia Francyi i jej ubóstwianego wodza przez armię koalicyi, stąd głucha niechęć do Św. Przymierza, którego Polska była wrogiem śmiertelnym, wszystko to nagromadziło zbyt wiele sympatyi dla Polaków we Francyi, aby rząd mógł się zdecydować na zupełnie bezwzględne postępowanie.

Pomiędzy większością emigracyi wkrótce zapanowało zupełne rozczarowanie do Francyi rządzącej, orleańskiej, praktycznej i wyrachowanej, a nawet i same objawy sympatyi i interesu dla sprawy polskiej ogółu francuskiego wydawały się ckliwe, banalne i płytkie bohaterom powstania, którzy marzyli o braterstwie miecza, o braterstwie boju o wolność, a nie o koncertach i bazarach dobroczynnych i o jałmużnie na praktyczne potrzeby emigrantów; chcieli oni traktować dawane im środki, jako żołd dla żołnierzy, zawsze gotowych iść w bój za Polskę, Francyę i wolność, a ich tymczasem traktowano, jako inwalidów walki, szanownej ale beznadziejnie przegranej, z wyniosłą i wspaniałomyślną dobroczynnością. Z początku nie szczędzono Polakom szumnych, ostentacyjnych owacyi, poświęcano sprawie polskiej wiersze, romanse, widowiska teatralne. W tych owacyach francuskich atoli odrazu raził czułą, zbolałą duszę wychodźców ton fałszywy płytkiej sensacyi, niezrozumienie istoty sprawy polskiej i patos niesmaczny. W liście z 21 stycznia 1832 roku Michał Podczaszyński pisze do Bazylego Mochnackiego: »W Paryżu teraz teatr Cirque Olympique wystawia od dwóch miesięcy co dzień bez przerwy sztukę pod tytułem *les Polonais*. w której wszystkie fakta wojenne naszej ostatniej rewolucyi obrazowo są wystawione... Wystawiony jest i pan Joachim Lelewel w jaratacce i czapce rogatej, z czego niechybnie się rozśmiał, patrząc z parteru. Le

Nonce Lelewel jest żwawy junak z podkasanemi połami, bije się jak lew z Moskalami, a sam wzrok jego zabija biednego Dybicza. Szarlatany Francuzi inaczej wielkiej rzeczy pojąć nie mogą, jak przez trywialne czyny... Serce ich bije dla Polski, ale rozumieć, co ona jest, znać skromną jej wielkość, to przechodzi granice ich rozumu«. Podobne wrażenie wywarło to widowisko na Juliuszu Słowackim. »Wielkie głupstwo« pisze o niem do matki 25 stycznia 1832 roku: »Nie możecie sobie wystawić, jak są głupi Francuzi, jak chcą coś wydać wielkiego; właśnie z prostoty wpadają w deklamacyę śmieszną. Dosyć powiedzieć, że figura blada, która nosi buty z kutasami (Lelewel), siedziała przy mnie na krześle podczas reprezentacyi i ta sama figura w czerwonym płaszczu cuda na scenie wyrabiała. Smutne to było dla nas, i czasem łzy się kręciły w oczach, czasem śmialiśmy się do rozpuku«.

Jeśli pod świeżem wrażeniem rewolucyi polskiej Francuzi manifestowali swe sympatye, w sposób wprawdzie płaski i naiwny, to z biegiem czasu sprawa polska zupełnie zeszła z porządku dziennego; wypadki nowsze, troski codzienne zasłaniały ją coraz bardziej; poza nieliczną liczbą wyjątkowych przyjaciół Polski, Francya obojętniała, sprawa polska już nie była aktualna, przestała Francuzów interesować. Najwięksi doktrynerzy braterstwa ludów z pośród Polaków otwarcie wygłaszać zaczęli swe głębokie rozczarowanie. »Zaczęliśmy czuć« mówił Wiktor Heltman na obchodzie listopadowym w roku 1838: »jak cudzoziemskim ogniem zapalone serca stykały się z sercami, coraz więcej stygnącemi. Czuliśmy, iż wrząca ludów niecierpliwość w zniechęcenie, a ich zapał w smutną obojętność zmieniać się począł. Wkrótce... wszystko w koło nas było zimne, ciche, ponure. Czasem tylko bezsilny głos sympatyi, jak echo w pustyniach, głuchą tę ciszę przerywał. Ci, co nam ojczyznę wrócić mieli, sami w kajdany okuć pozwolili siebie i sami żyli, jak niewolnicy. Zawołaliśmy więc: kiedy ich własne rany nie bolą, jakżeby na-

sze boleć miały? Więc zrozumieliśmy, że sympatya ludów to uczucie niewieście, co umie płakać nad cudzem nieszczęściem, ale śmiałej ręki podać mu nie umie« [1]. W tem ostatniem zdaniu Heltmana czuć jakby reminiscencyę z *Ksiąg Narodu Polskiego* Mickiewicza: »A Gal sądził i rzekł: zaprawdę nie znajduję winy w tym narodzie i żona moja Francya, kobieta lękliwa, dręczona jest snami złymi: a wszakże weźcie i umęczcie ten naród — i umył ręce«.

Romantyzm polski na obczyźnie napiętnował wyrachowaną i samolubną burżuazyę francuską ustami Słowackiego, jako »brylantową poczwarę«, dał w »Przeglądzie Wojska« Mickiewicza gorzką ironią przesycony obraz »Francuskiej Izby Deputatów«, która znudzona krzyczy: »do porządku«, gdy mowa o biednych ludach, a ożywia się dopiero, »wre, huczy i kipi i pryska i szumowiny aż pod niebo ciska«, gdy mowa o finansach. Opisując posiedzenie Izby Deputowanych 20 marca 1833 roku, na którem rozważano sprawę przedłużenia ustaw wyjątkowych przeciwko emigrantom, tak maluje Mickiewicz wrażenia powstańca polskiego: »Poznałem wielu rodaków: ich znaki wojskowe, krzyże legii honorowej powinny były przypomnieć dawne braterstwo oręża. Szlachetne twarze niektórych dowódców naszych, ich włos posiwiały w obozach i tułactwach dziwnie odbijał od wychudłych pysków bankierskich, na których, jak na zagwazdanych starych wekslach czytać można było podpisy różnych rządów, różnych ministerstw, ślady wyskrobanych przysiąg, protestacyj etc. etc.«

Wychodźcy, zwłaszcza w początku, w wystąpieniach swych do władz francuskich, do Izby przemawiali językiem własnych marzeń, który brzmiał we Francyi orleańskiej, jak jakieś dziwne zabłąkane echo złotego wieku,

[1] Demokracya polska na emigracyi. W. Heltmana, str. 57. A także, patrz Demokrata Polski, Tom II, str. 57.

jak śpiew słowika podczas wrzawy giełdowej. W Akcie zawiązania Komitetu narodowego stałego (Lelewelowskiego) stwierdzono, że »naród francuski i polski łączy od wieków jeden interes, jedne uczucia«, że »oba te ludy zrozumiały dobrze, że byt jednego ściśle z bytem drugiego skojarzony«. Tymczasem zaś rząd francuski nie chciał nawet dopuszczać emigrantów polskich do Paryża, tym, którzy w nim przebywali, odmawiał wsparć, groził im nawet wydaleniem, lękając się nagromadzenia niespokojnych żywiołów w stolicy, kierował cywilnych do Chateauroux, wojskowych — do Awinionu. Komitet Narodowy podaje petycyę do Izby Deputowanych 29 stycznia 1832 roku, a w niej przypomina, iż »niedawno uzbrojony naród polski piersiami swemi zasłaniał Francyę od najazdu i zostawił swe dostatki i mienie, swą rodzinę i dziatwę na pastwę zwycięzcy«, domaga się wolności pobytu, wsparcia dla wszystkich emigrantów i żąda: »aby ustanowione były osobne legie polskie wszelkiej broni. Pod tem imieniem, ochronę narodowości wyrażającem, z własnego języka służbą, pod swemi znakami, wojownicy nasi pójdą pod chorągwie Francyi wszędzie tam, gdzie za wolność i sprawę ludów walczyć przyjdzie«.

Podczas rewolucyi powtarzano sobie wciąż w Warszawie, że walka toczy się w obronie Francyi, Gustaw Małachowski wygłosił nawet w tym sensie swą dziewiczą mowę, jako minister spraw zagranicznych, w Sejmie. Roili sobie wychodźcy, że za to przynajmniej będą spotkani we Francyi z otwartemi rękami; gdy się zawiedli na wdzięczności Francuzów, zapewniają ich, że i na przyszłość gotowi są walczyć pod sztandarami Francyi. Nawet do oschłego Kazimierza Périer wystosowuje Lelewel dnia 25 lutego 1832 roku, w rocznicę Grochowa, głos, który nie znalazł oddźwięku w duszy twardego ministra-bankiera: »Bądź pewny, że serca nasze jedynie dla ojczyzny i wolności biją« brzmią słowa odezwy w jej polskiem tłomaczeniu: »Nie jesteśmy najemnicy, jak niegdyś Szwaj-

cary. Pchnięci do Francyi, przybywamy nieszczęściem naszem dumni..., potężni naszą wytrwałością i nadzieją, silni narodowością i działalnością, a bez ubliżenia jakiejkolwiek panującej władzy, na ziemi Francuskiej przypominamy sobie pełne chwały czasy, w których orzeł biały był nieodstępnym zwycięstw orła złotego« [1].

Juste milieu na te wszystkie oświadczenia odpowiedziało ustawą, zawotowaną w Izbie Deputowanych dnia 9 kwietnia 1832 roku, w Izbie Parów — 19 kwietnia t. r., na mocy której minister spraw wewnętrznych otrzymał władzę gromadzenia wychodźców w specyalnie wyznaczonych miejscowościach, w razie zaś zakłócania przez nich praw i porządku — władzę wydalania ich z Francyi administracyjnie, bez wyroku sądowego. Emigranci więc zostali pozbawieni rękojmi praw obywatelskich. Za to Izby wotowały znaczny kredyt na utrzymanie emigracyi: do 600.000 franków, zawotowanych na rzecz wychodźców włoskich, hiszpańskich i portugalskich na rok 1832, uchwalono dodatkowo 3 miliony franków, oraz 500.000 fr. na koszta przejścia Polaków do granicy francuskiej. Tak więc Izby jedną ręką oblewały zimną wodą zapały i nadzieje wygnańców, drugą zaś ręką kładły im do ręki kawał chleba powszedniego.

Nie zmienili jednak wychodźcy polscy i teraz jeszcze tonu swych oświadczeń. Dowodem wydany pod auspicyami prezesa nowego Komitetu Narodowego generała Dwernickiego 3 października 1832 roku »Akt tułaczów polskich, będących we Francyi, objawiający niezmienne ich postanowienie«. Akt ten wyłuszcza zasadę obrony przez Polskę swobód europejskich przed grozą despotyzmu. Powstanie 1830 roku, poza dążeniem narodu do niepodległości, wywołane było jeszcze i tem, że »Polak, położeniem swego kraju i pełną chwały przeszłością przeznaczony na czuwanie nad europejską cywilizacyą..., byłby

[1] Polska — Joachima Lelewela, Tom XX, 1864 r., str, 110.

może musiał świętokradzko podnieść oręż przeciw wolności i oświeceniu innych ludów... Wybrał do wzniesienia oręża chwilę, w której odrodzona na Zachodzie wolność... miała być zagrożona wschodniego absolutyzmu przemocą«. Dalej odezwa mówi: »Krew nasza całkiem i wyłącznie ojczyznie należy«, poczem jakgdyby chcąc wykazać całą przepaść pomiędzy frazesem Kazimierza Périer z 18 marca 1832 roku o krwi Francuzów, należącej tylko do Francyi, i wyciąganemi przez rząd francuski z tej dewizy wnioskami a dewizą Polaków, mówi: »Dziś jest przeznaczeniem naszem tułać się po Europie, być marą, przypominającą jej, jakie ma obowiązki dla Polski«, poczem oświadcza, że Polacy nie będą należeli »do żadnego innego boju, jak tylko w interesie wolności europejskiej, w sprawie ojczyzny i gdyby Francya, na której ziemi doznajemy gościnności, zagrożona była«. Tak rycersko odpowiadali Polacy na francuską zasadę nieinterwencyi; a przecież ta odezwa, ponawiająca parol Polaków walczenia za wolność Europy i za Francyę, przyznaje się sama do smutnych doświadczeń, mówi, iż »zadłużona jest już nam dosyć Europa«.

I nie była czczym frazesem ta obwoływana gotowość naszych wychodźców walczenia za wólność ludów europejskich. Wiosna roku 1833 była niespokojnym dla emigracyi okresem; wówczas to, organizacya »Zemsta Ludu« pod wodzą Józefa Zaliwskiego przedsiębrała nieszczęśliwą wyprawę partyzancką do Polski, w owym również czasie część wychodźców porwała się do upragnionej oddawna walki o swobody ludów. Jeszcze podczas przejścia przez Niemcy wychodźcy nasi zawiązali stosunki ze spiskowcami politycznemi z Niemiec południowych, którzy marzyli o rewolucyi niemieckiej; oczywiście, w rozmowach wspólnych tryumf przyszłej rewolucyi niemieckiej przedstawiano, jako rękojmię tryumfu sprawy wolności w Europie, a zwłaszcza sprawy polskiej. Stosunki te, drogą komunikacyi konspiracyjnej, trwały i nadal, i oto do Zakładu

wychodźców polskich w Bezançon doszła wiadomość, że gotuje się wybuch rewolucyi we Frankfurcie nad Menem, który ma być wstępem do ogólnej rewolucyi. Na tę wieść dnia 7 kwietnia 1833 roku w Niedzielę Wielkanocną wyruszył z Zakładu Bezansońskiego pochód z 400 wiarusów; wysłuchawszy Mszy świętej w sąsiedniej wiosce, ruszyli wśród ulewnego deszczu, nędznie, ladajako ubrani, uzbrojeni w szable i pistolety ku granicy szwajcarskiej, poczem zamierzali wtargnąć do Wielkiego Księstwa Badeńskiego na poparcie rewolucyi frankfurckiej. W ślad za nimi podążyło około stu wychodźców z innych zakładów. Zaledwie atoli przebyli granicę szwajcarską, posłany wcześniej do Frankfurtu na zwiady kapitan Feliks Nowosielski przybył z wiadomością, że ów wybuch frankfurcki był to drobny miejscowy huczek, który zaraz w dniu 3-im kwietnia stłumiony został. Nie pozostawało nic innego, jak wrócić do Francyi; lecz rząd francuski, wcale zadowolony z tego, że tak łatwo pozbył się kilkuset niespokojnych emigrantów, kazał wojsku obstawić granicę i nie wpuszczać wychodźców z powrotem. Na szczęście, rząd Kantonu Berneńskiego nie odmówił gościnności naszym rycerzom o wolność Niemiec i rozlokował ich po wioskach Kantonu. Tu zaraz zawiązali się w »Ogół«, na zasadach wojskowych. Anastazy Dunin, niebawem serdeczny Maurycego Mochnackiego przyjaciel w ostatnich jego miesiącach życia, wydelegowany przez Komitet Narodowy Paryski do braci w Szwajcaryi, tak opisywał ich życie[1]: »Ogół Polaków w Szwajcaryi dochodzi do 500 ludzi. Podzieleni na dwa bataliony, po cztery kompanie, składają hufiec pod nazwaniem legionu. Pierwszy moment, dozwalający objawić myśl, która Polaków za granicą ożywia, wznowił pamięć okoliczności, wśród których ku końcowi przeszłego wieku walczyliśmy za kraj nasz pod tą

[1] Pamiętnik Emigracyi, część III, Jan Albert Jagiellończyk, strony 5, 6. — Wiadomość z Porrentruy 3 maja 1833 r.

chorągwią. Dzisiejszy stan rzeczy na Zachodzie nie dopuszcza rządom, któremi bojaźń kieruje, utworzyć legionów polskich. Polacy, biorąc ten charakter przy nadarzonej sposobności, czynią to, coby Europa zrobić mogła, a nie śmie«.

»Organizacya tych dwóch bataljonów przyszła do skutku z zadziwiającą łatwością. Pokazuje to, że długa nieczynność od wkroczenia naszego na ziemię francuską wojskowych polskich od służby nie odzwyczaiła. Patryotyzm przełamał hierarchią: z największem ukontentowaniem oficerowie stanęli w szeregu jako żołnierze. Dowódzcy bataljonów i kompanii obrani jednomyślnością, zaszczyceni zostali tem zaufaniem, nie jako wyższego stopnia oficerowie, lecz jako żołnierze... Całego oddziału dowódzcą Oborski, który ma tytuł żołnierza naczelnika. Nazywa się także legion hufcem świętym«.

Rada Kantonu berneńskiego wyznaczyła nawet dla Polaków zapomogę, po 18 sous na głowę. »Część ta Polaków w Szwajcaryi rzadki stawia widok braterskiej zgody i wzajemnego zaufania. Wspólnemu dobru wszelką różność opinii poświęcono. Dawne stosunki między starszymi i młodszymi zamieniono w koleżeńską równość, a posłuszeństwo, nie subordynacyą, ale uczuciem honoru wojskowego utrzymywane dla dowódzców, pokazuje narodowi, jakich ma synów i jakich miał żołnierzy. Oficerowie, co już długie lata służby liczą, chodzą z rozkazami, gdy kolej przypadnie, o mil kilka lub kilkanaście, częstokroć po bezdrożach, w nocnej dobie, w słocie«. To wzorowe postępowanie emigrantów w Szwajcaryi stwierdza nawet niechętny wogóle wówczas tym wojowniczym imprezom Władysław Zamoyski[1].

Tak to żołnierze polscy, kwaszeni przez miesięcy kilkanaście w swarach, rozprawach, kłótniach, wreszcie znaleźli się w swoim żywiole, odżyli; dopięli wreszcie

[1] L. Gadon, Emigracya, Tom II, str. 276.

celu wymarzonego — tworzyli legion. Teraz znów czujnie natężają ucho, czy nie słychać trzęsienia ludów, i oto niebawem ich oczekiwanie spełnione; Młode Włochy wzywają nasz legion na pomoc insurrekcyi przeciwko królowi sardyńskiemu, Karolowi Albertowi. Hufiec święty niezwłocznie rusza na pomoc braciom Włochom — w styczniu 1834 roku. I teraz wyprawa skończyła się mizernie. Część legionistów rozbroiło wojsko szwajcarskie, zanim do Włoch się przedostali, część dostała się pod komendę nieszczęsnego generała Ramorino, który i tu postąpił sobie małodusznie i rozpuścił ochotników przed walką; reszta, spotkawszy przeważające siły sardyńskie, musiała się cofnąć. Znów spełzły na niczem pragnienia legionistów, musieli powrócić do Szwajcaryi; część ich wróciła niebawem do Francyi, część podążyła do Anglii, niewielka liczba pozostałych założyła w Bernie w maju 1834 roku »Młodą Polskę«.

Uczestnicy wyprawy sabaudzkiej: Nowosielski, Jabłoński, Stolzman, umieścili w *Nowej Polsce* emigracyjnej wyjaśnienie, gdzie w imieniu braci tłomaczyli motywy wyprawy przeciwko »królowi, rzeźnikowi Sabaudyi« [1]: »Powodowani chęcią służenia świętej sprawie wolności, chcieliśmy podać rękę uciśnionemu ludowi włoskiemu. Po przekonaniu się o żywiołach stworzenia wielkiej zmiany, pewni pomyślnego skutku, opuściliśmy gościnną ziemię Szwajcarów, aby w Sabaudyi, wspólnie z emigrantami Włoskimi, dać hasło zapalenia rewolucyjnej pochodni. Lecz jeszcze raz usiłowania nasze są bezskuteczne«. Dalej opisuje, jak zatrzymano ich w Kantonie Vaud i internowano na statku na jeziorze genewskiem: »Trudnoby opisać przykrości nasze: obok cierpień moralnych na widok utraconej wolności i nadziei walczenia za prawa ludu, dolegliwości fizyczne powiększały okropność położenia.

[1] »Nowa Polska« emigracyjna. Oddział drugi broszurek, półarkusz 27, str. 105 i następne.

Wśród dokuczającego zimna, zwracaliśmy wzrok smętny ku brzegom, które nas przyjąć miały, jako zbawców swoich. Braknie wyrazów na opisanie naszej rozpaczy«. W opisach tej wyprawy przez jej uczestników odbija, obok smutku z powodu niepowodzenia, zarazem poczucie spełnionego obowiązku. »Młoda Italia wezwała polskich tułaczy we Szwajcaryi, czyliby nie chcieli swojem przystąpieniem wzmocnić powstanie, mające zamiar oswobodzenia Włoch« zdaje sprawę tamże na szpaltach *Nowej Polski* Feliks Gordaszewski, późniejszy wraz z Nowosielskim i Stolcmanem, założyciel *Młodej Polski*: »Czas między wrześniem 1833 roku i 20 stycznia 1834 roku poświęcono sumiennemu rozpoznaniu środków i żywiołów przez nasze spółdziałanie mającej wybuchnąć rewolucyi. Czekano niecierpliwie tej wielkiej chwili...« i t. d.

Wiele zagadek duchowych z życia emigracyi naszej wyjaśniają te wyprawy, frankfurcka i sabaudzka, wyprawy z praktycznego stanowiska zapewne bezcelowe, dla oka obserwującego je krytycznie i oziębłe, nawet donkiszockie, lecz jakże wymowne dla Polaka, który po upływie lat wielu śledzi te targania i szarpania nieszczęśliwego, a tak szlachetnego w swej niedoli pokolenia wygnańców. Pojmujemy lepiej, w świetle owych faktów, że poziome troski, swary i intrygi, że cały ten war, który wciąż kipiał w kotle emigracyjnym, był tylko oznaką chorobliwego burzenia się i szamotania dusz, które napróżno wydzierały się do czynów wielkich i szlachetnych, tęskniły do walk, wzniosłych i ofiarnych. Gdy tylko błysnął przed wiarusami cel promienny, zbijali się w jeden hufiec, stawali przy sztandarze, z doskonałą karnością i zgodą, ustawały swary, budził się duch bohaterski, z wierzchu tylko pleśnią pociągnięty, lecz wewnątrz dzielny, bardziej jeszcze w niedoli zahartowany; ale los bezlitosny dla nich karał ich najsroższą męką — upragniona rewolucya europejska okazywała się drobnym rozruchem, tragedya zmieniała się niemal w farsę. Na tle tych srogich przejść wy-

pukle odbijają się nieszczęśliwe postacie wiarusów listopadowego powstania, których mękę z genialną prostotą odtworzył Mickiewicz w »Pieśni żołnierza«. »Ja w tej izbie spać nie mogę« jęczała dusza rycerzy Grochowa, Wawra, Igani, uwięziona w zakładach emigracyjnych i co chwilę przez sen swoich rojeń słysząca pobudkę wojenną:

»A gdy w nocy trąbka dzwoni,
Tak mi mocno serce skacze;
Myślę, że trąbią do koni,
I potem aż do dnia płaczę.
Oczy zamknę, to się marzy:
Nasze konie, chorągiewki,
Ognie nocne, krzyki straży,
I wiarusów naszych śpiewki«.

Rzut oka na atmosferę polityczną Francyi orleańskiej i na usposobienie emigracyi polskiej, obraz zetknięcia tych dwóch światów — rozbitków powstania polskiego i wyniesionego w górę przez rewolucyę lipcową mieszczaństwa francuskiego jest niezbędny, by pojąć kształtowanie się poglądów politycznych i społecznych Mochnackiego na emigracyi. Widzieliśmy, iż zdrowy instynkt narodowy Mochnackiego, przeświadczenie o niepodobieństwie rozwiązania sprawy społecznej w Polsce przed wyzwoleniem politycznem, przekonanie o niebezpieczeństwie ostrej agitacyi ludowej przeciwszlacheckiej w Polsce ujarzmionej podyktowały Mochnackiemu odmienny kierunek polityki narodowej od przyjętego przez Towarzystwo Demokratyczne. Doradzał nie jątrzenie, lecz przeciwnie czasowe choćby gojenie rany, jaką w organizmie Polski była sprawa włościańska, pragnął, aby rana ta zabliźniła się tymczasem, zanim nadejdzie czas błogosławiony rozwiązania rąk do radykalnego rany tej leczenia. To stanowisko pojednawcze względem stanu ziemiańskiego, w którego posiadaniu pozostały nieodpowiadające duchowi czasu przywileje, będące spuścizną wieków, podyktowane było Mochnackiemu nietylko przez trafną politykę naro-

dową, lecz i przez głęboką obserwacyę życia Francyi i rozważania nad tak odmienną od francuskiej rzeczywistością polską i historyą Polski.

Młode grono radykalistów literackich, a zarazem, zwłaszcza od wybuchu rewolucyi listopadowej, politycznych, w jakiem Mochnacki obracał się przed wybuchem powstania i w pierwszych tegoż miesiącach patrzało na wypadki polskie, sądziło rzeczywistość i przeszłość ojczystą, mając wciąż przed oczyma, jako wzór odrodzenia narodowego, Wielką Rewolucyę Francuską i obraz Francyi, odnowionej, zdemokratyzowanej, uszlachetnionej przez niezmazane dekrety i czyny sławnej Rewolucyi. Nigdzie może Francya nie była tak niesłychanie idealizowana, jak w tem niecierpliwie kąsającem konstantynowskie srogie wędzidła kole młodzieży polskiej. Zarazem, pojęcia rewolucyi francuskiej ryczałtem były przenoszone na rewolucyę polską; jeszcze gdy porównywano olbrzymi zapał Konwencyi Francuskiej z połowicznością naszych rządów powstańczych, była w tych zarzutach i narzekaniach wielka doza słuszności; gdy atoli zaczęto w walkach stronniczych podczas rewolucyi listopadowej doszukiwać się podobieństwa do walk stanowych we Francyi XVIII wieku, gdy partyę »arystokratyczną« zaczęto posądzać o knowania z wrogiem przeciwko narodowi, gdy posądzano ją o świadome przenoszenie jarzma najezdniczego nad sprawiedliwe rozwiązanie sprawy włościańskiej, wówczas w tych zarzutach nie było źdźbła prawdy. A zarzuty te przeżyły rewolucyę listopadową, podejrzenia o jakieś szkodliwe knowania przeciwko narodowi i przeciwko emigracyi polskiej wciąż ścigały wychodźców arystokratycznego obozu, patrzano na nich, jak na jakąś podobiznę koblentzkiego obozu emigracyi francuskiej szlacheckiej podczas Wielkiej Rewolucyi. Zarazem zaś, rzucono anatemę na całą szlachecką historyę Polski i nie znajdowano ani słowa uznania dla najbardziej szczytnych, najbardziej jasnych momentów odrodzenia narodowego, udaremnionego przez

przemoc, jak naprzykład dla wielkich aktów i wielkich mężów Sejmu Czteroletniego.

Zetknięcie z Francyą powinno było, zdaje się, wywołać głębokie zastanowienie i rewizyę poglądów na swą własną ojczyznę w głowach tych, którym przedstawiała się ona dawniej w niesłychanie ciemnych barwach dla tego, iż porównywali ją ze wspaniałym, świetlanym obrazem Francyi; bo wszak obraz ten okazał się złudzeniem. Istotnie, w taki sposób, znacznie rehabilitujący przeszłość polską, wypadki końca XVIII wieku, a nawet i zjawiska świeżej daty, oddziałało zetknięcie z Francyą na Mochnackiego, lecz bynajmniej nie na adeptów Towarzystwa Demokratycznego. Dokoła siebie we Francyi widział rządy samolubne owego osławionego stanu trzeciego, obecnie spanoszonego, władnącego machiną państwową, dostatkami, oświatą. Mochnacki myślą wybiegał do tego wielkiego faktu dziejowego, który ten stan na powierzchnię wysunął, — do Wielkiej Rewolucyi; teraz przedstawiała mu się ona, nie jako dzieło bezinteresownych entuzyastów, przyjaciół rodzaju ludzkiego, którzy z nienawiści do gwałtu i niewoli obalili *ancien régime* i ruszyli potem na wyzwolenie Europy; ci entuzyaści stanowili szlachetne wyjątki, główny zaś korpus rewolucyjnego obozu stanowił oświecony, majętny, liczny stan trzeci, który dążył do usunięcia dworu i szlachty, aby utorować sobie drogę do władzy, bogactw i zaszczytów. Od tego obrazu odwracał wzrok ku Polsce — ku jednoczesnej tragedyi Sejmu Czteroletniego. Tu naprawy Rzeczypospolitej dokonywać musiał ten sam stan, przeciwko którego przywilejom, prerogatywom, ideologii stanowej reformy się zwracały; stan wszechwładny ograniczał swe polityczne zwierzchnictwo na rzecz króla i rządu, swą wyłączność stanową, swe olbrzymie przywileje — na rzecz stanów upośledzonych; zadanie to wypełniał, przy wielkiej słabości mieszczaństwa polskiego, przy ciemnocie i obojętności ludu, przy sprzysiężeniu przeciwko reformie Rzplitej trzech ościennych

potęg, które troskliwie pielęgnowały anarchię polską. Mochnacki przejął się współczuciem wielkiem i czcią dla tego nieszczęśliwego pokolenia Polaków, które czyniło wszelkie wysiłki, lecz już nie mogło uratować państwa od zagłady. Tak powstała rzecz z 23 stycznia 1833 roku: »O Rewolucyi Społecznej w Polsce«.

Pogląd demokratów na przeszłość polską na emigracyi stał się jeszcze bardziej pesymistyczny; sąd ich o przeszłości ostry, zaprawiony żalem i gniewem. Rozważając okres podnoszenia się z upadku — koniec XVIII wieku, nie liczyli się z tem, jaką spuścizną dziejową przytłoczeni byli reformatorowie Polski, w jakich strasznych warunkach działali; wystarczała nieubłaganym krytykom ojczystej przeszłości formuła, iż działali mężowie Sejmu Czteroletniego półśrodkowo, i nie znajdowano dla nich usprawiedliwienia, co więcej, podawano w wątpliwość szczerość ich dążeń reformatorskich. Zobaczmy, jak ocenia w studyum o Konstytucyi 3 maja dzieło jej twórców koryfeusz Towarzystwa Demokratycznego Wiktor Heltman:[1] »Niedawno jeszcze uwielbieniem najwyższem otaczaliśmy wszyscy ten akt ostatniego wysilenia pasującej się z najezdnikami ojczyzny; ze czcią religijną czytaliśmy artykuły tego wielkiego testamentu ...Dziś wśród tylu innych roztrąconych złudzeń i to złudzenie spadło! Zamiast uwielbień, złorzeczenia posyłać musimy ojcom naszym za ich niedołężność. Nieszczęśliwi! sami własną ręką zamordowali ojczyznę! Czy nie chcieli, czy nie umieli sił narodowych wywołać, leży na ich sumieniu okropny ciężar pięćdziesięcioletnich kajdan dwudziesto-milionowego narodu! Miejmy odwagę podnieść zasłonę, pod którą zbyt długo straszna ukrywała się prawda«. Dalej poddaje krytyce półśrodkowość ustawy 3 maja i pod koniec mówi: »Prawo 3 maja, które miało społeczny porządek napra-

---

[1] Demokracya Polska na Emigracyi. Lipsk 1866. — Konstytucya 3 maja, str. 213 i następne.

wić, potrzebne siły do zrzucenia obcej przemocy wywołać, węgielną odrodzenia ojczyzny być podstawą, stało się grobowym jej kamieniem«.

Doktrynerzy Towarzystwa Demokratycznego nie poddali rewizyi swoich dawnych klubowych warszawskich formuł o »zdradzie« sprawy narodowej przez szlachtę; przeciwnie, zetknięcie z Francyą utwierdziło ich tem mocniej w ich filipikach. Obserwując we Francyi rządy burżuazyi, która obaliła Burbonów przy pomocy ludu, a potem nie dopuściła go do czynnego obywatelstwa politycznego, stykając się z francuskimi demokratami, republikanami, rewolucyonistami, którzy gwałtownie oskarżali burżuazyę o świadomą zdradę interesów ludu, o dążenia klasowe samolubne, przenieśli nasi demokraci ryczałtem te oskarżenia na grunt sprawy polskiej. Według nich, szlachta w epoce rozbiorów i reform XVIII wieku, a także w insurrekcyi listopadowej zdradziła świadomie sprawę narodową, gdyż nad wszystko przenosiła interes swego stanu, wolała zgubić ojczyznę, niż przeprowadzić radykalną reformę; gdy zaś reformatorowie XVIII wieku, z wyjątkiem Staszyca, pochodzili ze szlachty, i ich posądzono o hołdowanie interesowi stanowemu szlachty.

»Nieprzyjaciele ludzkości nie zawsze wstępnym bojem na lud uderzyć, stanowiska swojego bronić mogą«; takie znamienne refleksye wypowiada Heltman na wstępie swej rozprawki o Konstytucyi 3 Maja: »siła w ich ręku spoczywająca nie zawsze do pokonania mas wystarcza; nieraz obłuda i podstęp jedyną ich jest bronią. Dlatego, ile razy zbyt otwarty opór mógłby rozwinąć całą mas potęgę i do ostateczności ją popchnąć, nieprzyjaciele, maskę gorliwych przyjaciół wziąwszy, sami w szeregach ludu stawali, aby go zdradzić, rozwinięcie panującej myśli wstrzymać lub fałszywy jej kierunek nadać. Chytrze zalecając jedność, zgodę, umiarkowanie, podstawiali inne widoki, inne cele, inne środki. Lud oszukany, na bezdroża wprowadzony, odpychał rady najsumienniejszych sprawy

swojej obrońców, często nawet we krwi ich się kąpał, a drobne otrzymawszy koncesye, szedł na nowo dźwigać kajdany, których ogniwa, na chwilę rozwolnione, umiano z czasem i to silniej jeszcze spajać«.

Uwagi te stosuje do dziejów ostatnich Polski: »Nie było u nas powstania, którego przewrotność złej wiary do upadku nie przywiodła; my jednak, na przestrogi przeszłości nie pomni, woleliśmy zawsze na karb błędów liczyć klęski, skutkiem rozmyślnej zdrady poniesione...«

Jeszcze jaskrawiej »ludowy« pogląd na historyę Polski wypowiedziała ultra-demokratyczna organizacya »Lud Polski«, utworzona wśród wychodźców naszych w Anglii. W odezwie swej w roku 1835 wprost oświadcza: »Lud polski zawsze walczył, szlachta polska bez wypoczynku zdradzała; lud polski bił się, szlachta składała broń; lud polski gotów był raczej cały kraj w perzynę obrócić, niż przed nieprzyjacielem uklęknąć, szlachta polska położyła swój podpis na trzykrotnym Polski rozbiorze; lud polski chciał ponieść wolność swym zaniemeńskim braciom, szlachta polska rozprószyła go po świecie«. Takie absurdy ogłaszano bohaterom tylu bitew, synom legionistów, wnukom konfederatów barskich. Wszak nawet w owym hufcu świętym, który szedł na walkę o wolność do Frankfurtu, a potem do Sabaudyi, na 500 ludzi było zaledwie 25 szeregowców, reszta — oficerowie, w znacznej większości pochodzenia szlacheckiego. Sąd nad przeszłością przechodził w manię prześladowczą. W pogoni za superlatywem frazesu skrajnego nawet Towarzystwo Demokratyczne nie mogło dotrzymać kroku nieubłaganemu »Ludowi Polskiemu«, który głosił wspólność wszelkiej własności i terroryzm i wkrótce samo znalazło się na ławie oskarżonych.

»Towarzystwo Demokratyczne utrwala i sankcyonuje cierpienia ludu, obiecuje mu rzucić kawałek ziemi, jak kość psu zgłodniałemu, i matwaninami Lelewelizmu przeładowane, wściekłościami Lafayetyzmu, Waszyngtonizmu opite, gotowe jest już na wzór widomej głowy pierwszego

systemu zbrodniczem milczeniem sprawę powszechną zgubić, już torem drugich przywódców na masy, po prawa swe sięgające, na lud, nie chcący dłużej umierać z głodu, działa wymierzyć. Towarzystwo odtąd wypowiedziało otwartą wojnę ludowi...«

»Ogłaszając przeto wobec Emigracyi, Polski i ludzkości wszelkie czynności T. D., odtąd dokonane, za nieważne i złowrogie ludowi polskiemu, bo będące pod wpływem wstecznej doktryny, zawiązujemy się razem... w Lud Polski«.

Tak mówił Manifest Ludu Polskiego, Gromada Grudziądz, 6 listopada 1835 roku w Portsmouth. W innej zaś odezwie »Lud Polski, Gromada Grudziądz i Humań o projekcie do Manifestu Tow. Dem.« 24 maja 1836 roku czytamy: »Do morderczej walki wyzwało nas Tow. Demokratyczne. Manifest jego, czyli raczej projekt do manifestu, łatanina walczących z sobą myśli, skradzionych sentencyi; ułamki z doktryn egoistycznych przez partaczów skupione, niedołężną ręką w jedno klejone nic..., surowej wymagają odpowiedzi. Do nas zdruzgotać zlepianą eklektyzmem budowę; do nas dmuchnięciem rozrzucić z kart klecony pałac; do nas ochłostać architektów jego biczem ducha i prawdy, zmusić do ukrycia się w nowy, oduczyć zuchwalczej żakostwa zarozumiałości...«

»O rodzie ateuszów, opętane od dyabłów wieprze, od was że to oczekiwać ma Polska wybawienia swojego?«

Tak czcili demokratów z Towarzystwa »synowie kmieci polskich«, a raczej przemawiający w ich imieniu frondyści Towarzystwa Demokratycznego.

Zbyt wiele zmysłu prawdy posiadał Mochnacki, zbyt wiele spokoju zachował na wychodźctwie, zbyt daleko stał od zagłuszających rozsądek swarów emigracyjnych, aby mógł sam dojść do chorobliwej hyper-krytyki swego narodu. Surowo osądził słabość, chwiejność, nierozum w ostatniej walce Polaków o wolność, lecz od obłąkanych

złorzeczeń i przekleństw przeciwko całej warstwie narodu, która reprezentowała jego przeszłość, odwracał się z niesmakiem. W przeszłości tej widział wadę potworną, która zresztą była cechą wszystkich społeczeństw starożytnych i średniowiecznych, grzech śmiertelny historyi powszechnej — ucisk mas ludowych. Otwarcie wyznawał, iż »zginęliśmy, bo mniejszość była u nas narodem«, lecz on, surowy krytyk tej mniejszości, umiał odkryć w niej i jasne strony. Ta mniejszość w powstaniu listopadowem nie zgrzeszyła, jak to teraz twierdzili demokraci, czujnością na swe interesy materyalne, nie troską o stanowisko klasowe uśpiła w sobie instynkt ocalenia ojczyzny, lecz raczej jak »zaczarowany olbrzym«, na pół tylko przebudzona, w jakiemś pół-śnie, pół-ocknieniu nie umiała zdobyć się więcej, jak tylko na pół-walki, wtedy gdy o całe życie narodu chodziło.

Dziś byłoby śmieszne bronić Mochnackiego, Mickiewicza lub Lelewela od zarzutów Towarzystwa Demokratycznego — o sprzyjanie arystokracyi. Demokratyzm polski epoki porozbiorowej, epoki bojów bohaterskich o niepodległość, toczonych wśród uśpienia ludu jedynie niemal przez ową mniejszość odradzającą się, ma swoje szczególne właściwości. Kojarzy się w nim poczucie krzywdy odwiecznej mas ludowych, instynkt patryotyczny, wołający o nadanie praw obywatelskich rodakom w siermięgach, jako o jedyny środek ocalenia ojczyzny, niecierpliwe pragnienie synów narodu, który od wieków przodował Europie w umiłowaniu swobód obywatelskich, wcielenia w czyn na własnej ziemi ostatnich wielkich zdobyczy Zachodu i duch rycerski, duch dawnych obrońców Europy przed zalewem barbarzyństwa tureckiego i wschodniego, duch bohaterów Wiednia.

Ten rycerski demokratyzm, który przynieśli ze sobą z nad Wisły rycerze w strzępach o szlacheckich nazwiskach, a który błyszczał całem pięknem bohaterstwa pod łachmanami ich mundurów, w zestawieniu z kwietyzmem

opasłego i spanoszonego mieszczaństwa francuskiego, dał Mochnackiemu podstawę do wiary, wypowiedzianej w liście do Dwernickiego, iż i w przyszłości wyjdą dzielni obrońcy ojczyzny z owej wyklętej przez demokratów conajmniej przedwcześnie, bo przed obudzeniem ludu, warstwy. Tym samym demokratyzmem rycerskim tchną uczucia i wrażenia Mochnackiego na emigracyi. Odraza, jaką czuł do Francyi orleańskiej, nie tyle przypomina karty pisarza »czwartego stanu« Ludwika Blanc'a o monarchii lipcowej, ile raczej »Wspomnienia« szlachetnego Tocqueville'a, który tak żywo odczuwał upadek wielkości, wzniosłości u współczesnego mu pokolenia epigonów, tak bolał nad skupczeniem, skramarzeniem Francyi orleańskiej, nad zdrobnieniem wszystkich dziedzin życia, nad schowaniem sztandarów poza szyldy kupieckie. Mochnacki, jako jeden z rycerzy, którzy rzucili kraj, rodzinę, mienie, skazali się na tułactwo, nędzę, a pomimo wszystkiego w swej niedoli nie wzdychali do spokoju i dobrobytu, lecz wciąż jeszcze do walki o wolność i ojczyznę, typowo odzwierciadlił wrażenia tego hufca świętego, który zetknął się z rasą, drżącą o swe dostatki i wygody. Typowo odzwierciadlił ducha tego pokolenia Polaków, które marzyło o Zachodzie z legendą o wielkich Montagnard'ach i Napoleonie w duszy, a zetknęło się z szarzyzną społeczeństwa episjerów.

Stanowisko »półśrodkowe« w sprawie społecznej poczytywano w obozie Towarzystwa Demokratycznego za jeden objaw rzekomego odstępstwa Mochnackiego od zasad demokratycznych i rewolucyjnych; za drugą oznakę, jeszcze bardziej karygodną, uważano zbliżenie się do partyi »arystokratycznej« na wychodźctwie, co zakwalifikowano — jako zaprzedanie się Czartoryskiemu i jego fakcyi. Okoliczności tego zbliżenia wymagają bliższego omó-

wienia. Pod koniec życia Maurycy, wogóle od partyi emigracyjnych od lat dwóch oddalony, najbliżej stykać się zaczął z obozem Towarzystwa Literackiego, pod koniec zaś życia wziął nawet udział w zapoczątkowaniu pewnej akcyi, pod auspicyami Ks. Adama nadal po śmierci Mochnackiego rozwijanej i prowadzonej. Owe ostatnie miesiące życia Mochnackiego jest to okres, gdy w polityce narodowej i emigracyjnej Księcia Adama nastąpił wyraźny zwrot; zwrot ten jest w ścisłym związku z tą akcyą, w jakiej Mochnacki wziął udział, i można powiedzieć, że spotkanie polityczne Mochnackiego z obozem Czartoryskiego bynajmniej nie było wynikiem przełomu w dążeniach politycznych Mochnackiego, lecz raczej przełomu w działaniach, taktyce, a nawet programie obozu Czartoryskiego. Mianowicie, polityka dyplomatyczna Księcia Adama, oparta na myśli wciągnięcia dwóch rządów zachodnich Francyi i Anglii w akcyę, mającą na celu zmuszenie Rosyi do poszanowania traktatów wiedeńskich względem Polski, okazała się bezowocna. W miarę rozczarowania do wyników tej polityki, powstawały wśród dotychczasowych jej adeptów zarysy nowego planu: zgrupowanie emigracyi dokoła Księcia Adama, nawiązanie stosunków z krajem i użycie wszystkich sił i środków w celu wywołania samoistnego ruchu na ziemiach Rzplitej, mającego na celu odbudowanie Polski historycznej; niebawem zaczęto kłaść nacisk na wykształcenie zasady silnego rządu monarchicznego w przyszłej Polsce i w tej myśli już na emigracyi mówiono o Księciu Adamie, jako kandydacie na tron polski; ta ostatnia, atoli, myśl rozwijana była na dobre dopiero po śmierci Mochnackiego. Program ten insurrekcyi, która miała oprzeć się na wszystkich stanach, wszystkich warstwach narodu, przeciwstawiono programowi Towarzystwa Demokratycznego, które jako istotny i niezbędny warunek wszelkiej akcyi insurrekcyjnej stawiało tworzenie Polski »ludowej« przez lud i myśl

walki z najeźdźcami łączyło z myślą walki z ciemiężcami wewnętrznymi ludu — to jest szlachtą polską.

W korespondencyi Maurycego z drugiej połowy 1834 roku znajdujemy ślady jego zbliżenia — z początku towarzyskiego i literackiego — do obozu, zwanego arystokratycznym. 2 września 1834 roku pisze do rodziców z Paryża: »Pisząc *Historyę powstania*, musiałem wejść w stosunki z ludźmi, którzy rewolucyą rządzili i zgubili, z dawnymi nieprzyjaciółmi memi. Ci ludzie, licząc w to całą partyę, która się w Paryżu znajduje, zachowali dziś więcej zimnej krwi, taktu, zdrowego rozsądku i sumienia, jak rewolucyoniści. Oni jedni z całej emigracyi nie kłócą się z sobą i nie obmawiają nawzajem. Ja za to zostaję z nimi w dobrej harmonii, bo potrzebuję od nich materyałów; co jednak żadnego wpływu na dzieło moje nie ma, mieć nie będzie, ani może, bo ja piszę bezinteresownie. Ze wszystkich moich przyjaciół został mi tylko jeden Nastuś Dunin i Michał Podczaszyński. Pierwszemu szkodzi i dokucza zła reputacya jenerała Dwernickiego, szulera, marnotrawcy; drugi jest tetryk ze słabości i wielkiego niedostatku«. Znamienna jest w tym liście gorzkawa wzmianka o Podczaszyńskim, który wówczas był mocno pokłócony z Towarzystwem Literackiem, i zupełnie gorzka o Dwernickim, który w owym czasie wystąpił publicznie przeciwko księciu Adamowi.

W ostatnim swym liście z Auxerres 6 listopada 1834 roku nadmienia Maurycy: »W emigracyi wojna domowa trwa ciągle... Jedni rzucają klątwę na X. Czartoryskiego, drudzy się temu opierają i słusznie, bo kiedy ten człowiek mógł szkodzić sprawie naszej, pozwolono mu wszystko czynić w rewolucyi; dzisiaj kiedy już jej szkodzić nie może, a dopomódz chce i ma po temu wpływy za granicą, nie widzę, dlaczegoby go miano późną i bezskuteczną zemstą od czci i wiary odsądzać. I ja dzisiaj należę do jego obrońców, jakem należał, kiedy był czas po

temu w rewolucyi, do przeciwników jego najgwałtowniejszych«.

Co do roli Ks. Adama podczas rewolucyi, nie zmienia Mochnacki, zatem, swego zdania. Wierzy natomiast, że może on przynieść pożytek sprawie na emigracyi. Jest nawet napomknienie w tym liście o zapoczątkowanej akcyi literackiej. »Interesa nasze publiczne wymagają, ażeby tu w Auxerres wychodził dziennik, w którym ja wielki udział, główną redakcyę wziąłem na siebie, co moje dochody znacznie powiększa...« W tych planach, atoli, Maurycy brać już udziału nie mógł; 7 listopada wyjechał do Paryża, powrócił stamtąd 23 listopada ze strasznym kaszlem i gorączką i już odtąd przez cztery tygodnie był tylko cieniem człowieka.

Zgodnie z nałogiem, zakorzenionym wśród emigracyi, zjawiały się po śmierci Mochnackiego wzmianki o »zaprzedaniu« się jego arystokracyi. Echo tych inwektyw zabrzmiało jeszcze w lat kilkadziesiąt po śmierci Mochnackiego w broszurze Dra H. Gierszyńskiego: »Maurycy Mochnacki. Paryż 1901 roku«. Autor broszury powołuje się na ustne świadectwa Mierosławskiego i J. N. Janowskiego, jednego z założycieli Towarzystwa Demokratycznego. Według nich, miał jakoby Władysław Zamoyski zapłacić długi Maurycego Mochnackiego na wychodźctwie i umieścić go w domu zdrowia, Mochnacki zaś przez wdzięczność złagodził rzekomo w swej historyi, na końcu Tomu II-go, sąd o Czartoryskim. »Sumienność jednak historyka nie pozwoliła mu pójść za daleko«. Są to echa niczem nie uzasadnionych plotek, w których powtarzaniu, a często i komponowaniu Mierosławski był takim mistrzem. W korespondencyi Mochnackiego znajduje się ustęp, który mógłby nasuwać podejrzliwym pewne posądzenia. Oto w ostatnim liście z 6 listopada 1834 roku do rodziców pisze: »Środki egzystencyi nie interesują mnie bynajmniej, pomimo całego rygoru, z jakim nowo teraz przybywającym odmawiają żołdu. Ja go wyrobię dla Papy,

ja, który zostaję teraz w stosunkach zgody z osobami, mogącemi wszystko w rządzie tutejszym«. Z ustępu tego, atoli, nie należy wyciągać wniosku, że Maurycy pod koniec życia był w dobrych warunkach materyalnych. I dawniej, gdy ciężką biedę cierpiał, wciąż pisał do Ojca w tym samym pocieszającym tonie, zapewniał, że i siebie i Ojca znakomicie utrzyma z gry na fortepianie, udzielając lekcyi i dając koncerty, a także z wydawnictw swoich. Wiadomo, chociażby ze świadectwa generała Henryka Dembińskiego w jego mowie żałobnej, że Mochnacki żył i umarł w stanie ubóstwa, kryjąc się z tem przed znajomymi, i zręcznie odwracał mowę od przedmiotu, gdy mu ktoś z ziomków chciał pomoc zaofiarować. Żadnych zresztą, literalnie danych o owych materyalnych pobudkach zbliżenia Mochnackiego do tak zwanej arystokracyi organy emigracyjne, jak *Nowa Polska*, *Tygodnik Emigracyi*, tak żarliwie prześladujące Mochnackiego, nie przytaczają. Należą te plotki do kategoryi tych samych wersyi, co przekupienie Czartoryskiego, Skrzyneckiego przez Rosyę, utajenie wielkich sum przez Niemojowskiego, zamożność Lelewela, maskowana pozornem ubóstwem, i tym podobne.

Wśród lelewelistów i demokratów zwrot Mochnackiego ku obozowi Towarzystwa Literackiego obudził czujność. Widać to, chociażby z korespondencyi Walentego Zwierkowskiego z Lelewelem. 26 października 1834 roku pisze Zwierkowski z Tours do Lelewela, bawiącego w Brukselli: »Maurycy Mochnacki dokazuje, za Xięciem Panem zbiera głosy, Ciebie biczuje i Twoich przyjaciół w swem dziele...«; 14 listopada 1834 r. tenże pisze: »Co do Komitetu Emigracyjnego, ten widzę, że daleki... Arystokraci z Maurycym Mochnackim robić pragną swój Komitet, Xięcia Pana wynieść i myślą Sejm zwołać« [1].

[1] Biblioteka w Rapperswylu. Roczniki Polskie Leonarda Chodźki, Rok 1834, Nra 193 i 196 dokumentów.

Osoba »Księcia Pana« ściągała na siebie właśnie w owym czasie, gdy Mochnacki miał odwagę wziąć go w obronę, najostrzejsze pociski z obozu demokratów.

Ks. Adam Czartoryski od końca roku 1831 bawił w Anglii i tam czynił zabiegi, aby w sferach rządowych i poselskich wywołać ujęcie się za sprawą polską; głównie kołatał do Grey'a, słynącego z Kościuszkowskich jeszcze czasów za przyjaciela Polaków, i do Palmerstone'a, lecz bezskutecznie; pewien, platoniczny wprawdzie, sukces osiągnęły jego starania, aby sprawa polska wytoczona została przed forum parlamentu angielskiego. W istocie, Anglię zajmowały wówczas znacznie więcej inne sprawy; naprzód, bill reformy wyborczej, która w olbrzymim stopniu przykuwała uwagę społeczeństwa, gdyż oznaczała niekrwawą rewolucyę, głęboko wstrząsającą układem życia politycznego Anglii. Bill, wniesiony jeszcze na wiosnę 1831 roku, upadł w obydwóch Izbach; nastąpiło rozwiązanie Izby Gmin, odpowiednie kompletowanie Izby Lordów, kolosalna agitacya wyborcza i wreszcie, powtórne wniesienie projektu do Izby Gmin w grudniu 1831 roku. Na koniec 1831 i początek 1832 roku właśnie wypadła największa gorączka walki o reformę, zaś lord Grey, na którego tyle liczył Czartoryski wraz z wiernie u boku jego stojącym J. U. Niemcewiczem, jako główny promotor reformy wyborczej, był całkowicie nią pochłonięty. Dopiero w marcu 1832 roku bill przeszedł w Izbie niższej, zaś w czerwcu — i w Izbie Lordów. Powtóre, ze spraw zagranicznych bliższa i ważniejsza dla Anglii była sprawa belgijsko-holenderska. Konferencya londyńska, rozpoczęta jeszcze w grudniu 1830 r., przeciągała się; na tle tej sprawy zarysował się bynajmniej nie antagonizm Anglii z Rosyą, którego legacya polska tak pragnęła, lecz raczej Anglii z Francyą, która dążyła do zagarnięcia Belgii jeśli nie pod swe panowanie, to przynajmniej pod swój wpływ wyłączny. Dwie protektorki zachodnie Polski, na które nasi rozbitkowie rewolucyi tak liczyli, wchodziły w kon-

flikt z powodu sprawy, obydwa państwa bliżej w danej chwili obchodzące, niż sprawa polska; Rosya gorliwie podsycała i przeciągała konflikt belgijsko-holenderski i związany z nim ferment na Zachodzie Europy, a tymczasem uspakajała po swojemu swe buntownicze prowincye zachodnie. Rząd angielski nie czynił wprawdzie przeszkód parokrotnemu rozwinięciu w parlamencie dyskusyi w sprawie polskiej, nie był od tego, aby wytknąć Rosyi jej słabą stronę i przypomnieć o pogwałceniu przez nią traktatów wiedeńskich, stawiał jednak tamę temu, w porozumieniu z posłami, aby dyskusya polska miała doprowadzić do jakiej wyzywającej rezolucyi, sam zachowywał rezerwę i oczywiście daleko bardziej dbał o porozumienie z Rosyą w kwestyi belgijskiej i o zakończenie konferencyi londyńskiej, niż o Królestwo Polskie. Inaczej przedstawiała się ta sprawa naszym patryotom, pracującym w Londynie. Wymowny poseł Fergusson, wsparty materyałami, informacyami, gorącą zachętą i prośbą Czartoryskiego i Niemcewicza, trzy razy wnosił mocyę w sprawie polskiej: 18 kwietnia 1832 r., 28 czerwca 1832 roku i 9 lipca 1833 roku. Mocye te, poparte wymownemi i gorącemi głosami kilku posłów, potępiały zgwałcenie przez Rosyę traktatu wiedeńskiego, przedstawiały powstanie, jako wynik podeptania konstytucyi, piorunowały na represye obecne. W czasie, atoli, gdy nasi patryoci, wzruszeni, uniesieni, przejęci nadzieją po gorących dowodach sympatyi, jakich nie szczędzono Polakom w mowach, oczekiwali na jakiś pomyślny dla sprawy polskiej z nich skutek, wtedy do Petersburga jechał lord Brougham, jak mniemano w kołach polskich, dla przemówienia za Polską, w istocie zaś dla układów w sprawie belgijskiej, polskiej zaś sprawy, o ile wiadomo, nie poruszał wcale.

Już ta działalność Czartoryskiego ściągnęła na niego zarzuty ze strony Komitetów i Demokracyi. Zarzucano księciu, że samozwańczo, bez mandatu prowadzi akcyę w sprawie polskiej, że domaga się tylko Polski kongre-

sowej, złożonej z ośmiu województw, nie zaś Polski 1772 roku. Gdy Czartoryski działał w Londynie, wysłana została przez Komitet Narodowy, ułożona przez Lelewela, odezwa z 29 maja 1832 roku do Izby Gmin Parlamentu angielskiego, a w niej wyrażona myśl, że traktaty wiedeńskie Polacy również uważają za rozbiór Polski, domagają się zaś restytucyi Polski historycznej. Wprawdzie podczas walki Zakładów prowincyonalnych z Komitetem paryskim Lelewela w jesieni roku 1832, w czasie tworzenia Komitetu Dwernickiego wystosowany został przez siedm Zakładów do księcia Adama adres, w którym usprawiedliwiano niepowołanie jego do nowego Komitetu tem, że emigracya chce mu pozostawić wolną rękę w akcyi dyplomatycznej: »Głębokie znawstwo dyplomatycznych operacyi, rozległe stosunki gabinetowe tylko w Twoich, Książę, dzisiaj rękach się znajdują, Ciebie więc tułactwo nasze prawie jednomyślnie zaprasza, abyś na tej drodze wobec władców Europy upominał się o życie wolnej, całej, niepodległej ojczyzny naszej«. Adres ten, atoli, przez jednych podpisany, jako wyraz uznania dla księcia Adama, przez innych, jako środek delikatnego i honorowego odsunięcia go od komitetu, nie stanowił bynajmniej trwałego dowodu jego popularności. Niezadługo niepopularność Księcia Addma i jego obozu wśród większości emigracyi znalazła wyraz dobitny.

Niechęć, przywieziona jeszcze z powstania, do arystokracyi, do obozu dyplomatycznego, do głowy tego obozu — dawnego prezesa rządu była bardzo rozpowszechniona. Do tego zaś, akcya Księcia Adama na emigracyi często bywała nietrafna, oparta na zbyt wielkich nadziejach co do dworów i rządów zachodnich i wywoływała łatwą krytykę. Rząd francuski od początku pragnął nakłonić Polaków do zaciągnięcia się do służby wojskowej w Algierze, napotykał, atoli, na jednomyślny niemal opór; wszelka myśl użycia Polaków zbiorowo do walki orężnej w obcym kraju przyjmowana była przez wy-

chodźctwo niechętnie i podejrzliwie, widziano w tem zamiar podstępny pozbycia się Polaków z Francyi, wystawienia ich na zatracenie w bezużytecznych dla ojczyzny walkach; o ile zaś myśl podobną popierał Polak, tem cięższe zarzuty go spotykały, rozdrażnieni wychodźcy pomawiali go natychmiast o zdradę rodaków, o konszachty z Rosyą, o porozumienie z posłem rosyjskim Pozzo di Borgo i o tem podobne rzeczy. A taką właśnie myśl niefortunną poparł książę Adam. W Portugalii toczyła się się walka pomiędzy don Miguelem, reprezentantem rządów absolutnych, a don Pedrem, opiekunem nieletniej donny Maryi, mającym po swej stronie obóz konstytucyjno-liberalny. Podobna walka pomiędzy absolutyzmem a stronnictwem liberalnem toczyła się wówczas i w Hiszpanii; Anglia i Francya popierały w obydwóch krajach stronnictwa liberalne, monarchie świętego Przymierza pretendentów absolutnych. Don Pedro portugalski powziął myśl pozyskania walecznych wychodźców polskich do swych szeregów. Wysłał on delegata do księcia Czartoryskiego i zawarł z nim nawet rodzaj ugody z 28 września 1832 roku, w której zawarowane były warunki dla legii polskiej w Portugalii. Komitet polski wszelką akcyę portugalską odrazu potępił. Sprawa legii portugalskiej na razie poszła w odwłokę, dopiero na wiosnę 1833 roku generał Bem udał się do Oporto, tam zawarł konwencyę, poczem powrócił do Francyi i wydał odezwę, wzywającą do udziału w legii. Komitet Dwernickiego opublikował 1 lipca 1833 roku ostrą odprawę przeciwko projektowi portugalskiemu, Bem w odpowiedzi, ogłoszonej 8 lipca 1833 roku, uzasadniał korzyść wyprawy, książę Adam — poparł go w liście, opublikowanym w *Pamiętniku Emigracyi* — z datą 21 lipca 1833 roku. Przyznać trzeba, że i Bem i ks. Adam słabo bronili swej sprawy i tym razem nie komitetowcy i nie demokraci, lecz rozważni zazwyczaj przedstawiciele obozu »arystokratycznego« stanęli na niefortunnem stanowisku solidarności sprawy polskiej

z interesem konstytucyi i liberalizmu w Portugalii. »Jeżeli dotąd Portugalia żadnych związków z Polską nie miała« głosiła odpowiedź generała Bema: »nie idzie stąd, aby odrzucać, co ona teraz ofiaruje. Ile zaś interes Portugalii może mieć wpływu na polską sprawę, łatwo każdy pojmie, kto tylko zastanowić się zechce, iż wywrócony gdziekolwiek despotyzm, który Rosya wszędzie popiera, podkopuje z gruntu zasady, które nas o zgubę przywiodły, a rząd konstytucyjny w Portugalii zaprowadzony, rozszerzając sprawę wolności, wzmocni sprawę ludów, a więc tym prędzej sprawę Polski wywoła. Zresztą zapominają ci panowie, że starsi bracia nasi, wojując po wszystkich prawie kuli ziemskiej zakątkach, nie pytali się, czy kraj nasz miał jaką styczność z Hiszpanią, Egiptem, San-Domingo; wszędzie szukali ojczyzny, czy to na wyspach Oceanu, czy nad brzegami Tagu, czy w stepach Arabii i pokazał skutek, że czynili dobrze, bo choć to ich kosztowało dużo, skrępowali Francyę obowiązkiem sumienia i wdzięczności, obowiązkiem, który dziś dość często powtarzamy, na którym całe nasze budujemy nadzieje i na którego zasadzie obraliśmy Francyę za ziemię naszego tułactwa. Portugalia nie miała z nami takich stosunków; właśnie też idzie o ich zawiązanie, o dołączenie wdzięczności portugalskiej do wdzięczności francuskiej, a zawiązywać je należy, skoro się sposobna pora przytrafia i skoro sumienie i rozsądek uczy, że to się bez uszczerbku stać może«. Powoływanie się na walki w San-Domingo, perspektywa »dołączenia wdzięczności portugalskiej do wdzięczności francuskiej« brzmiały, jak ironia, i dla wytrzeźwionej już nieco wówczas emigracyi były zbyt naiwne. Argument w liście Czartoryskiego do Bema z 21 lipca 1833 roku, iż »Portugalia jest teraz jedynym na ziemi punktem, w którym zdarza się nam sposobność walczyć, acz pośrednio, lecz dotkliwie z naszymi ciemiężcami i z systematem przymierza świętem zwanego«, nie był w stanie zagrzać naszych wychodźców, po niedawnym

rozczarze wyprawy Zaliwskiego i frankfurckiej, do wyprawy portugalskiej. Myślą Czartoryskiego i Bema było wprawdzie, poza oddalonym celem politycznym, wyrwanie emigracyi z odmętu swarów i wprowadzenie jej na pole czynu, sposobność, jednak, wybrana była niefortunnie. Don Pedro nie dotrzymywał warunków ugody i, choć pewna ilość ochotników się zgłosiła, nie dostarczał przyobiecanych na wyekwipowanie oddziału funduszów, gdy zaś sprawa jego pomyślny przybrała zwrot, zupełnie zapomniał o konwencyi. Gdy Bem udał się do Lizbony i tam domagał się przynajmniej uregulowania rachunków, nietylko skutku żadnego nie osiągnął, lecz nawet, wskutek gorącego zachowania się zawiedzionego generała, wsadzono go do więzienia i trzymano w niem przez dni kilkanaście. Łatwo wyobrazić sobie, ile materyału dostarczył nieprzyjaciołom Czartoryskiego jego patronat nad wyprawą portugalską.

Oprócz tego, i inne powody podsycały niechęć ku Czartoryskiemu. Na początku roku 1834 ogłosił Michał Podczaszyński w *Tygodniku Emigracyi*, iż na posiedzeniu Towarzystwa Literackiego kasztelan Ludwik Plater, prawa ręka Księcia Adama, złożył wniosek oddziałania zapomocą pism francuskich na rząd, aby Polaków przeznaczył do służby wojskowej algierskiej, pod groźbą cofnięcia zasiłków opornym. *Kronika Emigracyi*, organ Towarzystwa, zaprzeczyła wprawdzie ścisłości tej rewelacyi, z dokumentów atoli, przez samą *Kronikę* w części I Nrze 12 ogłoszonych, wynikało, że istotnie podobny wniosek Platera był zgłoszony i przez zebranie odrzucony. Bądź co bądź, rzuciło to wśród emigracyi cień na Platera, poza którego plecami widziano księcia Adama.

Gdy w lipcu 1834 roku przybył do Paryża książę Lubecki, były minister, rozeszła się pogłoska, że celem jego przyjazdu jest przedsiębranie kroków, zniewalających emigracyę do opuszczenia Francyi i przyjęcia amnestyi Mikołaja, i że ks. Czartoryski plan ten popiera. Pogłoska

ta dolała oliwy do ognia. Pisma, Czartoryskiego zwalczające, szczególnie *Nowa Polska*, rozpoczęły przeciwko niemu gwałtowną agitacyę. W półarkuszu $^{47}/_{48}$ *Nowej Polski* zamieszczono piorunujący artykuł »Ułaskawienie«, gdzie mowa o tem, iż Czartoryski »jest nareszcie u celu swoich trzyletnich dyplomatycznych działań«, że »nowe i zapewne ostatnie nikczemności rozpocznie«, W tym samym numerze znajdujemy rubrykę: *Wiadomości potrzebne Kronice*, a w niej notatkę: »Na stronnicy 146 pism komisyi Poitiers czytamy oświadczenie zakładu Souillac: że A. Czartoryski jest wyrodkiem; na str. 151 postanowienie zakładu Tuluzy, że A. Czartoryski obudza zgrozę przez oszustowskie trwonienie pieniędzy emigracyjnych, że przez pośrednictwo Towarzystwa Naukowej Pomocy rozsyła wsparcie swoim zwolennikom, po większej części próżniakom«. Oto próbka sądów emigracyjnych o przeciwnikach partyjnych. W tym samym numerze gazeta zawiadamia o »doniesieniu, nieulegającem wątpliwości«, iż z kół emigracyjnych wyjdzie potępienie Ks. Czartoryskiego; »jeżeli rzucone będzie uroczyste wyklęcie na człowieka, zdradzającego Polskę, ujrzemy spełnione nasze główne życzenie: naczelny zamysł naszej polemiki będzie osiągniony«. — O parę numerów później (na stronie 201-ej) *Nowa Polska* zawiadamia, iż »Zakład Poitiers wziął śmiałe i szlachetne początkowanie«. W następnym 52-im półarkuszu pisma poznajemy wreszcie ów akt. Oto Zakład Poitiers wydał odezwę, w której oświadcza, iż Polacy, przybyli do Francyi, nie przyjmą amnestyi: »zaprzysięgając wieczną nienawiść i pomstę uciemiężycielowi swojej ojczyzny, tylko z bronią w ręku powrócą do niej, dla skruszenia kajdan swych braci«. Do odezwy dołączony jest akt z datą 29 lipca 1834 roku tego brzmienia: »Wychodźcy polscy, ujrzawszy z zadziwieniem, iż Książę Adam Czartoryski poważa się działać w interesach Emigracyi na szkodę jej całości i przeznaczenia, i zważywszy, że niewiadomość o uczuciach, jakie obudza w rodakach postępowanie tego

człowieka w rewolucyi i Emigracyi, może wprowadzić w błąd najszczerszych przyjaciół sprawy ludu polskiego, mają za obowiązek publicznie ogłosić, iż tenże Adam Czartoryski nie tylko nie posiada ich zaufania, ale uważany jest za nieprzyjaciela Emigracyi Polskiej«.

»Głębokie i pocieszające jest tych oświadczeń znaczenie« westchnęła z ulgą *Nowa Polska*. Akt przeciwko Czartoryskiemu znajdował licznych zwolenników; do 18 sierpnia 1834 roku podpisało go już 1639 osób. Liczba osób, które przeciwko niemu protestowały, była o wiele mniej liczna. 24 września 1834 roku dziennik francuski *Messager* umieścił oświadczenie, z datą 20 września, podpisane przez grono Polaków, grupujących się głównie dokoła Towarzystwa Literackiego, z J. U. Niemcewiczem, trzema generałami Dembińskim, Kniaziewiczem i Sierawskim, Stanisławem Barzykowskim, Gustawem Małachowskim, Plichtą, Teodorem Morawskim, Olizarem, Platerem Ludwikiem i innymi na czele, a w tej liczbie i przez Maurycego Mochnackiego; pismo to potępia tych, którzy »podpisali owo niepojęte oświadczenie i spełnili czyn, tak dziwnie wydający się obok wyroku moskiewskiego śmierci i konfiskaty przeciw księciu«, przypisuje ten akt wpływowi »wichrzycieli złej wiary« [1].

Pod datą 27 września 1834 roku zamieścił generał Dwernicki w pismach oświadczenie swoje, które stanowiło właściwie akces do aktu Poitierskiego z 29 lipca. Na wstępie zbija pogłoskę, jakoby miał protestować przeciwko potępieniu Czartoryskiego, uważa systemat Czartoryskiego za szkodliwy dla dobra emigracyi i sprawy ogólnej i oświadcza się przeciwko wszelkim czynnościom Czartoryskiego, z jego systematu politycznego wypływającym.

---

[1] Szczegółowy wykaz osób, skazanych przez rząd rosyjski za udział w powstaniu, otrzymała emigracya w listopadzie 1834 roku. Ogłosił listę skazanych Tygodnik Emigracyi z 7 listopada. Czartoryski skazany był na ścięcie.

W parę tygodni potem zjawiło się w obiegu niewielkie pismo: list oficerów i żołnierzy zakładu Auxerres do generała Dwernickiego, z datą 17 października 1834 roku, pod datą zaś 23 października »okólne pismo« tychże do rodaków w emigracyi. Czujność emigracyjna poznała w obydwóch pismach rękę Maurycego.

Pierwsze pismo zawiera naganę dla Dwernickiego za lekkomyślne potępienie Czartoryskiego, który stanowi »ostatnią może komunikacyę, jaka nam została z własnym krajem«. Gromi autor generała, iż poszedł za akcyą Towarzystwa Demokratycznego, tej sekty, która »zapowiada Polsce rzeź i rabunek w nagrodę powstania«, wykłada swoje poglądy na to, iż decydującym czynnikiem w odzyskaniu niepodległości może być obecnie nie lud, ciemny jeszcze, lecz »ten stan, w którym wyłącznie koncentruje się jeszcze własność i oświata«.

Pismo okólne rozpoczyna od stwierdzenia bezrządu, jaki panuje wśród emigracyi. Dwie opinie dotychczas przyświecały emigracyi Większość wierzyła w to, że Polskę dźwigną z upadku ludy europejskie na drodze rewolucyi powszechnej, mniejszość sądziła, że Polska powstanie dzięki wstawiennictwu rządów liberalnych Zachodu. Pomoc ludów zawiodła równie, jak i pomoc rządów. Należy powiedzieć sobie: »niczyjej pomocy nie odrzucamy, ale w niczyją pomoc nie wierzymy«. Polska może powstać jedynie przez własną insurrekcyę; będzie to, jednak, nie wojna regularna, systematyczna, na wzór 1831 roku, lecz walka na śmierć i życie, wojna narodowa, chociażby ziemia polska miała spustoszeć do szczętu w tej rozpaczliwej obronie. Aby wyjść z trzyletniej bezczynności i przystąpić do przygotowania wielkiego dzieła, należy na wychodźtwie zawiązać się w organizacyę, utworzyć zarząd centralny. W tej materyi Zakłady winny się porozumieć; w Zakładzie Auxerres zawiązało się już stowarzyszenie z tą myślą. Władza ta powinna być wybrana w duchu insurrekcyi przyszłej i tak, aby miała możność nawiązania

stosunków z krajem. Oto treść pisma okólnego. Z zestawienia pisma z 17 października, w którem piętnowano targnięcie się na Czartoryskiego, jako na »ostatnią może komunikacyę« z krajem, z pismem okólnem, wywnioskowano łatwo, kto na głowę owej organizacyi insurrekcyjnej był upatrzony.

Pisma okserskie wywołały cały szereg odpowiedzi. Te, które zjawiły się na łamach *Nowej Polski* i *Tygodnika Emigracyi*, zawierały jedynie szereg obelg, szyderstw i insynuacyi. Najbardziej rozważną, względnie, replikę napisał były Maurycego przyjaciel, belwederczyk, Ludwik Nabielak[1]. Na początku replikuje Nabielak na pierwsze pismo, pomawia Mochnackiego o zmianę dawnych przekonań demokratycznych na zachowawcze, szlacheckie i powołuje się na cytaty z artykułów Mochnackiego »Być czy nie być« i »Czemu masy nie powstają«, wydrwiwa posądzenie Towarzystwa Demokratycznego o propagandę rzezi i rabunków. Potem, przechodzi do Pisma okólnego, zaprzecza, jakoby w emigracyi miał panować bezrząd, przeciwnie, twierdzi, iż w większości emigracyi panuje wewnętrzna zgoda, kierowana przez instynkt narodowy, która w razie potrzeby wyraża się w zgodnem działaniu, jak naprzykład Akt Poitierski przeciwko Czartoryskiemu. Rozwodzi się dalej nad zgubną rolą, jaką w XVIII i XIX wieku odegrali Czartoryscy, stronnicy Moskwy, cały zaś obecny plan insurrekcyjny pisma okólnego uważa za jeden z figlów emigracyjnych Maurycego. Nadmienia, nie bez perfidyi, że według zdania niektórych osób cała ta impreza powstańcza ma na celu skompromitowanie polityczne emigracyi w oczach rządu francuskiego i tem łatwiejsze wyrzucenie jej z granic Francyi; sam on, Nabielak, »tego zarzutu wprost odpierać nie myśli«, woli

---

[1] Ludwik Nabielak do Maurycego Mochnackiego z powodu pism okserskich. Na końcu broszurki: Paryż, dnia 29 Listopada 1834 r.

jednak przypuszczać, że cały pomysł jest fortelem, obliczonym na zręczne narzucenie emigracyi władzy Czartoryskiego, z Mochnackim, jako pomocnikiem jego. Taka była odpowiedź Nabielaka. Miarkę innych odpowiedzi może dać sąd *Nowej Polski*, która tę pełną napaści i inwektyw odpowiedź Nabielaka uznała za zbyt pobłażliwą, pisaną, widocznie, przez niedawnego przyjaciela, wciąż pozostającego pod urokiem osoby byłego druha.

Zarzuty co do rzekomego odstępstwa Mochnackiego od dawnych opinii demokratycznych roztrząsaliśmy już wyżej. Pozory słuszności mógłby mieć jedynie zarzut Nabielaka, iż demokraci emigracyi nigdy nikogo do rzezi i rabunków nie namawiali; zarzut ten, jednak, wymaga omówienia. Z jednej strony, sam Nabielak przyznaje, że i w czasie rewolucyi rzucone były hasła, które mogły dać powód do obaw osobom, nie rozumiejącym »figurycznego języka rewolucyjnego« i drwi z J. U. Niemcewicza, że gorszył się, gdy w Towarzystwie Patryotycznem domagano się sądu nad obywatelami, którzy zbogacili się przy dawnym rządzie, i wołano o nich: »niech otworzą zapleśniałe szkatuły«. Chyba, jednak, Nabielakowi wiadomo było, że lud podobne wezwania w czasie rewolucyi pojmuje zwykle nie figurycznie, lecz zupełnie dosłownie. Po drugie, zapomina Nabielak o takich występach demokratów, jak mowa Krępowieckiego 29 listopada 1832 roku, pochwalająca hajdamactwo. Takie wynurzenia demokratyczne powtarzały się i później. Weźmy, dla przykładu, *Nową Polskę*, która wprawdzie nie była organem Towarzystwa Demokratycznego, lecz w kwestyach społecznych zajmowała stanowisko doń zbliżone. Właśnie, w jesieni 1834 roku znajdziemy tam rozprawę »Włościanie«, pod której świeżem wrażeniem mógł nawet Mochnacki umieścić swe słowa o rzezi i rabunku. Znajdziemy tam apoteozę Bohdana Chmielnickiego, który ma być »uosobieniem wojny kozackiej, jej historyczną, oryginalną, genialną fizyognomią« (strona 212); przy tej sposobności autor

z uznaniem przytacza zdanie »szlachetnego Szumana«, który miał wyrzec słowa: »Póty Polska nie będzie wolna, póki lud łbami szlacheckiemi nie wybrukuje warszawskich ulic«. Zdanie to autor od siebie zaopatrza komentarzem, w którym mówi co do Polski o »świętem, nieprzedawnionem prawie usamowolnienia siebie przez wojnę wewnętrzną, przez powstanie przeciw panującemu stanowi« i taką z góry dawał indulgencyę tej przyszłej wojnie domowej polskiej: »Zbrodnie poruszeń ludu nie zawsze wyradza lud. Krew spada na ujarzmicieli, na tych, którzy upornie bronią własnej i swoich ojców zbrodni« (str. 215). Te nawet nie figuryczne słowa, pisane w końcu września 1834 roku, dawały chyba pewną zasadę Mochnackiemu do mówienia o rzezi i rabunku; jeśli nie przytoczył tych i innych dowodów w odpowiedzi na pismo Nabielaka, to pewnie dlatego tylko, że opublikowanie pisma zastało już go w agonii, pewnie nie dowiedział się nawet o niem.

Demokraci, w rodzaju autora owego artykułu »Włościanie« przewidywali na ziemiach polskich powstanie ludowe przeciwko szlachcie i sądzili w swem doktrynerstwie demokratycznem, że takie powstanie byłoby zarazem groźbą dla Rosyi. Bo, wszak, według szematu demokratów ówczesnych, Rosya stoi na samowładztwie i niewoli, powstanie zaś ludowe miałoby oblicze demokratyczne, podważałoby więc zarazem systemat rosyjski i potęgę Rosyi. To też autor artykułu »Włościanie« z czystem sumieniem patryoty i ze spokojem wyrażał nadzieję, że »może powstać nowy Chmielnicki« (strona 226).

Przenikliwość polityczna Mochnackiego nie pozwoliła mu na usypianie zmysłu politycznego szematycznym zdawkowym poglądem demokratów i liberałów ówczesnych, dzielących Europę na Zachód liberalny i demokratyczny i na Wschód reakcyjny i despotyczny, i przypuszczających, że wszelki ruch ludowy, który da się podciągnąć pod nazwę rewolucyi społecznej, na ziemiach polskich byłby groźny dla państwa rosyjskiego. Mochnacki

wiedział dobrze, że w razie potrzeby samowładna Rosya sama gotowa wzniecać powstanie w sąsiednich krajach. Jeszcze mówiąc o powstaniu w Polsce, Mochnacki wyraża myśl, że łatwo mógł stanąć klub rewolucyjny w Warszawie za pieniądze rosyjskie (Tom II, str. 169). Obraz polityki rosyjskiej nakreślił Mochnacki w swym artykule dnia 6 kwietnia 1833 roku, omawiającym słynny zatarg baszy Egiptu Mehmeta-Alego i syna jego Ibrahima z sułtanem i rolę Rosyi w tym zatargu, uwieńczoną niebawem traktatem w Unkiar-Skelessi, który postawił Turcyę w zupełnej zależności od Rosyi. »Gabinet petersburski inaczej w relacyach swoich z sąsiedzkiemi, a inaczej z oddalonymi krajami postępuje. Dla zachodu i południa Europy jest restauratorem, konserwatorem; a dla sąsiadów, dla całego wschodu jakobinem... Elastyczność, giętkość jego polityki wszelkie przechodzi wyobrażenie. Gdzie rewolucya potrzebna i konieczna,... tam gabinet moskiewski łączy się z rządem przeciwko ludowi i najzaciętszą wojnę wypowiada rewolucyi w imieniu zgody, religii i moralności. Gdzie, przeciwnie, anarchia szkodliwa, albo zawczesna, gdzie tym tylko środkiem wycieńczyć można siłę kraju, tam znowu w imieniu pożytecznej reformy łączy się z wichrzycielami porządku, »zaszczepia niezgodę, gwarantuje bunt i wojnę domową«. Rząd ten »w Polsce bronił liberum veto; przywilejów szlacheckiego gminowładztwa; w dywanie przepłacał kreski, sprzeciwiające się zniesieniu tureckich pretoryanów; w Szwecyi namówił poddanych Gustawa do buntu, Grecyę podburzył w imię starożytnej rzeczypospolitej; a w Neapolu, Turynie, Madrycie konstytucyjnej nawet nie sprzyjał monarchii... Nie masz żadnego dzikiego ludu, graniczącego z Moskwą, któregoby nie zrewolucyonizował, nie masz żadnej anarchicznej instytucyi między barbarzyńcami, żadnego zarodu jakiegokolwiek buntu w całej Azyi, na całym wschodzie, któregoby natychmiast nie rozwinął«. Mochnacki, który sam gotów był chwytać się najśmielszych, najryzykowniejszych środ-

ków w walce z nieprzyjacielem, który zarzucał na początku powstania głowie rządu księciu Adamowi, że jako moderant i zachowawca »z pod ziemi burzy rewolucyjnej nie weźmie i w głąb Rosyi zatrząśnienia, rozkiełznania społecznego nie poniesie«, chciał zaś usłyszeć z ust głowy powstania pod adresem najeźdźcy takie hasło: »skurzę gniazdo twoje, zepsuję porządek w tem państwie, skłonię poddanych, żeby panom wypowiedzieli posłuszeństwo; zmieszam wszystkie elementa w towarzystwie; poruszę massy...« — rozumiał dobrze, że po upadku powstania i związaniu rąk Polakom metoda taka może być bez porównania łatwiej przeciwko nim, niż przez nich wyzyskana, przewidział o lat trzydzieści naprzód Milutyna i nie mógł podzielać dziwnie naiwnych nadziei na ruch ludowy przeciwszlachecki, na zjawienie się nowego Chmielnickiego. Nie przeczuł tylko, że metodę tę demagogiczną najwcześniej zastosuje najwięcej w nim wzbudzająca zaufania, za najmniej wrogą i groźną z trzech mocarstw rozbiorczych przezeń uważana Austrya.

W okserskich pismach, zwłaszcza w piśmie okólnem dopatrzyli się demokraci zamiaru poddania emigracyi pod ster księcia Adama i tego darować Mochnackiemu nie mogli. Zarzucili mu zaprzedanie się Czartoryskiemu, które najwidoczniej jakoby przegląda z zakończenia II Tomu *Historyi Powstania*, gdzie Mochnacki rzekomo zupełnie odstąpił od swych dawnych opinii o księciu Czartoryskim i niespodzianie on, dawny rewolucyonista i demokrata, orzekł się za zasadą monarchiczną.

Czyż istotnie charakterystyka księcia Adama, umieszczona na końcu tomu II-go *Powstania*, tak odbiega od dawnej Mochnackiego o księciu opinii? W charakterystyce owej podniósł Mochnacki zasługi Czartoryskiego, jako kuratora szkół polskich w ośmiu guberniach zabranych, lecz zasługi te, wszak, nie podlegają żadnemu zaprzeczeniu i najlepsze chyba świadectwo tych zasług wystawili w swoim czasie sami Rosyanie, w rodzaju Nowosilcowa,

swemi nienawistnemi o tej działalności Czartoryskiego sądami. Poza tem, podnosi Mochnacki w działaniach politycznych ks. Adama dobrą wiarę i dobre chęci, a także urok osobisty, jaki wywierał na otoczenie, a jaki wypływał z jego wysokiego stanowiska towarzyskiego, wielkiego taktu dyplomatycznego, szlachetności i uprzejmości w obejściu, z całej wreszcie postaci sędziwego arystokraty, który stracił olbrzymią fortunę dla ojczyzny i nie przestawał poświęcać wszystkich swych sił narodowi do ostatka swoich dni. Natomiast, polityki Czartoryskiego w owej niby pochlebczej charakterystyce nietylko Mochnacki nie chwali, lecz, przeciwnie, sądzi ją surowo, zbyt pewnie surowo: »Polska drogo przypłaciła te związki Czartoryskiego z młodym carem« mówi: »i byłoby tysiąc razy lepiej, gdyby one nigdy nie były miały miejsca. Obietnicom Aleksandra, których rękojmię w Czartoryskim widziano, albo koniecznie widzieć chciano, chytrości gabinetu moskiewskiego, tem bezpieczniej pod taką gwarancyą prawości czyhającego na zgubę Polski, trzeba przypisać mianowicie na Litwie brak ducha w wielu zakątach, w ogólności słabe natenczas (w roku 12) wzięcie się do oręża przeciwko odwiecznemu wrogowi. Temi ideami związku, pobratymstwa wstrząśniona została na chwilę stara opinia narodowa — zachwiane do pewnego stopnia ze strony polskiej delenda Carthago: ta jedyna maksyma bytu i trwałości naszej — ruszony z miejsca ten poświęcony wiekami kamień naszej całej mądrości politycznej! Co żałośniej: pod wpływem tych wyobrażeń związku i pobratymstwa powstała nawet dość rozgałęziona, do dziś dnia trwająca szkoła publicystów-odszczepieńców, którzy w tem, co u Czartoryskiego szczególny traf zrządził, a mus wymawia, widzieli przykład i teoryę, którzy teraz z teoryi, z obioru nie inną sobie Polskę wyobrażają, nie innej sobie Polski życzą, tylko z ramienia Moskwy, pod wspólnem z nią berłem, — którzy nakoniec zapamiętali myślą, że równie jak Czartoryski służbę moskiewską

pogodzić zdołają z godnością własnego charakteru, z pewnemi nawet dla Polski korzyściami!« Niepodobna dopatrzeć się w tym sądzie pobłażliwej stronności. Oczywiście, autorowie i zwolennicy Aktu z Poitiers, nie umiejący odróżnić niemiłych im opinii politycznych od braku uczuć narodowych, oskarżający Czartoryskiego o zdradę, nieuczciwość, przewrotność, nie mogli być zadowoleni z krytycznej, lecz nie oszczerczej opinii Mochnackiego o księciu Adamie. Nie mogli, jednak, bez naciągania prawdy, oskarżać Mochnackiego o zmianę dawnego względem Czartoryskiego stanowiska. Maurycy nigdy nic więcej nie zarzucał Czartoryskiemu, jak tylko brak energii i utopię owego »związku i pobratymstwa«. Weźmy tę charakterystykę, jaką daje Czartoryskiemu w najbardziej czerwonym okresie swej działalności pisarskiej, w artykule »Nowy rząd narodowy« — 6 lutego 1831 roku. Pisze tam o złudzeniach Czartoryskiego co do Aleksandra: »Mniemał zapewne w szczerocie i szlachetności własnego serca, że car młody... po ojcowsku sprawować będzie przełożeństwo w Polsce i w Rosyi... Rzeczywiście, trudno pomyśleć coś piękniejszego i okazalszą postawą zdumiewającego nad taki porządek społeczeński...« Dalej, usprawiedliwiając Czartoryskiego, rzecze: »Każde zdanie uważać należy we właściwem świetle i każde wyobrażenie czcić tak, jak powstało w głowie rozmyślacza«. Czartoryski na sądzie sejmowym »postąpił sobie z wszelką godnością i męstwem prawego Polaka«. Ubolewał jedynie nad tem, że ks. Adam, który wówczas przewodnictwo w rządzie obejmował, »sądu swego, szczególniej co do wyboru środków, na stronę rozpaczy nie przechyli«. Przyznawał, natomiast, Czartoryskiemu »cnotę polską, którą zjednał sobie cześć i miłość ziomków,... wiadomości rozległe, biegłość w rzeczach publicznych okazałą«, spodziewał się, że postępowanie księcia Adama będzie »światłe, obywatelskie i dyplomatyczne«. Zestawiając te obydwie charakterystyki Czartoryskiego, powiedzieć można chyba, że ta dawniej-

sza — z lutego 1831 roku jest bardziej pochlebna, w każdym razie o przełomie w sądzie Mochnackiego o księciu Adamie, widocznym jakoby w II-gim tomie *Historyi Powstania*, nie może być mowy.

Z tym zarzutem rzekomej pobłażliwości dla Czartoryskiego łączyli demokraci jeszcze jeden zarzut: iż Mochnacki, jakoby, wbrew swym dawnym opiniom, orzeka się, w tem samem zakończeniu drugiego tomu *Powstania*, za rządem monarchicznym dla Polski. Zmierzmy z kolei wagę tego oskarżenia, które demokraci znów łączyli ze sławetnym swym zarzutem — zaprzedania się Czartoryskiemu. W owym ustępie II-go tomu swej *Historyi* rzecze Mochnacki, iż skoro dyktatura upadła, a sejm przyjął dla powstania zasadę monarchii konstytucyjnej, należało zarazem wybrać odrazu widomego reprezentanta monarchii. »Kto ogłasza monarchię, a nie obiera króla, ogłasza konkurs na berło, stręcząc swoim i obcym wab niebezpieczny« mówi Mochnacki. Wyznając, że najlepszą władzą dla powstania byłaby dyktatura czasowa, pisze: »Tak myślałem i tak jeszcze myślę. Jednakże, gdy dyktatura chybiła, gdy gmina miejska nie doszła, a sejm koniecznie monarchię kreował, okoliczności te stawiają kwestyę rewolucyjną narodu na innym gruncie. Ponieważ tak się stało, a nie inaczej, obierając zatem jedno z dwojga złego, pytam się: czyż nie lepiej było nareszcie posadzić żywego króla na tronie, niż larwę królewską? Znak majestatu bez osoby: cóż to za mądrość polityczna? Wszystkie niedogodności, wszystkie przywary monarchii utemperowanej, bez jedynej jej korzyści, bez interesu dynastycznego: cóż to za loika, co to za rachuba! Wiem, że oglądano się na cudzoziemców, rzucając tę ponętę to Austryi, to Prusom, pomykając się nawet aż do Holandyi... Ponieważ chciano monarchii, trzeba więc było zaraz obrać króla. Król cudzoziemiec być nie mógł, a więc trzeba było króla Polaka, rzeczy zrozumiałej dla ludu... Król polski, w kierunku, jaki rzeczy wzięły, była to ostatnia, jak sądzę,

kombinacya zbawienia... Berło w pewnych okolicznościach może być nie tylko nagrodą, ale zarazem środkiem ratunku«.

W rozumowaniu tem Mochnackiego nie znajdujemy ani nic dziwnego, ani nic niespodzianego. Wyraźnie i dobitnie tu mówi, że monarchię w powstaniu uważa za *ultima ratio*, za złe konieczne, które po upadku dyktatury żołnierskiej i wobec niepodobieństwa dyktatury ludowej, przyjąć należało; lepsza była oczywiście rzeczywista, niż ta monarchia — bez monarchy, jaką miało powstanie. Wszak już Olrych Szaniecki na sesyi sejmowej 9 czerwca 1831 r. rzekł: »obierzmy lepiej odrazu króla, lecz nie małpujmy króla«. Tylko doktrynerzy emigracyi, powtarzający bezkrytycznie frazesy opozycyi republikańskiej francuskiej przeciwko monarchii orleańskiej, mogli widzieć w tem stanowisku Mochnackiego jakieś zaprzaństwo. Zresztą, wszak jeszcze w powstaniu Mochnacki otwarcie głosił, że gotów orzec się za wszelką formą rządu, byle ta prowadziła do ocalenia kraju. 4 września 1831 roku wyszydzał doktrynerów kaliskich, którzy mówią: »zgiń, a nie odmieniaj swego przekonania«, sam zaś przyznawał się do takiej dewizy: »Jeśli republikanizm co pomoże, to bądź republikaninem, jeśli monarchia konstytucyjna, to miej monarchię konstytucyjną we czci i poważaniu«. Głębokie przejęcie się Mochnackiego ustawą 3-go Maja, mogło mu nawet wyraźniej, niż to uczynił, dyktować myśl monarchii konstytucyjnej, jako nawiązującą wątek usiłowań narodowych do testamentu Sejmu Czteroletniego.

Zresztą, był jeszcze ktoś, kogo nie będziemy podejrzewali o służalstwo względem Czartoryskiego, a który skłaniał się do wznowienia idei monarchicznej w powstającej Polsce. W artykule »Konstytucya Trzeciego Maja« w *Pielgrzymie Polskim*, z 3 maja 1833 roku, w artykule, pisanym pod widocznym wpływem, z mimowiednemi nawet reminiscencyami artykułu Mochnackiego »O Rewolucyi społecznej w Polsce« z 23 stycznia 1833 roku, mówi

Adam Mickiewicz: »Konstytucya 3 Maja nadawała narodowi króla. Nie przesądzamy o przyszłości, ale nie wahamy się powiedzieć, że w czasie rewolucyi jeszcze ten artykuł Konstytucyi wyrażał życzenie mas narodowych. Odwołujemy się do powstania Litwy, Ukrainy, Podola, Białorusi. Jakie wrażenie zrobiłaby w tych prowincyach wieść, że król polski, wielki książę litewski, ruski i pruski ciągnie odzyskać nasze dawne dziedzictwo! Fatalność, ciążąca dotąd nad nami, nie dozwoliła wprowadzić w egzekucyę tego artykułu!... Skoro wypadki wyzwą do działania naród polski, komu Opatrzność pozwoli mieć wpływ na losy jego, niech ten szczęśliwy człowiek zajrzy jeszcze w Konstytucyę 3 Maja«. Tak więc Mickiewicz, którego geniusz, nie spętany przez doktryny i naśladownictwo niewolnicze Zachodu, wyczuwał znakomicie usposobienie ludu na ziemiach polskich, wprost zarzucił rewolucyi, że nie wskrzesiła dostojeństwa historycznego króla polskiego. Mochnacki postąpił sobie nawet mniej dobitnie, przedstawiając króla polskiego, jako »ostatnią« kombinacyę zbawienia.

Atoli, organy demokracyi oskarżyły Mochnackiego o zdradę sztandaru. Demokrata Polski jeszcze w lat kilka po jego śmierci, zwalczając obóz, który uznał Adama Czartoryskiego za króla *de facto*, twierdził, że stronnictwo to »miał spłodzić Maurycy Mochnacki w pokątnem małżeństwie z arystokracyą«. Poczem twierdzi, że Mochnacki był »w głębi duszy rewolucyonistą«, szczery był tylko wtedy, gdy potępiał monarchię, gdy zaś ją zaczyna chwalić, »styl jego staje się ociężały, zdradza wątpliwości, widać, jak się pasuje z fałszem«. Na dowód przeciwmonarchicznych przekonań Mochnackiego przytacza jego artykuł »Królowie i rewolucya« z 16 czerwca 1833 roku. Mochnacki jakoby na emigracyi potępia najlepsze swe dawne czyny: »Cóż może być bardziej poniżającego, jak gdy w Historyi narodowego powstania te właśnie karty, które się jemu należą, szpeci, jak gdy oskarża siebie, że kontr-

rewolucyjnemu sejmowi miał śmiałość powiedzieć, aby wrócił do nicości?«

Pyta dalej o przyczynę tego zmiennictwa i tak ją wyjaśnia: »Oto że na chwilę przed skonem dał się ująć czy zakupić temu samemu stronnictwu, przeciw któremu przez cały ciąg rewolucyi walczył... Był tedy Mochnacki w związkach z arystokracyą. Upominającym go przyjaciołom zwykł mawiać: Jestem sponiewierany — demokracya mnie nie ufa, arystokracya mnie się poddaje, a że jest głupia, ja zaś czuję w sobie dosyć zdolności, będę nią podług woli kierował... Sam siebie sponiewierawszy do reszty, przekonał się, że arystokracyi odmłodzić, zrewolucyonizować nie zdoła. To napełniło ostatnie dni jego największym żalem; wśród zwątpienia i najczarniejszej melancholii zakończył żywot, który dla niego stał się nieznośny i, jak raz powiedzieliśmy, szczęśliwy, że go zakończył« [1].

I takie naiwno-przewrotne sądy o Mochnackim znajdowały wiarę; Wiktor Heltman przytacza z całem zaufaniem cytaty tego artykułu, wkładającego w usta Mochnackiego jakieś nieprawdopodobne, cyniczne wyznania, w swej *Emigracyi Polskiej* (strona 43). Na domysły autora o »ujęciu czy zakupieniu« Mochnackiego przez arystokracyę nawet odpowiadać nie warto, zobaczmy, jaką wagę mają jego wrażenia, na zasadzie których jedne ustępy z prac Mochnackiego przedstawia, jako szczere, inne jako obłudne. Jakże wygląda, naprzód, to rzekome potępienie przez Mochnackiego samego siebie za słynne słowa przeciwko Sejmowi, wydrukowane 27 stycznia 1831 roku· »Były tam wyrażenia, ubliżające w rzeczy samej powadze reprezentacyi, ale były także prawdy niezaprzeczone i przepowiednie, które się ziściły na nieszczęście; należało je tylko z większą nieco godnością, z zimniejszą krwią objа-

[1] »Demokrata Polski« Poitiers, Rok 1841. Tom III, strona 113 i następne.

wiać... Te złowróżbne, w wieszczem zapewne przeczuciu, lecz z niepotrzebną i samym piszącym uwłaczającą zaciekłością kreślone wyrazy tknęły Sejm do żywego« (Tom II *Powstania*, strona 360). Oto całe potępienie; widzi stąd każdy, że Mochnacki po paru latach, dzielących go od owych gorących chwil styczniowych 1831 roku, nagania jedynie formę swego wystąpienia, która była istotnie rażąco ostra, istotę jednak, osnowę swego sądu o ówczesnej reprezentacyi utrzymuje w całej pełni, opinii swej nietylko nie cofa, lecz uznaje za wyrzeczoną w natchnieniu proroczem. Wiadomo zresztą przecież, że najzjadliwsze, najostrzejsze pociski swego szyderstwa posyłał Mochnacki w swej *Historyi Powstania* owemu zgromadzeniu sejmowemu, które było »kanclerzem i mistrzem ceremonii powstania narodowego«, opinii swej powstańczej o sejmie nie zmienił.

Tak samo prawdziwe są i inne spostrzeżenia autora. Któż mógłby, naprzykład, utrzymywać, iż artykuły Mochnackiego z jesieni 1831 roku w *Dzienniku Powszechnym*, które ze względu na ich tendencyę polityczną, krytyk z Demokraty Polskiego zaliczyć musi do »przeciwnych naturze« Mochnackiego, pisane są stylem ciężkim, zdradzają pasowanie się z fałszem? Takie rzeczy, jak »System Władzy«, »Restauracya Polski«, »Konfederacya Barska«, należą do najświetniejszych, jednym z najcelniejszych jest również artykuł emigracyjny »O rewolucyi społecznej w Polsce«, pisany z całą głębią uczucia i ogniem patryotycznym, a przecież artykułu tego, głównie może, demokraci darować Mochnackiemu nie mogli. Pisma okserskie są zapewne mniej świetne pod względem stylu, wszakże jednak pisząc je, autor pasował się nie z fałszem, lecz z chorobą śmiertelną, która go za kilka tygodni ze świata zabrała. Równie wiarogodna jest owa rozmowa, którą z mitycznymi przyjaciółmi miał, według *Demokraty*, prowadzić Mochnacki, a także wyrzuty sumienia, które go miały trapić przed śmieraią. Wiemy dobrze z licznych

świadectw współczesnych, z samych wreszcie wystąpień ostatnich i listów Maurycego, że pod koniec życia, ciężko wprawdzie rozgoryczony na większość emigracyi, był jednak Mochnacki właśnie pełen energii i wiary, resztkami sił zabiegał około utworzenia nowej organizacyi i nowego pisma; on, który od lat dwóch cofnął się był do »najprywatniejszego życia« zaczął rozwijać gorączkową działalność. Podziwiać należy energię i niepożytość tego ducha, jaki wciąż jeszcze gorzał w ciele schorzałem.

Wreszcie, *Demokrata Polski*, przytoczywszy z artykułu »Królowie i Rewolucya« parę ustępów, mówiących przeciwko przeżytkom despotyzmu monarszego w krajach europejskich, pozostawia czytelnika, któryby nie znał tego artykułu, w przeświadczeniu, iż Mochnacki wypowiada się tam za kodeksem doktrynerskiego liberalizmu, nie wglądającego głęboko i trzeźwo w te środki, któremi posługiwać się ma naród w stanie ujarzmienia i insurrekcyi, że uważał może wówczas za rzecz najpilniejszą i najważniejszą krzewienie zasad republikanizmu lub wałkowanie, jak to czynił na łamach swych *Demokrata Polski*, teoryi Praw Człowieka i Obywatela, że wierzył w to, że propagandą tego katechizmu demokratyczno-liberalnego można w magiczny sposób podminować i podważyć jarzmo despotów, ciążące nad Polską. Cóż zaś mówi, po tyradach przeciwko królom Europy, w artykule tym Mochnacki: »czemużby także rewolucya, jako jedyne lekarstwo przeciwko temu złemu, w systema zamienić się nie miała?« Jakie zaś to systema być powinno, to wykłada dalej: »ktoś chciał mi dać do zrozumienia (w pół-arkuszu dziesiątym *Pielgrzyma*), jakoby przez rozprawki, które umieszczałem w *Pamiętniku Emigracyi*, »przewiewał głęboko tajony absolutyzm«. Co do absolutyzmu prawda. Lecz co do głębokiego tajenia i przewiewania nieprawda. Gdzieżto ja starałem się zataić, że całą moją doktryną rewolucyjną jest absolutyzm?« Dalej, przytacza, jako wzór, konwencyę francuską i pyta: »Byłożto towarzystwo patryotyczne Le-

lewela, byłażto Honoratka, byłożto zgromadzenie tarańskie, byłożto nakoniec pielgrzymstwo?... Potrzeba, żeby wolność została carem w swojem państwie!« Tłomaczy zgubę powstania tem, »żeśmy patryotyzmu w potęgę despotyczną zamienić nie umieli, że się nikt nie bał ojczyzny, nikt jej nie słuchał... Rozumieliśmy, że mając do czynienia z najenergiczniejszym, najprzebieglejszym despotą, potrafimy go pokonać rozprzężeniem, złotą wolnością, *per libera vota*, tym to właśnie (co *Pielgrzym* z pism Lelewelowskich zachwala) obyczajem mrówek, rozchodzących się samopas z mrowiska na wszystkie strony«. Ma tu na myśli Mochnacki artykuł A. Mickiewicza z *Pielgrzyma Polskiego* z 31 maja 1833 roku: »Niezgody Emigracyi naszej«, gdzie poeta, porwany raczej obrazem własnej wyobraźni, niż obrazem rzeczywistości, podnosi ład instynktowy i czujność naszych emigrantów, i mówi, iż są oni jak »pasterze Chaldejscy, ustawicznie patrzący w niebo, o których wiemy, że lepiej znają ruch gwiazd i odgadują zmiany temperatury, niżeli członkowie biura długości«.

Myśl, zatem, artykułu Mochnackiego »Królowie i Rewolucya« zwraca się w istocie przeciwko »wolności w stanie rozprzężenia«, jaką zarzucał rewolucyi polskiej i jakiej obawia się dla »rewolucyi« europejskiej. Składa wprawdzie na wstępie daninę językowi postępowemu epoki, potępia królewskość *sub specie aeternitatis*, uznaje, atoli, jednocześnie, iż w obecnym czasie królowie są potęgą i musi ich naśladować, kto chce z nimi walczyć: »Obaczmy, co królowie robią!... Mają rozum, mają głowy nie dla kształtu!... Królowie mają swego dowódcę cara! I tu przyznać trzeba, rzecz główna w sztuce królewskiej, rzecz godna naśladowania. Monarchowie umieją być posłusznymi. Kto z królami wojuje, niechaj zna sposoby królewskie...« — Wszystko to nie jest u Mochnackiego nowe, jest to wciąż snucie dawnej powstaniowej myśli o cnotliwym Kromwellu, którą podsuwał, z chwilą gdy zawiązek konwencyi war-

szawskiej w pył się obrócił, to Skrzyneckiemu przez Horodyskiego, to Krukowieckiemu...

Gdyby *Demokrata Polski* bez uprzedzenia rozważył artykuł Mochnackiego »Królowie i Rewolucya«, zarzuciłby autorowi nie odstępstwo od dawniejszych opinii, lecz coś zupełnie innego: oto pewną sprzeczność, tkwiącą pomiędzy rozmaitemi ustępami tego samego artykułu. Mochnacki wypowiada się w zasadzie przeciwko królewskości, utrzymuje, iż »tę instytucyę potrzeba koniecznie wyrzucić z ogólnego organizmu, ponieważ wnętrzności jego szarpie, rozrywa...«, rozumiejąc przez instytucyę — królewskość, przez organizm — Europę; twierdzi, iż »ucisk i zepsucie stanowią systema monarchiczne«, że »królowie bez budżetu i wojsk liniowych obejść się nie mogą; budżety i wojska są to pijawki ludów, są to źródła powszechnej nędzy«; zarazem zaś, dla Polski pragnąłby i silnej władzy, chociażby królewskiej, jeśli nie dyktatorskiej, i wojsk i budżetu...

Jest w Mochnackim rys, który powtarza się u wszystkich niemal wybitnych publicystów polskich XVIII i początku XIX wieku: to pewna rozbieżność pomiędzy tem, co uważają za ideał państwa i społeczeństwa, a tem, co dla Polski, jako środek ocalenia od zagłady, zalecają. Rys ten silniej jeszcze, niż u Mochnackiego, przebija u Staszyca. »W nim żyje razem dwóch ludzi« powiada o nim Kalinka: »wyznawca Russa i polski statysta, ideolog i obserwator... Pierwszy to doktryner, który na wszystko ma gotowe, wypożyczone formułki; drugi, przeciwnie, badacz samoistny a trzeźwy, krytyk surowy, głęboki znawca wad i chorób narodowych. Te dwa jego charaktery kłócą się w nim, zawadzają sobie, wykluczają siebie nawzajem, a jednak obok siebie żyją« [1].

---

[1] Kalinka: Sejm Czteroletni, Księga V. Kraków 1896, str. 462 i następne. Podobne uwagi o Staszycu czyni Tarnowski Stanisław: Historya Literatury Polskiej, Tom III, strona 403.

Istotnie, Staszyc gromi despotyzm, potępia wojsko regularne. »Wojska regularne i gotowe nie mogą być tylko obroną niewoli i despotyzmu. Według praw Stwórcy, tylko powszechna moc narodu, od powszechnej woli tegoż Narodu umiarkowana, to jest: tylko sami Obywatele są naturalnymi obrońcami swoich praw, wolności i własności...«[1]. »Gwałcicielem praw narodów jest każdy despota. Albowiem, gdziekolwiek choć jeden tylko despotyzm istnieje, tam w pogranicznych Narodach już z trudnością utrzymują się Rzeczypospolite«[2]. »Ci ludzie, którzy z rzemiosła zabijają drugich ludzi podług rozkazu zwierzchności, są tam w ostatniem obrzydzeniu, kiedy nazywają się katami. Lecz poważa ich każdy, gdy wezmą nazwisko żołnierza«. Mówi Staszyc o »głupiej żołnierskiej subordynacyi«.

Dalej, atoli, zupełnie tym samym szlakiem myśli idąc, co Mochnacki, który, zgromiwszy naprzód królewskość, rzecze potem »kto z królami wojuje, niechaj zna sposoby królewskie«, radzi Staszyc Polsce wzmocnienie rządu monarchicznego: »Taki to jest dzisiaj opłakany los rodzaju ludzkiego, iż nie ma tego kąta ziemi, w którymby ludzie myśleć i radzić mogli o swoim uszczęśliwieniu. Ale wszędzie tylko radzić i myśleć przymuszeni o ustawicznej swojej obronie... Rzplita obtoczona despotycznemi krajami musi koniecznie u siebie czuć despotyzmu skutki. Rzecz niepodobna w pośrodku ognia nie być parzonym«[3].

Stwierdziwszy dalej, że »w Europie niema praw Narodów. Są tylko związki despotów«, wyprowadza taki wniosek dla Polski: »Zginie, jeżeli... w ustanowieniu swojego wewnętrznego rządu nie będzie stosować się do politycznego krajów związku«. W imię ocalenia narodu, już

[1] Przestrogi dla Polski. Dnia 4 stycznia 1790 r., strona 14.
[2] Przestrogi dla Polski, strona 15, 16.
[3] Przestrogi, strona 53.

we wstępie do »Przestróg« radzi: »...Użyteczniejszą narodowi naszemu byłaby w tym razie absolutna Monarchia, jak zła Rzeczpospolita. Bo pierwsza naród Polaków zachowa. Zła Rzeczpospolita... naród do reszty zaniszczy. Dzisiaj utrzymywać się Rzeczompospolitym najrozumniej ustanowionym trudno, a Rzeczompospolitym źle urządzonym niepodobno«. »Naród pod Despotyzmem nie jest na zawsze zgubiony. On istnie, tylko jest przyciśnionym do czasu«.

Te same trzeźwe myśli, obok ustępów, żywcem jakby z Russa wziętych, wypowiadał już Staszyc w swem wcześniejszem dziele: »Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego«.

»Dzisiaj w całej Europie rzeczompospolitym utrzymać się trudno jest. Wszystko samodzierżstwu sprzyja, a wszystko się na rzeczypospolite sprzysięgło«[1].

»Kto wolności ofiar czynić wzbrania się, ten niegodnym wolności darów staje się... Po zgubie wolności zostaje im się do zachowania plemię narodu, imię Polaków, język, związek z swymi ojcy, dziedzictwo sławy cnotliwych przodków i jestestwo w Europie... Czuję ja żałość tych poczciwych obywatelów, którzy mi na ten ostatni sposób rzekną: Nasza wolność zginie! — Ochłodnijcie żarliwi Polacy! czułość i zwyczaj, nie rozum to wymawia«.

I u Mochnackiego znajdziemy nieraz ślady tego jakby pasowania się doktryny z trzeźwym zmysłem politycznym i przenikliwością. Jeszcze obfitsze tyrady przeciwko królom, niż w artykule »Królowie i Rewolucya«, znajdziemy w artykule »O Rewolucyi w Niemczech«. Oprócz tego, możnaby wytknąć i wiele innych sprzeczności, przypominających cechy pism politycznych wielkiego mieszczanina

[1] Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego. Wydanie Turowskiego. Kraków 1861, strona 128.

Staszyca, jakkolwiek nie tak, jak u tego, jaskrawych. Naprzykład, jakkolwiek Mochnacki dopiero w »pismie okólnem« z Auxerres wypowiedział dobitnie tę maksymę: »Niczyjej pomocy nie odrzucamy, ale w niczyją pomoc nie wierzymy«, to jednak i przedtem w całej działalności jego politycznej i pisarskiej przebijała bądź świadomie, bądź instynktownie zasada, że naród jedynie wysileniem bohaterskiem sił własnych wyratować się zdoła; nigdy podczas rewolucyi nie wlepiał oczu w Zachód, nie usypiał się nadzieją mitycznej pomocy ludów. A jednak, w licznych miejscach pism Mochnackiego znajdziemy ustępy, które mogłyby nasuwać myśl, iż Mochnacki, na podobieństwo Towarzystwa Demokratycznego, a zwłaszcza *Młodej Polski*, łączył nierozerwalnie sprawę polską ze sprawą wywrócenia tronów w Europie, ze sprawą rewolucyi powszechnej. Przytoczymy tylko dla przykładu z pism rewolucyjnych artykuł: »Być albo nie być« z lutego 1831 roku, mianowicie ustęp: »Wielkie były skutki naszej zagłady...«; artykuł »System nowej władzy« z sierpnia 1831 roku, zwłaszcza ustęp: »Co powie Europa? Co rzekną sąsiedzi?...« Z pism emigracyjnych wymienić można tu cały rozdział pierwszy rzeczy »O Rewolucyi w Niemczech« z dnia 6 czerwca 1833 roku, gdzie w gorących słowach wykłada, iż »jednoczesność upadku narodu polskiego z upadkiem władzy królewskiej na zachodzie uczyniła nas poniekąd mimo woli naszej sprzymierzeńcami rewolucyi«, iż »rozbiór Polski podzielił Europę na dwie równe części: królewską i rewolucyjną«, iż »na równinach, które Wisła przerzyna, oberwać się muszą chmury, zawieszone nad dzisiejszą Europą«. Myśl tę wyraża i w listach swoich. W liście do matki z dnia 31 stycznia 1833 roku pisze: »Co gabinety o nas bez nas uradzą, to natychmiast się rozchwieje, ale co rewolucya powszechna może dla nas zdziałać, to na wieki zostanie«.

Do niekonsekwencyi zaliczyć także należy ustępy z artykułu »Być albo nie być«, zwłaszcza podniesiony tam zarzut przeciwko Kościuszce, iż zamiast uczynić rewolucyę socyalną, prowadził insurrekcyę, podczas gdy już wcześniej w styczniu 1831 roku, przy otwarciu Towarzystwa Patryotycznego, a już systematycznie od sierpnia 1831 roku rozwijał Maurycy myśl, że restauracya państwa polskiego powinna socyalną poprzedzić naprawę.

Mochnacki, podobnie, jak Staszyc, ulegał urokowi haseł, idących z krajów, które los wysunął na czoło pochodu dziejowego ludów; chłonęli obydwa z Zachodu namiętny protest pzeciwko podeptaniu praw ludu, przejmowali się oburzeniem na ucisk, przez rządy i możnych wywierany. Gdy atoli dochodzili do rad praktycznych dla Polski, wtedy obydwa, głęboko przenikając odmienną dolę swej ojczyzny, dawali takie rady, jakie dyktował im rozum polityczny, zmysł rzeczywistości, uczucia patryotyczne. Tym trafnym instynktem narodowym górowali nad doktrynerami, którzy szczególnych braków swego kraju nie pojmując, przykrywali bezmyślnie doktrynami zachodu zadawnione błędy narodu. Staszyc góruje nad tymi niby postępowymi obskurantami, jak Wojciech Turski, którzy balsamem Rewolucyi Francuskiej wypełnić chcieli mumię szlacheckiej Rzplitej, ku wiecznemu jej zakonserwowaniu; jak targowiczanin Rzewuski, wyklinający, z księgą Russa w ręku, zbawców ojczyzny. Mochnacki zaś górował swym czujnym instynktem narodowym nad rezonerami swojej epoki, do których dałyby się zastosować Staszycowskie uwagi: »Młode dusze, zbałamucone temi państwy, w których żadną miarą żyć nie będą, a nie znając tego kraju, w którym koniecznie żyć muszą, stają się jeszcze w młodości męczennikami żądań próżnych..... Tak obywatel obrany na senatora lub ministra, na posła prawodawcę, cóż zaradzi o losie swojej ojczyzny, kiedy on tylko

o Francyi myślał, a Polski stanu nie zna«[1]. Męczennicy żądań próżnych pokolenia listopadowego w zaślepieniu kamienowali tego, który wołał do narodu (dnia 20 sierpnia 1831 roku): »Teraz tylko o to idzie, żeby być!«

---

[1] Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego, strona 17.

ROZDZIAŁ III.

Stosunek pism emigracyjnych do Mochnackiego. Sprawa dynastyi polskiej na wychodźtwie. Wpływ Mochnackiego na myśl polityczną Emigracyi. Wskazania Mochnackiego w świetle wypadków 1846 r. Pogląd Mochnackiego na stosunek Polski do trzech mocarstw rozbiorowych. Wahania i zboczenia, jakim ulegała idea polska po rewolucyi listopadowej. Mesyanizm. Panslawizm. Objawy apostazyi narodowej. Stanowisko Mochnackiego w szeregu wielkich pisarzów narodowych. Ocena błędna Mochnackiego w literaturze politycznej, powstałej pod wpływem wypadków 1863 roku. Rok 1863 a wskazania polityczne Mochnackiego. Zakończenie.

Z powodu Tomu drugiego *Historyi powstania*, zwłaszcza zaś z powodu pism okserskich Mochnackiego, wrogie jemu wydawnictwa emigracyjne wystąpiły z całą zajadłością. Dwa pisma prym trzymały w napaściach na Mochnackiego: *Tygodnik Emigracyi Polskiej*, wydawany przez Jędrzeja Słowaczyńskiego, i *Nowa Polska* — Józefata Bolesława Ostrowskiego. Obydwa pisma uważały siebie za demokratyczne, dla Czartoryskiego i jego obozu były bezwzględnie wrogie, organami jednak Towarzystwa Demokratycznego nie były.

Przerzucając pożółkłe karty tych pism emigracyjnych, tchnących taką nienawiścią, żółcią, jadem przeciwko Mochnackiemu, przestajemy dziwić się jego gorzkiemu względem rodaków usposobieniu w ostatnich zwłaszcza miesiącach życia. Weźmy kilka wzorów tej obłąkanej zaciętości. Dnia 16 października 1834 r. umieszcza *Tygodnik Emigracyi* »Kilka słów o dziele Mochnackiego«, napisane z po-

wodu zjawienia się w druku II-go Tomu *Powstania*. Wzmiankuje autor recenzyi, że Mochnacki obiecał wznieść się ponad partye, nie umiał jednak czy nie chciał dotrzymać obietnicy. »Pochwały, uwielbienia osób, których postępowanie w rewolucyi i przed rewolucyą na zgubę sprawy narodu wystawiły, poniżenie, potwarze tych, których pomysły wielkiemi, narodowemi, zbawiennemi nazywa, nietylko w każdym rozdziale, ale na każdej prawie można spotkać karcie«. Naturalnie, chodzi autorowi recenzyi o rzekomą stronność Mochnackiego względem Czartoryskiego, o »zręczne, lecz najfałszywsze ocenienie moskiewsko-polskiej epoki życia potomka Jagiełłów, na której obronę wysunął ile tylko miał sofizmatów i talentu przekręcania faktów, które aż nadto dobrze wszystkim są znane«. Nieubłagany krytyk fakcyi dyplomatycznej i kaliskiej w powstaniu — Maurycy ściągnął na siebie zarzut recenzenta, iż »w członkach partyi kaliskiej i hrabiowskiej... widzi zacnych, wielkich uczonych«. Przyznaje wprawdzie recenzent Mochnackiemu »niezmierny talent pisarski«, uznaje, że »tok dzieła i styl jego żywy, kolorowy, czarujący«, przyrównywa go jednak jednocześnie do »mędrków greckich, co przybywszy do Rzymu, ślicznie mówili za sprawiedliwością i równie ślicznie przeciw sprawiedliwości«. »Kato« dodaje: »tych jegomościów kazał z miasta wypędzić«.

Podejrzewały Mochnackiego te dwa wrogie mu pisma o autorstwo wszelkich pamfletów politycznych, jakie tylko zjawiały się ze strony obozu zachowawczego; przypisywano, naprzykład jego pióru broszurę Aleksandra Jełowickiego, napisaną w obronie Czartoryskiego, broszurę w obronie generała Dembińskiego, wydaną pod nazwiskiem Bajerskiego [1]. Na te właśnie insynuacye Mochnacki odpowiedział

[1] Patrz, Tygodnik Emigracyi z 24 października 1834 roku; Nowa Polska, strona 256.

Dotychczas przypisywane jest M. Mochnackiemu autorstwo broszury Aleksandra Jełowickiego: »O Towarzystwie Wzajemnej Po-

listem z 30 października 1834 roku, umieszczonym w *Kronice Emigracyi Polskiej*. Wylał tu całe swe oburzenie w najostrzejszych słowach. O przypisywaniu mu autorstwa pism, obcemi podpisami opatrzonych, mówi, iż »to jest fałsz, równie bezczelny, równie nikczemny, jak te wszystkie fałsze, plotki, potwarze, które stanowią cały charakter, cały talent i całą egzystencyę wydawców tych pisemek, tak drukowanych, jak litografowanych[1]. We wszystkich kloakach paryskich nie masz tyle śmiecia, tyle brudów, tyle kału, co w mózgach tych redaktorów. Jeśliby całą jaką generacyę błotem zbryzgać było potrzeba, toby oni mogli podjąć się tego zatrudnienia, tego zarobku«.

Odezwy okserskie wywołały kwieciste odpowiedzi w obydwóch pismach. *Tygodnik* pisał (3 listopada 1834 r.), że Mochnacki »znany z giętkości swoich opinii pożycza Dyplomacyi swojej głowy«. W pismie okólnem dopatrywał się *Tygodnik* podstępu, o którym wzmiankował Nabielak w swym liście. »Jest to nic więcej, jak hasło do powstania« mówi *Tygodnik*, Lubecki, zdaniem *Tygodnika*, »uśmiechnie się, że jakaś nowa jego kabała do skutku przychodzi«. *Tygodnik Emigracyi* był jeszcze powściągliwy w porównaniu z Ibusiem Ostrowskim; soczystość pióra

---

mocy« (Patrz, Estreicher, Bibliografia, pod Mochnacki Maurycy; Lubomir Gadon: Emigracya Polska. Egzemplarz tej broszury, wydanej w Paryżu w drukarni A. Pinard 1833 roku, zawierającej 61 stronę w drobnym formacie, znajduje się w Bibliotece Akademii Umiejętności w Krakowie). Autor tej odezwy marzy o założeniu jakiegoś stowarzyszenia moralno-społecznego, któreby ogarnęło »cały Lud« i zamieniło »towarzystwo wzajemnego niszczenia, jakiem jest współczesna ludzkość, na towarzystwo wzajemnej pomocy«. Zastrzega, iż »członkami Towarzystwa być nie mogą: 1) Próżniacy, którzy ludźmi być nie warci, 2) Królowie, którzy podług najnowszych postrzeżeń ludźmi być albo nie mogą albo nie chcą«. Cała ta odezwa, zdradzająca wpływ Lamennais'go, bynajmniej nie posiada cech pióra Mochnackiego.

[1] Tygodnik Emigracyi od półarkusza z 9 września 1834 roku zmienił druk na litografię.

tego niestrudzonego paszkwilanta nie znała nawet wśród emigracyi współzawodników. Z powodu odezwy pierwszej Zakładu Auxerres pisze pod adresem Mochnackiego (*Nowa Polska*, strona 249): »Człowiek opluty i wyrzucony za drzwi przez wszystkie stronnictwa, odarty ze czci moralnie i politycznie, jenerałowi Dwernickiemu śmie posyłać swoje nauki: urągać polskiej *Emigracyi*, że błądzi; on! uczeń Szaniawskiego; wynalazca sposobów, przez jakie królowie najskuteczniej mogliby przytłumić wolność; moskiewski cenzor; niegdyś rzeźnik, a teraz wielbiciel arystokracyi«. Jeszcze przed wydaniem pism okserskich ton *Nowej Polski* o Mochnackim przekraczał wszelkie granice. Ostrowski, którego Maurycy w swej *Historyi*, przy zarysie spisku podchorążych, zjadliwie wydrwił, jako jednego z »gapiów spisku«, zupełnie pozbawionego odwagi wojskowej, mścił się na nim z całą szpetnością swojej nikczemnej natury. »Naczelny wydawca *Kroniki*« pisze w jednem miejscu (*Nowa Polska*, strona 177): »przeciw J. B. Ostrowskiemu, swojemu doświadczonemu przyjacielowi, powołuje sromotne świadectwo M. Mochnackiego, na którego zużytej duszy, jako na starym i wytartym groszu, nadaremnie szukasz godności i wiary, a przynajmniej żalu za płoche zbrodnie«. W innem miejscu notuje pogłoskę, iż na miejsce *Kroniki* ma wychodzić nowe pismo obozu arystokratycznego, na którego czele ma stanąć Maurycy Mochnacki, »chcielibyśmy wiedzieć, czy po raz ostatni czyniący prostytucyę swojego sumienia, puszczający swoje pióro na targ haniebny sprzedającemu, nabywającym haniebniejszy...« [1].

»Znamy tę mowę fałszywą autora obskurantyzmu, upstrzoną sofizmatami« pisał Ibuś z powodu pism okserskich (*N. P.*, strona 256): »Znamy tę starą nierządnicę, co już pieściła swym wdziękiem ..... rewolucyę, a dziś feudalnych panków«.

---

[1] Nowa Polska, strona 194 (sierpień 1834 roku).

Pismo okólne okserskie, w którem zapowiedziana została działalność około utworzenia organizacyi emigracyjnej, mającej na celu skupienie wychodźtwa pod jedną władzą i przygotowanie insurrekcyi, wzbudziło czujność pisemek. Maurycy Mochnacki 7 listopada 1834 roku wyjechał z Auxerres do Paryża, skąd powrócił dopiero 23-go listopada. Było istotnie zamierzone prowadzenie pisma, o którem Maurycy pisał pod koniec życia do rodziców, a o czem później wyraźniej wspólnicy tego projektu pisali po jego śmierci w piśmie *Kraj i Emigracya*. *Nowa Polska* i *Tygodnik* zwietrzyły te projekta. Posądziwszy Maurycego o autorstwo całego szeregu pisemek, pisze *Nowa Polska* (str. 256): »Ma być założona obszerniejsza kuźnia tych brudności, nakazowanych przez naczelnika arystokracyi, a kreślonych przez cenzora. Zakupiono czcionki — ma wychodzić dziennik, którego głównymi twórcami są cenzor i minister moskiewski, to jest: M. Mochnacki i A. Książę Czartoryski. *Tygodnik Emigracyi* na podstawie listopadowej bytności Maurycego w Paryżu osnuł całą improwizacyę. 22 listopada pisze: »Dyplomacya polska na ostre bierze się do broni: indywidyum okserskie (Maurycy Mochnacki) jest jej naczelnym wodzem... Główna kwatera w Auxerres, już tam wyprawione litery na założenie drukarni polskiej, skąd batalionami pamfletów uderzać będzie na Zakłady. Główny korpus ma stanowić osobne pismo; *Kronika* w rezerwie ma spocząć, lecz my sądzim, że dla niepoznaki wychodzić nie przestanie. Indywidyum okserskie przybyło do Paryża dla ułożenia ostatecznych planów i dania szczególnych instrukcyi, aby który z oddzielnych korpusów jakiego bąka nie wypalił. Indywidyum, które ma niebawem wyjechać na miejsce swego przeznaczenia, przyjmowane i karmione było z nadzwyczajną attencyą, dyplomacya była z niem *aux petits soins*, nakładała mu fajkę, wygrzewała pantofle, paliła w piecyku, przyrządzała herbatę, a ono indywidyum

w nowym, jedwabnym szlafroku, w modnej mycce z kutasikiem:

Usiadlszy na końcu stoła,
Wsparło się w boki jak basza;
Befsztyk z Honoratki woła,
Krzyczy, tumani, przestrasza.

i z potężnie długim cybuchem w ustach, na wzór Lubeckiego w dniach Rewolucyi na Sali bankowej, podobne do Wezuwiusza przed wyrzuceniem lawy, bucha kłębami dymu, a wśród tej apoteozy:

Radzą, piją, lulki palą,
Krzyki, wybryki, swawola,
Mało domu nie rozwalą:
»Hola, Honoratko, hola!«

Jakże przykro czytać te płaskie błazeństwa wychodźców, pisane w chwilach, gdy Mochnacki gonił już resztkami życia i te resztki jeszcze trawił w działaniu dla sprawy. Jeszcze przed wyjazdem do Paryża czuł się źle, kaszlał, nie oszczędzając jednak siebie, podążył do Paryża. »Maurycy 7-go wyjechał do Paryża, nie mogliśmy mu wyperswadować tej podróży« pisze świadek jego ostatnich chwil major Dębowski: »23 listopada powrócił do Auxerres znacznie osłabiony, z mocnym kaszlem. Przywiózł sobie proszki z Paryża, zapisane przez polskiego doktora Wołowskiego, które nazajutrz zaczął zażywać. W cztery dni kaszel zupełnie ustał, ale za to ból w krzyżach i głowie zaczął dokuczać. 29 listopada chciał Maurycy jeść z nami obiad, siedział u stołu, ale widać było cierpienie na jego twarzy, i nic prawie nie jadł...« i t. d. Tak więc w istocie owo indywidyum okserskie, które *Tygodnik* w jednym z dalszych numerów znów nazywał kuglarzem politycznym, arlekinem (8 grudnia 1834 roku) dogorywało. W numerze *Tygodnika* z 23 grudnia, a więc już w trzy dni po śmierci Mochnackiego, o której wiadomość widać jeszcze nie dostała się do redakcyi, znajdujemy list grupy

Polaków z Auxerres z 18 grudnia 1834 roku, protestujący przeciwko pismom okserskim, wspominający o »głównej sprężynie poruszającej machiną Zakładu«, jako o »sprężynie kuglarstwa politycznego«. Pod listem podpisane 8 nieznanych, nic nie mówiących nazwisk; biedni, obłąkani polityczną manią prześladowczą wychodźcy lżyli wielkiego rodaka-wygnańca, już gasnącego wówczas na łożu śmiertelnej choroby, kochającego Polskę równie gorąco, bezbrzeżnie, jak oni, tylko rozumniej od nich. Jakże dziwnie brzmią te przekleństwa, jakie miotali na umierającego Mochnackiego współwygnańcy, w tej małej mieścinie francuskiej, w oddaleniu od nieszczęsnej ojczyzny, do której biegły wszystkie myśli i uczucia i ich i jego!

Nakoniec, w numerze *Tygodnika* z 2 stycznia 1835 roku znajdujemy notatkę: »W Auxerres-Yonne d. 20 grudnia r. z. zakończył życie Maurycy Mochnacki«. Jak gdyby wstyd poruszył sumienie nie zgłuszone zupełnie przez nienawiść: »Nie wchodzimy w ocenianie ani życia publicznego, ani pism, które ogłosił; ograniczymy się na prostem wyliczeniu faktów«. Pod koniec nekrologu znajdujemy nawet wyraz uznania: »Powstawaliśmy ciągle przeciw działaniom Mochnackiego w ostatnich miesiącach życia jego, gdy talent swój poświęcał partyi ks. Czartoryskiego; lecz ganiąc zdrożności, nie możemy odmówić czci zasługom jego dla Ojczyzny i talentowi. Polska straciła w nim najlepszego z pisarzy«.

Umiarkował się więc wobec śmierci Mochnackiego w swej zapalczywości wydawca *Tygodnika*, — lecz nie wydawca *Nowej Polski*; dla Ibusia Ostrowskiego plwanie na trumnę było fraszką. »Uwagi nasze nad pisemkiem szanownego Nabielaka już mieliśmy złożone i odbite«, pisze *Nowa Polska* (str. 292): »kiedy nadeszła wiadomość, że M. Mochnacki zakończył życie«. Dalej następuje parę niezrównanych zdań: autor rozpoczyna je obłudną powagą żałoby, a kończy zaraz to samo zdanie obelgami dla zmarłego: »Tej chwili zagasła nasza prosto polityczna niena-

wiść przeciw nieistniejącemu nieprzyjacielowi prawdy, wolności i Polski. Polemicznemi sposobami nie chcemy urągać cieniom, zapewne żałującym swoich złudzeń za życia, i przekreślamy wszystko, co naszem zdaniem szan. Nabielak, mniej właściwie, może ubliżając dostojności rewolucyjnych opinii, o M. Mochnackim nadmienił: zapewne szlachetnie uniesion spomnieniami przyjaźni i pod wpływem niezwyciężonym oczarowania, jakie rzucać umiał człowiek, który przy giętkim umyśle, przy zręcznej i zbrojnej dyalektyce, przy rzadkiej łatwości i niekiedy ujmującej prostocie, za mocno rażącej świetności swoich wyrażeń, szatańskie i boskie dzieła zarówno podnosił. Podobny... tym świadkom piotrkowskim, którzy na pierwszy rozkaz dawali swoje obojętne sumienie«. Nie opamiętał się Ostrowski bynajmniej po śmierci Mochnackiego i przy każdej sposobności lżył jego pamięć; gdy generał Dembiński wydał sympatyczną o Mochnackim broszurę, Ibuś Ostrowski obrzucił obelgami i generała i pamięć Mochnackiego. »Mówiła złośliwa opinia, że M. M. miał zwyczaj sprzedawać swoje pióro i swoje sumienie, że dni ostatnich był opatrzony bogatemi jurgieltami polskiej arystokracyi. Jenerał Dembiński zaręcza, że M. M. umarł ubogi« [1] — tę i inne nikczemne insynuacye odświeża Ostrowski przy każdej okazyi. Dowiedziawszy się, że rodacy w Auxerres postanowili wystawić nagrobek Mochnackiemu, znów Ibuś się odzywa: »M. M. moralnie i politycznie zesromocił sam siebie, puścił na wszeteczny frymark swoje sumienie...« [2].

Nie znajdziemy w tych pismach ani śladu spokojniejszej oceny Mochnackiego: stek obelg i nic ponad to. Pytanie natomiast, jak czciły pamięć Maurycego Mochnackiego pisma obozu zachowawczego. W chwili śmierci Mochnackiego wychodziła *Kronika Emigracyi Polskiej*,

[1] Nowa Polska, strona 335.
[2] Nowa Polska, strona 374.

organ zbliżony do księcia Czartoryskiego i Towarzystwa Literackiego. Pismo to, dobrze redagowane, przetrwało od roku 1834 do 1839. Mochnackiemu, oprócz krótkich, pochlebnych wzmianek, nie poświęciło żadnej większej pracy. Głównymi redaktorami *Kroniki* byli Kunatt, Karol Hoffman, Ksawery Bronikowski i Karol Sienkiewicz. Było to pismo, wyznające opinie monarchiczne, pod względem społecznym — umiarkowanie reformistyczne, pod względem akcyi narodowej — rozważne, dyplomatyczne. W prostej natomiast linii od zmarłego Maurycego Mochnackiego wyprowadzało się pismo *Kraj i Emigracya*, które powstało w roku 1835; wydawcą jego był Janusz Woronicz, jeden z przyjaciół i wielbicieli Maurycego. Pismo to wychodziło zeszytami większymi, jako »zbiór pism politycznych i wojskowych« od 1835 r. do 1843 r. Odrazu na wstępie do numeru pierwszego redakcya pisma powoływała się, jako na testament polityczny, na pismo okólne okserskie Mochnackiego, na jego słowa o tem, iż Polska powstać musi o własnych siłach, na drodze wojny narodowej nieubłaganej. Wstęp ten stwierdza, że ulotne pisemka pod koniec życia Mochnackiego w świat wypuszczone, stanowić miały zawiązek nowego pisma. »Śmierć M. Mochnackiego przerwała pismo z takim rozpoczęte talentem. Długo wahaliśmy się, czy je nam dalej prowadzić przystoi? czy nam sił wystarczy? Przemogło nakoniec przekonanie, że potrzeba wyraźnego pisma jest dzisiaj naglącą...« [1]. Charakter pisma był wyraźnie insurrekcyjny.

[1] Aleksander Jełowicki, zbliżony do Mochnackiego w ostatnim jego życia okresie, wkrótce po jego śmierci wydał książeczkę: O powstaniu i o wojnie partyzanckiej. Paryż, w księgarni i drukarni polskiej. 1835. Składa się ona z dwóch rzeczy: »O powstaniu« — Jełowickiego Aleksandra i »O wojnie partyzanckiej« — generała Chrzanowskiego. W przedmowie do książki pisze Jełowicki, iż dla sprawy polskiej konieczne jest zbadanie naszych powstań. »Czuł tę prawdę genialny nasz pisarz. Historya Mochnackiego, tak jak geniusz jego, zaczęła się rozwijać z ogromem, obejmującym Polskę od morza do

W pierwszym zaraz zeszycie naprzód jest mowa o konieczności powstania zbrojnego; dalej artykuł »Władza insurrekcyi«, potem »Wojna wandejska«, »O kosie« — wszystkie omawiają z otuchą widoki powstania. Ten sam temat rozwijają następne zeszyty. Jeśli pod względem narodowo-insurrekcyjnym pismo to przemawiało bardzo gorąco i donośnie, jaskrawiej jeszcze od demokratów, to pod względem polityczno-społecznym zbliżone było wyraźnie do *Kroniki*. Powinowactwo pomiędzy dwoma wydawnictwami było widoczne, pismo *Kraj* i *Emigracya* było nawet wprost zasilane pracami przez filary *Kroniki*. Naprzykład, w zeszycie 7-ym *Kraju* z 1836 roku wydrukowano pracę: »Cztery powstania, czyli krótki wykład sposobów, jakiemi dobijały się o niepodległość Grecya, Hollandya, Portugalia i Polska« przez K. A. H. Pod tym kryptonimem pisał Karol Hoffman.

Spokojna atoli dyplomatyczna *Kronika* niebawem zaczęła, przynajmniej oficyalnie, miarkować organ młodych zelantów insurrekcyi. O pierwszym i drugim zeszycie *Kraju i Emigracyi Kronika* zachowywała milczenie. po wyjściu trzeciego i czwartego zeszytu umieściła mity-

---

morza... Mochnacki z powstań naszych nieszczęśliwych miał wyciągnąć naukę szczęśliwego powstania, jedyną, wielką. W tem oczekiwaniu my, powstańcy, znosiliśmy Mochnackiemu krwią i upadkiem okupione doświadczenie i jak chorzy lekarzowi opowiadaliśmy przyczyny dzisiejszej niemocy naszej«. Zapowiada systematyczne wydawanie pamiętników o powstaniach naszych, liczy wiele na współpracownictwo Feliksa Wrotnowskiego, który przygotowuje rys powstania na ziemiach zabranych. »Pierwszą częścią jego pracy będzie rys powstania na Litwie. Drugą częścią będzie historya powstania na Podolu i Ukrainie, ułożona z pamiętników, przygotowanych dla Mochnackiego przez naczelników powstań tych prowincyi«.

W tym samym roku 1835 wyszła książeczka Wincentego Nieszckocia: »O systemie wojny partyzanckiej, wzniesionym wśród emigracyi«; autor polemizuje z pismami okserskiemi Mochnackiego i z broszurą Chrzanowskiego.

gującą notatkę: »Pismo to wielce się zasłużyło artykułami wojskowemi; ale artykuł polityczny »Niepodległe powstanie« ciężko grzeszy. Systemat szlachetnej niecierpliwości naprowadził wydawców na plany, które najniezawodniej nie są drogą ani do Powstania, ani do zbawienia naszego«[1].

»Szlachetna niecierpliwość« wydawców kazała im niebawem uchwycić się idei, która w niemałym stopniu dyskredytowała, w oczach emigracyi i kraju, wyznawców idei i osobę, do której program swój nawiązali. Oto zaczęli szerzyć myśl dynastyi Czartoryskich w przyszłej Polsce; nie dość na tem, otwarcie głosić zaczęli, że książę Adam Czartoryski jest już wówczas na emigracyi królem polskim *de facto*. Ten »melodramat dynastyczny«, jak nazwał później cały ten pomysł A. Wielopolski w »Liście Szlachcica polskiego do ks. Metternicha« starano się oprzeć na Mochnackiego przedśmiertnych wskazaniach. Pismo, które ten program dynastyczny po *Kraju i Emigracyi* w spuściźnie objęło, wyraźnie się na Mochnackiego powoływało, twierdząc, że »ludzie prości, ale gorliwi i szczerzy« podnieśli tę ideę króla, jako »sierotę po wielkim publicyście rzuconą na ulicę«[2].

Demokratyczni przeciwnicy nowego obozu dynastycznego gwoli tem większemu ośmieszeniu całego programu, jako pierwszego jego herolda przedstawiali znanego wierszomana emigracyjnego księdza Tomasza Praniewicza, który w roku 1833 wydał swoje nad wszelki wyraz nieudolne i pocieszne »Uwagi nad Polską, mową potoczną i wierszem«. Uwagi Praniewicza stały się później niewyczerpaną kopalnią drwin i żartów dla emigracyi, a ponieważ orzekł się on jako gorliwy adept dynastyi Czartoryskich, nie omieszkali z tego skwapliwie skorzy-

---

[1] Kronika Emigracyi Polskiej, Tom IV, rok 1836, strona 240.
[2] »Trzeci Maj«, 15 maja 1840 roku.

stać demokraci[1]. Z właściwą atoli propagandą dynastyi Czartoryskich wystąpił nie ośmieszony wierszokleta w sutannie, lecz wydawca pisma *Kraj i Emigracya*, Janusz Woronicz. W zeszycie 9-ym *Kraju* z 1839 roku umieszczona została programowa jego rozprawa »Rzecz o monarchii i dynastyi w Polsce«; rzecz ta przedtem odczytana była przez autora na posiedzeniu Towarzystwa Literackiego 14 stycznia 1837 roku[2].

Kronika Emigracyi polskiej propagowała myśl dynastyi narodowej dyskretniej, głównie za pośrednictwem zdolnego pióra Karola Sienkiewicza. Kto czyta artykuł jego »Władysław Łokietek« w VI Tomie *Kroniki*, ten z łatwością pojmie, kogo mógł mieć wówczas na myśli autor, gdy przypominał pamięci rodaków tego króla-wygnańca, dla którego »całą konstytucyą Państwa było: Polska — to Ja, a Polak — kto mi służy«, który »zacnej, rzewnej, patryotycznej szlachcie polskiej, nie przez targi, nie przez narady, nie przez zalecanki starł z oczu ślepotę, z serca krnąbrność, ale przez ten instynkt władzy, któremu w najtrudniejszych razach wiernym pozostał«. Karol Sienkiewicz bowiem może być uważany nawet za pierwszego otwartego inicyatora ogłoszenia królem ks. Adama. Czynił to atoli wtedy, gdy to proklamowanie króla mogło mieć jakąś racyę, mianowicie w czasie powstania listopadowego. Po obaleniu rządu pięciogłowego i ustanowieniu prezydentury Krukowieckiego złożył Karol Sienkiewicz u laski marszałka Sejmu projekt swego pióra, datowany

---

[1] W »Uwagach« ks. Praniewicza był taki wiersz o Czartoryskim:

»Tak jest, ojczyzno! nam drogie —
Świetną twoją okazałość
Nie utłumią klęski srogie —
W Czartoryskim pewna całość!
Niebo! uchowaj Adama pierwszego!
By Polak ujrzał wolność kraju swego!«

[2] Kronika Emigracyi, Tom V, 1837 roku, strona 380.

20 sierpnia 1831 roku: »O zbawieniu Polski przez okrzyknienie króla«, w którym wyłuszcza, iż król tylko w obecnej chwili powstanie zbawić może, i daje kreskę za księciem Adamem. Wspomina w tem piśmie, iż wyjawia obecnie myśl, która go opanowała, gdy toczyła się sprawa Reformy Rządu. Z upadkiem jej nie śmiał się przed nikim ze swym projektem objawić, teraz atoli po nocy 15 sierpnia znalazł nową pobudkę. »Niech Sejm ratuje tym krokiem i siebie i Ojczyznę. Jutro może późno będzie. Uderzony wielorakiem niebezpieczeństwem naszem, odzywam się jak ów niemy, któremu podniesiony miecz nad ojcem nagle mowę przywrócił« [1].

Rozważny atoli Karol Sienkiewicz, sekretarz i wierny adlatus księcia Adama w kraju i na wygnaniu, zbyt dobrze rozumiał, wraz z gronem redakcyjnem *Kroniki*, że »szlachetna niecierpliwość« może łatwo na szwank i śmiech wystawić na emigracyi i całą myśl dynastyi i osobę ks. Adama. Uważali przeto za właściwe przezornie zastrzedz się przeciw krańcowym konsekwencyom myśli dynastycznej i odgrodzić i księcia Adama i siebie od melodramatu dynastyi *in partibus infidelium.* Jakoż praca Woronicza spotkała się z życzliwą admonicyą na szpaltach *Kroniki.* »Politycznie zgnębieni, wszyscy niewiele możem, ale najwięcej z nas może Książę Czartoryski... i oto jest tajemnica, dla której zawsze i wszędzie Ks. Czartoryskiego poczytujemy za naturalnego Naczelnika Emigracyi, za naturalnego sternika sprawy... Do czego doprowadzi naczelnictwo X-cia Czartoryskiego, czy mu zgotuje koronę, czy nie, jest to dla nas, na teraz, rzeczą obojętną; bo to nastąpi lub nie nastąpi samo z siebie; w Europie monarchicznej Polska musi być monarchiczną... Wprzód być, a potem jak być, oto jest prawidło, którego się trzymaliśmy, trzymamy i trzymać nie przestaniemy«.

---

[1] Memoryał ten wydrukowany w pismach Karola Sienkiewicza, Prace Historyczne i Polityczne, strona 253.

»Pismo *Kraj i Emigracya* idzie dalej; niedosyć mu na naczelniku, chce dynastyi, chce króla, widomego, a zatem ogłoszonego, chce jednem słowem uznania za króla księcia Czartoryskiego i to dziś, natychmiast, na wygnaniu, przed rozpoczęciem powstania, gdyż może jutro już będzie zapóźno (str. 283). Oczywiście, doktryna od doktryny *Kroniki* odmienna i z nowej strony atak na prawidło: wprzód być, a potem jak być«. Dalej mówi *Kronika*, iż główną pobudką propagandy *Kraju* jest myśl, że w powstaniach niepospolitą jest siłą urok majestatu i dynastyczny interes. »Któż przeczy tej prawdzie? Kiedy już wszystko stracone, któż nie widzi ostatniej nadziei zbawienia narodu w dynastyi? Niestety, nie mamy dynastyi, zatarły jej tradycye trzy wieki ślepoty narodu. Prawowitości *(légitimité)* improwizować nie można. Do prawowitości potrzebna albo długa possesya albo uznanie narodu, trzeba albo ją posiadać jak Ludwik XVIII, albo opanować jak Ludwik Filip. O jednej i drugiej w Emigracyi nie może być mowy. Korony bez possesyi lub zdobycia, bez prawa lub czynu nie pojmujemy; każda inna byłaby tylko subtelną fikcyą, a w fikcyi właśnieby brakowało tego, czego szukamy: uroku. Bo taka jest natura rzeczy ludzkich: urok przywiązuje się naprzód do siły, potem do prawa, nigdy do nadziei, choćby najuczciwszych nadziei«. Dalej, przypomina, iż pod ciężarem śmieszności upadają zabiegi ruchawki demokratycznej na wychodźctwie, i kończy: »Nie. *Kronika* przynajmniej nie będzie chwalić w ludziach sumiennych i praktycznych, co potępia w niedoświadczonych i namiętnych; i dlatego wydawcom *Kraju i Emigracyi* życzy szczęścia, ale nie wróży skutku« [1].

Tak strofowała po ojcowsku *Kronika enfants terribles* idei dynastycznej. Leżało atoli w naturze wychodźctwa, iż i obozy i pisma półśrodkowe, umiarkowane liczyć

[1] Kronika Em. P., Tom VIII, str. 271.

na powodzenie długotrwałe nie mogły. *Demokracie Polskiemu*, namiętnie zwalczającemu szlachtę i propagującemu gorąco ideę ludową, mogła dotrzymywać placu nie umiarkowana, oględna *Kronika*, lecz tylko organ gorliwców przeciwnego kierunku, chociażby nawet maniaków i fantastów, lecz wkładających zapał w swój program. Jakoż w roku 1839 *Kronika* zakończyła swój żywot, od 10 grudnia 1839 roku wychodzić zaczął *Trzeci Maj*, wyraźnie i otwarcie głoszący zasadę, wyłożoną w broszurze Woronicza. Głównym redaktorem pisma był z początku Ludwik Orpiszewski. W numerze pierwszym pisma redakcya nawiązuje swe rozpoczynające się wydawnictwo do broszury Woronicza i oświadcza: »Jeżeli Polska nie może powstać tylko przez wojnę narodową; jeżeli w powstaniu musi być król widomy, a tym królem musi być Polak — ks. Adam, jako naczelnik rodziny, przewodniczącej interesom polskim od lat tylu, jako figura najznakomitsza w kraju i zagranicą, jako reprezentant interesów narodowych i osobisty antagonista Mikołaja, jest naturą rzeczy i zbiegiem okoliczności naznaczony na tego króla — jest *de facto* Królem Polskim«.

Pismo *Trzeci Maj* i stowarzyszenie monarchiczno-insurrekcyjne, z adeptów władzy królewskiej Księcia Adama złożone, a którego pismo to było organem, przy każdej sposobności w uroczystych oświadczeniach powoływały się na testament polityczny Mochnackiego, pozostawiony w pismach okserskich i w zakończeniu drugiego tomu *Powstania*, a zawierający jakoby *in nuce* myśl dynastyi Czartoryskich, podniesioną »jako sierotę po wielkim pisarzu« przez Trzeciomajowców. Oczywiście, było to naciąganie sztuczne myśli Mochnackiego do własnych programów. Mochnacki zarzucał powstaniu, iż ustanowiło monarchię bez monarchy, Mochnacki radził emigracyi, aby zarzuciła swary i oddała się pod ster jednej osoby, wskazując domyślnie osobę księcia Czartoryskiego, Mochnacki wreszcie radził myśleć przedewszystkiem o odzyskaniu

bytu politycznego pod silną władzą, radził zaprzestać siania waśni społecznej domowej przed odzyskaniem niepodległości, — lecz od tego wszystkiego do proklamowania królem polskim Adama Czartoryskiego przez szczupłe kółko wychodźców było niezmiernie daleko. Przeciwnicy Mochnackiego byli w tej mierze sprawiedliwsi względem niego od przyjaciół i wielbicieli. *Demokrata polski*, szydząc z Trzeciomajowców emigracyjnych, słusznie wykazywał, że nie mają prawa powoływać się na Mochnackiego. »Między wyrzucaniem nieloiczności sejmowi w czasie rewolucyi, a włożeniem na tułactwie papierowej korony na głowę Czartoryskiego niezmierzona zachodzi przestrzeń« — przyznawało pismo, wogóle Mochnackiemu wrogie — i nie chciało wierzyć, aby Mochnacki »tak dalece zgłupiał, jak go *Trzeci Maj* wystawia« [1].

Istotnie, któż skwapliwiej od Mochnackiego przestrzegał, aby nie określać politycznej i społecznej formy bytu Polski przed odzyskaniem niepodległości! To przedwczesne narzucanie kształtów bytowi przyszłej Polski przyrównywał do »płodu zbyt skwapliwego, który się podrzuca w brzemieniu i targa na wszystkie strony«. Po za tem, Mochnacki, który tak czujnie chwytał i piętnował wszelkie fikcye i anomalie polityczne, który tak nienawidził formy politycznej bez treści, który tak wyszydził i potępił m o n a r c h i ę b e z m o n a r c h y w czasie powstania, czyż mógłby zalecać o wiele większy dziwoląg polityczny: m o n a r c h ę b e z m o n a r c h i i, b e z p a ń s t w a? Tam przynajmniej był surogat monarchy — rząd pięciogłowy, tu wszystko było snem, chimerą, w najlepszym razie — przyszłością, której proklamowanie przed czasem nie miało celu ani sensu. Jeśli na widok pentarchii powstańczej, według słów Mochnackiego, »patron Polski zrazu rzewnie zapłakał, a potem parsknął od śmiechu«, to czyż wobec

[1] Demokrata Polski, wydawany w Poitiers, z r. 1841, Tom III, strona 114.

intronizacyi Adama I, jako króla *de facto*, — na wygnaniu, nie stanąłby przed Mochnackim obraz patrona Polski z gorzkim uśmiechem na twarzy i czyż nie odstraszyłby głos trzeźwego rozsądku jego, tak przenikliwego krytyka, od wszelkiego udziału w melodramacie dynastycznym?

Jeśli atoli myśli o monarchii polskiej przyszłej, na szpaltach *Trzeciego Maja* rozwijane, pod szkłem chłodnej krytyki wyglądać dziś mogą, jedynie, jak igraszka umysłów, zasługująca na pobłażanie z uwagi na szacowną intencyę, jeśli ogłoszenie króla na emigracyi — wyglądać może na wytwór nastroju chorobliwego, na podszept widzeń sennych, to jednak kto głębiej wniknie w dusze Trzeciomajowców, tem mniej może skłonny będzie do śmiechu szyderczego, niż podrażnieni walką stronniczą Demokraci. Dziwne, smutne położenie emigracyi, od kraju oderwanej, musiało rodzić dziwne objawy, gorąca chęć służenia krajowi na wygnaniu, bez możności oddziaływania na kraj, na naród, musiała wywoływać gorączkę płonnych, czczych usiłowań; zapał czynu, nie mającego pola właściwego, trawił i paczył szlachetne dusze; do tych umysłów, dręczonych przez nieukojoną tęsknotę czynu, trawionych przez nieziszczone marzenia, chimera łatwy znajdowała dostęp. Demokraci snuli projekty przewrotu lub reform społecznych, roztrząsali zdobycze socyalne Zachodu, nicowali przeszłość Polski. Cóż zaś uczynić mieli ci, którzy postawili stałą zasadę: pierwej insurrekcya, a potem reforma? Literalnie stosując się do tej zasady — powinni byli obmyśleć techniczne środki powstania, opracowywać plany wojskowe, szukać sprzymierzeńców. To czyniło pismo *Kraj i Emigracya;* niepodobna, atoli, było uśpić myśl polityczną i społeczną; wytrwanie surowe przy zasadzie: pierwej być, a potem jak być, byłoby możliwe chyba tylko w nadziei, raczej nawet — przy pewności niedalekiego powstania. Tej pewności, atoli, przynajmniej od czasu wyprawy Zaliwskiego nie było, być nie mogło. A więc zaczęto snuć myśli, marzenia o państwie polskiem.

Dusze niecierpliwsze, znużone snuciem planów oderwanych, szukały wcielenia swych marzeń, poszukiwały widomego obrazu, pragnęły, żądały zobaczyć własnemi oczami chociażby fragment przyszłej Polski, musiały uzmysłowić, ucieleśnić marzenie; tak powstała dynastya na wychodźctwie. Myśli o państwie Polskiem nie mogły spocząć, rozwijały się, parły naprzód; wóz idealny, na którym mknęły w przyszłość urojoną, obracał koła w powietrzu, ale nie sposób było wstrzymać jego pędu. Nie tylko atoli ból serdeczny, szlachetne cierpienie uszanować należy w tych rojeniach o Polsce królewskiej; przyszłość z pewnością wykryje tam niejedno cenne ziarno twórczości narodowej, niejedną myśl, uronioną przez geniusz narodowy na pustyni, nie doniesioną do Ziemi Obiecanej... Warto choćby przelotnie rzucić okiem na widzenia, jakie ukazywały się wygnańcom w śnie niespokojnym, gorączkowym. Rozpamiętywano nieraz w tem gronie insurrekcyjno-monarchicznem zdarzenia ubiegłego powstania, starano się dociec przyczyny klęski, wykryć główne wady narodowe; charakterystyczne, że w rozprawach tych nie spotykamy tego utartego szablonu, który klęskę Polaków przypisywał albo przemocy wroga, albo osławionej niezgodzie polskiej. W ocenianiu powstania widoczny był ogromny wpływ dzieł Mochnackiego; nie przemoc nas zmogła, nie niezgody zabiły, lecz jedynie brak stałej woli, brak jednolitego kierunku, nadmierna, karygodna gotowość do poświęcania zbawiennego przekonania na rzecz świętej zgody, skłonność do kompromisu, do półśrodków — taki był ogólny wniosek w tem gronie, świadomie czy bezwiednie odbijający poglądy Mochnackiego. Weźmy, naprzykład, posiedzenie Towarzystwa Literackiego dnia 16 stycznia 1840 roku, na którem pułkownik Władysław Zamoyski odczytał wyjątek z pamiętników swoich, dotyczący dnia, poprzedzającego bitwę Ostrołęcką: »Zgoda między jenerałami Skrzyneckim i Prądzyńskim, ile w mocy było jednego i drugiego, była w chęciach najszczerszą,

ale sprzeczność charakterów i sposobów widzenia pozostała ta sama. Zaszło więc, co najzgubniejszego zajść może, gdzie rzecz idzie o kierunek czynności stanowczej, to jest: zbliżenie dwóch myśli sprzecznych, ustępujących sobie wzajemnie, wykonywanych kolejnie, nawet jednocześnie, a zawsze cząstkowo tylko«.

»Chęć zgody nie wystarcza, by stworzyć działania zgodne: dwa dążenia sprzeczne pogodzić się nie dadzą; jedno przed drugiem ustąpić powinno, tak, aby się zrobiło działanie jedno, silne, wyraźne, we wszystkich częściach swoich zgodne... Rzadkiem jest to położenie, w którem jeden tylko plan zbawienia da się przyjąć...«

»Cudzoziemcy zarzucają nam niezgodę wieczną w rzeczach publicznych. Sami także powtarzamy to twierdzenie — że Polacy na jedno zgodzić się nie umieją: a przecież, patrząc na wypadki, w żadnem społeczeństwie nie widzimy tyle, ile między nami, skłonności serc do zgody, ani tyle powszechnej instynktowej odrazy przeciwko tym, którzy uporem przy zdaniu swojem przeszkadzają zgodzie. W każdej okoliczności widoczna jest u nas skłonność do zgody — do zjednoczenia. Dlaczegoż taka sprzeczność między dążeniem a rezultatem?«

»Widzimy w innych krajach stronnictwa nierównie zaciętsze, widzimy walki wiekowe pomiędzy niemi, widzimy nawet krwawe wojny domowe; a nietylko że te walki nie prowadzą koniecznie do upadku narodów, ale zda się owszem, jak żeby się na nich opierało życie narodowe«. Podziwia Zamoyski »uczucie braterskie, które stanowi cechę naszego narodu«. »Ale przy zachowaniu tych uczuć błogich, tej miłości braterskiej, polskiej, chrześciańskiej, potrzeba nam koniecznie zrozumieć: że nie brak chęci zgody gubi nas, ale brak tych wyobrażeń jasnych, wyraźnych, które z jednej strony wiążą silnie do myśli raz przyjętej; z drugiej, pozwalają oceniać myśl przeciwną; które uczą w każdej okoliczności

wybierać między dwiema myślami jedną; że gorszym i szkodliwszym od zaciętości w zdaniach, sprawy publicznej dotyczących, jest brak gruntownego i głębokiego przekonania o tych materyach, niepewność, wahanie i brak silnych postanowień. W pierwszym razie, bowiem, walka stronnictw, choćby kosztem ucisku jednego, przynosi ostatecznie zwycięstwo i siłę drugiemu stronnictwu, a tem samem tworzy siłę Narodową; w drugim, zachodzi stan bierny, stan powszechnej negacyi, zatamowanie, jakby zatkanie życia Narodowego, stan marazmu, jak ten, który nas przez ciąg ośmnastego wieku przysposobił do najazdu i podziałów«[1].

Te trafne, a nieco rozwlekłe rozważania czyż nie przypominają zupełnie uwag Mochnackiego nad rewolucyą listopadową, tylko jędrniejszych, barwniejszych. Weźmy trzeci list o polityce narodowego powstania w *Pamiętniku Emigracyi* z 29 września 1832 roku: »W rewolucyi polskiej szczególną rzecz postrzegam: żadna teorya, żadna wiara polityczna nie chciała uważać swego *credo* za kopalnią, którą do gruntu wyczerpać potrzeba. Nikt u nas tego, co dla kraju za zbawienne poczytywał, nie śmiał pomknąć do ostatniego kresu... Nie zdanie, ale mdłe poparcie zdania potępia historya... Cokolwiek albo jest siłą, albo nią stać się może, jest dobre w powstaniu. W rewolucyi, mającej na celu niepodległość narodu, to tylko jest złe, co nosi na sobie cechę pretensyi, albo to, co się tylko stało pretensyą. U nas rozmaite były pretensye. I tak pretensyą był patrycyat uprzywilejowany; pretensyą była demagogia, demokracya; pretensyą była monarchia konstytucyjna. Trzy wywieszono chorągwie; każda została rozdarta: żaden znak nie dochował się w całości. Nie umieliśmy zamienić w publiczną potęgę ani wzniosłej idei porządku, spokrewnionego z restauracyą terytoryalną Polski, pojętej w duchu zapadłych czasów, Polski rycerskiej

[1] Trzeci Maj, 23 stycznia 1840 roku.

i chrześciańskiej; ani idei dzisiejszego wieku, ocucającej jakby z letargu gmin, wielką massę, koniecznie zespolonej z rozprzężeniem, ruchem, anarchią, ani pośredniej między niemi idei monarchii określonej... Pod tym względem zarówno wszystkich obciąża wina naszego upadku. Nikt nie miał racyi, bo wszyscy byli słabi, choć razem wiele mogli«.

Gdy Towarzystwo Demokratyczne starało się wydrwić i zohydzić Trzeciomajowców, jako dworzan Księcia Pana, a w społecznych opiniach — przywileistów, chwalców szlachetczyzny, publicyści insurrekcyjno-monarchiczni starali się wyrwać żądło Demokratom i głosili, że idea monarchii polskiej nietylko nie grozi dążeniom do demokracyi, lecz jest wprost jedyną drogą do ziszczenia demokratycznego ideału. Republika szlachecka w Polsce wyrosła na gruzach władzy królewskiej i na gruzach praw ludu. Jedynie król mocen był obronić lud przed krzywdą szlachecką, jak to czynił król francuski; w przyszłości, gdy Polska powstanie, lud ciemny, ubogi, biedny w republice zawsze ulegnie możniejszej, potężniejszej szlachcie, monarchia jedynie zdolna jest dokonać emancypacyi ludu; twierdzili więc Trzeciomajowcy, iż oni to są szczerymi demokratami, Towarzystwo zaś Demokratyczne, głosząc dopięcie wszystkiego »przez lud«, świadomie wprowadza w błąd ogół; przeciwstawiając »lud« klasie oświeconej, — postępuje demagogicznie; propagując ostrą walkę klas — gotuje tryumf ciemięzcom Polski.

Już w jednym z pierwszych numerów, przypominając postać króla chłopków, Kazimierza Wielkiego, mówi *Trzeci Maj* (31 stycznia 1840 roku): »Lud i Korona, nierozerwanym węzłem spojone, w jednakową niewolę zapadły przez wieki«. »Pojmujemy monarchię w duchu demokratycznej dążności narodu«. »Ale utopiści nasi republikańskich teoryi pochwycili cudzoziemską formułkę »wszystko dla ludu przez lud« i wichrzą słowami, które nie mają żadnego znaczenia w Polsce. We Francyi mo-

narchia długą pracą wieków wydobyła siły moralne z ludu, dała temu ludowi moc działania, wprowadziła go w życie polityczne czynne; u nas potęga ludu jest bierna. Kto u nas mówi »wszystko dla ludu przez lud«, ten mówi, że lud będzie działał moralnie, sam przez się, przez reprezentantów, wyszłych z łona jego na scenę polityczną. U nas nikt słowem jednem i w jednej chwili nie wyprowadzi z chaty wiejskiej ani Thiersa, ani Arago, ani nawet Barbèsa. Kto u nas mówi: wszystko dla ludu i przez lud, ten równie bierze lud za narzędzie, jak ktokolwiek inny, ten narzuca mu swoją opiekę, a kłamie przeciw oczywistości; — ten, nakoniec, dzieli lud, w prawdziwem znaczeniu tego wyrazu, na dwa obozy, przemawia do mas nieoświeconych w imię egoizmu, chce strącić je z jakiej takiej oświaty moralnej i religijnej w dzikość, zamienić w hordy pod dowództwem kilku lub kilkunastu lub kilkuset dezerterów szlacheckich«.

8 lutego 1840 roku pisze *Trzeci Maj*, iż jeśli w formule: wszystko dla ludu przez lud — wyraz lud ma oznaczać »całą masę polskiego rodu bez żadnej różnicy«, wtedy hasło to oznacza tylko »wszelkie szczęście dla Polski przez Polskę«. Towarzystwo Demokratyczne atoli używa wyrazu lud na oznaczenie tego tylko, co obecnie nie jest szlachtą w Polsce, a zatem wyrazy wszystko dla ludu oznaczają wszystko dla części narodu; będzie to zatem, według terminu francuskiego, przywilej odwrotny *(privilège à rebour)*.

Propagandę radykalną ludową w Polsce czeka niepowodzenie — tę myśl rozwija artykuł z 15 marca 1840 roku. We Francyi w epoce W. Rewolucyi żywioł rewolucyjny przeważał swą liczebnością, oświatą, dobrobytem; Jakobini, znalazłszy gotową siłę, porwali na chwilę ster i w trudnej dobie osłabnąć Rewolucyi nie dozwolili. »Stosując przykład ten do Polski, nie można loicznie pojąć stanowiska, odpowiedniego Jakobińskiemu, póty, póki rewolucya polska nie okaże wszystkich warunków siły...

Towarzystwa radykalne w Polsce, pod względem akcyi, przedstawiają najdokładniejszy wzór niedołęstwa, jak to na postrach i przestrogę wszystkich ludzi czynu świadczy przykład śmiesznej pamięci Towarzystwa Patryotycznego 1831 roku«.

Chwytając Towarzystwo Demokratyczne za słowa, użyte w jego własnej broszurze, pyta *Trzeci Maj*: »Czyli rewolucya, pod hasłem Wszystko dla ludu przez lud prowadzona, »przy nizkiej oświacie tegoż ludu, przy prostodusznej jego łatwowierności, kiedy lud ten łatwo może być uwiedziony, za narzędzie przeciw własnemu interesowi użyty« (urzędowe wyrazy Towarzystwa Demokratycznego), czyli rewolucya taka, pytamy, ma rzetelne warunki siły?... Nadto słuszne mamy prawo zapytać się radykalistów: kto ich upewnił, że Moskale i Niemcy, którzy, jak to dobrze wiadomo, starannie w smutnej naszej przeszłości wygrzebują zarzewia bratniej rzezi, którzy bronią tą już nieraz na Polskę godzili — czyli ci sami Niemcy i Moskale i teraz nie zbiorą plonu z ziarna, jakie radykalizm niebacznie radby na polskiej zasiać ziemi?« Uważając, że rewolucya społeczna przez lud jest niepodobieństwem, *Trzeci Maj* zarazem nie sądzi, by można było reformę powierzyć szlachcie: »Lubo nie dzielemy bynajmniej radykalnej niechęci do oświeconej części narodu, to jest do szlachty, owszem, uważamy ją za pierwszą strażniczkę niepodległości, wszakże szukając w polityce rzetelnych rękojmi, nie radzibyśmy widzieli jakąkolwiek potrzebę zostawioną tam tylko dobrej woli interesowanej strony... Niepewna tam sprawiedliwość, gdzie wójta sprawa i wójt sędzią, powtarza polski kmiotek... Naszem przekonaniem, naturalnym sędzią między ludem roboczym a szlachtą jedynie tylko może być Król«.

Myśl monarchii demokratycznej w Polsce popiera niebawem *Trzeci Maj* 8 kwietnia 1840 roku takiem jeszcze rozumowaniem. Sama emancypacya włościan *de jure* nie zaprowadziłaby jeszcze równości *de facto*. »Każdemu wia-

domo, że majątek, oświata, wpływ miejscowy i tradycye znajdują się w wyłącznem posiadaniu szlachty; — i to jest, co stanowi różnicę *de facto*, nierówność, że się tak wyrazim w skutku, w rzeczy«. — Znać w tem rozumowaniu wpływ literatury francuskiej socyalnej, która zwłaszcza po doświadczeniach monarchii lipcowej, po objawieniu się niemocy faktycznej warstw niższych zaczęła odróżniać *égalité* 1789 roku od *égalité de fait*. Doświadczenie to przystosował *Trzeci Maj* do dziejów Polski. »Dlaczego, pomimo, że prawo dawnej republiki mieć chciało, aby szlachcic na zagrodzie równy był wojewodzie, dlaczego, pytamy, magnaci właściwie rej wodzili? Wszak faktum to nie uszło zapewne baczenia demokratów. Historya przedrozbiorowa rozwiązuje to pytanie w następujący sposób: Szlachta była głupia — wino tanie — magnaci możni — Wiedeń, Berlin, Petersburg magnatom starczył grosza. Mamy więc prawo zapytać dalej stronników powszechnego głosowania: Czy dzisiejszy chłop przezorniejszy, baczniejszy jest od dawnego szlachcica? Czy dzisiejsza wódka nie tańsza od dawnego wina?... Czy nareszcie Moskale i Niemcy, wyparci z Polski, wyrzekną się dlatego i środków, które im tak dzielnie były ułatwiły dzisiejsze panowanie w Polsce?... Odpowiedź na te ostatnie pytania jużeśmy znaleźli w pismach Towarzystwa Demokratycznego«. Tu *Trzeci Maj* zjadliwie cytuje słowa T. D., iż lud nasz przy prostodusznej jego łatwowierności łatwo za narzędzie przeciw własnemu interesowi użyty być może.

»Dążąc do zniesienia istniejącej *de facto* różnicy stanów w Polsce, należy zapisaną w prawie równość cywilną poruczyć wcielonej a potężnej opiece... Król w interesie swej dynastyi naglonym jest, aby spiesznem wyrobieniem nowych obywateli zniszczył monopolium szlacheckie«. Natomiast, wobec owej nierówności faktycznej »władza w republikańskiej Polsce szlachcie służyć musi... W co się obrócą usamowolnione na papierze massy?

Zostaną, jak są, albo pójdą nazad w chamy, a radykalni republikanie, ze swojem wszystko dla ludu przez lud pójdą w gapie«.

Śladem Mochnackiego idąc, sprowadza *Trzeci Maj* do absurdu twierdzenie, jakoby radykalna agitacya ludowa w Polsce miała być groźna dla Rosyi. Dla Rosyi głównym przedmiotem jest wytępienie narodowości polskiej, kwestya socyalna jest podrzędną, ma gabinet rosyjski biegłość w zastosowaniu się do okoliczności. »Po dwa razy opanowali Paryż w imię wyobrażeń demagogicznych, bez odrazy wspierali powstania republikańskie w Grecyi. — Alboż B. Chmielnicki, Żeleźniak, Gonta nie znaleźli u przodków Mikołaja silnego wsparcia przeciw szlachcie polskiej? A nie sąż to dla utopistów naszych istotni reprezentanci rewolucyi społecznej? Car rzekłby do powstającego przeciw szlachcie ludu: »Niechaj będzie własnością waszą ziemia, którąście zdobyli; opieka moja ubezpieczy wam jej posiadanie. Zamieńcie już oręż na lemiesz; używajcie, cieszcie się!« »Powolniejszych nawet znalazłby poddanych w ludzie, już do jarzma nawykłym«. (*Trzeci Maj*, 16-go czerwca 1840 r.).

Tak w kwestyi społecznej rozumowali ci, których Demokraci traktowali, jako obrońców szlachetczyzny. Nie było na Emigracyi obozu, któryby bronił przywilejów szlacheckich; rzekomi przeciwnicy demokracyi tem się jedynie różnili od oficyalnych jej adeptów, że nie dowierzali myśli przewrotu społecznego, idącego z dołu, lecz wierzyli w reformę społeczną w Polsce, idącą z góry, w monarchię demokratyczną. Naogół, teorye społeczne Trzeciomajowców szły w kierunku, wytkniętym przez Mochnackiego na emigracyi w rzeczy »O rewolucyi społecznej w Polsce« i w pismach okserskich. Była atoli i różnica. Mochnacki odrzucał agitacyę ludową, przeciwszlachecką w okresie Polski ujarzmionej, o Polsce wyzwolonej, o drodze, jaką w niej pójdzie reforma społeczna, nic stanowczego nie mówił; płynęło to z jego za-

sady, że naprzód o wyzwoleniu myśleć trzeba, a potem dopiero o urządzeniu ojczyzny; zresztą, nie zdążył jeszcze rozwinąć swych myśli; pisma okserskie były wszak tylko szkicem, początkiem programu; gotował się dopiero Mochnacki do głębszego, szerszego rozwinięcia programu narodowego, gdy śmierć go zaskoczyła. To też przedwczesne były mowy Trzeciomajowców o jego testamencie politycznym; w każdym razie komentowanie zbyt wolne jego ostatnich pism pozostaje na odpowiedzialności nie Mochnackiego, a komentatorów jego nadto żarliwych. Jeśli wypowiadane przez Mochnackiego już od sierpnia 1831 roku przekonanie, iż w Polsce nie ma tak głębokiej waśni wewnętrznej, jak we Francyi, zdradzało jego nadzieję, iż reformę społeczną, przy sprzyjających warunkach polityczno-narodowych udałoby się w przyszłości przeprowadzić drogą polubowną, niekrwawą, wytkniętą przez Sejm Czteroletni, to z drugiej strony, radykalizm jego natury, wstręt do półśrodków, głębokie stałe przeświadczenie o przewadze interesu narodowego nad wszelkim innym dawały rękojmię tego, iż gdyby nadzieje na ustępliwość szlachty go omyliły, łatwo w przyszłości mógłby się znaleść w obozie radykalistów społecznych — w Polsce niepodległej. Trzeciomajowcy przesądzali, wbrew Mochnackiemu, sprawę społeczną i co do przyszłej Polski wolnej. Nie będziemy, atoli, wkraczali w domniemania o tem, co nastąpiłoby w Polsce wolnej, gdyż tu zacierają się wszelkie granice przewidywań.

Bardziej blizkie rzeczywistości, bardziej istotne były myśli Trzeciomajowców o insurrekcyi. Tu nadzieje ich były równie żywe i zarazem równie płonne, jak i nadzieje Demokratów; różnica była ta, że Demokraci wierzyli w wielkie, zbawcze skutki dla Polski rewolucyi społecznej, ludowej na wschodzie Europy, Trzeciomajowcy wierzyli w niepożytą moc powstańczą, w dzielność wojskową narodu polskiego, zapoznając zupełnie olbrzymią zmianę warunków na niekorzyść Polaków — w porównaniu

z 29 listopada 1830 roku. Trzeciomajowcy o insurrekcyi przyszłej mówili z dziwnie lekkiem sercem, z wielką chełpliwością: »Ktoby dziś nie chciał wyjść z domu z orężem«, piszą 31 marca 1840 roku: »ten podobny jest bydlęciu, które nie chce wyjść ze stajni, ogniem płonącej. Możność wyjarzmienia jest: bo 320.000 ludzi ma Polska w szeregach nieprzyjacielskich; bo jest żywność w pełnych gumnach i polach zboża; bo Polska ma w łonie swojem żelazo, a strzelba z rąk Moskala i Niemca może przejść w ręce nasze«. W tych nawoływaniach do insurrekcyi *Trzeci Maj* wciąż nadaremno powoływał imię Mochnackiego, a i nawet poszczególne zdania o owych nieprzebranych bogactwach naturalnych i zasobach Polski są jakby żywcem wzięte z artykułu Mochnackiego »Układy«. Lecz artykuł ten pisany był — 16 września 1831 roku, wówczas gdy kilkadziesiąt tysięcy wojska polskiego stało pod bronią, pisany był nie dla zachęty do wywołania nowego powstania, lecz dla dodania otuchy powstańcom, którzy już oddawna i tak wszystko postawili na kartę, którym więc pozostało — zwycięstwo albo zagłada. Dnia 30 kwietnia 1840 roku znów pisze dziwnie buńczucznym tonem *Trzeci Maj*, wzywając do zbierania pieniędzy na powstanie: »odkazywania się nic nie znaczą: daj pieniędzy, gotuj się do powstania i słuchaj władzy«. Tak powoli zbliżała się insurrekcya 1846 roku, na której wybuch zresztą Towarzystwo Trzeciego Maja, zbyt bezsilne, zbyt mało popularne, w porównaniu z Towarzystwem Demokratycznem, nie wywarło żadnego wpływu. Wybuch powstania atoli Stowarzyszenie insurrekcyjno-monarchiczne powitało z całem uznaniem i otuchą, żądając jedynie poddania ruchu pod zwierzchni ster — króla *de facto*. Na wieść o wybuchu *Trzeci Maj* 28 lutego 1846 roku pisze: »z duszybyśmy pragnęli, aby na całej przestrzeni kraju ludność polska co najspieszniej z fatalnego kółka ciasnych konspiracyi przeniosła się na obszerne i ze wszech miar bezpieczniejsze pole czynu«. »Nieprzyjaciele nasi truchleć

już muszą« — sądzi i wyraża jedynie zdziwienie, że ruch odbywa się »bez odniesienia się do Władzy Narodowej, bez wiedzy i zezwolenia Księcia Adama«, nie traci atoli nadziei, że »rozpierzchnione siły mocnym łańcuchem zwiąże jedna narodowa władza«.

Dnia 7 marca 1846 roku Dyrektor Główny Towarzystwa Insurrekcyjno-Monarchicznego Trzeciego Maja Pułkownik Feliks Breański w hotelu Lambert odczytał Księciu Adamowi w imieniu stowarzyszonych adres z 6 marca 1846 r., z oświadczeniem, iż skoro uznane będzie naczelnictwo polityczne Czartoryskiego przez emigracyę, stowarzyszenie zawiesi swą doktrynę. Chciano więc tem ustępstwem utorować drogę porozumieniu i zjednoczeniu wszystkich obozów pod władzą Księcia Adama. Czartoryski przy tej sposobności oświadczył, iż nigdy nie zachęcał rozwijania teoryi dynastycznej w odniesieniu do niego, nie tamował jednak doktryny, widząc, że Towarzystwo wychowuje zastęp ludzi, chciwych posłuszeństwa i karności. — Rychło nastąpiła straszna klęska — rzeź galicyjska. Chociaż Trzeciomajowcy, którzy z taką łatwością mówili o setkach tysięcy zbrojnego ludu, gotowych do powstania, powoływali się na Mochnackiego, któż mógłby Mochnackiego pociągać pod pręgierz, choćby w tysiącznej części, za insurrekcyę 1846 roku? Wprawdzie w piśmie okólnem rzekł on, że Polska tylko własnym wysiłkiem zbrojnym w przyszłości wyzwolić się może, jednak od tej prostej, jasnej i ogólnej myśli do liczenia na sukces w roku 1846 w zamierzonej walce przeciwko trzem mocarstwom odległość była niezmierna. Wszak Mochnacki w swej *Historyi* rozważał troskliwie szczególnie, wyjątkowo pomyślne szanse Polaków w roku 1831, w powstaniu przeciwko jednej z trzech potęg, i niejednokrotnie powtarzał, że podobna sposobność nie prędko się przytrafi, a dla tych, którzy piętnastolecie od rewolucyi listopadowej przeżyli, jasne chyba było, że główne warunki powodzenia obecnie narodowi bądź przez przezornego przeciwnika,

bądź przez moc faktów odjęte zostały. Niepodobna wiązać niedojrzałą i nieszczęsną rzecz 1846 roku z imieniem człowieka, który był przeciwny wybuchowi 29 Listopada, uważając go za czyn zbyt niebezpieczny i za mało przygotowany, przy całej ogromnej przewadze szans powodzenia w roku 1830; wszak Mochnacki z zupełnym sceptycyzmem zachowywał się na wychodźctwie wobec niewczesnych prób wznowienia powstania, w rodzaju wyprawy Zaliwskiego. Uważał wprawdzie *Trzeci Maj* Mochnackiego za swego proroka; powtarzał, iż »Mochnacki, w odezwie Zakładu Auxerres, stanął, jako Mojżesz i różdżką swą kazał trysnąć zdrojowi praktycznego systematu z twardej skały nierozumu szlacheckiego« (13 kwietnia 1844 r.); źle jednak pojęli proroka wyznawcy i epigoni, strzaskałby pewnie z gniewu i żalu prorok tablice swe, gdyby tak zszedł na ziemię w roku 1846 i usłyszał swe imię, wzywane jako hasło w nieszczęsnej, z góry straconej sprawie.

Za to prorok przyszłości Mochnacki święcił jeszcze jeden smutny tryumf po śmierci; gdyby jednak nawet dożył do 1846 roku i tym razem tryumf ziszczonej przepowiedni byłby zagłuszony i zamroczony przez krwawy ból patryoty. Bo oto sprawdziły się fatalnie jego przestrogi, jego nieufność do rewolucyi, liczącej w Polsce na lud, ciemny, krzywdzony od stuleci, jego obawa, iż obcy wróg sam raczej rozedmie i rozogni ruch ludowy w Polsce, niż go się ulęknie. W cóż się obróciły szyderstwa Nabielaka, Heltmana nad półśrodkowością społeczną, nad stronną pobłażliwością Mochnackiego dla szlachty, nad zacofaną nieufnością do ludu? Nóż hajdamacki błysnął przed oczami zaślepionych Demokratów i straszliwie rozświetlił problemat społeczny — w tym kraju podbitym, z ludem ciemnym, a wrącym głuchą niechęcią ku własnym panom.

Zapewne, chłopi galicyjscy, którzy brali udział w rzezi, o propagandzie Towarzystwa Demokratycznego nie słyszeli. Przeciwnicy Towarzystwa Demokratycznego wpadali

w przesadę, przypisując jego propagandzie pewną winę w wypadkach. Ta nuta wyrzutu brzmiała teraz po wypadkach galicyjskich na szpaltach *Trzeciego Maja*; przy obchodzie trzeciomajowej rocznicy wysuwano ten zarzut w przemówieniach, przytoczonych na łamach gazety (dnia 9 maja 1846 r.), powracano doń wciąż w artykułach. »Centralizacya pomogła nieprzyjacielowi do przygotowania jej (t. j. rzezi)«, pisał *Trzeci Maj* 12 grudnia 1846 roku: »podniecając brudne pasye w społeczeństwie polskiem i zasiewając w niem pojęcia, w logicznem swem następstwie, prowadzące do wojny domowej, do rzezi... Wiedzieli, zaiste, nieprzyjaciele Polski, co czynili, powierzając Gurowskiemu misyę założenia rzeczonego Towarzystwa«.

Cóż atoli pozostawało Towarzystwu Demokratycznemu na obronę przeciwko tym zarzutom, a nieraz i stronnym napaściom? Oto — powołanie się na to, że ich propaganda i pisma do ludu galicyjskiego bynajmniej nie dotarły, że więc nawet pozór winy obciążać ich nie może. A więc położenie wywiązało się szczególne: Towarzystwo Demokratyczne musiało bronić się — dowodząc swej niemocy, swej bezsilności dotarcia do ludu. Z początku po wypadkach galicyjskich na szpaltach Demokraty Polskiego zalega grobowe milczenie. Artykuły wstępne omawiają różne sprawy, sprawy galicyjskiej nie potrącają, cios był zbyt ostry, zbyt niespodziany, oszałamiający. Próbowano ratować swe stanowisko — lecz jakże niewdzięczne to było zadanie. 18 kwietnia ogłasza *Demokrata Polski* odezwę Centralizacyi do emigracyi, a w niej słowa, iż ruch powstańczy »zbiegiem fatalnych okoliczności sparaliżowany został«, nie zapierając zresztą tego faktu, iż go Towarzystwo popierało; dalej twierdzi, iż okazało się, że »naród nie może być głuchym na prawdy, któreśmy głosili« i powołuje się na Manifest z 22 lutego 1846 roku, który, jak wiadomo, przyrzekał bardzo dalekie reformy demokratyczne i socyalne w przyszłej Polsce.

Nie zdobył się *Demokrata Polski* na to, aby przyznać, że »zbieg fatalnych okoliczności« — była to cała dotychczasowa historya Polski, z której przenikliwsi ludzie, jak Mochnacki, umieli lepiej czytać i zawczasu przepowiadać obrót wypadków; powołanie się zaś na Manifest z 22 lutego, który wśród tych warstw, na które miał głównie wywrzeć wrażenie, zupełnie nie był czytany, ani rozumiany, a jeśli wzbudzał zapał, to jedynie wśród inteligencyi, a więc przeważnie szlachty, a także słowa, iż na prawdy Towarzystwa Demokratycznego nie pozostał głuchy naród, przez który Demokraci wszak przedewszystkiem warstwy ludowe pojmowali, — brzmiały nieledwie, jako bezwiedna satyra na autorów takiej odezwy.

To też *Demokrata Polski* w tak ciężkiem położeniu wolał zresztą milczeć, a niebawem nawet na własnych szpaltach zamieścił artykuł, którego ustępy brzmią, jak *pater peccavi* — przyznanie się do błędu: »Po piętnastoletniej przerwie, znowu część naszej ziemi oblała się krwią, nie wrogów, lecz najzacniejszych swych dzieci, a co najokropniejsza, że tę krew wytoczyła samobójcza dłoń bratnia«.

»Szlachta ułożyła powstanie na zasadach demokratycznych; wyrzekła się własności gruntów chłopskich, pańszczyzny, danin, sądownictwa wiejskiego, nazwiska nawet szlachty, aby cały naród zlać w jedno ciało, w massę jednolitą; — a przecież chłopi z poduszczenia rządu rzucili się na szlachtę. Jakaż tego przyczyna?«

»Nie była to zemsta za ucisk doznawany, bo rząd austryacki tak oderwał, odosobnił Galicyjskiego dziedzica, że ten, utraciwszy wszelki wpływ bezpośredni na zło lub dobro chłopów, ucisk tylko rządowy osłaniać musi swem imieniem; bo niezawodną jest rzeczą, iż po większej części naprzód wymordowano ludzi podejrzanych rządowi za liberalne i uczciwe postępowanie z chłopami...«

»Byłże to skutek propagandy demokratycznej, jak to przeciwni demokracyi podnoszą? I to nie, bo propaganda

ta pod kierunkiem Towarzystwa Demokratycznego Polskiego i przezeń prowadzona, która wyrozumowała ściślejszem badaniem dziejów instynktowe dotąd uczucia i przekonała, że demokratyzm jest najwłaściwszym dla nas nietylko jako idea, ale jako konieczny wypływ przeszłości i obyczajów naszych, rozciągała się i przechodziła prawie wyłącznie do szlachty; lud, czytać nie umiejący, korzystać z niej nie mógł; jeżeli dochodziło co do uszu jego, jeżeli co wszczepiało się w umysł jego, było to słowo szlachty i przez szlachtę, a ta zapewne nie propagowała rzezi przeciw sobie. Jeżeli w początkach emigracyi i w kraju po 1831 r. pojedyńcze osoby, tu i owdzie odmienne żywiący przekonania, zaszczepiały jakąś niechęć i nieufność, jeżeli dla podniesienia ludu zanadto mówiły o jego prawach, dla wywołania siły za wiele o dawniejszym, a nawet dzisiejszym ucisku — osoby te prześlizgnęły się w kraju, nie mogły chwilowych doktryn swoich, osobistą namiętnością i nieszczęściem ojczyzny żywioną wlać w massy«.

Były to słowa prawdziwe, gdy atoli dwanaście lat temu Mochnacki podobne myśli głosił, odsądzono go od imienia demokraty. Jak w innych, tak i w tym wypadku gorzkich doświadczeń dopiero potrzeba było, aby jego słowa stały się powszechną wiarą.

Rozważając warunki odzyskania bytu niepodległego przez Polskę, zatrzymuje się Mochnacki na stosunku swego narodu do trzech mocarstw, które Polskę podzieliły i całą niemal uwagę skupia na jednem z nich — na tem, z którem właśnie naród stoczył niedawno walkę krwawą. W kreśleniu stosunku trzech mocarstw do Polski nie jest Mochnacki historykiem *stricto sensu;* i w historyi powstania wypadło mu nieraz, dla braku materyałów, popełniać nieścisłości, te atoli dane faktyczne, które przytacza na po-

twierdzenie swych poglądów na rozbiory Polski, na kongres Wiedeński, nie mogą być nawet nazwane materyałem historycznym. Mochnacki oznacza linie wytyczne stosunku Polski do narodów ościennych, jako publicysta, jako przenikliwy obserwator; szczegóły zabiegów dyplomatycznych, jakie towarzyszyły upadkowi i rozbiorom Polski, nie są dla niego głównem wskazaniem; przedewszystkiem, stara się przeniknąć naturę polityczną trzech państw ościennych, ich misyę dziejową, dążenia, podstawy potęgi, i tu rzuca szereg tez, opartych, raczej, na intuicyi. Myśl, że »jest daleko na północy, ku kończynom wegetacyi główny winowajca« upadku Polski, opierał Mochnacki na głębokiem przeświadczeniu, iż Rosya na rozbiorach Polski najwięcej zyskała, a na odbudowaniu jej najwięcej by straciła; Prusy stawiał pod tym względem na miejscu drugiem, Austryę za najmniej wrogą uważał. »Kto najmniej zyskał na rozbiorze, kto owszem źle na tem wyszedł, skorzystałby najwięcej z przywrócenia *status quo* przed rozbiorem — przed r. 1772. Austrya znajduje się w tym przypadku. Austrya wcale by się nie sprzeciwiała przywróceniu całej Polski«. »Polska cała, niepodległa, ale rządzona despotycznie jest może teraz u celu życzeń tego mocarstwa«. Ze strony Austryi nie napotkałoby przeszkód »każde powstanie Polski, nie przybierające charakteru zaburzenia społecznego«. »Przywrócenie całej Polski rokuje Austryi przewagę w Niemczech i zupełne bezpieczeństwo co do posiadłości słowiańskich, — Prusom stopień mocarstwa drugiego tylko rzędu, — Moskwie wygnanie z Europy... Była Austrya wielka i potężna przed rozbiorem Polski. Moskwa nie należała wtedy do Europy. Austrya po stracie Galicyi nie przestanie być wielką i potężną. Moskwa po stracie Polski, składającej część integralną tego państwa, znowu wróci do Azyi... Sekret moskiewskiej potęgi tkwi w Polsce: stąd car jedną ręką sięga do Stambułu, drugą do Paryża; stąd wpływa na wschód i na zachód«. »Austrya i Prusy ulegają bezpo-

średniemu ogromnemu ciśnieniu Moskwy, wynikłemu z ich wspólnictwa w podziale ziemi naszej. Ulegając temu ciśnieniu, dalej je wgłąb Europy rozszerzać muszą. ...Moskwa o tyle działa na całą zachodnio-południową Europę przez pośrednictwo Prus i Austryi, jako pierwsza i główna trójcy osoby, o ile polityką słowiańskich plemion, której zasady, nadzieje i bujność przyswoiła sobie nabytkiem najrozleglejszej części Polski, tej prawdziwej, tej jedynej wyobrazicielki olbrzymiego słowiańskiego rodu, jego świetności, mocy i ogłady, o ile postrachem działania w duchu tej niebezpiecznej polityki i rozwinięnia mieczem zaborczym jej obszernych planów, utrzymuje obadwa pomienione gabinety w sromotnej od siebie zależności«.

Utrzymuje, iż na kongresie Wiedeńskim Metternich, Talleyrand, Castlereagh przemawiali w obronie Polski, gdy atoli nie zdołali wskrzesić Polski całej i niepodległej, utworzyli przynajmniej Królestwo Polskie. »To małe Królestwo Polskie z sejmem, konstytucyą i carewiczem Konstantym nie byłaż to rewolucya 29 Listopada, rzucona w kolebce przez Anglię, Austryę i Francyę pod stopy moskiewskiego kolosu?«

Oczywiście, na oryentacyę polityczną Mochnackiego znaczny wpływ wywierała bezsilność Rzeszy Niemieckiej, w której przewodziły, rywalizując ze sobą, dwa wielkie państwa niemieckie, a nadewszystko hegemon Europy — Mikołaj I. »Niemcy są krajem *par excelence* filozoficznym, literackim. Wyższością w tej mierze zamierzali oni wynagrodzić sobie, powetować nieudolność w polityce i niejako małoletność w rzędzie innych narodów«. Nie obawiał się obudzenia Niemiec ze snu filozoficznego, liczył, że Niemcy odrodzone, zjednoczone, wyzwolone podadzą dłoń bratnią Polsce. »Jak dwa koła zazębione w siebie zachodzą, tak rewolucya niemiecka z naszą polską się wiąże«. Jedna drugą wspiera. Wiadome chyba były Mochnackiemu srożące się właśnie wówczas prześladowania

Polaków w zaborze pruskim, była to era Flotwella; ideologia wszakże liberalna troskliwie wówczas odróżniała politykę gabinetu pruskiego od polityki liberalizmu niemieckiego, szlachetnej, humanitarnej — jak ówczesni liberałowie; nie wątpiono zaś o tem, że Niemcy zjednoczone będą liberalne, sprzyjające wolności ludów.

Zbyt wiele zmysłu krytycznego atoli posiadał Mochnacki, aby miał politykę narodową gruntować na swych problematycznych nieraz informacyach o okolicznościach natury międzynarodowej, o zabiegach dyplomatycznych. »Lecz przestańmy politykować« mówi, po skreśleniu uwag o trzech państwach zaborczych: »Nie bez pewnej odrazy zapuściłem się w badanie interesu narodowego pod względem dyplomatycznym, gdzie tyle *pro* i *contra* powiedzieć można... Zdaniem mojem, powstanie w Polsce nigdy nie powinno się oglądać na politykę zewnętrzną, nigdy do niej stosować swych kroków«. Kardynalnym rysem poglądu Mochnackiego na sprawę polsko-rosyjską była idea rewindykacyi Polski w granicach 1772 roku. »Moskwa nie wypolszczyła swego zaboru i w tem tkwiła łatwość oderwania go i połączenia z Polską kongresową«; dla tego też rozwiązanie sprawy polskiej pojmował, jako stratę mocarstwowego stanowiska w Europie dla Rosyi. Królestwo Kongresowe uważa Mochnacki za twór sztuczny, ułomny. Jest w tej mierze wyrazicielem myśli swego pokolenia, które kongresówkę uważało tylko za embryon wielkiego organizmu politycznego i które, idąc śladem Kościuszki, nie zadawalało się »tym małym szmatem ziemi, obdarzonym nazwą pompatyczną Królestwa Polskiego« [1]. Jak patrzano w swoim czasie w Polsce na Księstwo Warszawskie, ufając w dobroczynne ramię Napoleona, tak samo w okresie kongresowym pojmowano Królestwo, ufając naprzód w restytucyjne plany Aleksandra, gdy zaś te

[1] List Kościuszki do ks. Adama Czartoryskiego z 13 Czerwca 1815 r. — Le Comte d'Angeberg, Recueil des traités, str. 700.

zawiodły, — w powstanie ziem polskich. »Księstwo Warszawskie, tak jak jest, a nawet uważane w swem z Saksonią złączeniu, ostać się nigdy nie może« pisał Kołłątaj: »Jego więc przeznaczeniem być musi albo przyłączenie do jakiego innego mocarstwa, albo wskrzeszenie na nowo Polski i przywrócenie jej do dawnego politycznego bytu« [1]. »Gdy przychodzi spoglądać na jego rozległość, ludność, dochody i siłę zbrojną: jest to kraj bardzo mało znaczący, tak przez swą niedołężność, jak tembardziej przez swe geograficzne położenie. Księstwo oddzielone od Saksonii, otoczone jest na około temi samemi mocarstwami, które całą Polskę zniszczyć potrafiły« [2]. »Małe to Księstwo, rzucone jak gdyby przypadkiem w pośród najogromniejsze mocarstwa, jest początkiem tak obszernego dzieła«, t. j. odbudowania Polski; sama jego szczupłość, bezsilność stanowi dowód, że Napoleon »przeznaczył je za punkt wielkich swych na północy widoków« [3]. Podobnie wątły, niepewny był w oczach Mochnackiego byt tego obciętego jeszcze na kongresie Wiedeńskim szmata ziemi, który nazwano Królestwem Polskiem, gdyż nie miało ono własnej siły, bez której stypulacye są niczem. Byt jego konstytucyjny był od początku utopią. Musiało stać się albo zawiązkiem przyszłej Polski albo integralną częścią wielkiego mocarstwa. »Królestwo konstytucyjne między Prosną a Bugiem, jeden z tych efemerycznych utworów w polityce, które, jak widzimy, osobliwie w nowszej historyi, jawią się bez gruntu pod sobą i bez ujęcia wewnątrz, jedynie skutkiem protokółów i konferencyi dla dogodzenia widokom wielkiego obcego państwa, było dodatkiem ogromnej Moskwy, ponieważ odrazu, to jest w pierwszej chwili po upadku Napoleona, jej częścią integralną, czyli jej zaokrągleniem

[1] Uwagi nad teraźniejszem położeniem tej części ziemi polskiej, którą od pokoju Tylżyckiego zaczęto zwać Księstwem Warszawskiem. Lipsk 1808, str. 4.

[2] Kołłątaj, Uwagi, strona 69.

[3] Kołłątaj, Uwagi, strona 147.

zostać nie mogło... Moskale chcieli konstytucyjny dodatek zamienić w część integralną swego państwa; Polacy, korzystając ze zdarzonej sposobności, chcieli tą cząstką dźwignąć cały kraj: otóż historya kongresowego królestwa. Musiało więc przyjść do tego, że budowa sklecona na prędce, dla oka, bez fundamentów, runęła z wielkim łoskotem!« »Lud warszawski, rozrywając broń z arsenału, nie upominał się o konstytucyę, której nie rozumiał, lecz o Polskę, którą dobrze pojmował... Rewolucya 29 była w naturze rzeczy, była w utworze Królestwa«... W tym utworze tkwiła »głęboka obłuda«. Dzieli to zdanie, iż »Drobna monarchia utemperowana, przyczepiona do sąsiedzkiego kolosu, niczem innem być nie mogła, tylko kruchem naczyniem glinianem, położonem obok żelaznego dzbana«.

Wznosi się Mochnacki na stanowisko obserwatora wielkiego dramatu dziejowego, do walki występują tu już nie ludzie z programami swemi, z umiejętnością polityczną, z kalkulacyą, lecz wielkie siły żywiołowe dwa narody, fatalną mocą do walki parte. W tych miejscach artysta-obserwator wielkiego turnieju dziejowego zdaje się odsuwać na dalszy plan i historyka i polityka; patryoty, jednak, nie zagłusza, gdyż Mochnacki nie traci nadziei na tryumf ostateczny sprawy polskiej, w najjaskrawszych atoli momentach zdaje się wyłączać kiedykolwiek nawet w przyszłości najdalszej porozumienie dwóch narodów. Tych ostatnich konsekwencyi, jednak, jak zobaczymy, dosłownie brać nie można. »Po rozbiorze kraju, czy wolność czy ucisk, rządy czy łagodne czy ostre, prowadzą go (t. j. Polaka) zawsze do tego samego rezultatu, do krwawej walki o byt, który stracił, lecz którego godnym nigdy być nie przestał. Taka jest niezmienna dola nasza! Pod łagodnem obcem panowaniem Polacy powstają, bo mogą, pod surowem, bo muszą. Ich jednych nic nigdy nie zdoła pogodzić z ruiną ojczyzny, ani umiarkowanie, ani okrucieństwo. Ta konieczność, z jednej strony, ciągłego uciemię-

żania, z drugiej, ciągłego oporu, ten mus tyranii i kruszenia jarzma, — ten tedy fatalizm, wynikający z rozbioru Polski, porywający z sobą i Polaków i ich gnębicieli, nadaje wszystkim poruszeniom naszego narodu wzniosły tragiczny charakter, nadaje dziejom naszym odrębną i im tylko właściwą cechę«. (Tom I Powstania, strona 181). Tego nie rozumieli ci krótkowidze polscy, którzy bronili li tylko konstytucyi królestwa: »Kawałek nadwiślański zindywidualizował się w ogromie ziem starożytnej rzeczypospolitej: cząstka kongresowa mniemała się być całością! Całością organiczną a oddzielną!« (Tom II Powstania, strona 381). »Polska monarchia reprezentacyjno-konstytucyjna, przyczepiona do absolutnej Moskwy, była ze strony Kongresu wiedeńskiego fortelem, a ze strony Aleksandra, który tego grubego podejścia natychmiast nie przeniknął, największym, dla interesów państwa rosyjskiego najszkodliwszym błędem stanu«. (II, 153). Bo, wszak według intencyi Kongresu, królestwo miało być »żmiją polityczną w zanadrzu absolutnej Moskwy« (I, 318); był to tylko »piaszczysty kawałek gruntu, nakryty kartą konstytucyjną, której wykonanie obrażało interesa jednego państwa«. (I, 117).

W pięciu artykułach, pisanych w lecie 1832 i w kwietniu 1833 roku z powodu ówczesnego zaognienia kwestyi wschodniej, uzasadniał Mochnacki myśl, iż misya Rosyi słowiańsko-carogrodzka, po której spełnieniu może nastąpić wyparcie Anglii z Azyi, nie mogłaby być wykonana bez pochłonięcia Polski. Były to artykuły, które, wraz z jednoczesnemi usiłowaniami obozu dyplomatycznego emigracyi, otwierały erę prób wychodźtwa polskiego pozyskania sympatyi Zachodu dla sprawy polskiej, w imię zachowania równowagi europejskiej, zagrożonej przez parcie Rosyi ku Stambułowi. »Kraj nasz jest przewodnikiem potęgi carów od północy ku wschodowi i na południe państwa. Przez Polskę (kto dobrze sobie wyobraża położenie zabranych gubernii polskich) prze Moskwa Turcyę i na wszystkie zabory wschodnio-południowe skutecznie działa.

W tem ciele politycznem masa ziemi naszej jest nakształt serca pod względem obiegu krwi. Jest to tętno, puls nowej północy«. Twierdząc, iż »ten tylko, kto samowładnie w Polsce rządzi, posiąść może miasto Solimanów«, miał na myśli Polskę »przypierającą do Czarnego morza« [1].

Zaborczość Rosyi jest ściśle związana z jej systemem rządów. »Moskwa, do zbytku rządzona, nie jest narodem, ale tylko krajem; nie społecznością, ale tylko instrumentem«. »Co gdzieindziej jest bądź związkiem społecznym, bądź ludem choćby nawet najdzikszym, osiąkło niejako we władzy i w rząd się obróciło«. »Carat nieczynnym być nie może, ponieważ nic wewnątrz zdobywać nie potrzebuje, tylko więc zewnątrz działać musi. To działanie absolutyzmu moskiewskiego objawia się w bezprzestannych zaborach. Te charaktery odróżniają Moskwę od innych państw absolutnych tegoczesnej Europy«. »Konwulsyjny temperament kolosu każe mu się obawiać uderzenia apopleksyi. Dla tego carowie bezprzestannie podbijają, dla tego tak niezmiernej zewnętrznej potrzebują agitacyi«. »Stagnacya w rozbiorach naraziłaby carat, jako machinę rządową, na to samo niebezpieczeństwo, któremu ludzkie ciało w zgniliznie płuc podlega. Absolutyzm ten dostałby suchot bez zaborów«. »Moskwa ma apetyt krokodyla, ale żadnej strawności. Na tem opierają się nadzieje Polaków«.

---

[1] Mochnacki roztrząsa różne imponderablia, które poza względami korzyści politycznych materyalnych, prą Rosyę ku Konstantynopolowi, mówi o »natchnieniu wszechwładztwa«, o »instynkcie ogromu«, jaki się objawia w »fantastyckim wzroście politycznego potworu«, o »imaginacyi północnego absolutyzmu«, którą roznieca »południowe niebo, czarodziejskie przyrodzenie Wschodu, ruiny i pomniki starej sławy, nareszcie morze Śródziemne«; aby ocenić wielką intuicyę, z tych uwag przeglądającą, dość wziąć do ręki choćby pracę jednego z epigonów »projektu greckiego« Mikołaja Danilewskiego »Rosya i Europa« i przejrzeć karty, poświęcone rojeniom o Carogrodzie, malujące cały urok i wagę moralną prastarej stolicy Byzancyum dla rozigranej wyobraźni marzyciela misyi wszechświatowej Rosyi.

»Cały ogrom europejsko-azyatyckich posiadłości Rosyi nasuwa myśl stepu, pustyni tak fizycznej jak politycznej« pisze w Pamiętniku Emigracyi 4 Września 1832 roku: »Rozległa pustynia wewnątrz jest niedostępna. Punkta niebezpieczne, miejsca dotkliwe znajdują się na obwodzie takiego kraju. Gdyby Napoleon był znał tę naturę Rosyi, kampania 1812 byłaby inny obrót wzięła. Istota potęgi moskiewskiej tkwi w zdobyczach. Nie ze środka do obwodu, jak gdzieindziej, ale przeciwnie z obwodu wewnątrz wbiegają promienie tej potęgi«.

Żądza zaborów była więc ściśle zespolona z naturą rządu despotycznego i z naturą ówczesnego stanu oświaty i kultury w Rosyi; o narodzie rosyjskim zaledwie można było mówić, był to »kraj bez towarzystwa«. Czy przewidywał, jednak, Mochnacki zmianę tego stanu rzeczy w przyszłości, czy obliczał skutki rozwoju politycznego i cywilizacyjnego Rosyi i czy rachował na zmianę stosunku Rosyi do Polski w przyszłości. »Absolutyzm moskiewski nie jest przemijającą, jak gdzieindziej, instytucyą, której byt nic wspólnego nie ma z bytem narodu, której uchylenie mogłoby się stać dobrodziejstwem. Ci, co myślą inaczej, są zapewne filantropami, godnymi szacunku, jakimi byli Pestel i Bestużew, jakim jest i nasz Lelewel; lecz bezwątpienia wszech Rosyi nie znają. Odejmijmy Moskwie na jeden moment jej samodzierżcę, w tym samym momencie przestanie być ciałem politycznem. Tylko jedynowładztwo i wszechwładztwo caratu, jako fundamentalnego prawa, początkiem swoim, rzeczą, organizacyą sięgające tatarskich czasów, bo przez hanów tatarskich było postawione, utrzymuje w ryzie ten potwór geograficzny, graniczący ze Szwecyą i Stanami Zjednoczonemi, z Meksykiem i Prusami, z Austryą i cesarstwem Chińskiem, z Turcyą i Indyami. Kto pierwszy w tym kraju zechce kontrolować zwierzchnią władzę, kto się jej będzie mógł na mocy prawa sprzeciwić, zada cios śmiertelny tej potędze. Od niego zacznie się era upadku Moskwy... Co taki

despotyzm rozprzestrzenił, swoboda nie zachowa... Jest więc patryotyzmem w Rosyi niewola«.

Tak pisze Mochnacki w Pamiętniku Emigracyi 24 Kwietnia 1833 roku. Czyżby, jednak, zapomniał o tem, że sam w historyi powstania pisał, jak »filantrop, nie znający Wszech-Rosyi«? Bo oto w pierwszym tomie swego dzieła potępił członków Towarzystwo Patryotycznego za Kongresówki za to, że nie podali szczerze i śmiało dłoni konstytucyonalistom rosyjskim. Czyżby może Mochnacki dlatego uważał za obowiązek patryotów polskich współdziałanie ze spiskiem politycznym w Rosyi, że ten spowodowałby rozprzężenie państwa? Bynajmniej; takich walenrodowych myśli względem konstytucyonalistów rosyjskich nie żywił. Skreśliwszy pertraktacye Krzyżanowskiego z Bestużewem, Jabłonowskiego z Pestlem, Moszyńskiego z Murawiewem, mówi: »Spiskowi Rosyanie rzecz swoją i polską dobrze pojmowali; przystępowali do układów z otwartością, z dobrą wiarą, lecz, niestety, nie znaleźli w polskim związku, czego szukali: wzajemnej otwartości i tej samej, co ich ożywiała, chęci wspólnego działania. Krzyżanowski i Jabłonowski mieli w swem ręku los północy«. Mniema, iż z porozumień tych mogła »odnowić się prędzej lub później jakaś wspólność interesu naszej niepodległości i swobód moskiewskich«; kończy wyrazem nadziei, iż »zapewne w blizkiej może przyszłości ujrzymy, jak przez mgłę i dla nas i dla nich szczęśliwą dolę, czasy piękniejsze, północ rozjaśnioną z nieprzebrodzonej nocy«.

Jakże więc pogodzić myśl, iż konstytucyonaliści rosyjscy »rzecz swoją dobrze pojmowali« ze zdaniem, iż »jest patryotyzmem w Rosyi niewola«? A co jeszcze ważniejsza: jakże pogodzić myśl o »szczęśliwej doli dla nas i dla nich« z zasadą nieubłaganej walki dwóch narodów, z zasadą: *delenda Carthago.*

Wytłomaczenia tej pewnej sprzeczności, wyjaśnienia tych niezmiernie ponurych przepowiedni, jakie stawiał Mochnacki i dla przyszłości narodu rosyjskiego i sto-

sunku dwóch narodów, szukać należy w szczególnej właściwości i talentu i ówczesnego usposobienia autora. Mochnacki był to umysł, który nigdy nie gubił się w szczegółach, zawsze umiał uchwycić myśl przewodnią, wśród ogromu, mnogości rysów wybrać rysy główne, panujące nad resztą, nadające szczególny ton, barwę zjawisku; obrazy jego, charakterystyki uderzają nietylko bogactwem barw, nieraz mocą natchnienia, lecz i tą wypukłością głównej cechy, która żłobi się w umyśle i zostawia ślad głęboki, niezatarty, wraża się w pamięć. Lecz, z drugiej strony, malując, cieniując z upodobaniem główną cechę, doprowadza ją nieraz do takiej jaskrawości, do takich rozmiarów, iż wobec niej bledną, nikną inne; że jedno znamię panuje nad całym przedmiotem, rzucając cień na resztę. To stało się z obrazem narodu niemieckiego; ten »lud, co przespał nowsze czasy i więcej ksiąg w tym śnie napisał, niżeli na jawie wszystkie razem ludy w starych wiekach«, ten »wieloramienny, różnobarwy kolos, z zewnętrznego wejrzenia tak nieruchomy w sobie, jak posąg, i tak głuchy przez wieki, jak opoka« — uderzył wyobraźnię Mochnackiego bogactwem swego życia umysłowego, niezwykłym rozwojem »oderwanych, cienkich i wysokich pojęć«, i jednoczesną niemocą polityczną tak mocno, iż nakreślił barwny, świetny, lecz niezupełny, jednostronny obraz. Z jeszcze większym upodobaniem i z jeszcze większem mistrzowstwem skreślił w swych pismach obraz ówczesnego państwa rosyjskiego; i tu mocno uderzył jego fantazyę »fatalizm potęgi moskiewskiej«, straszliwa moc tego państwa, które »nie jest narodem, ale tylko krajem, nie społecznością, ale instrumentem«, które dzikość, barbarzyństwo łączyło z wielką przebiegłością, które »nigdy jednym razem wszystkiego na jaw nie wychyla z zaczajenia, nigdy dwóch kroków nie zrobi, jeżeli tylko jeden jest bezpieczny«; nakreślił obraz barwny, jaskrawy, natchniony, lecz nieraz przecenił i chytrość rządu i grozę Rosyi dla Europy; wyjął niejako Rosyę, jako fenomen

dziejowy bezprzykładny z pod praw, rządzących dziejami państw i narodów. Zresztą, w tym względzie Mochnacki ulegał temu samemu wrażeniu fatalizmu potęgi rosyjskiej, jakiemu za dni Mikołaja I aż do wojny krymskiej podlegało wiele wybitnych umysłów w Europie.

Powtóre, złowrogi pogląd Mochnackiego; na przyszłość narodu rosyjskiego i na przyszłość stosunku Polski do Rosyi był żywem odbiciem złowrogiej rzeczywistości, niesłychanie ciężkiego losu Polaków pod berłem rosyjskiem. Łatwo zrozumieć najbardziej nawet jaskrawy język tych ówczesnych pisarzów, którzy, jak Mochnacki, wychowali się wśród żywych jeszcze tradycyi niepodległości i widzieli własnemi oczami wschodzącą na krótko jutrznię wolności, pisali zaś wśród strasznego ucisku swej ojczyzny. Do Mochnackiego w znacznej mierze stosować można to, co Mickiewicz rzecze o Niemcewiczu: »Był on przedewszystkiem i jedynie Polakiem: dzieła swoje brał za narzędzia do walczenia z nieprzyjaciółmi Polski. Dla niego nota, cytacya historyczna była poprostu bronią zaczepną albo odporną. Jeżeli wszystko, co się pisze w natchnieniu chwilowych okoliczności, co jest przeznaczone do wywarcia wpływu na prędce, godzi się nazwać pamfletem, możnaby powiedzieć, że Niemcewicz... był największym ze wszystkich znanych pamflecistów, zawsze przywiązanym do tej samej sprawy, zawsze jednako miłującym ojczyznę, a zawziętym na jej nieprzyjaciół« [1]. Pod to pojęcie pamfletu, o wiele świetniejszego i głębszego, niż Niemcewiczowskie, dyktowanego przez najżywiej, najboleśniej dotknięte i rozdrgane uczucie narodowe, podciągnąć można liczne ustępy historyi Powstania, zwłaszcza w tomie I, i większość artykułów emigracyjnych Mochnackiego. Karty Mochnackiego o Rosyi tchną tem rozczarowaniem i tą goryczą, jaka zaprawiła duszę całego ówcze-

[1] Wykłady o literaturze słowiańskiej, Lwów 1900. Tom IV, strony 25, 26.

snego pokolenia Polaków. Pokolenie to przeżyło naprzód wielkie rozczarowanie, wywołane upadkiem nadziei, związanych z osobą Aleksandra i w znacznej mierze przez niego podsycanych; potem, to pokolenie entuzyastów, romantyków braterstwa ludów przeżyło drugie rozczarowanie, względem narodu, który na hasło walki »za waszą wolność i naszą« odpowiedział tą »nienawiścią rasową«, to jest raczej narodową, która wciąż stała w pamięci Mochnackiego. Straszne prześladowania po upadku insurekcyi przepełniły miarę goryczy. Jeśli Mickiewicz mówi o Niemcewiczu, iż »w swych pamiętnikach zachowuje ciągle nienawiść i gniew dawnych Polaków«, to te uczucia gniewne ożywiały całe pokolenie wygnańców, śledzących z zakrwawionem sercem straszne losy rodaków w kraju. Poczucie ciężkiej krzywdy narodowej, widok nieustający ciemięstwa rodaków, gorzkie wspomnienie konstytucyi, która w istocie stała się martwą literą w ręku bezkarnych jej gwałcicieli, tworzyły ten nastrój, w którym zamierały w zarodku wszelkie myśli zgody, kompromisu, a narzucało się wciąż rozkazująco pytanie: być czy nie być. W świetle tych myśli, uczuć, wrażeń kreślił Mochnacki swoje pełne grozy karty o tragizmie fatalnym walki polsko-rosyjskiej, o niepodobieństwie zgody; on, który w młodości woził taczką ziemię w belwederskim ogrodzie za czasów trwania liberalnej konstytucyi, który 11 miesięcy przesiedział w więzieniu za błahe młodzieńcze kółka, sceptycznie teraz spoglądał na ową konstytucyę, jako na »dar obłudy, utwór chwilowego kaprysu samowładnej północy, krótki przemijający umizg Aleksandra« (II, 304). Lotnym umysłem swoim przeczuwał nieledwie te słowa, te argumenty, za pomocą których politycy rosyjscy mrozili wszelkie przychylniejsze z tamtej strony względem Polski zamierzenia. »Na zniszczenie Polski, jako potęgi politycznej, składała się cała niemal historya Rosyi« pisał Pozzo di Borgo w memoryale, złożonym Aleksandrowi I w Wiedniu podczas kongresu: »Systemat zaborów w Turcyi był

tylko systematem nabytków terytoryalnych i, ośmielę się rzec, drugorzędnych, w porównaniu z tem, co zostało dokonane na zachodniej granicy Państwa. Głównym celem podboju Polski było zapewnienie narodowi rosyjskiemu liczniejszych stosunków z resztą Europy i otworzenie mu obszerniejszego pola i zarazem szlachetniejszej i bardziej znanej areny, na której mógłby rozwinąć swe siły i talenty, czynić zadość swej dumie, swym namiętnościom i interesom. Wszak dla pogrążenia Rosyi na wieki w barbarzyństwie i dla uczynienia z niej mocarstwa wyłącznie azyatyckiego, Napoleon zamierzył odbudowanie Polski; wszak dla zapewnienia Rosyi dostojnego stanowiska wśród najbardziej ucywilizowanych narodów Europy, poprzednicy W. C. Mości pragnęli zdobyczy, które koniecznie musiały kojarzyć Rosyę z temi narodami« [1].

Gdy Mochnacki kreślił swe namiętne przestrogi dla narodu, wówczas taka racya stanu, jaką wykładał Pozzo di Borgo, przeglądała z każdego kroku rządu rosyjskiego względem Polski. Nie wyzwanie więc zawierało się w pismach Mochnackiego, lecz tylko podjęcie rękawicy, nie wyniosłe *aut Caesar aut nihil*, uniemożliwiające porozumienie, lecz tylko stwierdzenie intencyi rządu rosyjskiego, trzeźwe spojrzenie w oczy nieubłaganej rzeczywistości. Ilekroć bowiem tylko Rosyanie dłoń przyjazną do Polaków wyciągali, za każdym razem najbardziej zagniewane, rozżalone, nieufne dusze polskie gotowe były do porozumienia, jak świadczy przykład Mochnackiego; sympatya jego i ufność względem konstytucyonalistów rosyjskich są tembardziej zastanawiające, iż, nie posiadając wprawdzie ścisłych danych o spisku rosyjskim, wiedział jednak o tem, że daleko idące ustępstwa na rzecz Polaków wywoływały gorący protest wśród spiskowych, jako zaś by-

[1] Cytowane, między innemi, w »Porozbiorowych aspiracyach politycznych narodu polskiego«, przez Stanisława Z. (A. Wrotnowskiego). 1882 r., str. 118.

stry polityk mógł chyba przewidywać, że w razie tryumfu konspiratorów skłonność ich do ustępstw, zwykłą rzeczy koleją, pewnieby osłabła. A jednak na pierwszy objaw ocknienia duszy, sumienia, wolności na wschodzie, objaw tak jeszcze wątpliwy, topniał ślub Hannibala w duszy Mochnackiego. Naprawdę, zbolałe, zagniewane, zakrwawione były te dusze polskie, ale — nie zacięte, raczej łatwowierne, mimo strasznych doświadczeń.

Niema chyba pisarza ani polityka z epoki Mochnackiego, u którego idea polska występowałaby z równą mocą, jasnością, czystością i świadomością. Nie znaczy to bynajmniej, iż w duszy Mochnackiego uczucie narodowe doszło do tego natężenia, na jakie nie byli zdolni inni znakomici pisarze lub statyści jego epoki. Któż ważyłby się podejmować trud daremny mierzenia uczucia narodowego w piersiach polskich w owej epoce, przesyconej poświęceniem Polaków dla ojczyzny? Czynili to wprawdzie nieraz zaślepieni waśnią domową ludzie ówcześni i odsądzali od patryotyzmu najgodniejszych ludzi; my, oddzieleni niemal stuleciem od owej epoki, pochylamy głowy przed wielką dla ojczyzny ofiarnością pokolenia listopadowego, — nie możemy, natomiast, cofać się przed roztrząsaniem krytycznem rozumu politycznego u najżarliwszych choćby patryotów, nie możemy zamykać oczu na ich przywary, błędy, słabości. Otóż, jeśli twierdzimy, że żaden z ludzi politycznych epoki nie jest tak typowym, tak czystym wyobrazicielem idei polskiej, jak Mochnacki, to pojmujemy przez to, iż żaden nie posiadał w tym co on stopniu tego czucia, tego zmysłu, który pozwala zawsze odróżnić i odłączyć dobro, interes narodowy od innych względów, szacownych nieraz i doniosłych, lecz bądź co bądź ubocznych, a więc zaćmiewających, odsuwających cel główny i jedyny, cel narodowy. Żaden tak zwycięsko, tak łatwo nie poskramiał w sobie, nie łamał uprzedzeń, upodobań postronnych, gdy o rzecz narodową chodziło. Dla niedość wtajemniczonych, dla niedość przejętych ogro-

mem tragedyi narodowej, jaką pokolenie listopadowe przeżywało, rys ten Mochnackiego chwilami może czynić wrażenie fanatyzmu, szowinizmu, »cynizmu zbawienia«, może ze strony płytkich ideologów wywołać zarzut, że Mochnacki nie dość był czuły na ideały wszechludzkie, że w tęczy ideałów ludzkości, jak daltonista, widział tylko barwy narodowe polskie i do nich tylko biło jego serce; dla każdego atoli, kto przeniknie się tym żywym bólem, jaki targał duchem nieszczęśliwego pokolenia, kto zna nietylko melancholijny Weltschmerz, ale i boleść na widok ociekającego krwią własnego narodu, Mochnacki zawsze pozostanie wspaniałym wzorem wielkiej duszy, owładnionej, opętanej, porwanej przez jedno wielkie uczucie.

Ani jeden z wydatnych aktorów powstania listopadowego nie był równie mało, jak Mochnacki, zależny od opinii, przesądzających z góry kształt państwa i układ społeczeństwa polskiego, nie odłączał z taką czujnością i z taką stanowczością względów partykularnych, stronniczych od prostej, czystej myśli ocalenia Polski. Stąd wynikał ciągle konflikt z otoczeniem, w czasie powstania i na emigracyi. Czy wówczas, gdy biadał nad chwiejnością tych wojskowych na początku powstania, których zapał przytłumiony był względami honoru wojskowego i lojalności; czy wtedy gdy wytykał ludziom opinii zachowawczych ich lęk zabobonny przed anarchią, jakobinizmem, środkami rozpaczy; czy gdy bolał nad doktrynerstwem konstytucyonalistów, którzy mieli nieprzyzwyciężoną niechęć do jedynowładztwa, jedynie zdolnego uratować chromającą brakiem rządu sprawę, czy gdy ku zgrozie i oburzeniu klubistów zawierał sojusz z ludźmi obozu, zwanego arystokratycznym, dyplomatycznym, pokładając w nich z kolei ostatnią nadzieję ratunku: zawsze pozostawał wierny jednej myśli przewodniej, zawsze w jedną gwiazdę wpatrzony. Tę jego wierność sprawie głównej i obojętność na względy partyjne, jako pomniejsze, rodacy, mocniej odeń przywiązani do haseł swych obozów i tylko

w wierności hasłom tym widzący prawdziwą drogę obowiązku, uważali za chwiejność zasad, za zmiennictwo.

Mickiewicz w swych wykładach paryskich rzucił parę ciekawych myśli o patryotyzmie legionów. »Za czasów Sejmu Czteroletniego« mówił 26 Kwietnia 1842 roku: »w Polsce, jak i wszędzie, rozumiano, że aby pozyskać tytuł patryoty, dosyć było stanąć pod jakąkolwiek chorągwią narodową... Kiedy Polacy biegli do Legionów, cóż mogło nimi powodować? Kto zaciągał się w te szeregi, rzucał wszystko,... puszczał się daleko na Zachód, do Włoch, do Francyi, szukać ojczyzny, nie wiedząc nawet, gdzie i w czem ją znajdzie, nie wiedząc, która opinia weźmie górę... Trzeba więc było porzucić wszelkie formy, dać pokój wszelkim opiniom, a szukając siły, coby kiedyś stała się pomocą dla kraju, przedzierać się przez tysiąc niebezpieczeństw... Człowiek tedy, zdolny tyle się poświęcić, słuchać jedynie głosu wewnętrznego uczucia, dawał dowód, że miał w duszy to, co jest najistotniejszego w patryotyzmie, w pojęciach polskich. Jakżeby bowiem inaczej wytłómaczyć sobie tę moc, która wyrywała go z ziemi własnej i rzucała tak daleko, żeby walczył za sprawę, nie mającą ani formuły, ani chorągwi wyraźnej. Tą mocą tajemną, tą potęgą cudowną był ów Bóg nieznany, którego nazywają patryotyzmem Polaków«.

W tych słowach wskazał Mickiewicz idealną, niedoścignioną formę patryotyzmu porozbiorowego. Aby walczyć za sprawę, nie mającą ani formuły, ani chorągwi wyraźnej, potrzeba ogromnego podniesienia ducha, wielkiego zapału; tę wzniosłość ducha masom mogą dać jedynie szeregi wojska narodowego, oczyszczające duszę ofiarnym ogniem służby ojczyznie, powołujące proste dusze do udziału w aktach bohaterstwa; w działaniu atoli cywilnem, politycznem, nawet w chwilach dla narodu groźnych ta jedność idealna, to zaparcie się formuł powszechne jest niepodobieństwem. Na tę jasność myśli, na tę

czystość i ciszę ducha, która pozwala człowiekowi obcować z samą Ojczyzną, słyszeć zawsze jej głos własny, wśród zgiełku walk i waśni domowych, uznać głos ten i pójść za nim, z jakiegokolwiek obozu on wychodzi, zdobyć się może jedynie duch wyjątkowy, a taki duch właśnie tlał w piersi Mochnackiego.

»Na cóż nam się zda Polska, jeżeli ma egzystować pod wpływem takich ludzi, jak Puławski, Szynglarski, Czyński!« wołał zawzięty na swych nieprzyjaciół domowych podczas ostatnich już chwil Warszawy wódz narodu Krukowiecki. — »Jeżeli Polska ma być w przyszłości szlachecka, nie chcemy jej wcale!« wtórowały mu z przeciwnego krańca społecznego zacietrzewione głosy Krępowieckich i Gurowskich. »Teraz tylko o to idzie, żeby być. .... Na co chcieliśmy być narodem przed odzyskaniem bytu narodowego? Przedwczesne nieporozumienie! Przedwczesne swary!« wołał do zwaśnionych fakcyi powstania 20 Sierpnia 1831 roku Mochnacki.

Patryota gorący, lecz niewolnik swych słabości Chłopicki, urażony na Jana Ledochowskiego, na delegacyę sejmową, na głosy niechętne mu, chce odmówić swych usług insurekcyi, naród musi go prosić na klęczkach, musi przebłagać obrażoną ambicyę. »Cudzoziemcy są moimi braćmi, swoi katami« pisał z wygnania, targany przez napaści rodaków Mochnacki — i wszystkie siły wytężał, aby wyjaśnić tym niewdzięcznym *swoim* przyczyny klęski i przygotować wyzwolenie. Po nad obozami, po nad ludźmi unosił się przed jego duchem obraz Polski, nie pokalanej przez złość swych synów, — tej wyższej po nad błędy, przywary, hasła chwili — wiecznej idei.

Tak więc idea polska Mochnackiego wznosiła się wysoko ponad gwar walk stronniczych, ponad wir i zgiełk dnia bieżącego. Z drugiej zaś strony uniknął przez swój instynkt zdrowy innego niebezpieczeństwa, jakie groziło idei narodowej po rozbiorach, a zwłaszcza po rewolucyi listopadowej. Myśl polska znalazła przytułek na obczyznie,

nic atoli zastąpić jej nie mogło braku żywego zetknięcia z krajem; polot jej był śmiały, nieraz genialny, serce polskie biło gwałtownie na wygnaniu, groził jednak tej myśli egzotyzm, zerwanie związku z życiem rzeczywistem, przeniesienie jej w krainę, gdzie »rzeczywistość się pomału w świat przemienia ideału, w sen ze srebra i kryształu«. Wisiała nad nią ta groza, iż gdy ludzie mali zetrą wielką troskę narodową na proch swarów, duchy wyższe uniosą ją na swych orlich skrzydłach w obłoki, oderwą ją od ziemi, pozbawią znamion ziemskiej materyalnej mocy. Mochnacki nie wpadł nigdy w ułudę; drzewo żywota, na którem owoce przyszłości hoduje, tkwi mocno korzeniami swemi w ziemi rodzinnej i owoce z niego na pokarm ludzi żywych, z ciała i krwi, nie zaś duchów i aniołów przeznaczone.

Po upadku powstania listopadowego nastąpił okres najświetniejszy literatury polskiej; naród, uległszy przemocy materyalnej, święcił tryumf w dziedzinie ducha. Poezya wzniosła się na najwyższe szczeble natchnienia, a zdrojem ożywczym tego natchnienia była miłość narodu, straszna boleść nad jego cierpieniem. Gdy Polska oddana była na łup srogiego ciemięstwa, geniusz poezyi wdzierał się na szczyt najwyższy i otaczał imię ojczyzny gloryą świetlaną nieziemską. Bezsilny, by włożyć na skronie ukochanej, ubóstwianej ojczyzny koronę ziemską, kładł na jej głowę koronę męczeńską, najwyższy symbol wielkości ducha dla chrześcijan. Głęboko religijne dusze Mickiewicza, Brodzińskiego, wierzące w sprawiedliwość wyższą na ziemi, w łaskę Bożą szczególną dla bogobojnego ludu rycerzy Maryi, ujrzały w upadku politycznym Polski znak jej posłannictwa wyższego. Powstaje myśl mesyaniczna, tkwiąca już w Sybilli Woronicza, snuta potem przez większych odeń wieszczów, roztrząsana przez filozofów narodowych.

»I byłeś pędzonym od sądu, zakatowanym i na trzech gwoździach rozpiętym, cierniową trójgałęzistą koronę wło-

żono ci, nad konającym napisano szydersko: Królestwo Polskie«.

»Jak widzimy, że cała sprawa nasza nadzwykłą jest i cudowną, tak wierzyć nam trzeba, że jest i świętą; nie wierzyć w nią, jest to nie wierzyć w Boga sprawiedliwego«.

»Chrystus, wolę Ojca pełniący, jest przedewszystkiem Bogiem Polaków, Bogiem cierpiących. Wierzajmy, że Królestwo Polskie przywrócone Królestwo pokoju na świat sprowadzi. Wierzajmy, iż za powodem naszym narody i rządy ich tak działać będą według nauki Chrystusa, jak dotąd działa prawy chrześcijanin dla braci«.

»Narody, jako narody, są dotąd osobami bez serca. Kamień młyński, zysk tylko mielący, jest sercem ich: nieszczęśliwa i święta sprawa nasza natchnie w nie duszę czującą i na to w rozproszeniu jesteśmy, abyśmy głosem boleści ich serca miękczyli, a krwią kupczącym rachuby mylili«.

Tak mówił Brodziński w Posłaniu do Braci Wygnańców.

Mickiewicz w swych wykładach wykrywa u dawnych pisarzów polskich przeczucie posłannictwa dziejowego Polski, dążącego do wcielenia w życie narodów zasad Chrystusowych; ślady jego znajduje u Skargi, znamię wyraźniejsze tej idei — w rymowanej wieszczbie Księdza Marka, wreszcie, pomijając własne »Księgi Narodu Polskiego«, widzi myśl mesyaniczną, rozwiniętą u Brodzińskiego, Garczyńskiego, w filozoficznych dociekaniach Antoniego Bukatego, wreszcie sam w terminach mistycznych rozważa punkta kardynalne tej misyi dziejowej Polski. (Wykład 28 czerwca 1842 roku).

Czy jednak mesyanizm z jego hasłem odrodzenia ludzkości przez Polskę, z jego nadzieją ożywienia Europy duchem Chrystusowym mógł być chlebem życia dla Polaków, krzepiącym ujarzmiony naród w jego ciężkiej niedoli, dającym mu siłę do pracy nad odbudowaniem ojczy-

zny? Historya dała już na to odpowiedź. Mesyanizm, w jego najszlachetniejszem rozumieniu, było to marzenie dusz wzniosłych, wybranych, które nie mogło stać się ani wiarą mas, ani dźwignią ducha narodowego. Do czegóż bo mógł on doprowadzić naród, któryby go wziął za hasło? Ta wizya braterstwa chrześcijańskiego ludów, którą egzaltacya poetycka sprowadzić chciała na ziemię za sprawą umęczonej Polski, była to ułuda, odbierająca, jak się okazało, trzeźwość i przytomność nawet potężnym umysłom; jakież odurzenie musiała ona sprawiać w głowach słabszych, w umysłach prostodusznych powstańców?

»W letarg wtrąceni milczeć musieliśmy, kiedy nam, jako narodowi, trumnę przymierzano« — mówi Brodziński o epoce kongresowej. Czemże mógł być mesyanizm dla epoki porewolucyjnej, jak nie słodkiem tylko, a czczem widzeniem, zachwytem mistycznym, utrzymującym pokolenie w stanie letargu, pętającym moc jego członków i mięśni? Duch mesyaniczny wieka trumny, którą przytłaczano naród, podważyć nie umiał, nie starał się nawet; siadał na trumnie i wpatrzony w mary swych widzeń, roił o zmartwychwstaniu.

Jeśli postać mesyanisty wyobrażać miała patryotę Polaka porewolucyjnego, to jakże smutne było to oblicze, z którego uleciał wszelki rumieniec życia, wszelki zdrowy zapał, a został tylko napół natchniony, napół obłąkany wyraz wizyonera; wychudłe, ascetyczne ciało niezdolne było do dźwigania tego ciężaru ziemskiego, który nieść musiał naród wciąż całem mocy swej wysileniem, jeśli nie miał zniknąć z powierzchni ziemi.

»Naród polski nie umarł, ciało jego leży w grobie, a dusza jego zstąpiła z ziemi, to jest z życia publicznego, do otchłani, to jest do życia domowego ludów, cierpiących niewolę w kraju i za krajem, aby widzieć cierpienia ich« — mówiły Księgi Narodu Polskiego. Lecz Królestwo tego narodu, któryby zstąpił z ziemi, porzucił życie publiczne, mogło być chyba Królestwem nie z tego świata,

a cóż się stać miało z najbliższym doczesnym bytem Polaków?

Oderwanie idei narodowej od gruntu realnego, przeniesienie jej w sferę rojeń mistycznych tworzyło mglistą atmosferę umysłów, w której łatwo mógł się zbłąkać i zejść na manowce instynkt narodowy. Niebawem myśl narodu wybranego zataczać zaczęła szersze koło — i ogarniać całą Słowiańszczyznę. Rodowi słowiańskiemu wypadło posłannictwo wprowadzenia chrześcijaństwa do polityki — tak uczył w swych mętnych wywodach Bukaty, myśl ta brzmi doniośle w prelekcyach Mickiewicza i w pismach wielu większych i mniejszych proroków mesyanizmu słowiańskiego. Wiele przyczyn kierowało myśl mesyaniczną na tory wszechsłowiańskie; działało tu i rozczarowanie patryotów polskich do samolubnych narodów Zachodu i odraza entuzyastów-mistyków do burżuazyjnego utylitaryzmu, jaki przenikał życie Zachodu, i potężne wezbranie ruchu słowiańskiego zwłaszcza w czwartym lat dziesiątku i przebijające w młodej literaturze słowiańskiej idealizowanie słowiańszczyzny, które w pewnym stopniu było bezwiedną parafrazą heglizmu z jego kultem Niemiec w dziejach.

Oczywiście, można było pogodzić patryotyzm polski z sympatyą dla słowiańszczyzny, nawet z idealizacyą plemion słowiańskich. Wzorem tego był Mickiewicz. Gdy naród polski wystawiony był na najsroższe prześladowania, gdy w Rosyi wyklinano to, co polskie, gdy największy poeta Rosyi odezwał się na tragedyę polską pogardliwemi słowami o »chełpliwym Lachu« i o »strumykach słowiańskich«, wieszcz-patryota polski wówczas nawet nie odpowiadał nienawiścią. W wykładach swych dzieje Rosyi przedstawił z bezstronnością, idealizował je nawet. Bezstronność ta tembardziej znamienna, że na wstępie postawił zasadę, iż »Polska i Rosya nie są to dwie dzielnice ziemi, ale dwie myśli w Słowiańszczyźnie, które pragnąc przejść w rzeczywistość, dążą do panowania wyłącznego

i spychają się nawzajem«. (Tom I, strona 87). W uniżonych nawet podróżach hołdowniczych książąt moskiewskich do hanów tatarskich widzi niepozbawioną wzniosłości »rezygnacyę patryotyzmu«; w absolutyzmie uderza go nietylko obraz imponujący siły żywiołowej, która zdziałała wielkie rzeczy w historyi, lecz i urok tej czci religijnej, jaką miljony Rosyan otaczają ten »dogmat rodzajny całego duchowego i umysłowego ukształcenia« Rosyi. Uznaje, iż w literaturze polskiej stanisławowskiej »nie było natchnienia dość mocnego, żeby ktokolwiek wydał ton odpowiedniej wysokości tonowi rosyjskiemu w Dzierżawinie«. Zdobywa się nawet na niezmiernie pochlebny sąd o Suworowie, mówi, iż okazał on rzeczywistą wyższość swoją nad dowódcami Polaków, że przewyższał Kościuszkę tą »chłopszczyzną, niezmiernie pociągającą lud słowiański«, a także »daleko głębszem i dzielniejszem uczuciem religijnem, skąd też pochodziła jego potęga, jego ślepa wiara w powodzenie«.

Wielkość duszy Mickiewicza stoi ponad wszelkie zarzuty, jakie ze strony gorętszej części emigracyi sypały się na prelekcye słowiańskie, z powodu daleko posuniętej wyrozumiałości dla ciemnych nawet stron historyi Rosyi. Nastrój jednak mistyczno-słowiański prowadził ludzi słabego ducha, przygnębionych, wyczerpanych pasmem nieszczęść i zawodów narodowych, odurzonych mglistą doktryną, do mętnej fikcyi stopienia szczepów słowiańskich w jedną całość plemienną pod egidą najmocniejszego z nich; wzniosłe frazesy o rozszerzeniu ciasnych ramek narodowości, o ogarnięciu sercem miłującem szerszego koła plemienników były płaszczem, który osłaniał, nieraz nawet przed własnym wzrokiem krytycznym, przed własnem sumieniem — upadek wiary w sprawę narodową; złamana wola, spaczony w nieszczęściu charakter słaby znajdował teoryę, która szczytnym pozorem osłaniała odszczepieństwo.

Mickiewicz unosił pigmejczyków na swych orlich

skrzydłach na wyżyny, po których błądził chwilowo zbłąkany, lecz zawsze wielki i czysty duch jego, oni zaś, znalazłszy się na tych zawrotnych szczytach, tracili głowy i spadali w otchłań obłędu lub zaprzaństwa. Gdy krzewił w gronie braci-towiańczyków swe myśli o braterstwie ludów, o zapomnieniu krzywd i uraz, o konieczności pokory i ofiarnej służby dla ludzkości, gdy owładnięty egzaltacyą, zalecał podczas rocznicy listopadowej 1844 — mistyczne modły do ducha Aleksandra, nie pojmował, że jest to droga, która słabe duchy, jak Seweryna Pilchowskiego i innych, zaprowadzi do apostazyi, która wreszcie doprowadzi do słynnego listu Towiańczyków do Aleksandra II.[1].

---

[1] Odpis memoryału tego, sporządzony ręką J. N. Janowskiego, znajduje się w Bibliotece Jagiellońskiej (Rękopis Nr. 3066). Tytuł: »Powody, dla których amnestya przyjęta być nie może, przedstawione przez część Emigracyi Polskiej J. C. Mości Aleksandrowi II". Podpisał »w imieniu własnem i części Emigracyi polskiej Karol Różycki, były pułkownik wojsk polskich«. Dołączono do tego oświadczenie: »To przedstawienie, które jest wyrazem widzenia i uczuć wszystkich sług Sprawy Bożej, złożonem zostało w Ambasadzie Rosyjskiej w Paryżu dnia 12/24 stycznia 1857 roku przez nas: Władysława Dzwonkowskiego, Seweryna Goszczyńskiego, Ludwika Nabielaka i Karola Różyckiego«.

Autorowie tego listu czynią skruchę za swe dawne czyny i dążenia narodowe; upadek Polski uznają za pokutę od Boga narodowi za jego grzechy wyznaczoną, pragną czcić i kochać tę władzę, która, srogo gnębiąc Polaków, jest tylko dobroczynnem narzędziem woli Bożej. „Od czasu, jak Miłosierdzie Boże oświeciło nas, nie byliśmy nieprzyjaciółmi Rządu rosyjskiego ani w myśli, ani w mowie, ani w żadnej czynności naszej". „Grzechem utraciliśmy ojczyznę i grzechem odzyskać ją usiłowaliśmy, podobni do tych dzieci: które chcąc uwolnić się od kary, łamią w oporze swoim rózgę, której ojciec, jako narzędzia kary, używa". Ten zwrot w sercach swych datują autorowie od zjawienia się we Francyi w roku 1840 sługi Bożego Andrzeja Towiańskiego, on wszczepił w ich dusze uczucia miłości dla Rządu. Uczucia te złożył sługa Boży Rządowi swojemu przez pośrednictwo Ambasady rosyjskiej w Paryżu (1842 r. kwietnia 1/13); uczucia te dwóch z pośród nas złożyło w pismach

U Mochnackiego tak w pojmowaniu upadku Polski, jak i w nadziei na jej odbudowanie niema nic niepojętego, nic przekraczającego rozumienie trzeźwe. »Czemu się dotychczas nie wiodło Polsce w usiłowaniach odzyskania niepodległości? To łatwo pojmiemy, zważywszy, jakim trybem szły wszystkie nasze powstania«. Wytyka błędy wojskowe i polityczne i główne przywary wszelkich prób dotychczasowych. »We wszelkiem bohatyrskiem przedsięwzięciu naszem byliśmy nakształt kunsztownego ognia, co od jednego razu strzeli w górę jasnym strumieniem i — w dymach gaśnie. Żadne powstanie polskie nie zasłużyło sobie na napis: *usque ad finem*. Lecz cóż z tego wnosić? — Mamyż wrazić w samych siebie to przekonanie, iż nigdy nie uda się nam doprowadzić do końca, co zaczniemy?« Odpycha tę myśl małoduszną. »Narody nie umierają!« »W kraju naszym powszechne jest zdanie, żeśmy zawsze ulegali przemocy. To zdanie błądzi, — kłamie. Niemasz przemocy dla kilkunastu milionów, wśród najniepomyślniejszych nawet okoliczności«. Dlaczego zaś upadliśmy? »Wyraz nieumieliśmy zdaje się być najwłaściwszy w tej mierze. Nie niemogliśmy, ale nieumieliśmy«. (Przedmowa do I. Tomu *Powstania).*

»Jednym z chwalebnych, jednym z głównych powodów rewolucyi 29 listopada było i to także: iż się udać mogła«. Błądzą ci, którzy utrzymują, iż myśmy byli garstką walecznych, a nieprzyjaciel olbrzymem. »Myśmy nie byli garstką w początkach! Zostaliśmy nią dopiero później błędnym całego powstania kierunkiem« (Tom I, strona 35).

Obca Mochnackiemu wszelka filozofia fatalizmu,

---

swoich za pośrednictwem tejże Ambasady... Te uczucia jawiliśmy Rządowi francuskiemu w różnych czasach i z różnych okoliczności, a mianowicie z powodu uwięzienia sługi Bożego w r. 1848 w Paryżu..." W końcu bogobojni autorowie wzywają łaski Boga, któryby dał „siłę potrzebną do niesienia krzyża ciężkiego w rządzeniu milionami, do niesienia krzyża cięższego w rządzeniu narodem pokutującym".

wszelka myśl o wyższym dobroczynnym celu dziejowym upadku Polski; odtrąca, jako szkodliwą herezyę, myśl o sile przemożnej losu, który narodowi był z góry przeznaczony. »Sprawa Polski 29 Listopada nietylko sprawiedliwa, ale i mocna była. Chwiała się, chyliła do upadku, tak jednak, że ją zawsze mogliśmy podeprzeć; zginęła naostatek, ale nie dlatego, że tak być musiało«. *(Pisma rozmaite*, strona 93).

Jest w pojmowaniu sprawy narodowej przez Mochnackiego, trzeźwość, realizm człowieka, który przewidział, przeżył, przebolał i wytknął zawczasu główne błędy powstania; gdy poeci emigracyi rozważali powstanie, już tylko jako wielką klęskę narodową, w jej bolesnym ogromie i nieszczęsnym skutku, jako cios fatalny, spełniony, on przyjrzał się zbliska, jak na tę klęskę, która mogła dać inny skutek, powoli krok za krokiem, błąd za błędem pracowali ludzie, dobrej, lecz ułomnej woli; widział z przerażającą jasnością, jak tę czarę niedoli wypełniali po brzegi, sącząc kroplę po kropli, sami rodacy. Ta trzeźwość przebija i w pragnieniach i nadziejach Mochnackiego: nie o poświęceniu Polski na ołtarzu ludzkości, nie o koronie cierniowej dla swego narodu marzy, lecz o koronie ziemskiej, o niepodległości.

Idea niepodległości ojczyzny była w jego oczach tak szczytna, tak wielka, że nie czuł potrzeby otaczania jej żadną inną aureolą, nie wymagał dla niej żadnego uświęcenia przez inną rzekomo wyższą moc i prawdę. Walka o ojczyznę ziemską rosła w jego duszy do takiej wielkości i takiem tchnęła pięknem idealnem, że nie próbował usprawiedliwiać swych dążeń narodowych żadną szczególną misyą odkupicielską Polski. Mochnacki zetknął się zblizka z tem, co było najszczytniejszego, najbardziej porywającego w ruchu narodowym, — z bohaterstwem walki, z potężnemi scenami zapału i entuzyazmu polskiego; te chwile cudowne wyżłobiły w jego duszy ślad niezatarty. »Nasiona późniejszych rozterek domowych,

zwad i kwasów leżały w głębokiem ukryciu« — pisze, wracając na wygnaniu tęskną pamięcią do chwil listopadowych: »Jeszcze wtedy wszyscy byliśmy dobrzy, wszyscy uczciwi, bo wszyscy chcieliśmy jednej rzeczy i kochaliśmy jedną Ojczyznę. Polska była piękna natenczas. Zachodziła brzemieniem w wielką przyszłość, ogarniającą połowę świata. Resztę dni, skołatanych niedolą, oddałbym chętnie za drugą taką, choćby i najkrótszą chwilę w życiu mojem«. (Tom I *Powstania*, strona 320).

Wrażenie uroku sprawy polskiej, odczucie jej potęgi ma w duszy Mochnackiego ton i barwę ziemską; spodziewał się i pragnął dla Polski chlubnej roli w Europie, błogiego wpływu na rozwój ludzkości, tylko nie dla Polski umęczonej, lecz dla zwycięskiej. »Gdy zasięgam pamięcią, co nam nadarzała sposobność ostatniej rewolucyi, obfita w dalekie skutki, staje mi natychmiast przed oczyma żywy, powabny obraz ogromu fortuny, z małego mienia nad stan przyzwoity sobie wywyższonej powodzeniami całego wieku, a wtem nagle jakby przez uderzenie piorunu przywiedzionej do nikczemności« (*Pisma rozmaite*, 109). Nie za błękitami, lecz na ziemi bój i zwycięstwo dla Polski nastąpić miały. Nie do romantyków i mistyków zbliżał się duchem wówczas, gdy marzył o wielkich czynach swego narodu, lecz raczej do dawnych Polaków z epoki potęgi i wzrostu Rzplitej, do tych rycerzy i zdobywców, którym był obcy sentymentalizm ckliwy i ślamazarny. »Czyżby tak mówił Polak z czasów Maryny, albo przynajmniej pojmujący dzisiaj stosunki naszego kraju w duchu dawnych czasów?« — pisze, cytując mowę Gustawa Małachowskiego, który wyraził na Sejmie rewolucyjnym arcy-romantyczną nadzieję, że jeśli powstanie upadnie, ostatni głos umierającej Polski będzie ozdobny, jak śpiew umierającego wieszcza, i twierdził z dumą, że powstanie walczy — za Francuzów bez Francuzów.

Nie znaczy to atoli bynajmniej, iż Mochnacki nie uznawał szlachetnej, dobroczynnej misyi Polski w Euro-

pie; przeciwnie, wierzył głęboko, że Polska, przez całą swą historyę, przez usposobienie i właściwości polityczne narodu stałaby się po wyjarzmieniu ogniskiem wolności politycznej na Wschodzie Europy; wypełnienia tej misyi atoli oczekiwał nie od Polski umęczonej, ukrzyżowanej, lecz od wolnej i potężnej. Stanowiło dlań »prawdę niezaprzeczoną«, iż »jedynie tylko wskrzeszenie całej Polski zmienić zdoła teraźniejszy polityczny, naturze przeciwny, z dobrem ludzkości niezgodny kształt Europy, a zatem ledwo nie całego świata«. (Tom I *Powstania*, strona 3). Nie idealizuje słabości materyalnej i politycznej narodu; dla niego klęska wojenna Polski była zarazem klęską moralną narodu. »Nie niemogliśmy, ale nieumieliśmy« — mówił, zwalczając zacięcie opinię rozpowszechnioną, iż »ulegliśmy przemocy«, opinię, która »tyle prawie dogadza naszej źle zrozumianej pod tym względem miłości własnej, ile z innej strony przeciwi się prawdzie historycznej i szkodzi rzetelnemu, politycznemu interesowi narodu polskiego«. Z koncepcyi Mochnackiego płynie wniosek krzepiący: jeśli bowiem ulegliśmy przemocy, która rozpostarła swą sieć na Polskę, to cud chyba tylko wyzwolić nas zdoła, jeśli zaś własne błędy nas pogrążyły, to z błędów tych po srogiej próbie otrząsnąć się można.

Omawiając w swych prelekcyach pamiętnik generała Kopcia, mówi Mickiewicz, iż w Kopciu »widać nowy charakter Polaka skruszonego nieszczęściem« w przeciwieństwie do Niemcewicza. Mochnacki, bliższy jest Niemcewicza w tym razie, nic nie ma on w sobie z Polaka skruszonego. Jest w nim wielka duma narodowa, duma spadkobiercy sławnych dziejów, syna starej kultury; ilekroć mówi o Polsce i o Rosyi, przebija w nim dumne poczucie europejczyka, urodzonego dziedzica cywilizacyi zaszczepionej i rozkwitłej w Polsce od wieków. Znamienniejsza zaś jeszcze, że i przed Zachodem nie schyla głowy niewolniczo; zwłaszcza po zetknięciu się — nie z tym urojonym w głowach młodzieży warszawskiej, lecz z rze-

czywistym Zachodem, urósł w dumę co do własnej ojczyzny. Najsilniej chyba ta ambicya patryoty, kochającego i ceniącego tak świetną, a zdruzgotaną, napół już zapomnianą w Europie przeszłość swego narodu, przebija w rzeczy *O Rewolucyi Społecznej w Polsce*. Roztrząsa przeszłość Francyi i Polski, podnosi chlubne pierwszeństwo Polski w rozwoju swobód obywatelskich, wyłuszcza, iż nawet po rewolucyi lipcowej liczba wyborców w tej nowoczesnej Francyi konstytucyjnej, która przebyła dwie rewolucye, nie dorównywa ilości elektorów do sejmu polskiego za czasów Rzplitej, znacznie mniej od niej ludnej. »Porównajmy te stosunki. Prowadzą one do ważnych rezultatów i wbijają nas w wielką dumę narodową. Kto w tej mierze wzoru szuka z Francyi dla Polski, ten nas poniża i do tylu już błędnych wyobrażeń o Polsce nowe dodaje błędy«.

Momentem krytycznym dla niejednego Polaka po upadku powstania było rozczarowanie do ludów Zachodu. Trzy mocarstwa, gnębiące Polskę, — na Wschodzie, Zachód obojętny, siły narodowe — rozbite: wśród tych strasznych doświadczeń łamał się duch w niejednej polskiej piersi; jeśli zaś do tego i sumienie się zachwiało — następowała apostazya narodowa, jak u Gurowskiego; jeśli sumienie polskie na taki akt zdrady się wzdrygało, wiara jednak w sprawę słabła, — rodziły się teorye rezygnacyi narodowej, programy kapitulacyi z samoistnego bytu politycznego; w ogromnej większości wypadków te programy kapitulacyi przyoblekały się w kształty marzenia o państwie plemiennem, słowiańskiem, w któremby Polsce przypadła rola podrzędna. Mochnacki, mocno pod koniec życia do ludów Zachodu rozczarowany, nie pomyślał o spoczęciu Polski na łonie Słowiańszczyzny, za cenę utraty odrębności historyczno-politycznej narodu; wierzył w odrodzenie Polski o własnej mocy, wreszcie dla niego Polska to »prawdziwa, jedyna wyobrazicielka olbrzymiego słowiańskiego rodu, jego świetności, mocy i ogłady«; gdyby

więc pomyślał nawet o zrzeszeniu słowiańskiem, to pewnie wymagałby w niem dla swego narodu roli, odpowiadającej jego poczesnemu, jak wówczas zaś stanowczo pierwszemu w słowiańszczyźnie stanowisku cywilizacyjnemu. Ta wiara mocna w odbudowanie polityczne, duma narodowa, żywa świadomość odrębności Polaków, jako społeczeństwa, złączonego nierozerwalnemi węzłami moralnej, cywilizacyjnej, wiekami utrwalonej jedności narodowej, głębokie odczucie potęgi i uroku sprawy polskiej — były niezbędne, aby uchronić zbolały, rozbity naród od zwątpienia, od rozchwiania.

Aby ocenić rolę moralną krzepiących dzieł Mochnackiego, pisanych w jednym z najcięższych dla narodu okresów, należy uprzytomnić sobie, że nie sami tylko ludzie nikczemni, lecz nawet żarliwi patryoci, ludzie niepospolitego rozumu wpadali po ciężkich klęskach narodowych w zwątpienie o przyszłości Polski. Najznamienniejszego przykładu dostarcza Staszyc. W epoce, gdy upadły nadzieje, związane z osobą Napoleona, gdy wschodziła gwiazda Aleksandra, a naród był wyczerpany po ciężkich wojnach, skreślił Staszyc swoje *Myśli o równowadze politycznej Europy*[1]. Staszyc, który własnemi oczami przyjrzał się zbliska uciskowi w zaborze pruskim, wzywa narody polski i rosyjski, aby się połączyły, połączenie to atoli wyraźnie pojmuje, jako kapitulacyę Polski z samoistnej roli dziejowej i z odrębności historyczno-politycznej. Niebezpieczeństwo niemieckie wymaga połączenia się słowian; z tą myślą iest »Bóg i natura«, zginie, kto przeciw niej będzie.

»Wielki Rosyan Narodzie! Czyli Polacy, czyli Rosyanie mają oswobodzić słowiańskie plemię i wyprowadzić je na drogę przeznaczenia jego, od wieków wyrzekła Opatrzność, wam nadając za siedzibę ziemię z przodu

[1] Dzieła Stanisława Staszyca. Warszawa 1816. Tom IV. „Myśli" czytane były w Towarzystwie Przyjaciół Nauk w roku 1815.

trudno dostępną, z tyłu wcale nietykalną. Później za naszych czasów rozstrzygła toż zapytanie na waszą stronę cała Europa«.

Ostrzega Rosyę przed zaborczością Niemiec: »Będą zajrzeć waszej potędze i waszej sławie i przeciw wam powstaną«.

»Ten celec jednoczenia się Słowian już dziś wyraźnie w was moc Opatrzności wskazuje... Teraz sprzyja wszystko. Dla was wrodzona wszystkich Słowian skłonność. Z wami jeden język, jeden umysł, z wami w większej części jedna wiara«.

Ostrzega, iż Rosyę może uprzedzić w tem dziele państwo niemieckie — oczywiście Austrya: »Ten czas może przyjść, gdy jeden z tych panujących, pojrzawszy bliżej na swoich poddanych, porachuje Niemców. A poznawszy, że pierwsi (t. j. Słowianie) składają sześć części, a ostatni ledwo część siódmą, mógłby poznać, czyim on jest królem; mógłby spóźnić, przerwać wielkie dzieło przyrodzenia — zrzeszenia się Sławian w potężnym narodzie Rosyan«.

»Połączenie, zrzeszenie się Słowian w Cesarstwie Rosyjskiem sprowadzi zrzeszenie się Europy, zniszczy w niej wojny i nada tej części świata stały pokój«.

»Najpotężniejszy na tej ziemi narodzie! Oto cel przez opatrzność dotąd kierowanych twoich działań! Postępuj śmiało. Ty idziesz za przyrodzeniem, twoje dążenia są dążeniem natury... Wszystkim, co przeciw północy, co przeciw tobie powstają, grozi nieszczęście i zguba. Ty z naturą, oni kroczyć będą przeciw naturze«.

»Myśli« Staszyca, wypowiadane w ogólnikach, nie pozwalają na orzeczenie stanowcze o tem, jak wyobrażał sobie byt, rolę i prawa Polski w zrzeszeniu słowiańskiem. Dosłowne brzmienie nasuwa wniosek, że autor zwijał byt Polski, nietylko jako państwa samoistnego, lecz nawet, jako państwa, połączonego unią z Rosyą i z resztą słowiańszczyzny, nie mówi bowiem nic o federacyi narodów

słowiańskich, lecz tylko o połączeniu Słowian w Cesarstwie Rosyjskiem. Co więcej, wzmiankuje o »zrzeszeniu się Słowian w potężnym narodzie Rosyan«, mówi o jednym języku, czyli zdaje się jakby myśleć o utworzeniu jednego narodu, o roztopieniu jestestwa polskiego w żywiole słowiańskim, recte rosyjskim. Kto wprawdzie zna hyperboliczny język Staszyca w dawnych jego pracach, gdy wygłasza hasła ogólne, a z drugiej strony trzeźwość jego szczegółowych wskazań, które daleko nieraz odbiegają od jego paradoksów teoretycznych — w stronę zmysłu praktycznego, ten nie może brać zanadto dosłownie patetycznych ustępów w *Myślach o Równowadze*. Są jednak »Myśli« Staszyca znamiennym objawem upadku ducha, jakiemu uległ pod koniec życia.

Byłoby to obrazą imienia znakomitego obywatela Staszyca nawiązywanie do jego pamięci tych licznych przykładów odszczepieństwa narodowego, jakich dostarcza epoka porozbiorowa wśród wybitnych nawet imion i umysłów. Rozważając atoli sprawę stosunku Mochnackiego do kardynalnego pytania »być czy nie być«, jakie nasuwało się po wielkiej klęsce narodowej, nie podobna nie dać pobieżnej choćby wzmianki o objawach tego upadku ducha, jaki ogarniał wydatne nawet umysły ówczesnego pokolenia. Jedni odszczepieństwo swe posuwali wprost do zaparcia się własnej narodowości i zgłaszali swe przyłączenie do narodowości rosyjskiej, a jak książę Teofil Mirski zarazem do »naturalnej religii słowian«; inni, pozostając sami z imienia Polakami, zalecali jednak zwinięcie raz na zawsze sztandaru polskiego w dziejach; przytem jedni z nich dążyli jedynie do potłumienia aspiracyi politycznych swego narodu, inni radzili zatrzeć nawet plemienność polską i wejść w skład większego i silniejszego szczepu, jako część integralna. Wszystkim im wspólny jest jeden rys — oto przeświadczenie, szczere, lub udane, o niezdolności Polski do samoistnego bytu i do użytecznej roli w życiu narodów; ta chorobliwa ja-

kaś mania małości — mikromania narodowa prowadzi ich nietylko do kornego poddania się ciężkiemu losowi, jaki dotknął naród polski, lecz i do wysławiania tego zrządzenia, jako słusznego i sprawiedliwego wyroku historyi, spełnionego na gnuśnym i szkodliwym narodzie. Poza tem jeszcze jedna właściwość cechuje ich wszystkich: jakiś szał lżenia własnego narodu, cyniczne deptanie imienia polskiego; objaw ten niegodziwy z początku zdumiewa, dopóki nie pojmiemy, że jest to prawo psychiczne wszelkiej nikczemności: nienawiść tej idei, którą człowiek zdradził.

Renegat żarliwością w nienawidzeniu i lżeniu dawnego wyznania chce wkupić się do nowego bractwa, zmazać tym chociaż sztucznym ogniem stygmata dawnej wiary, a może i zagłuszyć odzywający się z głębin duszy głos sumienia.

Najgłośniejszym w pierwszych latach porewolucyjnych renegatem był Adam Gurowski, niegdyś uczestnik spisku koronacyjnego, potem gorący klubista za rewolucyi, wreszcie jeden z twórców Towarzystwa Demokratycznego na emigracyi. W roku 1834 podał Gurowski prośbę do rządu rosyjskiego o amnestyę, gdy zaś wiadomość o tem rozeszła się, w liście do *Gazety Augsburskiej* z 8 września 1834 roku wyłuszczył powody, dla których opuszcza emigracyę i prosi o przebaczenie rządu za swe dawne błędy. Oświadcza Gurowski, iż zwątpił zupełnie o przyszłości Polski, gdyż narodowość, nie posiadająca w sobie samej dosyć sił żywotnych, skazana jest na śmierć polityczną; sądzi, iż będzie zapewne zmuszony »jeśli nie innej ojczyzny (co przy dzisiejszych ciasnych pojęciach narodowości jest niepodobnem), to przynajmniej innego schronienia sobie poszukać«, gdzieby jeszcze »z jakąkolwiek korzyścią mógł być użytym« [1].

---

[1] Patrz „Tygodnik Emigracyi Polskiej“ z dnia 9 października 1834 roku.

Schronienie takie znalazł niebawem w Rosyi, udzielono mu bowiem amnestyi, i odtąd w pracach, po francusku pisanych, sławił misyę cywilizacyjną Rosyi i uzasadniał konieczność i słuszność rozbiorów Polski.

Jako zakład swego nawrócenia, wydał Gurowski niebawem pisemko w języku francuskim[1]. Oto są jego myśli krytyczne. Od chwili zjawienia się na arenie historycznej dwóch państw, Polski i Rosyi, zawiązała się pomiędzy niemi walka o to, kto ma wytworzyć wielkie państwo na wschodzie Europy i skupić pod swem berłem ludy słowiańskie. Opatrzność rozstrzygnęła ten spór na korzyść Rosyi. Unicestwienie polityczne Polski stanowi wynik niezłomny tej walki dwóch państw, ich współistnienie jest niemożliwe i nawet stanowiłoby »potworność historyczną«. »Słowiańszczyzna potrzebuje jedności, powinna mieć jedną głowę, jedno ognisko, jedno dążenie, jedną wolę«.

Jakie znaczenie ma byt polityczny Polski dla wielkich interesów ludzkości? Które z dwóch państw lepiej odpowiada wymaganiom postępu? Takie pytania stawia sobie autor, poczem przebiega pogardliwym wzrokiem dzieje Polski od wieku IX, uważa, iż był to od początku twór chorobliwy, »dziecko rachityczne«, które nosi zarodek choroby; to też Polska stanowiła stale, w stopniu wciąż wzrastającym, ognisko nieładu, anarchii, ciemnoty. Za to dzieje Rosyi wykazują stały postęp, który obecnie zapewnia jej niezaprzeczoną wyższość »pod względem historycznym, politycznym, intelektualnym«. Rosya winna być potężnem państwem wschodnio-europejskiem i ogarnąć całą słowiańszczyznę. Polska w tym ogromie słowiańskim jest zaledwie punktem; stosunek Polski do Rosyi może być tylko stosunkiem prowincyi względem państwa. Zastrzega się Gurowski stanowczo przed federalizmem,

[1] „La vérité sur la Russie et sur la révolte des provinces polonaises“ par Adam comte Gurowski. Paris 1834. (stron 96).

wielbi centralizm i absolutyzm rosyjski. Wręcz oświadcza, iż w Rosyi znalazł ojczyznę, bo »woli mieszkać w obszernym domu, niż w nędznej chacie«. »Rosya reprezentuje życie, Polska trupa, który przeszedł już wszystkie okresy rozkładu«. Piękną swą książkę kończy ogólną denuncyacyą przeciwko Polakom, będącym w służbie rysyjskiej, iż w duszy złorzeczą potędze Rosyi.

Gurowskiego broszura budzi nietylko zdumienie lecz i smutek. Po pierwsze bowiem, początek jego pracy, mówiący o potrzebie państwa słowiańskiego dla równowagi politycznej Europy, wspominający o opatrzności, która rozstrzygnęła walkę polsko-rosyjską zgodnie z wielkiemi przeznaczeniami ludzkości, fatalnie przypomina *Myśli o równowadze* Staszyca. Powtóre, liczne ustępy jego pracy, gdy naprzykład przepowiada przyszłą hegemonię Prus w Niemczech, gdy mówi o wielkiej doniosłości związku celnego i wspólności gospodarczej dla zjednoczenia narodowego Niemiec, zdradzają wcale niepośledni umysł polityczny. Nakoniec, niepodobna zapomnieć, że pisze to niedawny koryfeusz naszych demokratów. Jeszcze na kilka miesięcy przed swą apostazyą założył Gurowski pismo *Przyszłość*. W przedmowie do pierwszego i zarazem ostatniego zeszytu tego pisma, datowanej dnia 29 listopada 1833 roku, oświadcza, iż »od tej olimpiady narodowej żałoby« datować chce swe pismo. »Pismo to będzie naukowo-socyalne. Na tej tylko drodze pojmuję przyszłość ludzkości, Europy, a w niej Polski«. Kładzie nacisk na wyzbycie się »dawnych historycznych przesądów, ciasnych wyobrażeń, nadużyć przeszłości« »Z położenia emigranta, wygnańca, to przynajmniej choć jedno wypływa dobre, że zblizka na ogólny ruch się zapatrując, w rozmaitych krajach, z refleksyą na to, jakby takowy we własnej zastosować ojczyznie, wolniejszym jest od drobnych, pogranicznych, że tak rzeknę, zawiści«. »Nie jestem stronnikiem owego ascetyzmu umysłowego,

który naucza, by nic nie znajdować dobrego u obcych, by się w swojem, ciasnem, narodowem zasklepić«.

W szczególnem świetle staje i owa namiętna krytyka przeszłości narodowej i ów rzekomo szeroki pogląd humanitarny, które jednały Gurowskiemu taki mir wśród demokratów, wobec tego radykalnego zerwania z Polską, jakiem swą działalność niebawem przypieczętował[1].

W czwartym lat dziesiątku, w miarę zwłaszcza wzmagania się panslawizmu, te zbyt skwapliwe egzekwie rodaków nad ciałem Polski, stają się częstsze; nie były one przywilejem kosmopolitycznych ideologów; prześcignął bowiem chyba jeszcze Gurowskiego cynizmem swych wynurzeń chwalca przeszłości szlacheckiej twórca *Listopada*. W Wilnie w r. 1841 wychodzą *Mieszaniny Obyczajowe* Jarosza Bejły (Henryka Rzewuskiego). Z wyrafinowanem jakiemś upodobaniem składa autor do grobu nietylko państwo polskie, lecz i sam naród polski. »Pokąd człowiek zbiorowy (ciało społeczne) ma w sobie duszę (ducha), potąd objawia wszystkie rzeczywiste zjawiska żywota« czytamy tam w rozprawie »Przyszłość«: »Ale skoro śmierć rzeczywista przyjdzie na to ciało zbiorowe, natenczas dusza narodu nie przenosi się do wieczności, jak dusza człowieka pojedyńczego, bo dla narodów niema wieczności; ale ulatniając się z ciała społecznego, uświetni swój zgon ostatniem zjawiskiem, lecz już oderwanem od życia społecznego. Jako zwykle chory, przed samem skonaniem, jakieś dziwne okazuje zjawiska życia, które przecie biegłego lekarza płonną nadzieją nie omamią; tak i duch konającego narodu jeszcze czas jakiś ściśnie się w umysłach kilku znakomitych mężów, aby starą synagogę ze czcią pogrzebać... Wybucha raptownie,

[1] Jako curiosum, ciekawe byłoby zestawienie tej „Prawdy o Rosyi" Gurowskiego chociażby z jego mową płomienną, jaką wygłosił u stóp kolumny Zygmunta w Warszawie 25 stycznia 1831 r. na obchodzie uroczystości na cześć »rosyjskich męczenników wolności«. (Patrz „Nowa Polska" Nr. 22 z 26 stycznia 1831 roku).

jakby jakim cudem, różnobarwna literatura; literatura bez miłości dla położenia obecnego, bez nadziei w przyszłości, sięgająca jakichś dawnych pamiątek, dawnych podań, wszystkiego tego, co już nie jest i odżywiająca to wszystko jakimś sztucznym żywotem... Jednem słowem, jest to dzieło pogrobowe ducha narodowego, ostatnie jego wysilenie; poczem, ulotniwszy się, milczenie nastąpi — nim wszedłszy w skład obcych mu dotąd żywiołów intelektualnych, znowu przemówi, ale już językiem innym; a swój rodzimy, przybrawszy ostatnią swoją formę, w niej się skrystalizuje i stanie obok sanskryckiego, greckiego, celtyckiego, rzymskiego, któremi także oddawały myśli swoje społeczeństwa żywotne, a które już dziś są tylko pomnikami«.

»Co się zaś tyczy rozkładu fizycznego, tu jeszcze więcej ma stosunków ciało społeczne z ciałem indywidualnem, i w niem także robactwo coraz obrzydliwsze toczy szczątki, opuszczone od tego boskiego ognia, który im dawał jednolitość, ruch, żywot. Tem robactwem są pokątne stowarzyszenia, chcące napróżno zatrzymać ten żywot społeczny, ulotniony z dostojnego ciała. Z początku to robactwo będzie foremniejsze, bo wylęgłe w świeższem opuszczeniu organizmu. Ale w następnych jego formacyach, ród po rodzie, coraz więcej się każąc, dojdzie do ostatecznych krańców obrzydliwości. Będą z początku Filarety, Promieniści, potem związki patryotyczne, kosyniery, Templaryusze, a nakoniec Skórkowi i Baragoli...«

Po takiem naigrawaniu z martyrologii polskiej daje Rzewuski rodakom zaszczytną radę: »My, z wyroków boskich zostawszy częścią potężnego stowarzyszenia Rosyan, wnośmy nasze prowincyonalne wyroby do ogólnej a spólnej skarbnicy, a zjednoczeni z naszymi pobratymcami, utwierdzajmy siebie wszystkich w przekonaniu, że literatura rosyjska, kwitnąca w tak niezmierzonych przestrzeniach, monotoniczną cechę przybierając, wygnałaby z siebie

wszelki zaród poezyi. Powinna owszem objawiać żywioły ukraińskie, moskiewskie, siewierskie, nad-wołgańskie, dońskie, litewskie, nawet sybirskie«[1].

Niegodziwa elukubracya Rzewuskiego znalazła obrońcę; z pochwałą jej w *Tygodniku Petersburskim* wystąpił Michał Grabowski. Około tego czasu wiele umysłów polskich na wychodźtwie zeszło na tory panslawizmu. Jeden ze współpracowników *Trzeciego Maja*, Wacław Jabłonowski, zaczął nawet wydawać w r. 1843 pismo *Słowianin*, w którem rozwijał myśl państwa słowiańsko-rosyjskiego ze stolicą w Kijowie. Niektórzy zrywali otwarcie z narodem, jak emigrant książę Teofil Światopełk Mirski, który w liście francuskim, do syna Dymitra pisanym, a między Polaków w Paryżu zamieszkałych rozrzuconym, otwarcie ogłaszał, iż wyrzeka się Polski i katolicyzmu, poczem istotnie, zgodnie z zapowiedzią, wrócił do »naturalnej religii Słowian«[2].

Najbardziej atoli wyrafinowanym ze wszystkich wystąpień był elaborat wybitnego pisarza Michała Grabowskiego, znanego nam już członka patryotycznych kółek młodzieży przed rewolucyą, mianowicie, list jego do hrabiego Strutyńskiego, adjutanta generał-gubernatora kijowskiego, Bibikowa, z datą dnia 2 lutego 1843 roku. Przedruk listu tego zjawił się na szpaltach *Demokraty Polskiego*, 6 kwietnia 1844 roku. Grabowski nie poprzestał na teoryi, lecz zapragnął przyłożyć się czynnie do zwrócenia strumienia polskiego w morze rosyjskie. »Coraz wyraźniej objawiająca się myśl wielka Słowiańszczyzny tak w instynktownem przeczuciu ludów, jak nawet i w działaniu rządowem powołuje każdego człowieka dobrych

[1] Krytyka „Mieszanin" umieszczona była w „Demokracie Polskim", w Paryżu wydawanym. Tom V, str. 129, 137, zeszyty z grudnia 1842 r.

[2] O Jabłonowskim: „Dziennik Narodowy" z 18 marca 1843 r.; „Demokrata Polski", Tom V, strona 203. — O Mirskim — Trzeci Maj z 2 kwietnia 1843 roku.

chęci przyłożyć się do tego w miarę jego sił i zdolności«. Wyznaje swą »gruntowną myśl«: »interesa mych ziomków, a interes władzy jest zupełnie jeden i ten sam«. Utyskuje na zaniedbanie ze strony rządu »edukacyi mas«. Rząd troszczy się o edukacyę dzieci za pomocą celowego systemu szkół, lecz należy pomyśleć o edukacyi dla ludzi dorosłych, a tą może być tylko literatura. »Do dziś dnia zapomocą instytucyi cenzury zapobiega się, aby literatura nie miała złego kierunku, tego nie dosyć, bo stać się może, że literatura tak kontrolowana będzie zupełnie bez ducha, to jest będzie niczem, tu zaś gwałtownie potrzeba, ażeby literatura wspierała czynność, ale czynność spodziewaną, błogą, potrzebną... Według mnie, źródłem wszystkich nieszczęść, największą fatalnością to było, że nigdy w naszej polskiej literaturze nie mieliśmy szkoły, głośno oświadczającej się za naszem status quo politycznem; za nową przyszłością, która się dla nas zaczęła. Upadek Polski zbliżył w niesłychany sposób erę słowiańską, a jednak sam w sobie był katastrofą przeraźliwą i bolesną. Wszelako rozum, niezagłuszony uczuciem, powinien był poścignąć ogromne cele opatrzności. Nic jednak dziwnego, że było to zadanie wyższe nad siły umysłu narodowego, przerażonego zbyt wielkim nieszczęściem; mniej wyrozumiały jestem dla epoki od 1815 do 1830«. Mniema, że i klęska 1831 roku dopuszczona została »nie bez celu Opatrzności«. »Kto wie, czy nie trzeba było ostatecznego porażenia Polaków dla zrobienia z nich żywiołu mniej opornego, w wielkiem połączeniu słowiańskiem, które się gotuje«. Dowodzi Grabowski, że nawrócenie Polaków duchowe, przy zachowaniu znamion ich narodowości, korzystniejsze byłoby dla rządu, niż ich zupełne wynarodowienie. »Pozwalam sobie powiedzieć, że zaślubienie szczere i otwarte przez Polaków, poddanych rosyjskich, ducha z interesem ich nowej Ojczyzny byłoby stokroć użyteczniejszem, jak najzupełniejsze ich przytępienie«.

W wypadku ostatnim »przybyłaby Rosyi nic nie znacząca cyfra ludności, a może powiększyłaby się raczej ta jej klasa, która zagrożona duchem kosmopolityzmu i indyferentyzmu jest dla nich w politycznym względzie zupełnie nieużyteczna lub może szkodliwa«. »Przeciwnie, zostawując Polaków Polakami, ale pracownikami wielkiej rosyjskiej słowiańskiej myśli, wyznawcami jej wiary politycznej, nietylko miałaby pożyteczne ciało w domu, ale z tem razem stronnictwo sobie przychylne«. To ułatwiłoby misyę słowiańską Rosyi; dla poparcia tej »świętej sprawy« pragnie Grabowski założyć dziennik i w tej myśli daje »treściwy wykład swej wiary politycznej«: »Mniemana historya Polski samoistnej samoistnie jest zakończoną. Odtąd żyć ona tylko może, jako członek Rosyi lub Słowiańszczyzny. Patryotyzm więc Polski zakładam na tem, ażeby być działaczem powolnym i użytecznym w losach Wielkiego Rosyjskiego Państwa. Myślę, że jedność słowiańska nie może się spełnić, jak pod patronatem Rosyi. Wyrażam także, że pod wyobrażeniem Słowiańszczyzny widzę nie federacyę, ale jedną i tęż samą monarchię. Jedynowładztwo za talizman potęgi i wyższości północy nad karłowaciejącą i słabnącą coraz Europą uważam i za najtwardszą posadę porządku, spokojności i szczęścia ludów. Chciałbym, aby Polacy uznali czemprędzej przymioty tej formy rządowej, nie pojętej w cywilizacyi zachodniej, i myślę, że przywieść ich do tego można, bo zapewne nie narodowość polska przeszkadza temu, ale wyraźnie edukacya wrażeń pozakraiowych«.

Dalej, wyłuszcza zasady wydawania dziennika. Naprzód, potrzebne szczere poparcie ze strony rządu. Powtóre dziennik powinien być wydawany po polsku, bo »jeżeliby chciano wywrzeć wpływ na powszechność polską, najniepolityczniej byłoby zmuszać ją odrazu musem do obcego języka«. Po trzecie, dziennik powinien być wyłącznie literackiej treści i »właśnie aby porządkiem popu-

larnego czytania szerzyć swoje zasady i przekonanie«. Po czwarte, należy dążyć do ugruntowania »zdrowych doktryn społecznych«, albowiem »źródłem wszystkich zdrożności i głupstw, popełnionych w naszych prowincyach nic innego nie jest tylko propaganda liberalna«. »Brać się odrazu za Słowiańszczyznę krok trochę przedwczesny, należałoby się wprzód przygotować należycie, zaś przygotowanie zasadza się na poślubieniu dobrych doktryn«. Wreszcie dziennik powinien być wydawany »przez katolika dla katolików«. Jeden rozdział byłby stale poświęconym sprawom rosyjskim. »Klęską dla nas było, żeśmy dotąd nie znali wcale tego narodu... Powzięcie wyobrażenia doskonałego o Rosyi byłoby może najsilniejszą rękojmią przeciw wpływom zachodnim. Obraz jej siły i środków uderzyłby imaginacyę i przekonywał rozum«.

Przy rozważaniu tych znamiennych objawów odszczepieństwa, przychodzą na myśl słowa Mochnackiego przy charakterystyce Czartoryskiego w II tomie powstania, o tem jak »ideami związku, pobratymstwa wstrząśniona została stara opinia narodowa, ruszony z miejsca poświęcony wiekami kamień naszej całej mądrości politycznęj«, jak »pod wpływem tych wyobrażeń związku i pobratymstwa powstała cała szkoła publicystów-odszczepieńców«. Typ takiego publicysty-odszczepieńca z przedrewolucyjnego jeszcze pokolenia znał on dobrze, jako wzór wymieniał oryentalistę Sękowskiego i w I tomie Powstania w niewielu słowach naszkicował wizerunek moralny tych ludzi, którzy »zasadzali cały swój rozum na wyśmiewaniu polszczyzny..., a skończyli na tem, że dla Polaków stali się Moskalami, a od Moskali sprawiedliwie wzgardzeni i znienawidzeni byli na kształt mułów w stadzie, zbękarciałych i nie reprezentujących żadnej rasy«.

Rzec można, iż podwójnym torem schodziła na manowce idea polska. Z jednej strony, ludzie materyalistycznego na życie narodów poglądu po upadku państwa

polskiego już zwątpili o siłach narodu, po za ciałem politycznem nie dostrzegali nieśmiertelnego ducha narodu, i widząc, iż ciało rozdarte, sądzili, że może ono nadal istnieć, tylko jako część składowa ciał innych. Staszyc dawał znakomite rady ku ocaleniu państwa polskiego, ku naprawie i ratunkowi Rzplitej, gdy jednak państwo upadło, wówczas ten naturalista i mąż stanu, pojmujący dobrze i prawa natury i sztukę rządzenia ludami, zwątpił, by ten naród, rozczłonkowany, mocy państwowej pozbawiony, zdołał napowrót powstać; sądził, że istnieć może nadal jedynie w odmiennej postaci, w nowej kombinacyi pierwiastków. Wielkie serce Staszyca zachowało go, pomimo jego ostatniej doktryny, do końca życia, jako znakomitego obywatela narodu, widzieliśmy jednak, do jakiej potwornej herezyi narodowej doprowadził sceptycyzm porozbiorowy Henryka Rzewuskiego i innych ludzi, mniejszej od Staszyca duszy.

Z drugiej strony, przeciwna doktryna — mistyczna sprowadzała myśl narodową na bezdroża. Mistycy — mesyaniści przenieśli egzystencyę pogrobową Polski do krainy ducha, pojęcie o narodzie sprowadzili do dziedziny rojeń, widzeń, proroctw. Zerwawszy wszelki związek z mocą ziemską, materyalną ojczyzny, wpatrzeni w widmo duszy narodu, niebawem stracili z oczu i jasne zarysy i kształty tego ducha, zapomnieli o jego odrębnem istnieniu, o jego wyłącznych, szczególnych zadaniach i potrzebach, i zaczęli go opuszczać, zdradzać dla jakiejś utopii ducha plemiennego, rasowego czy też wszech-ludzkiego, zaciągnęli się do jakiejś wyimaginowanej służby dla nibyto szerszych ideałów. Trzeba było cudownego instynktu, geniuszu serca i myśli — Mickiewicza, aby po wieloletniej wędrówce po manowcach Towianizmu otrząsnąć się i zbudzić na łoskot burzy 1848 roku — do bohaterskiej a ziemskiej myśli legionu. Inni, biedniejsi odeń duchem, zgubili zupełnie światło prawdy i obowiązku w mgle urojeń i odurzenia i dochodzili do negacyi zadań żywotnych narodu.

Mochnacki łączy Polskę ciała i krwi, Polskę oręża i potęgi ziemskiej z Polską ducha, cierpienia i nadziei. Nikt przed nim nie dał tak trzeźwego a zarazem podniosłego wizerunku życia porozbiorowego. Jego obraz Polski, rozdartej a żyjącej, poniżonej lecz nie uśmierconej, jest zrozumiały i krzepiący. Rozum trzeźwy i serce gorące, dusza myśliciela i artysty — złożyły się na ten wizerunek. I dla Mochnackiego życie narodu po katastrofie podziału to »największa zagadka nowoczesnych dziejów, jedyny cud w dzisiejszych czasach« (Przedmowa do Powstania); cud ten atoli wyjaśnia on trybem przyrodzonym. »Sąsiedzi rozszarpali Polskę broniącą się i, przedsiębiorącą wewnętrzną u siebie poprawę« mówi, wyjaśniając genezę powstania: »Śmierć polityczna zaskoczyła naród po zbrojnem powstaniu i w początkach reorganizacyi społecznej, reorganizacyi natchnionej przez rozum i doświadczenie. Polacy, wzmocnieni na duchu, ożywieni wielkiemi ideami, ulegają trzem ościennym dworom, które im tych ideów rozwinąć i lepiej ugruntować się w zaczętej rewolucyi społecznej, w dziele trzeciego maja nie dopuściły. Rozbiór naszego kraju, który wśród tych okoliczności, w tej chwili tak stanowczej, tak wiele obiecującej miał miejsce, nie był więc sekcyą trupa albo obumierającego ciała, lecz żywej istoty, odradzającej się w samej katastrofie politycznego zgonu. Ziemia została podzielona, ale tylko ziemia: co narodu składa istotę, ocalało. Naród stracił byt polityczny skutkiem niemocy dawnych swych rządów, lecz nie stracił społecznego związku, nie stracił towarzyskiego jestestwa, które znacznie poprawił, które bardziej jeszcze udoskonalić zamierzał«. Brzmi to jakby odpowiedź, dana zawczasu na późniejsze wywody Gurowskich, Rzewuskich. Myśli Mochnackiego o bycie porozbiorowym Polski wydają się nam aż nadto proste, zrozumiałe, niemal banalne; nie należy atoli zapominać, że wówczas gdy Mochnacki pisał, bynajmniej nie była uznana i rozpowszechniona ta myśl, iż narody nie umierają. Po pierwsze, dopiero wiek

XIX był świadkiem odrodzenia takich narodowości, które z powodu utraty bytu państwowego uważano już za umarłe, a przynajmniej za strącone do poziomu szczepów ludowych, jak Czesi, Chorwaci, Serbowie i inne. Dopiero pod wpływem potężnych ruchów narodowych, niemieckiego, włoskiego, polskiego, węgierskiego, wytworzyła się opinia o niepożytej sile żywotnej, o niezniszczalności narodów nowoczesnych. Powstała ogromna literatura polityczna i socyologiczna, poświęcona wyjaśnieniu istoty narodu. To też w świetle dzisiejszego doświadczenia dziejowego i wiedzy dzisiejszej rozprawianie Rzewuskiego lub Gurowskiego, jest nietylko herezyą narodową, nietylko doktryną zaprzaństwa, lecz i — herezyą socyologiczną, absurdem. Za czasów Mochnackiego i ruch wyzwoleńczy narodowości europejskich stał dopiero na progu swego rozwoju i wiedza o społeczeństwie, o życiu społecznem, jako żywiole niezależnym i głębszym od państwa, była jeszcze bardzo daleka od obecnego stanu. To też Mochnacki w swych rozważaniach o bycie porozbiorowym Polski nie powtarza bynajmniej prawd utartych, lecz czerpie wnioski z żywego źródła własnych postrzeżeń, docieka, tworzy, ma przed oczyma nie szablon socyologiczny, lecz obraz rzeczywistości. Do tezy o nieśmiertelności narodu polskiego dochodzi nie przez dedukcyę, nie z podręcznikiem socyologii w ręku, lecz oryginalnie przez rozmyślanie własne i samodzielne nad objawami życia narodu polskiego. To znać chociażby po tem, iż żywotność narodu polskiego wydaje mu się zjawiskiem uderzającem, jedynem w dziejach »jedynym cudem w dzisiejszych czasach«. Nie używa jeszcze nawet pojęć społeczeństwa, społeczności, jako terminów stałych i utartych; ucieka się dla oznaczenia bytu porozbiorowego do różnych wyrażeń, które mu jego zmysł postrzegawczy nasuwa; mówi o bycie rodzinnym, familijnym, towarzyskim, a obok tego dopiero i o bycie społecznym. Wspominając o próbach ocalenia Polski, o sejmie czteroletnim, mówi: »To głębokie

przejęcie się samym sobą przed upadkiem, to dobrowolne pomnożenie obywatelstwa w narodzie zrodziły dziwny i z niczem na świecie nieporównany fenomen ruchów, które Polska po upadku swoim rozwinęła... Polska, wykreślona z karty europejskiej, jako potęga polityczna w systemacie innych potęg, znalazła w sobie osobliwszy rodzaj życia, nieznanego dotychczas w dziejach, znalazła, wykształciła u siebie egzystencyę domową, całkiem familijną, daleko mocniejszą i podobno trwalszą od mocarstw, co ją rozebrały«. Rozważa, że słabość władzy w dawnej Polsce wywołała pewien skutek dodatni: władza ta w stosunku do narodu »przez ciąg poprzednich wieków nie wypompowała, nie wypotrzebowała wszystkiego z jego wewnętrznego jestestwa i w potęgę materyalną nie przemieniła«; »kraj, *status*, nie wykształcił się i nie wybujał kosztem rodziny«. »Taki lud, przestając być potęgą polityczną, nie przestaje być ciałem społecznem i nie umiera; natenczas, jego siła zewnętrzna, złamana przemocą, nie rozprasza się, lecz z powierzchni wchodzi wewnątrz, wraca do swego źródła i że tak powiem wsiąka w związku społecznym«. »Kraje, przeważnie i bezprzestannie wywierające się na zewnątrz, potęgi najezdne, państwa zaborcze i podbijające, zwykle prędko lodowacieją w środku. Przyczyna tego naturalna: rząd takich państw jest to kołowrot, co nawija na siebie całą osnowę pospolitego życia narodowego«. Są państwa sztuczne, w których niema narodu, jest zaś tylko systemat polityczny, aglomerat, i są takie, jak Anglia, Francya, które są jednocześnie jestestwami organicznemi, związkami społecznemi; jednak »Polska płciową mocą swoją wszystkie przechodzi«, rozebrać ją, jako państwo, było nie trudno, pozostało atoli w niej życie niewygasłe, niewysilone, które naród utrzyma przy istnieniu.

Mochnacki nie wprowadza Polaka na te szczyty, do jakich wznosi się Improwizacya Konrada, Widzenie Księdza Piotra, Anhelli, Król Duch, Psalmy Przyszłości, Ojcze

Nasz. Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Cieszkowski odsłaniają w sprawie polskiej takie głębiny, o jakich nie śniłoby się Polakom, gdyby nie orli wzrok tych geniuszów. Odgadują związek tajemny sprawy polskiej z losami ludzkości, z zagadkami dziejów i bytu, kojarzą rzecz narodową z najgórniejszemi problematami — sprawiedliwości dziejowej, rządów mocy wyższej nad światem; przebijają promieniami swego geniuszu tą zasłonę, jaka zakrywa od nas świat niepoznawalny; przenikają tam, gdzie milknie wiedza człowieka, gdzie umiejętność ludzka zatrzymuje się bezsilna; wkraczają w górną krainę, do której wstęp otwiera tylko najwyższe natchnienie, — w krainę widzeń, przeczuć, wiary i rozświecają ją na chwilę przed zdumionym, zachwyconym wzrokiem człowieka. Czy Mochnackiego stać było na taki wzlot? Jednę z największych trudności jego charakterystyki, nie dopuszczającą roztrzygnienia wielu zagadek życia i ducha, będzie stanowić [1]

[1] Tak samo nierozstrzygniętem pozostaje pytanie: czy Mochnacki był człowiekiem czynu. Generał Prądzyński, rozważając postępowanie Mochnackiego na początku rewolucyi, przyznaje, iż »widział rzeczy dobrze, domagał się rozsądnego postępowania«, że to, co mówił, wydelegowany będąc od Klubu do Rządu 2 Grudnia, »było prawdą, było konsekwentne, było oczywiste«, zarazem atoli wyrzuca mu, iż »nie wziął góry« nad Wysockim, nie ustanowił rządu rewolucyjnego, a zajmował się »czczą gadaniną«, rojąc o zrewolucyonizowaniu ministrów cesarza. Tłomaczy to tem, iż Mochnacki »nie był wcale człowiekiem czynu«. Krytyka ta kroków Mochnackiego grudniowych niesłuszna. Nie marzył on bynajmniej o zrewolucyonizowaniu panów Sobolewskiego, Grabowskiego i im podobnych, lecz dążył albo do usunięcia Rady Administracyjnej albo do wprowadzenia do niej rewolucyonistów, którzyby rzecz wzięli w swe ręce. Przeszkody niezwalczone udaremniły te zabiegi grudniowe Mochnackiego, jak udaremniły wszelkie następne jego próby czynnego działania, w powstaniu i na emigracyi. Mochnacki posiadał niewątpliwie żądzę gorącą czynu, był radykalistą, człowiekiem prostej linii i śmiałego kroku, jednocześnie zaś nie był doktrynerem; obierał te środki działania, za którymi w danej chwili przemawiało prawdopodobieństwo sukcesu, obrawszy zaś je, nie wahał się, nie ociągał się, nie hamletyzował. Miał wiele warunków na człowieka

zawsze to, iż twórczość jego urwała się wcześnie i nagle. Zaczął, jako estetyk, jako młodociany filozof piękna i literatury; powstanie uczyniło zeń polityka, publicystę i żołnierza, wychodźtwo — dziejopisa. Nie zdążył jeszcze nakreślić obrazu przeżytych wypadków, nie zdołał opisać tego, co mu się cisnęło pod pióro, gdy śmierć go zabrała. Któż może dziś orzec, do jakich wyżyn mógł się wznieść, do jakich głębin mógł dotrzeć jego talent? To, co napisał, zapewnia mu stanowisko zupełnie wyjątkowe wśród wielkich naszych pisarzów.

Mochnacki nie zatapiał się w dociekaniach mistycznych nad tajemnicą ducha narodu i ducha historyi, lecz głęboko przenikał dzieje polityczne narodu, rozjaśniał ziemskie koleje ojczyzny; nie odrywał wzroku Polaków od wydarzeń ojczystych, nie kierował ich oczu ku zagadnieniom, oderwanym od biegu życia, lecz przeciwnie przykuwał ich wzrok ku rzeczywistości rodzinnej, kazał wpatrywać się w nią pilniej, baczniej, prostował krzywe, pogłębiał płytkie sądy. Nie porywał za sobą ludzi w sferę, dla zwykłych śmiertelnych niedostępną, lecz wydobywał na jaśnię te myśli, które u każdego Polaka myślącego migotały blado przed progiem świadomości; uwypuklał, uwidoczniał

czynu, ponieważ atoli nigdy do działania nie został dopuszczony, trudno dać sumienną, a kategoryczną odpowiedź na nastręczające się w tej mierze pytanie, czy ujawniłby istotne zalety na stanowisku czynnem. (Uwagi Prądzyńskiego o Mochnackim: patrz Tom I Pam., strony 208, 209, 214).

Zwolennicy Mochnackiego zdecydowani, jak również zapamiętali jego wrogowie uważali go za człowieka, zdolnego do czynu: tamci — do czynu zbawiennego, ci — do szkodliwego. Natomiast, umiarkowani, jeśli tak rzec można, jego przeciwnicy i krytycy uznając talent literacki, odmawiali mu, podobnie jak Prądzyński, zalet działacza. »Tych, którym się statystą wydawał, uwiodły jego pisma, kiedy właśnie te utwory były tylko wypływem poetycznego umysłu, co sobie politykę za artystowski wziął przedmiot. Prawdziwy talent polityczny, w takiem jak on położeniu, miał obszerne w rewolucyi naszej pole« pisze o nim w notatce pośmiertnej J. K. Ordyniec (»Pospolite Ruszenie«, Paryż 1835).

to, co w leniwej myśli ogółu majaczyło, jako mdłe, niejasne przeczucie. Sprowadzał fakta, wydarzenia ojczyste do ich przyczyn istotnych a naturalnych, po mistrzowsku wykrywał ogniwa, łączące wypadki historyczne z działaniem osób, obozów, odsłaniał sprężyny tych działań, wprowądzał do kuźni uczuć i namiętności ludzkich, z niezmierną intuicyą odtwarzał naturę wewnętrzną, psychiczną czynów i tworzonych przez nie faktów dziejowych.

Wielcy nasi poeci wcielili myśł narodową w szereg postaci symbolicznych, zaklęciem geniuszu powołali do życia orszak nieśmiertelny, który przesuwać się będzie wieki całe przed oczyma pokoleń, wzniecać w duszach błogosławiony niepokój, chronić je od gnuśnego dosytu zjadaczy chleba. Mochnacki z góry zakreśla obwód dla pola swych myśli i sądów, pozostaje cały ze swym ogromnym talentem, ze swem cierpieniem i miłością w obrębie życia politycznego narodu, nie rzuca zagadek sfinksowych, wiecznych, lecz za to wszystkie pytania, które stawia, rozstrzyga ludzkim rozumem. A pytania to wielkie, dotyczące bytu, istnienia narodowego. Bunt, boleść krwawiąca drgają i w nim z wielką mocą, lecz bólu swego rzadko używa, jako natchnienia do tworzenia obrazów; nie na dzieło artyzmu radby go przekuć, lecz na broń żelazną; bunt przechodzi u niego nie w poemat, lecz w spisek, protest przeciwko krzywdzie — nie w dylemat moralno-filozoficzny, lecz w program polityczny. Ta niecierpliwość czynu przerywa nieraz robotę i natchnienie twórcze, artysta ustępuje wciąż miejsca żołnierzowi ojczyzny, konspiratorowi, statyście, lecz nigdy nie zaciera się ze szczętem. Wypadki przeżyte odtwarza Mochnacki tak cudowną mową, z pod pióra jego powstaje opowieść, pełna takiego czaru, takiego natchnienia, że czujemy, iż tego entuzyastę czynu narodowego żywioł poezyi nie opuszczał nigdy, ani na polu boju, ani w izbie radnej, ani wśród szeptu spisków.

Mochnacki miał wszelkie warunki na malarza wiel-

kich wydarzeń historyi narodu; posiadał w wysokim stopniu i zmysł prawdy, zmysł krytyczny i instynkt czci dla rzeczy wielkich. Czytając go, podziwiamy z kolei to przenikliwość, realizm nieubłagany, z jakiemi kreśli grę uczuć, namiętności, przenika i odtwarza opinie, prądy, przesądy i słabości ludzie, to znów grozę wspaniałą majestatyczną, jaką umie otoczyć wielki akt porwania się narodu do broni i straszną tragedyę klęski. Nie wpada nigdy w tak zwykły u opisujących wielkie wypadki własnego narodu — antropomorfizm i fetyszyzm patryotyczny, który prowadzi do wcielania majestatu sprawy narodowej w ulubione, popularne postacie i który każe ich miernym nieraz głowom rozlewać niby dokoła to światło, jakie bije w istocie nie od nich, lecz od sprawy.[1] Mochnacki troskliwie odłącza wielką ideę narodu od ludzi, których los wysuwał na czoło, i z kontrastu pomiędzy słabością lub nicością osób a wielkością sprawy, jaką historya w ich ręce złożyła, wysnuwa z uderzającą prawdą i grozą wstrząsającą — wielki dramat narodowy. Tak więc łączy się w jego niezrównanej opowieści — trzeźwość i poezya, rozum stanu i artyzm, przenikliwość psychologa i podniosły patos patryoty; przesuwa się przez karty jego historyi orszak ludzi, w ogromnej większości — słabych, małych, ułomnych, a jednak powieść ich czynów i kolei owiewa nastrój uroczysty. Jak wierni odróżniają w kapłanie człowieka od sługi Bożego, tak historyk-patryota przedziwnie oddzielił w sługach ojczyzny charakter osobisty od wielkiej misyi. Gdy kreśli sceny, podczas których ważyły się losy narodu, jak, naprzykład, wieczór 29 Listopada, wówczas na kartach jego panuje, rzekłbyś, cisza religijna, czujemy serce bijące, oddech zaparty w piersiach podchorążych, oczekujących — spełnienia ofiary. Gdy opisuje sceny radosne, wspaniałe, jak wejście wojsk Polskich trzeciego Grudnia do Warszawy, jak ogłoszenie dyktatury Chłopickiego, wówczas z jego barwnej, żywej powieści bije całą mocą, całym blaskiem entuzyazm, radość narodu; wskrzeszona siłą

talentu atmosfera wielkiej chwili drga serdecznym polskim zapałem, słyszymy dzwony wszystkich kościołów starej Warszawy, bijące na wielkie święto, na godzinę zmartwychwstania; czujemy wzruszeni, jak zstępuje do stęsknionych, znękanych serc ludu polskiego — majestat wielkiej przysięgi.

Nikt przed nim nie pisał o Polsce tak groźnie, i wspaniale, a tak zarazem serdecznie i smutno. Gdy mówi o starych grzechach narodu, nie może zwykle nie wspomnieć o udaremnionych wysiłkach poprawy, odrodzenia, o krwawej doli współczesnej; chłoszcząc, zawsze dodaje otuchy, wie, że przemawia do narodu, nieszczęściem utrapionego.

»Niegdyś szlachta polska, podniosła i wyłączna, szmat po szmacie... wydzierała z szkarłatu, który tron jej królów okrywał! Potem, zniewieściała, rozkiełzana i odrodna, — gdy się nieszczęścić poczęło, targała po rozbiorze kraju na wszystkich punktach swej ziemi pęta, wprawione przemocą; potem bezprzestannie aż do dni naszych, to sprzysiężona, to insurrekcyjna, to wędrowna, — ale zawsze opryskliwa, ale nad wszystko ceniąca swą wolność osobistą, miała w tym długim historycznym zawodzie dwie prawdziwie piękne chwile: jedną na sejmie czteroletnim, kiedy naprawując popsowane przez siebie dzieło rzeczypospolitej, składała pychę z serca i przypuszczała do udziału w obywatelstwie mieszczan, ażeby po tym szczeblu z miast równość dalej jeszcze, do gminu wiejskiego rozciągnąć; a drugą po nocy 29 Listopada, kiedy w pierwszem najżywszem uniesieniu poddawała się dobrowolnie pod jarzmo rodaka żołnierza, dla dźwignienia całej Polski«. (Tom II Powstania, strony 166, 167).

W takich ustępach jest słowo karcące, gorzkie, ostre, nie wyziera atoli do nas nigdy z po za tych słów surowe oblicze Skargi, proroka narodu możnego, potężnego jeszcze, choć już ziarno upadku w łonie swem chowającego, proroka, który nie waha się cisnąć w oczy grzesznemu narodowi słów surowego potępienia, błyskać przed jego

oczyma widmem piorunu, który w ojczyznę kiedyś uderzy, grozić karą Bożą i zagładą. Mochnacki to pisarz narodu nieszczęśliwego, pognębionego; widzi i wytyka i grzechy przeszłości i wady społeczne, lecz, czuły na niedolę i ból narodu, lęka się dla rodaków nietylko ślepoty na swe błędy, bez bardziej jeszcze może — rezygnacyi biernej, gdy więc dojrzy w duszy narodu iskrę poprawy, płomyk nadziei, lęka się przytłumiać je popiołem zwątpienia, rozpaczy, lecz radby rozniecić, rozkrzesać z nich ogień, któryby ogrzał, zapalił skołatane, znękane, zemdlone dusze.

Do nakreślenia wizerunku polityka roztrząsanie przekonań religijnych człowieka nie jest niezbędne, pozostawić należy tę stronę bardziej wszechstronnemu badaczowi duszy Mochnackiego, tu zaś wtrącić można zaledwie przelotną uwagę. Druhowie, którzy Mochnackiego na schyłku życia otaczali naprzykład, Aleksander Jełowicki w przedmowie do wydanych przezeń »pism rozmaitych« Maurycego, jak również i generał Dembiński wspominają o Mochnackiego gorącej wierze religijnej w ostatniej epoce życia. Czy był to objaw przechodni, który wystąpił dopiero w czasie ostatniej jego choroby, czy też był to wyraz głębszego usposobienia i początek tego zwrotu do wiary i problematów religijnych, który był tak znamienny dla naszych wielkich pisarzów emigracyi, — o tem wyrokować, wobec rychłego skonu Mochnackiego, dziś zbyt trudno. O dziedzinę religii potrąca on jedynie w swej Literaturze i tu w niejasnych zwrotach zdaje się jakby chylić ku panteizmowi; była to, jednak, naleciałość obca, szelingowska, która się z czasem starła. Później, usposobienie Mochnackiego religijne odbija się we wrażeniu niesmaku, jaki w nim budził indyferentyzm w rzeczach wiary Francuzów«. »Jakże ci sami Francuzi ze sobą żyją« pisze do Ojca 16 Września 1832 roku: »Strach powiedzieć — lud rozwydrzony, pospólstwo dzikie, w Boga nie wierzy. Dwie są rzeczy okropne w naturze: kobieta bez religii i lud bez religii. Jak pierwsza, tak ostatni, d l a w ł a s n e j uło-

mności potrzebuje wiary mocnej i pomocy z nieba«. Brzmi to, co prawda, raczej jak deizm wyrozumowany, niż jako wyraz wiary. W innem miejscu, w liście do matki 2 listopada 1833 roku, opisując śmierć Kamila, mówi o »strasznej chorobie, którą Bóg na jego młode lata dopuścił« i tak się odzywa: »Jest zapewne rząd wyższy na świecie, ale musi być bardzo ostry, kiedy nas tak ciężko karze za nasze przewinienia«. Jeśli wógóle można przywiązywać wagę do takich przelotnych wyrazów, to ustęp ten brzmi nader wolnomyślnie względem »rządu wyższego«. Po za temi ustępami nie znajdziemy, zdaje się, u Mochnackiego od czasu wybuchu rewolucyi nawet wzmianki o istocie wyższej, o świecie pozazmysłowym, myśl jego pochłonięta całkowicie wydarzeniami kraju ojczystego. Mówi, wprawdzie, na wstępie do Powstania, iż wątpić o odbudowaniu Polski znaczy »dopuścić się ciężkiej obrazy przeciwko temu wyraźnemu porządkowi w dziejach, albo raczej, że się jaśniej wytłomaczę, przeciwko zrządzeniom tego niewidomego, niezbadanego losu, który nas dotąd utrzymuje w rodzinnej całości«, dalej zaś rzecze, że byt Polski po podziałach to chyba jedyny cud w dzisiejszych czasach, to, oczywiście, jednak, w podobnych zwrotach stylu czegoś więcej, po nad naturalny hołd dla mocy niepożytej narodu, dopatrywać się trudno. Jeśli ta religijność, którą dojrzał z Mochnackim Dembiński, istotnie stanowiła głębszą cechę jego ducha, to przyznać, atoli, należy, że tego rysu w pismach swoich objawić nie zdążył.

Maurycego Mochnackiego imię pozostanie przedewszystkiem związane na zawsze z insurrekcyą listopadową; ona rozpłomieniła jego talent, przykuła ku sobie jego duszę. Inni wielcy pisarze tej sławnej epoki nie pogrążyli się w nurty powstania; to też przeżyli je o lat wiele, doczekali epoki 1846 i 1848 roku, długo jeszcze tworzyć mogli na chwałę narodu i swego imienia. Mochnackiego duszę przepaliły klęski powstania, kule nieprzyjacielskie

przeszyły jego ciało i niebawem go do grobu wtrąciły; przeżył klęskę tyle zaledwie, że zdążył przelać na papier opowieść o powstaniu, a i tego dzieła do skutku już doprowadzić nie zdołał.

Dziś łatwiej, wydawałoby się, wytworzyć sobie sąd słuszny i wytrawny o znakomitym pisarzu i człowieku, niż za czasów jego pokolenia. Wówczas prawda zaćmiona była i skażona niechęcią przeciwników, przyjaciele zaś jego na mdłe tylko słowa uwielbienia zdobyć się umieli; dziś jedni i drudzy oddawna już w grobie. A jednak i dziś o sąd sprawiedliwy nad Mochnackim nie łatwo. Największą przeszkodą do wydania opinii bezstronnej będą względy polityczne. Jedni zechcą widzieć w znakomitym pisarzu i wybitnym polityku protoplastę swych własnych haseł, naginać będą jego myśli i czyny do szablonu programów naszej epoki, ułożą dzieło jego ducha w prokrustowe łoże własnej doktryny, jak to już uczyniono z innymi naszymi wielkimi pisarzami. Inni, a liczba ich już teraz bardzo znaczna, lękać się będą słowa podziwu dla tego herolda i dziejopisa walki narodowej, w obawie, by ono nie zabrzmiało, jako zachęta — do powtórzenia 29 listopada.

O tym pierwszym objawie — przedstawianiu spuścizny po Mochnackim, jako szacownej kolebki doktryn dzisiejszych, chociażby drogą naciągania prawdy do własnych widoków, wiele dziś jeszcze powiedzieć nie można, bo próby były nikłe i słabe. Więcej, natomiast, rozpowszechniony jest w literaturze naszej pogląd, a raczej frazes o Mochnackim, jako o zapaleńcu, zaślepionym apostole nierównej i zgubnej walki. Frazes ten jest jednym z objawów doktryny, w imię której szkoła publicystów »straży pożarnej«, przerażonych katastrofą 1863 roku, traktować zaczęła całe od początku dzieje porozbiorowe; na rok 1831 patrzeć zaczęto takiemi samemi oczami, jak na rok 1863, to jest, jako na krwawą a beznadziejną hekatombę. W nieliczącym się z prawdą dziejową pamflecie

postawił Henryk Lisicki wszelkie usiłowania żarliwych patryotów Królestwa Kongresowego i epoki listopadowej na jednym szczeblu ze złudzeniami Mierosławskiego i jego adeptów w roku 1863[1]. W takiem oświetleniu postać Mochnackiego musiała wypaść fałszywie i karykaturalnie. Jeśli nawet istotnie, jak świadczy Wład. Daniłowski, młodzież, która czytywała Mochnackiego, utwierdzała się w swych zamiarach powstańczych w roku 1863, to czyż na karb winy Mochnackiego złożyć należy, iż jego czytelnicy nie pojmowali całej różnicy, jaka zaszła w położeniu narodu i warunkach walki od upadku rewolucyi listopadowej? Czyż można porównywać iluzye Mierosławskiego z trzeźwością Mochnackiego, dla którego »jednym z chwalebnych, jednym z głównych powodów rewolucyi 29 Listopada było i to także, iż się udać mogła«, dla którego »Sprawa Polski 29 Listopada nietylko sprawiedliwa, ale i mocna była«, czyż nie potwierdzają tego wniosku i nasz genialny Prądzyński, bynajmniej zresztą niezaślepiony co do sił polskich i nie lekceważący potęgi rosyjskiej, i generał pruski Willisen i nawet — z całą zresztą aż nadto zrozumiałą oględnością, historyk wojny 1831 r. generał rosyjski Puzyrewskij? Straż pożarna, atoli, nie tyle dbała o prawdę dziejową, ile o cel pedagogiczny, i swą misyą wychowawczą natchniona kierowała narzędzia gaszące nietylko na zgliszcza 1863 roku i na te iskry, z jakich lękano się nowego pożaru, lecz i na płonące na ołtarzu przeszłości polskiej wieczne ognie dawnych wielkich pamiątek.

Przywódcy ruchu 1863 starali się uniknąć tych braków, wad, słabości, które przez krytyków rewolucyi listopadowej, w pierwszej linii przez Mochnackiego, uznane były za główne powody klęski w roku 1831. Gdy zaś cała ich taktyka, całe ich dzieło doprowadziło do ciężkiej klęski 1863 roku, wówczas surowi sędziowie ich czynu,

[1] Aleksander Wielopolski, Tom IV.

ferując na nich wyrok, zarazem jakgdyby skazali na całopalenie te książki, z jakich czerpali zapał nieszczęśni ludzie, którzy energią własną nie mogli zastąpić — braku sił do walki. Czyż jednak Mochnacki może być w najmniejszej choćby mierze odpowiedzialny za klęski 1846, 1848 lub 1863 roku? Czyż spada jakikolwiek cień na geniusz wojenny Napoleona przez to, iż różni nieudolni stratedzy, jak naprzykład Skrzynecki, przepuszczając nieprzyjaciela przez Wisłę, powoływali się na powagę niezrozumianych, nie w porę stosowanych wskazań wielkiego wodza?

Istotnie, wprawdzie, w nieszczęśliwem powstaniu 1863 roku, które agonizowało od początku niemal do końca, uniknięto wielu cech 1830 i 1831 roku.

Żadne z powstań naszych nie zasłużyło na nazwę *usque ad finem* — mówił Mochnacki; w roku zaś 1863 prowadzono walkę do ostatniego sił wycieńczenia.

Żadne z naszych stronnictw nie uważało swego *credo* za kopalnię, którą do gruntu wyczerpać potrzeba — mówił Mochnacki, piętnując powszechną wśród stronnictw obawę i niechęć wzięcia w ręce wyłącznego kierunku sprawy i odpowiedzialności za nią. W roku 1863 czerwoni wyczerpali do gruntu swą kopalnię i stawiali wszystko na kartę.

Wytykał w roku 1831 taktykę półśrodków względem spraw wewnętrznych i względem wojny. W roku 1863 zdecydowany radykalizm cechuje rewolucyonistów w stosunku do stronnictw przeciwnych, osób niechętnych i względem nieprzyjaciela.

Ubolewał, iż w roku 1831 ojczyzna nie była groźną potęgą dla Polaków, że wolno było ludziom mędrkować nad przepaścią, wolno było lekceważyć, jak Chłopicki, rewolucyę, że nie było »skały tarpejskiej« w Warszawie. W powstaniu styczniowem stosowano terror, był trybunał rewolucyjny tajny, sztyletnicy — była skała tarpejska w Warszawie.

W roku 1831 wytykał Mochnacki rodakom nastrój

kompromisowy, pojednawczy względem nieprzyjaciela i manię układów, które nie mogły odnieść żadnego skutku, a także sentymentalizm rycerski, nieraz podczas wojny objawiany, począwszy od wypuszczenia wojsk nieprzyjacielskich z Kongresówki w grudniu 1830 roku. W roku 1863 panuje usposobienie wręcz przeciwne — zasada walki bez pardonu: począwszy od nocy 22/23 stycznia 1863 roku do spraw żyżyńskiej, sędziejowickiej — żadnych układów, żadnych sentymentów, żadnego kompromisu.

Utyskiwał na to, że w roku 1831 prowadzono wyłącznie wojnę wielką, regularną, że wodzowie pogardzali gerylasówką, ruchawką ludową, żeześrodkowano wojnę na małym obszarze, a siły polskie tuliły się wciąż do Warszawy, jakby obawiając się rozlania po wielkich przestrzeniach; w roku 1863 — wojna wyłącznie partyzancka, ruch wybucha samorzutnie w każdem niemal województwie, w każdej ziemi, stłumiony odnawia się, odrasta nanowo.

Za brak uważał w roku 1831, iż rewolucyoniści nie objawili zamiaru ani ambicyi kierowania walką, złożyli zaś jej ster w ręce ludzi starszych, generałów i dygnitarzy Królestwa Kongresowego; w roku 1863 nieznani ogółowi, młodzi ludzie przygotowali ruch i kierunek wzięli w swoje ręce.

W roku 1831 panował wciąż rozwlekły parlamentaryzm, toczono zupełnie jawne obrady nad najdonioślejszemi i najdelikatniejszemi sprawami stanu i wojny i zarazem debatowano bez końca nad błahemi rzeczami; w roku 1863 jawność obrad, parlamentaryzm — zredukowane z konieczności do zera, sprężystość działań wielka, decyzye zapadają i wykonywane są z niezmierną szybkością. W roku 1831 nastrój sfer, kierujących powstaniem, dziwnie niefrasobliwy, spokojny — wyraz pogodnego optymizmu szlachty ziemiańskiej, która nadaje ton i cechę epoce i ruchowi, a także skutek niezbyt ciężkiego ucisku kraju w latach 1815—1830 i zupełnego opróżnienia kraju

przez nieprzyjaciół; stąd ów »sen państwowy«, z którego otrząśnięto się dopiero, gdy zguba w oczy zajrzała. W roku 1863 świadomość grozy położenia, stale podsycana przez obecność sił nieprzyjacielskich w kraju, przez niedawne wspomnienia srogiego ucisku; stąd cały koloryt ruchu — ponury, nieubłagany, zacięty, a zarazem mocniej nasycony pierwiastkiem radykalno-demokratycznym i ludowo-drobnomieszczańskim — skutek trzydziestoletniej propagandy demokratycznej i rozwoju żywiołu miejskiego w Królestwie. To też w roku 1831 bohaterstwo, siłę, determinacyę widzimy tylko na polach bitew, wśród szeregów, w całym zaś kierunku cywilnym, w sejmie, w rządzie, a nawet w głównej kwaterze — dopóki wodzowie nie staną pod gradem kul, panuje ton miękki, chwiejny, nawet melancholijny, właściwy ówczesnemu pokoleniu ziemiańsko-szlacheckiemu, które na animusz i heroizm imponujący zdobywało się dopiero na placu walki. W roku zaś 1863 — energia jakobińska, zmysł rewolucyjny posunięte do wysokiego stopnia.

W roku 1830 sprawcy powstania nie ustanowili zawczasu żadnej organizacyi, żadnego rządu; w roku 1863 istnieje przed wybuchem gotowa, sprężysta organizacya.

Te porównania możnaby ciągnąć dalej i oto dla publicystów, patrzących na całą epokę porozbiorową przez pryzmat 1863 roku, może nasuwać się myśl, iż skoro przywódcy ruchu 1863 roku w wielu razach szli jakgdyby w ślady wskazań politycznych Mochnackiego, a raczej, ściślej mówiąc, działali, przynajmniej niektórzy z nich, pod wpływem tej krytyki, jakiej Mochnacki poddał insurrekcyę listopadową, i zgotowali dla kraju ciężką klęskę, więc mylne były i te wskazania i owa krytyka. Opaczny wniosek. Mochnacki po mistrzowsku wykazał braki rewolucyi listopadowej, lecz powstanie styczniowe wypadło w zupełnie już odmiennych warunkach, warunkach o tyle ciężkich, że wyrównać ich nie mogła żadna sprężystość, żadna energia, żadne poświęcenie jednostek. Zmiana ta na gorsze

była w ogromnym stopniu wytworem tych błędów poprzedniego okresu, które tak znakomicie pochwycił i odmalował Mochnacki.

Co więcej, głębiej rozważając właściwości ruchu 1863 roku, przekonamy się, że pewne kardynalne rysy psychologii narodowej, które podpatrzył Mochnacki w roku 1831, przechowały się i w zmienionej wprawdzie przeważnie formie, a nieraz w bardzo zbliżonej wyszły na jaw po upływie trzydziestolecia. Znów widzimy naród, pełen patryotyzmu, poświęcenia, idący za gronem przywódców z zamkniętemi oczami i z myślą uśpioną. Znów widzimy doktryny, złudzenia, zasłaniające surową rzeczywistość; tylko gdy w roku 1831 łudzono się co do skuteczności układów, nie przedstawiono sobie dość jasno nieubłaganego stanowiska przeciwnika, ulegano przesadnemu wyobrażeniu o ogromie sił nieprzyjaciela i o nicości sił własnych, w powstaniu styczniowem panuje doktryna, przeceniająca własne siły, a lekceważąca olbrzymią istotnie wówczas przewagę sił przeciwnika. Poza tem, w obydwóch insurrekcyach łudzono się co do pomocy Zachodu. Znów, widzimy po upływie lat trzydziestu — dawną półśrodkowość, połowiczność, brak odwagi cywilnej w sferach, stojących na czele społeczeństwa. W roku 1830 warstwa wyższa przyłączyła się do ruchu, a nawet stanęła u jego steru, bez wiary w sukces, nie zdolna ani oprzeć mu się wyraźnie, ani poprzeć go całym zapałem; i teraz — obraz podobny, a nawet, wobec bez porównania cięższych warunków ruchu, znacznie jaskrawszy; biali uważają wybuch za nieszczęście, lecz nic niemal nie czynią, by je odwrócić; Komitet Centralny uważa wybuch za przedwczesny, za nieprzygotowany, lecz brnie naprzód, party przez żywioły najgorętsze. Jakże ci ludzie, którzy »z bólem serca i złowrogiem przeczuciem, jednakże z należną pokorą« ulegają decyzyi, którą sami uważają za zgubną, blizcy są duchem owych wodzów z przed lat trzydziestu, którzy szli na bój bez wiary, aby »wykopać wielki grób«

dla walecznej armii, aby »wykropić się« — bez nadziei zwycięstwa, którzy doradzali bitwę, uważając ją za »najszlachetniejsze skonanie sprawy!«. A jakież znamienne wcielenie, w zmienionej postaci, starego ducha doktrynerskiego i ślepego uporu szlacheckiego stanowi ten mąż stanu, który wiele rzeczy widział jasno i trzeźwo, lecz zapamiętale hołdując utopii ratowania Polski bez Polaków, wszystko czynił, by sprowadzić zagładę swych własnych planów!

Gdy odsunąwszy na bok objawy przechodnie, zajrzymy w duszę społeczeństwa polskiego, po upływie lat trzydziestu od napisania dzieł Mochnackiego, a nawet i w późniejszych okresach, uderzy nas we wszelkiem większem działaniu politycznem i ten »terroryzm nierozumu« i te kardynalne przywary polityczne, w odmiennym tylko kształcie objawione, które wielki postrzegacz tak niemylnie wykrył na dnie wydarzeń epoki listopadowej.

Nie jeden z tych filarów, na jakich wspierały się plany i wskazania Mochnackiego, osunął się w ziemię lub nawet skruszył w ciągu tych trzech ćwierci wieku, jakie oddzielają teraźniejszość od jego epoki. Anachronizmem dziś już jest pojęcie o charakterze wyłącznie rolniczym Królestwa i o żywiole szlacheckim, jako »oddychalnem powietrzu kraju« i o nieudolności politycznej Niemiec i o niezachwianem przywiązaniu Austryi do absolutyzmu i feudalizmu społecznego i o wyłącznie polskim charakterze ziem litewsko-ruskich i wiele innych mniemań, opartych na obserwacyi ówczesnej epoki.

Lecz Mochnacki mocą natchnienia wznosi się wciąż ponad wir wypadków swej epoki, ponad wydarzenia chwili, ogarnia wzrokiem wielki szmat dziejów, roztrząsa myślą losy pokoleń, przenikliwie wykrywa zasady istnienia politycznego swego narodu, wyciąga naukę dla przyszłości. Cząstka jego ducha przylgnęła jakby do bieżącej, ruchomej fali życia i wraz z nią spłynęła w nurty przeszło-

ści; owe myśli, snute ongi z ducha Mochnackiego, jako nauki i proroctwa dla minionej już dziś epoki, zachowają wiecznie swą wartość idealną dla pokoleń przyszłych, nie jako wskazania praktyczne, lecz jako chlubna i szacowna spuścizna po genialnym rodaku. Lecz wydał on z siebie i takie myśli, które długo jeszcze mieć będą dla Polaków nietylko cenę drogiej pamiątki, nietylko wartość arcydzieła, lecz i moc słowa proroczego, wagę nauki życia dla pokoleń; albowiem, wzrok jego przebijał migotliwą, płynną powierzchnię epoki, docierał do samych głębin doli narodowej, które trwają przez wieki niewzruszone' mimo wiru walk, mimo huraganu wichrów, szalejących na powierzchni. Duch jego zstąpił do tych źródeł utajonych, z których naród czerpie siłę życia, moc wytrwania, rozpłynął się w zdrojach, nieustannie, wiecznie stąd bijących, i połączył się ,na wieki z duchem Narodu, — który nie umiera.

KONIEC.

DODATKI.

DODATKI.

DODATEK *A)*.

Własnoręczny rapport M. Mochnackiego do biura cenzury [1].
Biblioteka Jagiellońska, rękopis Nr. 1013.

Raport z dzieł następujących:

1. *Geschichte der Slawischen Sprache und Literatur, nach allen Mundarten*, von Paul Joseph Schaffaryk, Doktor der Philos. 1826. (Dalej bliższy tytuł dzieła).

Dzieło to poświęcone jest wszystkim lubownikom języka i literatury, a poniekąd i politycznej historyi narodów słowiańskich, które stanęły już na pewnym stopniu cywilizacyi. Autor umieścił na początku swego dzieła wstęp, zawierający ogólne spostrzeżenia: nad historyą, religią, obyczajami, kulturą, charakterem i językami starożytnych słowian. W pierwszym rozdziale przebiega historyę starożytno-słowiańskiego języka i literatury, a w następnych kreśli dzieje języka, nauk i literatury każdego narodu słowiańskiego w szczególności. Każdy zaś rozdział poprzedza krótki rys politycznej jego historyi od najda-

---

[1] W Bibliotece Głównej w Warszawie znajduje się rękopis raportu M. Mochnackiego, zawierającego referat do biura cenzury, z powodu wydanej w r. 1826 w Lipsku książki K. H. L. Pölitza: »Die Staatensysteme Europa's und Amerika's«. Rękopis ten (N. 1034, sign. $4^4/_3$) przedrukowany został przez Aleksandra Kraushara w artykule: »Poglądy polityczne Mochnackiego w roku 1827« (Obrazy i wizerunki historyczne, 1906, str. 317—324).

wniejszych czasów do wieku 19, połączony z wiadomościami etnograficznemi.

Rozkład całego dzieła jest systematyczny, porządny i jasny. Na szczególniejszą jednak uwagę zasługują najprzód badania filologiczne, które szczególniej w przypiskach dają niepospolite wyobrażenie o rozległych wiadomościach autora, a powtóre szczera jego chęć w wywróceniu błędnych opinii, które się były tak daleko za naszych czasów rozpostarły w Europie, o cywilizacyi, literaturze i obyczajach narodów ze szczepu słowiańskiego.

Szaffaryk należy do rzędu tych rzadkich pisarzy, których pisma dla rozsądku, gruntowności i umiarkowania w zdaniach zawsze z pożytkiem czytane będą, wpływ zdarzeń politycznych na umysłową narodów kulturę jest niezaprzeczony, ponieważ literatura i oświecenie każdego niemal narodu jest rezultatem jego dziejów politycznych. Na tem większą zatem pochwałę zasługuje Szaffaryk, że w sposobie ocenienia tego wpływu i tej zależności ściśle trzymał się granic prostej narracyi, unikając jak najstaranniej w materyi tak drażliwej wszelkich zasad i wyobrażeń cechujących pod jakimkolwiekbądź względem ducha dzisiejszego liberalizmu. Niemasz w jego dziele żadnego zdania, któreby wymierzone było przeciwko religii, obyczajności lub trąciło jakową we względzie politycznym dwuznacznością. Dla tego zdaniem mojem nietylko za szkodliwe uważane być nie może, ale nawet życzyćby należało, aby literatura ojczysta wkrótce wzbogaconą została przekładem tego szacownego dzieła.

2. *Alemannia, oder Sammlung der schönsten und erhabensten Stellen aus den Werken der vorzüglichsten Schriftsteller Deutschlands, zur Bildung und Erhaltung edler Gefühle. Ein Handbuch auf alle Tage des Jahres für Gebildete*, herausgegeben von I. D. E. Preuss. Vierte stark vermehrte und verbesserte Auflage. Berlin 1826. — (Dalej bliższe określenie tytułu).

Jestto zbiór ułamkowych myśli i zdań rozmaitych we względzie religii, filozofii moralnej, estetyki i życia praktycznego. Wzorowym wyborem tych pięknych myśli usprawiedliwił wydawca tytuł dzieła, mającego na celu ukształcenie uczuć szlachetnych. Szybki rozchód nie zawsze bezwarunkową będący zaletą książek tego rodzaju, daje korzystne wyobrażenie o sposobie myślenia współrodaków wydawcy. Atoli liczne mamy przykłady, że w Niemczech dzieła tchnące prawdziwą bogobojnością i obyczajnością, zawsze licznych znajdowały czytelników.

W pomienionym zbiorze postrzegać się czasem daje że wydawca jest protestantem; nigdzie jednak posądzić go nie można o bezpośredni zamiar ubliżenia rzymsko-katolickiemu kościołowi. Nieliczne pod tym względem uchybienia są tak mało znaczące, że najprzezorniejszy nawet czytelnik zaledwieby je dostrzedz zdołał. Tendencya tego dzieła jest niemal wszechstronna, a szlachetny cel wydawcy nie podlega wątpliwości. W tej kompilacyi zdań i pomysłów częścią prozą, a po części zaś w mowie wiązanej z najcelniejszych pisarzy niemieckich, niemasz żadnego porządku i układu; ale wszystko zdaje się zmierzać do jednego celu, to jest do rozkrzewiania i ustalania w sercu poczciwego czytelnika zasad bogobojności, pracowitości, ducha porządku i obyczajności. Są to moralne sentencye na wszystkie dnie w całym roku.

Sądzę przeto, że i to dzieło z prawdziwym pożytkiem czytane być może w naszym kraju.

3. *Versuch einer Erziehungsseelenlehre für Eltern und Erzieher, welche nützliche, glückliche und gute Menschen bilden wollen*, von Dr. G. A. I. Sickel, 1826. Tom jeden w 8-ce; stronnic 349.

Od lat prawie 60 spostrzegać się daje olbrzymi postęp w pedagogice, czyli nauce wychowania młodzieży. Chociaż atoli zaprzeczyć nie można, że stąd dla dobra pospolitego nieocenione wyniknęły korzyści, trudno, jednak,

nieprzyznać, że i tej ważnej teoryi niemało duch wieku zaszkodził. Współczesne wstrząśnienia i zmiany w wyznaniach religijnych w Niemczech miały i mają do dnia dzisiejszego przeważny wpływ na wychowanie młodzieży. Basedow i Kampe podkopali zasady instrukcyi religijnej, Russo całkiem ją usunął z edukacyi początkowej; inni zaś pedagogowie chcieli wyprowadzać ideę najwyższej istoty z przyrodzenia. Sam nawet Niemayer i Pestalozzi nie są poniekąd wolni od tego zarzutu.

Drugi niemniej ważny zarzut, jakiby uczynić można najzawołańszym za naszych czasów mistrzom pedagogiki, zasadza się na tem, iż mając na szczególniejszem baczeniu wykształcenie młodzieży pod względem intellektualnym małoco, albo też i nic nie zważali na charakter, moralne usposobienie i skłonności. Wszystko zasadza się u nich na rozprzestrzenieniu granic poznawań naszych i wielostronnem rozwijaniu władz umysłowych.

P. Sickel, autor wzmiankowanego dzieła, przyzwoicie ocenić umiał to tak szkodliwe dążenie i ducha naszej pedagogiki. Traktat jego zawiera pożyteczne rady i przepisy dla rodziców i nauczycielów. Opiera on swoją teoryę na dwóch głównych zasadach, to jest na wczesnej instrukcyi religijnej i kształceniu charakteru moralnego. Metafizyczna część tego dzieła, obejmująca rozbiór władz umysłowych, na szczególniejszą zasługuje uwagę, z powodu jasności niezwykłej u niemieckich pisarzy popularności i precyzyi w wyrażeniach. Przebiegając obszerne pole filozofii umysłu ludzkiego, wskazuje autor, jakie władze najpierwej kształcone być winny; z kultury intellektualnej przechodzi następnie do uczuć, namiętności, skłonności itd. Wszędzie zaś zdania swoje i uwagi popiera przykładami z życia praktycznego. Po rozważnem przeczytaniu nic nie znalazłem w tem dziele, coby ściągnąć mogło jakikolwiek zarzut na autora.

4. *Organisation Civile et Religieuse des Israélites de France et du Royaume d'Italie. Decrétée par sa Majesté l'Empereur et Roi le 17 mars 1808. Suivie de la collection des Actes de l'Assemblée des Israélites de France et du Royaume d'Italie convoquée à Paris en 1806.* (Dalej bliższy tytuł dzieła).

W tym dyaryuszu posiedzeń zgromadzenia izraelickiego we Francyi, zawierającym mowy, projekta i decyzye, które posłużyły za zasadę organizacyi cywilnej i religijnej ludu Izraelickiego we Francyi, potwierdzonej przez Cesarza i Króla, niemasz nic, coby zwrócić mogło animadwersyą krajowej cenzury. Żywe uczucia wdzięczności reprezentantów tego nieszczęśliwego narodu, którzy za największe dobrodziejstwo ze strony ówczasowego rządu francuzkiego poczytywali zabezpieczenie religijnego wyznania i praw obywatelskich, usprawiedliwia poniekąd wyrazy zanadto może pochlebne dla byłego cesarza Francuzów; ponieważ atoli dzieło to chwilowy tylko miało interes i z powodu następnych zmian, które z tego względu zaszły, mniej jest ciekawe, sądzę więc, że pomieniona okoliczność nie zasługuje na tak ścisłą uwagę. Zresztą odwołuję się w tej mierze do opinii Komitetu.

Z pism peryodycznych:

1. *Heidelberger Jahrbücher der Literatur* unter der Redaktion der Professoren: Paulus, Szwarz, Zacharia, Walch, Tiedeman, Puchelt, Creuzen, Wil. Muncke Schlosser, Leonard Rau.

Pierwszy numer tego pisma z roku 1817 zawiera, oprócz kilku artykułów naukowych po większej części lekarskich i fizycznych, tudzież rozbiorów dzieł naukowych: 1. spostrzeżenia nad protestantyzmem, 2. nad karą śmierci. W spostrzeżeniach nad protestantyzmem wychodzi autor z tego punktu, że lubo udoskonalenie organizmu społe-

cznego jest wypadkiem zjednoczenia się ludzi w jedną całość, tak pod względem politycznym, jak i religijnym, wszelako szczęście ludzkości zależy od rozwiązania następującego zagadnienia: jakim sposobem we wszelkich tego rodzaju zjednoczeniach uniknąć, aby władza w ręku przełożonego nie stała się nieograniczoną i despotyczną, albowiem tym tylko sposobem, jak sądzi autor, połączyć można korzyści wynikające z stowarzyszenia się ludzi w jedną całość z nieodzowną dla szczęścia ich wolnością.

Co do zjednoczeń religijnych, upatruje autor na karcie 13 rozwiązanie wzmiankowanego zagadnienia w odrodzeniu się zasad początkowego chrześcianizmu, czyli w ewanielickim protestantyzmie. Jak wielu pisarzy protestanckich, tak i autor tych spostrzeżeń okazuje się nieprzyjacielem wszelkiego kapłaństwa, wszelkiej hierarchii i rządu kościelnego. Na poparcie tego zdania przytacza następujące słowa Herdera: W Chrześciaństwie niemasz kapłaństwa; jestto zabytek z czasów barbarzyńskich. Przełożonych w kościele chrześciańskim z wieków początkowych nazywa autor (na str. 7) w tonie ironicznym metafizycznemi nauczycielami, którzy mieli się za pośredników między Kościołem i człowiekiem, którym poświęcenie nadawało własność cudowną łagodzenia gniewu bożego i rozlewania łask bożych na innych i t. d.

Błędne, szkodliwe, a częstokroć dla łudzącego pozoru prawdy niebezpieczne rozumowania, stanowią treść tego ultraprotestanckiego pisma. Pomijam wiele innych niedorzecznych miejsc, wyrażeń i myśli, albowiem potrzebaby na to ledwo nie całą przełożyć rozprawę; w ogólności jednak tego jestem przekonania, że lubo dla stylu niezgrabnego i licznych kontrowersyi, wymagających głębszej znajomości Teologii, pismo to popularnem stać się nie może, wszelako przez wzgląd na niebezpieczną jego tendencyę, jawnie wymierzoną przeciwko zasadom rzymsko-

katolickiego kościoła i porządku społecznego pod względem religijnym, zapobiedz potrzeba jego cyrkulacyi.

2. *Allgemeiner Anzeiger der Deutschen*. Monat Januar 1827, od num. 31—58, pod redakcyą J. Fr. Hennicke.

W zbiorze numerów tego peryodycznego pisma trzy następujące numera, to jest: 32, 38, 40, usunięte być winny: 32 numer z powodu artykułu: Einige Worte aus dem Schreiben des Vicomte Chateaubriand an den Redacteur des Journals des Debats über der Gesetzentwurf wegen der Presse.

38, z powodu artykułu: Das Princip der Legitimität als Antwort auf die Anfrage in Nr. 301. (von Dr. König).

40-ty zaś dla artykułu: Die historischen Rechte.

W pierwszym z pomienionych artykułów przytoczone są następujące słowa Chateaubrianda: »gdy rozprawiać »będą w izbie parów o projekcie ograniczenia wolności »druku: — dowiodę naówczas, że projekt ten tchnie głę»bokim wstrętem od oświecenia rozumu i wolności, że »się nie zgadza z obyczajami, postępem cywilizacyi, du»chem czasu i charakterem narodu. Następnie zaś: że »stronnicy tego projektu zniszczyliby wszystkie drukarnie, »gdyby to w ich mocy było, powystawialiby szubienice »i ogniste stosy na pisarzów. Nie mogąc przywrócić sa»mowolnego despotyzmu ludzkiego, jak najusilniej pragną »ustanowić despotyzm prawnych urządzeń«.

Po tej proklamacyi następują stosowne spostrzeżenia liberalnego redaktora.

Tenże sam autor, to jest Dr. König, poddaje w wątpliwość i bardzo zręcznie wyśmiewa w drugim artykule zasadę prawości (le principe de legitimité).

W trzecim nakoniec jest jawnym stronnikiem rewolucyi, sprawców jej poczytuje za ludzi, co odzyskali prawa historyczne i t. d.

4. *Blätter für literarische Unterhaltung*, 1. Januar 1827, od numeru 1—6.

Oprócz kilku wyrażeń Wernera na str. 6, w numerze 2, co do wolnego mularstwa, sztuki, poezyi i religii w widoku poetyckim, więcej łudzącego błędu jak niebezpiecznej zawierających tendencyi, a następnie w numerze 6, na stron. 22, ze względu cenzury, a mianowicie samych cenzorów, których nazywa wielkimi inkwizytorami, żarłocznymi krokodylami i t. d. nic nie znalazłem w sześciu numerach tego pisma, coby upoważnić mogło do zatrzymania go. Potrzeba jednak wyłączyć od tego dwa wymienione numera — to jest 2 i 6.

5. *Allgemeines Repertorium der neuesten in- und ausländischen Literatur für 1827.* — (Bliższy tytuł).

Pismo to zawiera same tylko recenzye, albo raczej spis materyi dzieł nowych, po większej części bez żadnych uwag i spostrzeżeń wydawcy — dlatego powinno być pozwolone.

6. *Gemeinnützige Blätter zunächst für das Königreich Hannover. Eine Zeitschrift zur Belehrung und Unterhaltung.* Pod redakcyą F. Schläger. Dritter Jahrgang 1827. Erster Band, — od Nru 1—8.

Poszyt tego pisma może przejść; artykuły, z których się składa, są zabawne i po większej części nauczające; nie zawierają nic szkodliwego.

7. *Morgenblatt für gebildete Stände*, Ein und zwanzigster Jahrgang, 1827 Februar, od Nr. 37—60, wraz z dodatkowemi pisemkami, oddzielne mającemi numera...

W ogólności duch tego pisma jest liberalny, nic jednak nie znalazło się w tym poszycie coby na szczególniejszą uwagę cenzury zasługiwało. Skoro więc niema szczegółów, na którychby można oprzeć powody zakazu, jestem więc tego zdania, aby nie było zabronione.

D. 20 Kwietnia 1827.

Maurycy Mochnacki.

DODATEK *B)*.

List M. Mochnackiego do J. K. Szaniawskiego.

(Rękopis w Bibliotece Rapperswylskiej).

JWRadco Stanu! Przekonany o tem, że na szczerości zasadza się moralny charakter człowieka, ośmielam się poddać pod rozwagę JW. R. S. myśl moją w piśmie następującem.

Do zrobienia tego kroku pobudziło mnie sumienie. Powody moje są ważne, bo wynikają z namysłu.

Wchodząc do biura Cenzury Krajowej, zostającej pod dyrekcyą JW. R. S., nie mogłem mieć dokładnego wyobrażenia o naturze moich obowiązków. Lecz dwumiesięczny pobyt w tej magistraturze należycie mnie w tym względzie oświecił. Z działań, w których sam miałem udział, poznałem, że te obowiązki nie w całej swojej rozciągłości zgadzają się z mojem przekonaniem.

Nie chciej przez to rozumieć JW. R. S., że tak zwany liberalizm zawrócił mi głowę. Nikt bardziej odemnie nie jest przekonany o niedorzeczności podobnych wyobrażeń. Posądzać mnie o to byłoby może niesprawiedliwością; ile że smutne w mojem życiu przypadki uwalniają mnie poniekąd od tego zarzutu.

Ale między religijnym i monarchicznym sposobem myślenia, którym się ja chlubię, a systematem w Cenzurze

Krajowej ustanowionym i służącym za zasadę wszelkich jej działań zachodzi niemała różnica.

Z postrzeżeń, które mnie doprowadziły do poznania tej różnicy, przekonałem się: że we względzie religijnym i politycznym można być dobrym Chrześcianinem i Rojalistą w najobszerniejszem znaczeniu tego słowa, nie uznając bezwarunkowo prawdziwości zasad, któremi obecnie Rząd postanowił bronić praw ołtarza i tronu.

Posada, którą mi ofiarować raczyłeś JW. R. S., nie jest rzeczą małoważną. W każdym innym obowiązku możeby łatwiej było, przez wzgląd na różnicę między zdaniem prywatnego człowieka i powołaniem urzędnika, poddać się bezwarunkowo rozkazom zwierzchności.

Z tego przeto względu i dla tej jedynie przyczyny ośmielam się tu objawić moje zdanie i zwrócić na nie uwagę JW. R. S.

A najprzód co do materyi politycznych: Lubo nie wierzę w maksymę, że społeczność ludzka zawiązała się na fundamencie zobopólnej, między rządzącym i rządzonymi umowy (bo tym sposobem wypadałoby przyjąć, że organizacyą społeczeństw poprzedziło prawodawstwo, co być nie może), niemniej przeto zdaje mi się być rzeczą niewątpliwą, że w dzisiejszym wieku i obecnym stanie naszej cywilizacyi, pomieniona umowa jest nieuchronnie potrzebna dla szczęścia ludów i bezpieczeństwa tronów. Żadna instytucya nie może się utrzymać w początkowej swojej prostocie i doskonałości. Zarazem więc zmieniła się i natura monarchii ustanowionej na wzór najlepszego rządu, to jest patryarchalnego: a tem samem zmienić się także musiały stosunki między rządzącym a rządzonymi. Ze zmiany tych stosunków wyniknęła potrzeba określenia władzy, albo, co na jedno wychodzi, ustanowienia tej zasady, że monarchowie mają swoje obow ązki, a poddani swoje prawa.

Dla tej przyczyny kształt rządu monarchiczny konstytucyjno-reprezentacyjny, jest w mojem

rozumieniu, jeżeli nie najdoskonalszy, (ponieważ w polityce niemasz prawd bezwarunkowych), to przynajmniej najstosowniejszy w obecnym stanie rzeczy.

Do tego celu zmierzają usiłowania wszystkich prawie ucywilizowanych, a w części nawet nieucywilizowanych narodów.

Powszechna zgodność i tożsamość chęci w tem dążeniu nie dozwalają dłużej wątpić o prawdziwości pomienionego zdania; bo chociaż nie zbywa na przykładach, że ludzie zbiorowo i w masach błądzili, to jednakże, po większej części w subtelnych tylko kontrowersyach miejsce mieć może, nie zaś tam, gdzie wrodzonym niejako instynktem przeczuwają co będzie z pożytkiem lub ze szkodą dla ogółu.

2. Będąc katolikiem, uważam w rzeczach religijnych mój kościół jako wyłącznie prawdziwy, poza obrębem którego niemasz zbawienia; lecz bynajmniej nie sądzę, żeby protestantyzm miał być niebezpieczny we względzie politycznym, i, jak utrzymują przeciwnicy monarchii konstytucyjnej, prowadził do republikanizmu drogą rewolucyi. Doświadczenie nie stwierdza tej opinii. W Niemczech po większej części protestanckich niemasz rzeczypospolitej; kiedy przeciwnie w kilku gminowładnych kantonach w Szwajcaryi religia rzymsko-katolicka jest panująca. To samo także powiedziećby można o rzeczpospolitach włoskich w średnich wiekach.

Reformacya wzbogaciwszy rządy sekularyzacyą funduszów i majętności duchownych, nigdzie prawie nie przeistoczyła normalnego ich kształtu. Z doświadczenia więc pokazuje się, że wyznania religijne, szczególniej w teraźniejszych czasach mały mają wpływ na politykę.

Protestantyzm uronił ideę niepodległości we względzie religijnym, jak następnie rewolucya francuska stworzyła wyobrażenie niepodległości politycznej. To nie ulega zaprzeczeniu. Lecz epoka tej ide już upłynęła. Teraz, z powodu powszechnej

w rzeczach religijnych obojętności możnaby przyrównać ją do wygasłego wulkanu.

Sądzę przeto, że zdania protestanckich pisarzów nie zasługują pod tym względem na uwagę Krajowej Cenzury. Mniemanie to rozciągam do wszelkich innych wyznań religijnych.

3. W sposobie oceniania pod względem Krajowej Cenzury pism naukowych i literackich wychodzę z tej zasady: że pisarze nie są twórcami opinii publicznej, ale że przeciwnie opinia usposabia pisarzów.

Nikt zapewne nie pisze bez nadziei znalezienia czytelników między współczesnymi. Największą winą pisarzów wieku XVIII była chęć podobania się gminowi. Mając większe w reputacyi literackiej, aniżeli w samej prawdzie upodobanie, zgrzeszyli oni zbytnią popularnością. Podług tej tylko skali, ze względu na szkodliwość, sprawiedliwie oszacować możemy ich pisma, które są tylko emanacyą i niejako wyrazem ówczesnej opinii,

Jest więc radykalną zarazą, a przeto w samem źródle uleczyć ją potrzeba. Tem źródłem jest opinia. Aby zaś uleczyć, czyli przeistoczyć opinią, wypadałoby skuteczniejszych chwycić się środków. Pisarze są tylko jej organem. Zapobiegając cyrkulacyi szkodliwych dzieł usuwamy przemijające skutki; lecz przyczyny złego trwają nietknięte.

W polemice rojalistowskich dzienników paryskich, a przynajmniej niektórych, upatruję wysoki stopień nierozsądku i niedorzeczności. Zdaniem mojem deklamacye tych dziennikarzy więcej szkodzą, jak pomagają dobrej sprawie. (To jest sprawie rojalizmu). Poczciwi ludzie ubolewają nad ich niezręcznością.

Ci dziennikarze podobni są z pewnego względu do swoich antagonistów, to jest autorów z wieku XVIII. Przypisując filozofii najokropniejsze w rewolucyi francuskiej zdrożności, czemże się różnią w istocie od koryfeów

tejże samej filozofii, co obwiniali Ewangielię o nieszpory sycylijskie, noc S. Bartłomieja, zgon Henryka IV, Ralasa i wszelkie inne bezprawia popełnione w imieniu Boga i Religii?

Wydawcy pomienionych dzienników, miotając potwarze na stronę przeciwną, rozsiewając zasady nietolerancyi, zwiększają opór i nowych sił udzielają reakcyi. Uwielbiając absolutyzm, inkwizycyę i Jezuitów, podsycają w znacznej części narodu ducha nienawiści ku prawej władzy, objawionej wierze i ustanowionemu porządkowi.

Na fundamencie tej zasady, że duch stronniczy, duch korporacyjny wszędzie i zawsze jest szkodliwy, nie waham się przyjąć: że w dzisiejszych czasach dwie tylko są klasy ludzi dla społeczeństwa prawdziwie szkodliwych: to jest najprzód: klasa zestarzałych w ślepocie swojej uczniów Diderota i d'Alamberta, co dotąd jeszcze mają upodobanie w naśmiewaniu się z Biblii, duchowieństwa i obrządków religijnych, a następnie klasa tych niewyrozumiałych fanatyków lub hipokrytów, co nie przestają wołać: *videant consules* etc. etc., ogłaszając objawioną wiarę i porządek istniejący w stanie niebezpieczeństwa z powodu, że monarcha nadał ludowi konstytucyę i toleruje rozmaite w kraju wyznania.

Te dwie sekty wszędzie się znajdują, lubo pod odmiennymi nazwiskami.

Zniszczyłyby się one nawzajem, gdyby to było w ich mocy.

Pierwsza nie dałaby spocząć gilotynie w imieniu rozumu i wolności, ostatnia w imieniu religii i ku większej chwale Bożej.

Pisma tych ateuszów i fanatyków lub hipokrytów religijnego fanatyzmu są zarówno nierozsądne. Ze względu Krajowej Cenzury byłoby zdaniem mojem, rzeczą niepodobną chcieć oznaczyć różnicę co do stopnia ich szkodliwości.

Dlaczegoż więc ostatnie puszczamy w obieg, tamując cyrkulacyę pierwszych?

Skoro przyjęto za zasadę, że wszelkie namiętne zdania są niebezpieczne, że biegunowe punkta dwóch mylnych systematów stykają się: nie postrzegam żadnej różnicy między demagogizmem i ultra-rojalizmem, między bezbożnością i obłudą fanatyzmu.

Puszczając w obieg podobne pisma (za pomocą *Monitora Warszawskiego*) w celu nawrócenia młodzieży i na obronę Kościoła, szerzymy albo raczej zaszczepiamy zarazę, której nigdy nie było na naszej świętej ziemi. Ta inokulacya nie zaradzi złemu. Doświadczeni ludzie mówią, że Tyssot swojem dziełem przeciwko onanizmowi najwięcej przyczynił się do upowszechnienia tej choroby między młodzieżą.

Przypuśćmy, że pewne pisma, jako szkodliwe, zasługują na uwagę Cenzury, koniecznie przyznać potrzeba, że wszelkie inne w przeciwnym duchu napisane, wywracające najniebezpieczniejsze rozumowania i najśmielsze wnioski, są także niebezpieczne; ponieważ doświadczenie uczy, że znajomość złego jest również niebezpieczną, jak samo złe.

Do takich rezultatów prowadzi systema zakazowa w obiegu zdań i myśli ludzkich.

Loiczną konsekwencyą tego systematu musiałoby być przecięcie wszelkiej umysłowej między rozmaitemi narodami styczności, co być nie może.

Uważając opinię publiczną za źródło i że tak powiem, magazyn opinii rozpostartej w pismach, możnaby na fundamencie tej zasady, powątpiewać o pożytkach wyniknąć mających z ograniczenia wolności druku, a przynajmniej do pewnego punktu zmodyfikować wyobrażenie o szkodliwości rozmaitych utworów literackich.

Skoro pisma (a przynajmniej najdrażliwsze) są wyrazem opinii, po większej części nie indywidualnej, ale po-

wszechnej: co za korzyść wyniknie z utrudzenia lub zatamowania ich obiegu?

Reakcya tych pism na opinią, z której wypłynęły, nie może być tak wielką, jak pospolicie rozumiemy.

Zazwyczaj ludzie pierwej myślą, a potem dopiero piszą; wprzód zaś, nim myśleć zaczną, rozprawiają.

Myśli są materyałem pism. Materyałem myśli są działania i potoczne rozmowy.

W potocznych więc rozmowach i w sprawach towarzyskich zawiera się ledwo nie cała osnowa pism drukowanych.

Jakiejże więc siły potrzeba, aby przeistoczyć treść rozmów potocznych i sprawom ludzkim nadać lepszy kierunek?

Namienić jednak winienem, że to zdanie ściąga się tylko do pism popularnych. Poważniejsze, naukowe nie wchodzą w obręb mojej uwagi.

Oto jest ogólne wyobrażenie o wolności druku, które miałem wchodząc do biura Krajowej Cenzury.

Nie zmienię go nigdy.

Objawić je było moją powinnością, a co większa, rzeczą mojego sumienia.

Zresztą poddając moją opinię pod rozwagę JW. Radcy Stanu, miałem na pamięci, że w Jego rozległym umyśle wszelkie zdania wielostronne i najrozmaitsze bezpieczne znajdą schronienie.

Wyznaję przed JW. Radcą Stanu, że ścieśnienie wolności druku, tylko w naszym kraju, uważam za *malum necessarium* z powodu miejscowych okoliczności, wszędzie zaś indziej za nieskuteczne tylko władzy wykonawczej nadużycie.

Miejscowe okoliczności sprawiły, że w Polsce ta instytucya stała się z pewnego względu rzeczą naszej politycznej egzystencyi. Nieokreślona wolność druku obudziłaby w tym kraju dawniejsze, po części już uśpione wspomnienia.

Zastarzała nienawiść do pobratymczego narodu objawiając się w pismach naszych zapaleńców, odżyłaby znowu w całej swojej mocy i pociągnęłaby za sobą najsmutniejsze skutki; ile że opinię w naszych dziennikach uważanoby może (w Petersburgu) jako wyraz pospolitej w narodzie opinii.

To jedynie spostrzeżenie spowodowało mnie do uczynienia zadosyć łaskawej propozycyi JW. Radcy Stanu.

Wchodząc do biura Cenzury sądziłem, że granice działań tej najważniejszej w kraju naszym magistratury określone są (stosownie do postanowienia Xięcia Nam. Król. z dn. . . . roku . . .) miejscową potrzebą, to jest postulatami ogólnego dobra kraju.

Lecz po upłynieniu dwóch miesięcy, w przeciągu których miałem honor pracować pod dyrekcyą JW. Radcy Stanu, przekonałem się z działań, w których sam miałem udział, że systema ustanowiona w biurze Krajowej Cenzury nie ogranicza się zapobieganiom skutkom, któreby z powodu lokalnych, jak się już wyżej rzekło, przyczyn, wyniknąć mogły z nieokreślonej wolności druku.

Systema to objęło ledwo nie całą dziedzinę poznawań nauk i wiadomości ludzkich z opinią styczność mających; a co większa jest przestronniejsze w wykonaniu, aniżeli w pierwotnym rozmiarze swoim.

Wystąpiwszy z granic przyzwoitego oporu, zamieniło się na instytucyę oddziaływującą uczynkowo *(Réaction en fait)*.

Władza referentów będąc nieokreśloną, rozpostarła się dalej, aniżeli sięgają zamiary Rządu i widoki JW. Radcy Stanu.

Nie chcę ja bynajmniej obwiniać moich Kolegów o zbytnią gorliwość, którą może sobie za zasługę poczytują, atoli powinnością moją jest donieść[1] JW. Radcy

[1] Pan Radca Stanu ani razu nie był w Komitecie Cenzury od czasu ustanowienia tego biura.

Stanu, że zdaniem ich kieruje w szczególności i indywidualnie:

1. Chwalebny zaiste, ale jednostronny i może za daleko posunięty zapał, że nie powiem szał, w zapobieganiu wszystkiemu, coby się pośrednio nawet sprzeciwiać lub nie zgadzać mogło z zasadami ortodoxyi bądź politycznej, bądź religijnej, bądź też naukowej nie wszędzie i nie w całej rozciągłości swojej dobrze zrozumianej. (R. Łubkowski najczynniejszy, najgorliwszy z cenzorów; bierze 5,000 złp. rocznej pensyi i spodziewa się wkrótce zostać Nad. Referendarzem Stanu; człowiek młody i niegłupi; niedawno przestał być libertynem i jak wieść rozgłasza, birbantem).

2. Pewien rodzaj umysłowej niemocy, upatrujący, (szczególniej pod względem duchownym) wysoki stopień szkodliwości w rzeczach najobojętniejszych, co nawet, jak liczne okazują przykłady, do fizyologicznych, lekarskich i innych naukowych rozciąga się materyi. (To . . .[1] Modest Kosicki, Dr. Filoz. z Uniw. Krak., najgłupszy z Cenzorów, największy hipokryta, najdoskonalszy Jezuita, filut, z protestanckiej przeszedł na wiarę katolicką; bierze 6,000 złp. rocznej pensyi; dwa urzęda piastuje i spodziewa się być prezesem, czyli Referentem Gener. Cenzury w nagrodę zasług, na miejscu P. Niepokoyczyckiego, najpoczciwszego z Cenzorów, bo nigdy nic nie robi i prawie nigdy nie bywa w biurze).

Te dwa zdania są przeważające, w ogólności zaś:

3. Nieumiejętność ustanowienia i rozsądnego określenia różnicy między błędnością i szkodliwością pism; ponieważ zdaniem mojem, nie wszystko, co jest niedorzeczne (w rzeczach popularnych) jest zarazem i niebezpieczne.

4. Niebaczność na zasadę, że sama rzecz jakiejkolwiek

---

[1] Wyraz nieczytelny.

treści, lecz nie ubliżającej lokalnym stosunkom, w granicach prostej narracyi zawarta, na uwagę Krajowej Cenzury nie zasługuje. Na fundamencie tej zasady, potrzeba umieć odróżnić koloryt od obrazu; bo pierwszy, nie ostatni, może być rzeczą Cenzury. Inaczej wypadałoby nakazać milczenie faktom historycznym.

Nakoniec

5. Za daleko posunięta obawa osobistej odpowiedzialności.

A przeto:

a) fanatyzm polityczny;

b) fanatyzm religijny, a raczej obłuda religijnego fanatyzmu;

c) brak potrzebnego w pracach tego rodzaju usposobienia; wreszcie

d) bojaźń, cechują ogólną działalność w biurze Krajowej Cenzury.

Nie ośmielam się roztrząsać woli rządu, która zawsze będzie dla mnie świętą; śmiało nawet powiedzieć mogę, że w pracach, w których miałem udział, stosowałem się do zasad ustanowionych: to pewne jednak, że jako poczciwy człowiek nie mogę i nie powinienem oszukiwać dłużej JW. Radcy Stanu. Dążność Krajowej Cenzury do absolutyzmu i nietolerancyi, będącej ogólnym i naturalnym rezultatem umysłowego usposobienia moich kolegów, nie zgadza się z zasadami mojej wiary politycznej i religijnej, którą miałem honor poddać pod rozwagę JW. Radcy Stanu. Zostając dłużej w biurze Cenzury, musiałbym albo niedoskonale zadosyćczynić mojej powinności, a tem samem zdradzić położone w sobie zaufanie, albo też w przeciwnym razie zostać hipokrytą mojego powołania.

Ani jedno, ani drugie nie zgadza się z mojem sumieniem.

Może błądzę w zdaniu; ale przynajmniej nikt mnie nie odsądzi od tytułu sumiennego człowieka.

Dla wymienionych przeto powodów mam honor upraszać JW. R. St., abyś mnie raczył uwolnić od służby.

Nie mam żadnego majątku; nie mam nawet patentowanych kwalifikacyi, ponieważ jak wiadomo Jaśnie Wielmożnemu Radcy Stanu, Jego Cesarzowiczowska Mość W. X. Konstanty zabronił mi zdać examen magistrowski z wydziału prawa; przy stosownej aplikacyi mógłbym nadto, polegając na obietnicach JW. Radcy Stanu zapewnić swój los na przyszłość: prośba więc moja o dymisyą zasadza się na sumiennych pobudkach.

Maurycy Mochnacki.

Pisano w Warszawie dn. 2/7 27.

WYKAZ NAZWISK.

Liczby umieszczone przy nazwiskach oznaczają stronice.

SPIS RZECZY.

Część I: W Kraju.

Część II: Na Emigracyi.

Błędy dostrzeżone:

								zamiast	powinno być
Strona	30	wiersz	2	od	dołu	Kasa	Kawa
»	49	»	15	»	góry	ementy	emeuty
»	83	»	15	»	dołu	wtłoczy ćsię	wtłoczyć się
»	113	»	5	»	»	małudoszność	małoduszność
»	114	»	6	»	góry	święteczuym	świątecznym
»	117	»	16	»	dołu	mijącej	mijającej
»	121	»	4	»	»	Chłopickiego	Chłapowskiego
»	401	»	13	»	»	Addma	Adama.